QUO VADIS

HENRYK SIENKIEWICZ

QUO VADIS

POWIEŚĆ Z CZASÓW NERONA

WYDANIE NOWE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

I.

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

1913

zwy
u N
wne
rank
myś
wpr
obie
siły,
prze
błys
wyk
z ni
eleg

rzył
ście,
jące
któr
bud
Nere
ceza
szyn

wan
cyen
późn
rzy

ROZDZIAŁ

Petroniusz obudził się zaledwie koło południa i, jak zwykle, zmęczony bardzo. Poprzedniego dnia był na uczcie u Nerona, która przeciągnęła się do późna w noc. Od pewnego czasu zdrowie jego zaczęło się psuć. Sam mówił, że rankami budzi się jakby zdrętwiały i bez możności zebrania myśli. Ale poranna kąpiel i staranne wygniatanie ciała przez wprawionych do tego niewolników, przyspieszało stopniowo obieg jego leniwej krwi, rozbudzało go, cuciło, wracało mu siły, tak że z oleotekium, to jest z ostatniego kąpielowego przedziału, wychodził jeszcze jakby wskrzeszony, z oczyma błyszczącemi dowcipem i wesołością, odmłodzon, pełen życia, wykwintny, tak niedościgniony, że sam Otho nie mógł się z nim porównać — i prawdziwy, jak go nazywano: „arbiter elegantiarum“.

W łaźniach publicznych bywał rzadko: chyba że zdarzył się jakiś budzący podziw retor, o którym mówiono w mieście, lub gdy w ephebiach odbywały się wyjątkowo zajmujące zapasy. Zresztą miał w swej „insuli“ własne kąpiele, które słynny wspólnik Sewerusa, Celer, rozszerzył mu, przebudował i urządził z tak nadzwyczajnym smakiem, iż sam Nero przyznawał im wyższość nad cezaryańskiemi, chociaż cezaryańskie były obszerniejsze i urządzone z nierównie większym przepychem.

Po owej więc uczcie, na której znudziwszy się błaznowaniem Watyniusza, brał wraz z Neronem, Lukanem i Senecyem udział w diatrybie: czy kobieta ma duszę — wstawszy późno, zażywał, jak zwykle, kąpieli. Dwaj ogromni balneatorzy złożyli go właśnie na cyprysowej „mensie“, pokrytej

śnieżnym egipskim byssem — i dłońmi maczanemi w wonnej oliwie, poczęli nacierać jego kształtne ciało — on zaś z zamkniętemi oczyma czekał aż ciepło laconicum i ciepło ich rąk przejdzie w niego i usunie zeń znużenie.

Lecz po pewnym czasie przemówił — i, otworzywszy oczy, jął rozpytywać o pogodę, a następnie o gemmy, które jubiler Idomen obiecał mu przysłać na dzień dzisiejszy do obejrzenia... Pokazało się, że pogoda jest piękna, połączona z lekkim powiewem od gór Albańskich, i że gemmy nie przyszły. Petroniusz znów przymknął oczy i wydał rozkaz, by przeniesiono go do tepidarium, gdy wtem, z poza kotary, wychylił się „nomenclator", oznajmiając, że młody Markus Winicyusz, przybyły świeżo z Azyi Mniejszej, przyszedł go odwiedzić.

Petroniusz kazał wpuścić gościa do tepidarium, dokąd i sam się przeniósł. Winicyusz był synem jego starszej siostry, która przed laty wyszła za Marka Winicyusza, męża konsularnego z czasów tyberyuszowych. Młody służył obecnie pod Korbulonem przeciw Partom i po ukończonej wojnie wracał do miasta. Petroniusz miał dla niego pewną słabość, graniczącą z przywiązaniem, albowiem Markus był pięknym i atletycznym młodzieńcem, a zarazem umiał zachowywać pewną estetyczną miarę w zepsuciu, co Petroniusz cenił nad wszystko.

— Pozdrowienie Petroniuszowi — rzekł młody człowiek, wchodząc sprężystym krokiem do tepidarium; — niech wszyscy bogowie darzą cię pomyślnością, a zwłaszcza Asklepios i Kipryda, albowiem pod ich podwójną opieką nic złego spotkać cię nie może.

— Witaj w Rzymie i niech ci odpoczynek będzie słodki po wojnie — odrzekł Petroniusz, wyciągając rękę z pomiędzy fal miękkiej karbassowej tkaniny, w którą był obwinięty. — Co słychać w Armenii i czy, bawiąc w Azyi, nie zawadziłeś o Bitynię?

Petroniusz był niegdyś rządcą Bitynii, i co większa, rządził nią sprężyście i sprawiedliwie. Stanowiło to dziwną sprzeczność z charakterem człowieka, słynnego ze swej zniewieściałości i zamiłowania do rozkoszy — dlatego lubił wspominać te czasy, albowiem stanowiły one dowód, czemby być mógł i umiał, gdyby mu się podobało.

— Zdarzyło mi się być w Heraklei — odrzekł Winicyusz. — Wysłał mnie tam Korbulo z rozkazem ściągnięcia posiłków.

— Ach, Heraklea! znałem tam jedną dziewczynę z Kolchidy, za którą oddałbym wszystkie tutejsze rozwódki, nie wyłączając Poppei. Ale to dawne dzieje. Mów raczej co słychać od ściany partyjskiej. Nudzą mnie wprawdzie te wszystkie Wologesy, Tyrydaty, Tygranesy i cała ta barbaria, która, jak twierdzi młody Arulanus, chodzi u siebie w domu jeszcze na czworakach, a tylko wobec nas udaje ludzi. Ale teraz dużo się o nich mówi w Rzymie, choćby dlatego, że niebezpiecznie mówić o czem innem.

— Ta wojna źle idzie i gdyby nie Korbulo, mogłaby się zmienić w klęskę.

— Korbulo! na Bakcha! prawdziwy to bożek wojny, istny Mars: wielki wódz, a zarazem zapalczywy, prawy i głupi. Lubię go, choćby dlatego, że Nero go się boi.

— Korbulo nie jest człowiekiem głupim.

— Może masz słuszność, a zresztą wszystko to jedno. Głupota, jak powiada Pyrron, w niczem nie jest gorsza od mądrości, i w niczem się od niej nie różni.

Winicyusz począł opowiadać o wojnie, lecz gdy Petroniusz przymknął powieki, młody człowiek, widząc jego znużoną i nieco wychudłą twarz, zmienił przedmiot rozmowy i jął wypytywać go z pewną troskliwością o zdrowie.

Petroniusz otworzył znów oczy.

Zdrowie!... Nie. On nie czuł się zdrów. Nie doszedł jeszcze wprawdzie do tego, do czego doszedł młody Syssena, który stracił do tego stopnia czucie, że gdy go przynoszono rano do łaźni, pytał: „czy ja siedzę?“ — Ale nie był zdrów. Winicyusz oddał go oto pod opiekę Asklepiosa i Kiprydy. Nie wiadomo nawet czyim był synem ten Asklepios, czy Arsinoe czy Koronidy, a gdy matka niepewna, cóż dopiero mówić o ojcu. Kto teraz może ręczyć nawet za swego własnego ojca!

Tu Petroniusz począł się śmiać, poczem mówił dalej:

— Posłałem wprawdzie dwa lata temu do Epidaurus trzy tuziny żywych paszkotów i kubek złota, ale wiesz dlaczego: oto powiedziałem sobie: pomoże, nie pomoże, ale nie zaszkodzi. Jeśli ludzie składają jeszcze na świecie ofiary bo-

gom, to jednak myślę, że wszyscy rozumują tak, jak ja. Wszyscy! z wyjątkiem może mulników, którzy najmują się podróżnym przy porta Kapena. Prócz Asklepiosa, miałem także do czynienia i z Asklepiadami, gdym zeszłego roku chorował trochę na pęcherz. Odprawiali za mnie inkubacyę. Wiedziałem, że to oszuści, ale również mówiłem sobie: co mi to szkodzi! Świat stoi na oszustwie, a życie jest złudzeniem. Dusza jest także złudzeniem. Trzeba mieć jednak tyle rozumu, by umieć rozróżnić złudzenia rozkoszne od przykrych. W mojem hypocaustum każę palić cedrowem drzewem, posypywanem ambrą, bo wolę w życiu zapachy od zaduchów. Co do Kiprydy, której mnie także poleciłeś, doznałem jej opieki o tyle, że mam strzykanie w prawej nodze. Ale zresztą to dobra bogini! Przypuszczam, że i ty także poniesiesz teraz prędzej czy później białe gołębie na jej ołtarz.

— Tak jest — rzekł Winicyusz. — Nie dosięgnęły mnie strzały Partów, ale trafił mnie grot Amora... najniespodzianiej, o kilka stadyów od bramy miasta.

— Na białe kolana Charytek! opowiesz mi to wolnym czasem — rzekł Petroniusz.

— Właśnie przyszedłem zasięgnąć twej rady — odpowiedział Markus.

Lecz w tej chwili weszli epilatorowie, którzy zajęli się Petroniuszem, Markus zaś, zrzuciwszy tunikę, wstąpił do wanny z letnią wodą, albowiem Petroniusz zaprosił go do kąpieli.

— Ach, nie pytam nawet, czy masz wzajemność — odrzekł Petroniusz, spoglądając na młode, jakby wykute z marmuru, ciało Winicyusza. Gdyby Lizypp był cię widział, zdobiłbyś teraz bramę wiodącą do Palatynu, jako posąg Herkulesa w młodzieńczym wieku.

Młody człowiek uśmiechnął się z zadowoleniem i począł zanurzać się w wannie, wychlustywając przytem obficie ciepłą wodę na mozajkę, przedstawiającą Herę w chwili, gdy prosi Sen o uśpienie Zeusa. Petroniusz patrzył na niego zadowolonem okiem artysty.

Lecz gdy skończył i oddał się z kolei epilatorom, wszedł „lector“ z puszką bronzową na brzuchu i zwojami papieru w puszce.

— Czy chcesz posłuchać? — spytał Petroniusz.

— Jeśli to twój utwór, chętnie! — odpowiedział Winicyusz — ale jeśli nie, wolę rozmawiać. Poeci łapią dziś ludzi na wszystkich rogach ulic.

— A jakże. Nie przejdziesz koło żadnej bazyliki, koło termów, koło biblioteki lub księgarni, żebyś nie ujrzał poety gestykulującego jak małpa. Agryppa, gdy tu przyjechał ze Wschodu, wziął ich za opętanych. Ale to teraz takie czasy. Cezar pisuje wiersze, więc wszyscy idą w jego ślady. Nie wolno tylko pisywać wierszy lepszych od Cezara i z tego powodu boję się trochę o Lukana... Ale ja pisuję prozą, którą jednak nie częstuję ani samego siebie, ani innych. To, co lector miał czytać, to są „codicilli“ tego biednego Fabrycyusza Wejenta.

— Dlaczego „biednego?“

— Bo mu powiedziano, żeby zabawił się w Odyssa i nie wracał do domowych pieleszy, aż do nowego rozporządzenia. Ta Odyssea o tyle mu będzie lżejszą, niż Odysseuszowi, że żona jego nie jest Penelopą. Nie potrzebuję ci zresztą mówić, że postąpiono głupio. Ale tu nikt inaczej rzeczy nie bierze, jak po wierzchu. To dość licha i nudna książka, którą zaczęto namiętnie czytać dopiero wówczas, gdy autor został wygnany. Teraz słychać na wszystkie strony: „scandala! scandala!“ i być może, że niektóre rzeczy Wejento wymyślał, ale ja, który znam miasto, znam naszych patres i nasze kobiety, upewniam cię, iż to wszystko bledsze, niż rzeczywistość. Swoją drogą, każdy szuka tam obecnie — siebie z obawą, a znajomych z przyjemnością. W księgarni Awirunusa stu skrybów przepisuje książkę za dyktandem — i powodzenie jej zapewnione.

— Twoich sprawek tam niema?

— Są, ale autor chybił, albowiem jestem zarazem i gorszy i mniej płaski, niż mnie przedstawił. Widzisz, my tu dawno zatraciliśmy poczucie tego, co jest godziwe lub niegodziwe, i mnie samemu wydaje się, że tak naprawdę, to tej różnicy niema, chociaż Seneka, Muzoniusz i Trazea udają, że ją widzą. Mnie to wszystko jedno! na Herkulesa, mówię, jak myślę! Ale zachowałem tę wyższość, że wiem, co jest szpetne, a co piękne, a tego naprzykład nasz miedzianobrody poeta, furman, śpiewak, tancerz i histrio — nie rozumie.

— Żal mi jednak Fabrycyusza! To dobry towarzysz.

— Zgubiła go miłość własna. Każdy go podejrzewał, nikt dobrze nie wiedział, ale on sam nie mógł wytrzymać i na wszystkie strony rozgadywał pod sekretem. Czy ty słyszałeś historyę Ruffinusa?

— Nie.

— To przejdźmy do frigidarium, gdzie wychłodniemy, i gdzie ci ją opowiem.

Przeszli do frigidarium, na środku którego biła fontanna, zabarwiona na kolor jasno - różowy i roznosząca woń fijołków. Tam siadłszy w niszach, wysłanych jedwabiem, poczęli się ochładzać. Przez chwilę panowało milczenie. Winicyusz patrzył czas jakiś w zamyśleniu na bronzowego Fauna, który, przegiąwszy sobie przez ramię nimfę, szukał chciwie ustami jej ust, poczem rzekł:

— Ten ma słuszność. Oto co jest w życiu najlepsze.

— Mniej więcej! ale ty prócz tego kochasz wojnę, której ja nie lubię, albowiem pod namiotami paznokcie pękają i przestają być różowe. Zresztą każdy ma swoje zamiłowania. Miedzianobrody lubi śpiew, zwłaszcza swój własny, a stary Skaurus swoją wazę koryncką, która w nocy stoi przy jego łożu, i którą całuje, jeśli nie może spać. Wycałował już jej brzegi. Powiedz mi, czy ty nie pisujesz wierszy?

— Nie. Nie złożyłem nigdy całego heksametru.

— A nie grywasz na lutni i nie śpiewasz?

— Nie.

— A nie powozisz?

— Ścigałem się swego czasu w Antyochii, ale bez powodzenia.

— Tedy jestem o ciebie spokojny. A do jakiego stronnictwa należysz w hipodromie?

— Do Zielonych.

— Tedy jestem zupełnie spokojny, zwłaszcza, że posiadasz wprawdzie duży majątek, ale nie jesteś tak bogaty, jak Pallas albo Seneka. Bo widzisz, u nas teraz dobrze jest pisać wiersze, śpiewać przy lutni, deklamować i ścigać się w cyrku, ale jeszcze lepiej, a zwłaszcza bezpieczniej jest nie pisywać wierszy, nie grać, nie śpiewać i nie ścigać się w cyrku. Najlepiej zaś jest umieć podziwiać, gdy to czyni Miedzianobrody. Jesteś pięknym chłopcem, więc ci to chyba może grozić, że Poppea zakocha się w tobie. Ale ona zbyt na to do-

świadczona. Miłości zażyła dość przy dwóch pierwszych mężach, a przy trzecim chodzi jej o co innego. Czy wiesz, że ten głupi Otho kocha ją dotąd do szaleństwa... Chodzi tam po skałach Hiszpanii i wzdycha, tak zaś stracił dawne przyzwyczajenia i tak przestał dbać o siebie, że na układanie fryzury wystarcza mu teraz trzy godziny dziennie. Ktoby się tego spodziewał, zwłaszcza po Othonie.

— Ja go rozumiem — odrzekł Winicyusz. — Ale na jego miejscu robiłbym co innego.

— Co mianowicie?

— Tworzyłbym wierne sobie legie z tamtejszych górali. To tędzy żołnierze, ci Iberowie.

— Winicyuszu! Winicyuszu! Chce mi się prawie powiedzieć, że nie byłbyś do tego zdolny. A wiesz dlaczego? Oto takie rzeczy się robi, ale się o nich nie mówi nawet warunkowo. Co do mnie, śmiałbym się na jego miejscu z Poppei, śmiałbym się z Miedzianobrodego i formowałbym sobie legie nie z Iberów, tylko z Iberek. Co najwyżej, pisałbym epigramata, którychbym zresztą nie odczytywał nikomu, jak ten biedny Ruffinus.

— Miałeś mi opowiedzieć jego historyę.

— Opowiem ci ją w unctuarium.

Ale w unctuarium uwaga Winicyusza zwróciła się na co innego, mianowicie na cudne niewolnice, które czekały tam na kąpiących się. Dwie z nich, Murzynki, podobne do wspaniałych posągów z hebanu, poczęły maścić ich ciała delikatnemi woniami Arabii, inne, biegłe w czesaniu Frygijki, trzymały w rękach miękkich i giętkich, jak węże, polerowane stalowe zwierciadła i grzebienie, dwie zaś, wprost do bóstw podobne greckie dziewczyny z Kos, czekały jako „vestiplicae“, aż przyjdzie chwila posągowego układania fałd na togach panów.

— Na Zeusa Chmurozbiórcę! — rzekł Markus Winicyusz — jaki ty masz u siebie wybór!

— Wolę wybór, niż liczbę — odpowiedział Petroniusz. — Cała moja „familia“ [1]) w Rzymie nie przenosi czterystu głów i sądzę, że do osobistej posługi chyba dorobkiewicze potrzebują większej ilości ludzi.

---

[1]) Niewolnicy domowi, zwali się „familia“.

— Piękniejszych ciał nawet i Miedzianobrody nie posiada — mówił, rozdymając nozdrza, Winicyusz.

Na to Petroniusz odrzekł z pewną przyjazną niedbałością:

— Jesteś moim krewnym, a ja nie jestem ani tak nieużyty jak Bassus, ani taki pedant, jak Aulus Plaucyusz.

Lecz Winicyusz, usłyszawszy to ostatnie imię, zapomniał na chwilę o dziewczynach z Kos i, podniósłszy żywo głowę, spytał:

— Skąd ci przyszedł na myśl Aulus Plaucyusz? Czy wiesz, że ja, wybiwszy rękę pod miastem, spędziłem kilkanaście dni w ich domu. Zdarzyło się, że Plaucyusz nadjechał w chwili wypadku i widząc, że cierpię bardzo, zabrał mnie do siebie, tam zaś niewolnik jego, lekarz Meryon, przyprowadził mnie do zdrowia. O tem właśnie chciałem z tobą mówić.

— Dlaczego? czy nie zakochałeś się wypadkiem w Pomponii? W takim razie żal mi cię: niemłoda i cnotliwa! Nie umiem sobie wyobrazić gorszego nad to połączenia. Brr!

— Nie w Pomponii — eheu! — rzekł Winicyusz.

— Zatem w kim?

— Gdybym ja sam wiedział w kim? Ale ja nie wiem nawet dobrze, jak jej imię: Ligia czy Kallina? Nazywają ją w domu Ligią, gdyż pochodzi z narodu Ligiów, a ma swoje barbarzyńskie imię: Kallina. Dziwny to dom tych Plaucyuszów. Rojno w nim, a cicho, jak w gajach w Subiacum. Przez kilkanaście dni nie wiedziałem, że mieszka w nim bóstwo. Aż raz o świcie zobaczyłem ją myjącą się w ogrodowej fontannie. I przysięgam ci na tę pianę, z której powstała Afrodyta, że promienie zorzy przechodziły na wylot przez jej ciało. Myślałem, że gdy słońce zejdzie, ona rozpłynie mi się w świetle, jak rozpływa się jutrzenka. Od tej pory widziałem ją dwukrotnie i od tej pory również nie wiem co spokój, nie wiem co inne pragnienia, nie chcę wiedzieć, co może mi dać miasto, nie chcę kobiet, nie chcę złota, nie chcę korynckiej miedzi, ani bursztynu, ani perłowca, ani wina, ani uczt, tylko chcę Ligii. Mówię ci szczerze, Petroniuszu, że tęsknię za nią, jak tęsknił ten sen, wyobrażony na mozaice w twojem tepidaryum za Paisytheją, tęsknię po całych dniach i nocach.

— Jeśli to niewolnica, to ją odkup.

— Ona nie jest niewolnicą.

— Czemże jest? Wyzwolenicą Plaucyusza?

— Nie będąc nigdy niewolnicą, nie mogła być wyzwolona.

— Więc?

— Nie wiem: córką królewską, lub czemś podobnem.

— Zaciekawiasz mnie, Winicyuszu.

— Lecz jeśli zechcesz mnie posłuchać, zaraz zaspokoję twoją ciekawość. Historya nie jest zbyt długa. Ty może osobiście znałeś Wanniusza, króla Swewów, który, wypędzony z kraju, długi czas przesiadywał tu w Rzymie, a nawet wsławił się szczęśliwą grą w kości i dobrem powożeniem. Cezar Druzus wprowadził go znów na tron. Wanniusz, który był w istocie rzeczy tęgim człowiekiem, rządził z początku dobrze i prowadził szczęśliwe wojny, później jednak począł nadto łupić ze skóry, nietylko sąsiadów, ale i własnych Swewów. Wówczas Wangio i Sido, dwaj jego siostrzeńcy, a synowie Wibiliusza, króla Hermandurów, postanowili zmusić go, by znów pojechał do Rzymu... próbować szczęścia w kości.

— Pamiętam, to Klaudyuszowe, niedawne czasy.

— Tak! Wybuchła wojna. Wanniusz wezwał na pomoc Jazygów, jego zaś mili siostrzeńcy Ligiów, którzy, zasłyszawszy o bogactwach Wanniusza i zwabieni nadzieją łupów, przybyli w takiej liczbie, iż sam cezar Klaudyusz począł obawiać się o spokój granicy. Klaudyusz nie chciał mieszać się w wojny barbarzyńców, napisał jednak do Ateliusza Histera, który dowodził legią naddunajską, by zwracał pilne oko na przebieg wojny i nie pozwolił zamącić naszego pokoju. Hister zażądał wówczas od Ligiów, by przyrzekli, iż nie przekroczą granicy, na co nietylko zgodzili się, ale dali zakładników, między którymi znajdowała się żona i córka ich wodza... Wiadomo ci, że barbarzyńcy wyciągają na wojny z żonami i dziećmi... Otóż moja Ligia jest córką owego wodza.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Mówił mi to sam Aulus Plaucyusz. Ligiowie nie przekroczyli istotnie wówczas granicy, ale barbarzyńcy przychodzą jak burza i uciekają jak burza. Tak znikli i Ligiowie, razem ze swymi turzymi rogami na głowach. Zbili wanniuszowych Swewów i Jazygów, ale król ich poległ, zaczem odeszli z łupami, a zakładniczki zostały w ręku Histera.

Matka wkrótce umarła, dziecko zaś Hister, nie wiedząc, co z niem robić, odesłał do rządcy całej Germanii, Pomponiusza. Ów, po ukończeniu wojny z Kattami, wrócił do Rzymu, gdzie Klaudyusz, jak wiesz, pozwolił mu odprawić tryumf. Dziewczyna szła wówczas za wozem zwycięzcy, ale po skończonej uroczystości, ponieważ zakładniczki nie można było uważać za brankę, z kolei i Pomponiusz nie wiedział co z nią zrobić, a wreszcie oddał ją swej siostrze, Pomponii Grecynie, żonie Plaucyusza. W tym domu, gdzie wszystko, począwszy od panów, a skończywszy na drobiu w kurniku, jest cnotliwe, wyrosła na dziewicę, niestety, tak cnotliwą, jak sama Grecyna, a tak piękną, że nawet Poppea wyglądałaby przy niej, jak jesienna figa przy jabłku hesperyjskiem.

— I co?

— I powtarzam ci, że od chwili, gdy widziałem, jak promienie przechodziły przy fontannie nawskróś przez jej ciało, zakochałem się bez pamięci.

— Jest więc tak przeźroczysta, jak lampryska, albo jak młoda sardynka?

— Nie żartuj Petroniuszu, a jeśli cię łudzi swoboda, z jaką ja sam o mojej żądzy mówię, wiedz o tem, że jaskrawa suknia częstokroć głębokie rany pokrywa. Muszę ci też powiedzieć, że wracając z Azyi, przespałem jedną noc w świątyni Mopsusa, aby mieć sen wróżebny. Otóż we śnie pojawił mi się sam Mopsus i zapowiedział, że w życiu mojem nastąpi wielka przemiana przez miłość.

— Słyszałem, jak Pliniusz mówił, że nie wierzy w bogów, ale wierzy w sny, i być może, że ma słuszność. Moje żarty nie przeszkadzają mi też myśleć czasem, że naprawdę jest tylko jedno bóstwo, odwieczne, wszechwładne, twórcze, Venus Genitrix. Ona skupia dusze, skupia ciała i rzeczy. Eros wywołał świat z chaosu. Czy dobrze uczynił, to inna rzecz, ale gdy tak jest, musimy uznać jego potęgę, choć wolno jej nie błogosławić...

— Ach, Petroniuszu! Łatwiej na świecie o filozofię, niż o dobrą radę.

— Powiedz mi, czego ty właściwie chcesz?

— Chcę mieć Ligię. Chcę, by te moje ramiona, które obejmują teraz tylko powietrze, mogły objąć ją i przycisnąć do piersi. Chcę oddychać jej tchnieniem. Gdyby była niewol-

nicą, dałbym za nią Aulusowi sto dziewcząt z nogami pobielonemi wapnem, na znak, że je pierwszy raz wystawiono na sprzedaż. Chcę ją mieć w domu moim dopóty, dopóki głowa moja nie będzie tak białą, jak szczyt Soracte w zimie.

— Ona nie jest niewolnicą, ale ostatecznie należy do „familii“ Plaucyusza, a ponieważ jest dzieckiem opuszczonem, może być uważana jako „alumna“. Plaucyusz mógłby ci ją odstąpić, gdyby chciał.

— To chyba nie znasz Pomponii Grecyny. Zresztą oboje przywiązali się do niej, jak do własnego dziecka.

— Pomponię znam. Istny cyprys. Gdyby nie była żoną Aulusa, możnaby ją wynajmować jako płaczkę. Od śmierci Julii nie zrzuciła ciemnej stoli i wogóle wygląda, jakby za życia jeszcze chodziła po łące, porosłej asfodelami. Jest przytem „univira“, a więc między naszemi cztero i pięciokrotnemi rozwódkami jest zarazem Fenixem... Ale!... czy słyszałeś, że Fenix jakoby naprawdę wylągł się teraz w górnym Egipcie, co mu się zdarza nie częściej, jak raz na pięćset lat?

— Petroniuszu! Petroniuszu! o Fenixie pogadamy kiedyindziej.

— Cóż ja ci powiem, mój Marku. Znam Aula Plaucyusza, który, lubo nagania mój sposób życia, ma do mnie pewną słabość, a może nawet szanuje mnie więcej od innych, wie bowiem, że nie byłem nigdy donosicielem, jak naprzykład Domicyusz Afer, Tygellinus i cała zgraja przyjaciół Ahenobarba. Nie udając przytem stoika, krzywiłem się jednak nieraz na takie postępki Nerona, na które Seneka i Burrhus patrzyli przez szpary. Jeśli sądzisz, że mogę coś dla ciebie u Aulusa wyjednać, — jestem na twoje usługi.

— Sądzę, że możesz. Ty masz na niego wpływ, a przytem umysł twój posiada niewyczerpane sposoby. Gdybyć się rozejrzał w położeniu i pomówił z Plaucyuszem...

— Zbytnie masz pojęcie o moim wpływie i o dowcipie, ale jeśli tylko o to chodzi, pomówię z Plaucyuszem, jak tylko przeniosą się do miasta.

— Oni wrócili dwa dni temu.

— W takim razie pójdźmy do triclinium, gdzie czeka na nas śniadanie, a następnie, nabrawszy sił, każemy się zanieść do Plaucyusza.

— Zawsześ mi był miły — odrzekł na to z żywością

Winicyusz — ale teraz każę chyba ustawić wśród moich laurów twój posąg — ot, taki piękny, jak ten — i będę mu składał ofiary.

To rzekłszy, zwrócił się w stronę posągów, które zdobiły całą jedną ścianę wonnej świetlicy, i wskazał ręką na posąg Petroniusza, przedstawiający go jako Hermesa, z posochem w dłoni.

Poczem dodał:

— Na światło Heliosa! jeśli „boski“ Alexander był do ciebie podobny, — nie dziwić się Helenie.

I w okrzyku tym było tyleż szczerości, ile pochlebstwa, Petroniusz bowiem, lubo starszy i mniej atletyczny, piękniejszy był nawet od Winicyusza. Kobiety w Rzymie podziwiały nietylko jego giętki umysł i smak, który mu zjednał nazwę arbitra elegancyi, — ale i ciało. Podziw ów znać było nawet na twarzach owych dziewcząt z Kos, które układały teraz fałdy jego togi, a z których jedna, imieniem Eunice, skrycie go kochająca, patrzyła mu w oczy z pokorą i zachwytem.

Lecz on nie zwrócił nawet na to uwagi, jeno, uśmiechnąwszy się do Winicyusza, począł cytować mu w odpowiedzi wyrażenie Seneki o kobietach:

— Animal impudens... etc.

A następnie, otoczywszy ręką jego ramiona, wyprowadził go do triclinium.

W unctuarium dwie greckie dziewczyny, Frygijki i dwie Murzynki poczęły uprzątać epilichnia z woniami. Lecz w tejże chwili z poza uchylonej kotary od frigidarium ukazały się głowy balneatorów i rozległo się ciche: „psst!“ — a na to wezwanie jedna z Greczynek, Frygijki i dwie Etyopki, poskoczywszy żywo, znikły w mgnieniu oka za kotarą. W termach rozpoczynała się chwila swawoli i rozpusty, której inspektor nie przeszkadzał, albowiem sam częstokroć brał w podobnych hulankach udział. Domyślał się ich zresztą i Petroniusz, ale jako człowiek wyrozumiały i nie lubiący karać, patrzył na nie przez szpary.

W unctuarium pozostała tylko Eunice. Czas jakiś nasłuchiwała oddalających się w kierunku laconicum głosów i śmiechów, wreszcie, uniosłszy wykładany bursztynem i ko-

ścią słoniową stołek, na którym przed chwilą siedział Petroniusz, przysunęła go ostrożnie do jego posągu.

Unctuarium pełne było słonecznego światła i kolorów, bijących od tęczowych marmurów, którymi wyłożone były ściany.

Eunice wstąpiła na stołek — i, znalazłszy się na wysokości posągu, nagle zarzuciła mu na szyję ramiona, — poczem, odrzuciwszy w tył swe złote włosy i tuląc różowe ciało do białego marmuru, poczęła przyciskać w uniesieniu usta do zimnych warg Petroniusza.

ROZDZIAŁ II.

Po posiłku, który zwał się śniadaniem, a do którego dwaj towarzysze zasiedli wówczas, gdy zwykli śmiertelni byli już dawno po południowem prandium, Petroniusz zaproponował lekką drzemkę. Według niego pora była jeszcze za wczesna na odwiedziny. Są wprawdzie ludzie, którzy poczynają odwiedzać znajomych o wschodzie słońca, uważając w dodatku zwyczaj ten za stary, rzymski. Ale on, Petroniusz, uważa go za barbarzyński. Godziny popołudniowe są najwłaściwsze, nie wcześniej jednak, zanim słońce nie przejdzie w stronę świątyni Jowisza kapitolińskiego i nie pocznie patrzeć z ukosa na Forum. Jesienią bywa jeszcze gorąco i ludzie radzi śpią po jedzeniu. Tymczasem miło jest posłuchać szumu fontanny w atrium i po obowiązkowym tysiącu kroków, zdrzemnąć się w czerwonem świetle, przecedzonem przez purpurowe, nawpół zaciągnięte velarium.

Winicyusz uznał słuszność jego słów i poczęli się przechadzać, rozmawiając w sposób niedbały o tem, co słychać na Palatynie i w mieście, a potrochu filozofując nad życiem. Poczem Petroniusz udał się do cubiculum, lecz nie spał długo. Po upływie pół godziny wyszedł i, kazawszy sobie przynieść werweny, począł ją wąchać i nacierać sobie nią ręce i skronie.

— Nie uwierzysz — rzekł — jak to ożywia i otrzeźwia. Teraz jestem gotów.

Lektyka czekała już od dawna, więc siedli i kazali się ponieść na Vicus Patricius, do domu Aulusa. „Insula“ Petroniusza leżała na południowym stoku Palatynu około tak zwa-

nych Carinae, najkrótsza więc droga wypadała im poniżej Forum, lecz ponieważ Petroniusz chciał zarazem wstąpić do złotnika Idomena, wydał przeto polecenie, by niesiono ich przez Vicus Apollinis i Forum, w stronę Vicus Sceleratus, na rogu którego pełno było wszelkiego rodzaju tabern.

Olbrzymi Murzyni podnieśli lektykę i ruszyli, poprzedzani przez niewolników, zwanych pedisequi. Petroniusz przez czas jakiś podnosił w milczeniu swe dłonie, pachnące werweną, ku nozdrzom i zdawał się nad czemś namyślać, po chwili zaś rzekł:

— Przychodzi mi do głowy, że jeśli twoja leśna boginka nie jest niewolnicą, tedy mogłaby porzucić dom Plaucyuszów, a przenieść się do twego. Otoczyłbyś ją miłością i obsypał bogactwy, tak jak ja moją ubóstwioną Chryzotemis, której, mówiąc między nami, mam przynajmniej o tyle dosyć, o ile ona mnie.

Markus potrząsnął głową.

— Nie? — pytał Petroniusz. — W najgorszym razie sprawa oparłaby się o cezara, a możesz być pewny, że, choćby dzięki moim wpływom, nasz Miedzianobrody byłby po twojej stronie.

— Nie znasz Ligii! — odparł Winicyusz.

— To pozwólże się zapytać, czy ty ją znasz — inaczej, jak z widzenia? Mówiłżeś z nią? wyznałżeś jej swą miłość?

— Widziałem ją naprzód przy fontannie, a potem spotkałem ją dwukrotnie. Pamiętaj, że podczas pobytu w domu Aulusów mieszkałem w bocznej willi, przeznaczonej dla gości — i, mając wybitą rękę, nie mogłem zasiadać do wspólnego stołu. Dopiero w wigilię dnia, na który zapowiedziałem swój odjazd, spotkałem Ligię przy wieczerzy — i nie mogłem słowa do niej przemówić. Musiałem słuchać Aulusa i jego opowiadań o zwycięstwach, jakie odniósł w Brytanii, a następnie o upadku małych gospodarstw w Italii, któremu jeszcze Licyniusz Stolo starał się zapobiedz. W ogóle nie wiem, czy Aulus potrafi mówić o czem innem, i nie mniemaj, że zdołamy się od tego wykręcić, chyba, że zechcesz słuchać o zniewieściałości czasów dzisiejszych. Oni tam mają bażanty w kurnikach, ale ich nie jedzą, wychodząc z zasady, że każdy zjedzony bażant przybliża koniec potęgi rzymskiej. Drugi raz spotka-

łem ją koło ogrodowej cysterny ze świeżo wyrwaną trzciną w ręku, którą zanurzała kiścią w wodzie i skrapiała rosnące wokoło irysy. Spójrz na moje kolana. Na tarczę Herakla, mówię ci, że nie drżały, gdy na nasze maniple szły z wyciem chmury Partów, ale drżały przy owej cysternie. I, zmieszany, jak pacholę, które nosi jeszcze bullę na szyi, oczyma tylko żebrałem litości, długo nie mogąc słowa przemówić.

Petroniusz spojrzał na niego, jakby z pewną zazdrością.

— Szczęśliwy! — rzekł — choćby świat i życie były jak najgorsze, jedno w nich zostanie wieczne dobro — młodość!

Po chwili zaś spytał:

— I nie przemówiłeś do niej?

— Owszem. Oprzytomniawszy nieco, rzekłem, że wracam z Azyi, żem wybił rękę pod miastem i cierpiałem srodze, ale w chwili, gdy mi przychodzi porzucić ten dom gościnny, widzę, że cierpienie w nim więcej jest warte, niż gdzieindziej rozkosz, — choroba więcej, niż gdzieindziej zdrowie. Ona słuchała słów moich także zmieszana i ze schyloną głową, kreśląc coś trzciną na szafrannym piasku. Poczem podniosła oczy, raz jeszcze spojrzała na owe skreślone znaki, raz jeszcze na mnie, jakby chcąc o coś spytać — i nagle uciekła, jak hamadryada przed głupowatym faunem.

— Musi mieć piękne oczy.

— Jak morze, — i utonąłem w nich też jak w morzu. Wierz mi, że Archipelag mniej jest błękitny. Po chwili przybiegł mały Plaucyusz i począł o coś pytać. Ale ja nie rozumiałem, o co mu chodzi.

— O Athene! — zawołał Petroniusz — zdejm temu chłopcu opaskę z oczu, którą nawiązał Eros, bo inaczej rozbije sobie głowę o kolumnę świątyni Venus.

Poczem zwrócił się do Winicyusza:

— O, ty wiosenny pączku na drzewie życia, ty pierwsza zielona gałązko winogradu! Powinienbym, zamiast do Plaucyuszów, kazać cię zanieść do domu Gelocyusza, gdzie jest szkoła dla nieświadomych życia chłopców.

— Czego ty właściwie chcesz?

— A co skreśliła na piasku? Czy nie imię Amora, czy nie serce przeszyte jego grotem, lub nie coś takiego, z czego mógłbyś poznać, że Satyry szeptały już tej nimfie do ucha różne tajemnice życia? Jak można było nie spojrzeć na te znaki.

— Dawniej wdziałem togę, niż myślisz — rzekł Winicyusz — i zanim nadbiegł mały Aulus, patrzyłem pilnie na te znaki. Wszakże wiem, że i w Grecyi i w Rzymie nieraz dziewczęta kreślą na piasku wyznania, których nie chcą wymówić ich usta... Ale zgadnij, co nakreśliła?

— Jeśli co innego, niż przypuszczałem, to nie zgadnę.

— Rybę.

— Jak powiadasz?

— Powiadam: rybę. Czy miało to znaczyć, że w żyłach jej zimna dotąd krew płynie? — nie wiem! Ale ty, któryś mnie nazwał wiosennem pąkowiem na drzewie życia — zapewne potrafisz lepiej ten znak zrozumieć?

— Carissime? o taką rzecz spytaj Pliniusza. On się zna na rybach. Gdyby stary Apicyusz żył jeszcze, możeby ci także umiał coś o tem powiedzieć, albowiem zjadł w ciągu życia więcej ryb, niż może ich odrazu pomieścić zatoka Neapolitańska.

Lecz dalsza rozmowa urwała się, wniesiono ich bowiem na rojne ulice, na których przeszkadzał jej gwar ludzki. Przez Vicus Apollinis skręcili na Forum Romanum, gdzie w dnie pogodne, przed zachodem słońca, gromadziły się tłumy próżniaczej ludności, by przechadzać się wśród kolumn, opowiadać nowiny i słuchać ich, widzieć przenoszone lektyki ze znakomitymi ludźmi, a wreszcie zaglądać do sklepów złotniczych, do księgarni, do sklepów, w których zmieniano monetę, do bławatnych, bronzowniczych i wszelkich innych, których pełno było w domach, obejmujących część rynku, położoną naprzeciw Kapitolu. Połowa Forum, leżąca tuż pod wiszarami zamku, pogrążona była już w cieniu, natomiast kolumny położonych wyżej świątyń złociły się w blasku i na błękicie. Leżące niżej zrzucały wydłużone cienie na marmurowe płyty, — wszędzie zaś było ich tak pełno, że oczy gubiły się wśród nich jak w lesie. Zdawało się, że tym budowlom i kolumnom aż ciasno koło siebie. Piętrzyły się jedne nad drugiemi, biegły w prawo i w lewo, wdzierały się na wzgórza, tuliły się do zamkowego muru lub jedne do drugich, na podobieństwo większych i mniejszych, grubszych i cieńszych, złotawych i białych pni, to rozkwitłych pod architrawami, kwiatami akantu, to pozawijanych w jońskie rogi, to zakończonych prostym doryckim kwadratem. Nad owym lasem błyszczały barwne

tryglify, z tympanów wychylały się rzeźbione postaci bogów, ze szczytów uskrzydlone złote kwadrygi zdawały się chcieć ulecieć w powietrze, w ów błękit, który zwieszał się spokojnie nad owem zbitem miastem świątyń. W środku rynku i po brzegach płynęła rzeka ludzka: tłumy przechadzały się pod łukami bazyliki Juliusza Cezara, tłumy siedziały na schodach Kastora i Polluxa i kręciły się koło świątyńki Westy, podobne na tem wielkiem marmurowem tle do różnokolorowych rojów motyli lub żuków. Z góry, przez ogromne stopnie, od strony świątyni, poświęconej „Jovi optimo, maximo“, napływały nowe fale; przy Rostrach słuchano jakichś przygodnych mówców; tu i owdzie słychać było okrzyki przekupniów, sprzedających owoce, wino lub wodę, pomieszaną z figowym sokiem; oszustów, polecających cudowne lekarstwa, wróżbitów, odgadywaczy ukrytych skarbów, tłómaczów snów. Gdzieniegdzie z gwarem rozmów i nawoływań mieszały się dźwięki sistry, egipskiej sambuki lub greckich fletów. Gdzieniegdzie chorzy, pobożni lub stroskani, nieśli do świątyń ofiary. Wśród ludzi, na kamiennych płytach, zbierały się chciwe na ofiarne ziarno, podobne do ruchomych, pstrych i ciemnych plam stadka gołębi, to wzbijając się chwilowo z rozgłośnym szumem skrzydeł w górę, to znów zapadając na opróżnione przez tłum miejsca. Od czasu do czasu gromady ludzkie rozstępowały się przed lektykami, w których widać było wykwintne twarze kobiece lub głowy senatorów i rycerzy, o rysach jakby zakrzepłych i wyniszczonych życiem. Różnojęzyczna ludność powtarzała w głos ich imiona z dodatkiem przezwisk, szyderstw lub pochwał. Między bezładnemi grupami przeciskały się czasem, postępujące miarowym krokiem oddziały żołnierzy lub wigilów, czuwających nad ulicznym porządkiem. Język grecki dawał się słyszeć naokół równie często, jak łaciński.

Winicyusz, który dawno nie był w mieście, patrzył z pewną ciekawością na owo rojowisko ludzkie i na owo „Forum Romanum“, zarazem panujące nad falą świata i zarazem tak nią zalane, że Petroniusz, który odgadł myśl towarzysza, nazwał je „gniazdem Kwirytów — bez Kwirytów“. Istotnie, miejscowy żywioł ginął niemal w tym tłumie, złożonym ze wszystkich ras i narodów. Widać tu było Etyopów, olbrzymich jasnowłosych ludzi z dalekiej północy, Brytanów,

Gallów i Germanów, skośnookich mieszkańców Sericum, ludzi z nad Eufratu i ludzi z nad Indu, o brodach barwionych na kolor cegły, Syryjczyków z nad brzegów Orontu, o oczach czarnych i słodkich; wyschniętych, jak kość, mieszkańców pustyń arabskich, Żydów z zapadłą piersią, Egipcyan z wiecznym obojętnym uśmiechem w twarzach, i Numidów, i Afrów; Greków z Hellady, którzy na równi z Rzymianami władali nad miastem, ale władali wiedzą, sztuką, rozumem i szalbierstwem, Greków z wysp i z Azyi Mniejszej, i z Egiptu, i z Italii, i z Narbońskiej Galii. W tłumie niewolników z podziurawionemi uszami, nie brakło i wolnej, próżniaczej ludności, którą Cezar bawił, żywił, a nawet odziewał, — i wolnych przybyszów, których do olbrzymiego miasta zwabiła łatwość życia i widoki Fortuny; nie brakło przekupniów i kapłanów Serapisa z palmowemi gałęziami w ręku, i kapłanów Izydy, na której ołtarze znoszono więcej ofiar, niż do świątyni kapitolińskiego Jowisza, — i kapłanów Kibeli, noszących w ręku złote kiście ryżu, i kapłanów wędrownych bóstw, i tanecznic wschodnich z jaskrawemi mitrami, i sprzedających amulety, i poskromców wężów i chaldejskich magów, wreszcie ludzi bez wszelkich zajęć, którzy co tydzień zgłaszali się do śpichlerzy nadtybrzańskich po zboże, bili się o loteryjne bilety w cyrkach, spędzali noce w walących się ustawicznie w zatybrzańskiej dzielnicy domach, a dnie słoneczne i ciepłe w kryptoportykach, w brudnych garkuchniach Suburry, na moście Milwiusza lub przed „insulami“ możnych, gdzie im od czasu do czasu wyrzucano resztki ze stołu niewolników.

Petroniusz dobrze był znany przez te tłumy. O uszy Winicyusza obijało się ustawicznie: „Hic est!“ — „to on!“ — Lubiono go za hojność, a zwłaszcza popularność jego wzrosła od czasu, gdy dowiedziano się, że przemawiał przed Cezarem przeciw wyrokowi śmierci, wydanemu na całą „familię“, to jest na wszystkich bez różnicy płci i wieku niewolników prefekta Pedaniusza Sekunda, za to, iż jeden z nich zabił tego okrutnika w chwili rozpaczy. Petroniusz powtarzał wprawdzie głośno, że mu to było wszystko jedno, i że przemawiał do Cezara tylko prywatnie, jako arbiter elegantiarum, którego estetyczne uczucia oburzała owa barbarzyńska rzeź, godna jakichś Scytów, nie Rzymian. Niemniej lud, który wzburzył się z powodu tej rzezi, kochał od tej pory Petroniusza.

Lecz on o to nie dbał. Pamiętał, że ten lud kochał także i Brytanika, którego Nero otruł, i Agrypinę, którą kazał zamordować — i Oktawię, którą na Pandataryi uduszono, po uprzedniem otwarciu jej żył w gorącej parze — i Rubeliusza Plauta, który został wygnany, i Trazeasza, któremu każde jutro mogło przynieść wyrok śmierci. Miłość ludu mogła być uważana raczej za złą wróżbę, a sceptyczny Petroniusz był zarazem przesądny. Tłumem gardził podwójnie: i jako arystokrata i jako esteta. Ludzie pachnący prażonym bobem, który nosili w zanadrzu, a przytem wiecznie schrypnięci i spotnieli od gry w morę po rogach ulic i perystylach, nie zasługiwali w jego oczach na miano ludzi.

Nie odpowiadając też wcale ani na oklaski, ani na posyłane tu i owdzie od ust pocałunki, opowiadał Markowi sprawę Pedaniusza, drwiąc przytem ze zmienności ulicznej hałastry, która, nazajutrz po groźnem wzburzeniu, oklaskiwała Nerona, przejeżdżającego do świątyni Jowisza Statora. Lecz przed księgarnią Awirnusa kazał się zatrzymać i, wysiadłszy, zakupił ozdobny rękopism, który oddał Winicyuszowi.

— To podarek dla ciebie — rzekł.

— Dzięki! — odrzekł Winicyusz. Poczem spojrzawszy na tytuł, zapytał:

— Satyricon? To coś nowego. Czyje to?

— Moje. Ale ja nie chcę iść śladem Ruffinusa, którego historyę miałem ci opowiedzieć, ani też śladem Fabrycyusza Wejenta, dlatego nikt o tem nie wie, ty zaś nikomu nie mów.

— A mówiłeś, że nie piszesz wierszy — rzekł Winicyusz, zaglądając do środka — tu zaś widzę prozę, gęsto nimi przeplataną.

— Jak będziesz czytał, zwróć uwagę na ucztę Trymalchiona. Co do wierszy — zbrzydły mi od czasu, jak Nero pisze epos. Witeliusz, widzisz, chcąc sobie ulżyć, używa pałeczki z kości słoniowej, którą zasuwa sobie w gardło; inni posługują się piórami flamingów, maczanemi w oliwie lub odwarze macierzanki — ja zaś odczytuję poezye Nerona — i skutek jest natychmiastowy. Mogę je potem chwalić, jeśli nie z czystem sumieniem, to z czystym żołądkiem.

To rzekłszy, zatrzymał znów lektykę przed złotnikiem Idomeneum i, załatwiwszy sprawę gemm, kazał nieść lektykę wprost do domu Aulusa.

— Po drodze opowiem ci na dowód, co jest miłość własna autorska, historyę Ruffinusa — rzekł.

Lecz, zanim ją rozpoczął, skręcili na Vicus Patricius i niebawem znaleźli się przed mieszkaniem Aulusa. Młody i tęgi „ianitor“ otworzył im drzwi, wiodące do ostium, nad któremi sroka, zamknięta w klatce, witała ich wrzaskliwie słowem: „salve!“.

Po drodze z drugiej sieni, zwanej ostium, do właściwego atrium, Winicyusz rzekł:

— Czyś zauważył, że odźwierny tu bez łańcuchów?

— To dziwny dom — odpowiedział półgłosem Petroniusz. — Pewno ci wiadomo, że Pomponię Grecynę podejrzewano o wyznawanie wschodniego zabobonu, polegającego na czci jakiegoś Chrestosa. Zdaje się, że przysłużyła się jej Kryspinilla, która nie może darować Pomponii, że jeden mąż wystarczył jej na całe życie. — Univira!... Łatwiej dziś w Rzymie o półmisek rydzów z Noricum. Sądzono ją sądem domowym...

— Masz słuszność, że to dziwny dom. Później opowiem ci, com tu słyszał i widział.

Tymczasem znaleźli się w atrium. Przełożony nad niem niewolnik, zwany atriensis, wysłał nomenklatora, by oznajmił gości, jednocześnie zaś służba podsunęła im krzesła i stołeczki pod nogi. Petroniusz, który, wyobrażając sobie, że w tym surowym domu panuje wieczny smutek, nigdy w nim nie bywał, spoglądał naokół z pewnem zdziwieniem i jakby z poczuciem zawodu, albowiem atrium czyniło raczej wesołe wrażenie. Z góry, przez duży otwór, wpadał snop jasnego światła, łamiącego się w tysiące skier na wodotrysku. Kwadratowa sadzawka z fontanną w środku, przeznaczona do przyjmowania dżdżu, wpadającego w czasie niepogody przez górny otwór, a zwana impluvium, otoczona była anemonami i liliami. Szczególnie w liliach widocznie kochano się w domu, gdyż były ich całe kępy, i białych, i czerwonych, i wreszcie szafirowych irysów, których delikatne płatki były jakby posrebrzone od wodnego pyłu. Wśród mokrych mchów, w których ukryte były donice z liliami, i wśród pęków liści, widniały bronzowe posążki, przedstawiające dzieci i ptactwo wodne. W jednym rogu odlana również z bronzu łania, pochylała swą zaśniedziałą od wilgoci, zielonawą głowę ku wodzie, jakby

się chciała napić. Podłoga atrium była z mozaiki; ściany, częścią wykładane czerwonym marmurem, częścią malowane w drzewa, ryby, ptaki i gryfy, nęciły oczy grą kolorów. Odrzwia do bocznych izb zdobne były żółwiowcem lub nawet kością słoniową; przy ścianach między drzwiami, stały posągi przodków Aulusa. Wszędy znać było spokojny dostatek, daleki od zbytku, ale szlachetny i pewny siebie.

Petroniusz, który mieszkał nierównie okazalej i wykwintniej, nie mógł tu jednak znaleźć żadnej rzeczy, którąby raziła jego smak — i właśnie zwrócił się z tą uwagą do Winicyusza, gdy wtem niewolnik „velarius" odsunął kotarę, dzielącą atrium od tablinum, i w głębi domu ukazał się nadchodzący śpiesznie Aulus Plaucyusz.

Był to człowiek zbliżający się do wieczornych dni życia, z głową pobieloną szronem, ale czerstwy, o twarzy energicznej, nieco za krótkiej, ale też nieco podobnej do głowy orła. Tym razem malowało się na niej pewne zdziwienie, a nawet niepokój, z powodu niespodziewanego przybycia Neronowego przyjaciela, towarzysza i zausznika.

Lecz Petroniusz był nadto światowcem i nadto bystrym człowiekiem, by tego nie zauważyć, zatem, po pierwszych powitaniach, oznajmił z całą wymową i swobodą, na jaką było go stać, że przychodzi podziękować za opiekę, jakiej w tym domu doznał syn jego siostry, i że jedynie wdzięczność jest powodem jego odwiedzin, do których zresztą ośmieliła go dawna z Aulusem znajomość.

Aulus zapewnił go ze swojej strony, iż miłym jest gościem, a co do wdzięczności, oświadczył, że sam się do niej poczuwa, chociaż zapewne Petroniusz nie domyśla się jej powodów.

Jakoż Petroniusz nie domyślał się ich rzeczywiście. Próżno, podniósłszy swe orzechowe oczy w górę, biedził się, by sobie przypomnieć najmniejszą usługę, oddaną Aulusowi lub komukolwiek. Nie przypomniał sobie żadnej, prócz tej chyba, którą zamierzał wyświadczyć Winicyuszowi. Mimowoli, mogło się wprawdzie coś podobnego zdarzyć, ale tylko mimowoli.

— Kocham i cenię bardzo Wespazyana — odrzekł Aulus — któremu uratowałeś życie, gdy raz zdarzyło mu się nieszczęście usnąć przy słuchaniu wierszy Cezara.

— Zdarzyło mu się szczęście — odrzekł Petroniusz — bo ich nie słyszał, nie przeczę jednak, że mogło się ono skończyć nieszczęściem. Miedzianobrody chciał mu koniecznie posłać centuryona z przyjacielskiem zleceniem, by sobie otworzył żyły.

— Ty zaś, Petroniuszu, wyśmiałeś go.

— Tak jest, a raczej przeciwnie: powiedziałem mu, że jeśli Orfeusz umiał pieśnią usypiać dzikie bestye, jego tryumf jest równy, skoro potrafił uśpić Wespazyana. Ahenobarbowi można przyganiać pod warunkiem, żeby w małej przyganie mieściło się wielkie pochlebstwo. Nasza miłościwa Augusta, Poppea, rozumie to doskonale.

— Niestety, takie to czasy — odrzekł Aulus. — Brak mi na przodzie dwóch zębów, które mi wybił kamień, rzucony ręką Brytona, i przez to mowa moja stała się świszczącą, a jednak najszczęśliwsze chwile mego życia spędziłem w Brytanii...

— Bo zwycięskie — dorzucił Winicyusz.

Lecz Petroniusz, zląkłszy się, by stary wódz nie zaczął opowiadać o dawnych swych wojnach, zmienił przedmiot rozmowy. Oto w okolicy Praeneste wieśniacy znaleźli martwe wilcze szczenię o dwu głowach, w czasie zaś onegdajszej burzy piorun oberwał narożnik w świątyni Luny, co było rzeczą, ze względu na spóźnioną jesień, niesłychaną. Niejaki też Kotta, który mu to opowiadał, dodawał zarazem, iż kapłani tejże świątyni przepowiadają z tego powodu upadek miasta, lub co najmniej ruinę wielkiego domu, która tylko nadzwyczajnemi ofiarami da się odwrócić.

Aulus, wysłuchawszy opowiadania, wyraził zdanie, że takich oznak nie można jednak lekceważyć. Że bogowie mogą być zgniewani przebraną miarą zbrodni, w tem nie masz nic dziwnego — a w takim razie ofiary błagalne są zupełnie na miejscu.

Na to Petroniusz rzekł:

— Twój dom, Plaucyuszu, nie jest wielki, choć mieszka w nim wielki człowiek; mój jest wprawdzie za duży na tak lichego właściciela, ale również mały. A jeśli chodzi o ruinę jakiegoś, tak wielkiego, jak naprzykład „domus transitoria“, to czy opłaci się nam składać ofiary, by tę ruinę odwrócić?

Plaucyusz nie odpowiedział na to pytanie, która to ostrożność dotknęła nawet nieco Petroniusza, albowiem, przy całym swym braku poczucia różnicy między złem a dobrem, nie był nigdy donosicielem, i można z nim było rozmawiać z zupełnem bezpieczeństwem. Zaczem zmienił znów rozmowę i począł wychwalać mieszkanie Plaucyuszowe, oraz dobry smak, panujący w domu.

— Stara to siedziba — odrzekł Plaucyusz — w której nic nie zmieniłem od czasu, jakem ją odziedziczył.

Po odsunięciu kotary, dzielącej atrium od tablinum, dom otwarty był na przestrzał, tak że przez tablinum, przez następny perystyl i leżącą za nim salę, zwaną oecus, wzrok biegł aż do ogrodu, który widniał zdala, jak jasny obraz, ujęty w ciemną ramę. Wesołe dziecinne śmiechy dolatywały stamtąd do atrium.

— Ach, wodzu — rzekł Petroniusz — pozwól nam posłuchać z blizka tego szczerego śmiechu, o który dziś tak trudno.

— Chętnie — odrzekł, powstając, Plaucyusz. — To mój mały Aulus i Ligia bawią się w piłki. Ale, co do śmiechu, mniemam, Petroniuszu, że całe życie schodzi ci na nim.

— Życie jest śmiechu warte, więc się śmieję — odpowiedział Petroniusz — tu jednak śmiech brzmi inaczej.

— Petroniusz — dodał Winicyusz — nie śmieje się zresztą po całych dniach, ale raczej po całych nocach.

Tak rozmawiając, przeszli przez długość domu i znaleźli się w ogrodzie, gdzie Ligia i mały Aulus bawili się piłkami, które niewolnicy, wyłącznie do tej zabawy przeznaczeni, zwani spheristae, zbierali z ziemi i podawali im do rąk. Petroniusz rzucił szybkie, przelotne spojrzenie na Ligię, mały Aulus, ujrzawszy Winicyusza, przybiegł się z nim witać, ów zaś, przechodząc, schylił głowę przed piękną dziewczyną, która stała z piłką w ręku, z włosem nieco rozwianym, trochę zdyszana i zarumieniona.

Lecz w ogrodowem triclinium, zacienionem przez bluszcze, winograd i kozie ziele, siedziała Pomponia Grecyna, poszli się więc z nią witać. Petroniuszowi, jakkolwiek nie uczęszczał do domu Plaucyuszów, była ona znajoma, albowiem widywał ją u Antystyi, córki Rubeliusza Plauta, a dalej w domu Seneków i u Poliona. Nie mógł też oprzeć się pewnemu po-

dziwowi, jakim przejmowała go jej twarz smutna, ale pogodna, szlachetność jej postawy, ruchów, słów. Pomponia maciła do tego stopnia jego pojęcia o kobietach, że ów zepsuty do szpiku kości i pewny siebie, jak nikt w całym Rzymie, człowiek, nietylko odczuwał dla niej pewien rodzaj szacunku, ale nawet tracił poniekąd pewność siebie. I teraz oto, dziękując jej za opiekę nad Winicyuszem, wtrącał jakby mimowoli wyraz: „domina", który nigdy nie przychodził mu na myśl, gdy naprzykład rozmawiał z Kalwią, Kryspinillą, ze Skrybonią, z Waleryą, Soliną i innemi niewiastami z wielkiego świata. — Po przywitaniu i złożeniu podzięki, począł też zaraz narzekać, że Pomponię widuje się tak rzadko, że jej nie można spotkać ni w cyrku, ni w amfiteatrze, na co odpowiedziała mu spokojnie, położywszy dłoń na dłoni męża:

— Starzejemy się i oboje lubimy coraz więcej domowe zacisze.

Petroniusz chciał przeczyć, lecz Aulus Plaucyusz dodał świszczącym głosem:

— I coraz nam bardziej obco między ludźmi, którzy nawet naszych bogów rzymskich greckiemi nazywają imionami.

— Bogowie stali się od pewnego czasu tylko retorycznemi figurami — odrzekł niedbale Petroniusz — że zaś retoryki uczyli nas Grecy, przeto mnie samemu łatwiej naprzykład powiedzieć: Hera, niż Juno.

To rzekłszy, zwrócił oczy na Pomponię, jakby na znak, że wobec niej żadne inne bóstwo nie mogło mu przyjść na myśl, a następnie jął przeczyć temu, co mówiła o starości: „Ludzie starzeją się wprawdzie prędko, ale tacy, którzy żyją zgoła innym życiem, a oprócz tego są twarze, o których Saturn zdaje się zapominać". — Petroniusz mówił to z pewną nawet szczerością, albowiem Pomponia Grecyna, jakkolwiek schodziła z południa życia, zachowała niezwykłą świeżość cery, a że głowę miała małą i twarz drobną, chwilami więc, mimo swej ciemnej sukni, mimo powagi i smutku, czyniła wrażenie kobiety zupełnie młodej.

Tymczasem mały Aulus, który podczas pobytu Winicyusza w domu zaprzyjaźnił się był z nim nadzwyczajnie, zbliżywszy się, począł go zapraszać do gry w piłkę. Za chłopcem weszła do triclinium i Ligia. Pod firanką bluszczów, ze światełkami, drgającemi na twarzy, wydała się teraz Pe-

troniuszowi ładniejszą, niż na pierwszy rzut oka, a istotnie podobną do jakiejś nimfy. Że zaś nie przemówił do niej dotąd, więc podniósł się, pochylił przed nią głowę i, zamiast zwykłych wyrazów powitania, począł cytować słowa, któremi Odys powitał Nauzykaę:

„Nie wiem, czyliś jest bóstwem, czy panną śmiertelną,
„Lecz jeśliś jest mieszkanką ziemskiego padołu,
„Błogosławiony ojciec z matką twą pospołu,
„Błogosławieni bracia . . . .

Nawet Pomponii podobała się wykwintna grzeczność tego światowca. Co do Ligii, słuchała zmieszana i zapłoniona, nie śmiąc oczu podnieść. Lecz stopniowo w kątach jej ust począł drgać swawolny uśmiech, na twarzy znać było walkę między dziewczęcem zawstydzeniem a chęcią odpowiedzi — i widocznie chęć ta przemogła, spojrzawszy bowiem nagle na Petroniusza, odpowiedziała mu słowami tejże Nauzykai, cytując je jednym tchem i trochę jak wydawaną lekcyę:

„Nie byle kto ty jesteś — i nie byle głowa!
„ . . . .

Poczem, zawróciwszy w miejscu, uciekła, jak ucieka spłoszony ptak.

Teraz na Petroniusza przyszła kolej zdziwienia — nie spodziewał się bowiem usłyszeć homerowego wiersza w ustach dziewczyny, o której barbarzyńskiem pochodzeniu był przez Winicyusza uprzedzony. Spojrzał też pytającym wzrokiem na Pomponię, lecz ta nie mogła mu dać odpowiedzi, patrzyła bowiem w tej chwili, uśmiechając się, na dumę, jaka odbiła się w obliczu starego Aulusa.

On zaś nie umiał tej dumy ukryć. Naprzód, przywiązał się był do Ligii, jak do własnego dziecka, a powtóre, mimo swych staro-rzymskich uprzedzeń, które kazały mu przeciw greczyznie i jej rozpowszechnieniu piorunować, uważał ją za szczyt towarzyskiej ogłady. Sam nie mógł się jej nigdy dobrze nauczyć, nad czem skrycie bolał, rad był więc teraz, że temu wytwornemu panu, a zarazem i literatowi, który gotów był uważać dom jego za barbarzyński, odpowiedziano w nim językiem i wierszem Homera.

— Jest w domu pedagogus, Grek — rzekł, zwracając się do Petroniusza — który uczy naszego chłopaka, a dziewczyna przysłuchuje się lekcyom. Pliszka to jeszcze, ale miła pliszka, do której nawykliśmy oboje.

Petroniusz patrzył teraz poprzez skręty bluszczów i kapryfolium na ogród i na bawiącą się trójkę. Winicyusz zrzucił togę i w tunice tylko podbijał w górę piłkę, którą stojąca naprzeciw z wzniesionemi ramionami Ligia usiłowała schwytać. Dziewczyna na pierwszy rzut oka nie uczyniła wielkiego na Petroniuszu wrażenia. Wydała mu się zbyt szczupła. Lecz od chwili, gdy w triclinium spojrzał na nią bliżej, pomyślał sobie, że tak jednak mogłaby wyglądać jutrzenka — i, jako znawca, zrozumiał, że jest w niej coś niezwykłego. Wszystko zauważył i wszystko ocenił: więc i twarz różową i przeźroczą, i świeże usta, jakby do pocałunku złożone, i niebieskie, jak lazur mórz, oczy, i alabastrową białość czoła, i bujność ciemnych włosów, przeświecających na skrętach odblaskiem bursztynu albo korynckiej miedzi — i lekką szyję, i „boską“ spadzistość ramion, i całą postać giętką, smukłą, młodą młodością maju i świeżo rozkwitłych kwiatów. Zbudził się w nim artysta i czciciel piękności, który odczuł, że pod posągiem tej dziewczyny możnaby podpisać: „wiosna“. — Nagle przypomniał sobie Chryzotemis i wziął go pusty śmiech. Wydała mu się, razem ze swoim złotym pudrem na włosach i uczernionemi brwiami, bajecznie zwiędłą, czemś w rodzaju pożółkłej i roniącej płatki róży. A jednak tej Chryzotemis zazdrościł mu cały Rzym. Następnie przypomniał sobie Poppeę — i owa przesławna Poppea również wydała mu się bezduszną woskową maską. W tej dziewczynie o tanagryjskich kształtach była nietylko wiosna — była i promienista „Psyche“, która przeświecała przez jej różane ciało, jak promyk prześwieca przez lampę.

— Winicyusz ma słuszność — pomyślał — a moja Chryzotemis jest stara, stara... jak Troja!

Poczem zwrócił się do Pomponii Grecyny — i wskazawszy na ogród, rzekł:

— Rozumiem teraz, domina, że wobec takich dwojga, wolicie dom od uczt na Palatynie i cyrku.

— Tak — odpowiedziała, zwracając oczy w stronę małego Aulusa i Ligii.

A stary wódz począł opowiadać historyę dziewczyny i to, co słyszał przed laty od Ateliusza Histera o siedzącym w mrokach północy narodzie Ligiów.

Tamci zaś skończyli grać w piłkę i przez czas jakiś chodzili po piasku ogrodowym, odbijając na czarnem tle mirtów i cyprysów, jak trzy białe posągi. Ligia trzymała małego Aulusa za rękę. Pochodziwszy nieco, siedli na ławce przy „piscynie", zajmującej środek ogrodu. Lecz po chwili Aulus zerwał się, by płoszyć ryby w przeźroczej wodzie, Winicyusz zaś prowadził dalej rozmowę, zaczętą w czasie przechadzki:

— Tak jest — mówił nizkim, drgającym głosem. — Zaledwiem zrzucił pretekstę, wysłano mnie do azyatyckich legii. Miastam nie zaznał — ani życia, ani miłości. Umiem na pamięć trochę Anakreonta i Horacyusza, ale nie potrafiłbym tak, jak Petroniusz, mówić wierszy wówczas, gdy rozum niemieje z podziwu i własnych słów znaleźć nie może. Chłopcem będąc, chodziłem do szkoły Muzoniusza, który mawiał nam, że szczęście polega na tem, by chcieć tego, czego chcą bogi — a zatem od naszej woli zależy. Ja jednak myślę, że jest inne, większe i droższe, które od woli nie zależy, bo je tylko miłość dać może. — Szukają tego szczęścia sami bogowie, więc i ja, o Ligio, którym nie zaznał dotąd miłości, idąc w ich ślady, szukam także tej, którąby mi szczęście dać chciała...

Umilkł — i przez czas jakiś słychać było tylko lekki plusk wody, w którą mały Aulus ciskał kamyki, płosząc nimi ryby. — Po chwili jednak Winicyusz znów mówić począł, głosem jeszcze miększym i cichszym:

— Wszak znasz Wespazyanowego syna, Tytusa? Mówią, że zaledwie z chłopięcego wieku wyszedłszy, pokochał tak Berenikę, iż omal tęsknota nie wyssała mu życia... Tak i jabym umiał pokochać, o Ligio!... Bogactwo, sława, władza — czczy dym! marność! Bogaty znajdzie bogatszego od siebie, sławnego zaćmi cudza większa sława, potężnego potężniejszy pokona... Lecz zali sam Cezar, zali który bóg nawet, może doznawać większej rozkoszy lub być szczęśliwszym, niż prosty śmiertelnik, w chwili, gdy mu przy piersi dyszy pierś droga, lub gdy całuje usta kochane... Więc miłość z bogami nas równa — o Ligio!...

A ona słuchała w niepokoju, w zdziwieniu i zarazem tak, jakby słuchała głosu greckiej fletni lub cytry. Zdawało się jej chwilami, że Winicyusz śpiewa jakąś pieśń dziwną, która sączy się w jej uszy, porusza w niej krew, a zarazem przejmuje serce omdleniem, strachem i jakąś niepojętą radością... Zdawało jej się też, że on mówi coś takiego, co w niej już było poprzednio, ale z czego nie umiała sobie zdać sprawy. Czuła, że on w niej coś budzi, co drzemało dotąd, i że w tej chwili, zamglony sen zmienia się w kształt coraz wyraźniejszy, bardziej upodobany i śliczny.

Tymczasem słońce przetoczyło się dawno za Tyber i stanęło nizko nad Janikulskiem wzgórzem. Na nieruchome cyprysy padało czerwone światło — i całe powietrze było niem przesycone. Ligia podniosła swoje błękitne, jakby rozbudzone ze snu, oczy na Winicyusza i nagle — w wieczornych odblaskach, pochylony nad nią, z prośbą drgającą w oczach, wydał się jej piękniejszy od wszystkich ludzi i od wszystkich greckich i rzymskich bogów, których posągi widywała na frontonach świątyń. On zaś objął zlekka palcami jej rękę powyżej kostki i pytał:

— Zali ty nie odgadujesz, Ligio, czemu ja mówię to tobie?...

— Nie! — odszeptała tak cicho, że Winicyusz zaledwie dosłyszał.

Lecz nie uwierzył jej, i przyciągając coraz silniej jej rękę, byłby ją przyciągnął do serca, bijącego jak młotem, pod wpływem żądzy, rozbudzonej przez cudną dziewczynę — i byłby wprost do niej zwrócił palące słowa, gdyby nie to, że na ścieżce, ujętej w ramy mirtów, ukazał się stary Aulus, który zbliżywszy się, rzekł:

— Słońce zachodzi, więc strzeżcie się wieczornego chłodu i nie żartujcie z Libityną...

— Nie — odrzekł Winicyusz — nie wdziałem dotąd togi i nie poczułem chłodu.

— A oto już ledwie pół tarczy z za wzgórz wygląda — odpowiedział stary wojownik. — Bogdaj to słodki klimat Sycylii, gdzie wieczorami lud zbiera się na rynkach, aby chóralnym śpiewem żegnać zachodzącego Feba.

I zapomniawszy, że przed chwilą sam ostrzegał przed Libityną, począł opowiadać o Sycylii, gdzie miał swe posia-

dłości i duże gospodarstwo rolne, w którem się kochał. Wspomniał też, że nieraz przychodziło mu na myśl przenieść się do Sycylii i tam dokonać spokojnie życia. Dość ma zimowych szronów ten, komu zimy ubieliły już głowę. Jeszcze liść nie opada z drzew i nad miastem śmieje się niebo łaskawie, ale gdy winograd pożółknie, gdy śnieg spadnie w górach Albańskich, a bogowie nawiedzą przejmującym wichrem Kampanię, wówczas kto wie, czy z całym domem nie przeniesie się do swojej zacisznej wiejskiej sadyby.

— Miałżebyś chęć opuścić Rzym, Plaucyuszu? — spytał z nagłym niepokojem Winicyusz.

— Chęć tę mam dawno — odpowiedział Aulus — bo tam spokojniej i bezpieczniej.

I jął znów wychwalać swoje sady, stada, dom ukryty w zieleni i wzgórza, porosłe tymem i cząbrami, wśród których brzęczą roje pszczół. Lecz Winicyusz nie zważał na tę bukoliczną nutę — i, myśląc tylko o tem, że może utracić Ligię, spoglądał w stronę Petroniusza, jakby od niego jedynie wyglądał ratunku.

Tymczasem Petroniusz, siedząc przy Pomponii, lubował się widokiem zachodzącego słońca, ogrodu i stojących przy sadzawce ludzi. Białe ich ubrania na ciemnem tle mirtów świeciły złotem od wieczornych blasków. Na niebie zorza poczęła zabarwiać się purpurą, fioletem i mienić się nakształt opalu. Strop nieba stał się liliowy. Czarne sylwetki cyprysów uczyniły się jeszcze wyrazistsze, niż w dzień biały, zaś w ludziach, w drzewach i w całym ogrodzie zapanował spokój wieczorny.

Petroniusza uderzył ten spokój i uderzył go zwłaszcza w ludziach. W twarzy Pomponii, starego Aulusa, ich chłopca i Ligii — było coś, czego nie widywał w tych twarzach, które go codzień, a raczej co noc otaczały: było jakieś światło, jakieś ukojenie i jakaś pogoda, płynąca wprost z takiego życia, jakiem tu wszyscy żyli. I z pewnem zdziwieniem pomyślał, że jednak mogła istnieć piękność i słodycz, których on, wiecznie goniący za pięknością i słodyczą, nie zaznał. Myśli tej nie umiał ukryć w sobie i, zwróciwszy się do Pomponii, rzekł:

— Rozważam w duszy, jak odmienny jest wasz świat od tego świata, którym włada nasz Nero.

Ona zaś podniosła swoją drobną twarz ku zorzy wieczornej i odrzekła z prostotą:

— Nad światem włada nie Nero — ale Bóg.

Nastała chwila milczenia. W pobliżu triclinium dały się słyszeć w alei kroki starego wodza, Winicyusza, Ligii i małego Aula — lecz, nim nadeszli, Petroniusz spytał jeszcze:

— A więc ty wierzysz w bogi, Pomponio?

— Wierzę w Boga, który jest jeden, sprawiedliwy i wszechmocny — odpowiedziała żona Aula Plaucyusza.

ROZDZIAŁ III.

— Wierzy w Boga, który jest jeden, wszechmocny i sprawiedliwy, — powtórzył Petroniusz w chwili, gdy znów znalazł się w lektyce sam na sam z Winicyuszem. — Jeśli jej Bóg jest wszechmocny, tedy rządzi życiem i śmiercią; a jeśli jest sprawiedliwy tedy słusznie zsyła śmierć. Czemu więc Pomponia nosi żałobę po Julii? Żałując Julii, przygania swemu Bogu. Muszę to rozumowanie powtórzyć naszej miedzianobrodej małpie, uważam bowiem, że w dyalektyce dorównywam Sokratesowi. Co do kobiet, zgadzam się, że każda posiada trzy lub cztery dusze, ale żadna nie ma duszy rozumnej. Niechby Pomponia rozmyślała sobie z Seneką lub z Kornutusem nad tem, czem jest ich wielki Logos... Niechby razem wywoływali cienie Xenofanesa, Parmenida, Zenona i Platona, które nudzą się tam w Kimeryjskich krainach, jak czyże w klatce. Ja chciałem mówić z nią i z Plaucyuszem o czem innem. Na święty brzuch egipskiej Izys! Gdybym im tak po prostu powiedział, pocośmy przyszli, przypuszczam, że cnota ich zadźwięczałaby, jak miedziana tarcza, w którą ktoś pałką uderzy. I nie śmiałem! Dasz wiarę, Winicyuszu, żem nie śmiał! Pawie są piękne ptaki, ale krzyczą zbyt przeraźliwie. Zląkłem się krzyku. Muszę jednak pochwalić twój wybór. Istna „różanopalca Jutrzenka“... I wiesz, co mi także przypomniała? — Wiosnę! — i to nie naszą w Italii, gdzie ledwie tu i owdzie jabłoń pokryje się kwiatem, a oliwniki szarzeją, jak szarzały, ale tę wiosnę, którą niegdyś widziałem w Helwecyi, młodą, świeżą, jasno-zieloną... Na tę bladą Selenę — nie dziwię ci

się, Marku — wiedz jednak, że Dyanę miłujesz, i że Aulus i Pomponia gotowi cię rozszarpać, jak niegdyś psy rozszarpały Akteona.

Winicyusz, nie podnosząc głowy, przez chwilę milczał, poczem jął mówić przerywanym przez żądzę głosem:

— Pragnąłem jej poprzednio, a teraz pragnę jeszcze więcej. Gdym objął jej rękę, owionął mnie ogień... Muszę ją mieć. Gdybym był Zeusem, otoczyłbym ją chmurą, jak on otoczył Io, lub spadłbym na nią dżdżem, jak on spadł na Danae. Chciałbym całować jej usta, aż do bólu! Chciałbym słyszeć jej krzyk w moich ramionach. Chciałbym zabić Aula i Pomponię, a ją porwać i zanieść na ręku do mego domu. Nie będę dziś spał. Rozkażę ćwiczyć którego z niewolników i będę słuchał jego jęków...

— Uspokój się — rzekł Petroniusz. — Masz zachcianki cieśli z Suburry.

— Wszystko mi jedno. Muszę ją mieć. Udałem się do ciebie po radę, lecz jeśli ty jej nie znajdziesz, znajdę ją sam... Aulus uważa Ligię za córkę, czemużbym ja miał patrzeć na nią, jak na niewolnicę? Więc skoro niema innej drogi, niechże oprzędzie drzwi mego domu, niech je namaści wilczym tłuszczem i niechaj siędzie, jako żona, przy mojem ognisku.

— Uspokój się, szalony potomku konsulów. Nie po to sprowadzamy barbarzyńców na sznurach za naszymi wozami, byśmy mieli zaślubiać ich córki. Strzeż się ostateczności. Wyczerpnij proste uczciwe sposoby i zostaw sobie i mnie czas do namysłu. Mnie także Chryzotemis wydawała się córką Jowisza, a jednak nie zaślubiłem jej — tak jak i Nero nie zaślubił Akte, choć ją czyniono córką króla Attala... Uspokój się... Pomyśl, że jeśli ona zechce opuścić Aulusów dla ciebie, oni nie mają prawa jej wstrzymać, wiedz zaś o tem, że nietylko sam gorejesz, bo i w niej Eros rozniecił płomień... Jam to widział, a mnie należy wierzyć... Miej cierpliwość. Na wszystko jest sposób, ale dziś i tak już za dużo myślałem, a to mnie nuży. Natomiast przyrzekam ci, że jutro pomyślę jeszcze o twojej miłości i chyba Petroniusz nie byłby Petroniuszem, gdyby jakiego środka nie znalazł.

Umilkli znów obaj — wreszcie po niejakim czasie Winicyusz rzekł już spokojniej:

— Dziękuję ci i niech Fortuna szczodrą ci będzie.

— Bądź cierpliwy.

— Dokąd się nieść kazałeś?

— Do Chryzotemis...

— Szczęśliwyś, że posiadasz tę, którą kochasz.

— Ja? Wiesz, co mnie jeszcze bawi w Chryzotemis? Oto, że ona mnie zdradza z moim własnym wyzwoleńcem, lutnistą Teoklesem, i myśli, że tego nie widzę. Niegdyś kochałem ją, a teraz bawią mnie jej kłamstwa i głupota. Chodź ze mną do niej. Jeśli pocznie cię bałamucić i kreślić ci litery na stole palcem, umoczonym w winie, wiedz o tem, że nie jestem zazdrosny.

I kazali się ponieść razem do Chryzotemis.

Lecz w przedsionku Petroniusz położył rękę na ramieniu Winicyusza i rzekł:

— Czekaj, zdaje mi się, że obmyśliłem sposób.

— Niech wszystkie bogi ci nagrodzą...

— Tak jest! sądzę, że środek jest nieomylny. — Wiesz co, Marku?

— Słucham cię — moja Athene...

— Oto, za kilka dni, boska Ligia będzie spożywała w twoim domu ziarno Demetry.

— Jesteś większy, niż Cezar! — zawołał z uniesieniem Winicyusz.

ROZDZIAŁ IV.

Jakoż Petroniusz dotrzymał obietnicy.

Nazajutrz, po odwiedzinach u Chryzotemis, spał wprawdzie cały dzień, ale wieczorem kazał się zanieść na Palatyn i miał z Neronem poufną rozmowę, skutkiem której, na trzeci dzień, przed domem Plaucyusza pojawił się centuryon na czele kilkunastu pretoryańskich żołnierzy.

Czasy były niepewne i straszne. Posłańcy tego rodzaju byli zarazem najczęściej zwiastunami śmierci. To też z chwilą, w której centuryon uderzył młotkiem we drzwi Aulusa, i gdy nadzorca atrium dał znać, iż w sieni znajdują się żołnierze, przerażenie zapanowało w całym domu. Rodzina wnet otoczyła starego wodza, nikt bowiem nie wątpił, że niebezpie-

czeństwo przedewszystkiem nad nim zawisło. Pomponia, objąwszy ramionami jego szyję, przytuliła się do niego ze wszystkich sił, a zsiniałe jej usta poruszały się szybko, wymawiając jakieś ciche wyrazy; Ligia, z twarzą bladą, jak płótno, całowała jego rękę; mały Aulus czepiał się togi — z korytarzy, z pokoi, leżących na piętrze i przeznaczonych dla służebnic, z czeladnej, z łaźni, ze sklepionych dolnych mieszkań, z całego domu poczęły się wysypywać roje niewolników i niewolnic. Dały się słyszeć okrzyki: „heu! heu, me miserum!" kobiety uderzyły w wielki płacz; niektóre poczęły już sobie drapać policzki, lub nakrywać głowy chustami.

Sam tylko stary wódz, przywykły od lat całych patrzeć śmierci prosto w oczy, pozostał spokojny i tylko jego krótka, orla twarz, stała się jakby z kamienia wykutą. Po chwili, uciszywszy wrzaski i rozkazawszy rozejść się służbie, rzekł:

— Puść mnie, Pomponio. Jeśli mi nadszedł kres, będziemy mieli czas się pożegnać.

I usunął ją zlekka — ona zaś rzekła:

— Bogdajby twój los był zarazem i moim — o Aulu!

Poczem, padłszy na kolana, poczęła się modlić z tą siłą, jaką jedynie bojaźń o drogą istotę dać może.

Aulus przeszedł do atrium, gdzie czekał nań centuryon. Był to stary Kajusz Hasta, dawny jego podwładny i towarzysz z wojen brytańskich.

— Witaj, wodzu — rzekł. — Przynoszę ci rozkaz i pozdrowienie Cezara — a oto są tabliczki i znak, że w jego imieniu przychodzę.

— Wdzięcznym jest Cezarowi za pozdrowienie, a rozkaz wykonam — odrzekł Aulus. — Witaj, Hasto, i mów, z jakiem zleceniem przychodzisz.

— Aulu Plaucyuszu — począł Hasta — Cezar dowiedział się, iż w domu twoim przebywa córka króla Ligiów, którą ów król jeszcze za życia boskiego Klaudyusza, oddał w ręce Rzymian, jako rękojmię, że granice imperium nigdy nie zostaną przez Ligiów naruszone. Boski Nero wdzięczny ci jest, o wodzu, za to, iżeś jej przez lat tyle dawał gościnność u siebie, lecz, nie chcąc dłużej obarczać twego domu, jak również bacząc, iż dziewica, jako zakładniczka, winna zo-

stawać pod opieką samego Cezara i senatu — rozkazuje ci ją wydać w moje ręce.

Aulus nadto był żołnierzem i nadto hartownym mężem, by wobec rozkazu pozwolić sobie na żal, na marne słowa lub skargi. Jednakże zmarszczka nagłego gniewu i bólu zjawiła mu się na czole. Przed takiem zmarszczeniem brwi drżały niegdyś legie brytańskie - i nawet w tej chwili jeszcze na twarzy Hasty odbił się przestrach. Lecz obecnie, wobec rozkazu, Aulus Plaucyusz uczuł się bezbronnym. Przez czas jakiś patrzył na tabliczki, na znak, poczem podniósłszy oczy na starego centuryona, rzekł już spokojnie:

— Zaczekaj, Hasto, w atrium, zanim zakładniczka zostanie ci wydana.

I po tych słowach przeszedł na drugi koniec domu do sali, zwanej oecus, gdzie Pomponia Grecyna, Ligia i mały Aulus czekali nań w niepokoju i trwodze.

— Nikomu nie grozi śmierć ani wygnanie na dalekie wyspy — rzekł — a jednak poseł Cezara jest zwiastunem nieszczęścia. O ciebie chodzi, Ligio.

— O Ligię? — zawołała ze zdumieniem Pomponia.

— Tak jest! — odrzekł Aulus.

I zwróciwszy się do dziewczyny, począł mówić:

— Ligio, byłaś chowana w naszym domu, jak własne nasze dziecko, i oboje z Pomponią miłujemy cię, jak córkę. Ale wiesz o tem, że nie jesteś naszą córką. Jesteś zakładniczką, daną przez twój naród Rzymowi, i opieka nad tobą należy do Cezara. Otóż Cezar zabiera cię z naszego domu.

Wódz mówił spokojnie, ale jakimś dziwnym, niezwykłym głosem. Ligia słuchała słów jego, mrugając oczyma i jakby nie rozumiejąc o co chodzi, policzki Pomponii pokryły się bladością; we drzwiach, wiodących z korytarza do oecus, poczęły się znów ukazywać przerażone twarze niewolnic.

— Wola Cezara musi być spełniona — rzekł Aulus.

— Aulu! — zawołała Pomponia, obejmując ramionami dziewczynę, jakby chciała jej bronić — lepiejby dla niej było umrzeć.

Ligia zaś, tuląc się do jej piersi, powtarzała: „matko! matko!“ nie mogąc zdobyć się wśród łkań na inne słowa.

Na twarzy Aulusa znów odbił się gniew i ból.

— Gdybym był sam na świecie — rzekł ponuro — nie oddałbym jej żywej — i krewni moi dziś jeszcze mogliby złożyć za nas ofiary „Jovi liberatori"... Lecz nie mam prawa gubić ciebie i naszego dziecka, które może szczęśliwszych dożyć czasów... Udam się dziś jeszcze do Cezara i będę go błagał, by rozkaz odmienił. Czy mnie wysłucha — nie wiem. Tymczasem bądź zdrowa, Ligio — i wiedz o tem, że i ja, i Pomponia błogosławiliśmy zawsze dzień, w którym zasiadłaś przy naszem ognisku.

To rzekłszy, położył jej rękę na głowie, ale choć starał się zachować spokój, jednakże w chwili, gdy Ligia zwróciła ku niemu oczy zalane łzami, o potem, chwyciwszy jego rękę, poczęła ją do ust przyciskać, w głosie jego zadrgał żal głęboki, ojcowski.

— Żegnaj radości nasza i światło oczu naszych! — rzekł.

I prędko wyszedł z powrotem do atrium, by nie pozwolić opanować się niegodnemu Rzymianina i wodza wzruszeniu.

Tymczasem Pomponia, zaprowadziwszy Ligię do cubiculum, poczęła ją uspokajać, pocieszać, dodawać jej otuchy i mówić słowa — brzmiące dziwnie w tym domu, w którym tuż obok, w przyległej świetlicy, stało jeszcze „lararium" i ognisko, na którem Aulus Plaucyusz, wierny dawnemu obyczajowi, poświęcał ofiary bogom domowym. Oto czas próby nadszedł. Niegdyś Wirginiusz przebił pierś własnej córki, by ją wyzwolić z rąk Appiusza; dawniej jeszcze Lukrecya dobrowolnie przypłaciła życiem hańbę. Dom Cezara jest jaskinią hańby, zła, zbrodni. — „Lecz my, Ligio, wiemy dlaczego — nie mamy prawa podnieść na siebie ręki!..." Tak jest! — To prawo, pod którem obie żyją, jest inne, większe, świętsze, pozwala jednak bronić się od zła i hańby, choćby tę obronę życiem i męką przyszło przypłacić. Kto czysty wychodzi z przybytku zepsucia, tem większa jego zasługa. Ziemia jest takim przybytkiem, ale na szczęście życie jest jednem mgnieniem oka, a zmartwychwstaje się tylko z grobu, za którym nie władnie już Nero, lecz Miłosierdzie — i zamiast bólu jest radość, i zamiast łez wesele.

Poczem jęła mówić o sobie. Tak! Spokojna jest — ale i w jej piersiach nie brak ran bolesnych. Oto na oczach jej

Aulusa leży jeszcze bielmo, jeszcze nie spłynął na niego zdrój światła. Nie wolno jej także wychowywać syna w Prawdzie. — Więc gdy pomyśli, że tak może być do kresu życia, i że nadejść może chwila rozłączenia się z nimi, stokroć większego i straszniejszego, niż to czasowe, nad którem obie teraz boleją — nie umie nawet pojąć, jakim sposobem potrafi być bez nich, nawet w niebie, szczęśliwa. I wiele już nocy przepłakała, wiele spędziła na modlitwie, żebrząc o zmiłowanie i łaskę. Lecz swój ból ofiaruje Bogu — i czeka — i ufa. — A gdy teraz nowy spotyka ją cios, gdy rozkaz okrutnika zabiera jej drogą głowę — tę, którą Aulus nazwał światłem oczu, ufa jeszcze, wierząc, że jest moc nad Neronową większa — i Miłosierdzie od jego złości silniejsze.

I przycisnęła jeszcze silniej do piersi główkę dziewczyny, ta zaś osunęła się po chwili do jej kolan i ukrywszy oczy w fałdach jej peplum, pozostała tak przez długi czas w milczeniu, lecz, gdy się wreszcie podniosła, na twarzy jej widać już było nieco spokoju.

— Żal mi ciebie, matko, i ojca, i brata, ale wiem, że opór nie przydałby się na nic, a zgubił was wszystkich. Natomiast przyrzekam ci, że słów twoich nie zapomnę nigdy w domu Cezara.

Raz jeszcze zarzuciła jej ramiona na szyję, a potem, gdy obie wyszły do oecus, poczęła się żegnać z małym Plaucyuszem — ze staruszkiem Grekiem, który był ich nauczycielem, że swoją szatną, która niegdyś niańczyła ją, i ze wszystkimi niewolnikami.

Jeden z nich, wysoki i barczysty Ligijczyk, którego w domu zwano Urzus, a który w swoim czasie, razem z matką Ligii i z nią, przybył z inną ich służbą do obozu Rzymian, padł teraz do jej nóg, a następnie pochylił się do kolan Pomponii, mówiąc:

— O domina! pozwólcie mi iść z moją panią, abym jej służył i czuwał nad nią w domu Cezara.

— Nie naszym, lecz Ligii jesteś sługą — odrzekła Pomponia Grecyna — lecz zali cię dopuszczą do drzwi Cezara? i w jaki sposób potrafisz czuwać nad nią?

— Nie wiem, domina, wiem jeno, że żelazo kruszy się w moich rękach, jak drzewo...

Aulus Plaucyusz, który nadszedł na tę chwilę, dowiedziawszy się o co chodzi, nietylko nie sprzeciwił się chęci Urzusa, ale oświadczył, że nie mają nawet prawa go zatrzymywać. Odsyłają Ligię, jako zakładniczkę, o którą upomina się Cezar — a zatem obowiązani są odesłać jej orszak — który przechodzi wraz z nią pod opiekę Cezara. Tu szepnął Pomponii, że pod pozorem orszaku, może jej dodać tyle niewolnic, ile uzna za stosowne — centuryon bowiem nie może odmówić ich przyjęcia.

Dla Ligii była w tem pewna pociecha, Pomponia zaś również była rada, że może ją otoczyć służbą swego wyboru. Jakoż, prócz Urza, wyznaczyła jej starą szatną, dwie Cypryjki, biegłe w czesaniu, i dwie kąpielowe dziewki germańskie. Wybór jej padł wyłącznie na wyznawców nowej nauki, gdy zaś i Urzus wyznawał ją już od lat kilku, Pomponia mogła liczyć na wierność tej służby, a zarazem cieszyć się myślą, że ziarna prawdy zostaną posiane w domu Cezara.

Napisała też kilka słów, polecając opiekę nad Ligią wyzwolenicy Neronowej, Akte. Pomponia nie widywała jej wprawdzie na zebraniach wyznawców nowej nauki, słyszała jednak od nich, że Akte nie odmawia im nigdy usług, i że czytuje chciwie listy Pawła z Tarzu. Wiadomem jej było zresztą, iż młoda wyzwolenica żyje w ciągłym smutku, że jest istotą odmienną od wszystkich domowniczek Nerona, i że wogóle jest dobrym duchem pałacu.

Hasta podjął się sam wręczyć list Akte. Uważając też za rzecz naturalną, że córka królewska musi mieć orszak swych sług, nie czynił najmniejszej trudności w zabraniu ich do pałacu, dziwiąc się raczej małej ich liczbie. Prosił jednakże o pośpiech, z obawy, by nie być posądzonym o brak gorliwości w spełnianiu rozkazów. Godzina rozstania nadeszła. Oczy Pomponii i Ligii znów zapłynęły łzami; Aulus jeszcze raz złożył dłoń na jej głowie, i po chwili żołnierze, przeprowadzani krzykiem małego Aulusa, który w obronie siostry, wygrażał swemi małemi pięściami centuryonowi — uprowadzili Ligię do domu Cezara.

Lecz stary wódz kazał gotować dla siebie lektykę, tymczasem zaś, zamknąwszy się z Pomponią w przyległej do oecus pinakotece, rzekł jej:

— Słuchaj mnie, Pomponio. Udaję się do Cezara, choć sądzę, że napróżno, a jakkolwiek słowo Seneki nic już u niego nie znaczy, będę i u Seneki. Dziś więcej znaczą Sofoniusz, Tygellinus, Petroniusz lub Watyniusz... Co do Cezara, może i nie słyszał on nigdy w życiu o narodzie Ligiów, i jeśli zażądał wydania Ligii, jako zakładniczki, to dlatego, iż ktoś go do tego podmówił, łatwo zaś odgadnąć, kto to mógł uczynić.

A ona podniosła na niego nagle oczy:

— Petroniusz?...

— Tak jest.

Nastała chwila milczenia, poczem wódz mówił dalej:

— Oto co jest wpuścić przez próg którego z tych ludzi bez czci i sumienia. Przeklęta niech będzie chwila, w której Winicyusz wszedł w nasz dom! On to sprowadził do nas Petroniusza. Biada Ligii, albowiem nie o zakładniczkę, tylko o nałożnicę im chodzi.

I mowa jego, z gniewu, z bezsilnej wściekłości i z żalu za przybranem dzieckiem, stała się jeszcze bardziej świszcząca, niż zwykle. Czas jakiś zmagał się sam ze sobą i tylko zaciśnięte pięści świadczyły, jak ta wewnętrzna walka jest ciężka.

— Czciłem dotychczas bogów — rzekł — ale w tej chwili myślę, że niemasz ich nad światem, i jest tylko jeden, zły, szalony i potworny, któremu imię Nero.

— Aulu! — rzekła Pomponia. — Nero jest tylko garścią zgniłego prochu wobec Boga.

On zaś począł chodzić szerokimi krokami po mozaice pinakoteki. W życiu jego były wielkie czyny, ale nie było wielkich nieszczęść, więc nie był do nich przyzwyczajony. Stary żołnierz przywiązał się był do Ligii więcej, niż sam o tem wiedział, i teraz nie umiał się pogodzić z myślą, iż ją stracił. Prócz tego czuł się upokorzony. Zaciężyła nad nim ręka, którą pogardzał, a jednocześnie czuł, że wobec tej siły, jego siła jest niczem.

Lecz, gdy wreszcie potłumił w sobie gniew, który mieszał mu myśli, rzekł:

— Sądzę, że Petroniusz nie odjął nam jej dla Cezara, nie chciałby bowiem narazić się Poppei. Więc albo dla siebie, albo dla Winicyusza... Dziś jeszcze dowiem się o tem.

I po chwili lektyka unosiła go w stronę Palatynu, Pomponia zaś, zostawszy sama, poszła do małego Aula, który nie ustawał w płaczu za siostrą, i w pogróżkach przeciw Cezarowi.

ROZDZIAŁ V.

Aulus słusznie jednak domyślał się, że nie zostanie dopuszczony przed oblicze Nerona. Odpowiedziano mu, że Cezar zajęty jest śpiewem z lutnistą Terpnosem, i że wogóle nie przyjmuje tych, których sam nie wezwał. Innemi słowy, znaczyło to, by Aulus nie próbował i na przyszłość widzieć się z nim.

Natomiast Seneka, jakkolwiek chory na gorączkę, przyjął starego wodza ze czcią mu przynależną, ale gdy wysłuchał o co mu chodzi, uśmiechnął się gorzko i rzekł:

— Jedną ci tylko mogę oddać usługę, szlachetny Plaucyuszu, to jest: nie okazać nigdy Cezarowi, że serce moje odczuwa twój ból, i że chciałbym ci dopomódz; gdyby bowiem Cezar powziął najmniejsze pod tym względem podejrzenie, wiedz o tem, że nie oddałby ci Ligii, choćby nie miał do tego żadnych innych powodów, jak tylko, by mi uczynić na złość.

Nie radził mu również udawać się do Tygellina, ni do Watyniusza, ni do Witeliusza. Może pieniędzmi możnaby z nimi coś wskórać, może także chcieliby uczynić na złość Petroniuszowi, którego wpływ starają się podkopać, lecz najprawdopodobniej zdradziliby przed Cezarem, jak dalece Ligia jest dla Plaucyuszów drogą, a wówczas Cezar tembardziejby jej nie oddał. Tu stary mędrzec począł mówić z gryzącą ironią, którą zwracał przeciw sobie samemu: „Milczałeś, Plaucyuszu, milczałeś przez lata całe, a Cezar nie lubi tych, którzy milczą! Jakże ci było nie unosić się nad jego pięknością, cnotą, śpiewem, nad jego deklamacyą, powożeniem i wierszami. Jakże ci było nie wysławiać śmierci Brytanika, nie powiedzieć mowy pochwalnej na cześć matkobójcy i nie złożyć życzeń z powodu uduszenia Oktawii. Brak ci przezorności, Aulu, którą my, żyjący szczęśliwie przy dworze, posiadamy w stopniu odpowiednim“.

Tak mówiąc, wziął kubek, który nosił u pasa, zaczerpnął wody z fontanny impluvium, odświeżył spalone usta i mówił dalej:

— Ach, Nero ma wdzięczne serce. Kocha ciebie, boś służył Rzymowi i imię jego rozsławił na krańcach świata, i kocha mnie, bom mu był mistrzem w młodości. Dlatego, widzisz, wiem, że ta woda nie zatruta i piję ją spokojny. Wino w moim domu byłoby mniej pewne, ale jeśliś spragniony, to napij się śmiało tej wody. Wodociągi prowadzą ją aż z gór Albańskich, i chcąc ją zatruć, trzebaby zatruć wszystkie fontanny w Rzymie. Jak widzisz, można być jeszcze na tym świecie bezpiecznym i mieć spokojną starość. Jestem chory wprawdzie, ale to raczej dusza choruje, nie ciało.

Była to prawda. Senece brakło tej siły duszy, jaką posiadał naprzykład Kornutus lub Trazeasz, więc życie jego było szeregiem ustępstw, czynionych zbrodni. Sam to czuł, sam rozumiał, że wyznawca zasad Zenona z Cytyum, inną powinien iść drogą, i cierpiał z tego powodu więcej, niż z obawy samej śmierci.

Lecz wódz przerwał mu teraz zgryźliwe rozmyślania.

— Szlachetny Anneuszu — rzekł — wiem, jak Cezar wypłacił ci się za opiekę, którą otoczyłeś jego młode lata. Lecz sprawcą porwania nam dziecka jest Petroniusz. Wskaż mi na niego sposoby, wskaż wpływy, jakim ulega i sam wreszcie użyj z nim całej wymowy, jaką cię stara przyjaźń dla mnie natchnąć zdoła.

— Petroniusz i ja — odpowiedział Seneka — jesteśmy ludzie z dwóch przeciwnych obozów. Sposobów na niego nie wiem, wpływom niczyim nie podlega. Być może, że przy całem swem zepsuciu, więcej on jeszcze wart od tych łotrów, którymi Nero dziś się otacza. Ale dowodzić mu, że popełnił zły uczynek, jest to tylko czas tracić; Petroniusz dawno zatracił ten zmysł, który złe od dobrego odróżnia. Dowiedź mu, że jego postępek jest szpetny, wówczas zawstydzi się. Gdy się z nim zobaczę, powiem mu: czyn twój jest godny wyzwoleńca. Jeśli to nie pomoże, nic nie pomoże.

— Dzięki i za to — odrzekł wódz.

Poczem kazał się nieść do Winicyusza, którego zastał fechtującego się z domowym lanistą. Aulusa, na widok mło-

dego człowieka, oddającego się spokojnie ćwiczeniom w chwili, gdy zamach na Ligię został spełniony, porwał straszliwy gniew, który też, zaledwie zasłona opadła za lanistą, wybuchnął potokiem gorzkich wyrzutów i obelg. Lecz Winicyusz, dowiedziawszy się, że Ligia została porwana, pobladł tak straszliwie, iż ani na chwilę, nawet Aulus, nie mógł go posądzać o wspólnictwo w zamachu. Czoło młodzieńca pokryło się kroplami potu; krew, która na chwilę uciekła do serca, napłynęła znów gorącą falą do twarzy, oczy poczęły sypać skrami, usta rzucać bezładne pytania. Zazdrość i wściekłość miotały nim naprzemian, jak wicher. Zdawało mu się, że Ligia, raz przestąpiwszy próg domu Cezara, jest dla niego stracona na zawsze, gdy zaś Aulus wymówił imię Petroniusza, podejrzenie, niby błyskawica, przeleciało przez myśl młodego żołnierza, że Petroniusz zadrwił z niego i że albo podarkiem Ligii chciał sobie zjednać nowe łaski Cezara, albo ją chciał zatrzymać dla siebie. To, żeby ktoś, ujrzawszy Ligię, nie zapragnął jej zarazem, nie mieściło mu się w głowie.

Zapamiętałość, dziedziczna w jego rodzie, unosiła go teraz, jak rozhukany koń i odejmowała mu przytomność.

— Wodzu — rzekł przerywanym głosem — wracaj do siebie i czekaj na mnie... Wiedz, że gdyby Petroniusz był ojcem moim, jeszczebym pomścił na nim krzywdę Ligii. Wracaj do siebie i czekaj mnie. Ni Petroniusz, ni Cezar mieć jej nie będą.

Poczem zwrócił zaciśnięte pięści ku woskowym maskom, stojącym w szatach w atrium, i wybuchnął:

— Na te maski śmiertelne! pierwej zabiję ją i siebie.

To rzekłszy, zerwał się i rzuciwszy raz jeszcze Aulusowi słowo: „czekaj mnie!" wybiegł, jak szalony, z atrium i leciał do Petroniusza, roztrącając po drodze przechodniów.

Aulus zaś wrócił do domu z pewną otuchą. Sądził, że jeśli Petroniusz namówił Cezara do porwania Ligii dla oddania jej Winicyuszowi, to Winicyusz odprowadzi ją do ich domu. Wreszcie niemałą pociechą była mu myśl, że Ligia, jeśli nie zostanie uratowaną, to będzie pomszczoną i zasłoniętą przez śmierć od hańby. Wierzył, że Winicyusz dokona wszystkiego, co przyrzekł. Widział jego wściekłość i znał zapalczywość, wrodzoną całemu temu rodowi. On sam, choć miłował Ligię, jak rodzony ojciec, wolałby był ją zabić, niż

oddać Cezarowi i gdyby nie wzgląd na syna, ostatniego potomka rodu, byłby niechybnie to uczynił. Aulus był żołnierzem, o stoikach zaledwie słyszał, ale charakterem nie był od nich daleki, i do jego pojęć, do jego dumy, śmierć przypadała łatwiej i lepiej od hańby.

Wróciwszy do domu, uspokoił Pomponię, przelał w nią swą otuchę, i oboje poczęli oczekiwać wieści od Winicyusza. Chwilami, gdy w atrium odzywały się kroki którego z niewolników, sądzili, że to może Winicyusz odprowadza im kochane dziecko, i gotowi byli z głębi duszy pobłogosławić obojgu. Ale czas upływał i wieść żadna nie nadchodziła. Wieczorem dopiero ozwał się młotek przy bramie.

Po chwili niewolnik wszedł i oddał Aulusowi list. Stary wódz, jakkolwiek lubił okazywać panowanie nad sobą, wziął go jednak nieco drżącą ręką i począł czytać tak skwapliwie, jakby chodziło o cały jego dom.

Nagle twarz mu zmierzchła, jak gdyby padł na nią cień od przelatującej chmury.

— Czytaj — rzekł, zwróciwszy się do Pomponii.

Pomponia wzięła list i czytała, co następuje:

„Markus Winicyusz, pozdrowienie Aulowi Plaucyuszowi. Co się stało, stało się z woli Cezara, przed którą schylcie głowy, jako schylamy ja i Petroniusz“.

Poczem nastało długie milczenie.

ROZDZIAŁ VI.

Petroniusz był w domu. Odźwierny nie śmiał zatrzymać Winicyusza, który wpadł do atrium, jak burza i dowiedziawszy się, że gospodarza należy szukać w bibliotece, tym samym pędem wpadł do biblioteki i zastawszy Petroniusza piszącego, wyrwał mu trzcinę z ręki, złamał ją, cisnął na ziemię, następnie wpił palce w jego ramiona i zbliżając twarz do jego twarzy, począł pytać chrapliwym głosem:

— Coś z nią uczynił? Gdzie ona jest?

Lecz nagle stała się rzecz zdumiewająca. Oto ów wysmukły i zniewieściały Petroniusz chwycił wpijającą mu się w ramię dłoń młodego atlety, zaczem chwycił drugą

i trzymając je obie w swojej jednej z siłą żelaznych kleszczy, rzekł:

— Ja tylko zrana jestem niedołęgą, a wieczorem odzyskuję dawną sprężystość. Spróbuj się wyrwać. Gimnastyki musiał cię uczyć tkacz, a obyczajów kowal.

Na twarzy jego nie znać było nawet gniewu, tylko w oczach mignął mu jakiś płowy odbłysk odwagi i energii. Po chwili, puścił ręce Winicyusza, który stał przed nim upokorzony, zawstydzony i wściekły.

— Stalową masz rękę — rzekł — ale na wszystkich bogów piekielnych przysięgam ci, że, jeśliś mnie zdradził, wepchnę ci nóż w gardło, choćby w pokojach Cezara.

— Pogadajmy spokojnie — odpowiedział Petroniusz. — Stal mocniejsza jest, jak widzisz, od żelaza, więc, choć z twego jednego ramienia możnaby moich dwa uczynić, nie potrzebuję się ciebie bać. Natomiast boleję nad twojem grubijaństwem, a gdyby niewdzięczność ludzka mogła mnie jeszcze dziwić, dziwiłbym się twej niewdzięczności.

— Gdzie jest Ligia?

— W lupanarze, to jest w domu Cezara.

— Petroniuszu!

— Uspokój się i siadaj. Prosiłem Cezara o dwie rzeczy, które mi przyrzekł: naprzód o wydobycie Ligii z domu Aulusów, a powtóre o oddanie jej tobie. Czy nie masz tam gdzie noża w fałdach togi? Może mnie pchniesz! Ale ja ci radzę poczekać parę dni, bo wziętoby cię do więzienia, a tymczasem Ligia nudziłaby się w twym domu.

Nastało milczenie. Winicyusz poglądał czas jakiś zdumionemi oczyma na Petroniusza, poczem rzekł:

— Przebacz mi. Miłuję ją i miłość miesza moje zmysły.

— Podziwiaj mnie, Marku. Onegdaj rzekłem Cezarowi tak: mój siostrzeniec Winicyusz pokochał tak pewną chuderlawą dziewczynę, która hoduje się u Aulusów, że dom jego zmienił się w łaźnią parową westchnień. Ty (powiadam) Cezarze, ani ja, którzy wiemy, co jest prawdziwa piękność, nie dalibyśmy za nią tysiąca sestercyi, ale to chłopak zawsze był głupi, jak trójnóg, a teraz zgłupiał do reszty.

— Petroniuszu!

— Jeśli nie rozumiesz, żem to powiedział, chcąc zabezpieczyć Ligię, gotówem uwierzyć, żem powiedział prawdę.

Wmówiłem w Miedzianobrodego, że taki esteta, jak on, nie może uważać takiej dziewczyny za piękność, i Nero, który dotąd nie śmie patrzeć inaczej, jak przez moje oczy, nie znajdzie w niej piękności, a nie znalazłszy, nie będzie jej pożądał. Trzeba się było przed małpą zabezpieczyć i wziąć ją na sznur. Na Ligii pozna się teraz nie on, ale Poppea, i oczywiście postara się ją jak najprędzej z pałacu wyprawić. Ja zaś mówiłem dalej z niechcenia Miedzianej brodzie: „Weź Ligię i daj ją Winicyuszowi! Masz prawo to uczynić, bo jest zakładniczką, a gdy tak postąpisz, wyrządzisz krzywdę Aulusowi". I zgodził się. Nie miał najmniejszego powodu nie zgodzić się, tembardziej, że dałem mu sposobność dokuczenia porządnym ludziom. Uczynią cię urzędowym stróżem zakładniczki, oddadzą ci w ręce ów skarb ligijski, ty zaś, jako sprzymierzeniec walecznych Ligiów, a zarazem wierny sługa Cezara, nietylko nic ze skarbu nie strwonisz, ale postarasz się o jego pomnożenie. Cezar, dla zachowania pozorów, zatrzyma ją kilka dni w domu, a potem odeśle do twojej insuli, szczęśliwcze!

— Prawdąż to jest? Nicze jej tam nie grozi w domu Cezara?

— Gdyby tam miała stale zamieszkać, Poppea pogadałaby o niej z Lokustą, ale przez kilka dni nic jej nie grozi. W pałacu Cezara jest dziesięć tysięcy ludzi. Być może, że jej Nero wcale nie zobaczy, tembardziej, że wszystko powierzył mi do tego stopnia, iż przed chwilą centuryon u mnie był z wiadomością, że odprowadził dziewczynę do pałacu i zdał ją w ręce Akte. To dobra dusza ta Akte, dlatego kazałem jej ją oddać. Pomponia Grecyna jest widocznie również tego zdania, bo do niej pisała. Jutro jest uczta u Nerona. Wymówiłem ci miejsce obok Ligii.

— Wybacz mi, Kaju, moją porywczość — rzekł Winicyusz. — Sądziłem, żeś ją kazał uprowadzić dla siebie lub dla Cezara.

— Ja mogę ci wybaczyć porywczość, ale trudniej mi wybaczyć gminne gesta, rubaszne krzyki i głos, przypominający grających w morę. Tego nie lubię, Marku, i tego się strzeż. Wiedz, że stręczycielem Cezara jest Tygellinus, i wiedz także, że gdybym dziewczynę chciał wziąć dla siebie, tobym teraz, patrząc ci prosto w oczy, powiedział, co następuje:

Winicyuszu! odbieram ci Ligię, i będę ją trzymał póty, póki mi się nie znudzi.

Tak mówiąc, począł patrzeć swemi orzechowemi źrenicami wprost w oczy Winicyusza, z wyrazem chłodnym i zuchwałym, młody człowiek zaś zmieszał się do reszty.

— Wina jest moja — rzekł. — Jesteś dobry, zacny i dziękuję ci z całej duszy. Pozwól mi tylko zadać ci jeszcze jedno pytanie. Czemu nie kazałeś odesłać Ligii wprost do mego domu?

— Bo Cezar chce zachować pozory. Będą o tem ludzie mówili w Rzymie, że zaś Ligię zabieramy, jako zakładniczkę, więc póki będą mówili, póty zostanie w pałacu Cezara. Potem odeślą ci ją po cichu i będzie koniec. Miedzianobrody jest tchórzliwym psem. Wie, że władza jego jest bez granic, a jednak stara się upozorować każdy postępek. Czy ochłonąłeś już do tego stopnia, abyś mógł trochę pofilozofować? Mnie samemu nieraz przychodziło na myśl, dlaczego zbrodnia, choćby była potężna, jak Cezar i pewna, jak on, bezkarności, stara się zawsze o pozory prawa, sprawiedliwości i cnoty?... Na co jej ten trud? Ja uważam, że zamordować brata, matkę i żonę, jest rzeczą godną jakiegoś azyatyckiego królika, nie rzymskiego cezara; ale, gdyby mi się to przytrafiło, nie pisałbym usprawiedliwiających listów do senatu... Nero zaś pisze — Nero szuka pozorów, bo Nero jest tchórzem. Ale taki Tyberyusz nie był tchórzem, a jednak usprawiedliwiał każdy swój występek. Czemu tak jest? Co to za dziwny, mimowolny hołd, składany przez zło cnocie. I wiesz, co mi się zdaje? Oto, iż dzieje się tak dlatego, że występek jest szpetny, a cnota piękna. Ergo, prawdziwy esteta jest temsamem cnotliwym człowiekiem. Ergo, ja jestem cnotliwym człowiekiem. Muszę dziś wylać nieco wina cieniom Protagora, Prodyka i Gorgiasa. Pokazuje się, że i sofiści mogą się na coś przydać. Słuchaj, albowiem mówię dalej. Odjąłem Ligię Aulusom, by ją oddać tobie. Dobrze. Ale Lizypp utworzyłby z was cudowne grupy. Oboje jesteście piękni, a więc i mój postępek jest piękny, a będąc pięknym, nie może być złym. Patrz Marku, oto siedzi przed tobą cnota wcielona w Petroniusza! Gdyby Arystydes żył, powinienby przyjść do mnie i ofiarować mi sto min za krótki wykład o cnocie.

Lecz Winicyusz, jako człowiek, którego rzeczywistość więcej obchodziła od wykładów o cnocie, rzekł:

— Jutro zobaczę Ligię, a potem będę ją miał w domu moim codzień, ciągle i do śmierci.

— Ty będziesz miał Ligię, a ja będę miał na głowie Aulusa. Wezwie na mnie pomsty wszystkich podziemnych bogów. I gdyby przynajmniej bestya wzięła przedtem lekcyę porządnej deklamacyi... Ale on będzie wymyślał tak, jak moim klientom wymyślał dawny mój odźwierny, którego zresztą wysłałem za to na wieś do ergastulum.

— Aulus był u mnie. Obiecałem mu przesłać wiadomość o Ligii.

— Napisz mu, że wola „boskiego" Cezara jest najwyższem prawem, i że pierwszy twój syn będzie miał na imię Aulus. Trzeba, żeby stary miał jakąś pociechę. Jestem gotów prosić Miedzianobrodego, by go wezwał jutro na ucztę. Niechby cię zobaczył w triclinium obok Ligii.

— Nie czyń tego — rzekł Winicyusz. — Mnie ich jednak żal, zwłaszcza Pomponii.

I zasiadł, by napisać ów list, który staremu wodzowi odebrał resztę nadziei.

ROZDZIAŁ VII.

Przed Akte, dawną kochanką Nerona, schylały się niegdyś najwyższe głowy w Rzymie. Lecz ona i wówczas nie chciała się mieszać do spraw publicznych, i jeśli kiedykolwiek używała swego wpływu na młodego władcę, to chyba dla wyproszenia dla kogoś litości. Cicha i pokorna, zjednała sobie wdzięczność wielu, nikogo zaś nie uczyniła swym nieprzyjacielem. Nie potrafiła jej znienawidzić nawet Oktawia. Zazdrosnym wydawała się zbyt mało niebezpieczną. Wiedziano o niej, że kocha zawsze Nerona miłością smutną i zbolałą, która żyje, już nie nadzieją, ale tylko wspomnieniami chwili, w których ów Nero był nietylko młodszym i kochającym, ale lepszym. Wiedziano, że od tych wspomnień nie może oderwać duszy i myśli, ale niczego już nie czeka, że zaś nie było istotnie obawy, aby Cezar do niej wrócił, patrzano na nią, jak na istotę zgoła bezbronną, i z tego powodu pozostawiono

ją w spokoju. Poppea miała ją tylko za cichą sługę, tak dalece nieszkodliwą, że nie domagała się nawet usunięcia jej z pałacu.

Ponieważ jednak Cezar kochał ją niegdyś i porzucił bez urazy, w spokojny, a nawet poniekąd przyjazny sposób, zachowano dla niej pewne względy. Nero, wyzwoliwszy ją, dał jej w pałacu mieszkanie, a w niem osobne cubiculum i garść ludzi ze służby. A gdy swego czasu Pallas i Narcyz, chociaż Klaudyuszowi wyzwoleńcy, nietylko zasiadali z Klaudyuszem do uczt, ale jako potężni ministrowie, zabierali poczesne miejsca, więc i ją zapraszano czasem do stołu Cezara. Czyniono to może dlatego, że jej śliczna postać stanowiła prawdziwą ozdobę uczty. Zresztą Cezar w doborze towarzystwa od dawna już przestał się rachować z jakimikolwiek względami. Do stołu jego zasiadała najróżnorodniejsza mieszanina ludzi wszelkich stanów i powołań. Byli między nimi senatorowie, ale przeważnie tacy, którzy godzili się być zarazem błaznami. Byli patrycyusze starzy i młodzi, spragnieni rozkoszy, zbytku i użycia. Bywały kobiety, noszące wielkie imiona, lecz nie wahające się wkładać wieczorem płowych peruk i szukać dla rozrywki przygód na ciemnych ulicach. Bywali i wysocy urzędnicy i kapłani, którzy przy pełnych czarach sami radzi drwili z własnych bogów, obok nich zaś wszelkiego rodzaju hałastra, złożona ze śpiewaków, z mimów, muzyków, tancerzy i tancerek, z poetów, którzy deklamując wiersze, myśleli o sestercyach, jakie im za pochwałę wierszy cezarowych spaść mogą; z filozofów-głodomorów, odprowadzających chciwemi oczyma podawane potrawy, wreszcie ze słynnych woźniców, sztukmistrzów, cudotwórców, bajarzy, trefnisiów, wreszcie z przeróżnych, pasowanych przez modę lub głupotę na jednodniowe znakomitości, drapichrustów, między którymi nie brakło i takich, co długimi włosami pokrywali przekłute na znak niewolnictwa uszy.

Słynniejsi zasiadali wprost do stołów, mniejsi służyli do rozrywki w czasie jedzenia, czekając na chwilę, w której służba pozwoli im rzucić się na resztki potraw i napojów. Gości tego rodzaju dostarczali Tygellinus, Watyniusz i Witeliusz, gościom zaś zmuszeni byli nieraz dostarczać odzieży, odpowiedniej do pokojów Cezara, który zresztą lubił takie towarzystwo, czując się w niem najswobodniejszym. Zbytek

dworu złocił wszystko i wszystko pokrywał blaskiem. Wielcy i mali, potomkowie wielkich rodów i hołota z bruku miejskiego, potężni artyści i liche wyskrobki talentów, cisnęli się do pałacu, aby nasycić olśnione oczy przepychem, niemal przechodzącym ludzkie pojęcie, i zbliżyć się do rozdawcy wszelkich łask, bogactw i dobra, którego jedno widzimisię mogło wprawdzie poniżyć, ale mogło i wynieść bez miary.

Dnia tego i Ligia miała wziąć udział w podobnej uczcie. Strach, niepewność i odurzenie, niedziwne po nagłem przejściu, walczyły w niej z chęcią oporu. Bała się Cezara, bała się ludzi, bała się pałacu, którego gwar odejmował jej przytomność, bała się uczt, o których sromocie słyszała od Aulusa, od Pomponii Grecyny i ich przyjaciół. Będąc młodą dziewczyną, nie była jednak nieświadomą, albowiem świadomość złego, w owych czasach, wcześnie dochodziła nawet do dziecięcych uszu. Wiedziała więc, że w tym pałacu grozi jej zguba, o której zresztą ostrzegła ją w chwili rozstania i Pomponia. Mając jednak duszę młodą, nieobytą z zepsuciem i wyznając wysoko naukę, wszczepioną jej przez przybraną matkę, przyrzekła bronić się od owej zguby: matce, sobie i zarazem temu Boskiemu nauczycielowi, w którego nietylko wierzyła, ale którego pokochała swem wpół dziecinnem sercem za słodycz nauki, za gorycz śmierci i za chwałę zmartwychpowstania.

Była też pewna, że teraz już ni Aulus, ni Pomponia Grecyna nie będą odpowiadali za jej postępki, zamyślała więc, czy nie lepiej będzie stawić opór i nie iść na ucztę. Z jednej strony strach i niepokój głośno gadały w jej duszy, z drugiej rodziła się w niej chęć okazania odwagi, wytrwałości, narażenia się na mękę i śmierć. Wszakże Boski nauczyciel tak kazał. Wszakże sam dał przykład. Wszakże Pomponia opowiadała jej, że gorliwsi między wyznawcami pożądają całą duszą takiej próby i modlą się o nią. I Ligię, gdy jeszcze była w domu Aulusów, opanowywała chwilami podobna żądza. Widziała się męczennicą, z ranami w rękach i stopach, białą, jak śniegi, piękną nadziemską pięknością, niesioną przez równie białych aniołów w błękit, i podobnemi widzeniami lubowała się jej wyobraźnia. Było w tem dużo marzeń dziecinnych, ale było i nieco upodobania w samej sobie, które karciła Pomponia. Teraz zaś, gdy opór woli Cezara mógł pociągnąć za sobą jakąś okrutną karę i gdy widy-

wane w marzeniach męczarnie mogły się stać rzeczywistością, do pięknych widzeń, do upodobań, dołączyła się jeszcze, pomieszana ze strachem, jakaś ciekawość, jak też ją skarzą i jaki rodzaj mąk dla niej obmyślą.

I tak wahała się jej wpół jeszcze dziecinna dusza na dwie strony. Lecz Akte, dowiedziawszy się o tych wahaniach, spojrzała na nią z takiem zdumieniem, jakby dziewczyna mówiła w gorączce. Okazać opór woli Cezara? Narazić się od pierwszej chwili na jego gniew? Na to trzeba chyba być dzieckiem, które nie wie, co mówi. Z własnych oto słów Ligii pokazuje się, że właściwie nie jest ona zakładniczką, ale dziewczyną zapomnianą przez swój naród. Nie broni jej żadne prawo narodów, a gdyby jej nawet broniło, Cezar dość jest potężny, by je w chwili gniewu podeptać. Cezarowi spodobało się ją wziąć i odtąd nią rozporządza. Odtąd jest ona na jego woli, nad którą niemasz innej na świecie.

— Tak jest — mówiła dalej — i ja czytałam listy Pawła z Tarzu, i ja wiem, że nad ziemią jest Bóg i jest Syn Boży, który zmartwychwstał, ale na ziemi jest tylko Cezar. Pamiętaj o tem, Ligio. Wiem także, że twoja nauka nie pozwala ci być tem, czem ja byłam, i że wam, jak stoikom, o których opowiadał mi Epiktet, gdy przyjdzie wybór między sromotą a śmiercią, śmierć tylko wybrać wolno. Ale czy możesz zgadnąć, że cię czeka śmierć, nie sromota? Zali nie słyszałaś o córce Sejana, która małem była jeszcze dziewczątkiem, a która z Tyberyuszowego rozkazu musiała, dla zachowania prawa, które zabrania karać dziewic śmiercią, przejść przez hańbę przed zgonem? Ligio, Ligio, nie drażnij Cezara! Gdy przyjdzie chwila stanowcza, gdy musisz wybierać między hańbą a śmiercią, postąpisz tak, jak ci twoja Prawda wskazuje, ale nie szukaj dobrowolnie zguby i nie drażnij z błahego powodu ziemskiego, a przytem okrutnego, boga.

Akte mówiła z wielką litością i nawet z uniesieniem, a mając z natury wzrok nieco krótki, przysunęła blizko swą słodką twarz do twarzy Ligii, jakby chcąc sprawdzić, jakie jej słowa czynią wrażenie.

Ligia zaś, zarzuciwszy z ufnością dziecka ręce na jej szyję, rzekła:

— Ty dobra jesteś, Akte.

Akte, ujęta pochwałą i ufnością, przycisnęła ją do serca,

a następnie, uwolniwszy się z ramion dziewczyny, odpowiedziała:

— Moje szczęście minęło i radość minęła, ale zła nie jestem.

Poczem jęła chodzić szybkimi krokami po izbie i mówić do siebie jakby z rozpaczą:

— Nie! I on nie był zły. On sam myślał wówczas, że jest dobry, i chciał być dobrym. Ja to wiem najlepiej. To wszystko przyszło później... gdy przestał kochać... To inni uczynili go takim, jak jest — to inni — i Poppea!

Tu rzęsy jej pokryły się łzami. Ligia wodziła za nią czas jakiś swemi błękitnemi oczyma, a wreszcie rzekła:

— Ty go żałujesz, Akte?

— Żałuję! — odpowiedziała głucho Greczynka.

I znów poczęła chodzić ze ściśniętemi, jakby z bólu, rękoma i twarzą bezradną.

A Ligia pytała nieśmiało dalej:

— Ty go jeszcze kochasz, Akte?

— Kocham...

Po chwili zaś dodała:

— Jego nikt, prócz mnie nie kocha...

Nastało milczenie, podczas którego Akte usiłowała odzyskać zmąconą wspomnieniami spokojność i gdy wreszcie twarz jej przybrała znowu zwykły wyraz cichego smutku, rzekła:

— Mówmy o tobie, Ligio. Nie myśl nawet o tem, by sprzeciwić się Cezarowi. To byłoby szaleństwem. Wreszcie uspokój się. Znam dobrze ten dom i sądzę, że ze strony Cezara nic ci nie grozi. Gdyby Nero kazał cię porwać dla siebie, nie sprowadzaliby cię na Palatyn. Tu włada Poppea, a Nero, od czasu, gdy mu powiła córkę, jest jeszcze bardziej pod jej władzą... Nie. Nero kazał wprawdzie, byś była na uczcie, ale nie widział cię dotąd, nie zapytał o ciebie, więc mu o ciebie nie chodzi. Może odebrał cię Aulusowi i Pomponii tylko przez złość do nich... Do mnie Petroniusz pisał, bym miała nad tobą opiekę, a że pisała, jak wiesz, i Pomponia, więc chyba porozumieli się ze sobą. Może on to uczynił na jej prośbę. Jeśli tak jest, jeśli i on na prośbę Pomponii zaopiekuje się tobą, nic ci nie grozi i kto wie nawet, czy Nero za jego namową nie odeśle cię do Aulusów. Nie

wiem, czy Nero zbyt go kocha, ale wiem, że rzadko śmie być przeciwnego z nim zdania.

— Ach, Akte! — odpowiedziała Ligia — Petroniusz był u nas przedtem, niż mnie zabrali, i matka moja była przekonana, iż Nero zażądał wydania mnie z jego namowy.

— To byłoby źle — rzekła Akte.

Lecz, zamyśliwszy się przez chwilę, mówiła dalej:

— Może jednak Petroniusz wygadał się tylko przed Neronem przy jakiej wieczerzy, że widział u Aulusów zakładniczkę Ligiów, i Nero, który jest zazdrosny o swą władzę, zażądał cię tylko dlatego, że zakładnicy należą do Cezara. On zresztą nie lubi Aulusa i Pomponii... Nie! Nie zdaje mi się, by Petroniusz, gdyby cię chciał odebrać Aulusowi, chwycił się takiego sposobu... Nie wiem, czy Petroniusz jest lepszy od tych, którzy otaczają Cezara, ale jest inny... Może wreszcie, prócz niego, znajdziesz jeszcze kogo, ktoby się chciał wstawić za tobą. Czy u Aulusów nie poznałaś kogo z blizkich Cezara?

— Widywałam Wespazyana i Tytusa.

— Cezar ich nie lubi.

— I Senekę.

— Dość, by Seneka coś poradził, aby Nero postąpił inaczej.

Jasna twarz Ligii poczęła pokrywać się rumieńcem.

— I Winicyusza...

— Nie znam go.

— To krewny Petroniusza, który wrócił niedawno z Armenii...

— Czy myślisz, że Nero rad go widzi?

— Winicyusza lubią wszyscy.

— I chciałby się wstawić za tobą?

— Tak.

Akte uśmiechnęła się tkliwie i rzekła:

— To go pewnie na uczcie zobaczysz. Być na niej musisz, naprzód dlatego, że musisz... Tylko takie dziecko, jak ty, mogło pomyśleć inaczej. Powtóre, jeśli chcesz wrócić do domu Aulusów, znajdziesz sposobność proszenia Petroniusza i Winicyusza, by swoim wpływem wyjednali dla cię prawo powrotu. Gdyby tu byli, obaj powiedzieliby ci to, co ja: że szaleństwem i zgubą byłoby próbować oporu. Cezar mógłby

wprawdzie nie dostrzedz twej nieobecności, lecz gdyby dostrzegł i pomyślał, że śmiałaś się sprzeciwić jego woli, nie byłoby dla ciebie ratunku. Chodź, Ligio... Czy słyszysz ten gwar w domu? Słońce się zniża i goście już wkrótce zaczną przybywać.

— Masz słuszność, Akte — odpowiedziała Ligia — i pójdę za twoją radą.

Ile w tem postanowieniu było chęci zobaczenia Winicyusza i Petroniusza, ile kobiecej ciekawości, by raz w życiu ujrzeć taką ucztę, a na niej Cezara, dwór, słynną Poppeę i inne piękności, i cały ten niesłychany przepych, o którym cuda opowiadano w Rzymie, sama Ligia nie umiała sobie zapewne zdać sprawy. Lecz Akte swoją drogą miała słuszność i dziewczyna czuła to dobrze. Iść było trzeba, więc gdy konieczność i prosty rozum wsparły ukrytą pokusę, przestała się wahać.

Akte zaprowadziła ją wówczas do własnego unctorium, by ją namaścić i ubrać, a jakkolwiek w domu Cezara nie brakło niewolnic i Akte miała ich sporo dla osobistej usługi, jednak przez współczucie dla dziewczyny, której niewinność i piękność chwyciły ją za serce, sama postanowiła ją ubrać. I zaraz pokazało się, że w młodej Greczynce, mimo jej smutku i mimo wczytywania się w listy Pawła z Tarzu, zostało wiele jeszcze dawnej duszy helleńskiej, do której piękność ciała przemawiała silniej, niż wszystko inne na świecie. Obnażywszy Ligię, na widok jej kształtów, zarazem wiotkich i pełnych, utworzonych jakby z perłowej masy i róży, nie mogła wstrzymać okrzyku podziwienia, i odstąpiwszy kilka kroków, patrzyła z zachwytem na tę niezrównaną wiosenną postać.

— Ligio! — zawołała wreszcie — tyś stokroć piękniejsza od Poppei!

Lecz dziewczyna, wychowana w surowym domu Pomponii, gdzie skromność przestrzegano nawet wówczas, gdy kobiety były same ze sobą, stała — cudna, jak cudny sen, harmonijna, jak dzieło Praxytelesa, lub jak pieśń, ale zmieszana, różowa od wstydu, ze ściśniętemi kolany, z rękoma na piersi i ze spuszczonemi na oczy rzęsami. Wreszcie, podniósłszy nagłym ruchem ramiona, wyjęła szpilki, podtrzymu-

jące włosy i w jednej chwili, jednem wstrząśnieniem głowy, okryła się nimi, jak płaszczem.

Akte zaś, zbliżywszy się i dotykając jej ciemnych splotów, mówiła:

— O jakie ty masz włosy!... Nie posypię ich złotym pudrem, one same przeświecają gdzieniegdzie złotem na skrętach... Ledwie że może tu i owdzie dodam złotego połysku, lecz lekko, lekko, jakby rozjaśnił je promień... Cudny musi być wasz kraj ligijski, gdzie takie się rodzą dziewczyny.

— Ja go nie pamiętam — odrzekła Ligia. — Urzus tylko mi mówił, że u nas lasy, lasy i lasy.

— A w lasach kwiaty kwitną — mówiła Akte, maczając dłonie w wazie, pełnej werweny i zwilżając nią włosy Ligii.

Po ukończeniu zaś tej roboty, poczęła maścić leciuchno całe jej ciało wonnymi olejkami z Arabii, a następnie przyoblekła je w miękką złotej barwy tunikę bez rękawów, na którą miało przyjść śnieżne peplum. Lecz że przedtem trzeba było uczesać włosy, więc tymczasem owinęła ją w rodzaj obszernej szaty, zwanej synthesis i, usadziwszy na krześle, oddała ją na chwilę w ręce niewolnic, by czuwać z daleka nad czesaniem. Dwie niewolnice poczęły nakładać jednocześnie na nóżki Ligii białe, haftowane purpurą trzewiki, przypasując je na krzyż złotemi taśmami do alabastrowych kostek. Gdy wreszcie czesanie było skończone, ułożono na niej peplum w prześliczne lekkie fałdy, poczem Akte, zapiąwszy jej perły na szyi i dotknąwszy włosów na skrętach złocistym pyłem, sama kazała się przybierać, wodząc przez cały czas zachwyconemi oczyma za Ligią.

Lecz wnet była gotowa, a gdy przed główną bramą pierwsze dopiero zaczęły się ukazywać lektyki, weszły obie do bocznego kryptoportyku, z którego widać było główną bramę, wewnętrzne galerye i dziedziniec, otoczony kolumnadą z numidyjskiego marmuru.

Stopniowo coraz więcej ludzi przechodziło pod wyniosłym łukiem bramy, nad którą wspaniała kwadryga Lizyasza zdawała się unosić w powietrzu Apollina i Dyanę. Oczy Ligii uderzył pyszny widok, o którym skromny dom Aulusa nie mógł jej dać najmniejszego pojęcia. Była to chwila zachodu słońca i ostatnie jego promienie padały na żółty numidyjski

marmur kolumn, który w tych blaskach świecił jak złoto, i zarazem mienił się na różowo. Wśród kolumn, obok białych posągów Danaid i innych, przedstawiających bogów lub bohaterów, przepływały tłumy ludzi, mężczyzn i kobiet, podobnych również do posągów, bo udrapowanych w togi, peplumy i stole, spływające z wdziękiem ku ziemi miękkimi fałdami, na których dogasały blaski zachodzącego słońca. Olbrzymi Herkules, z głową jeszcze w świetle, od piersi pogrążon już w cieniu, rzucanym przez kolumnę, spoglądał z góry na ów tłum. Akte pokazywała Ligii senatorów w szeroko obramowanych togach, w barwnych tunikach i z półksiężycami na obuwiu, i rycerzy, i słynnych artystów, i rzymskie panie, przybrane w sposób rzymski, to grecki, to w fantastyczne wschodnie stroje, z włosami upiętymi w wieże, w piramidy, lub zaczesane na wzór posągów bogiń nizko przy głowie, a strojne w kwiaty. Wielu mężczyzn i wiele kobiet nazywała Akte po imieniu, dodając do imion krótkie i nieraz straszne historye, przejmujące Ligię strachem, podziwem, zdumieniem. Był to dla niej świat dziwny, którego pięknością napawały się jej oczy, ale którego przeciwieństw nie umiał pojąć jej dziewczęcy rozum. W tych zorzach na niebie, w tych szeregach nieruchomych kolumn, ginących w głębi, i w tych ludziach, podobnych do posągów, był jakiś wielki spokój; zdawało się, że wśród owych prostolinijnych marmurów powinni żyć jacyś próżni trosk, ukojeni i szczęśliwi półbogowie, tymczasem cichy głos Akte odkrywał raz po raz coraz inną, straszną tajemnicę i tego pałacu i tych ludzi. Oto tam zdala widać kryptoportyk, na którego kolumnach i podłodze czerwienieją się jeszcze krwawe plamy krwi, którą obluzgał białe marmury Kaligula, gdy padł pod nożem Kassyusza Cherei; tam zamordowano jego żonę; tam dziecko rozbito o kamienie; tam pod tem skrzydłem jest podziemie, w którem gryzł ręce z głodu młodszy Druzus; tam otruto starszego, tam wił się ze strachu Gemellus, tam z konwulsyi Klaudyusz, tam Germanik, wszędy te ściany słyszały jęki i chrapanie konających, a ci ludzie, którzy spieszą teraz na ucztę w togach, w barwnych tunikach, w kwiatach i klejnotach, to może jutrzejsi skazańcy; może na niejednej twarzy uśmiech pokrywa strachy, niepokój, niepewność jutra; może gorączka, chciwość, zazdrość, wżerają się w tej chwili w serca tych napozór bez-

troskich, uwieńczonych półbogów. Spłoszone myśli Ligii nie mogły nadążyć za słowami Akte, i gdy ów cudny świat przyciągał z coraz większą siłą jej oczy, serce ścisnęło się w niej przestrachem, a w duszy zerwała się nagle niewypowiedziana i niezmierna tęsknota za kochaną Pomponią Grecyną i za spokojnym domem Aulusów, w którym panowała miłość, nie zbrodnia.

Tymczasem od Vicus Apollinis napływały coraz nowe fale gości. Z za bramy dochodził gwar i okrzyki klientów odprowadzających swych patronów. Dziedziniec i kolumnady zaroiły się od mnóstwa cezarowych niewolników, niewolnic, małych pachołąt i pretoryańskich żołnierzy, utrzymujących straż w pałacu. Gdzieniegdzie, między białemi lub smagłemi twarzami, zaczerniała twarz Numida, w pierzastym hełmie i z wielkiemi złocistemi kółkami w uszach. Niesiono lutnie, cytry, pęki sztucznie wyhodowanych mimo późnej jesieni kwiatów, lampy ręczne srebrne, złote i miedziane. Coraz głośniejszy szmer rozmów mieszał się z pluskiem fontanny, której różowe od wieczornych blasków warkocze, spadając z wysoka na marmury, rozbijały się na nich jakby z łkaniem.

Akte przestała opowiadać, lecz Ligia patrzyła ciągle, jakby wypatrując kogoś w tłumie. I nagle twarz jej pokryła się rumieńcem. Z pomiędzy kolumn wysunęli się Winicyusz i Petroniusz i szli ku wielkiemu tryklinium, piękni, spokojni, podobni w swoich togach do białych bogów. Ligii, gdy wśród obcych ludzi ujrzała te dwie znajome i przyjazne twarze, gdy ujrzała Winicyusza, zdawało się, że wielki ciężar spadł jej z serca. Uczuła się mniej samotną. Ta niezmierna tęsknota za Pomponią i domem Aulusów, która zerwała się w niej przed chwilą, przestała nagle być dotkliwą. Pokusa widzenia Winicyusza i rozmowy z nim zgłuszyła inne głosy. Próżno przypominała sobie wszystko złe, które słyszała o domu Cezara, i słowa Akte, i przestrogi Pomponii, mimo tych słów i przestróg, poczuła nagle, że na tej uczcie nietylko być musi, ale chce: na myśl, że za chwilę usłyszy ten miły i upodobany głos, który jej mówił o miłości i o szczęściu, godnem bogów, i który brzmiał dotąd w jej uszach, jak pieśń, chwyciła ją wprost radość.

Lecz nagle zlękła się tej radości. Wydało jej się, że w tej chwili zdradza i tę czystą naukę, w jakiej ją wycho-

wano, i Pomponię i siebie samą. Inna rzecz jest iść pod przymusem, a inna radować się taką koniecznością. Uczuła się winną, niegodną i zgubioną. Porwała ją rozpacz i chciało jej się płakać. Gdyby była sama, byłaby klękła i poczęła się bić w piersi, powtarzając: moja wina, moja wina! Akte, wziąwszy teraz jej rękę, wiodła ją przez wewnętrzne pokoje do wielkiego tryklinium, w którym miała odbywać się uczta, a jej ćmiło się w oczach, szumiało od wewnętrznych wzruszeń w uszach i bicie serca tamowało jej oddech. Jak przez sen ujrzała tysiące lamp migocących i na stołach, i na ścianach, jak przez sen usłyszała okrzyk, którym witano Cezara, jak przez mgłę dojrzała jego samego. Okrzyk zgłuszał ją, blask olśnił, odurzyły wonie i, straciwszy resztę przytomności, zaledwie mogła rozeznać Akte, która, umieściwszy ją przy stole, sama zajęła miejsce obok.

Lecz po chwili, nizki, znajomy głos ozwał się z drugiej strony:

— Bądź pozdrowiona najpiękniejsza z dziewic na ziemi i z gwiazd na niebie! Bądź pozdrowiona boska Kallino!

Ligia, oprzytomniawszy nieco, spojrzała: obok niej spoczywał Winicyusz.

Był bez togi, albowiem wygoda i zwyczaj nakazywały zrzucać togi do uczty. Ciało okrywała mu tylko szkarłatna tunika bez rękawów, wyszyta w srebrne palmy. Ramiona miał nagie, ozdobione obyczajem wschodnim dwoma szerokimi złotymi naramiennikami, upiętymi powyżej łokci, niżej, starannie oczyszczone z włosów, gładkie, lecz zbyt muskularne, prawdziwe ramiona żołnierza, stworzone do miecza i tarczy. Na głowie nosił wieniec z róż. Ze swemi zrośniętemi nad nosem brwiami, z przepysznemi oczyma i smagłą cerą, był jakby uosobieniem młodości i siły. Ligii wydał się tak piękny, że jakkolwiek pierwsze jej odurzenie już przeszło, zaledwie zdołała odpowiedzieć:

Bądź pozdrowiony, Marku...

On zaś mówił:

— Szczęśliwe oczy moje, które cię widzą; szczęśliwe uszy, które słyszały twój głos, milszy mi od głosu fletni i cytr. Gdyby mi kazano wybierać, kto ma spoczywać przy mnie na tej uczcie, czy ty, Ligio, czy Wenus, wybrałbym ciebie, o boska!

I począł patrzeć na nią, jakby chciał nasycić się jej widokiem i palił ją oczyma. Wzrok jego ześlizgiwał się z jej twarzy na szyję i obnażone ramiona, pieścił jej śliczne kształty, lubował się nią, ogarniał ją, pochłaniał, lecz, obok żądzy, świeciło w nim szczęście i rozmiłowanie, i zachwyt bez granic.

— Wiedziałem, że cię zobaczę w domu Cezara — mówił dalej — a jednak, gdym cię ujrzał, całą duszą moją wstrząsnęła taka radość, jakby mnie całkiem niespodziane szczęście spotkało.

Ligia, oprzytomniawszy, i czując, że w tym tłumie, i w tym domu jest on jedyną blizką jej istotą, poczęła mówić z nim i wypytywać go o wszystko, co było dla niej niezrozumiałem i co przejmowało ją strachem. Skąd wiedział, że ją znajdzie w domu Cezara i dlaczego ona tu jest? Dlaczego Cezar odebrał ją Pomponii? Ona się tu boi i chce do niej powrócić. Umarłaby z tęsknoty i niepokoju, gdyby nie nadzieja, że Petroniusz i on wstawią się za nią do Cezara.

Winicyusz tłómaczył jej, iż o jej porwaniu dowiedział się od samego Aulusa. Dlaczego ona tu jest, nie wie. Cezar nikomu nie zdaje sprawy ze swoich rozporządzeń i rozkazów. Jednakże, niechaj się nie boi. Oto on, Winicyusz, jest przy niej i pozostanie przy niej. Wolałby stracić oczy, niż jej nie widzieć, wolałby stracić życie, niż ją opuścić. Ona jest jego duszą, więc będzie jej strzegł jak własnej duszy. Zbuduje jej u siebie w domu ołtarz, jak swemu bóstwu, na którym będzie ofiarował myrrę i aloes, a wiosną sasanki i kwiat jabłoni... A skoro się boi domu Cezara, więc jej przyrzeka, że w domu tym nie pozostanie.

A jakkolwiek mówił wykrętnie i chwilami zmyślał, w głosie jego czuć było prawdę, ponieważ uczucia jego były prawdziwe. Ogarniała go także szczera litość i słowa jej wnikały mu do duszy tak, że gdy zaczęła dziękować i zapewniać go, że Pomponia pokochała go za jego dobroć, a ona sama będzie mu całe życie wdzięczna, nie mógł opanować wzruszenia i zdawało mu się, że nigdy w życiu nie potrafi się oprzeć jej prośbie. Serce poczęło w nim topnieć. Piękność jej upajała jego zmysły i pragnął jej, lecz zarazem czuł, że jest mu bardzo droga i że naprawdę mógłby ją wielbić, jak bóstwo; czuł również niepohamowaną potrzebę mówienia o jej piękno-

ści i o swem dla niej uwielbieniu, że zaś gwar przy uczcie wzmagał się, więc, przysunąwszy się bliżej, począł jej szeptać wyrazy dobre, słodkie, płynące z głębi duszy, dźwięczne, jak muzyka, a upajające, jak wino.

I upajał ją. Wśród tych obcych, którzy ją otaczali, wydawał jej się coraz bliższym, coraz milszym, i zupełnie pewnym, i całą duszą oddanym. Uspokoił ją, obiecał wyrwać z domu Cezara; obiecał, że jej nie opuści i że będzie jej służył. Prócz tego, przedtem, u Aulusów, rozmawiał z nią tylko ogólnie o miłości i o szczęściu, jakie ona dać może, teraz zaś mówił już wprost, że ją kocha, że mu jest najmilszą i najdroższą. Ligia po raz pierwszy słyszała takie słowa z męskich ust i w miarę, jak słuchała, zdawało się jej, że coś budzi się w niej, jak ze snu, że ogarnia ją jakieś szczęście, w którem niezmierna radość miesza się z niezmiernym niepokojem. Policzki jej poczęły pałać, serce bić, usta rozchyliły się jakby z podziwu. Brał ją strach, że takich rzeczy słuchała, a nie chciałaby za nic w świecie uronić jednego słowa. Chwilami spuszczała oczy, to znów podnosiła na Winicyusza wzrok świetlisty, bojaźliwy i zarazem pytający, jakby pragnęła mu powiedzieć: „mów dalej!“ Gwar, muzyka, woń kwiatów, i woń arabskich kadzideł poczęły ją znów odurzać. W Rzymie było zwyczajem spoczywać przy ucztach, lecz w domu Ligia zajmowała miejsce między Pomponią i małym Aulusem, teraz zaś spoczywał obok niej Winicyusz, młody, ogromny, rozkochany, pałający, ona zaś, czując żar, który od niego bił, doznawała zarazem wstydu i rozkoszy. Ogarniała ją jakaś niemoc, jakaś omdlałość i zapomnienie, jakby ją morzył sen.

Lecz blizkość jej poczęła działać i na niego. Twarz mu zbladła. Nozdrza rozdęły mu się, jak u wschodniego konia. Widać i jego serce biło pod szkarłatną tuniką niezwykłem tętnem, bo oddech jego stał się krótki, a wyrazy rwały mu się w ustach. I on po raz pierwszy był tak tuż przy niej. Myśli poczęły mu się mącić; w żyłach czuł płomień, który próżno chciał ugasić winem. Nie wino jeszcze, ale jej cudna twarz, jej nagie ręce, jej dziewczęca pierś, falująca pod złotą tuniką, i jej postać ukryta w białych fałdach peplum, upajały go coraz więcej. Wreszcie objął jej rękę powyżej kostki, jak

to raz już uczynił w domu Aulusów i, ciągnąc ją ku sobie, począł szeptać drżącemi wargami:

— Ja ciebie kocham, Kallino... boska moja!...

— Marku, puść mnie — rzekła Ligia.

On zaś mówił dalej z oczyma zaszłemi mgłą:

— Boska moja! — Kochaj mnie...

Lecz w tej chwili ozwał się głos Akte, która spoczywała z drugiej strony Ligii:

— Cezar patrzy na was.

Winicyusza porwał nagły gniew i na Cezara i na Akte. Oto słowa jej rozproszyły czar upojenia. Młodemu człowiekowi nawet przyjazny głos wydałby się w takiej chwili natrętnym, sądził zaś, że Akte pragnie umyślnie przeszkodzić jego rozmowie z Ligią.

Więc, podniósłszy głowę i spojrzawszy na młodą wyzwolenicę poprzez ramiona Ligii, rzekł ze złością:

— Minął czas, Akte, gdyś na ucztach spoczywała obok Cezara i mówią, że ci grozi ślepota, więc jakże możesz go dojrzeć?

A ona odpowiedziała jakby ze smutkiem:

— Widzę go jednak... On także ma krótki wzrok, i patrzy na was przez szmaragd.

Wszystko, co czynił Nero, wzbudzało czujność, nawet w jego najbliższych, więc Winicyusz zaniepokoił się, ochłonął — i począł spoglądać nieznacznie w stronę Cezara. Ligia, która na początku uczty, widziała go ze zmieszania, jak przez mgłę, a potem, pochłonięta przez obecność i rozmowę Winicyusza, nie patrzyła nań wcale, teraz zwróciła także ku niemu zarazem ciekawe i przestraszone oczy.

Akte mówiła prawdę. Cezar, pochylony nad stołem i zmrużywszy jedno oko, a trzymając palcami przy drugiem okrągły wypolerowany szmaragd, którym stale się posługiwał, patrzył na nich. Na chwilę wzrok jego spotkał się z oczyma Ligii i serce dziewczyny ścisnęło się przerażeniem. Gdy, dzieckiem jeszcze, bywała w wiejskiej sycylijskiej posiadłości Aulusów, stara niewolnica egipska opowiadała jej o smokach, zamieszkujących czeluście gór, i otóż teraz wydało jej się, że nagle spojrzało na nią zielonawe oko takiego smoka. Dłonią chwyciła rękę Winicyusza, jak dziecko, które się boi, a do głowy poczęły jej się cisnąć bezładne i szybkie wrażenia:

Więc to był on? ten straszny i wszechmocny? Nie widziała go dotąd nigdy, a myślała, że wygląda inaczej. Wyobrażała sobie jakieś okropne oblicze, ze skamieniałą w rysach złością; tymczasem ujrzała wielką, osadzoną na grubym karku głowę, straszną wprawdzie, ale niemal śmieszną, albowiem podobną z daleka do głowy dziecka. Tunika ametystowej barwy, zabronionej zwykłym śmiertelnikom, rzucała sinawy odblask na jego szeroką i krótką twarz. Włosy miał ciemne, utrefione modą, zaprowadzoną przez Othona, w cztery rzędy pukli. Brody nie nosił, gdyż przed niedawnym czasem poświęcił ją Jowiszowi, za co cały Rzym składał mu dziękczynienie, jakkolwiek po cichu szeptano sobie, iż poświęcił ją dlatego, że, jak wszyscy z jego rodziny, zarastał na czerwono. W jego silnie występującem nad brwiami czole, było jednak coś olimpijskiego. W ściągniętych brwiach znać było świadomość wszechmocy; lecz pod tem czołem półboga mieściła się twarz małpy, pijaka i komedyanta, próżna, pełna zmiennych żądz, zalana mimo młodego wieku tłuszczem, a jednak chorobliwa i plugawa. Ligii wydał się złowrogim, lecz przedewszystkiem ohydnym.

Po chwili położył szmaragd i przestał patrzeć na nią. Wówczas ujrzała jego wypukłe niebieskie oczy, mrużące się pod nadmiarem światła, szkliste, bez myśli, podobne do oczu umarłych.

On zaś, zwróciwszy się do Petroniusza, rzekł:

— Czy to jest owa zakładniczka, w której się kocha Winicyusz?

— To ona — odrzekł Petroniusz.

— Jak się nazywa jej naród?

— Ligowie.

— Winicyusz uważa ją za piękną?

— Przybierz w niewieście peplum spróchniały pień oliwny, a Winicyusz uzna go za piękny. Ale na twojem obliczu, o znawco niezrównany, czytam już wyrok na nią! Nie potrzebujesz go ogłaszać! Tak jest! za sucha! chuderlawa, istna makówka na cienkiej łodydze, a ty, boski esteto, cenisz w kobiecie łodygę, i po trzykroć, po czterykroć masz słuszność! Sama twarz nic nie znaczy. Jam dużo skorzystał przy tobie, ale tak pewnego rzutu oka nie mam jeszcze... I gotówem oto się założyć z Tuliuszem Senecyonem o jego ko-

chankę, że jakkolwiek przy uczcie, gdy wszyscy leżą, trudno o całej postaci wyrokować, ty jużeś sobie powiedział: „za wązka w biodrach".

— Za wązka w biodrach — odrzekł, przymykając oczy, Nero.

Na ustach Petroniusza pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech, zaś Tuliusz Senecyo, który był zajęty aż do tej chwili rozmową z Westynusem, a raczej przedrwiwaniem snów, w które Westynus wierzył, zwrócił się do Petroniusza i, chociaż nie miał najmniejszego pojęcia, o co chodzi, rzekł:

— Mylisz się! — ja trzymam z Cezarem.

— Dobrze — odparł Petroniusz. — Dowodziłem właśnie, że masz szczyptę rozumu, Cezar zaś twierdzi, iż jesteś osłem bez domieszki.

— Habet! — rzekł Nero, śmiejąc się i zwracając w dół wielki palec ręki, jak to czyniło się w cyrkach na znak, że gladyator otrzymał cios i ma być dobity.

A Westynus, sądząc, że mowa ciągle o snach, zawołał:

— A ja wierzę w sny i Seneka mówił mi kiedyś, że wierzy także.

— Ostatniej nocy śniło mi się, żem została westalką — rzekła, przechylając się przez stół, Kalwia Kryspinilla.

Na to Nero począł bić w dłonie, inni poszli za jego przykładem i przez chwilę naokół rozlegały się oklaski, albowiem Kryspinilla, kilkakrotna rozwódka, znana była ze swej bajecznej rozpusty w całym Rzymie.

Lecz ona, nie zmieszawszy się bynajmniej, rzekła:

— I cóż! Wszystkie one stare i brzydkie. Jedna Rubrya do ludzi podobna, a tak byłoby nas dwie, chociaż i Rubrya dostaje latem piegów.

— Pozwól jednak, przeczysta Kalwio — rzekł Petroniusz — iż westalką mogłaś zostać chyba przez sen.

— A gdyby Cezar kazał?

— Uwierzyłbym, że sprawdzają się sny nawet najdziwaczniejsze.

— Bo się sprawdzają — rzekł Westynus. — Rozumiem ludzi, którzy nie wierzą w bogów, ale jak można nie wierzyć w sny?

— A wróżby? — spytał Nero. — Wróżono mi nie-

gdyś, że Rzym przestanie istnieć, a ja będę panował nad całym Wschodem.

— Wróżby i sny, to się ze sobą łączy — mówił Westynus. — Raz, jeden prokonsul, wielki niedowiarek, posłał do świątyni Mopsusa niewolnika z opieczętowanym listem, którego nie pozwolił otwierać, by sprawdzić, czy bożek potrafi odpowiedzieć na pytanie w liście zawarte. Niewolnik przespał noc w świątyni, by mieć sen wróżebny, poczem wrócił i rzekł tak: Śnił mi się młodzian, jasny jak słońce, który rzekł mi jeden tylko wyraz: „czarnego". Prokonsul, usłyszawszy to, zbladł — i, zwracając się do swych gości, równych mu niedowiarków, powiedział: „Czy wiecie, co było w liście?"

Tu Westynus przerwał i, podniósłszy czaszę z winem, począł pić.

— Co było w liście? — spytał Senecyo.

— W liście było pytanie: „Jakiego byka mam ofiarować: białego, czy czarnego?"

Lecz zajęcie, wzbudzone opowiadaniem, przerwał Witeliusz, który, przyszedłszy już podpity na ucztę, wybuchnął nagle bez żadnego powodu bezmyślnym śmiechem.

— Z czego ta beczka łoju śmieje się? — spytał Nero.

— Śmiech odróżnia ludzi od zwierząt — rzekł Petroniusz — a on nie ma innego dowodu, że nie jest wieprzem.

Witeliusz zaś urwał wpół śmiechu i cmokając świecącemi od sosów i tłuszczów wargami, począł spoglądać na obecnych z takiem zdumieniem, jakby ich nigdy przedtem nie widział.

Następnie podniósł swą podobną do poduszki dłoń i rzekł ochrypłym głosem:

— Spadł mi z palca rycerski pierścień po ojcu.

— Który był szewcem — dodał Nero.

Lecz Witeliusz wybuchnął znowu niespodzianym śmiechem i począł szukać pierścienia w peplum Kalwii Kryspinilli.

Na to Watyniusz jął udawać okrzyki przestraszonej kobiety, Nigidya zaś, przyjaciółka Kalwii, młoda wdowa z twarzą dziecka, a oczyma nierządnicy, rzekła w głos:

— Szuka, czego nie zgubił.

— I co mu się na nic nie przyda, choćby znalazł — dokończył poeta Lukan.

Uczta stawała się weselszą. Tłumy niewolników roznosiły coraz nowe dania; z wielkich waz, napełnionych śniegiem i okręconych bluszczem, wydobywano co chwila mniejsze kratery z licznymi gatunkami win. Wszyscy pili obficie. Z pułapu na stół i na biesiadników spadały raz w raz róże.

Petroniusz począł jednak prosić Nerona, by, nim goście się popiją, uszlachetnił ucztę swym śpiewem. Chór głosów poparł jego słowa, ale Nero począł się wzbraniać. Nie o samą odwagę chodzi, chociaż brak mu jej zawsze... Bogowie wiedzą, ile go kosztują wszelkie popisy... Nie uchyla się wprawdzie od nich, boć trzeba coś uczynić dla sztuki, i zresztą, jeśli Apollo obdarzył go pewnym głosem, to darów bożych nie godzi się marnować. Rozumie nawet, że jest to jego obowiązkiem względem państwa. Ale dziś jest naprawdę zachrypnięty. W nocy położył sobie ołowiane ciężarki na piersiach, ale i to nie pomogło... Myśli nawet jechać do Ancyum, by odetchnąć morskiem powietrzem.

Lecz Lukan począł go zaklinać w imię sztuki i ludzkości. Wszyscy wiedzą, że boski poeta i śpiewak ułożył nowy hymn do Wenus, wobec którego lukrecyuszowy jest skomleniem rocznego wilczęcia. Niechże ta uczta będzie prawdziwą ucztą. Władca, tak dobry, nie powinien zadawać takich mąk swym poddanym: „Nie bądź okrutnikiem, Cezarze!"

— Nie bądź okrutnikiem! — powtórzyli wszyscy siedzący bliżej.

Nero rozłożył ręce, na znak, że musi ustąpić. Wówczas wszystkie twarze ubrały się w wyraz wdzięczności, a wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Lecz on kazał jeszcze przedtem oznajmić Poppei, że będzie śpiewał, obecnym zaś oświadczył, że nie przyszła ona na ucztę, bo nie czuła się zdrową, ponieważ jednak żadne lekarstwo nie sprawia jej takiej ulgi, jak jego śpiew, przeto żalby mu było pozbawiać ją sposobności.

Jakoż Poppea nadeszła niebawem. Władała ona dotąd Neronem, jak poddanym, wiedziała jednak, że, gdy chodziło o jego miłość własną, jako śpiewaka, woźnicy lub poety, niebezpiecznie byłoby ją zadraźnić. Weszła więc, piękna jak bóstwo, przybrana, równie jak Nero, w ametystowej barwy

szatę i w naszyjnik z olbrzymich pereł, złupiony niegdyś na Masynissie, złotowłosa, słodka i, jakkolwiek po dwóch mężach rozwódka, z twarzą i wejrzeniem dziewicy.

Witano ją okrzykami i mianem „boskiej Augusty". Ligia nigdy w życiu nie widziała nic równie pięknego i oczom własnym nie chciało jej się wierzyć, albowiem wiadomo jej było, że Poppea Sabina jest jedną z najniegodziwszych w świecie kobiet. Wiedziała od Pomponii, że ona doprowadziła Cezara do zamordowania matki i żony, znała ją z opowieści Aulusowych gości i służby; słyszała, że jej to posągi obalano po nocach w mieście; słyszała o napisach, których sprawców skazywano na najcięższe kary, a które jednak zjawiały się każdego rana na murach miasta. Tymczasem teraz, na widok tej osławionej Poppei, uważanej przez wyznawców Chrystusa za wcielenie zła i zbrodni, wydało jej się, że tak mogli wyglądać aniołowie lub jakieś duchy niebiańskie. Po prostu nie umiała od niej oderwać oczu, a z ust mimowoli wyrwało się jej pytanie:

— Ach, Marku, czy to być może?...

On zaś, podniecony winem i jakby zniecierpliwiony, że tyle rzeczy rozpraszało jej uwagę i odrywało ją od niego i od jego słów, mówił:

— Tak, ona piękna, aleś ty stokroć piękniejsza. Ty się nie znasz, inaczej zakochałabyś się w sobie, jak Narcyz... Ona się kąpie w mleku oślic, a ciebie chyba Wenus wykąpała we własnem. Ty się nie znasz, *ocelle mi!*... Nie patrz na nią. Zwróć oczy ku mnie, *ocelle mi!*... Dotknij ustami tej kruży wina, a potem ja oprę na tem samem miejscu moje...

I przysuwał się coraz bliżej, a ona poczęła się cofać ku Akte. Ale w tej chwili nakazano ciszę, albowiem Cezar powstał. Śpiewak Dyodor podał mu lutnię z rodzaju zwanych delta, drugi, Terpnos, który miał mu towarzyszyć w graniu, zbliżył się z instrumentem, zwanym nablium, Nero zaś, oparłszy deltę o stół, wzniósł oczy w górę i przez chwilę w tryklinium zapanowała cisza, przerywana tylko szmerem, jaki wydawały spadające wciąż z pułapu róże.

Poczem ją śpiewać, a raczej mówić śpiewnie i rytmicznie, przy odgłosie dwóch lutni, swój hymn do Wenus. Ani głos, lubo nieco przyćmiony, ani wiersz, nie były złe, tak, że biedną Ligię znowu opanowały wyrzuty sumienia, albo-

wiem hymn, jakkolwiek sławiący nieczystą pogańską Wenus, wydał się jej aż nadto piękny, a i sam Cezar, ze swoim wieńcem laurowym na czole i wzniesionemi oczyma, wspanialszym, daleko mniej strasznym i mniej ohydnym, niż na początku uczty.

Lecz biesiadnicy ozwali się grzmotem oklasków. Wołania: „o głosie niebiański!“ rozległy się naokół; niektóre z kobiet, podniósłszy dłonie w górę, pozostały tak, na znak zachwytu, nawet po skończeniu śpiewu; inne obcierały załzawione oczy; w całej sali zawrzało jak w ulu. Poppea, schyliwszy swą złotowłosą główkę, podniosła do ust rękę Nerona i trzymała ją długo w milczeniu, młody zaś Pitagoras, Grek przecudnej urody, ten sam, z którym później nawpół już obłąkany Nero kazał sobie dać ślub flaminom, z zachowaniem wszelkich obrzędów, ukląkł teraz u jego nóg.

Lecz Nero patrzył pilnie na Petroniusza, którego pochwały przedewszystkiem były mu zawsze pożądane, ów zaś rzekł:

— Jeśli chodzi o muzykę, Orfeusz musi być w tej chwili tak żółty z zazdrości, jak tu obecny Lukan, a co do wierszy, żałuję, że nie są gorsze, bo możebym znalazł wówczas odpowiednie na ich pochwałę słowa.

Lecz Lukan nie wziął mu za złe wzmianki o zazdrości, owszem, spojrzał na niego z wdzięcznością i, udając zły humor, począł mruczeć:

— Przeklęte fatum, które kazało mi żyć współcześnie z takim poetą. Miałby człek miejsce w pamięci ludzkiej i na Parnasie, a tak, zgaśnie, jak gaśnie kaganek przy słońcu.

Petroniusz jednak, który miał pamięć zadziwiającą, począł powtarzać ustępy z hymnu, cytować pojedyńcze wiersze, podnosić i rozbierać piękniejsze wyrażenia. Lukan, zapomniawszy niby o zazdrości wobec uroku poezyi, dołączył do jego słów swoje zachwyty. Na twarzy Nerona odbiła się rozkosz i bezdenna próżność, nietylko granicząca z głupotą, lecz zupełnie jej równa. Sam podsuwał im wiersze, które uważał za najpiękniejsze, a wreszcie jął pocieszać Lukana i mówić mu, by nie tracił odwagi, bo, jakkolwiek czem się kto urodzi, tem jest, jednakże cześć, jaką ludzie oddają Jowiszowi, nie wyłącza czci innych bogów.

Poczem wstał, by odprowadzić Poppeę, która będąc

istotnie niezdrową, pragnęła odejść. Wszelako biesiadnikom, którzy pozostali, rozkazał zająć znów miejsca i zapowiedział, że wróci. Jakoż wrócił po chwili, by odurzać się dymem kadzideł i patrzeć na dalsze widowiska, jakie on sam, Petroniusz lub Tygellinus przygotowali na ucztę.

Czytano znów wiersze lub słuchano dyalogów, w których dziwactwo zastępowało dowcip. Zaczem słynny mima, Parys, przedstawiał przygody Iony, córki Inacha. Gościom, a zwłaszcza Ligii, nieprzywykłej do podobnych widowisk, wydało się, że widzą cuda i czary. Parys ruchami rąk i ciała umiał wyrażać rzeczy, napozór do wyrażenia w tańcu niemożliwe. Dłonie jego zamąciły powietrze, tworząc chmurę świetlistą, żywą, pełną drgań, lubieżną, otaczającą nawpół omdlały dziewiczy kształt, wstrząsany spazmem rozkoszy. Był to obraz nie taniec, obraz jasny, odsłaniający tajnie miłości, czarowny i bezwstydny, a gdy po jego ukończeniu weszli korybanci i rozpoczęli z syryjskiemi dziewczętami, przy odgłosie cytr, fletni, cymbałów i bębenków, taniec bachiczny, pełen dzikich wrzasków i dzikszej jeszcze rozpusty, Ligii wydało się, że spali ją żywy ogień, że piorun powinien uderzyć w ten dom, lub pułap zapaść się na głowy biesiadników.

Lecz ze złotego niewodu, upiętego pod pułapem, padały tylko róże, a natomiast nawpół pijany już Winicyusz mówił jej:

— Widziałem cię w domu Aulusów przy fontannie i pokochałem cię. Był świt i myślałaś, że nikt nie patrzy, a jam cię widział... I widzę cię taką dotąd, chociaż kryje mi cię to peplum. Zrzuć peplum, jak Kryspinilla. Widzisz! Bogowie i ludzie szukają miłości. Niema, prócz niej, nic w świecie! Oprzyj mi głowę na piersiach i zmruż oczy.

A jej tętna biły ciężko w skroniach i rękach. Ogarniało ją wrażenie, że leci w jakąś przepaść, a ten Winicyusz, który przedtem wydawał jej się tak blizkim i pewnym, zamiast ratować, ciągnie ją do niej. I uczuła do niego żal. Poczęła się znów bać i tej uczty, i jego, i siebie samej. Jakiś głos, podobny do głosu Pomponii, wołał jeszcze w jej duszy: Ligio! ratuj się! ale coś mówiło jej także, że już zapóźno, i że kogo obwiał podobny płomień, kto to wszystko, co działo się na tej uczcie, widział, w kim serce tak biło, jak biło w niej, gdy słuchała słów Winicyusza, i kogo przejmował

taki dreszcz, jaki przejmował ją, gdy on przybliżał się do niej, ten jest już zgubiony bez ratunku. Czyniło jej się słabo. Chwilami zdawało jej się, że zemdleje, a potem stanie się coś strasznego. Wiedziała, że, pod groźbą gniewu Cezara, nie wolno nikomu wstać, póki nie wstanie Cezar, ale choćby i tak nie było, nie miałaby już na to sił.

Tymczasem do końca uczty było daleko. Niewolnicy przynosili jeszcze nowe dania i ustawicznie napełniali krużе winem, a przed stołem ustawionym w otwartą z jednej strony klamrę, zjawili się dwaj atleci, by dać gościom widok zapasów.

I wnet poczęli się zmagać. Potężne, świecące od oliwy ciała, utworzyły jedną bryłę, kości ich chrzęściały w żelaznych ramionach, z zaciśniętych szczęk wydobywał się zgrzyt złowrogi. Chwilami słychać było szybkie, głuche uderzenia ich stóp o przytrząśniętą szafranem podłogę, to znów stawali nieruchomie, cichli, i widzom wydawało się, że mają przed sobą grupę wykutą z kamienia. Oczy Rzymian z lubością śledziły grę straszliwie napiętych grzbietów, łyd i ramion. Lecz walka nie trwała zbyt długo, albowiem Kroto, mistrz i przełożony szkoły gladyatorów, niepróżno uchodził za najsilniejszego w państwie człowieka. Przeciwnik jego począł oddychać coraz śpieszniej, potem rzęzić, potem twarz mu posiniała, wreszcie wyrzucił krew ustami i zwisł.

Grzmot oklasków powitał koniec walki, zaś Kroto, oparłszy stopy na plecach przeciwnika, skrzyżował olbrzymie ramiona na piersiach i toczył oczyma tryumfatora po sali.

Weszli następnie udawacze zwierząt i ich głosów, kuglarze i błazny, lecz mało na nich patrzano, gdyż wino ćmiło już oczy patrzących. Uczta zmieniała się stopniowo w pijacką i rozpustną orgię. Syryjskie dziewczęta, które poprzednio tańczyły taniec bachiczny, pomieszały się z gośćmi. Muzyka zmieniła się w bezładny i dziki hałas cytr, lutni, cymbałów armeńskich, sistr egipskich, trąb i rogów, gdy zaś niektórzy z biesiadników pragnęli rozmawiać, poczęto krzyczeć na muzykantów, by poszli precz. Powietrze przesycone zapachem kwiatów, pełne woni olejków, którymi śliczne pocholęta przez czas uczty skrapiały stopy biesiadników, przesycone szafranem i wyziewami ludzkimi, stało się duszne; lampy paliły

się mdłym płomieniem, poprzekrzywiały się wieńce na czołach, twarze pobladły i pokryły się kroplami potu.

Witeliusz zwalił się pod stół. Nigidya, obnażywszy się do wpół ciała, wsparła swą pijaną dziecinną głowę na piersi Lukana, a ów, równie pijany, począł zdmuchiwać złoty puder z jej włosów, podnosząc oczy z niezmierną uciechą ku górze. Westynus z uporem pijaka powtarzał po raz dziesiąty odpowiedź Mopsusa na zapieczętowany list prokonsula, Tuliusz zaś, który drwił z bogów, mówił przerywanym przez czkawkę, rozwlekłym głosem:

— Bo, jeśli Sferos Xenofanesa jest okrągły, to uważasz, takiego boga można toczyć nogą przed sobą jak beczkę.

Lecz Domicyusz Afer, stary złodziej i donosiciel, oburzył się tą rozmową i z oburzenia polał sobie falernem całą tunikę. On zawsze wierzył w bogów. Ludzie mówią. że Rzym zginie, a są nawet tacy, którzy twierdzą, że już ginie. I pewno!... Ale jeśli to nastąpi, to dlatego, że młodzież nie ma wiary, a bez wiary nie może być cnoty. Zaniechano także dawnych surowych obyczajów i nikomu nie przychodzi do głowy, że epikurejczycy nie oprą się barbarzyńcom. A to darmo! Co do niego, żałuje, że dożył takich czasów, i że w uciechach szukać musi obrony przed zmartwieniami, które inaczej rychłoby sobie dały z nim rady.

To rzekłszy, przygarnął ku sobie syryjską tancerkę i bezzębnemi ustami począł całować jej kark i plecy, co widząc konsul Memmiusz Regulus, roześmiał się i, podniósłszy swą łysinę, przybraną w wieniec na bakier, rzekł:

— Kto mówi, że Rzym ginie?... Głupstwo!... Ja, konsul, wiem najlepiej... *Videant consules!...* trzydzieści legii strzeże naszej *pax romana!...*

Tu przyłożył pięści do skroni i począł krzyczeć na całą komnatę:

— Trzydzieści legii! — trzydzieści legii!... od Brytanii do granic Partów!

Lecz nagle zastanowił się i, przyłożywszy palec do czoła, rzekł:

— A bodaj, że nawet trzydzieści dwie...

I stoczył się pod stół, gdzie po chwili począł oddawać języki flamingów, pieczone rydze, mrożone grzyby, szarańcze na miodzie, ryby, mięsiwa i wszystko, co zjadł lub wypił.

Domicyusza nie uspokoiła jednak ilość legii, strzegących rzymskiego pokoju: „Nie nie! Rzym musi zginąć, bo zginęła wiara w bogów i surowy obyczaj! Rzym musi zginąć, a szkoda! bo życie jednak jest dobre, Cezar łaskawy, wino dobre! ach, co za szkoda!!"

I, ukrywszy głowę w łopatki syryjskiej bachantki, rozpłakał się:

— Co tam to życie przyszłe!... Achilles miał słuszność, że lepiej jest być parobkiem w podsłonecznym świecie, niż królować w kimeryjskich krainach. A i to pytanie, czy istnieją jacy bogowie, chociaż niewiara gubi młodzież.

Lukan tymczasem rozdmuchał wszystek złoty puder z włosów Nigidyi, która, spiwszy się, usnęła. Następnie zdjął zwoje bluszczów ze stojącej przed nim wazy i obwinął w nie śpiącą, a po dokonaniu tego dzieła, jął patrzeć na obecnych wzrokiem rozradowanym i pytającym.

Poczem ustroił i siebie w bluszcz, powtarzając tonem głębokiego przekonania:

— Wcale nie jestem człowiekiem, tylko faunem.

Petroniusz nie był pijany, ale Nero, który z początku pił ze względu na swój „niebieski" głos mało, pod koniec wychylał czaszę po czaszy i upił się. Chciał nawet śpiewać dalej swe wiersze, tym razem greckie, ale ich zapomniał i przez omyłkę zaśpiewał piosnkę Anakreona. Wtórowali mu do niej Pitagoras, Dyodor i Terpnos, ale ponieważ wszystkim nie szło, więc dali spokój. Nero natomiast począł się zachwycać, jako znawca i esteta, urodą Pitagorasa, i z zachwytu całować go po rękach. Tak piękne ręce widział tylko niegdyś... u kogoś?...

I przyłożywszy dłoń do mokrego czoła, począł sobie przypominać. Po chwili, na twarzy jego odbił się strach:

— Aha! u matki! u Agrypiny!

I nagle opanowały go posępne widzenia.

— Mówią — rzekł — że ona nocami chodzi przy księżycu po morzu, koło Bajów i Bauli... Nic, tylko chodzi, chodzi, jakby czego szukała. A jak zbliży się do łódki, to popatrzy i odejdzie, ale rybak, na którego spojrzała, umiera.

— Niezły temat — rzekł Petroniusz.

Westynus zaś, wyciągnąwszy szyję, jak żóraw, szeptał tajemniczo:

— Nie wierzę w bogów, ale wierzę w duchy — oj!

Lecz Nero nie uważał na ich słowa i mówił dalej:

— Przecie odbyłem lemuralia. Nie chcę jej widzieć! To już piąty rok. Musiałem, musiałem ją skazać, bo nasłała na mnie mordercę i gdybym jej nie był uprzedził, nie słyszelibyście dziś mego śpiewu.

— Dzięki, Cezarze, w imieniu miasta i świata — zawołał Domicyusz Afer.

— Wina! i niech uderzą w tympany.

Hałas wszczął się na nowo. Lukan cały w bluszczach, chcąc go przekrzyczeć, wstał i począł wołać:

— Nie jestem człowiekiem, jeno faunem i mieszkam w lesie! E...cho...oooo!

Spił się wreszcie Cezar, spili się mężczyźni i kobiety. Winicyusz niemniej był pijany od innych, a w dodatku obok żądzy, budziła się w nim chęć do kłótni, co zdarzało mu się zawsze, ilekroć przebrał miarę. Jego czarniawa twarz stała się jeszcze bledszą i język plątał mu się już, gdy mówił głosem podniesionym już i rozkazującym:

— Daj mi usta! Dziś, jutro, wszystko jedno!... Dość tego! Cezar wziął cię od Aulusów, by cię darować mnie, rozumiesz! Jutro o zmroku przyślę po ciebie, rozumiesz!... Cezar mi cię obiecał, nim cię wziął... Musisz być moją! Daj mi usta! nie chcę czekać jutra... daj prędko usta!

I objął ją, ale Akte poczęła jej bronić, a i ona sama broniła się ostatkiem sił, bo czuła, że ginie. Próżno jednak usiłowała obu rękoma zdjąć z siebie jego bezwłose ramię; próżno głosem, w którym drgał żal i strach, błagała go, by nie był takim, jak jest, i by miał nad nią litość. Przesycony winem oddech, oblewał ją coraz bliżej, a twarz jego znalazła się tuż koło jej twarzy. Nie był to już dawny, dobry i niemal drogi duszy Winicyusz, ale pijany, zły satyr, który napełniał ją przerażeniem i wstrętem.

Siły jednak opuszczały ją coraz bardziej. Daremnie, przechyliwszy się, odwracała twarz, by uniknąć jego pocałunków. On podniósł się, chwycił ją w oba ramiona, i przyciągnąwszy jej głowę ku piersiom, począł, dysząc, rozgniatać ustami jej zbladłe usta.

Lecz w tejże chwili jakaś straszna siła odwinęła jego ramiona z jej szyi z taką łatwością, jakby to były ramiona dziecka, jego zaś odsunęła na bok, jak suchą gałązkę lub

zwiędły liść. Co się stało? Winicyusz przetarł zdumione oczy i nagle ujrzał nad sobą olbrzymią postać Liga, zwanego Urzusem, którego poznał w domu Aulusów.

Lig stał spokojny i tylko patrzył na Winicyusza błękitnemi oczyma tak dziwnie, iż młodemu człowiekowi krew ścięła się w żyłach, poczem wziął na ręce swą królewnę i krokiem równym, cichym, wyszedł z tryklinium.

Akte w tej chwili wyszła za nim.

Winicyusz siedział przez mgnienie oka, jak skamieniały, poczem zerwał się i począł biedz ku wyjściu:

— Ligio! Ligio!...

Lecz żądza, zdumienie, wściekłość i wino podcięły mu nogi. Zatoczył się raz i drugi, poczem chwycił za nagie ramiona jednej z bachantek i począł pytać, mrugając oczyma:

— Co się stało?

A ona, wziąwszy krużę z winem, podała mu ją z uśmiechem w zamglonych oczach:

— Pij! — rzekła.

Winicyusz wypił i zwalił się z nóg.

Większa część gości leżała już pod stołem; inni chodzili chwiejnym krokiem po tryklinium, inni spali na sofach stołowych, chrapiąc lub oddając przez sen zbytek wina, a na pijanych konsulów i senatorów, na pijanych rycerzy, poetów, filozofów, na pijane tancerki i patrycyuszki, na cały ten świat, wszechwładny jeszcze, ale już bezduszny, uwieńczony i rozpasany, ale już gasnący, ze złotego niewodu, upiętego pod pułapem, kapały i kapały wciąż róże.

Na dworze poczęło świtać.

ROZDZIAŁ VIII.

Urzusa nikt nie zatrzymał, nikt nie zapytał nawet, co czyni. Ci z gości, którzy nie leżeli pod stołem, nie pilnowali już swych miejsc, więc służba, widząc olbrzyma, niosącego na ręku biesiadniczkę, sądziła, że to jakiś niewolnik wynosi pijaną swoją panią. Zresztą Akte szła z nimi i obecność jej usuwała wszelkie podejrzenia.

W ten sposób wyszli z tryklinium do przyległej komnaty, a stamtąd na galeryę, wiodącą do mieszkania Akte.

Ligię opuściły siły tak dalece, że ciężyła, jak martwa na ramieniu Urzusa. Ale, gdy oblało ją chłodne i czyste poranne powietrze, otworzyła oczy. Na świecie czyniło się coraz widniej. Po chwili, idąc kolumnadą, skręcili w boczny portyk, wychodzący nie na dziedziniec, ale na pałacowe ogrody, w których wierzchołki pinii i cyprysów rumieniły się już od zorzy porannej. W tej części gmachu było pusto, a odgłosy muzyki i wrzaski biesiadne dochodziły ich coraz niewyraźniej. Ligii wydało się, że wyrwano ją z piekła i wyniesiono na jasny świat boży. Było jednak coś poza tem ohydnem tryklinium. Było niebo, zorze, światło i cisza. Dziewczynę chwycił nagły płacz i tuląc się do ramienia olbrzyma, poczęła powtarzać ze łkaniem:

— Do domu, Urzusie! do domu, do Aulusów!...

— Pójdziemy! — odrzekł Urzus.

Tymczasem jednak znaleźli się w małem atrium, przynależnem do mieszkania Akte. Tam Urzus posadził Ligię na marmurowej ławce, opodal fontanny, Akte zaś poczęła ją uspokajać i zachęcać do spoczynku, upewniając, że chwilowo nic jej nie grozi, gdyż pijani biesiadnicy będą po uczcie spali do wieczora. Lecz Ligia przez długi czas nie chciała się uspokoić i przycisnąwszy rękoma skronie, powtarzała tylko, jak dziecko:

— Do domu, do Aulusów!...

Urzus był gotów. Przy bramach stoją wprawdzie pretoryanie, ale on i tak przejdzie. Żołnierze nie zatrzymują wychodzących. Przed łukiem mrowi się od lektyk. Ludzie poczną wychodzić całemi kupami. Nikt ich nie zatrzyma. Wyjdą razem z tłumem, i pójdą prosto do domu. Zresztą, co mu tam! Jak królewna każe, tak musi być. Po to on tu jest.

A Ligia powtarzała:

— Tak, Urzusie, wyjdziemy.

Lecz Akte musiała mieć rozum za oboje. Wyjdą! tak! Nikt ich nie zatrzyma. Ale z domu Cezara uciekać nie wolno i kto to czyni, obraża jego majestat. Wyjdą, ale wieczorem centuryon na czele żołnierzy przyniesie wyrok śmierci Aulusowi, Pomponii Grecynie, Ligię zaś zabierze napowrót do pałacu i wówczas już nie będzie dla niej ratunku. Jeśli Aulusowie przyjmą ją pod swój dach, śmierć czeka ich napewno.

Ligii opadły ręce, Nie było rady. Musiała wybierać między zgubą Plaucyuszów, a własną. Idąc na ucztę, miała nadzieję, że Winicyusz i Petroniusz wyproszą ją od Cezara i oddadzą Pomponii, teraz zaś wiedziała, że to oni właśnie namówili Cezara, by ją odebrał Aulusom. Nie było rady. Cud chyba mógł ją wyrwać z tej przepaści. Cud i potęga boża.

— Akte — rzekła z rozpaczą — czy słyszałaś, co mówił Winicyusz, że mu Cezar mnie darował, i że dziś wieczór przyśle po mnie niewolników i zabierze mnie do swego domu?

— Słyszałam — rzekła Akte.

I rozłożywszy ręce, umilkła. Rozpacz, z jaką mówiła Ligia, nie znajdowała w niej echa. Ona sama była przecie kochanką Nerona. Serce jej, jakkolwiek dobre, nie umiało dość odczuć sromoty takiego stosunku. Jako dawna niewolnica, nadto zżyła się z prawem niewoli, a oprócz tego kochała dotąd Nerona. Gdyby chciał powrócić do niej, wyciągnęłaby do niego ręce, jak do szczęścia. Rozumiejąc teraz jasno, że Ligia albo musi zostać kochanką młodego i pięknego Winicyusza, albo narazić siebie i Aulusów na zgubę, nie pojmowała po prostu, jak dziewczyna mogła się wahać.

— W domu Cezara — rzekła po chwili — nie byłoby ci bezpieczniej, niż w domu Winicyusza.

I nie przyszło jej na myśl, że jakkolwiek mówiła prawdę, słowa jej znaczyły: „zgódź się z losem i zostań nałożnicą Winicyusza“. Lecz Ligii, która czuła jeszcze na ustach jego pełne zwierzęcej żądzy i palące, jak węgiel, pocałunki, krew napłynęła ze wstydu na samo wspomnienie o nich do twarzy.

— Nigdy! — zawołała z wybuchem. — Nie zostanę ani tu, ani u Winicyusza, nigdy!

Akte zadziwił ów wybuch:

— Zali — spytała — Winicyusz jest ci tak nienawistny?

Lecz Ligia nie mogła odpowiedzieć, gdyż porwał ją znów płacz. Akte przygarnęła ją do piersi i poczęła uspokajać. Urzus oddychał ciężko i zaciskał olbrzymie pięści, albowiem, kochając z wiernością psa swą królewnę, nie mógł znieść widoku jej łez. W jego ligijskiem, półdzikiem sercu, rodziła się chęć, by wrócić do sali, zdławić Winicyusza, a w ra-

zie potrzeby Cezara, bał się jednak zaofiarować z tem swej pani, nie będąc pewnym, czy taki postępek, który zrazu wydał mu się nader prostym, byłby odpowiednim dla wyznawcy ukrzyżowanego Baranka.

A Akte, utuliwszy Ligię, poczęła znów pytać:

— Zali on ci tak nienawistny?

— Nie — rzekła Ligia — niewolno mi go nienawidzić, bo jestem chrześcijanką.

— Wiem, Ligio. Wiem także z listów Pawła z Tarzu, iż wam niewolno ni się pohańbić, ni bać się więcej śmierci, niż grzechu, ale powiedz mi, czy twoja nauka pozwala śmierć zadawać?

— Nie.

— Więc jakże możesz ściągać pomstę Cezara na dom Aulusów?

Nastała chwila milczenia. Przepaść bez dna otworzyła się przed Ligią na nowo.

Zaś młoda wyzwolenica mówiła dalej:

— Pytam, bo mi cię żal, i żal dobrej Pomponii, i Aulusa, i ich dziecka. Ja dawno żyję w tym domu, i wiem, czem grozi gniew Cezara. Nie! Wy nie możecie stąd uciekać. Jedna ci droga zostaje: błagać Winicyusza, aby cię wrócił Pomponii.

Lecz Ligia obsunęła się na kolana, by błagać kogo innego. Urzus ukląkł po chwili także, i oboje poczęli się modlić, w domu Cezara, przy rannej zorzy.

Akte po raz pierwszy widziała taką modlitwę i nie mogła oczu oderwać od Ligii, która, zwrócona do niej profilem, ze wzniesioną głową i rękoma, patrzyła w niebo, jakby czekając stamtąd ratunku. Świt obrzucił światłem jej ciemne włosy i białe peplum, odbił się w źrenicach i cała w blasku, sama wyglądała jak światło. W jej pobladłej twarzy, w otwartych ustach, we wzniesionych rękach i oczach, znać było jakieś nadziemskie uniesienie. I Akte zrozumiała teraz, dlaczego Ligia nie może zostać niczyją nałożnicą. Przed dawną kochanką Nerona uchylił się jakby róg zasłony, kryjącej świat zgoła inny, niż ów, do którego przywykła. Zdumiewała ją ta modlitwa, w tym domu zbrodni i sromoty. Przed chwilą wydawało się jej, że niema dla Ligii ratunku, teraz zaś poczęła wierzyć, że może stać się coś nadzwyczajnego, że przyjdzie

jakiś ratunek, tak potężny, że i sam Cezar oprzeć mu się nie zdoła, że z nieba zejdą jakieś skrzydlate wojska w pomoc dziewczynie, albo że słońce podściele pod nią promienie i pociągnie ją ku sobie. Słyszała już o wielu cudach między chrześcijanami, i myślała teraz, że widocznie wszystko to prawda, skoro Ligia tak się modli.

Ligia zaś podniosła się wreszcie z twarzą rozjaśnioną nadzieją, Urzus podniósł się także i przykucnąwszy obok ławki, patrzył w swą panią, czekając jej słów.

A jej oczy zaszły mgłą i po chwili dwie wielkie łzy poczęły się toczyć zwolna po jej policzkach.

— Niech Bóg błogosławi Pomponii i Aulusowi — rzekła. — Niewolno mi ściągać zguby na nich, więc nie zobaczę ich nigdy więcej.

Poczem, zwróciwszy się do Urzusa, poczęła mu mówić, iż on jeden zostaje jej teraz na świecie, że musi być teraz jej ojcem i opiekunem. Nie mogą szukać schronienia u Aulusów, albowiem ściągnęliby na nich gniew Cezara. Ale ona nie może pozostać także ni w domu Cezara, ni Winicyusza. Niechże więc Urzus ją weźmie, niech wyprowadzi z miasta, niech ukryje gdzieś, gdzie jej nie znajdzie ni Winicyusz, ni jego słudzy. Ona wszędzie pójdzie za nim, choćby za morza, choćby za góry, do barbarzyńców, gdzie nie słyszano rzymskiego imienia i gdzie władza Cezara nie sięga. Niech ją weźmie i ratuje, bo on jej jeden pozostał.

Lig był gotów i na znak posłuszeństwa, pochyliwszy się, objął jej nogi. Lecz na twarzy Akte, która spodziewała się cudu, odbiło się rozczarowanie. Tyleż tylko sprawiła ta modlitwa? Uciec z domu Cezara, jest to dopuścić się zbrodni obrazy majestatu, która musi być pomszczona, i gdyby nawet Ligia zdołała się ukryć, Cezar pomści się na Aulusach. Jeśli chce uciekać, niech ucieka z domu Winicyusza. Wówczas Cezar, który nie lubi zajmować się cudzemi sprawami, może nawet nie zechce pomagać Winicyuszowi w pościgu, a w każdym razie nie będzie zbrodni obrażonego majestatu.

Lecz Ligia tak właśnie myślała. Aulusowie nie będą nawet wiedzieli, gdzie ona jest, nawet Pomponia. Ucieknie jednak, nie z domu Winicyusza, tylko z drogi. On oświadczył jej po pijanemu, iż wieczorem przyśle po nią swych niewolników. Mówił pewno prawdę, której nie byłby wyznał, gdyby

był trzeźwym. Widocznie on sam, lub może obaj z Petroniuszem widzieli przed ucztą Cezara i wymogli na nim obietnicę, że ją nazajutrz wieczorem wyda. A jeśliby dziś zapomnieli, to przyślą po nią jutro. Ale Urzus ją uratuje. Przyjdzie, wyniesie ją z lektyki, jak wyniósł z tryklinium, i pójdą w świat. Urzusowi nie potrafi się oprzeć nikt. Jemu nie oparłby się nawet ów straszny zapaśnik, który wczoraj zmagał się w tryklinium. Ale że Winicyusz może przysłać bardzo dużo niewolników, więc Urzus pójdzie zaraz do biskupa Linnusa o radę i pomoc. Biskup ulituje się nad nią, nie zostawi jej w rękach Winicyusza i każe chrześcijanom iść z Urzusem na jej ratunek. Odbiją ją i uprowadzą, a potem Urzus potrafi ją wywieść z miasta i ukryć gdzieś przed mocą rzymską.

I twarz jej poczęła się powlekać rumieńcem i śmiać. Otucha wstąpiła w nią na nowo, tak jakby nadzieja ratunku zmieniła się już w rzeczywistość. Nagle rzuciła się na szyję Akte i przyłożywszy swe śliczne usta do jej policzka, poczęła szeptać:

— Ty nas nie zdradzisz, Akte, nieprawda?

— Na cień matki mojej — odpowiedziała wyzwolenica — nie zdradzę was, i proś tylko swego Boga, by Urzus potrafił cię odebrać.

Ale niebieskie, dziecinne oczy olbrzyma świeciły szczęściem. Oto nie potrafił nic wymyśleć, choć łamał swą biedną głowę, ale taką rzecz, to on potrafi. I czy w dzień, czy w nocy, wszystko mu jedno!... Pójdzie do biskupa, bo biskup w niebie czyta, co trzeba, a czego nie trzeba. Ale chrześcijan toby i tak potrafił zebrać. Małoż to on ma znajomych i niewolników i gladyatorów i wolnych ludzi, i na Suburze i za mostami. Zebrałby ich tysiąc, i dwa. I odbije swoją panią, a wyprowadzić ją z miasta także potrafi, i pójść z nią potrafi. Pójdą choćby na koniec świata, choćby tam, skąd są, gdzie i nie słyszał nikt o Rzymie.

Tu począł wpatrywać się przed siebie, jakby chciał dojrzeć jakieś rzeczy przeszłe i niezmiernie odległe, poczem jął mówić:

— Do boru? Hej, jaki bór, jaki bór!...

Lecz po chwili otrząsnął się z widzeń:

Ot, pójdzie zaraz do biskupa, a wieczorem będzie już

w jakie sto głów czatował na lektykę. I niechby ją prowadzili nietylko niewolnicy, ale nawet pretoryanie!! Już tam lepiej nikomu nie podsuwać się pod jego pięści, choćby w żelaznej zbroi... Bo czy to żelazo takie mocne! Jak godnie stuknąć w żelazo, to i głowa pod niem nie wytrzyma.

Lecz Ligia z wielką, a zarazem dziecinną powagą podniosła palec w górę:

— Urzusie! „nie zabijaj“ — rzekła.

Lig złożył swą podobną do maczugi rękę na tył głowy i począł, mrucząc, pocierać kark z wielkiem zakłopotaniem: On przecie musi ją odebrać... „swoje światło“... Sama powiedziała, że teraz jego kolej... Będzie się starał, ile będzie mógł. Ale jakby się zdarzyło niechcący?... Przecie musi ją odebrać! No, jakby się zdarzyło, to już on tak będzie pokutował, tak Baranka Niewinnego przepraszał, że Baranek Ukrzyżowany zlituje się nad nim biednym... Onby przecie Baranka nie chciał obrazić, tylko że ręce ma takie ciężkie...

I wielkie rozczulenie odmalowało się na jego twarzy, lecz pragnąc je ukryć, pokłonił się i rzekł:

— To ja idę do świętego biskupa.

Akte zaś, objąwszy szyję Ligii, poczęła płakać...

Raz jeszcze zrozumiała, że jest jakiś świat, w którym nawet w cierpieniu więcej jest szczęścia, niż we wszystkich zbytkach i rozkoszach domu Cezara, raz jeszcze uchyliły się przed nią jakieś drzwi na światło, lecz zarazem uczuła, że niegodna jest przejść przez te drzwi.

ROZDZIAŁ IX.

Ligii żal było Pomponii Grecyny, którą kochała z całej duszy, i żal całego domu Aulusów, jednakże rozpacz jej minęła. Czuła nawet pewną słodycz w myśli, że oto dla swej Prawdy poświęca dostatek, wygodę i idzie na życie tułacze i nieznane. Może było w tem trochę i dziecinnej ciekawości, jakiem będzie to życie gdzieś w odległych krajach, wśród barbarzyńców i dzikich zwierząt, było wszelako jeszcze więcej głębokiej i ufnej wiary, że postępując w ten sposób, czyni tak, jak nakazał „boski Mistrz“, i że odtąd On sam będzie czuwał

nad nią, jak nad dzieckiem posłusznem i wiernem. A w takim razie cóż złego mogło ją spotkać? Przyjdą-li jakie cierpienia, to ona je zniesie w Jego imię. Przyjdzie-li śmierć niespodziana, to On ją zabierze i kiedyś, gdy umrze Pomponia, będą razem przez całą wieczność. Nieraz, jeszcze w domu Aulusów, trapiła swą dziecinną główkę, że ona, chrześcijanka, nic nie może uczynić dla tego Ukrzyżowanego, o którym z takiem rozczuleniem wspominał Urzus. Lecz teraz, chwila nadeszła. Ligia czuła się prawie szczęśliwa i poczęła mówić o swojem szczęściu Akte, która jednak nie mogła jej zrozumieć. Porzucić wszystko, porzucić dom, dostatki, miasto, ogrody, świątynie, portyki, wszystko, co jest piękne, porzucić kraj słoneczny i ludzi blizkich, i dlaczego? Dlatego, by skryć się przed miłością młodego i pięknego rycerza?... W głowie Akte nie chciały się te rzeczy pomieścić. Chwilami odczuwała, że jest w tem słuszność, że może być nawet jakieś ogromne tajemnicze szczęście, ale jasno nie umiała zdać sobie z tego sprawy, zwłaszcza, że Ligię czekało jeszcze przejście, które mogło się źle skończyć, i w którem mogła stracić wprost życie. Akte była bojaźliwą z natury i ze strachem myślała o tem, co ów wieczór może przynieść. Lecz o obawach swych nie chciała mówić Ligii, że zaś tymczasem uczynił się dzień jasny i słońce zajrzało do atrium, więc poczęła ją namawiać na spoczynek, potrzebny po bezsennie spędzonej nocy. Ligia nie stawiła oporu i obie weszły do kubikulum, które było obszerne i urządzone z przepychem, skutkiem dawnych stosunków Akte z Cezarem. Tam położyły się jedna obok drugiej, lecz Akte, mimo zmęczenia, nie mogła zasnąć. Od dawna była smutna i nieszczęśliwa, lecz teraz począł ją chwytać jakiś niepokój, którego nie doznawała nigdy przedtem. Dotychczas życie wydawało się jej tylko ciężkiem i pozbawionem jutra, teraz wydało się jej nagle bezecnem.

W głowie jej powstawał coraz większy zamęt. Drzwi na światło poczęły się znów, to odchylać, to zamykać. Ale w chwili, gdy się otwierały, światło owo olśniewało ją tak, że nie widziała nic wyraźnie. Raczej odgadywała tylko, że tkwi w tej jasności jakieś szczęście, po prostu bez miary, wobec którego wszelkie inne jest tak dalece niczem, że gdyby naprzykład Cezar oddalił Poppeę, a pokochał na nowo ją, Akte, to i to byłoby marnością. Naraz przyszła jej myśl, że

ten Cezar, którego kochała i którego mimowoli uważała za jakiegoś pół-boga, jest czemś tak lichem, jak i każdy niewolnik, a ów pałac z kolumnadami z numidyjskiego marmuru czemś nie lepszem od kupy kamieni. Lecz w końcu, te poczucia, z których nie umiała sobie zdać sprawy, poczęły ją męczyć. Pragnęła zasnąć, lecz, nurtowana przez niepokój, nie mogła.

Nakoniec, sądząc, że Ligia, nad którą zawisło tyle gróźb i niepewności, nie śpi także, zwróciła się ku niej, by rozmawiać o jej wieczornej ucieczce.

Lecz Ligia spała spokojnie. Do ciemnego kubikulum, przez zasuniętą niedość szczelnie zasłonę, wpadło kilka jasnych promieni, w których kręcił się pył złoty. Przy ich świetle, Akte spostrzegła jej delikatną twarz, wspartą na obnażonem ramieniu, zamknięte oczy i otwarte nieco usta. Oddychała równo, ale tak, jak oddycha się we śnie.

— Śpi, może spać! — pomyślała Akte — to jeszcze dziecko.

Wszelako, po chwili, przyszło jej do głowy, że to dziecko woli jednak uciekać, niż zostać kochanką Winicyusza, woli nędzę, niż hańbę, tułactwo, niż wspaniały dom koło Karynów, niż stroje, klejnoty, niż uczty, głosy lutni i cytr.

— Dlaczego?

I poczęła patrzeć na Ligię, jakby chcąc znaleźć odpowiedź w jej uśpionej twarzy. Patrzyła na jej przeczyste czoło, na pogodny łuk brwi, na ciemne rzęsy, na rozchylone usta, na poruszoną spokojnym oddechem pierś dziewczęcą, poczem pomyślała znów:

— Jaka ona inna ode mnie!

I Ligia wydała jej się cudem, jakiemś boskiem widzeniem, jakiemś ukochaniem bogów, stokroć piękniejszem od wszystkich kwiatów w ogrodzie Cezara i od wszystkich rzeźb w jego pałacu. Lecz w sercu Greczynki nie było zazdrości. Owszem, na myśl o niebezpieczeństwach, jakie groziły dziewczynie, chwyciła ją wielka litość. Zbudziło się w niej jakieś uczucie matki; Ligia wydała się jej nietylko piękną, jak piękny sen, ale zarazem bardzo kochaną, i zbliżywszy usta do jej ciemnych włosów, poczęła je całować.

A Ligia spała spokojnie, jakby w domu, pod opieką Pomponii Grecyny. I spała dość długo. Południe przeszło już,

gdy otworzyła swe błękitne oczy i poczęła spoglądać po kubikulum z wielkiem zdziwieniem.

Widocznie dziwiło ją, że nie jest w domu u Aulusów.

— To ty, Akte? — rzekła wreszcie, dojrzawszy w mroku twarz Greczynki.

— Ja, Ligio.

— Czy to już wieczór?

— Nie, dziecko, ale południe już minęło.

— A Urzus nie wrócił?

— Urzus nie mówił, że wróci, tylko że wieczorem będzie czatował z chrześcijanami na lektykę.

— Prawda.

Poczem opuściły kubikulum i udały się do łaźni, gdzie Akte, wykąpawszy Ligię, zaprowadziła ją na śniadanie, a potem do ogrodów pałacowych, w których żadnego niebezpiecznego spotkania nie należało się obawiać, albowiem Cezar i jego przedniejsi dworscy spali jeszcze. Ligia po raz pierwszy w życiu widziała te wspaniałe ogrody, pełne cyprysów, pinii, dębów, oliwek i mirtów, wśród których bielił się cały lud posągów, błyszczały spokojne zwierciadła sadzawek, kwieciły się całe gaiki róż, zraszanych pyłem fontann, gdzie wejścia do czarownych grot obrastał bluszcz lub winograd, gdzie na wodach pływały srebrne łabędzie, a wśród posągów i drzew chodziły przyswojone gazele z pustyń Afryki i barwne ptactwo, sprowadzane ze wszystkich znanych krain świata.

Ogrody były puste; tu i owdzie tylko pracowali z łopatami w ręku niewolnicy, śpiewając półgłosem pieśni; inni, którym dano chwilę wypoczynku, siedzieli nad sadzawkami lub w cieniu dębów w drgających światełkach, utworzonych od promieni słońca, przedzierających się przez liście, inni nakoniec zraszali róże lub blado-lila kwiaty szafranu. Akte z Ligią chodziły dość długo, oglądając wszelkie cuda ogrodów i jakkolwiek Ligii brakło swobody myśli, była jednak jeszcze nadto dzieckiem, aby mogła oprzeć się zajęciu, ciekawości i podziwowi. Przychodziło jej nawet na myśl, że gdyby Cezar był dobry, to w takim pałacu i w takich ogrodach mógłby być bardzo szczęśliwy.

Lecz wreszcie, zmęczone nieco, siadły na ławce, ukrytej prawie całkiem w gąszczu cyprysów i poczęły rozmawiać o tem, co im najbardziej ciążyło na sercu, to jest o wieczor-

nej ucieczce Ligii. Akte była daleko mniej spokojną od Ligii o powodzenie tej ucieczki. Chwilami wydawało się jej nawet, że to jest zamiar szalony, który nie może się udać. Czuła coraz większą litość nad Ligią. Przychodziło jej też do głowy, że stokroć bezpieczniej byłoby próbować przejednać Winicyusza. Po chwili poczęła ją wypytywać, jak dawno zna Winicyusza i czy nie myśli, że dałby się może ubłagać, i wrócił ją Pomponii.

Lecz Ligia potrząsnęła smutno swą ciemną główką.

— Nie. W domu Aulusów Winicyusz był inny, dobry bardzo, ale od wczorajszej uczty boję się go i wolę uciec do Ligów.

Akte pytała dalej:

— Jednak w domu Aulusów był ci miłym?

— Tak — odrzekła Ligia, schylając głowę.

— Ty przecie nie jesteś niewolnicą, tak jak ja byłam — rzekła po chwili namysłu Akte. — Ciebie Winicyusz mógłby zaślubić. Jesteś zakładniczką i córką króla Ligów. Aulusowie kochają cię, jak własne dziecko i jestem pewna, że gotowi cię przyjąć za córkę. Winicyusz mógłby cię zaślubić, Ligio.

Lecz ona odpowiedziała cicho i jeszcze smutniej:

— Wolę uciec do Ligów.

— Ligio, czy chcesz, bym zaraz poszła do Winicyusza, zbudziła go, jeśli śpi, i powiedziała mu to, co tobie mówię w tej chwili? Tak, droga moja, pójdę do niego i powiem mu: Winicyuszu, to córka królewska i drogie dziecko sławnego Aulusa; jeśli ją kochasz, wróć ją Aulusom, a potem weź ją, jako żonę, z ich domu.

A dziewczyna odpowiedziała głosem tak już cichym, że Akte zaledwie mogła dosłyszeć:

— Wolę do Ligów...

I dwie łzy zawisły na jej spuszczonych rzęsach.

Lecz dalszą rozmowę przerwał szelest zbliżających się kroków i zanim Akte miała czas zobaczyć, kto nadchodzi, przed ławką ukazała się Sabina Poppea z małym orszakiem niewolnic. Dwie z nich trzymały nad jej głową pęki strusich piór, osadzone na złotych prętach, któremi wachlowały ją lekko, a zarazem i zasłaniały przed palącem jeszcze jesiennem słońcem, przed nią zaś czarna, jak heban, Etyopka, o wydę-

tych, jakby wezbranych mlekiem piersiach, niosła na ręku dziecko, owinięte w purpurę ze złotą frendzlą. Akte i Ligia powstały, mniemając, że Poppea przejdzie obok ławki, nie zwróciwszy na nie uwagi, lecz ona zatrzymała się przed niemi i rzekła:

— Akte, dzwonki, któreś przyszyła na ikunkuli(lalce), źle były przyszyte; dziecko oderwało jeden i poniosło do ust; szczęście, że Lilith zobaczyła dość wcześnie.

— Wybacz, boska — odpowiedziała Akte, krzyżując ręce na piersi i pochylając głowę.

Lecz Poppea poczęła patrzeć na Ligię.

— Co to za niewolnica? — spytała po chwili.

— To nie jest niewolnica, boska Augusto, ale wychowanka Pomponii Grecyny i córka króla Ligów, dana przez tegoż, jako zakładniczka, Rzymowi.

— I przyszła cię odwiedzić?

— Nie, Augusto. Od onegdaj mieszka w pałacu.

— Była wczoraj na uczcie?

— Była, Augusto.

— Z czyjego rozkazu?

— Z rozkazu Cezara...

Poppea poczęła jeszcze uważniej patrzeć na Ligię, która stała przed nią z głową pochyloną, to wznosząc z ciekawości swe promienne oczy, to nakrywając je znów powiekami. Nagle zmarszczka zjawiła się między brwiami Augusty. Zazdrosna o własną urodę i o władzę, żyła ona w ustawicznej trwodze, by kiedyś jakaś szczęśliwa współzawodniczka nie zgubiła jej tak, jak ona sama zgubiła Oktawię. Dlatego każda piękna twarz w pałacu wzbudzała w niej podejrzenie. Okiem znawczyni ogarnęła od razu wszystkie kształty Ligii, oceniła każdy szczegół jej twarzy, i zlękła się. „To jest wprost nimfa“, rzekła sobie. „Ją urodziła Wenus“. I nagle przyszło jej do głowy to, co nie przychodziło jej nigdy dotąd, na widok żadnej piękności: że jest znacznie starsza! Zadrgała w niej zraniona miłość własna, chwycił ją niepokój, i różne obawy poczęły jej przesuwać się szybko przez głowę. „Może jej Nero nie widział, albo patrząc przez szmaragd, nie ocenił. Ale co może się zdarzyć, jeśli ją spotka w dzień, przy słońcu, taką cudną?... W dodatku nie jest niewolnicą! jest córką królewską, z barbarzyńców wprawdzie, ale córką królewską!...

Bogowie nieśmiertelni! Ona równie piękna, jak ja, a młodsza! I zmarszczka między brwiami stała się jeszcze większą, a oczy jej z pod złotych rzęs poczęły świecić zimnym blaskiem.

Lecz, zwróciwszy się do Ligii, poczęła pytać z pozornym spokojem:

— Mówiłaś z Cezarem?

— Nie, Augusto.

— Dlaczego wolisz tu być, niż u Aulusów?

— Ja nie wolę, pani. Petroniusz namówił Cezara, by mnie odebrał Pomponii, ale jam tu poniewoli, o, pani!...

— I chciałabyś wrócić do Pomponii?

Ostatnie pytanie Poppea zadała głosem miększym i łagodniejszym, więc w serce Ligii wstąpiła nagle nadzieja.

— Pani — rzekła, wyciągając ku niej ręce — Cezar obiecał oddać mnie, jak niewolnicę Winicyuszowi, ale ty się wstaw za mną i wróć mnie Pomponii.

— Więc Petroniusz namówił Cezara, by cię zabrał Aulusowi i oddał Winicyuszowi?

— Tak, pani. Winicyusz ma dziś jeszcze przysłać po mnie, lecz ty, dobra, ulituj się nade mną.

To rzekłszy, schyliła się i chwyciwszy za brzeg sukni Poppei, poczęła czekać na jej słowo z bijącem sercem, Poppea zaś patrzyła na nią przez chwilę z twarzą rozjaśnioną złym uśmiechem, poczem rzekła:

— Więc ci obiecuję, że dziś jeszcze zostaniesz niewolnicą Winicyusza.

I odeszła, jak widziadło piękne, ale złe. Do uszu Ligii i Akte doszedł tylko krzyk dziecka, które niewiadomo dlaczego zaczęło płakać.

Ligii oczy również wezbrały łzami, lecz po chwili wzięła rękę Akte i rzekła:

— Wróćmy. Pomocy stąd tylko czekać należy, skąd przyjść może.

I wróciły do atrium, którego nie opuszczały już do wieczora. Gdy się ściemniło i gdy niewolnicy wnieśli poczwórne kaganki o wielkich płomieniach, obie były bardzo blade. Rozmowa ich rwała się co chwila. Obie nasłuchiwały wciąż, czy się kto nie zbliża. Ligia powtarzała ustawicznie, że jakkolwiek żal jej porzucać Akte, ale ponieważ Urzus musi tam już czekać w ciemnościach, więc wolałaby, żeby wszystko

stało się dziś. Jednakże oddech jej uczynił się ze wzruszenia szybszy i głośniejszy. Akte gorączkowo zgarniała, jakie mogła, klejnoty i wiążąc je w róg peplum, zaklinała Ligię, by nie odrzucała tego daru i tego środka ucieczki. Chwilami zapadała głucha cisza, pełna złudzeń słuchu. Obydwom zdawało się, że słyszą to jakiś szept za kotarą, to daleki płacz dziecka, to szczekanie psów.

Nagle zasłona od przedsionka poruszyła się bez szelestu i wysoki, czarniawy człowiek z twarzą poznaczoną ospą, zjawił się, jak duch, w atrium. Ligia w jednej chwili poznała Atacyna, wyzwoleńca Winicyuszowego, który przychodził do domu Aulusów.

Akte krzyknęła, lecz Atacyusz skłonił się nizko i rzekł:

— Pozdrowienie boskiej Ligii od Marka Winicyusza, który czeka ją z ucztą w domu, przybranym w zieleń.

Usta dziewczyny pobielały zupełnie.

— Idę — rzekła.

I zarzuciła na pożegnanie ręce na szyję Akte.

ROZDZIAŁ X.

A dom Winicyusza przybrany był istotnie w zieleń mirtową i bluszcze, z których poczyniono upięcia na ścianach i nad drzwiami. Kolumny skręcono zwojami winogradu. W atrium, nad którego otworem rozciągnięto dla ochrony od nocnego chłodu wełnianą purpurową zasłonę, widno było, jak w dzień. Płonęły ośmio- i dwunasto-płomienne kaganki, mające kształt naczyń, drzew, zwierząt, ptaków, lub posągów trzymających lampy, napełnione wonną oliwą, wykutych z alabastru, z marmuru, ze złoconej miedzi korynckiej, nie tak cudnych, jak ów sławny świecznik ze świątyni Appolina, którym posługiwał się Nero, ale pięknych i przez sławnych mistrzów rzeźbionych. Niektóre poosłaniane były alexandryjskiem szkłem lub przezroczemi tkaninami z nad Indu, barwy czerwonej, błękitnej, żółtej, fioletowej, tak, że całe atrium pełne było różnokolorowych promieni. Wszędy rozchodziła się woń nardu, do której Winicyusz przywykł i którą polubił na Wschodzie. Głąb domu, w której snuły się żeńskie i męskie postacie niewolników, jaśniała także światłem. W tryklinium

stół był przygotowany na cztery osoby, do uczty bowiem, prócz Winicyusza i Ligii, miał zasiąść Petroniusz i Chryzotemis.

Winicyusz szedł we wszystkiem za słowami Petroniusza, który radził mu nie iść po Ligię, ale posłać Atacyna z uzyskanem od Cezara pozwoleniem, samemu zaś przyjąć ją w domu i przyjąć uprzejmie, a nawet z oznakami czci.

— Wczoraj byłeś pijany — mówił mu. — Widziałem cię: postępowałeś z nią, jak kamieniarz z gór Albańskich. Nie bądź zbyt natarczywy i pamiętaj, że dobre wino należy pić powoli. Wiedz także, że słodko jest pożądać, lecz jeszcze słodziej być pożądanym.

Chryzotemis miała o tem własne, nieco odmienne zdanie, lecz Petroniusz, nazywając ją swoją westalką i gołąbką, począł jej tłómaczyć różnicę, jaka być musi między wprawnym cyrkowym woźnicą, a pacholęciem, które po raz pierwszy wsiada na kwadrygę. Poczem, zwróciwszy się do Winicyusza, mówił dalej:

— Zyskaj jej ufność, rozwesel ją, bądź z nią wspaniałomyślny. Nie chciałbym widzieć smutnej uczty. Przysięgnij jej nawet na Hades, że ją wrócisz Pomponii, a już twoją będzie rzeczą, by wolała nazajutrz zostać, niż wrócić.

Poczem, ukazując na Chryzotemis, dodał:

— Ja, od pięciu lat, codzień postępuję w ten mniej więcej sposób z tą płochliwą turkawką, i nie mogę się uskarżać na jej srogość...

Chryzotemis uderzyła go na to wachlarzem z pawich piór i rzekła:

— Alboż się nie opierałam, satyrze!

— Ze względu na mego poprzednika...

— Alboż nie byłeś u moich nóg?

— Żeby na ich palce zakładać pierścionki.

Chryzotemis spojrzała mimowoli na swe stopy, na których palcach połyskiwały istotnie skry klejnotów, i oboje z Petroniuszem poczęli się śmiać. Lecz Winicyusz nie słuchał ich sprzeczki. Serce biło mu niespokojnie pod wzorzystą szatą syryjskiego kapłana, w którą się przybrał na przyjęcie Ligii.

— Już powinni byli wyjść z pałacu — rzekł, jakby mówiąc sam do siebie.

— Powinni byli — odpowiedział Petroniusz. — Może

ci tymczasem opowiedzieć o wróżbach Apoloniusza z Tyany, lub ową historyę o Rufinie, której nie pamiętam dlaczego nie skończyłem.

Lecz Winicyusza zarówno mało obchodził Apoloniusz z Tyany, jak i historya Rufina. Myśl jego była przy Ligii i choć czuł, że piękniej było przyjąć ją w domu, niż iść w roli zbira do pałacu, żałował jednak chwilami, że nie poszedł tylko dlatego, że mógłby wcześniej widzieć Ligię i siedzieć koło niej w ciemnościach w podwójnej lektyce.

Tymczasem niewolnicy wnieśli trójnoże, zdobne głowami tryków, bronzowe misy z węglami, na które poczęli sypać małe źdźbła myrry i nardu.

— Już skręcają ku Karynom — rzekł znów Winicyusz.

— On nie wytrzyma, wybiegnie naprzeciw i gotów się jeszcze z nimi rozminąć — zawołała Chryzotemis.

Winicyusz uśmiechnął się bezmyślnie i rzekł:

— Owszem, wytrzymam.

Lecz począł poruszać nozdrzami i sapać, co widząc Petroniusz, wzruszył ramionami.

— Niema w nim filozofa za jedną sestercyę — rzekł — i nigdy nie zrobię z tego syna Marsa, człowieka.

Winicyusz nawet nie usłyszał:

— Są już na Karynach!...

Oni zaś rzeczywiście skręcali ku Karynom. Niewolnicy, zwani lampadarii, szli na przedzie, inni, zwani pedisequi, po obu bokach lektyki, Atacynus zaś tuż za nią, czuwając nad pochodem.

Lecz posuwali się zwolna, bo latarnie w mieście wcale nieoświetlonem, źle rozjaśniały drogę. Przytem ulice w pobliżu pałacu były puste, zaledwie gdzieniegdzie jakiś człowiek przesuwał się z latarką, ale dalej niezwykle ożywione. Z każdego prawie zaułku wychodzili ludzie, po trzech, po czterech, wszyscy bez pochodni, wszyscy w ciemnych płaszczach. Niektórzy szli razem z pochodem, mieszając się z niewolnikami, inni w większych gromadach, zachodzili z naprzeciwka. Niektórzy taczali się, jak pijani. Chwilami pochód stawał się tak trudny, że „lampadarii“ poczęli wołać:

— Miejsce dla szlachetnego trybuna, Marka Winicyusza!

Ligia widziała przez rozsunięte firanki te ciemne gromady i poczęła dygotać ze wzruszenia. Porywała ją naprzemian to nadzieja, to trwoga. „To on! to Urzus i chrześcijanie! To stanie się już zaraz“ — mówiła drżącemi ustami — „O Chryste, pomagaj o Chryste, ratuj!“

Ale i Atacynus, który z początku nie zważał na owo niezwykłe ożywienie ulicy, począł się wreszcie niepokoić. Było w tem coś dziwnego. Lampadarii musieli coraz częściej wołać: „Miejsce dla lektyki szlachetnego trybuna!“ Z boków nieznani ludzie naciskali tak lektykę, że Atacynus kazał niewolnikom odganiać ich kijami.

Nagle krzyk uczynił się na przodzie pochodu, w jednej chwili pogasły wszystkie światła. Koło lektyki uczynił się tłok, zamieszanie i bitwa.

Atacynus zrozumiał: był to wprost napad.

I zrozumiawszy, struchlał. Wiadomem było wszystkim, że Cezar często dla zabawy rozbija w gronie Augustyanów, i na Suburze, i w innych dzielnicach miasta. Wiadomem było, że czasem nawet przynosił z tych nocnych wycieczek guzy i sińce, lecz kto się bronił, szedł na śmierć, choćby był senatorem. Dom wigilów, których obowiązkiem było czuwać nad miastem, nie był zbyt odległy, ale straż udawała w podobnych wypadkach, że była głuchą i ślepą. Tymczasem koło lektyki wrzało; ludzie poczęli się zmagać, bić, obalać i deptać. Atacynusowi błysnęła myśl, że przedewszystkiem należy ocalić Ligię i siebie, a resztę zostawić losowi. Jakoż, wyciągnąwszy ją z lektyki, porwał na ręce i usiłował się wymknąć w ciemności.

Lecz Ligia poczęła wołać:

— Urzus! Urzus!

Była biało ubrana, więc łatwo było ją dojrzeć. Atacynus począł drugą wolną ręką narzucać na nią gwałtownie własny płaszcz, gdy naraz straszliwe cęgi chwyciły jego kark, a na głowę spadła mu, jak kamień, olbrzymia druzgocąca masa.

On zaś padł w jednej chwili, jak wół, uderzony obuchem przed ołtarzem Jowisza.

Niewolnicy leżeli po większej części na ziemi, lub ratowali się, rozbijając się wśród grubych ciemności o załomy murów. Na miejscu pozostała tylko podruzgotana w zamie-

szaniu lektyka. Urzus unosił Ligię ku Suburze, towarzysze jego dążyli za nim, rozpraszając się stopniowo po drodze.

Lecz niewolnicy poczęli się zbierać przed domem Winicyusza i naradzać. Nie śmieli wejść. Po krótkiej naradzie wrócili na miejsce spotkania, na którem znaleźli kilka ciał martwych, a między niemi ciało Atacyna. Ten drgał jeszcze, lecz po chwilowej silniejszej konwulsyi, wyprężył się i pozostał nieruchomy.

Wówczas zabrali go i wróciwszy, zatrzymali się znów przed bramą. Trzeba było jednak oznajmić panu, co się stało.

— Gulo niech oznajmi — poczęło szeptać kilka głosów — krew mu płynie, jak i nam, z twarzy i pan go kocha. Gulowi bezpieczniej od innych.

A Germanin Gulo, stary niewolnik, który niegdyś wyniańczył Winicyusza, a odziedziczony był przez niego po matce, siostrze Petroniusza, rzekł:

— Ja oznajmię, ale pójdźmy wszyscy. Niech na mnie jednego nie spada jego gniew.

Winicyusz zaś począł się już niecierpliwić zupełnie. Petroniusz i Chryzotemis wyśmiewali go, lecz on chodził szybkim krokiem po atrium, powtarzając:

— Już powinni być!.. Już powinni być!...

I chciał iść, a tamci oboje go wstrzymywali.

Lecz nagle w przedsionku dały się słyszeć kroki i do atrium wpadli hurmem niewolnicy, a stanąwszy szybko pod ścianą, podnieśli ręce w górę i poczęli powtarzać jękliwymi głosami:

— Aaaa!... aa!

Winicyusz skoczył ku nim:

— Gdzie Ligia? — zawołał strasznym, zmienionym głosem:

— Aaaa!!!...

Wtem Gulo wysunął się naprzód ze swoją pokrwawioną twarzą, wołając z pośpiechem i żałośnie:

— Oto krew, panie! broniliśmy! Oto krew, panie! oto krew!...

Lecz nie zdołał dokończyć, gdyż Winicyusz chwycił bronzowy świecznik i jednem uderzeniem strzaskał czerep niewolnika, poczem objąwszy się za głowę rękoma, wpił palce we włosy, powtarzając chrapliwie:

— *Me miserum! Me miserum!...*

Twarz mu posiniała, oczy uciekły pod czoło, piana wystąpiła na usta.

— Rózeg!!! — ryknął wreszcie nieludzkim głosem:

— Panie! Aaaa!... ulituj się! — jęczeli niewolnicy.

Lecz Petroniusz podniósł się z wyrazem niesmaku w twarzy.

— Chodź, Chryzotemis! — rzekł — jeśli chcesz patrzeć na mięso, każę odbić sklep rzeźnika na Karynach.

I wyszedł z atrium, w całym zaś domu, ubranym w zieleń bluszczów i gotowym do uczty, rozległy się po chwili jęki i świst rózeg, który trwał niemal do rana.

ROZDZIAŁ XI.

Tej nocy Winicyusz nie kładł się wcale. W czas jakiś po odejściu Petroniusza, gdy jęki smaganych niewolników nie mogły ukoić ani jego bólu, ani wściekłości, zebrał gromadę innych sług i na ich czele, późną już nocą, wypadł na poszukiwanie Ligii. Zwiedził dzielnicę eskwilińską, potem Suburę, Vicus Sceleratus i wszystkie przyległe zaułki. Poczem, obszedłszy Kapitol, przez most Fabrycyusza przedostał się na wyspę, zaczem przebiegł część miasta zatybrzańską. Lecz była to gonitwa bez celu, gdyż sam nie miał nadziei odnalezienia Ligii i jeśli jej szukał, to głównie dlatego, by zapełnić czemkolwiek noc straszną. Jakoż wrócił do domu dopiero o świtaniu, gdy już w mieście poczęły się zjawiać wozy i muły przekupniów jarzyn i gdy piekarze otwierali już sklepy. Wróciwszy, kazał uprzątnąć ciało Gula, którego nikt nie śmiał tknąć dotąd, następnie tych niewolników, którym odbito Ligię, kazał wysłać do wiejskich ergastulów, co było karą straszniejszą niemal od śmierci, wreszcie, rzuciwszy się na wysłaną ławę w atrium, począł bezładnie rozmyślać, jakim sposobem odnajdzie i zabierze Ligię.

Wyrzec się jej, stracić ją, nie zobaczyć jej więcej, wydawało mu się niepodobieństwem i na samą myśl o tem ogarniał go szał. Samowolna natura młodego żołnierza pierwszy raz w życiu trafiła na opór, na inną niezłomną wolę i wprost nie mogła pojąć, jak to być może, by ktoś śmiał stawać

w poprzek jego żądzy. Winicyusz wolałby raczej, żeby świat i miasto zapadły w gruzy, niż żeby on nie miał dopiąć tego, czego chciał. Odjęto mu czarę rozkoszy niemal z przed ust, więc wydało mu się, iż spełniło się coś niesłychanego, wołającego o pomstę do praw boskich i ludzkich.

Lecz przedewszystkiem nie chciał i nie mógł się pogodzić z losem, albowiem nigdy niczego tak nie pragnął w życiu, jak Ligii. Zdawało mu się, że nie potrafi bez niej istnieć. Nie umiał sobie odpowiedzieć, co zrobiłby bez niej jutro, jakby mógł przeżyć dni następne. Chwilami porywał go na nią gniew, blizki obłędu. Chciałby ją mieć, po to, by ją bić, włóczyć za włosy do kubikulów i pastwić się nad nią, to znów porywała go straszna tęsknota za jej głosem, postacią, oczyma i czuł, że gotówby był leżeć u jej nóg. Wołał na nią, gryzł palce, obejmował głowę rękoma. Zmuszał się ze wszystkich sił, by myśleć spokojnie o jej odzyskaniu, i nie mógł. Przez głowę przelatywały mu tysiączne środki i sposoby, ale jedne od drugich szaleńsze. Wreszcie błysnęła mu myśl, że nikt inny jej nie odbił, tylko Aulus, że w najgorszym razie Aulus musiał wiedzieć, gdzie ona się ukrywa.

I zerwał się, by biedz do domu Aulusów. Jeśli mu jej nie oddadzą, jeśli nie ulękną się gróźb, pójdzie do Cezara, oskarży starego wodza o nieposłuszeństwo i uzyska na niego wyrok śmierci, ale przedtem wydobędzie z nich wyznanie, gdzie jest Ligia. Lecz jeśli ją oddadzą, nawet dobrowolnie, i tak się pomści. Przyjęli go wprawdzie w dom i pielęgnowali, ale to nic. Tą jedną krzywdą uwolnili go od wszelkiej wdzięczności. Tu mściwa i zawzięta jego dusza poczęła się lubować myślą o rozpaczy Pomponii Grecyny, gdy staremu Aulusowi centuryon przyniesie wyrok śmierci. Był zaś niemal pewny, że go uzyska. Pomoże mu w tem Petroniusz. Zresztą i sam Cezar nie odmawia niczego swym towarzyszom augustyanom, chyba, że mu nakazuje odmówić osobista niechęć lub żądza.

I nagle serce zamarło w nim niemal pod wpływem strasznego przypuszczenia.

A nuż to sam Cezar odbił Ligię?

Wszyscy wiedzieli, że Cezar często szukał w nocnych rozbojach rozrywek wśród nudów. Nawet Petroniusz przyjmował udział w tych zabawach. Głównym ich celem było

wprawdzie chwytanie kobiet i podrzucanie ich na płaszczu żołnierskim, aż do omdlenia. Jednakże sam Nero nazywał czasami owe wyprawy „połowem pereł“, zdarzało się bowiem, że w głębi dzielnic, zamieszkałych przez rojną ubogą ludność, wyławiano prawdziwą perłę wdzięku i młodości. Wówczas „sagatio“, jak nazywano podrzucanie na żołnierskiej guni, zmieniało się na prawdziwe porwanie i „perłę“ odsyłano albo na Palatyn, albo do którejś z niezliczonych willi Cezara, albo wreszcie Nero odstępował ją któremu z towarzyszów. Tak mogło zdarzyć się i z Ligią. Cezar przypatrywał się jej w czasie uczty i Winicyusz ani na chwilę nie wątpił, że musiała mu się wydać najpiękniejszą z kobiet, jakie dotąd widział. Jakżeby mogło być inaczej! Wprawdzie Nero ją miał u siebie na Palatynie i mógł otwarcie zatrzymać, lecz, jak słusznie mówił Petroniusz, Cezar nie miał odwagi w zbrodniach i, mogąc działać otwarcie, wolał zawsze działać tajemnie. Tym razem mogła go do tego skłonić i obawa przed Poppeą. Winicyuszowi przyszło teraz do głowy, że Aulusowie możeby nie śmieli porywać przemocą dziewczyny, podarowanej mu przez Cezara. Ktoby zresztą śmiał? Czy może ów olbrzymi Lig z błękitnemi oczyma, który odważył się jednak wejść do tryklinium i wynieść ją z uczty na ręku? Ale gdzieżby się z nią schronił, dokądby ją mógł zaprowadzić? Nie! niewolnik nie zdobyłby się na to. Zatem, nie uczynił tego nikt inny, jak Cezar.

Na tę myśl, Winicyuszowi pociemniało w oczach i krople potu pokryły mu czoło. W takim razie Ligia była straconą na zawsze. Można ją było wyrwać z każdych innych rąk, lecz nie z takich. Teraz z większą, niż przedtem słusznością mógł powtarzać: *Vae misero mihi!* Wyobraźnia przedstawiła mu Ligię w ramionach Nerona i po raz pierwszy w życiu zrozumiał, że są myśli, których człowiek po prostu znieść nie może. Dopiero teraz poznał, jak ją pokochał. Jak tonącemu przesuwa się błyskawicznie przez pamięć całe jego życie, tak jemu poczęła przesuwać się Ligia. Widział ją, słyszał każde jej słowo. Widział ją przy fontannie, widział u Aulusów i na uczcie. Czuł ją znów blizko, czuł zapach jej włosów, ciepło jej ciała, rozkosz pocałunków, którymi na uczcie rozgniatał jej niewinne usta. Wydała mu się stokroć piękniejszą, pożądańszą, słodszą, stokroć więcej jedyną wybraną z pośród

wszystkich śmiertelnych i wszystkich bóstw, niż kiedykolwiek. I gdy pomyślał, że to wszystko, co tak wszczepiło mu się w serce, co stało się krwią i życiem, mógł posiąć Nero, chwycił go ból, zupełnie fizyczny, tak straszny, że chciało mu się bić głową o ściany atrium, póki jej nie roztrzaska. Czuł, że może oszaleć i że oszalałby z pewnością, gdyby mu jeszcze nie pozostawała zemsta. Lecz, jak poprzednio wydało mu się, że nie będzie mógł żyć, jeśli Ligii nie odzyska, tak obecnie, że nie będzie mógł umrzeć, póki jej nie pomści. Ta jedna myśl sprawiała mu niejaką ulgę. „Będę twoim Kasyuszem Chereą!“ — powtarzał sobie, myśląc o Neronie. Po chwili, chwyciwszy w ręce ziemi z waz kwiatowych, otaczających impluwium, wykonał straszną przysięgę Erebowi, Hekacie i własnym domowym larom, że zemsty dokona.

I doznał istotnie ulgi. Miał przynajmniej dlaczego żyć i czem zapełnić dnie i noce. Poczem zaniechawszy myśli udania się do Aulusów, kazał się nieść na Palatyn. Po drodze myślał, że jeśli go nie dopuszczą do Cezara lub zechcą sprawdzać, czy nie ma przy sobie broni, to będzie dowód, że Ligię porwał Cezar. Broni jednak nie wziął. Stracił przytomność w ogóle, lecz jak zwykle ludzie, pochłonięci jedną myślą, zachował ją w tem, co się tyczyło zemsty. Nie chciał, by mu spełzła przedwcześnie. Prócz tego pragnął przedewszystkiem zobaczyć Akte, sądził bowiem, że od niej może dowiedzieć się prawdy. Chwilami przebłyskiwała mu nadzieja, że może zobaczy i Ligię, i na tę myśl poczynał drżeć. Nuż bowiem Cezar porwał ją, nie wiedząc, kogo porywa i dziś mu ją wróci? Ale po chwili odrzucił to przypuszczenie. Gdyby chciano mu ją odesłać, odesłanoby wczoraj. Akte jedna mogła wszystko wyjaśnić i ją przed innymi należało zobaczyć.

Utwierdziwszy się w tem, kazał niewolnikom przyspieszyć kroku, po drodze zaś rozmyślał bezładnie to o Ligii, to o zemście. Słyszał, że kapłani egipskiej bogini, Pacht, umieją sprowadzać choroby, na kogo zechcą, i postanowił dowiedzieć się od nich o sposobie. Na Wschodzie mówiono mu także, że Żydzi mają jakieś zaklęcia, za pomocą których pokrywają wrzodami ciała nieprzyjaciół. Między niewolnikami miał w domu kilkunastu Żydów, obiecał sobie więc, że za powrotem każe ich ćwiczyć, póki mu tej tajemnicy nie wyjawią. Z największą jednak rozkoszą myślał o krótkim mieczu rzymskim, który

wytacza strumienie krwi, takie właśnie, jakie wytrysły z Kajusa Kaliguli i potworzyły niestarte plamy na kolumnie portyku. Gotów był teraz wymordować cały Rzym, a gdyby jacy mściwi bogowie obiecali mu, że wszyscy ludzie wymrą, z wyjątkiem jego i Ligii, byłby się na to zgodził.

Przed łukiem zebrał całą przytomność i na widok straży pretoryańskiej pomyślał, że jeśli mu będą czynili choćby najmniejsze trudności przy wejściu, to będzie dowód, że Ligia jest z woli Cezara w pałacu. Lecz pryncypilarny centuryon uśmiechnął się do niego przyjaźnie i, postąpiwszy kilka kroków, rzekł:

— Witaj, szlachetny trybunie. Jeśli pragniesz złożyć pokłon Cezarowi, na złą trafiłeś chwilę i nie wiem, czy będziesz mógł go zobaczyć.

— Co się stało? — spytał Winicyusz.

— Boska mała Augusta zachorowała niespodzianie od dnia wczorajszego. Cezar i Augusta Poppea są przy niej wraz z lekarzami, których z całego miasta wezwano.

Był to wypadek ważny. Cezar, gdy mu się urodziła ta córka, szalał po prostu ze szczęścia i przyjął ją: *extra humanum gaudium*. Przedtem jeszcze senat polecał najuroczyściej bogom łono Poppei. Czyniono wota i wyprawiano w Ancyum, gdzie nastąpiło rozwiązanie, wspaniałe igrzyska, a oprócz tego wzniesiono świątynię dwom Fortunom. Nero, który w niczem nie umiał zachować miary, bez miary również kochał to dziecię, Poppei zaś było ono także drogiem, choćby dlatego, że umacniało jej stanowisko i wpływ czyniło nieprzepartym.

Od zdrowia i życia małej Augusty mogły zależeć losy całego imperium, lecz Winicyusz tak był zajęty sobą, własną sprawą i własną miłością, że, nie zwróciwszy prawie uwagi na wiadomość centuryona, odrzekł:

— Chcę widzieć się tylko z Akte.

I przeszedł.

Lecz Akte zajęta była także przy dziecku i musiał czekać na nią długo. Nadeszła dopiero koło południa, z twarzą zmęczoną i bladą, która na widok Winicyusza pobladła jeszcze bardziej.

— Akte — zawołał, chwytając jej ręce, Winicyusz, i ciągnąc ją na środek atrium — gdzie jest Ligia?

— Chciałam się ciebie o to zapytać — odrzekła, patrząc mu z wyrzutem w oczy.

A on, jakkolwiek przyrzekał sobie, że wybada ją spokojnie, ścisnął znów dłońmi głowę i począł powtarzać, z twarzą ściągniętą przez ból i gniew:

— Niema jej. Porwano mi ją w drodze!

Po chwili jednak opamiętał się i, zbliżywszy swą twarz do twarzy Akte, począł mówić przez zaciśnięte zęby:

— Akte... Jeśli ci życie miłe, jeśli nie chcesz stać się przyczyną nieszczęść, których nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, odpowiedz mi prawdę: czy nie Cezar ją odbił?

— Cezar nie wychodził wczoraj z pałacu.

— Na cień matki twojej, na wszystkich bogów! czy niema jej w pałacu?

— Na cień matki mojej, Marku — niemasz jej w pałacu i nie Cezar ją odbił. Od wczoraj zachorowała mała Augusta i Nero nie oddala się od jej kołyski.

Winicyusz odetchnął. To, co wydawało mu się najstraszniejszem, przestało mu grozić.

— A więc — rzekł, siadając na ławie i zaciskając pięści — porwali ją Aulusowie i w takim razie biada im!

— Aulus Placyusz był tu dziś rano. Nie mógł się ze mną widzieć, gdyż byłam zajęta przy dziecku, ale wypytywał o Ligię Epafrodyta i innych ze służby cesarskiej, a potem oświadczył im, że przyjdzie jeszcze, aby się widzieć ze mną.

— Chciał odwrócić od siebie podejrzenia. Gdyby nie wiedział, co się stało z Ligią, byłby przyszedł szukać jej do mego domu.

— Zostawił mi kilka słów na tabliczce, z których zobaczysz, że, wiedząc, iż Ligia została zabrana z jego domu przez Cezara na twoje i Petroniusza żądanie, spodziewał się, iż zostanie tobie odesłana i dziś rano był w twoim domu, gdzie mu powiedziano, co się stało.

To rzekłszy, poszła do kubikulum i po chwili wróciła z tabliczką, którą jej zostawił Aulus.

Winicyusz przeczytał i zamilkł, Akte zaś zdawała się czytać myśli w jego posępnej twarzy, gdyż po chwili rzekła:

— Nie, Marku. Stało się to, czego chciała sama Ligia.

— Tyś wiedziała, że ona chce uciec! — wybuchnął Winicyusz.

A ona spojrzała na niego swemi mglistemi oczyma niemal surowo.

— Wiedziałam, że nie chce zostać twoją nałożnicą.

— A ty czem byłaś całe życie?!

— Ja byłam przedtem niewolnicą.

Lecz Winicyusz nie przestał się burzyć: Cezar darował mu Ligię, więc on nie potrzebuje pytać, czem była przedtem. Wynajdzie ją choćby pod ziemią i uczyni z niej wszystko, co mu się podoba. Tak jest! Będzie jego nałożnicą. Każe ją chłostać, ilekroć mu się podoba. Gdy mu się sprzykrzy, odda ją ostatniemu ze swoich niewolników, albo każe jej obracać żarna w swoich posiadłościach w Afryce. Będzie jej teraz szukał i odnajdzie ją tylko po to, by ją zgnieść, zdeptać i upokorzyć.

I, podniecając się coraz bardziej, tracił wszelką miarę do tego stopnia, że nawet Akte poznała, iż zapowiadał więcej, niż byłby zdolny dotrzymać, i że mówi przez niego gniew i męka. Nad męką miałaby litość, lecz przebrana miara wyczerpała jej cierpliwość, tak, że wreszcie spytała go, dlaczego do niej przyszedł?

Winicyusz nie znalazł na razie odpowiedzi. Przyszedł do niej, bo tak chciał, bo sądził, że udzieli mu jakich wiadomości, ale właściwie przyszedł tylko do Cezara, a nie mogąc się z nim zobaczyć, wstąpił do niej. Ligia, uciekając, sprzeciwiła się woli Cezara, więc on ubłaga go, by nakazał jej szukać w całem mieście i państwie, choćby przyszło użyć do tego wszystkich legii i przetrząsać kolejno każdy dom w imperium. Petroniusz poprze jego prośbę i poszukiwania rozpoczną się od dziś dnia.

Na to Akte rzekła:

— Strzeż się, byś jej nie stracił na zawsze, wówczas dopiero, gdy ją z rozkazu Cezara odnajdą.

Winicyusz zmarszczył brwi:

— Co to znaczy? — spytał.

— Słuchaj mnie, Marku! Wczoraj byłyśmy z Ligią w tutejszych ogrodach i spotkałyśmy Poppeę a z nią małą Augustę, którą niosła Murzynka Lilith. Wieczorem dziecko zachorowało, a Lilith twierdzi, że zostało urzeczone i że urzekła je ta cudzoziemka, którą spotkały w ogrodach. Jeśli dziecko wyzdrowieje, zapomną o tem, lecz w razie przeciwnym pierw-

sza Poppea oskarży Ligię o czary, a wówczas, gdziekolwiek ją odnajdą, nie będzie dla niej ratunku.

Nastała chwila milczenia, poczem Winicyusz ozwał się:

— A może ją urzekła: i mnie urzekła.

— Lilith powtarza, że dziecko zaraz zapłakało, gdy je przeniosła koło nas. I prawda! zapłakało. Pewno wyniesiono je do ogrodów już chore. Marku, szukaj jej sam, gdzie chcesz, ale póki mała Augusta nie wyzdrowieje, nie mów o niej z Cezarem, bo ściągniesz na nią pomstę Poppei. Dość już jej oczy płakały przez ciebie, i niech wszyscy bogowie strzegą teraz jej biednej głowy.

— Ty ją kochasz Akte? — spytał posępnie Winicyusz.

A w oczach wyzwolenicy błysnęły łzy.

— Tak! pokochałam ją.

— Bo ci nie odpłaciła nienawiścią, jak mnie.

Akte popatrzyła na niego przez chwilę, jakby wahając się lub jakby pragnąc zbadać, czy mówił szczerze, poczem odrzekła:

— Człowieku zapalczywy i ślepy: ona cię kochała.

Winicyusz zerwał się pod wpływem tych słów jak opętany. „Nieprawda!“ Nienawidziła go. Skąd Akte może wiedzieć!? Czy po jednym dniu znajomości Ligia uczyniła jej wyznanie? Co to jest za miłość, która woli tułactwo, hańbę ubóstwa, niepewność jutra, a może i nędzną śmierć od uwieńczonego domu, w którym czeka z ucztą kochany! Lepiej mu takich rzeczy nie słyszeć, bo gotów oszaleć. Oto nie oddałby tej dziewczyny za wszystkie skarby tego pałacu, a ona uciekła. Co to jest za miłość, która boi się rozkoszy, a płodzi boleść! Kto to pojmie? Kto może zrozumieć? Gdyby nie nadzieja, że ją odnajdzie, to utopiłby w sobie miecz! Miłość się oddaje, nie odbiera. Były chwile u Aulusów, że sam wierzył w blizkie szczęście, ale teraz wie, że go nienawidziła, nienawidzi i umrze z nienawiścią w sercu.

Lecz Akte, zwykle bojaźliwa i łagodna, wybuchnęła z kolei oburzeniem: Jakże to on starał się ją pozyskać? Zamiast pokłonić się o nią Aulusowi i Pomponii, odebrał dziecko podstępem rodzicom. Chciał ją uczynić nie żoną, ale nałożnicą, ją, wychowankę zacnego domu, ją, córkę królewską. I sprowadził ją do tego domu zbrodni i sromoty, pokalał jej niewinne oczy widokiem bezecnej uczty; postępował z nią, jak

z nierządnicą. Zali zapomniał, czem jest dom Aulusów i kim Pomponia Grecyna, która wychowała Ligię? Zali nie ma dość rozumu na to, by odgadnąć, że to są kobiety inne, niż Nigidya, niż Kalwia Kryspinilla, niż Poppea i niż te wszystkie, które napotyka w domu Cezara? Zali, ujrzawszy Ligię, nie zrozumiał od razu, że to jest czyste dziewczę, które woli śmierć od hańby? Skądże wie, jakich ona bogów wyznaje i czy nie czystszych, nie lepszych, niż nierządna Wenus lub niż Izys, którą czczą rozpustne Rzymianki? Nie! Ligia nie czyniła jej wyznań, ale mówiła jej, że ratunku wygląda od niego, od Winicyusza; miała nadzieję, że on wyprosi dla niej od Cezara powrót do domu i że wróci ją Pomponii. A mówiąc o tem, płoniła się jak dziewczę, które kocha i ufa. I jej serce biło dla niego, ale on sam przestraszył ją, zraził, oburzył i niechże teraz jej szuka z pomocą żołnierzy Cezara, ale niech wie, że, jeśli dziecko Poppei umrze, to na nią padnie podejrzenie, i zguba jej będzie nieuchronna.

Przez gniew i ból Winicyusza poczęło się przeciskać wzruszenie. Wiadomość, że Ligia kochała go, wstrząsnęła do głębi jego duszą. Przypomniał ją sobie w ogrodzie u Aulusów, gdy słuchała jego słów z rumieńcami na twarzy i z oczyma pełnemi światła. Wydało mu się, że wówczas istotnie poczynała go kochać, i nagle ogarnęło go na tę myśl poczucie jakiegoś szczęścia, stokroć jeszcze większego, niż to, którego pragnął. Pomyślał, że istotnie mógł ją mieć powolną, a w dodatku kochającą. Oto byłaby oprzędła drzwi jego i namaściła je wilczym tłuszczem, a potem zasiadła, jako żona, na owczem runie, u jego ogniska. Oto usłyszałby z jej ust sakramentalne: „gdzie ty Kajus, tam i ja Kaja“ i byłaby na zawsze jego. Czemu on tak nie postąpił? Był przecie gotów. A teraz jej nie ma i może jej nie odnaleźć, a gdyby odnalazł, może ją zgubić, a gdyby nawet nie zgubił, nie zechcą go już ani Aulusowie, ani ona. Tu gniew począł mu znów podnosić włosy na głowie, lecz teraz zwrócił się już nie przeciw Aulusom lub Ligii, lecz przeciw Petroniuszowi. On był wszystkiemu winien. Gdyby nie on, Ligia nie potrzebowałaby się tułać, byłaby jego narzeczoną i żadne niebezpieczeństwo nie wisiałoby nad jej drogą głową. A teraz stało się i zapóźno naprawiać złe, które się naprawić nie da.

— Zapóźno!

I zdawało mu się, że otchłań otworzyła się przed jego nogami. Nie wiedział, co przedsięwziąć, jak postąpić, dokąd się udać. Akte powtórzyła, jak echo, słowo: „zapóźno“, które, w cudzych ustach, zabrzmiało mu, jak wyrok śmierci. Rozumiał tylko jedną rzecz, że trzeba mu znaleźć Ligię, bo inaczej stanie się z nim coś złego.

I, okręciwszy się machinalnie w togę, chciał odejść, nie żegnając się nawet z Akte, gdy wtem zasłona, dzieląca przedsionek od atrium, uchyliła się i nagle ujrzał przed sobą żałobną postać Pomponii Grecyny.

Widocznie i ona dowiedziała się już o zniknięciu Ligii i, sądząc, że jej łatwiej będzie, niż Aulusowi widzieć się z Akte, przychodziła do niej po wiadomości.

Lecz, spostrzegłszy Winicyusza, zwróciła ku niemu swą drobną, bladą twarz i, po chwili, rzekła:

— Marku, niech Bóg ci przebaczy krzywdę, jaką wyrządziłeś nam i Ligii.

A on stał, z czołem spuszczonem, z poczuciem nieszczęścia i winy, nie rozumiejąc, jaki Bóg miał i mógł mu przebaczyć, ni dlaczego Pomponia mówiła o przebaczeniu, gdy powinna była mówić o zemście.

I wreszcie wyszedł z głową bezradną, pełną ciężkich myśli, ogromnej troski i zdumienia.

Na dziedzińcu i pod galeryą stały niespokojne gromady ludzi. Między pałacowymi niewolnikami widać było rycerzy i senatorów, którzy przybyli dowiedzieć się o zdrowie małej Augusty, a zarazem pokazać się w pałacu i złożyć dowód swej troskliwości, choćby wobec niewolników cezaryańskich. Wieść o chorobie „bogini“ rozeszła się widać szybko, bo w bramie ukazywały się coraz nowe postacie, a przez otwór łuku widać było całe tłumy. Niektórzy z przybywających, widząc, że Winicyusz wychodził z pałacu, zaczepiali go o nowiny, lecz on, nie odpowiadając na pytania, szedł przed siebie, dopóki Petroniusz, który także przybył już po wiadomości, nie potrącił go omal piersią i nie zatrzymał.

Winicyusz byłby niechybnie zawrzał na jego widok i dopuścił się jakiego bezprawia w pałacu Cezara, gdyby nie to, że od Akte wyszedł, jak złamany, w takiem wyczerpaniu i pognębieniu, że chwilowo opuściła go nawet wrodzona mu

zapalczywość. Odsunął jednak Petroniusza i chciał przejść, lecz ów zatrzymał go prawie przemocą.

— Jak się ma boska? — spytał.

Ale owa przemoc rozdrażniła znów Winicyusza i wzburzyła go w jednej chwili.

— Niech piekło pochłonie ją i cały ten dom! — odpowiedział, ściskając zęby.

— Milcz, nieszczęśliwy! — rzekł Petroniusz i, rozejrzawszy się naokół, dodał pośpiesznie:

— Chcesz wiedzieć coś o Ligii, to chodź ze mną. Nie! Tu nic nie powiem! Chodź ze mną, powiem ci moje domysły w lektyce.

I, otoczywszy ramieniem młodego człowieka, wyprowadził go co prędzej z pałacu.

Lecz o to mu głównie chodziło, gdyż nowin nie miał żadnych. Natomiast, będąc człowiekiem zaradnym i mając mimo wczorajszego oburzenia dużo współczucia dla Winicyusza, a wreszcie, poczuwając się poniekąd do odpowiedzialności za wszystko, co się stało, już był coś przedsięwziął i, gdy wsiedli do lektyki, rzekł:

— Przy wszystkich bramach kazałem czuwać moim niewolnikom, dawszy im dokładny opis dziewczyny i tego olbrzyma, który ją u Cezara wyniósł z uczty, niema bowiem wątpliwości, że to on ją odbił. Słuchaj mnie! Być może, że Aulusowie zechcą ją ukryć w której ze swych wiejskich posiadłości, a w takim razie będziemy wiedzieli, w którą stronę ją uprowadzą. Jeśli zaś przy bramach jej nie dostrzegą, to będzie dowód, że została w mieście i dziś jeszcze w mieście rozpoczniemy poszukiwania.

— Aulusowie nie wiedzą, gdzie ona jest — odrzekł Winicyusz.

— Masz-li pewność, że tak jest?

— Widziałem Pomponię. Oni szukają jej także.

— Wczoraj nie mogła z miasta wyjść, bo nocą bramy zamknięte. Dwóch z moich ludzi krąży koło każdej bramy. Jeden ma iść w ślad za Ligią i za olbrzymem, drugi wróci natychmiast, by dać znać. Jeśli jest w mieście, znajdziemy ją, bo owego Liga, choćby po wzroście i barkach, rozpoznać łatwo. Szczęśliwyś, że nie porwał jej Cezar, mogę cię zaś upewnić, że nie, bo na Palatynie niema dla mnie tajemnic.

Lecz Winicyusz wybuchnął więcej jeszcze żalem, niż gniewem, i głosem, przerywanym przez wzruszenie, począł Petroniuszowi opowiadać, co słyszał od Akte i jakie nowe niebezpieczeństwa zawisły nad głową Ligii, tak straszne, że wobec nich, znalazłszy zbiegów, trzeba będzie ukrywać ją jak najstaranniej przed Poppeą. Poczem jął wyrzucać gorzko Petroniuszowi jego rady. Gdyby nie on, wszystkoby poszło inaczej. Ligia byłaby u Aulusów, a on, Winicyusz, mógłby ją widywać codziennie i byłby dziś szczęśliwszy od Cezara. I, unosząc się w miarę opowiadania, poddawał się coraz bardziej wzruszeniu, aż wreszcie łzy żalu i wściekłości poczęły mu kapać z oczu.

Petroniusz zaś, który wprost nie spodziewał się, by młody człowiek mógł kochać i pożądać do tego stopnia, widząc te łzy rozpaczy, mówił sobie w duchu z pewnem zdziwieniem:

— O potężna pani Cypru, ty jedna królujesz bogom i ludziom!

ROZDZIAŁ XII.

Lecz, gdy wysiedli przed domem Petroniusza, przełożony nad atrium oświadczył im, że żaden z niewolników, wysłanych do bram, jeszcze nie wrócił. „Atriensis“ kazał im ponieść żywność i nowy rozkaz, by, pod groźbą chłosty, dawali pilne baczenie na wszystkich wychodzących z miasta.

— Widzisz — rzekł Petroniusz — niewątpliwie są dotąd w mieście, a w takim razie znajdziemy ich. Każ jednak i swoim ludziom czuwać przy bramach, tym mianowicie, którzy byli posłani po Ligię, bo ci łatwo ją rozpoznają.

— Kazałem ich zesłać do wiejskich ergastulów — rzekł Winicyusz — ale wnet rozkaz odwołam, niech idą do bram.

I, skreśliwszy kilka słów na powleczonej woskiem tabliczce, oddał ją Petroniuszowi, który polecił odesłać ją natychmiast do domu Winicyusza.

Poczem przeszli do wewnętrznego portyku i tam, zasiadłszy na marmurowej ławie, poczęli rozmawiać.

Złotowłosa Eunice i Iras podsunęły im pod nogi bron-

zowe stołeczki, a następnie, przystawiwszy do ławki stolik, poczęły im lać wino do czasz, z cudnych wązko-szyjastych dzbanków, które sprowadzano z Wolaterra i Cecyny.

— Czy masz między swymi ludźmi kogo, coby znał tego olbrzymiego Liga? — spytał Petroniusz.

— Znał go Atacynus i Gulo. Ale Atacynus legł wczoraj przy lektyce, a Gula zabiłem ja.

— Szkoda mi go — rzekł Petroniusz. — On nosił na ręku nietylko ciebie, ale i mnie.

— Chciałem go nawet wyzwolić — odparł Winicyusz — lecz mniejsza z tem. Mówmy o Ligii. Rzym, to morze...

— Perły poławiają się właśnie w morzu... Zapewne, nie znajdziemy jej dziś, lub jutro, jednakże znajdziemy niechybnie. Ty mnie obecnie obwiniasz, żem ci podał ten środek, ale środek sam w sobie był dobry, a stał się zły dopiero wówczas, gdy na złe się obrócił. Wszakżeś słyszał od samego Aulusa, że zamierza z całą rodziną przenieść się do Sycylii. W ten sposób, dziewczyna byłaby i tak daleko od ciebie.

— Byłbym za nimi pojechał — odrzekł Winicyusz — a w każdym razie byłaby bezpieczna, teraz zaś, jeśli tamto dziecko umrze, Peppea i sama uwierzy, i wmówi w Cezara, że to z winy Ligii.

— Tak jest. To mnie zaniepokoiło także. Ale ta mała kukła może jeszcze wyzdrowieć. Gdyby zaś miała umrzeć, znajdziemy i wówczas jakiś sposób.

Tu Petroniusz zamyślił się na chwilę, poczem rzekł:

— Poppea wyznaje jakoby religię Żydów i wierzy w złe duchy. Cezar jest przesądny... Jeśli rozpuścimy wieść, że Ligię porwały złe duchy, wieść znajdzie wiarę, zwłaszcza, że, gdy nie odbił jej ani Cezar, ani Aulus Plaucyusz, zniknęła w sposób istotnie tajemniczy. Lig, sam jeden, nie byłby tego dokazał. Musiałby mieć pomoc, a skądby niewolnik w ciągu jednego dnia mógł zebrać tylu ludzi?

— Niewolnicy wspierają się wzajem w całym Rzymie.

— Który krwawo to kiedykolwiek przypłaci. Tak! wspierają się, ale nie jedni przeciw drugim, a tu wiadomo było, że na twoich spadnie odpowiedzialność i kara. Gdy poddasz swoim myśl o złych duchach, potwierdzą natychmiast, że je na własne oczy widzieli, bo to ich wobec ciebie od razu uniewinni... Spytaj którego na próbę, czy nie widział, jak uno-

siły Ligię w powietrzu, a na egidę Zeusa zaprzysięgnie natychmiast, że tak było.

Winicyusz, który był także przesądny, spojrzał na Petroniusza z nagłym, ogromnym niepokojem.

— Jeśli Urzus nie mógł mieć ludzi do pomocy i nie mógł sam jeden jej porwać, to kto ją porwał?

Lecz Petroniusz począł się śmiać.

— Widzisz — rzekł — uwierzą, skoro i ty już napół wierzysz. Taki jest nasz świat, który drwi z bogów. Uwierzą i nie będą jej szukali, a my tymczasem umieścimy ją gdzieś daleko od miasta, w jakiejś mojej lub twojej willi.

— Jednakże, kto mógł jej pomódz?

— Jej współwyznawcy — odpowiedział Petroniusz

— Jacy? jakież ona czci bóstwo? Powinienbym o tem wiedzieć lepiej od ciebie.

— Każda niemal kobieta w Rzymie czci inne. Jest rzeczą niezawodną, że Pomponia wychowała ją w czci dla tego bóstwa, które sama wyznaje, jakie zaś wyznaje, nie wiem. Jedna jest rzecz pewna, że nikt nie widział jej, by w którejkolwiek z naszych świątyń ofiarowała naszym bogom. Oskarżano ją nawet, że jest chrześcijanką, ale to rzecz niepodobna. Sąd domowy oczyścił ją z tego zarzutu. O chrześcijanach mówią, że nietylko czczą oślą głowę, ale są nieprzyjaciółmi rodzaju ludzkiego i dopuszczają się najbezecniejszych zbrodni. Zatem Pomponia nie może być chrześcijanką, gdyż cnota jej jest znaną, a nieprzyjaciółka rodzaju ludzkiego, nie obchodziłaby się tak z niewolnikami, jak ona się obchodzi.

— W żadnym domu nie obchodzą się z nimi tak, jak u Aulusów — przerwał Winicyusz.

— Więc widzisz. Pomponia wspomniała mi o jakimś bogu, który ma być jeden, wszechmocny i miłosierny. Gdzie pochowała wszystkich innych, to jej rzecz, dość, że ten jej Logos nie byłby chyba bardzo wszechmocny, a raczej musiałby być bardzo marnym bogiem, gdyby miał tylko dwie czcicielki, to jest: Pomponię i Ligię, z dodatkiem ich Urzusa. Musi ich być więcej, tych wyznawców i ci dali pomoc Ligii.

— Ta wiara każe przebaczać — rzekł Winicyusz. — Spotkałem u Akte Pomponię, która powiedziała mi: „Niech ci Bóg przebaczy krzywdę, jaką wyrządziłeś Ligii i nam“.

— Widocznie ich bóg, to jakiś „curator“, bardzo do-

browolny. Ha! niechże ci przebaczy, a na znak przebaczenia niechaj ci wróci dziewczynę.

— Ofiarowałbym mu jutro hekatombę. Nie chcę jadła, ni kąpieli, ni snu. Wezmę ciemną lacernę i pójdę włóczyć się po mieście. Może ją w przebraniu znajdę. Chory jestem!

Petroniusz spojrzał na niego z pewnym politowaniem. Istotnie oczy Winicyusza podsiniały, źrenice świeciły gorączką; nieogolony rano zarost powlókł ciemnym pasem jego silnie zarysowane szczęki, włosy miał w nieładzie i wyglądał naprawdę jak chory. Iras i złotowłosa Eunice patrzyły na niego także ze współczuciem, lecz on zdawał się ich nie widzieć i obaj z Petroniuszem tak nic nie zważali na obecność niewolnic, jakby nie zważali na kręcące się koło nich psy.

— Gorączka cię trawi — rzekł Petroniusz.

— Tak jest.

— Więc posłuchaj mnie... Nie wiem, coby ci zapisał lekarz, ale wiem, jak jabym postąpił na twojem miejscu, ja. Oto, zanim się tamta odnajdzie, poszukałbym w innej tego, czego mi wraz z tamtą zbrakło. Widziałem w twojej willi ciała wyborne. Nie przecz mi... Wiem, co jest miłość i wiem, że gdy się jednej pożąda, inna jej zastąpić nie może. Ale w pięknej niewolnicy można zawsze znaleźć chociaż chwilową rozrywkę...

— Nie chcę! — odpowiedział Winicyusz.

Lecz Petroniusz, który miał do niego rzeczywistą słabość i który pragnął istotnie złagodzić jego cierpienie, począł rozmyślać, jakby to uczynić.

— Może twoje nie mają dla ciebie uroku nowości — rzekł po chwili — lecz (i tu jął patrzeć kolejno na Iras i na Eunice, a wreszcie położył dłoń na biodrze złotowłosej Greczynki) przypatrz się tej charytce. Kilka dni temu młodszy Fontejus Kapiton dawał mi za nią troje cudnych pacholąt z Klazomene, albowiem piękniejszego ciała chyba i Skopas nie stworzył. Sam nie rozumiem, dlaczego dotąd pozostałem dla niej obojętny, nie wstrzymała mnie przecie myśl o Chryzotemis! Otóż daruję ci ją, weź ją sobie!

A złotowłosa Eunice, usłyszawszy to, pobladła w jednej chwili, jak płótno i, patrząc przestraszonemi oczyma na Winicyusza, zdawała się, bez tchu w piersi, czekać na jego odpowiedź.

Lecz on zerwał się nagle i, ścisnąwszy rękoma skronie, począł mówić prędko, jak człowiek, który trawiony chorobą, nie chce słyszeć o niczem:

— Nie! nie!... Nic mi po niej! nic mi po innych... Dziękuję ci, ale nie chcę! i idę szukać tamtej po mieście. Każ mi dać gallijską lacernę z kapturem. Pójdę za Tyber... Gdybym choć Urzusa mógł zobaczyć!...

I wyszedł śpiesznie. Petroniusz zaś, widząc, że istotnie nie może usiedzieć na miejscu, nie próbował go wstrzymywać. Biorąc jednak odmowę Winicyusza za chwilową niechęć do każdej kobiety, która nie była Ligią, i nie chcąc, by wspaniałomyślność jego poszła na marne, zwróciwszy się do niewolnicy, rzekł:

— Eunice, wykąpiesz się, namaścisz i przybierzesz, a potem pójdziesz do domu Winicyusza.

Lecz ona padła przed nim na kolana i ze złożonemi rękoma poczęła go błagać, by jej nie oddalał z domu. Ona nie pójdzie do Winicyusza i woli tu nosić drwa do hypokaustum, niż tam być pierwszą ze sług. Nie chce! nie może! i błaga go, by zlitował się nad nią. Niechaj ją każe chłostać codziennie, byle jej nie wysyłał z domu.

I, trzęsąc się jak liść, zarazem z bojaźni i uniesienia, wyciągała ku niemu ręce, on zaś słuchał jej ze zdumieniem. Niewolnica, która śmie się wypraszać od spełnienia rozkazu, która mówi: „nie chcę i nie mogę", była czemś tak niesłychanem w Rzymie, że Petroniusz na razie nie chciał uszom uwierzyć. Wreszcie, zmarszczył brwi. Był on zbyt wykwintnym, by być okrutnym. Niewolnikom jego, zwłaszcza w zakresie rozpusty, więcej było wolno, niż innym, pod warunkiem, by wzorowo spełniali służbę i wolę pańską czcili na równi z bożą. W razie uchybienia tym dwom obowiązkom umiał jednak nie żałować kar, jakim wedle ogólnego obyczaju podlegali. A gdy, prócz tego, nie cierpiał i wszelkich przeciwności, i wszystkiego, co mu mieszało spokój, więc popatrzywszy chwilę na klęczącą, rzekł:

— Przywołasz mi Tejrezyasza i powrócisz tu z nim razem.

Eunice wstała drżąca, ze łzami w oczach i odeszła, po chwili zaś wróciła z przełożonym nad atrium Kreteńczykiem, Tejrezyaszem.

— Weźmiesz Eunice — rzekł mu Petroniusz — i dasz jej dwadzieścia pięć plag, tak jednak, by nie popsuć skóry.

To rzekłszy, przeszedł do biblioteki i, zasiadłszy przy stole z różowego marmuru, począł pracować nad swoją „Ucztą Trymalchiona".

Ale ucieczka Ligii i choroba małej Augusty nadto rozrywały mu myśl, tak, że nie mógł długo pracować. Zwłaszcza choroba owa była ważnym wypadkiem. Petroniuszowi przyszło do głowy, że jeśli Cezar uwierzy, iż Ligia rzuciła czar na małą Augustę, to odpowiedzialność może spaść i na niego, albowiem na jego prośbę sprowadzono dziewczynę do pałacu. Liczył jednak, że za pierwszem widzeniem się z Cezarem, potrafi w jakikolwiek sposób wytłómaczyć mu całą niedorzeczność podobnego przypuszczenia, a po trochu liczył i na pewną słabość, jaką czuła dla niego Poppea, ukrywając ją wprawdzie starannie, ale nie tak starannie, by nie miał jej odgadnąć. Po chwili też wzruszył ramionami na swe obawy i postanowił zejść do tryklinium, by się posilić, a następnie kazać się zanieść jeszcze raz do pałacu, potem na pole Marsowe, a potem do Chryzotemis.

Lecz po drodze do tryklinium, przy wejściu do kurytarza, przeznaczonego dla służby, dojrzał nagle stojącą pod ścianą, wśród innych niewolników, wysmukłą postać Eunice i, zapomniawszy, że nie wydał Tejrezyaszowi innego rozkazu, jak aby ją wychłostał, zmarszczył znów brwi i począł się za nim oglądać.

Nie dostrzegłszy go jednak między służbą, zwrócił się do Eunice:

— Czy otrzymałaś chłostę?

A ona po raz drugi rzuciła się do jego nóg, przycisnęła na chwilę do ust brzeg jego togi, poczem odrzekła:

— O, tak, panie! Otrzymałam! o, tak, panie!...

W głosie jej brzmiała jakby radość i wdzięczność. Widocznem było, iż sądziła, że chłosta miała zastąpić oddanie jej z domu i że teraz może już pozostać. Petroniusza, który to zrozumiał, zadziwił ten namiętny opór niewolnicy, ale nadto był biegłym znawcą natury ludzkiej, by nie odgadnąć, że jedna chyba miłość mogła być takiego oporu powodem.

— Masz-li kochanka w tym domu? — spytał.

A ona podniosła na niego swoje niebieskie, łzawe oczy i odrzekła tak cicho, że ledwo można ją było usłyszeć:

— Tak, panie!...

I z temi oczyma, z odrzuconym w tył złotym włosem, z obawą i nadzieją w twarzy, była tak piękna, patrzyła na niego tak błagalnie, że Petroniusz, który, jako filozof, sam głosił potęgę miłości, a jako esteta, czcił wszelką piękność, uczuł dla niej pewien rodzaj politowania.

— Który z nich jest twoim kochankiem? — spytał, wskazując głową na służbę.

Lecz na to nie było odpowiedzi, tylko Eunice schyliła twarz aż do jego stóp i pozostała nieruchoma.

Petroniusz spojrzał po niewolnikach, między którymi byli piękni i dorodni młodzieńcy, lecz z żadnego oblicza nie mógł nic wyczytać, a natomiast wszystkie miały jakieś dziwne uśmiechy; zaczem popatrzył chwilę jeszcze na leżącą u jego nóg Eunice i odszedł w milczeniu do tryklinium.

Po posiłku kazał się zanieść do pałacu, a potem do Chryzotemis, u której pozostał do późnej nocy. Lecz, wróciwszy, rozkazał wezwać do siebie Tejrezyasza.

— Czy Eunice dostała chłostę? — spytał go.

— Tak, panie. Nie pozwoliłeś jednak przecinać skóry.

— Czym nie wydał co do niej innego rozkazu?

— Nie, panie — odpowiedział z niepokojem „atriensis".

— To dobrze. Kto z niewolników jest jej kochankiem?

— Nikt, panie.

— Co o niej wiesz?

Tejrezyasz począł mówić nieco niepewnym głosem:

— Eunice nigdy nie opuszcza nocą kubikulum, w którem sypia ze starą Akryzyoną i Ifidą; nigdy po twej kąpieli, panie, nie zostaje w łaźni... Inne niewolnice śmieją się z niej i nazywają ją Dyaną.

— Dosyć — rzekł Petroniusz. — Mój krewny, Winicyusz, któremu darowałem dziś rano Eunice, nie przyjął jej, więc pozostanie w domu. Możesz odejść.

— Czy wolno mi jeszcze mówić o Eunice, panie?

— Kazałem ci mówić wszystko, co wiesz.

— Cała „familia" mówi, panie, o ucieczce dziewicy, która miała zamieszkać w domu szlachetnego Winicyusza. Po

twojem odejściu Eunice przyszła do mnie i powiedziała mi, iż zna człowieka, który potrafi ją odnaleźć.

— A! — rzekł Petroniusz. — Co to za człowiek?

— Nie znam go, panie, myślałem jednak, że powinienem ci to oznajmić.

— Dobrze. Niech ten człowiek czeka jutro w moim domu na przybycie trybuna, którego jutro poprosisz w mojem imieniu, by rano mnie odwiedził.

„Atriensis“ skłonił się i wyszedł.

Petroniusz zaś począł mimowoli myśleć o Eunice. Z początku zdawało mu się rzeczą jasną, że młoda niewolnica pragnie, by Winicyusz odzyskał Ligię, dlatego tylko, by nie być zmuszoną do zastąpienia jej w jego domu. Lecz następnie przyszło mu do głowy, że ów człowiek, którego Eunice nastręcza, może być jej kochankiem, i ta myśl wydała mu się nagle przykrą. Był wprawdzie prosty sposób dowiedzenia się prawdy, wystarczało bowiem kazać zawołać Eunice, lecz godzina była późna, Petroniusz zaś czuł się strudzony po długich odwiedzinach u Chryzotemis i pilno mu było do snu. Jednakże, idąc do kubikulum, przypomniał sobie, niewiadomo dlaczego, że w kątach oczu Chryzotemis dostrzegł dziś zmarszczki. Pomyślał też, że jej piękność była bardziej rozgłośną w całym Rzymie, niż prawdziwą, i że Fontejus Kapiton, który mu ofiarował trzy pacholęta z Klazomene za Eunice, chciał ją jednak kupić zbyt tanio.

ROZDZIAŁ XIII.

Nazajutrz Petroniusz kończył się zaledwie ubierać w unctorium, gdy nadszedł wezwany przez Tejrezyasza Winicyusz. Wiedział on już, że żadne nowiny od bram nie przyszły i wiadomość ta, zamiast go ucieszyć, jako dowód, że Ligia znajduje się w mieście, przygnębiła go jeszcze bardziej, albowiem począł przypuszczać, że Urzus mógł ją wyprowadzić z miasta natychmiast po porwaniu, a więc przedtem, zanim niewolnicy Petroniusza poczęli przy bramach strażować. Wprawdzie jesienią, gdy dni stawały się krótsze, zamykano je dość wcześnie, ale też otwierano je dla wyjeżdżających, których liczba bywała znaczna. Za mury można się też było wydostać i innymi

sposobami, o których naprzykład niewolnicy, którzy chcieli zbiedz z miasta, wiedzieli dobrze. Winicyusz wysłał wprawdzie swych ludzi i na wszystkie drogi, wiodące na prowincyę, do wigilów w pomniejszych miastach, z ogłoszeniami o zbiegłej parze niewolników, z dokładnym opisem Urzusa i Ligii i z oznajmieniem nagrody za ich schwytanie. Było jednak rzeczą wątpliwą, czy ten pościg może ich dosięgnąć, a gdyby nawet dosięgnął, czy władze miejscowe będą się czuły w prawie zatrzymać ich na prywatne żądanie Winicyusza, nie poświadczone przez pretora. Owóż na podobne poświadczenie nie było czasu. Ze swej strony Winicyusz przez cały wczorajszy dzień szukał Ligii w przebraniu niewolnika po wszystkich zaułkach miasta, nie zdołał jednak odnaleźć najmniejszego śladu, ni wskazówki. Widział wprawdzie ludzi Aulusowych, ale ci zdawali się także czegoś szukać, i to utwierdziło go tylko w mniemaniu, że nie Aulusowie ją odbili, i że nie wiedzą także, co się z nią stało.

Gdy więc Tejrezyasz oświadczył mu, że jest człowiek, który podejmuje się jej odszukać, pośpieszył co tchu do domu Petroniusza i zaledwie się z nim powitawszy, począł o owego człowieka wypytywać.

— Zaraz go zobaczymy — rzekł Petroniusz. — Jest to znajomy Eunice, która w tej chwili nadejdzie ułożyć fałdy mojej togi i która da nam o nim bliższą wiadomość.

— Ta, którą wczoraj chciałeś mi darować?

— Ta, którą wczoraj odrzuciłeś, za co ci zresztą jestem wdzięczny, jest to bowiem najlepsza *vestiplica* w całem mieście.

Jakoż *vestiplica* nadeszła, prawie zanim skończył mówić, i wziąwszy togę, złożoną na krześle, wykładanem kością słoniową, rozwinęła ją, by zarzucić na ramiona Petroniusza. Twarz miała jasną, cichą, a w oczach jej świeciła radość.

Petroniusz spojrzał na nią i wydała mu się bardzo piękna. Po chwili, gdy okręciwszy go w togę, poczęła ją układać, schylając się chwilami dla wydłużenia fałd, spostrzegł, że jej ramiona mają przecudny kolor bladej róży, a pierś i barki przezroczyste odblaski perłowca lub alabastru.

— Eunice — rzekł — czy jest ten człowiek, o którym wspominałaś wczoraj Tejrezyaszowi?

— Jest, panie.

— Jak się zowie?

— Chilon Chilonides, panie.

— Kto on jest?

— Lekarz, mędrzec i wróżbita, który umie czytać w losach ludzkich i przepowiadać przyszłość.

— Czy przepowiedział przyszłość i tobie?

Eunice oblała się rumieńcem, który zaróżowił nawet jej uszy i szyję.

— Tak, panie.

— Cóż ci wywróżył?

— Że spotka mnie boleść i szczęście.

— Boleść spotkała cię wczoraj z ręki Tejrezyasza, a więc powinno przyjść i szczęście.

— Już przyszło, panie.

— Jakie?

A ona szepnęła cicho:

— Zostałam.

Petroniusz położył dłoń na jej złotej głowie.

— Dobrześ ułożyła dziś fałdy i rad jestem z ciebie, Eunice.

Jej zaś pod tem dotknięciem oczy w jednej chwili zaszły mgłą szczęścia i pierś poczęła się szybko poruszać.

Lecz Petroniusz z Winicyuszem przeszli do atrium, gdzie czekał na nich Chilon Chilonides, który ujrzawszy ich, oddał głęboki pokłon. Petroniuszowi na myśl o przypuszczeniu, które uczynił wczoraj, że może to być kochanek Eunice, uśmiech wybiegł na usta. Człowiek, który stał przed nim, nie mógł być niczyim kochankiem. W tej dziwnej figurze było coś i plugawego i śmiesznego. Nie był stary: w jego niechlujnej brodzie i kręconej czuprynie ledwie gdzieniegdzie przeświecał włos siwy. Brzuch miał zapadły, plecy zgarbione, tak, że na pierwszy rzut oka wydawał się być garbatym, nad owym garbem zaś wznosiła się głowa wielka, o twarzy małpiej i zarazem lisiej, i przenikliwem wejrzeniu. Żółtawa jego cera popstrzona była pryszczami, a pokryty nimi całkowicie nos mógł wskazywać zbytnie zamiłowanie do butelki. Zaniedbany ubiór, składający się z ciemnej tuniki, utkanej z koziej wełny, i takiegoż dziurawego płaszcza, dowodził prawdziwej lub udanej nędzy. Petroniuszowi, na jego widok, przyszedł na myśl

homerowy Terzytes, więc też odpowiedziawszy skinieniem ręki na jego ukłon, rzekł:

— Witaj, boski Terzytesie! Jak się miewają twoje guzy, których ci nabił pod Troją Ulisses i co on sam porabia na polach Elizejskich?

— Szlachetny panie — odpowiedział Chilon Chilonides — najmędrszy z umarłych, Ulisses, zasyła przeze mnie najmędrszemu z żyjących, Petroniuszowi, pozdrowienie i prośbę, by okrył nowym płaszczem moje guzy.

— Na Hekate Triformis! — zawołał Petroniusz — odpowiedź warta płaszcza...

Lecz dalszą rozmowę przerwał niecierpliwy Winicyusz, który spytał wręcz:

— Czy wiesz dokładnie, czego się podejmujesz?

— Gdy dwie „familie“, w dwóch wspaniałych domach, nie mówią o niczem innem, a za niemi powtarza wiadomość połowa Rzymu, nietrudno wiedzieć — odparł Chilon. — Wczorajszej nocy odbito dziewicę, wychowaną w domu Aula Plaucyusza, imieniem Ligia, albo właściwie Kallina, którą twoi niewolnicy, o panie, przeprowadzali z pałacu Cezara do twej „insuli“, ja zaś podejmuję się odnaleźć ją w mieście, lub jeśli, co jest mało prawdopodobnem, opuściła miasto, wskazać ci, szlachetny trybunie, dokąd uciekła i gdzie się ukryła.

— Dobrze — rzekł Winicyusz, któremu podobała się ścisłość odpowiedzi — jakie masz do tego środki?

Chilo uśmiechnął się chytrze:

— Środki ty posiadasz, panie: ja mam tylko rozum.

Petroniusz uśmiechnął się także, albowiem był zupełnie zadowolony ze swego gościa.

— Ten człowiek może odnaleźć dziewczynę — pomyślał.

Tymczasem Winicyusz zmarszczył swe zrośnięte brwi i rzekł:

— Nędzarzu, jeśli mnie zwodzisz dla zysku, każę cię zabić pod kijami.

— Filozofem jestem, panie, a filozof nie może być chciwym na zysk, zwłaszcza na taki, jaki wspaniałomyślnie obiecujesz.

— Ach, jesteś filozofem? — spytał Petroniusz. — Eunice mówiła mi, że jesteś lekarzem i wróżbitą. Skąd znasz Eunice?

— Przychodziła do mnie po radę, gdyż sława moja obiła się o jej uszy.

— Jakiejże chciała rady?

— Na miłość, panie. Chciała się wyleczyć z bezwzajemnej miłości.

— I wyleczyłeś ją?

— Uczyniłem więcej, panie, dałem jej bowiem amulet, który zapewnia wzajemność. W Pafos, na Cyprze, jest świątynia, o panie, w której chowają przepaskę Wenery. Dałem jej dwie nitki z tej przepaski, zamknięte w skorupie migdała.

— I kazałeś sobie dobrze zapłacić?

— Za wzajemność nigdy nie można dość zapłacić, ja zaś, nie mając dwóch palców u prawej ręki, zbieram na niewolnika-skrybę, któryby spisywał moje myśli i zachował moją naukę dla świata.

— Do jakiejże szkoły należysz, boski mędrcze?

— Jestem cynikiem, panie, bo mam dziurawy płaszcz; jestem stoikiem, bo biedę znoszę cierpliwie, a jestem perypatetykiem, bo nie posiadając lektyki, chodzę piechotą od winiarza do winiarza i po drodze nauczam tych, którzy obiecują za dzban zapłacić.

— Przy dzbanku zaś stajesz się retorem?

— Heraklit powiedział: „wszystko płynie“, a czy możesz zaprzeczyć, panie, że wino jest płynem?

— I głosił, że ogień jest bóstwem, bóstwo zaś to płonie na twym nosie.

— A boski Dyogenes z Apollonii głosił, że istotą rzeczy jest powietrze, a im powietrze cieplejsze, tem doskonalsze tworzy istoty, a z najcieplejszego tworzą się dusze mędrców. Że zaś jesienią przychodzą chłody, ergo prawdziwy mędrzec powinien ogrzewać duszę winem... Bo również nie możesz zaprzeczyć, panie, by dzban, choćby cienkusza, z pod Kapuy lub Telezyi, nie roznosił ciepła po wszystkich kościach znikomego ludzkiego ciała.

— Chilonie Chilonidesie, gdzie jest twoja ojczyzna?

— Nad Pontem Euxynem. Pochodzę z Mezembryi.

— Chilonie, jesteś wielki!

— I zapoznany! — dodał melancholicznie mędrzec.

Jednakże Winicyusz zniecierpliwił się znowu. Wobec nadziei, jaka mu zabłysła, chciałby, by Chilo natychmiast wy-

ruszył na wyprawę, i cała rozmowa wydała mu się tylko marną stratą czasu, o którą zły był na Petroniusza.

— Kiedy rozpoczniesz poszukiwania? — rzekł, zwracając się do Greka.

— Już je rozpocząłem — odpowiedział Chilon. — I gdy tu jestem, gdy odpowiadam na twe uprzejme pytania, szukam także. Miej tylko ufność, cny trybunie, i wiedz, że gdyby ci zginęła zawiązka od obuwia, potrafiłbym odszukać zawiązkę, lub tego, który ją na ulicy podjął.

— Czy byłeś już używany do podobnych posług? — spytał Petroniusz.

Grek podniósł w górę oczy:

— Zbyt nizko dziś cenią cnotę i mądrość, by nawet filozof nie był zmuszony szukać innych do życia sposobów.

— Jakież są twoje?

— Wiedzieć wszystko, i służyć nowinami tym, którzy ich pragną.

— I którzy za nie płacą?

— Ach, panie, potrzebuję kupić pisarza. Inaczej moja mądrość umrze wraz ze mną.

— Jeśliś nie zebrał dotąd nawet na cały płaszcz, zasługi twe nie muszą być znakomite.

— Skromność przeszkadza mi je wynosić. Lecz pomyśl, panie, że niema dziś takich dobroczyńców, jakich było pełno dawniej, i którym obsypać złotem zasługę było tak miło, jak połknąć ostrygę z Puteoli. Nie zasługi moje są małe, lecz wdzięczność ludzka jest mała. Czasem, gdy ucieknie cenny niewolnik, kto go wynajdzie, jeśli nie jedyny syn mego ojca? Gdy na murach zjawią się napisy na boską Poppeę, kto wskaże sprawców? Kto wyszpera u księgarzy wiersz na Cezara? Kto doniesie, co mówią w domach senatorów i rycerzy? Kto nosi listy, których nie chcą powierzyć niewolnikom, kto nasłuchuje nowin przy drzwiach balwierzy, dla kogo nie mają tajemnic winiarze i piekarczycy, komu ufają niewolnicy, kto umie przejrzeć na wylot każdy dom od atrium do ogrodu? Kto zna wszystkie ulice, zaułki, kryjówki, kto wie, co mówią w termach, w cyrku, na targach, w szkołach lanistów, w szopach u handlarzy niewolników i nawet w arenaryach?...

— Na bogi! dosyć szlachetny mędrcze! — zawołał Petroniusz — bo utoniemy w twych zasługach, cnocie, mą-

drości i wymowie. Dosyć! chcieliśmy wiedzieć, kim jesteś i wiemy!

Lecz Winicyusz rad był, pomyślał bowiem, że człowiek ten, podobnie jak pies gończy, raz puszczony na trop, nie ustanie, póki nie odnajdzie kryjówki.

— Dobrze — rzekł — czy potrzebujesz wskazówek?

— Potrzebuję broni.

— Jakiej? — spytał ze zdziwieniem Winicyusz.

Grek nadstawił jedną dłoń, drugą zaś uczynił gest liczenia pieniędzmi.

— Takie dziś czasy, — panie — rzekł z westchnieniem.

— Będziesz więc osłem — rzekł Petroniusz — który zdobywa fortecę za pomocą worków złota.

— Jestem tylko biednym filozofem, panie — odrzekł z pokorą Chilon — złoto, macie wy.

Winicyusz cisnął mu kieskę, którą Grek chwycił w powietrzu, jakkolwiek istotnie nie miał dwóch palców u prawej ręki.

Poczem podniósł głowę i rzekł:

— Panie, wiem już więcej, niż się spodziewasz. Nie przyszedłem tu z próżnemi rękoma. Wiem, że dziewicy nie porwali Aulusowie, gdyż mówiłem już z ich sługami. Wiem, że jej niema na Palatynie, gdzie wszyscy zajęci są chorą małą Augustą, i może nawet domyślam się, dlaczego wolicie szukać dziewicy z moją pomocą, niż z pomocą wigilów i żołnierzy Cezara. Wiem, że ułatwił jej ucieczkę sługa, pochodzący z tegoż samego, co i ona kraju. Nie mógł on znaleźć pomocy u niewolników, bo niewolnicy, którzy się wszyscy razem trzymają, nie pomogliby mu przeciw twoim. Mogli mu pomódz tylko współwyznawcy...

— Słuchaj, Winicyuszu — przerwał Petroniusz — czym ci tego samego słowo w słowo nie mówił.

— Honor to dla mnie — rzekł Chilon. — Dziewica, panie — mówił, zwracając się znów do Winicyusza — niechybnie czci jednakie bóstwo z tą najcnotliwszą z Rzymianek, z tą prawdziwą matroną stolatą, Pomponią. Słyszałem i to, że Pomponia była sądzona w domu za wyznawanie jakichś obcych bóstw, nie mogłem się jednak od jej sług dowiedzieć, jakie jest owo bóstwo i jak się zowią jego wyznawcy. Gdybym mógł o tem wiedzieć, udałbym się do nich, stałbym się

najpobożniejszym między nimi, i zyskał ich ufność. Lecz ty, panie, który, jak wiem także, spędziłeś kilkanaście dni w domu szlachetnego Aulusa, czy możesz dać mi jaką o tem wiadomość?

— Nie mogę — rzekł Winicyusz.

— Pytaliście mnie długo o różne rzeczy, szlachetni panowie i ja odpowiadałem na pytania, pozwólcie, bym je teraz zadawał. Czy nie widziałeś, cny trybunie, żadnych posążków, żadnych ofiar, żadnych oznak, żadnych amuletów na Pomponii lub na twej boskiej Ligii? Czy nie widziałeś, aby kreśliły między sobą jakieś znaki, zrozumiałe dla nich tylko?

— Znaki?... Czekaj!... Tak! Widziałem raz, jak Ligia nakreśliła na piasku rybę.

— Rybę? Aa! Ooo! Czy uczyniła to raz, czy kilkakrotnie?

— Raz jeden.

— I jesteś, panie, pewien, że nakreśliła... Rybę? Oo!...

— Tak jest! — odrzekł zaciekawiony Winicyusz. — Czy odgadujesz, co to znaczy?

— Czy odgaduję! — zawołał Chilon.

I skłoniwszy się na znak pożegnania, dodał:

— Niechaj Fortuna rozsypuje na was porównie wszystkie dary, dostojni panowie.

— Każ sobie dać płaszcz! — rzekł mu na drogę Petroniusz.

— Ulisses składa ci dzięki za Terzytesa — odpowiedział Grek.

I skłoniwszy się powtórnie, wyszedł.

— Cóż powiesz o tym szlachetnym mędrcu? — spytał Winicyusza Petroniusz.

— Powiem, że on odnajdzie Ligię! — zawołał z radością Winicyusz — ale powiem także, że gdyby istniało państwo łotrów, on mógłby być królem w tem państwie.

— Niewątpliwie. Muszę z tym stoikiem zabrać bliższą znajomość, ale tymczasem każę wykadzić po nim atrium.

A Chilon Chilonides, okręciwszy się swym nowym płaszczem, podrzucał na dłoni pod jego fałdami otrzymaną od Winicyusza kieskę i lubował się zarówno jej ciężarem, jak dźwiękiem. Idąc zwolna i oglądając się, czy z domu Petroniusza za nim nie patrzą, minął portyk Liwii i doszedłszy do rogu clivus Virbius, skręcił na Suburę.

— Trzeba pójść do Sporusa — mówił sobie — i ulać trochę wina Fortunie. Znalazłem wreszcie, czegom od dawna szukał. Młody jest, zapalczywy, hojny, jak kopalnie Cypru i za tę ligijską makolągwę gotówby oddać pół mienia. Tak, takiego właśnie szukałem od dawna. Trzeba jednak być z nim ostrożnym, bo jego zmarszczenie brwi nie zapowiada nic dobrego. Ach! szczenięta wilcze panują dziś nad światem!... Mniejbym się bał tego Petroniusza. O bogowie! przecz stręczycielstwo lepiej dziś popłaca, niż cnota? Ha! nakreśliła ci rybę na piasku? Jeśli wiem, co to znaczy, niech się udławię kawałkiem koziego sera! Ale będę wiedział! Ponieważ jednak ryby żyją pod wodą, a poszukiwanie pod wodą trudniejsze jest, niż na lądzie, ergo: zapłaci mi za tę rybę osobno. Jeszcze jedna taka kieska, a mógłbym porzucić dziadowskie biesagi i kupić sobie niewolnika... Lecz cobyś powiedział Chilonie, gdybym ci doradził kupić nie niewolnika, ale niewolnicę?... Znam cię! Wiem, że się zgodzisz!... Gdyby była piękna, jak naprzykład Eunice, sambyś przy niej odmłodniał, a zarazem miałbyś z niej uczciwy i pewny dochód. Sprzedałem tej biednej Eunice dwie nitki z mego własnego starego płaszcza.. Głupia jest, ale gdyby mi ją Petroniusz darował, tobym ją wziął... Tak, tak, Chilonie, synu Chilona... Straciłeś ojca i matkę!... Jesteś sierotą, więc kup sobie na pociechę choć niewolnicę. Musi ona wprawdzie gdzieś mieszkać, więc Winicyusz najmie jej mieszkanie, w którem i ty się przytulisz; musi się ubrać, więc Winicyusz zapłaci za jej ubiór, i musi jeść, więc będzie ją żywił. Och, jakie życie ciężkie! Gdzie te czasy, w których za obola można było dostać tyle bobu ze słoniną, ile można było w obie dłonie objąć, lub kawał koziej kiszki, nalanej krwią, tak długi, jak ramię dwunastoletniego pacholęcia!... Ale oto i ten złodziej, Sporus! W winiarni najłatwiej czegoś się dowiedzieć.

Tak mówiąc, wszedł do winiarni i kazał sobie podać dzbaniec „ciemnego“, widząc zaś nieufne spojrzenie gospodarza, wydłubał złoty pieniądz z kieski i położywszy go na stole, rzekł:

— Sporusie, pracowałem dziś z Seneką od świtu do południa, i oto, czem mój przyjaciel obdarzył mnie na drogę.

Okrągłe oczy Sporusa uczyniły się na ten widok jeszcze

okrąglejsze i wino wnet znalazło się przed Chilonem, ten zaś, umoczywszy w niem palec, nakreślił rybę na stole i rzekł:

— Wiesz, co to znaczy?

— Ryba? No, ryba, to ryba!

— Głupiś, choć dolewasz tyle wody do wina, że mogłaby się w niem znaleźć i ryba. To jest symbol, który w języku filozofów znaczy: Uśmiech Fortuny. Gdybyś go był odgadł, byłbyś i ty może zrobił fortunę. Szanuj filozofię, mówię ci, bo inaczej zmienię winiarnię, do czego mój osobisty przyjaciel, Petroniusz, od dawna mnie namawia.

ROZDZIAŁ XIV.

Przez kilka dni następnych Chilon nie pokazywał się nigdzie. Winicyusz, który od czasu, jak dowiedział się od Akte, że Ligia go kochała, stokroć jeszcze więcej pragnął ją odnaleźć, rozpoczął poszukiwania na własną rękę, nie chcąc, a zarazem i nie mogąc udać się o pomoc do Cezara, pogrążonego w trwodze z powodu zdrowia małej Augusty.

Jakoż nie pomogły ofiary, składane w świątyniach, modły i wota, jak również sztuka lekarska i wszelkie czarodziejskie środki, jakich się w ostateczności chwytano. Po tygodniu dziecko umarło. Żałoba padła na dwór i na Rzym. Cezar, który przy urodzeniu dziecka szalał z radości, szalał teraz z rozpaczy i zamknąwszy się u siebie, przez dwa dni nie przyjmował pokarmu, a jakkolwiek pałac roił się tłumami senatorów i augustyanów, którzy śpieszyli z oznakami żalu i współczucia, nie chciał nikogo widzieć. Senat zebrał się na nadzwyczajne posiedzenie, na którem zmarłe dziecko ogłoszone zostało boginią; uchwalono wznieść jej świątynię i ustanowić osobnego przy niej kapłana. Składano też w innych nowe na cześć zmarłej ofiary, odlewano jej posągi z drogocennych metali, a pogrzeb był jedną niezmierną uroczystością, na której lud podziwiał niepomiarkowane oznaki żalu, jakie dawał Cezar, płakał z nim razem, wyciągał ręce po podarki, i nadewszystko bawił się niezwykłem widowiskiem.

Petroniusza zaniepokoiła ta śmierć. Wiadomem już było w całym Rzymie, że Poppea przypisuje ją czarom. Powtarzali to za nią i lekarze, którzy w ten sposób mogli usprawiedliwić

bezskuteczność swych wysiłków, i kapłani, których ofiary okazały się bezsilne, i zamawiacze, którzy drżeli o swoje życie, i lud. Petroniusz rad był teraz, że Ligia uciekła; ponieważ jednak nie życzył źle Aulusom, a życzył dobrze i sobie, i Winicyuszowi, przeto gdy zdjęto cyprys, zatknięty na znak żałoby przed Palatynem, udał się na przyjęcie, zgotowane dla senatorów i augustyanów, by się przekonać, o ile Nero podał ucho wieści o czarach i zapobiedz następstwom, jakieby mogły z tego wyniknąć.

Przypuszczał też, znając Nerona, że ten, choćby w czary nie uwierzył, będzie udawał, że wierzy, i dlatego, by oszukać własny ból, i dlatego, by się na kimkolwiek pomścić, i wreszcie, by zapobiedz przypuszczeniom, że bogowie poczynają go karać za zbrodnie. Petroniusz nie sądził, by Cezar mógł nawet własne dziecko kochać prawdziwie i głęboko, jakkolwiek kochał je zapalczywie, był jednak pewien, że będzie przesadzał w boleści. Jakoż nie omylił się. Nero słuchał pociech senatorów i rycerzy z kamienną twarzą, z oczyma utkwionemi w jeden punkt i widać było, że jeśli nawet cierpi istotnie, to zarazem myśli o tem, jakie wrażenie czyni jego ból na obecnych, zarazem pozuje na Niobe, i daje przedstawienie rodzicielskiego żalu, tak jakby je dawał komedyant na scenie. Nie umiał nawet przytem wytrwać w milczącej i niby skamieniałej boleści, albowiem chwilami czynił gesta, jak gdyby posypywał głowę prochem ziemi, a chwilami jęczał głucho, ujrzawszy zaś Petroniusza, zerwał się i tragicznym głosem począł wołać, tak, aby go wszyscy mogli dosłyszeć:

— Eheu!... I tyś winien jej śmierci! Za twoją to radą wszedł w te mury zły duch, który jednem spojrzeniem wyssał życie z jej piersi... Biada mi! i wolejby oczy moje nie patrzyły na światło Heliosa... Biada mi! eheu! eheu!...

I podnosząc coraz głos, przeszedł w krzyk rozpaczliwy, lecz Petroniusz w tejże samej chwili postanowił stawić wszystko na jeden rzut kości, zaczem, wyciągnąwszy rękę, zerwał szybko jedwabną chustkę, którą Nero zawsze nosił na szyi i położył mu ją na ustach.

— Panie! — rzekł z powagą — spal Rzym i świat z boleści, lecz zachowaj nam swój głos!

Zdumieli się obecni, zdumiał się na chwilę sam Nero, jeden tylko Petroniusz pozostał niewzruszony. Wiedział on

nadto dobrze, co robi. Pamiętał przecie, że Terpnos i Dyodor mieli wprost rozkaz zatykać usta Cezarowi, gdyby podnosząc zbyt głos, narażał go na szwank jakikolwiek.

— Cezarze — mówił dalej z tą samą powagą i smutkiem — ponieśliśmy stratę niezmierną, niech nam choć ten skarb pociechy zostanie!

Twarz Nerona zadrgała i po chwili z oczu puściły mu się łzy, nagle wsparł dłonie na ramionach Petroniusza i złożywszy głowę na jego piersiach, jął powtarzać wśród łkań:

— Tyś jeden ze wszystkich o tem pomyślał, ty jeden! Petroniuszu! ty jeden!

Tygellinus pożółkł z zazdrości — Petroniusz zaś mówił:

— Jedź do Ancyum! tam ona przyszła na świat, tam spłynęła na cię radość, tam spłynie ukojenie. Niech morskie powietrze odświeży twe boskie gardło; niechaj pierś twoja odetchnie słoną wilgocią. My, wierni, pójdziemy wszędy za tobą i gdy twój ból będziemy koili przyjaźnią, ty ukoisz nas pieśnią.

— Tak! — odrzekł żałośnie Nero — napiszę hymn na jej cześć i ułożę do niego muzykę.

— A potem poszukasz ciepłego słońca w Bajae.

— A potem, zapomnienia w Grecyi.

— W ojczyźnie poezyi i pieśni!

I kamienny, ponury nastrój mijał stopniowo, jak mijają chmury, pokrywające słońce, a natomiast poczęła się rozmowa, niby pełna jeszcze smutku, lecz pełna i układów na przyszłość, tyczących podróży, artystycznych wystąpień, a nawet i przyjęć, jakich wymagało zapowiedziane przybycie Tyrydata, króla Armenii. Tygellinus próbował wprawdzie jeszcze wspomnieć o czarach, lecz Petroniusz, pewny już wygranej, podjął wprost wyzwanie.

— Tygellinie — rzekł — czy sądzisz, że czary mogą szkodzić bogom?

— Sam Cezar o nich mówił — odpowiedział dworak.

— Boleść mówiła, nie Cezar, lecz ty co o tem mniemasz?

— Bogowie zbyt są potężni, by mogli podlegać urokom.

— Miałżebyś zaś odmawiać boskości Cezarowi i jego rodzinie?

— *Peractum est!* — mruknął stojący obok Epryus Mar-

cellus, powtarzając okrzyk, jaki wydawał lud, gdy gladyator w arenie ugodzony został od razu tak, że nie potrzebował dobicia.

Tygellinus zgryzł w sobie gniew. Między nim i Petroniuszem z dawna istniało współzawodnictwo wobec Nerona i Tygellinus miał tę wyższość, że Nero mniej, albo raczej wcale się wobec niego nie krępował, aż dotąd jednak Petroniusz, ilekroć się zetknęli, pokonywał go rozumem i dowcipem.

Tak się stało i teraz. Tygellinus umilkł i tylko zapisywał sobie w pamięci tych senatorów i rycerzy, którzy w chwili, gdy Petroniusz cofnął się w głąb' sali, otoczyli go zaraz, mniemając, że po tem co zaszło, on będzie stanowczo pierwszym ulubieńcem Cezara.

Petroniusz zaś, wyszedł z pałacu, udał się do Winicyusza i opowiedziawszy mu zajście z Cezarem i Tygellinem, rzekł:

— Nietylko odwróciłem niebezpieczeństwo od Aulusa Plaucyusza i Pomponii, a zarazem od nas obydwóch, ale nawet od Ligii, której nie będą poszukiwali, choćby dlatego, że namówiłem tamtę miedzianobrodą małpę, by pojechała do Ancyum, a stamtąd do Neapolis lub Bajae. I pojedzie, w Rzymie bowiem nie śmiał dotąd wystąpić publicznie w teatrze, wiem zaś, że od dawna ma zamiar wystąpić w Neapolis. Potem marzy o Grecyi, gdzie chce mu się śpiewać we wszystkich znaczniejszych miastach, a potem wraz ze wszystkimi wieńcami, które mu ofiarują „Graeculi", odprawić tryumfalny wjazd do Rzymu. Przez ten czas będziemy mogli szukać Ligii swobodnie i ukryć ją bezpiecznie. A cóż? Czy nasz szlachetny filozof nie był dotąd?

— Twój szlachetny filozof jest oszust. Nie! nie był, nie pokazał się i nie pokaże się więcej!

— A ja lepsze mam pojęcie, jeśli nie o jego uczciwości, to o rozumie. Upuścił już raz krwi twemu workowi i przyjdzie, choćby po to, żeby jej upuścić po raz drugi.

— Niech się strzeże, bym ja mu krwi nie upuścił.

— Nie czyń tego; miej z nim cierpliwość, póki się dowodnie o oszustwie nie przekonasz. Nie dawaj mu więcej pieniędzy, a natomiast obiecuj hojną nagrodę, jeśli ci przyniesie wiadomość pewną. Czy przedsiębierzesz coś także na własną rękę?

— Dwaj moi wyzwoleńcy, Nimfidyusz i Demas, szukają jej na czele sześćdziesięciu ludzi. Ten z niewolników, który ją odnajdzie, ma obiecaną wolność. Wysłałem prócz tego umyślnych na wszystkie drogi, wiodące z Rzymu, by w gospodach wypytywali o Liga i dziewicę. Sam przebiegam miasto dniem i nocą, licząc na traf szczęśliwy.

— Cokolwiek będziesz wiedział, daj mi znać, bo muszę jechać do Ancyum.

— Dobrze.

— A jeśli któregokolwiek rana, obudziwszy się, powiesz sobie, że dla jednej dziewczyny nie warto się dręczyć i czynić dla niej tylu zabiegów, to przyjeżdżaj do Ancyum. Tam nie zbraknie ni kobiet, ni uciech.

Winicyusz począł chodzić szybkimi krokami, Petroniusz zaś spoglądał czas jakiś za nim, wreszcie rzekł:

— Powiedz mi szczerze — nie jak zapaleniec, który coś w siebie wmawia i sam się podnieca, ale jak człowiek rozsądny, który odpowiada przyjacielowi: czy tobie zawsze jednakowo chodzi o tę Ligię?

Winicyusz zatrzymał się na chwilę i spojrzał tak na Petroniusza, jak gdyby go przedtem nie widział, poczem znów począł chodzić. Widocznem było, że hamuje w sobie wybuch. Wreszcie w oczach, z poczucia własnej bezsilności, z żalu, gniewu i niepokonanej tęsknoty, zebrały mu się dwie łzy, które przemówiły silniej do Petroniusza, niż najwymowniejsze słowa.

Więc, zamyśliwszy się przez chwilę, rzekł:

— Świat dźwiga na barkach nie Atlas, ale kobieta, i czasem igra nim, jak piłką.

— Tak! — rzekł Winicyusz.

I poczęli się żegnać. Lecz w tej chwili niewolnik dał znać, że Chilon Chilonides czeka w przedsionku i prosi, aby mógł być dopuszczony przed oblicze pana.

Winicyusz kazał wpuścić go natychmiast, Petroniusz zaś rzekł:

— Ha! nie mówiłem ci! Na Herkulesa! zachowaj tylko spokój; inaczej on tobą owładnie, nie ty nim.

— Pozdrowienie i cześć szlachetnemu wojskowemu trybunowi i tobie, panie! — mówił, wchodząc, Chilon. — Niech szczęście wasze równe będzie waszej sławie, a sława niech

obiegnie świat cały, od słupów Herkulesa aż po granice Arsacydów.

— Witaj, prawodawco cnoty i mądrości! — odpowiedział Petroniusz.

Lecz Winicyusz spytał z udanym spokojem:

— Co przynosisz?

— Za pierwszym razem przyniosłem ci, panie, nadzieję, obecnie przynoszę pewność, że dziewica zostanie odnaleziona.

— To znaczy, żeś jej nie odnalazł dotąd?

— Tak, panie, alem odnalazł, co znaczy znak, który ci uczyniła: wiem, kto są ludzie, którzy ją odbili, i wiem, między jakiego bóstwa wyznawcami szukać jej należy.

Winicyusz chciał się zerwać z krzesła, na którem siedział, lecz Petroniusz położył mu dłoń na ramieniu i zwracając się do Chilona, rzekł:

— Mów dalej!

— Czy jesteś zupełnie pewny, panie, że dziewica nakreśliła ci rybę na piasku?

— Tak jest! — wybuchnął Winicyusz.

— A zatem jest chrześcijanką i odbili ją chrześcijanie.

Nastała chwila milczenia.

— Słuchaj, Chilonie — rzekł wreszcie Petroniusz. — Krewny mój przeznaczył ci za odszukanie dziewczyny znaczną ilość pieniędzy, ale niemniej znaczną ilość rózeg, jeśli go zechcesz oszukiwać. W pierwszym razie kupisz nie jednego, ale trzech skrybów, w drugim filozofia wszystkich siedmiu mędrców, z dodatkiem twojej własnej, nie stanie ci za maść gojącą.

— Dziewica jest chrześcijanką, panie! — zawołał Grek.

— Zastanów się, Chilonie. Tyś człek niegłupi! Wiemy, że Junia Sylana wraz z Kalwią Kryspinillą oskarżyły Pomponię Grecynę o wyznawanie chrześcijańskiego zabobonu, ale wiemy także, że sąd domowy uwolnił ją od tego zarzutu. Czyżbyś ty chciał go teraz podnosić? Czy chciałbyś w nas wmówić, że Pomponia, a z nią razem i Ligia mogą należeć do nieprzyjaciół rodu ludzkiego, do zatruwaczy fontann i studzien, do czcicieli oślej głowy, do ludzi, którzy mordują dzieci i oddają się najplugawszej rozpuście? Pomyśl, Chilonie, czy ta teza, którą nam głosisz, nie odbije się jako antyteza, na twoim grzbiecie.

Chilon rozłożył ręce na znak, że to nie jego wina, poczem rzekł:

— Panie! wymów po grecku następujące zdanie: Jezus Chrystus, Boga Syn, Zbawiciel.

— Dobrze. Oto mówię!... Cóż z tego?

— A teraz weź pierwsze litery każdego z tych wyrazów i złóż je tak, aby stworzyły jeden wyraz.

— Ryba! — rzekł ze zdziwieniem Petroniusz.

— Oto, dlaczego ryba stała się godłem chrześcijan — odpowiedział z dumą Chilon.

Nastała chwila milczenia. W wywodach Greka było jednak coś tak uderzającego, że obaj przyjaciele nie mogli się oprzeć zdumieniu.

— Winicyuszu — spytał Petroniusz — czy się nie mylisz i czy istotnie Ligia nakreśliła ci rybę?

— Na wszystkich bogów podziemnych, można oszaleć! — zawołał z uniesieniem młody człowiek — gdyby mi nakreśliła ptaka, powiedziałbym, że ptaka!

— A więc jest chrześcijanką! — powtórzył Chilon.

— To znaczy — rzekł Petroniusz — że Pomponia i Ligia zatruwają studnie, mordują schwytane na ulicy dzieci i oddają się rozpuście! Głupstwo!! Ty, Winicyuszu, byłeś dłużej w ich domu, ja byłem krótko, ale znam dość i Aulusa i Pomponię, dość nawet znam Ligię, żeby powiedzieć: potwarz i głupstwo!! Jeśli ryba jest godłem chrześcijan, czemu istotnie zaprzeczyć trudno i jeśli one są chrześcijankami, to na Prozerpinę! widocznie chrześcijanie nie są tem, za co ich mamy.

— Mówisz, jak Sokrates, panie — odpowiedział Chilon.— Kto kiedy badał chrześcijanina? Kto poznał ich naukę? Gdym wędrował przed trzema laty z Neapolis tu, do Rzymu (o, czemuż tam nie zostałem!), przyłączył się do mnie człowiek, lekarz, imieniem Glaukos, o którym mówiono, że był chrześcijaninem, a mimo tego, przekonałem się, że był to dobry i cnotliwy człowiek.

— Czy nie od tego cnotliwego człowieka dowiedziałeś się teraz, co znaczy ryba?

— Niestety, panie! Po drodze w jednej gospodzie pchnął ktoś poczciwego starca nożem, a żonę i dziecko jego uprowadzili handlarze niewolników, ja zaś w obronie ich straciłem te

oto dwa palce. Ale, że między chrześcijanami nie brak, jak mówią, cudów, więc mam nadzieję, że mi odrosną.

— Jakto? zali zostałeś chrześcijaninem?

— Od wczoraj, panie! od wczoraj! Uczyniła mnie nim ta ryba. Patrz, jaka jednak w niej siła! I za kilka dni będę najgorliwszym z gorliwych, aby mnie przypuścili do wszystkich swych tajemnic, a gdy mnie przypuszczą do wszystkich tajemnic, będę wiedział, gdzie się ukrywa dziewica. Wówczas, może moje chrześcijaństwo lepiej mi się opłaci od mojej filozofii. Uczyniłem też Merkuremu ślub, że jeśli mi pomoże do odszukania dziewicy, ofiaruję mu dwie jałówki jednych lat i jednakiej miary, którym każę pozłocić rogi.

— Więc twoje wczorajsze chrześcijaństwo i twoja dawniejsza filozofia pozwalają ci wierzyć w Merkurego?

— Wierzę zawsze w to, w co mi wierzyć potrzeba, i to jest moja filozofia, która zwłaszcza Merkuremu powinna przypaść do smaku. Na nieszczęście, wiecie, dostojni panowie, jaki to jest bóg podejrzliwy. Nie ufa on obietnicom nawet nieskazitelnych filozofów i wolałby może naprzód dostać jałówki, a tymczasem to jest wydatek ogromny. Nie każdy jest Seneką i mnie na to nie stać, gdyby jednak szlachetny Winicyusz chciał na rachunek tej sumy, którą mi obiecał... cośkolwiek...

— Ani obola, Chilonie! — rzekł Petroniusz — ani obola! Hojność Winicyusza przewyższy twoje nadzieje, ale dopiero wówczas, gdy Ligia zostanie odnaleziona, to jest, gdy nam wskażesz jej kryjówkę. Merkury musi ci zakredytować dwie jałówki, chociaż nie dziwię mu się, że nie ma do tego ochoty, i poznaję w tem jego rozum.

— Posłuchajcie mnie, dostojni panowie. Odkrycie, jakie uczyniłem, jest wielkie, albowiem, chociaż nie odnalazłem dotąd dziewicy, odnalazłem drogę, na której jej szukać należy. Oto rozesłaliście wyzwoleńców i niewolników na całe miasto i prowincyę, a czyż który dał wam jakąś wskazówkę? Nie! Ja jeden dałem. I powiem wam więcej. Między waszymi niewolnikami mogą być chrześcijanie, o których nie wiecie, gdyż zabobon ten rozszerzył się już wszędzie, i ci, zamiast pomagać, będą was zdradzali. Źle nawet jest, że mnie tu widzą i dlatego ty, szlachetny Petroniuszu, nakaż milczenie Eunice, ty zaś, równie szlachetny Winicyuszu, rozgłoś, iż ci sprzedaję

maść, która posmarowanym nią koniom zapewnia zwycięstwo w cyrku... Ja jeden będę szukał, i ja jeden zbiegów odnajdę, wy zaś ufajcie mi i wiedzcie, że cokolwiekbym dostał naprzód, będzie to tylko dla mnie zachętą, gdyż zawsze będę się spodziewał więcej i tem większą miał pewność, że przyobiecana nagroda mnie nie minie. Ach, tak! Jako filozof, pogardzam pieniędzmi, chociaż nie pogardzają nimi ani Seneka, ani nawet Muzoniusz lub Kornutus, którzy jednak nie stracili palców w niczyjej obronie i którzy sami pisać i imiona swe potomności przekazać mogą. Ale, prócz niewolnika, którego kupić zamierzam i prócz Merkurego, któremu obiecałem jałówki (a wiecie, jak bydło podrożało), samo poszukiwanie pociąga mnóstwo wydatków. Posłuchajcie tylko cierpliwie. Oto, od tych kilku dni, na nogach poczyniły mi się rany od ciągłego chodzenia. Zachodziłem do winiarni, by gadać z ludźmi, do piekarzy, rzeźników, do sprzedających oliwę i do rybaków. Przebiegłem wszystkie ulice i zaułki; byłem w kryjówkach zbiegłych niewolników; przegrałem blizko sto asów w morę; byłem w pralniach, suszarniach i garkuchniach, widziałem mulników i rzeźbiarzy; widziałem ludzi, którzy leczą na pęcherz i wyrywają zęby, gadałem z przekupniami suszonych fig, byłem na cmentarzach, a wiecie po co? Oto, aby kreślić wszędzie rybę, patrzeć ludziom w oczy i słuchać, co na ów znak powiedzą. Długi czas nie mogłem dostrzedz nic, aż raz spostrzegłem starego niewolnika przy fontannie, który czerpał wiadrami wodę i płakał. Zbliżywszy się wówczas do niego, spytałem o przyczynę łez. Na to, gdyśmy siedli na stopniach fontanny, odrzekł mi, że zbierał całe życie sestercyę do sestercyi, by wykupić umiłowanego syna, ale pan jego, niejaki Pansa, gdy zoczył pieniądze, zabrał mu je, syna zaś zatrzymał nadal w niewoli. „I tak płaczę — mówił stary — bo choć powtarzam: dziej się wola boska! nie mogę, biedny grzesznik, łez powstrzymać“. Wówczas, jakby tknięty przeczuciem, umoczywszy palec w wiadrze, nakreśliłem mu rybę, on zaś odrzekł: „I moja nadzieja w Chrystusie“. A jam spytał: „Poznałeś mnie po znaku?“ On rzekł: „Tak jest i pokój niech będzie z tobą“. Wtedy począłem go ciągnąć za język i poczciwina wygadał wszystko. Jego pan, ów Pansa, sam jest wyzwoleńcem wielkiego Pansy i dostawia kamienie Tybrem do Rzymu, które niewolnicy i ludzie najemni wyładowywują

z tratew i dźwigają do budujących się domów nocami, by we dnie nie tamować ruchu na ulicach. Pracuje między nimi wielu chrześcijan i jego syn, lecz że to robota nad siły, więc dlatego chciał go wykupić. Lecz Pansa wolał zatrzymać i pieniądze i niewolnika. Tak mówiąc, znów począł płakać, ja zaś pomieszałem z jego łzami moje, co mi przyszło łatwo z powodu dobroci serca i strzykania w nogach, którego ze zbytniego chodzenia dostałem. Począłem też przytem narzekać, że przyszedłszy przed kilku dniami z Neapolis, nie znam nikogo z braci, nie wiem, gdzie się zbierają, by modlić się razem. On zdziwił się, że mi chrześcijanie z Neapolis nie dali listów do rzymskich braci, alem mu powiedział, że mi je ukradziono w drodze. Wówczas rzekł mi, bym przyszedł w nocy nad rzekę, a on mnie z braćmi pozna, ci zaś doprowadzą mnie do domów modlitwy i do starszych, którzy rządzą gminą chrześcijańską. Co usłyszawszy, ucieszyłem się tak, iż dałem mu sumę, potrzebną na wykupienie syna, w tej nadziei, że wspaniały Winicyusz w dwójnasób mi ją powróci...

— Chilonie — przerwał Petroniusz — w twojem opowiadaniu kłamstwo pływa po powierzchni prawdy, jak oliwa po wodzie. Przyniosłeś wiadomości ważne, temu nie przeczę. Twierdzę nawet, że na drodze do odszukania Ligii wielki krok został uczyniony, lecz ty nie omaszczaj kłamstwem swych nowin. Jak się nazywa ów starzec, od którego dowiedziałeś się, że chrześcijanie poznają się za pomocą znaku ryby?

— Eurycyusz, panie. Biedny, nieszczęśliwy starzec! Przypomniał mi Glauka lekarza, którego broniłem od zbójców i tem mnie głównie wzruszył.

— Wierzę, że go poznałeś i że potrafisz skorzystać z tej znajomości, aleś mu pieniędzy nie dał. Nie dałeś mu ani asa, rozumiesz mnie! Nie dałeś nic!

— Alem mu pomógł dźwigać wiadra i o jego synu mówiłem z największem współczuciem. Tak, panie! cóż się może ukryć przed przenikliwością Petroniusza? A więc, nie dałem mu pieniędzy, a raczej dałem mu je, ale tylko w duszy, w umyśle, co, gdyby był prawdziwym filozofem, powinno mu było wystarczyć... Dałem zaś dlatego, żem uznał taki postępek za niezbędny i pożyteczny, albowiem pomyśl, panie, jakby on mi zjednał od razu wszystkich chrześcijan,

jaki do nich przystęp otworzył i jaką wzbudził w nich ufność.

— Prawda — rzekł Petroniusz — i powinieneś to był uczynić.

— Właśnie dlatego tu przychodzę, abym mógł to uczynić.

Petroniusz zwrócił się do Winicyusza:

— Każ mu wyliczyć pięć tysięcy sestercyi, ale w duszy, w umyśle...

Lecz Winicyusz rzekł:

— Dam ci pachołka, który poniesie sumę potrzebną, ty zaś powiesz Eurycyuszowi, że pachołek jest twoim niewolnikiem i wyliczysz staremu przy nim pieniądze. Ponieważ jednak przyniosłeś wiadomość ważną, otrzymasz drugie tyle dla siebie. Przyjdź po pachołka i po pieniądze dziś wieczór.

— Oto prawdziwy Cezar! — rzekł Chilon. — Pozwolisz, panie, że ci zadedykuję moje dzieło, ale pozwolisz także, że dziś wieczór przyjdę tylko po pieniądze, albowiem Eurycyusz powiedział mi, że wyładowano już wszystkie tratwy, a nowe przyholują z Ostyi dopiero za dni kilka. Pokój niech będzie z wami! Tak się żegnają chrześcijanie... Kupię sobie niewolnicę, to jest, chciałem powiedzieć: niewolnika. Ryby łapią się na wędkę, a chrześcijanie na rybę. *Pax vobiscum! pax!... pax!... pax!...*

ROZDZIAŁ XV.

Petroniusz do Winicyusza:

„Przez zaufanego niewolnika posyłam ci z Ancyum ten list, na który, jakkolwiek ręka twa więcej do miecza i do włóczni, niż do pióra przywykła, mniemam, że przez tegoż samego posłańca, bez zbytniej zwłoki odpiszesz. Zostawiłem cię na dobrym śladzie i pełnego nadziei, tuszę więc, że alboś już słodkie żądze w objęciach Ligii ukoił, albo że ukoisz je, zanim prawdziwy zimowy wicher powieje na Kampanię ze szczytów Sorakte. O mój Winicyuszu! niechaj ci mistrzynią będzie złota bogini Cypru, ty zaś bądź mistrzem tej ligijskiej jutrzenki, która ucieka przed słońcem miłości. A pomnij zawsze,

że marmur sam w sobie, choćby najdroższy, jest niczem i że prawdziwej wartości nabiera wówczas dopiero, gdy go w arcydzieło przemieni ręka rzeźbiarza. Bądź takim rzeźbiarzem, ty, *carissime!* Kochać jest niedość, trzeba umieć kochać i trzeba umieć nauczyć miłości. Wszak rozkosz odczuwa i plebs i nawet zwierzęta, lecz prawdziwy człowiek tem się właśnie od nich odróżnia, że ją niejako w szlachetną sztukę zamienia, a lubując się nią, wie o tem, całą jej boską wartość w myśli uprzytomnia, a przez to nietylko ciało, ale i duszę nasyca. Nieraz, gdy tu pomyślę o czczości, niepewności i nudzie naszego życia, przychodzi mi do głowy, że ty może i lepiej wybrałeś, i że nie dwór Cezara, ale wojna i miłość są dwiema jedynemi rzeczami, dla których się rodzić i żyć warto.

W wojnie byłeś szczęśliwym, bądźże nim i w miłości, a jeśliś ciekaw, co się dzieje na dworze Cezara, ja ci o tem od czasu do czasu doniosę. Siedzimy tedy w Ancyum i pielęgnujemy nasz niebiański głos, czujemy zawsze jednak nienawiść do Rzymu, a na zimę zamierzamy się udać do Bajów, aby wystąpić publicznie w Neapolis, którego mieszkańcy, jako Grecy, lepiej potrafią nas ocenić, niż wilcze plemię, zamieszkujące pobrzeże Tybru. Zbiegną się ludzie z Bajów, Pompei, z Puteoli, z Kumae, ze Stabiów, oklasków ni wieńców nam nie zbraknie, i to będzie zachętą do zamierzonej wyprawy do Achai.

A pamięć małej Augusty? Tak! Jeszcze ją opłakujemy. Śpiewamy hymny własnego układu tak cudnie, że syreny z zazdrości pochowały się w najgłębszych jaskiniach Amfitryty. Słuchałyby nas natomiast delfiny, gdyby im nie przeszkadzał szum morza. Boleść nasza nie uspokoiła się dotąd, pokazujemy więc ją ludziom we wszelkich postaciach, jakich naucza rzeźba, bacząc przytem pilnie, czy nam z nią pięknie i czy ludzie umieją się na tej piękności poznać. Ach, mój drogi! pomrzemy jako błazny i komedyanci.

Są tu wszyscy augustyanie i wszystkie augustyanki, nie licząc pięciuset oślic, w których mleku kąpie się Poppea, i dziesięciu tysięcy sług. Czasem też bywa wesoło. Kalwia Kryspinilla starzeje się; mówią, że uprosiła Poppei, by wolno jej było brać kąpiel zaraz po niej. Nigidyi Lukan dał w twarz, posądzając ją o związek z gladyatorem. Sporus przegrał żonę w kości do Senecyona. Torkwatus Sylanus ofiarował mi za

Eunice cztery kasztany, które w tym roku niewątpliwie wyścig wygrają. Nie chciałem! a tobie dzięki także, żeś jej nie przyjął. Co do Torkwata Sylana, ani domyśla się biedak, że jest już więcej cieniem, niż człowiekiem. Śmierć jego jest postanowiona. A czy wiesz, jaka jego wina? Oto jest prawnukiem boskiego Augusta. Niema dla niego ratunku. Taki jest nasz świat!

Spodziewaliśmy się tu, jak ci wiadomo, Tyrydata, tymczasem Wologezes napisał list obraźliwy. Ponieważ podbił Armenię, prosi, żeby mu ją zostawić dla Tyrydata, bo jeśli nie, to i tak jej nie odda. Czyste drwiny! więc postanowiliśmy wojnę. Korbulon dostanie taką władzę, jaką za czasów wojny z rozbójnikami morskimi miał wielki Pompejusz. Była jednak chwila, że Nero wahał się: boi się widocznie sławy, jaką na wypadek zwycięstw może uzyskać Korbulon. Namyślano się nawet, czy naczelnego dowództwa nie ofiarować naszemu Aulusowi. Sprzeciwiała się Poppea, której cnota Pomponii jest widocznie solą w oku.

Watyniusz zapowiedział nam jakieś nadzwyczajne walki gladyatorów, które ma wyprawić w Benewencie. Patrz, do czego, wbrew zdaniu: *ne sutor supra crepidam*, dochodzą szewcy w naszych czasach! Witeliusz potomek szewca, a Watyniusz syn rodzony! Może sam jeszcze ciągnął dratwę! Histryo Aliturus cudnie wczoraj przedstawiał Edypa. Pytałem go też, jako Żyda, czy chrześcijanie a Żydzi to jedno? Odpowiedział mi, że Żydzi mieli odwieczną religię, chrześcijanie zaś są nową sektą, która niedawno powstała w Judei. Ukrzyżowano tam za czasów Tyberyusza pewnego człowieka, którego wyznawcy mnożą się z dniem każdym, uważają go zaś za boga. Zdaje się, że żadnych innych bogów, a zwłaszcza naszych, znać nie chcą. Nie rozumiem, coby im to mogło szkodzić.

Tygellinus okazuje mi już jawną nieprzyjaźń. Dotychczas nie może mi dać rady, ma wszelako nademną jedną wyższość. Oto bardziej dba o życie i zarazem jest większym ode mnie łotrem, co go zbliża do Ahenobarba. Ci dwaj porozumieją się prędzej później, a wówczas przyjdzie moja kolej. Kiedy to nastąpi nie wiem, ale, że i tak kiedyś musi nastąpić, więc mniejsza o termin. Trzeba się tymczasem bawić. Życie samo w sobie byłoby niezłe, gdyby nie Miedzianobrody. Dzięki jemu, człowiek czasem brzydzi się samym sobą. Próżno

uważać walkę o jego łaski za jakiś wyścig cyrkowy, za jakąś grę, za jakieś zapasy, w których zwycięstwo schlebia miłości własnej. Ja wprawdzie często sobie tak to tłómaczę, a jednak czasem wydaje mi się, że jestem takim Chilonem i niczem lepszem od niego. Gdy ci przestanie być potrzebny, przyślij mi go. Polubiłem jego budującą rozmowę. Pozdrów ode mnie twą boską chrześcijankę, a raczej proś jej w mojem imieniu, by nie była dla ciebie rybą. Donieś mi o swem zdrowiu, donieś o miłości, umiej kochać, naucz kochać i żegnaj!“

M. C. Winicyusz do Petroniusza:

„Ligii niema dotąd! Gdyby nie nadzieja, że ją wkrótce odnajdę, nie otrzymałbyś odpowiedzi, bo gdy życie się mierzi, to i pisać się nie chce. Chciałem sprawdzić, czy Chilon mnie nie oszukuje, i tej nocy, której przyszedł po pieniądze dla Eurycyusza, okryłem się płaszczem wojskowym i poszedłem niepostrzeżenie za nim i za chłopcem, którego mu dodałem. Gdy przyszli na miejsce, śledziłem ich z daleka, ukryty za słupem portowym, i przekonałem się, że Eurycyusz nie był zmyśloną postacią. W dole, przy rzece, kilkudziesięciu ludzi wyładowywało, przy pochodniach, kamienie z wielkiej komiegi i układało je przy brzegu. Widziałem, jak Chilo zbliżył się ku nim i począł rozmawiać z jakimś starcem, który po chwili upadł mu do nóg. Inni otoczyli ich w koło, wydając okrzyki podziwu. W moich oczach pachołek oddał worek Eurycyuszowi, który, chwyciwszy go, jął się modlić ze wzniesionemi w górę rękoma, a przy nim klęknął ktoś drugi, widocznie jego syn. Chilon mówił coś jeszcze, czego nie mogłem dosłyszeć, i błogosławił zarówno tych dwóch klęczących, jak i innych, czyniąc w powietrzu znaki nakształt krzyża, który oni czczą widocznie, bo wszyscy zginali kolana. Brała mnie ochota zejść między nich i obiecać trzy takie worki temu, któryby mi wydał Ligię, ala bałem się popsuć Chilonowi robotę i, po chwili zastanowienia, odszedłem.

Działo się to w dni przynajmniej dwanaście od twego wyjazdu. Od tej pory był u mnie kilkakrotnie. Sam mi powiadał, że nabrał między chrześcijanami wielkiego znaczenia. Mówi, że jeśli Ligii dotąd nie znalazł, to dlatego, że ich jest już nieprzeliczone mnóstwo w samym Rzymie, więc nie wszyscy

się znają i nie wszystko mogą wiedzieć, co się między nimi dzieje. Są też ostrożni i wogóle małomówni, on jednak zaręcza, że byle dotarł do starszych, których prezbyterami zowią, potrafi od nich wszystkie tajemnice wydobyć. Kilku już poznał i próbował ich badać, ale ostrożnie, by przez pośpiech nie wzbudzić podejrzeń i nie utrudnić dzieła. I, chociaż czekać ciężko, chociaż nie staje cierpliwości, czuję, że ma słuszność i czekam.

Dowiedział się także, że na modlitwy mają wspólne miejsca, często za bramami miasta, w pustych domach, a nawet w arenaryach. Tamże czczą Chrystusa, śpiewają i ucztują. Miejsc takich jest wiele. Chilon przypuszcza, iż Ligia chodzi umyślnie do innych, niż Pomponia, dlatego by ta, w razie sądu i badania, śmiało mogła zaprzysiądz, że o jej schronieniu nie wie. Być może, że prezbyterowie doradzili jej tę ostrożność. Gdy Chilon pozna już te miejsca, będę chodził z nim razem i, jeśli bogowie pozwolą mi ujrzeć Ligię, przysięgam ci na Jowisza, że tym razem nie ujdzie z rąk moich.

Myślę ciągle o tych miejscach modlitwy. Chilon nie chce, bym z nim chodził. Boi się, ale ja nie mogę siedzieć w domu. Poznam ją od razu, choćby w przebraniu lub za zasłoną. Oni się zbierają tam w nocy, ale ja ją poznam i w nocy. Poznałbym wszędzie jej głos i ruchy. Sam pójdę w przebraniu i będę uważał na każdego, kto wchodzi i wychodzi. Ciągle o niej myślę, więc ją poznam. Chilon powinien przyjść jutro, i pójdziemy. Wezmę ze sobą broń. Kilku moich niewolników, wysłanych na prowincyę, wróciło z niczem. Ale teraz jestem pewny, że ona tu jest, w mieście, może nawet niedaleko. Zwiedziłem i sam dużo domów pod pozorem najmu. U mnie będzie jej stokroć lepiej, bo tam żyje całe mrowie ubóstwa. Ja przecie niczego jej nie pożałuję. Piszesz, żem dobrze wybrał, wybrałem oto troski i zgryzotę. Pójdziemy naprzód do tych domów, które są w mieście, potem za bramy. Nadzieja czegoś od każdego jutra wygląda, inaczej nie możnaby żyć. Ty mówisz, że trzeba umieć kochać, i ja umiałem mówić z Ligią o miłości, ale teraz tylko tęsknię, tylko wyczekuję Chilona i w domu jest mi nieznośnie. Żegnaj“.

ROZDZIAŁ XVI.

Chilon nie pokazywał się jednak dość długo, tak, że Winicyusz nie wiedział w końcu, co o tem sądzić. Próżno powtarzał sobie, że poszukiwania, jeśli mają doprowadzić do wyników pomyślnych i pewnych, muszą być powolne. Zarówno jego krew, jak i porywcza natura, burzyły się przeciw głosowi rozsądku. Nie czynić nic, czekać, siedzieć z założonemi rękoma, było czemś tak przeciwnem jego usposobieniu, że w żaden sposób nie umiał się z tem pogodzić. Przebieganie zaułków miasta w ciemnym, niewolniczym płaszczu, przez to samo, że było daremnem, wydało mu się tylko oszukiwaniem własnej bezczynności i nie mogło go zaspokoić. Wyzwoleńcy jego, ludzie przebiegli, którym kazał czynić poszukiwania na własną rękę, okazywali się stokroć mniej zręcznymi od Chilona. Tymczasem, obok miłości, jaką czuł dla Ligii, rodziła się w nim jeszcze zawziętość gracza, który chce wygrać. Winicyusz takim był zawsze. Od najmłodszych lat przeprowadzał, co chciał, z namiętnością człowieka, który nie rozumie, że może się coś nie udać i że trzeba się czegoś wyrzec. Karność wojskowa ujęła wprawdzie na czas w karby jego samowolę, ale wszczepiła weń zarazem przekonanie, że każdy rozkaz, który wydawał niższym od siebie, musi być spełniony, dłuższy zaś pobyt na Wschodzie, wśród ludzi giętkich i do niewolniczego posłuchu przywykłych, utwierdził go tylko w wierze, że dla jego „chcę“ niema granic. Obecnie więc krwawiła ciężko i jego miłość własna. Było przytem w tych przeciwnościach, w tym oporze i w samej ucieczce Ligii coś dla niego niezrozumiałego, jakaś zagadka, nad której rozwiązaniem męczył śmiertelnie głowę. Czuł, że Akte powiedziała prawdę i że nie był dla Ligii obojętnym. Ale jeśli tak, to dlaczego przełożyła tułactwo i nędzę nad jego miłość, nad jego pieszczoty i nad pobyt w jego rozkosznym domu? Na to pytanie nie umiał znaleźć odpowiedzi, a natomiast dochodził tylko do pewnego niejasnego poczucia, że między nim a Ligią i między ich pojęciami, i między światem jego i Petroniusza a światem Ligii i Pomponii Grecyny, istnieje jakaś różnica i jakieś nieporozumienie, głębokie jak przepaść, której nic nie zdoła zapełnić i wyrównać. Wówczas zdawało mu się, że musi Ligię stracić, i na tę myśl stracił tę resztę równo-

wagi, którą chciał w nim utrzymać Petroniusz. Były chwile, w których sam nie wiedział, czy Ligię kocha, czy jej nienawidzi, rozumiał tylko, że musi ją znaleźć i że wolałby, żeby go ziemia pochłonęła, niż żeby nie miał jej zobaczyć i posiąść. Mocą wyobraźni widywał ją czasem tak dokładnie, jakby przed nim stała; przypominał sobie każde słowo, które do niej mówił i które od niej usłyszał. Czuł ją blizko; czuł ją na piersi, w ramionach, i wówczas żądza obejmowała go jak płomień. Kochał ją i wzywał jej. A gdy pomyślał, że był przez nią kochany i że mogła dobrowolnie spełnić wszystko, czego od niej żądał, chwytał go żal ciężki, nieprzebrany i jakaś wielka tkliwość zalewała mu serce nakształt niezmiernej fali. Lecz miewał i chwile, w których bladł z wściekłości i lubował się myślami o upokorzeniu i mękach, jakie Ligii zada, gdy ją odnajdzie. Chciał ją nietylko mieć, ale mieć zdeptaną niewolnicą, a jednocześnie czuł, że gdyby mu zostawiono wybór: czy być jej niewolnikiem, czy nie widzieć jej więcej w życiu, to wolałby być jej niewolnikiem. Bywały dnie, w których myślał o znakach, jakie na jej różanem ciele zostawiłby batog, i zarazem chciałby całować te ślady. Przychodziło mu także do głowy, że byłby szczęśliwy, gdyby ją mógł zabić.

W tej rozterce, w zmęczeniu, niepewności i zgryzocie, tracił zdrowie, a nawet i piękność. Stał się też panem niewyrozumiałym i okrutnym. Niewolnicy, a nawet wyzwoleńcy, zbliżali się do niego ze drżeniem, a gdy kary spadały na nich bez żadnego powodu, zarówno niemiłosierne, jak niesłuszne, poczęli go skrycie nienawidzić. On zaś, czując to i czując swoje osamotnienie, mścił się na nich tembardziej. Hamował się teraz z jednym tylko Chilonem, z obawy, żeby nie zaprzestał poszukiwań, ów zaś, zmiarkowawszy to, począł go opanowywać i stawać się coraz bardziej wymagającym. Z początku, za każdą bytnością upewniał Winicyusza, że sprawa pójdzie łatwo i prędko, teraz jął sam wynajdywać trudności i, nie przestając wprawdzie zaręczać za niezawodny skutek poszukiwań, nie ukrywał jednak, że muszą one trwać jeszcze długo.

Przyszedł wreszcie, po długich dniach oczekiwania, z twarzą tak posępną, że młody człowiek zbladł na jego widok i, skoczywszy ku niemu, zaledwie miał siłę zapytać:

— Niema jej między chrześcijanami?

— Owszem, panie — odpowiedział Chilon — ale znalazłem między nimi Glauka, lekarza.

— O czem mówisz, i co to za jeden?

— Zapomniałeś więc, panie, o starcu, z którym wędrowałem z Neapolis do Rzymu i w którego obronie straciłem te oto dwa palce, których strata nie pozwala mi utrzymać pióra w dłoni. Rozbójnicy, którzy porwali jego żonę i dzieci, pchnęli go nożem. Zostawiłem go konającego w gospodzie pod Minturnae i opłakiwałem go długo! Niestety! przekonałem się, że żyje dotąd i należy do gminy chrześcijańskiej w Rzymie.

Winicyusz, który nie mógł pojąć, o co chodzi, zrozumiał tylko, że ów Glaukus stanowi jakąś przeszkodę w odnalezieniu Ligii, więc potłumił gniew, który w nim wzbierał i rzekł:

— Jeśliś go bronił, to powinien być ci wdzięcznym i pomagać.

— Ach, dostojny trybunie! nawet bogowie nie zawsze bywają wdzięczni, a cóż dopiero ludzie. Tak! powinien mi być wdzięczny. Na nieszczęście jednak jest to starzec słabego umysłu, przyćmionego przez wiek i zmartwienia, z którego to powodu, nietylko nie jest mi wdzięczny, ale jak dowiedziałem się właśnie od jego współwyznawców, oskarża mnie, żem się zmówił z rozbójnikami i że to ja jestem powodem jego nieszczęść. Oto mi nagroda za dwa palce!

— Jestem pewny, łotrze, że tak było, jak on mówi! — rzekł Winicyusz.

— Tedy wiesz więcej od niego, panie — odpowiedział z godnością Chilon — on bowiem tylko przypuszcza, że tak było, co jednak nie przeszkadzałoby mu wezwać chrześcijan i pomścić się na mnie okrutnie. Uczyniłby to niechybnie, inni zaś również niechybnieby mu pomogli. Szczęściem, nie wie mego imienia, w domu zaś modlitwy, w którym spotkaliśmy się, nie dostrzegł mnie. Ja jednak poznałem go od razu i w pierwszej chwili chciałem się mu rzucić na szyję. Wstrzymała mnie tylko roztropność i zwyczaj zastanawiania się nad każdym krokiem, który zamierzam uczynić. Począłem się więc po wyjściu z domu modlitwy o niego wypytywać i ci, którzy go znają, powiedzieli mi, że jest to człowiek, którego zdradził

towarzysz podróży z Neapolis... Inaczej nie wiedziałbym przecie, że on tak opowiada.

— Co mnie to obchodzi! Mów, coś widział w domu modlitwy.

— Ciebie nie obchodzi, panie, ale mnie obchodzi zupełnie tyle, ile własna moja skóra. Ponieważ zaś chcę, by nauka moja mnie przeżyła, wolę się wyrzec nagrody, jaką mi obiecałeś, niż narażać życie dla marnej mamony, bez której, jako prawdziwy filozof, żyć i szukać boskiej prawdy potrafię.

Lecz Winicyusz zbliżył się ku niemu z twarzą złowrogą i począł mówić stłumionym głosem:

— A kto ci powiedział, że z ręki Glauka prędzej cię śmierć spotka, niż z mojej? Skąd wiesz, psie, czy cię zaraz nie zakopią w moim ogrodzie?

Chilon, który był tchórzem, spojrzał na Winicyusza i w mgnieniu oka zrozumiał, że jeszcze jedno niebaczne słowo, a zginie bez ratunku.

— Będę jej szukał, panie, i znajdę ją! — zawołał pośpiesznie.

Nastało milczenie, w czasie którego słychać było tylko szybki oddech Winicyusza i odległy śpiew niewolników, którzy pracowali w ogrodzie.

Po chwili dopiero Grek, spostrzegłszy, że młody patrycyusz uspokoił się już nieco, począł mówić:

— Śmierć przeszła koło mnie, ale ja patrzyłem na nią z takim spokojem, jak Sokrates. Nie, panie! nie powiedziałem, że wyrzekam się szukania dziewicy, i chciałem ci tylko powiedzieć, że szukanie jej połączone jest teraz z wielkiem dla mnie niebezpieczeństwem. Wątpiłeś w swoim czasie, czy jest na świecie jaki Eurycyusz, a chociaż na własne oczy przekonałeś się, że syn mojego ojca mówił ci prawdę, posądzasz teraz, żem ci wymyślił Glaukusa. Niestety! gdyby to on był tylko wymysłem, gdybym mógł z zupełnem bezpieczeństwem chodzić między chrześcijan, tak, jak chodziłem dawniej, odstąpiłbym za to tę biedną, starą niewolnicę, którą kupiłem trzy dni temu, aby miała pieczę nad moim wiekiem i kalectwem. Lecz Glaukus żyje, panie, i gdyby mnie raz ujrzał, tybyś nie ujrzał mnie więcej, a w takim razie ktoby ci odnalazł dziewicę?

Tu umilkł znów i począł obcierać łzy, poczem mówił dalej:

— Lecz póki Glaukus żyje, jakże mi jej szukać, gdy w każdej chwili mogę go napotkać, a gdy go napotkam, zginę i wraz ze mną przepadną moje poszukiwania.

— Do czego zmierzasz? jaka jest rada? i co chcesz przedsięwziąć? — spytał Winicyusz.

— Arystoteles uczy nas, panie, że mniejsze rzeczy trzeba poświęcać dla większych, a król Pryam mawiał często, że starość jest ciężkiem brzemieniem. Owóż brzemię starości i nieszczęść przygniata Glauka od dawna i tak ciężko, że śmierć byłaby dla niego dobrodziejstwem. Czemże bowiem wedle Seneki jest śmierć, jeśli nie wyzwoleniem?...

— Błaznuj z Petroniuszem, nie ze mną i mów, czego chcesz?

— Jeśli cnota jest błazeństwem, niech mi bogowie pozwolą zostać błaznem na zawsze. Chcę, panie, usunąć Glauka, albowiem, póki on żyje, i życie moje, i poszukiwania w ciągłem są niebezpieczeństwie.

— Najmij więc ludzi, którzy go zatłuką kijami, ja ich zapłacę.

— Zedrą cię, panie, i będą później wyzyskiwali tajemnicę. Łotrów w Rzymie tylu jest, ile ziarn piasku w arenie, nie uwierzysz jednak, jak się drożą, gdy uczciwy człowiek potrzebuje wynająć ich łotrostwo. Nie! dostojny trybunie! A nużby wigilowie schwytali zbójców na zabójstwie? ci niewątpliwie wyznaliby, kto ich najął, i miałbyś kłopot. Mnie zaś nie wskażą, bo im imienia swego nie powiem. Źle robisz, że mi nie ufasz, albowiem, pomijając nawet moją rzetelność, pomnij, że tu chodzi o dwie inne rzeczy: o moją własną skórę i o nagrodę, jaką mi przyrzekłeś.

— Ile ci potrzeba?

— Potrzeba mi tysiąc sestercyi, albowiem zwróć, panie, uwagę, że muszę znaleźć łotrów uczciwych, takich, którzyby, wziąwszy zadatek, nie zniknęli z nim razem bez wieści. Za dobrą robotę, dobra zapłata! Przydałoby się też coś i dla mnie na obtarcie łez, które wyleję z żalu nad Glaukiem. Bogów biorę na świadectwo, jakem go kochał. Jeśli dziś dostanę tysiąc sestercyi, za dwa dni dusza jego będzie w Hadesie i tam dopiero, jeśli dusze zachowują pamięć i dar myśli,

pozna, jakem go kochał. Ludzi znajdę dziś jeszcze i zapowiem im, że od jutra wieczór, za każdy dzień życia Glauka strącam po sto sestercyi. Mam też pewien pomysł, który mi się wydaje niechybnym.

Winicyusz raz jeszcze przyobiecał mu żądaną sumę, lecz zabronił mówić więcej o Glauku, a natomiast zapytał, jakie inne przynosi nowiny, gdzie przez ten czas był, co widział i co odkrył. Lecz Chilon niewiele nowego mógł mu powiedzieć. Był w dwóch jeszcze domach modlitwy i uważał pilnie na wszystkich, a zwłaszcza na kobiety, ale nie spostrzegł żadnej, która byłaby podobną do Ligii. Chrześcijanie jednak uważają go za swego, a od czasu, gdy dał na wykupno syna Eurycyusza, czczą go, jako człowieka, który wstępuje w ślady „Chrestusa". Dowiedział się też od nich, że jeden wielki prawodawca, niejaki Paweł z Tarzu, znajduje się w Rzymie, uwięziony skutkiem skargi, podanej przez Żydów i postanowił się z nim poznać. Ale najbardziej ucieszyła go inna wiadomość, mianowicie, że najwyższy kapłan całej sekty, który był uczniem Chrystusa i któremu tenże powierzył zarząd chrześcijan całego świata, ma także lada chwila przyjechać do Rzymu. Wszyscy chrześcijanie zechcą go oczywiście widzieć i słuchać jego nauk. Nastąpią jakieś wielkie zebrania, na których i on, Chilon, będzie obecny, a co więcej, ponieważ w tłumie ukryć się łatwo, więc wprowadzi na nie i Winicyusza. Wówczas odnajdą Ligię napewno. Gdy Glauka raz się usunie, nie będzie to połączone nawet z wielkiem niebezpieczeństwem. Zemścić, zemściliby się oczywiście i chrześcijanie, ale wogóle są to ludzie spokojni.

Tu Chilon począł opowiadać z pewnem zdziwieniem, że nie dostrzegł nigdy, by oddawali się rozpuście, zatruwali studnie i fontanny, by byli nieprzyjaciółmi rodzaju ludzkiego, czcili osła lub karmili się mięsem dzieci. Nie! tego nie widział. Zapewne, że znajdzie między nimi i takich, którzy za pieniądze sprzątną Glauka, ale nauka ich, o ile mu wiadomo, do żadnych zbrodni nie zachęca, owszem, każe urazy przebaczać.

Winicyusz zaś przypomniał sobie, co mu u Akte powiedziała Pomponia Grecyna, i wogóle słów Chilona słuchał z radością. Jakkolwiek uczucie jego dla Ligii przybierało pozory nienawiści, doznawał ulgi, słysząc, że nauka, którą i ona,

i Pomponia wyznawały, nie była ani zbrodniczą, ani plugawą. Powstawało w nim jednak jakieś niejasne poczucie, że to ona właśnie, że to ta nieznana mu i tajemnicza cześć dla Chrystusa stworzyła rozdział między nim i Ligią, więc począł zarazem bać się tej nauki i nienawidzić jej.

ROZDZIAŁ XVII.

Chilonowi zaś istotnie chodziło o usunięcie Glauka, który, jakkolwiek podeszły w leciech, nie był wcale niedołężnym starcem. W tem, co Chilon opowiadał Winicyuszowi, była znaczna część prawdy. Znał on w swoim czasie Glauka, zdradził go, zaprzedał rozbójnikom, pozbawił rodziny, mienia i wydał na mord. Pamięć tych zdarzeń znosił jednak lekko, albowiem porzucił go konającego nie w gospodzie, ale w polu pod Minturnae, i nie przewidział tej jednej tylko rzeczy, że Glaukus wyleczy się z ran i przybędzie do Rzymu. To też, gdy ujrzał go w domu modlitwy, przeraził się rzeczywiście i w pierwszej chwili chciał naprawdę zrzec się poszukiwania Ligii. Lecz z drugiej strony Winicyusz przeraził go jeszcze więcej. Zrozumiał, że musi wybrać między obawą Glauka a pościgiem i zemstą potężnego patrycyusza, któremu niechybnie przyszedłby w pomoc drugi, jeszcze większy, Petroniusz. Wobec tego Chilon przestał się wahać. Pomyślał, że lepiej jest mieć nieprzyjaciół małych, niż wielkich, i, jakkolwiek tchórzliwa jego natura wzdragała się nieco przed krwawymi sposobami, uznał jednak za konieczność zamordowanie Glauka za pomocą obcych rąk.

Obecnie chodziło mu tylko o wybór ludzi, i do nich to właśnie odnosił się jego pomysł, o którym Winicyuszowi wspominał. Spędzając najczęściej noce w winiarnich i nocując w nich między ludźmi bez dachu, bez czci i wiary, łatwo mógł znaleźć takich, którzyby podjęli się każdej roboty, ale jeszcze łatwiej takich, którzy, zwietrzywszy u niego pieniądze, zaczęliby od niego robotę, lub, wziąwszy zadatek, wymusili z niego całą sumę postrachem wydania go w ręce wigilów. Zresztą od pewnego czasu, Chilon czuł wstręt do hołoty, do plugawych, a zarazem strasznych figur, które gnieździły się w podejrzanych domach na Suburze, lub na Zatybrzu. Mierząc

wszystko własną miarą i nie zgłębiwszy dostatecznie chrześcijan, ani ich nauki, sądził, że i między nimi znajdzie powolne narzędzia, że zaś wydawali mu się rzetelniejsi od innych, do nich postanowił się udać i sprawę przedstawić w ten sposób, aby podjęli się jej nietylko dla pieniędzy, ale i przez gorliwość.

W tym celu poszedł wieczorem do Eurycyusza, o którym wiedział, że jest mu oddanym całą duszą, i że uczyni wszystko, by mu pomódz. Będąc jednak z natury ostrożnym, ani myślał zwierzyć mu się ze swych prawdziwych zamiarów, które zresztą stałyby w jawnem przeciwieństwie z wiarą starca w jego cnotę i bogobojność. Chciał mieć gotowych na wszystko ludzi i z nimi dopiero ułożyć się o sprawę w ten sposób, by, ze względu na samych siebie, zachowali ją w wieczystej tajemnicy.

Starzec Eurycyusz, wykupiwszy syna, wynajął jeden z takich małych kramików, jakie mrowiły się przy Circus Maximus, aby sprzedawać w nim oliwki, bób, praśne ciasto i osłodzoną miodem wodę widzom, przybywającym na wyścigi. Chilon zastał go w domu, urządzającego kramik i, powitawszy w imię Chrystusa, począł mówić o sprawie, która go do niego przywiodła. Oto, oddawszy im usługę, liczył, że mu się wypłacą wdzięcznością. Potrzeba mu dwóch lub trzech ludzi, silnych i odważnych, dla odwrócenia niebezpieczeństwa, grożącego nietylko jemu, ale wszystkim chrześcijanom. Jest wprawdzie biedny, gdyż niemal wszystko, co miał oddał Eurycyuszowi, jednakże ludziom takim zapłaciłby za ich usługi, pod warunkiem, aby mu ufali i spełnili wiernie, co im spełnić nakaże.

Eurycyusz i syn jego, Kwartus, słuchali go, jako swego dobroczyńcy, niemal na kolanach. Obaj oświadczyli też, że sami gotowi są wykonać wszystko, czego od nich zażąda, wierząc, że mąż, tak święty, nie może żądać uczynków, któreby nie były zgodne z nauką Chrystusa.

Chilon zapewnił ich, że tak jest i, podniósłszy oczy w górę, zdawał się modlić, w rzeczywistości zaś namyślał się, czy nie będzie dobrze przyjąć ich ofiary, która mogłaby zaoszczędzić mu tysiąc sestercyi. Lecz po chwili namysłu, odrzucił ją. Eurycyusz był starcem, może nietyle przyciśniętym przez wiek, ile wycieńczonym przez troski i chorobę, Kwartus

liczył lat szesnaście, Chilonowi zaś trzeba było ludzi sprawnych, a przedewszystkiem silnych. Co do tysiąca sestercyi, spodziewał się, że, dzięki pomysłowi, na jaki wpadł, potrafi w każdym razie znaczną ich część oszczędzić.

Oni napierali się czas jakiś, lecz, gdy odmówił stanowczo, ustąpili. Kwartus rzekł wówczas:

— Znam piekarza Demasa, panie, u którego przy żarnach pracują niewolnicy i ludzie najemni. Jeden z tych najemników jest tak silny, że starczyłby nie za dwóch, ale za czterech, sam bowiem widziałem, jak podnosił kamienie, których czterech ludzi ruszyć z miejsca nie mogło.

— Jeśli to jest człowiek bogobojny i zdolny poświęcić się za braci, poznaj mnie z nim — rzekł Chilon.

— Jest chrześcijaninem, panie — odpowiedział Kwartus — gdyż u Demasa pracują po większej części chrześcijanie. Są tam robotnicy nocni i dzienni, ów zaś należy do nocnych. Gdybyśmy teraz poszli, trafilibyśmy na ich wieczerzę i mógłbyś się z nim swobodnie rozmówić. Demas mieszka koło Emporyum.

Chilon zgodził się najchętniej. Emporyum leżało u stóp wzgórza Awentyńskiego, zatem niezbyt od Wielkiego cyrku daleko. Można było, nie obchodząc wzgórz, udać się wzdłuż rzeki, przez Porticus Aemilia, co jeszcze znacznie skracało drogę.

— Stary jestem — rzekł Chilon, gdy weszli pod kolumnadę, i czasem miewam zaćmienia pamięci. Tak! wszakże nasz Chrystus wydany został przez jednego ze swoich uczniów! Ale imienia zdrajcy nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć...

— Judasz, panie, który się powiesił — odpowiedział Kwartus, dziwiąc się nieco w duszy, jak można było tego imienia nie pamiętać.

— A tak! Judasz! Dziękuję ci — powiedział Chilon.

I czas jakiś szli w milczeniu. Doszedłszy do Emporyum, które było już zamknięte, minęli je i, obszedłszy śpichlerze, w których wydawano ludowi zboże, skręcili na lewo, ku domom, które ciągnęły się wzdłuż via Ostiensis, aż do wzgórka Testacius i Forum Pistorium. Tam zatrzymali się przed drewnianym budynkiem, z którego wnętrza dochodził huk żaren. Kwartus wszedł do środka, Chilon zaś, który nie lubił poka-

zywać się wielkiej ilości ludzi i który w ciągłej był obawie, że jakieś fatum może go zetknąć z Glaukiem, lekarzem, pozostał na zewnątrz.

— Ciekawym tego Herkulesa, który służy za młynarczyka — mówił sobie, spoglądając na jasno świecący księżyc — jeśli to jest łotr i człowiek mądry, będzie mnie trochę kosztował, jeśli zaś cnotliwy chrześcijanin a głupi, zrobi zadarmo wszystko, czego od niego zażądam.

Dalsze rozmyślania przerwał mu powrót Kwartusa, który wyszedł z budynku z drugim człowiekiem, przybranym tylko w tunikę, zwaną exomis, skrajaną w ten sposób, że prawe ramię i prawa pierś pozostawały nagie. Odzieży podobnej, jako pozostawiającej zupełną swobodę ruchów, używali szczególniej robotnicy. Chilon, spojrzawszy na przybysza, odetchnął z zadowoleniem, w życiu bowiem nie widział dotąd takiego ramienia i takiej piersi.

— Oto jest, panie — rzekł Kwartus — brat, którego chciałeś widzieć.

— Niech spokój Chrystusów będzie z tobą — ozwał się Chilon — ty zaś, Kwartusie, powiedz temu bratu, czy zasługuję na wiarę i ufność, a potem wracaj w imię boże, albowiem nie trzeba, abyś sędziwego ojca zostawiał w samotności.

— Jest to święty człowiek — rzekł Kwartus — który oddał całe mienie, aby mnie, nieznanego sobie, wykupić z niewoli. Niechaj mu Pan nasz, Zbawiciel, zgotuje za to niebieską nagrodę.

Olbrzymi robotnik, usłyszawszy to, schylił się i ucałował rękę Chilona.

— Jak ci imię, bracie? — spytał Grek.

— Na chrzcie świętym dano mi, ojcze, imię Urbana.

— Urbanie, bracie mój, masz-li czas, aby pomówić ze mną swobodnie?

— Robota nasza poczyna się o północy, a teraz gotują nam dopiero wieczerzę.

— Czasu jest więc dość — pójdziemy nad rzekę, a tam wysłuchasz słów moich.

Poszli i siedli na kamiennej brzeźnicy, w ciszy, przerywanej tylko przez odległy huk żaren i bełkotanie płynącej w dole fali. Tam Chilon wpatrzył się w twarz robotnika,

która mimo nieco groźnego i smutnego wyrazu, jaki miewały zazwyczaj twarze barbarzyńców, zamieszkałych w Rzymie, wydała mu się jednak dobrotliwą i szczerą.

— Tak jest! — rzekł sobie w duchu. — To jest człowiek dobry i głupi, który darmo zabije Glauka.

Poczem spytał:

— Urbanie, miłujesz ty Chrystusa?

— Miłuję z duszy serca — odpowiedział robotnik.

— A braci swoich, a siostry, a tych, którzy nauczyli cię prawdy i wiary w Chrystusa?

— Miłuję ich także, ojcze.

— Tedy niech pokój będzie z tobą.

— I z tobą, ojcze.

Nastała znów cisza — tylko w oddaleniu huczały żarna, a w dole bełkotała rzeka.

Chilon wpatrzył się w jasny blask miesięczny i wolnym, stłumionym głosem począł mówić o śmierci Chrystusa. Mówił jakby nie do Urbana, ale jakby sam dla siebie, rozpamiętywał ową śmierć, lub jakby jej tajemnicę zwierzał temu uśpionemu miastu. Było w tem coś wzruszającego i zarazem uroczystego. Robotnik płakał, a gdy Chilon począł jęczeć i ubolewać nad tem, że w chwili śmierci Zbawiciela nie było nikogo, ktoby go bronił, jeśli nie od ukrzyżowania, to przynajmniej od zniewag żołnierzy i Żydów, olbrzymie pięści barbarzyńcy poczęły zaciskać się z żalu i tłumionej wściekłości. Śmierć wzruszała go tylko, lecz na myśl o tej tłuszczy, szydzącej z przybitego na krzyżu Baranka, burzyła się w nim prostacza dusza i ogarniała go dzika chęć zemsty.

A Chilon spytał nagle:

— Urbanie, zali wiesz, kto był Judasz?

— Wiem, wiem! ale on się powiesił! — zawołał robotnik.

I w głosie jego był jakby żal, że zdrajca sam już wymierzył sobie karę, i że nie może wpaść w jego ręce.

A Chilon mówił dalej:

— Gdyby się jednak nie był powiesił i gdyby który z chrześcijan spotkał go na lądzie lub na morzu, czyby nie powinien się pomścić za mękę, krew i śmierć Zbawiciela?

— Ktoby się nie pomścił, ojcze!

— Pokój z tobą, wierny sługo Baranka. Tak! Wolno

swoje krzywdy odpuszczać, któż jednakże ma prawo odpuścić krzywdę Boga? Ale jako wąż płodzi węża, jako złość złość i jako zdrada zdradę, tak z jadu Judasza zrodził się drugi zdrajca, a jako tamten wydał Żydom i żołnierzom rzymskim Zbawiciela, tak ów, który żyje między nami, chce wydać wilkom owieczki jego i, jeśli nikt nie zapobieży zdradzie, jeśli nikt nie zetrze przed czasem głowy węża, wszystkich nas czeka zguba, a z nami razem zginie i cześć Baranka.

Robotnik patrzył na niego z ogromnym niepokojem, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co słyszał, Grek zaś, okrywszy głowę rogiem płaszcza, począł powtarzać głosem, jakby z pod ziemi wychodzącym:

— Biada wam, słudzy prawdziwego Boga, biada wam, chrześcijanie i chrześcijanki!

I znów nastało milczenie, znów było słychać tylko huk żaren, głuchy śpiew młynarczyków i szum rzeki.

— Ojcze — spytał wreszcie robotnik — co to za zdrajca?

Chilon opuścił głowę. Co to za zdrajca? Syn Judasza, syn jego jadu, który udaje chrześcijanina i chodzi do domów modlitwy dlatego tylko, by oskarżać braci przed Cezarem, że Cezara nie chcą uznawać za Boga, że zatruwają fontanny, mordują dzieci i chcą zniszczyć to miasto tak, żeby kamień na kamieniu nie został. Oto za kilka dni będzie wydany rozkaz pretoryanom, by uwięzili starców niewiasty i dzieci i powiedli ich na stracenie, tak jak posłano na śmierć niewolników Pedaniusza Secunda. I wszystko to uczynił ów drugi Judasz. Ale jeśli pierwszego nikt nie skarał, jeśli nikt się nad nim nie pomścił, jeśli nikt nie bronił Chrystusa w godzinę męki, któż zechce tego ukarać, kto zetrze węża, zanim go Cezar wysłucha, kto go zgładzi, kto obroni przed zgubą braci i wiarę w Chrystusa?

A Urban, który siedział dotąd na kamiennej cembrowinie, powstał nagle i rzekł:

— Ja to uczynię, ojcze.

Chilon powstał również, przez chwilę patrzył na twarz robotnika, oświeconą blaskiem księżyca, poczem, wyciągnąwszy ramię, położył zwolna dłoń na jego głowie.

— Idź między chrześcijan — rzekł uroczyście — idź

do domów modlitwy i pytaj braci o Glauka, lekarza, a gdy ci go wskażą, wówczas, w imię Chrystusa, zabij!...

— O Glauka?... — powtórzył robotnik, jakby chcąc utwierdzić sobie w pamięci to imię.

— Znasz - li go?

— Nie, nie znam. Chrześcijan jest tysiące w całym Rzymie i nie wszyscy się znają. Ale jutro w Ostryanum zbiorą się w nocy bracia i siostry, co do jednej duszy, albowiem przybył Wielki Apostoł Chrystusowy, który tam będzie nauczał, i tam bracia wskażą mi Glauka.

— W Ostryanum? — spytał Chilon. — Wszak to za bramami miasta. Bracia i wszystkie siostry? w nocy? za bramami w Ostryanum?

— Tak, ojcze. To jest nasz cmentarz, między via Salaria a Nomentana. Zali ci niewiadomo, że tam będzie nauczał Wielki Apostoł?

— Nie byłem dwa dni w domu, przetom nie odebrał jego listu, a nie wiedziałem, gdzie jest Ostryanum, ponieważ niedawno przybyłem tu z Koryntu, gdzie zarządzam gminą chrześcijańską... Ale tak jest! i skoro Chrystus tak cię natchnął, pójdziesz w nocy, mój synu, do Ostryanum, tam wynajdziesz między braćmi Glauka i zabijesz go w drodze powrotnej do miasta, za co będą ci odpuszczone wszystkie grzechy. A teraz pokój niech będzie z tobą...

— Ojcze...

— Słucham cię, sługo Baranka.

Na twarzy robotnika odbiło się zakłopotanie. Oto niedawno zabił człowieka, a może i dwóch, a nauka Chrystusa zabrania zabijać. Nie zabił ich wszelako w swojej obronie, bo i tego nie wolno! Nie zabił, Chryste uchowaj, dla zysku... Biskup sam mu dał braci do pomocy, ale zabijać nie pozwolił, on zaś niechcący zabił, bo Bóg pokarał go siłą zbyt wielką... I teraz ciężko pokutuje... Inni śpiewają przy żarnach, a on nieszczęsny myśli o swoim grzechu, o obrazie Baranka... Ile się już namodlił, napłakał! ile Baranka naprzepraszał! i czuje dotąd, że nie odpokutował dosyć... A teraz znów przyrzekł zabić zdrajcę... I dobrze! Własne tylko krzywdy wolno przebaczać, więc zabije go, choćby w oczach wszystkich braci i sióstr, które jutro będą w Ostryanum. Ale niech Glaukus będzie wprzód skazany przez starszych mię-

dzy bracią, przez biskupa albo przez Apostoła. Zabić niewielka rzecz, a zabić zdrajcę, to nawet i miło, jak zabić wilka lub niedźwiedzia, ale nużby Glaukus zginął niewinnie? Jakże brać na sumienie nowe zabójstwo, nowy grzech i nową obrazę Baranka?

— Na sąd niema czasu, mój synu — odrzekł Chilon — albowiem zdrajca prosto z Ostryanum podąży do Cezara do Ancyum, lub schroni się w domu pewnego patrycyusza, na którego jest usługach, ale oto dam ci znak, który, gdy pokażesz po zabiciu Glaukusa, i biskup, i Wielki Apostoł pobłogosławią twój uczynek.

To rzekłszy, wydobył pieniążek, poczem jął szukać za pasem noża, a znalazłszy go, wyskrobał na sestercyi ostrzem znak krzyża i podał ją robotnikowi.

— Oto wyrok na Glauka i znak dla ciebie. Gdy go, po zgładzeniu Glauka, pokażesz biskupowi, odpuści ci i tamto zabójstwo, któregoś się niechcący dopuścił.

Robotnik wyciągnął mimowoli rękę po pieniądz, ale, mając właśnie zbyt świeżo w pamięci pierwsze zabójstwo, doznał jakby uczucia przestrachu.

— Ojcze — rzekł prawie błagalnym głosem — zali bierzesz na sumienie ten uczynek i zali sam słyszałeś Glauka zaprzedającego braci?

Chilon zrozumiał, że trzeba dać jakieś dowody, wymienić jakieś nazwiska, albowiem inaczej w serce olbrzyma może się wkraść wątpliwość. I nagle szczęśliwa myśl zaświtała mu w głowie.

— Słuchaj, Urbanie — rzekł — mieszkam w Koryncie, ale pochodzę z Kos i tu, w Rzymie, uczę nauki Chrystusa pewną służebną dziewczynę z mojego kraju, której imię jest Eunice. Służy ona, jako „vestiplica“, w domu przyjaciela Cezara, niejakiego Petroniusza. Otóż w tym domu słyszałem, jak Glaukus podejmował się wydać wszystkich chrześcijan, a oprócz tego obiecywał innemu zausznikowi cesarskiemu, Winicyuszowi, że odnajdzie mu między chrześcijanami dziewicę...

Tu przerwał i spojrzał ze zdumieniem na robotnika, którego oczy zaświeciły nagle, jak oczy zwierza, a twarz przybrała wyraz dzikiego gniewu i groźby.

— Co tobie jest? — zapytał prawie z przestrachem.

— Nic, ojcze. Zabiję jutro Glauka!...

Lecz Grek umilkł; po chwili, wziąwszy za ramiona robotnika, zwrócił go tak, aby światło księżyca padało wprost na jego twarz i począł mu się przypatrywać uważnie. Widocznem było, że w duszy wahał się, czy go pytać dalej i wydobyć wszystko na jaw, czy tu na razie poprzestać na tem, czego się dowiedział lub domyślił.

W końcu jednak wrodzona mu ostrożność przemogła. Odetchnął głęboko raz i drugi, poczem, położywszy znów dłoń na głowie robotnika, spytał uroczystym, dobitnym głosem:

— Wszakże na chrzcie świętym dano ci imię Urbana?

— Tak jest, ojcze.

— A zatem niech pokój będzie z tobą, Urbanie!

ROZDZIAŁ XVIII.

Petroniusz do Winicyusza:

„Źle z tobą, carissime! Wenus widocznie pomieszała ci zmysły, odjęła rozum, pamięć i dar myślenia o czemkolwiek innem, jak miłość. Odczytaj kiedyś to, coś mi na mój list odpowiedział, a poznasz, jak twój umysł zobojętniał teraz na wszystko, co nie jest Ligią, jak nią się tylko zajmuje, do niej ustawicznie wraca i krąży nad nią, niby jastrząb nad upatrzonym łupem. Na Polluxa! znajdźże ją prędzej; inaczej, o ile cię ogień w popiół nie obróci, zmienisz się w egipskiego Sfinxa, który zakochawszy się, jak mówią, w bladej Izys, stał się na wszystko głuchy, obojętny i czeka tylko nocy, aby mógł wpatrywać się w kochankę kamiennemi oczyma.

„Przebiegaj sobie wieczorami miasto w przebraniu, uczęszczaj nawet wraz z twoim filozofem do chrześcijańskich domów modlitwy. Wszystko, co budzi nadzieję i zabija czas, jest godnem pochwały. Ale, dla mojej przyjaźni, uczyń rzecz jedną: oto, ów Urzus, niewolnik Ligii, jest podobno człowiekiem siły niezwykłej, najmij więc sobie Krotona i przedsiębierzcie we trzech wyprawy. Tak będzie bezpieczniej i rozumniej. Chrześcijanie, skoro do nich należy Pomponia Grecyna i Ligia, nie są zapewne takimi łotrami, za jakich mają ich powszechnie, dali jednak przy porwaniu Ligii dowód, że gdy chodzi o jaką owieczkę z ich stada, umieją nie żartować.

Gdy ujrzysz Ligię, wiem, że się wstrzymać nie zdołasz i zechcesz ją uprowadzić natychmiast, jakże zaś tego z samym Chilonidesem dokonasz? A Kroto da sobie radę, choćby jej dziesięciu takich, jak ów Urzus, Ligów broniło. Nie daj się wyzyskiwać Chilonowi, lecz na Krotona pieniędzy nie żałuj. Ze wszystkich rad, jakie ci mogę przesłać, ta jest najlepsza.

„Tu już przestali mówić o małej Auguście i o tem, że z czarów umarła. Wspomina jeszcze czasem o nich Poppea, ale Cezara umysł zaprzątnięty jest czem innem; zresztą, jeśli prawda, że diva Augusta jest znów w stanie odmiennym, to i w niej pamięć tamtego dziecka rozwieje się bez śladu. Jesteśmy już od dni kilkunastu w Neapolis, a raczej w Bajae. Gdybyś był zdolny do myślenia o czemkolwiek, to echa naszego tu pobytu musiałyby się odbić o twe uszy, albowiem cały Rzym nie mówi zapewne o czem innem. Zajechaliśmy tedy wprost do Bajae, gdzie naprzód opadły nas wspomnienia matki i wyrzuty sumienia. Ale czy wiesz, do czego Ahenobarbus już doszedł? Oto, że nawet zabójstwo matki jest dla niego tylko tematem do wierszy i powodem do odegrywania błazeńsko-tragicznych scen. On czuł dawniej prawdziwe wyrzuty o tyle jedynie, o ile jest tchórzem. Teraz, gdy się przekonał, że świat jest, jak był pod jego stopami, a żaden bóg nie pomścił się nad nim, udaje je tylko, aby wzruszać ludzi swym losem. Czasem zrywa się po nocach, twierdząc, że go ścigają Furye, budzi nas, spogląda za siebie, przybiera postawę komedyanta, grającego rolę Oresta, i to lichego komedyanta, deklamuje greckie wiersze i patrzy, czy go podziwiamy. A my, oczywiście, podziwiamy! i zamiast powiedzieć mu: idź spać, błaźnie! nastrajamy się także na ton tragedyi i bronimy wielkiego artysty od Furyi. Na Kastora! musiało cię dojść przynajmniej to, że wystąpi już publicznie w Neapolis. Spędzono wszystkich greckich drapichrustów z Neapolis i miast okolicznych, którzy napełnili arenę tak nieprzyjemnymi wyziewami czosnku i potu, iż dziękowałem bogom, że zamiast siedzieć w pierwszych rzędach między augustyanami, byłem z Ahenobarbem za sceną. I czy dasz wiarę, że się bał? Bał się naprawdę! Brał moją rękę i przykładał ją sobie do serca, które biło rzeczywiście przyśpieszonem tętnem. Oddech miał krótki, a w chwili, gdy trzeba było wychodzić, pobladł, jak pergamin i czoło pokryło mu się kroplami potu. A przecie wie-

dział, że po wszystkich rzędach siedzą gotowi pretoryanie, zbrojni w kije, którymi w razie potrzeby mieli podniecać zapał. Ale potrzeby nie było. Żadne stado małp z okolic Kartaginy nie potrafi tak wyć, jak wyła owa hołota. Mówię ci, że zapach czosnku dolatywał aż na scenę, Nero zaś kłaniał się, przyciskał ręce do serca, posyłał od ust pocałunki i płakał. Potem wpadł między nas, którzyśmy czekali za sceną, jak spity, wołając: „czemże są wszystkie tryumfy wobec tego mego tryumfu?" A tam hołota ciągle jeszcze wyła i klaskała, wiedząc, że wyklaskuje sobie łaskę, dary, biesiadę, bilety loteryjne i nowe widowisko z Cezara-błazna. Ja im się nawet nie dziwię, że klaskali, bo tego dotąd nie widziano. On zaś powtarzał co chwila: „Oto, co są Grecy! Oto, co są Grecy!" I zdaje mi się, że od tej chwili jego nienawiść do Rzymu wzmogła się jeszcze. Swoją drogą, do Rzymu wysłani zostali umyślni gońce z doniesieniem o tryumfie i spodziewamy się w tych dniach dziękczynień senatu. Zaraz po pierwszem wystąpieniu Nerona zaszedł tu dziwny przypadek. Oto teatr zawalił się nagle, ale wówczas, gdy ludzie już byli wyszli. Byłem na miejscu wypadku i nie widziałem, by wydobyto choć jednego trupa z pod gruzów. Wielu, nawet między Grekami, patrzy na to, jak na gniew bogów za sponiewieranie cesarskiej władzy, ale on, przeciwnie, twierdzi, iż tu jest łaska bogów, którzy mają w widocznej opiece jego śpiew i tych, którzy go słuchają. Stąd ofiary po wszystkich świątyniach i wielkie dziękczynienia, dla niego zaś nowa zachęta do podróży do Achai. Przed kilku dniami mówił mi jednak, iż boi się, co na to powie lud rzymski i czy się nie wzburzy, tak z miłości dla niego, jak z obawy o rozdawnictwo zboża i igrzyska, któreby go mogły w razie dłuższej nieobecności Cezara ominąć.

„Jedziemy jednak do Benewentu oglądać szewckie przepychy, z którymi się popisze Watyniusz, a stamtąd, pod opieką boskich braci Heleny, do Grecyi. Co do mnie, zauważyłem jedną rzecz, że gdy się jest między szalonymi, staje się także szalonym, a co więcej, znajduje się pewien urok w szaleństwach. Grecya i podróż w tysiąc cytr, jakiś tryumfalny pochód Bakcha, wśród uwieńczonych w zieleń mirtową, w liście winogradu i w wiciokrzew nimf i bachantek, wozy zaprzężone w tygrysy, kwiaty, tyrsy, wieńce, okrzyki: *evoe!*

muzyka, poezya i Hellada klaszcząca, wszystko dobrze, ale my tu żywimy jeszcze śmielsze zamysły. Chce nam się stworzyć jakieś wschodnie bajeczne imperyum, państwo palm, słońca, poezyi i zmienionej w sen rzeczywistości i zmienionego w jedną rozkosz życia. Chce nam się zapomnieć o Rzymie, a wagę świata umieścić gdzieś między Grecyą, Azyą i Egiptem, żyć życiem nie ludzi, ale bogów, nie znać, co to powszedniość, błąkać się w złotych galerach pod cieniem purpurowych żagli po Archipelagu, być Apollinem, Ozyrysem i Baalem w jednej osobie, różowieć z zorzą, złocić się ze słońcem, srebrzyć z księżycem, władać, śpiewać, śnić... I czy uwierzysz, że ja, który mam jeszcze za sestercyę rozsądku, a za asa sądu, daję się jednak porywać tym fantazyom, a daję się porywać dlatego, że jeśli są niemożliwe, to są przynajmniej wielkie i niezwykłe... Takie imperyum bajeczne byłoby jednak czemś, co kiedyś, kiedyś, po długich wiekach, wydałoby się ludziom snem. O ile Wenus nie przybierze na się postaci takiej Ligii lub chociaż takiej niewolnicy, jak Eunice i o ile nie przyozdobi go sztuka, to życie samo jest czcze i częstokroć miewa twarz małpy. Ale Miedzianobrody nie urzeczywistni swych pomysłów, choćby dlatego, że w owem bajecznem królestwie poezyi i Wschodu, nie powinno być miejsca na zdrady, podłości i śmierć, a w nim pod pozorami poety siedzi lichy komedyant, głupowaty furman i płaski tyran. Jakoż tymczasem dusimy ludzi, gdy nam w jakikolwiek sposób zawadzą. Biedny Torkwatus Sylanus jest już cieniem. Otworzył sobie żyły kilka dni temu. Lekaniusz i Licyniusz ze strachem przyjmują konsulat, stary Trazeasz nie ujdzie śmierci, albowiem śmie być uczciwym. Tygellinus nie może dotąd wyrobić dla mnie rozkazu, bym sobie żyły otworzył. Potrzebny jestem jeszcze, nietylko jako *elegantiae arbiter*, ale jako człowiek, bez którego rad i smaku wycieczka do Achai mogłaby się nie udać. Nieraz jednak myślę, że prędzej później musi się na tem skończyć i wiesz-li, o co mi wówczas chodzi: oto, aby Miedzianobrody nie dostał tej mojej czary myrreńskiej, którą znasz i podziwiasz. Jeśli w chwili mej śmierci będziesz przy mnie, to ci ją oddam, jeśli będziesz daleko, to ją rozbiję. Ale tymczasem mamy przed sobą jeszcze szewcki Benewent, olimpijską Grecyę i Fatum, które nieznaną i nieprzewidzianą wytyka każdemu drogę. Bądź zdrów i naj-

mij Krotona, inaczej po raz drugi wydrą ci Ligię. Chilonidesa, gdy ci przestanie być potrzebny, przyślij mi, gdziekolwiek będę. Może uczynię z niego drugiego Watyniusza i może konsularni mężе i senatorowie będą jeszcze drżeli przed nim, jak drżą przed tamtym rycerzem Dratewką. Wartoby się doczekać takiego widowiska. Gdy odzyskasz Ligię, daj mi znać, abym ofiarował za was parę łabędzi i parę gołębi w tutejszej okrągłej świątyńce Wenery. Widziałem kiedyś we śnie Ligię, na twoich kolanach, szukającą twych pocałunków. Postaraj się, by to był sen wróżebny. Niech na twem niebie nie będzie chmur, a jeśli będą, to niech mają kolor i zapach róży. Bądź zdrów i żegnaj!"

ROZDZIAŁ XIX.

Zaledwie Winicyusz skończył czytać, gdy do bibliotek wsunął się cicho niezapowiedziany przez nikogo Chilon, służba bowiem miała rozkaz puszczać go o każdej godzinie dnia i nocy.

— Niech boska matka twego wielkodusznego przodka Eneasza — rzekł — będzie na cię tak łaskawą, panie, jako na mnie był łaskawym boski syn Mai.

— To się znaczy?... — spytał Winicyusz, zrywając się od stołu, przy którym siedział.

A Chilon podniósł głowę i rzekł:

— Eureka!

Młody patrycyusz wzruszył się tak, że przez dłuższy czas nie mógł słowa przemówić.

— Widziałeś ją? — spytał nareszcie.

— Widziałem Urzusa, panie i mówiłem z nim.

— I wiesz, gdzie się skryli?

— Nie, panie. Inny byłby przez samą miłość własną dał poznać Ligowi, że odgadł, kto on jest, inny starałby się wybadać go, gdzie mieszka i byłby albo otrzymał uderzenie pięścią, po którem wszystkie ziemskie sprawy stałyby się mu obojętne, albo wzbudziłby nieufność olbrzyma i sprawił to, że dla dziewicy poszukanoby może jeszcze tej nocy innej kryjówki. Jam tego nie uczynił, panie. Dość mi wiedzieć, że Urzus pracuje u młynarza koło Emporyum, który zowie się

Demas, tak jak twój wyzwoleniec, a dość mi, dlatego, że teraz pierwszy lepszy zaufany twój niewolnik może rano pójść jego śladem i wyśledzić ich kryjówkę. Ja przynoszę ci tylko pewność, panie, że skoro Urzus się tu znajduje, to i boska Ligia jest w Rzymie i drugą wiadomość, że dzisiejszej nocy będzie niemal napewno w Ostryanum...

— W Ostryanum? Gdzie to jest? — przerwał Winicyusz, chcąc widocznie biedz zaraz na wskazane miejsce.

— Stare hypogeum między via Salaria a Nomentana. Ów pontifex maximus chrześcijan, o którym wspominałem ci panie, a którego się spodziewano znacznie później, przyjechał już i dziś w nocy będzie chrzcił i nauczał na tym cmentarzu. Oni kryją się ze swoją nauką, bo jakkolwiek niema dotąd żadnych edyktów, któreby jej wzbraniały, ludność ich nienawidzi, więc muszą być ostrożni. Sam Urzus mówił mi, że wszyscy, co do jednej duszy, zgromadzą się dziś w Ostryanum, każdy bowiem chce widzieć i słyszeć tego, który był pierwszym uczniem Chrystusa, i którego oni zowią Wysłannikiem. Że zaś u nich niewiasty na równi z mężami słuchają nauk, przeto z niewiast nie będzie może jedna Pomponia, ta bowiem nie mogłaby się usprawiedliwić przed Aulusem, czcicielem dawnych bogów, dlaczego nocą opuszcza dom, Ligia jednak, o panie, która zostaje pod opieką Urzusa i starszych gminy, pójdzie wraz z innemi niewiastami niewątpliwie.

Winicyusz, który żył dotąd jakby w gorączce, podtrzymywany jedynie nadzieją, teraz, gdy ta nadzieja zdawała się spełniać, uczuł nagle takie osłabienie, jakie odczuwa człowiek po podróży nad siły, u celu. Chilon zauważył to i postanowił z tego korzystać:

— Bramy są wprawdzie strzeżone przez twoich ludzi, panie, i chrześcijanie muszą o tem wiedzieć. Ale oni nie potrzebują bram. Tyber także ich nie potrzebuje, a choć od rzeki do tamtych dróg daleko, warto nadłożyć drogi dla widzenia „Wielkiego Apostoła“. Zresztą oni mieć mogą tysiączne sposoby wydostania się za mury i wiem, że je mają. W Ostryanum znajdziesz, panie, Ligię, a gdyby nawet, czego nie przypuszczam, jej nie było, będzie Urzus, albowiem ten przyrzekł mi zamordować Glauka. Sam mi mówił, że będzie i tam go zamorduje, słyszysz, szlachetny trybunie? Otóż, albo pójdziesz w ślad za nim i dowiesz się, gdzie Ligia mieszka,

albo każesz go schwytać swoim ludziom jako mordercę i mając go w ręku, wydobędziesz z niego wyznanie, gdzie ukrył Ligię. Ja swoje zrobiłem! Inny, o panie, powiedziałby ci, że wypił z Urzusem dziesięć kantarów najprzedniejszego wina, zanim tajemnicę z niego wydobył; inny powiedziałby ci, że przegrał do niego tysiąc sestercyi w *scriptae duodecim*, lub że za dwa tysiące kupił wiadomość... Wiem, że wróciłbyś mi to podwójnie, ale mimo tego, raz w życiu... to jest, chciałem powiedzieć: jak zawsze w życiu, będę uczciwym, tuszę bowiem, że jak mówił wielkoduszny Petroniusz, wszelkie moje wydatki i nadzieje twoja wspaniałomyślność przewyższy.

Lecz Winicyusz, który był żołnierzem i przywykł nietylko radzić sobie wobec wszelkich zdarzeń, ale i działać, wnet opanował chwilową słabość i rzekł:

— Nie zawiedziesz się na mojej wspaniałomyślności, pierwej jednak pójdziesz ze mną do Ostryanum.

— Ja, do Ostryanum? — pytał Chilon, który nie miał najmniejszej chęci tam iść. Ja, szlachetny trybunie, obiecałem ci wskazać Ligię, ale nie przyrzekłem jej porywać... Pomyśl, panie, coby się ze mną stało, gdyby ten niedźwiedź ligijski, rozdarłszy Glauka, przekonał się jednocześnie, że nie całkiem słusznie go rozdarł? Czy nie poczytałby mnie (zresztą niesłusznie) za sprawcę spełnionego morderstwa? Pamiętaj, panie, że im kto większym jest filozofem, tem mu trudniej odpowiadać na głupie pytania prostaków, cóżbym mu więc odpowiedział, gdyby mnie spytał, dlaczegom oskarżył Glauka, lekarza? Jeśli jednak posądzasz mnie, że cię zwodzę, tedy ci powiem: zapłać mi wówczas dopiero, gdy ci wskażę dom, w którym mieszka Ligia, dziś okaż mi zaś tylko cząstkę twej szczodrobliwości, abym, gdybyś i ty, o panie (czego niech wszystkie bogi bronią), miał uledz jakiemu wypadkowi, nie pozostał całkiem bez nagrody. Serce twoje nie zniosłoby tego nigdy.

Winicyusz poszedł do skrzyni, stojącej na marmurowem podnóżu, zwanej „arca“ i wydobywszy z niej kieskę, cisnął ją Chilonowi.

— To są „scrupula“ — rzekł — gdy Ligia będzie u mnie w domu, dostaniesz taką samą, napełnioną aureusami [1]).

---

[1]) Scripulum lub scrupulum, mała złota moneta, równająca się trzeciej części złotego denara, czyli aureusa.

— Jowiszu!! — zawołał Chilon.

Lecz Winicyusz zmarszczył brwi.

— Tu dostaniesz jeść, poczem możesz odpocząć. Do wieczora nie ruszysz się stąd, gdy zaś noc zapadnie, będziesz mi towarzyszył do Ostryanum.

Na twarzy Greka odbiły się przez chwilę strach i wahanie, poczem jednak uspokoił się i rzekł:

— Któż ci się oprze, panie! Przyjmij te słowa za dobrą wróżbę, tak jak przyjął podobne wielki nasz bohater w świątyni Ammona. Co do mnie, te „skrupuły" (tu potrząsnął kieską) przeważyły moje, nie mówiąc już o twem towarzystwie, które dla mnie jest szczęściem i rozkoszą...

Lecz Winicyusz przerwał mu niecierpliwie i począł wypytywać o szczegóły rozmowy z Urzusem. Jedna rzecz wykazywała się z nich jasno: to jest, że albo schronienie Ligii zostanie jeszcze tej nocy wykrytem, albo ją samą można będzie porwać w czasie drogi powrotnej z Ostryanum. I na tę myśl Winicyusza porwała szalona radość. Teraz, gdy miał niemal pewność, że Ligię odzyska i gniew przeciw niej i uraza, jaką dla niej żywił, znikły. Za tę właśnie radość darowywał jej wszystkie winy. Myślał tylko o niej, jak o drogiej i pożądanej istocie, i miał takie wrażenie, jakby po długiej podróży miała wrócić. Brała go ochota zwołać niewolników i kazać im przybrać dom w girlandy. Nie miał w tej chwili żalu nawet do Urzusa. Gotów był wszystko wszystkim przebaczyć. Chilon, do którego dotychczas, mimo jego usług, czuł pewien wstręt, po raz pierwszy wydał mu się człowiekiem zabawnym i zarazem niepospolitym. Rozjaśnił mu się dom, rozjaśniły się oczy i rozjaśniła twarz. Począł na nowo czuć młodość i rozkosz życia. Dawniejsze ponure cierpienie nie dało mu jeszcze dostatecznej miary, jak Ligię pokochał. Zrozumiał to dopiero teraz, gdy spodziewał się ją mieć. Pragnienie jej budziło się w nim, jak na wiosnę budzi się ziemia, przygrzana słońcem, ale żądze jego były obecnie jakby mniej ślepe i dzikie, a więcej radosne i tkliwe. Czuł też w sobie energię bez granic i był przekonany, że gdy tylko zobaczy Ligię własnemi oczyma, wówczas nie odbiorą mu już jej wszyscy chrześcijanie całego świata, ani nawet sam Cezar.

Chilon jednakże, ośmielony jego radością, zabrał głos i począł dawać rady. Według niego, należało sprawy nie

uważać jeszcze za wygraną i zachować jak największą ostrożność, bez której całe dzieło może pójść na nic. Zaklinał też Winicyusza, by nie porywał Ligii z Ostryanum. Powinni tam pójść w kapturach na głowach, z twarzami przysłoniętemi i poprzestać na przypatrywaniu się z jakiego mrocznego kąta wszystkim obecnym. Dopiero gdy ujrzą Ligię, najbezpieczniej będzie pójść za nią z daleka, obaczyć, do którego domu wchodzi, a nazajutrz, o świcie, otoczyć go wielką siłą niewolników i zabrać ją w biały dzień. Ponieważ jest ona zakładniczką i należy właściwie do Cezara, zatem można to uczynić bez obawy prawa. W razie, gdyby jej nie znaleźli w Ostryanum, pójdą za Urzusem i skutek będzie ten sam. Na cmentarz z wielką liczbą ludzi udawać się nie można, łatwo bowiem mogliby zwrócić na siebie uwagę, a wówczas chrześcijanie potrzebowaliby tylko pogasić wszystkie światła, tak, jak to uczynili przy pierwszem porwaniu i rozproszyć się lub pochować w ciemnościach, w kryjówkach, im tylko znanych. Natomiast trzeba się uzbroić, a jeszcze lepiej wziąć ze sobą ze dwóch ludzi pewnych i silnych, aby w danym razie mieć w nich obronę.

Winicyusz przyznawał mu słuszność zupełną i wspomniawszy zarazem na rady Petroniusza, wydał rozkaz niewolnikom, aby sprowadzili do niego Krotona. Chilon, który wszystkich znał w Rzymie, uspokoił się znacznie, słysząc nazwisko znanego atlety, którego nadludzką siłę podziwiał niejednokrotnie na arenie i oświadczył, że do Ostryanum pójdzie. Kieska, napełniona wielkimi aureusami, wydawała mu się przy pomocy Krotona o wiele łatwiejszą do zdobycia.

Zasiadł więc z dobrą myślą do stołu, do którego wezwał go po niejakim czasie przełożony nad atrium i w czasie jedzenia opowiadał niewolnikom, jako dostarczał ich panu cudownej maści, którą dość posmarować kopyta najlichszym koniom, aby pozostawiły daleko za sobą wszystkie inne. Nauczył go przyrządzać tę maść pewien chrześcijanin, albowiem starsi chrześcijańscy daleko lepiej rozumieją się na czarach i cudach, niż nawet Tesalczycy, chociaż Tesalia słynie ze swoich czarownic. Chrześcijanie mają do niego ufność ogromną, dlaczego zaś ją mają, domyśli się łatwo każdy, kto wie, co znaczy ryba. Tak rozmawiając, patrzył pilnie w twarze niewolników, w nadziei, że może odkryje między nimi chrześci-

janina i doniesie o nim Winicyuszowi. Gdy jednak ta nadzieja go zawiodła, począł jeść i pić nadzwyczaj obficie, nie szczędząc pochwał kucharzowi i zapewniając, że postara się go od Winicyusza odkupić. Wesołość jego mąciła jedynie myśl, że nocą trzeba będzie pójść do Ostryanum, pocieszał się jednak, że to będzie w przebraniu, po ciemku i w towarzystwie dwóch ludzi, z których jeden jest, jako siłacz, bożyszczem całego Rzymu, drugi patrycyuszem i wysokim urzędnikiem wojskowym. „Choćby Winicyusza i odkryli — mówił sobie — nie ośmielą się podnieść na niego ręki, co do mnie zaś, będą mądrzy, jeśli zobaczą choć koniec mego nosa“.

Poczem jął sobie przypominać rozmowę z robotnikiem i rozpamiętywanie to nową napełniło go otuchą. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że ów robotnik był Urzusem. Wiedział z opowiadań Winicyusza i tych, którzy przeprowadzali Ligię z pałacu Cezara, o niezwykłej sile tego człowieka. Otóż, ponieważ u Eurycyusza wypytywał o ludzi wyjątkowo silnych, nie było nic dziwnego, że wskazano mu Urzusa. Potem zmieszanie i wzburzenie robotnika na wzmiankę o Winicyuszu i Ligii, nie pozwalało wątpić, że osoby te szczególniej go obchodzą; robotnik wspomniał także o pokucie za zabicie człowieka, Urzus zaś zabił Atacyna; nakoniec rysopis robotnika odpowiadał zupełnie temu, co Winicyusz opowiadał o Ligu. Jedno tylko zmienione imię mogło wzbudzać wątpliwość, lecz Chilon już wiedział, że chrześcijanie często przy chrzcie przyjmują nowe imiona.

— Jeśli Urzus zabije Glauka — mówił sobie Chilon — to będzie jeszcze lepiej, jeśli zaś nie zabije, to także będzie dobry znak, pokaże się bowiem, z jaką trudnością przychodzi chrześcijanom zabójstwo. Przedstawiłem przecie tego Glauka, jako rodzonego syna Judasza i zdrajcę wszystkich chrześcijan; byłem tak wymowny, że kamieńby się wzruszył i obiecałby spaść na głowę Glaukowi, a jednak ledwiem nakłonił tego ligijskiego niedźwiedzia, by mi przyrzekł położyć na nim łapę... Wahał się, nie chciał, opowiadał o swoim żalu i pokucie. Widocznie między nimi to nie uchodzi... Swoje krzywdy trzeba przebaczać, za cudze nie bardzo wolno się mścić, ergo, zastanów się, Chilonie, cóż ci może grozić? Glaukusowi niewolno się nad tobą pomścić... Urzus, jeśli nie zabije Glauka za tak wielką winę, jak zdrada wszystkich chrześcijan, to

tembardziej nie zabije ciebie za tak małą, jak zdrada jednego chrześcijanina. Zresztą, gdy raz wskażę temu jurnemu grzywaczowi gniazdo tamtej turkawki, umywam ręce od wszystkiego i przenoszę się napowrót do Neapolis. Chrześcijanie mówią także o jakiemś umywaniu rąk, jest to więc widocznie sposób, w który, jeśli się ma z nimi sprawę, można ją ostatecznie zakończyć. Jacyś dobrzy ludzie, ci chrześcijanie, a tak źle o nich mówią! O bogowie! taka to sprawiedliwość na świecie. Lubię jednak tę naukę za to, że nie pozwala zabijać. Ale jeśli nie pozwala zabijać, to nie pozwala zapewne ani kraść, ani oszukiwać, ani fałszywie świadczyć, a zatem nie powiem, żeby była łatwą. Uczy ona widocznie nietylko uczciwie umierać, jak uczą stoicy, ale i uczciwie żyć. Jeśli kiedy dojdę do majątku i będę miał taki dom, jak ten i tylu niewolników, to może zostanę chrześcijaninem na tak długo, jak mi to będzie na rękę. Bo bogaty może sobie na wszystko pozwolić, nawet na cnotę... Tak!! to jest religia dla bogatych i dlatego nie rozumiem, jakim sposobem jest między nimi tylu biednych. Co im z tego przyjdzie i dlaczego pozwalają cnocie zawiązywać sobie ręce? Muszę się kiedyś nad tem zastanowić. Tymczasem chwała ci, Hermesie, żeś mi pomógł odnaleźć tego borsuka... Ale jeśliś to uczynił dla dwóch jałówek, białych jednolatek z pozłoconym rogami, to cię nie poznaję. Wstydź się, Argobójco! taki mądry bóg, żeby też z góry nie przewidział, że nic nie dostanie! Ofiaruję ci za to moją wdzięczność, a jeśli wolisz od mojej wdzięczności dwoje bydląt, tedy sam jesteś trzeciem i w najlepszym razie powinieneś być pastuchem, nie bogiem. Strzeż się także, żebym jako filozof, nie dowiódł ludziom, że cię niema, bo wówczas wszyscyby ci przestali składać ofiary. Z filozofami lepiej być dobrze.

Tak rozmawiając ze sobą i z Hermesem, wyciągnął się na ławie, podłożył sobie płaszcz pod głowę i gdy niewolnicy sprzątnęli naczynia, zasnął. Zbudził się dopiero, a raczej zbudzono go, gdy nadszedł Kroto. Wówczas udał się do atrium i z przyjemnością począł przyglądać się potężnej postaci lanisty, eks-gladyatora, która swym ogromem zdawała się wypełniać całe atrium. Kroto już był się ułożył o cenę wyprawy i mówił właśnie Winicyuszowi:

— Na Herkulesa! dobrze, panie, żeś się dziś do mnie

zgłosił, albowiem jutro udaję się do Benewentu, dokąd wezwał mnie szlachetny Watyniusz, abym się tam wobec Cezara próbował z niejakim Syfaxem, najsilniejszym Negrem, jakiego wydała kiedykolwiek Afryka. Czy wyobrażasz sobie, panie, jak jego kość pacierzowa chrupnie w moich ramionach, ale oprócz tego strzaskam mu pięścią jego czarną szczękę.

— Na Polluxa! — odpowiedział Winicyusz. — Jestem pewien, że tak uczynisz, Krotonie.

— I wyśmienicie postąpisz — dodał Chilon. — Tak!... Prócz tego, strzaskaj mu szczękę! To dobra myśl i godny ciebie czyn. Gotów jestem założyć się, że mu strzaskasz szczękę. Posmaruj jednak tymczasem członki oliwą, mój Herkulesie i przepasz się, albowiem wiedz o tem, iż z prawdziwym Kakusem możesz mieć sprawę. Człowiek, co strzeże tej dziewicy, o którą chodzi dostojnemu Winicyuszowi, posiada podobno wyjątkową siłę.

Chilon mówił tak tylko dla podniecenia ambicyi Krotona, lecz Winicyusz rzekł:

— Tak jest, nie widziałem tego, ale mówiono mi o nim, że byka chwyciwszy za rogi, może go zawlec, dokąd chce.

— Oj! — zawołał Chilon, który nie wyobrażał sobie, by Urzus był tak silnym.

Lecz Kroto uśmiechnął się pogardliwie.

— Podejmuję się, dostojny panie — rzekł — porwać tą oto ręką, kogo mi każesz, a tą drugą obronić się przeciw siedmiu takim Ligom i przynieść ci dziewicę do domu, choćby wszyscy chrześcijanie z Rzymu gonili za mną, jak kalabryjskie wilki. Jeśli tego nie dokażę, pozwolę sobie dać batogi na tem impluwium.

— Nie pozwól mu na to, panie! — zawołał Chilon. — Poczną w nas godzić kamieniami, a wówczas co jego siła pomoże? Czyż nie lepiej zabrać dziewicę z domu i nie narażać ani jej, ani siebie na zgubę?

— Tak ma być, Krotonie — rzekł Winicyusz.

— Twoje pieniądze, twoja wola! Pamiętaj tylko, panie, że jutro jadę do Benewentu.

— Mam pięciuset niewolników w samem mieście — odpowiedział Winicyusz.

Poczem dał im znak, by odeszli, sam zaś udał się do biblioteki i usiadłszy, napisał do Petroniusza następne słowa:

„Chilon odnalazł Ligię. Dziś wieczór udaję się z nim i z Krotonem do Ostryanum i porwę ją zaraz lub jutro z domu. Niech bogowie zleją na cię wszelkie pomyślności. Bądź zdrów, carissime, gdyż radość nie pozwala mi pisać dłużej“.

I złożywszy trzcinę, począł przechadzać się szybkim krokiem, albowiem prócz radości, która zalewała mu duszę, trawiła go gorączka. Mówił sobie, że nazajutrz Ligia będzie w tym domu. Nie wiedział, jak z nią postąpi, czuł jednak, że jeśli go zechce kochać, to będzie jej sługą. Przypominał sobie upewnienia Akte, że był kochanym i wzruszał się do głębi. Więc będzie chodziło tylko o przezwyciężenie jakiegoś dziewiczego wstydu i jakichś ślubów, które widocznie nauka chrześcijańska nakazuje? Ale jeśli tak, to gdy Ligia raz będzie w jego domu i ulegnie namowie lub przemocy, wówczas musi powiedzieć sobie: „stało się!“ i następnie będzie już powolną i kochającą.

Lecz wejście Chilona przerwało mu bieg tych błogich myśli.

— Panie — rzekł Grek — oto co mi jeszcze przyszło do głowy: nuż chrześcijanie mają jakoweś znaki, jakoweś „tessery“, bez których nikt nie będzie dopuszczony do Ostryanum? Wiem, że w domach modlitwy tak bywa, i że takową tesserę dostałem od Eurycyusza; pozwól mi więc pójść do niego, panie, rozpytać dokładnie i zaopatrzyć się w owe znaki, jeśli okażą się konieczne.

— Dobrze, szlachetny mędrcze — odpowiedział wesoło Winicyusz — mówisz, jak człek przezorny i należy ci się za to pochwała. Pójdziesz więc do Eurycyusza, lub gdzie ci się podoba, ale dla pewności zostawisz na tym oto stole tę sakiewkę, którą dostałeś.

Chilon, który zawsze niechętnie rozstawał się z pieniędzmi, skrzywił się, jednakże uczynił zadość rozkazowi i wyszedł. Z Karyn do Cyrku, przy którym leżał sklepik Eurycyusza, nie było zbyt daleko, dlatego też wrócił znacznie jeszcze przed wieczorem.

— Oto są znaki, panie. Bez nich nie puszczonoby nas. Rozpytałem się też dobrze o drogę, a zarazem powiedziałem

Eurycyuszowi, że potrzebuję znaków tylko dla moich przyjaciół, sam zaś nie pójdę, bo to dla mnie starego zadaleko i wreszcie, że jutro zobaczę Wielkiego Apostoła, który mi powtórzy najpiękniejsze ustępy ze swego przemówienia.

— Jakto: nie będziesz? Musisz iść! — rzekł Winicyusz.

— Wiem, że muszę, ale pójdę dobrze zakapturzony, i wam radzę toż samo uczynić, inaczej możemy spłoszyć ptaki.

Jakoż niebawem poczęli się zbierać, albowiem mrok czynił się na świecie. Wzięli gallijskie płaszcze z kapturami, wzięli latarki; Winicyusz uzbroił nadto siebie i towarzyszów w krótkie zakrzywione noże, Chilon zaś wdział perukę, w którą się po drodze do Eurycyusza zaopatrzył i wyszli, śpiesząc się, by do odległej bramy Nomentańskiej dojść przed jej zamknięciem.

ROZDZIAŁ XX.

Szli przez vicus Patricius, wzdłuż Wiminalu, do dawnej bramy Wiminalskiej, koło płaszczyzny, na której Dyoklecyan wzniół później wspaniałe łaźnie. Minęli resztki muru Serwiusza Tuliusza i przez bardziej już puste miejsca doszli do drogi Nomentańskiej, tam zaś, skręciwszy na lewo, ku Salarya, znaleźli się wśród wzgórz, pełnych kopalni piasku, a gdzieniegdzie i cmentarzy. Ściemniło się tymczasem już zupełnie, że zaś księżyc jeszcze nie wszedł, więc drogę dość trudno przyszłoby im znaleźć, gdyby nie to, że jak przewidział Chilon, wskazywali ją sami chrześcijanie. Jakoż na prawo, na lewo i na przodzie widać było ciemne postaci, zdążające ostrożnie ku piaszczystym wądołom. Niektórzy z owych ludzi nieśli latarki, okrywając je jednak ile możności płaszczami, inni, znający lepiej drogę, szli po ciemku. Wprawne żołnierskie oczy Winicyusza odróżniały po ruchach młodszych mężczyzn od starców, wlokących się na kijach, i od kobiet, poobwijanych starannie w długie stole. Rzadcy przechodnie i wieśniacy, wyjeżdżający z miasta, brali widocznie tych nocnych wędrowców za robotników, zdążających do arenaryów, lub za

bractwa pogrzebowe, których członkowie wyprawiali sobie czasami obrzędowe agapy w nocy. W miarę jednak, jak młody patrycyusz i jego towarzysze posuwali się naprzód, naokół migało coraz więcej latarek i zwiększała się liczba osób. Niektóre z nich śpiewały przyciszonymi głosami pieśni, które Winicyuszowi wydawały się jakby pełne tęsknoty. Chwilami ucho jego chwytało urwane słowa lub zdania pieśni, jak naprzykład: „Wstań, który śpisz“ lub: „Powstań z martwych“, czasem znów imię Chrystusa powtarzało się w ustach mężczyzn i kobiet. Lecz Winicyusz mało zwracał uwagi na słowa, albowiem przez głowę przechodziło mu, że może która z owych ciemnych postaci jest Ligią. Niektóre, przechodząc blizko, mówiły: „Pokój z wami!“ lub „Chwała Chrystusowi!“ jego zaś ogarniał niepokój i serce poczynało mu bić żywiej, albowiem wydawało mu się, że słyszy głos Ligii. Podobne kształty lub podobne ruchy zwodziły go w ciemnościach co chwila i dopiero sprawdziwszy kilkakrotnie swą omyłkę, począł nie ufać oczom.

Droga wydała mu się jednak długą. Okolicę znał dobrze, ale po ciemku nie umiał się w niej rozeznać. Co chwila trafiały się to jakieś wązkie przejścia, to części murów, to jakieś budynki, których sobie koło miasta nie przypominał. Wreszcie brzeg księżyca ukazał się z ponad nagromadzonych chmur i oświecił okolicę lepiej od mdłych latarek. Coś zdala poczęło wreszcie błyszczeć, jakby ognisko lub płomień pochodni. Winicyusz pochylił się ku Chilonowi i spytał, czy to Ostryanum.

Chilon, na którym noc, odległość od miasta i te postaci, do widm podobne, czyniły widocznie silne wrażenie, odrzekł, nieco niepewnym głosem:

— Nie wiem, panie, nie byłem nigdy w Ostryanum. Ale mogliby chwalić Chrystusa gdzieś bliżej miasta.

Po chwili zaś, czując potrzebę rozmowy i pokrzepienia odwagi, dodał:

— Schodzą się, jak zbójcy, a przecie niewolno im zabijać, chyba że mnie ów Lig zwiódł niegodnie.

Lecz Winicyusza, który myślał o Ligii, zdziwiła także ta ostrożność i tajemniczość, z jaką jej współwyznawcy zbierali się dla słuchania swego najwyższego kapłana, więc rzekł:

— Jak wszystkie religie, tak i ta ma między nami

swych zwolenników, ale chrześcijanie, to sekta żydowska. Czemuż zbierają się tu, gdy na Zatybrzu stoją świątynie żydowskie, w których w biały dzień Żydzi składają ofiary.

— Nie, panie. Żydzi właśnie są ich najzaciętszymi nieprzyjaciółmi. Mówiono mi, że już przed dzisiejszym Cezarem przyszło niemal do wojny między Żydami a nimi. Cezara Klaudyusza znudziły tak te rozruchy, że wygnał wszystkich Żydów, dziś jednak edykt ten jest zniesiony. Lecz chrześcijanie kryją się przed Żydami i przed ludnością, która, jak ci wiadomo, posądza ich o zbrodnie i nienawidzi.

Czas jakiś szli w milczeniu, poczem Chilon, którego strach zwiększał się w miarę odległości od bram, rzekł:

— Wracając od Eurycyusza, pożyczyłem od jednego balwierza peruki i w nozdrza w sadziłem sobie dwa ziarnka bobu. Nie powinni mnie poznać. Ale gdyby i poznali, to nie zabiją. To nieźli ludzie! to nawet bardzo uczciwi ludzie, których kocham i cenię.

— Nie ujmuj ich sobie pochwałami przedwcześnie — odpowiedział Winicyusz.

Weszli teraz w wązki wądół, zamknięty z boku jakby dwoma okopami, nad którymi przerzucał się w jednem miejscu akwedukt. Księżyc tymczasem wychylił się z za chmur i na końcu wąwozu ujrzeli mur, pokryty obficie srebrzącymi się w świetle miesięcznem bluszczami. Było to Ostryanum.

Winicyuszowi zaczęło bić serce żywiej.

Przy bramie dwaj fossorowie odbierali znaki. Po chwili Winicyusz i jego towarzysze znaleźli się w miejscu dość obszernem, zamkniętem ze wszystkich stron murem. Gdzieniegdzie stały tu osobne pomniki, w środku zaś widać było właściwe hypogeum, czyli kryptę, leżącą w niższej swej części pod powierzchnią gruntu, w której były grobowce; przed wejściem do krypty szumiała fontanna. Widocznem jednak było, że zbyt wielka liczba osób nie zdołałaby się w samem hypogeum pomieścić, Winicyusz więc domyślił się łatwo, że obrządek będzie się odbywał pod gołem niebem na dziedzińcu, na którym wkrótce zgromadził się tłum bardzo liczny. Jak okiem dojrzeć, latarka migotała przy latarce, wielu zaś z przybyłych nie miało wcale światła. Z wyjątkiem kilku głów, które się odkryły, wszyscy, z obawy zdrajców, czy też chłodu, pozostali zakapturzeni i młody patrycyusz z trwogą pomyślał,

że jeśli tak pozostaną do końca, to w tym tłumie, przy mdłem świetle, niepodobna mu będzie Ligii rozeznać.

Lecz nagle przy krypcie zapalono kilka smolnych pochodni, które ułożono w mały stos. Stało się jaśniej. Tłum począł po chwili śpiewać, z początku cicho, potem coraz głośniej, jakiś dziwny hymn. Winicyusz nigdy w życiu nie słyszał podobnej pieśni. Ta sama tęsknota, która już uderzyła go w śpiewach, nuconych półgłosem przez pojedyńczych ludzi w czasie drogi na cmentarz, odezwała się i teraz w tym hymnie, tylko daleko wyraźniej i silniej, a w końcu stała się tak przejmującą i ogromną, jakby wraz z ludźmi począł tęsknić cały ten cmentarz, wzgórza, wądoły i okolica. Zdawać się przy tem mogło, iż jest w tem jakieś wołanie po nocy, jakaś pokorna prośba o ratunek w zabłąkaniu i ciemności. Głowy, podniesione ku górze, zdawały się widzieć kogoś, hen, wysoko, a ręce wzywać go, by zstąpił. Gdy pieśń cichła, następowała jakby chwila oczekiwania, tak przejmującą, że i Winicyusz, i jego towarzysze mimowoli spoglądali ku gwiazdom, jakby w obawie, że stanie się coś niezwykłego i że ktoś naprawdę zstąpi. Winicyusz w Azyi Mniejszej, w Egipcie i w samym Rzymie widział mnóstwo przeróżnych świątyń, poznał mnóstwo wyznań i słyszał mnóstwo pieśni, tu jednak dopiero po raz pierwszy ujrzał ludzi, wzywających bóstwo pieśnią nie dlatego, że chcieli wypełnić jakiś ustalony rytuał, ale z pod serca, z takiej prawdziwej za niem tęsknoty, jaką mogą mieć dzieci za ojcem lub matką. Trzeba było być ślepym, by nie dostrzedz, że ci ludzie nietylko czcili swego Boga, ale go z całej duszy kochali, tego zaś Winicyusz nie widział dotąd w żadnej ziemi, w żadnych obrzędach, w żadnej świątyni, w Rzymie bowiem i w Grecyi ci, którzy jeszcze oddawali cześć bogom, czynili to dla zjednania sobie ich pomocy lub z bojaźni, ale nikomu nie przychodziło nawet do głowy, by ich kochać.

Jakkolwiek też miał myśl zajętą Ligią, a uwagę wypatrywaniem jej wśród tłumów, nie mógł jednak nie widzieć tych rzeczy dziwnych i nadzwyczajnych, które się koło niego działy. Tymczasem dorzucono kilka pochodni na ognisko, które oblało czerwonem światłem cmentarz i przyćmiło blask latarek, w tej samej zaś chwili z hypogeum wyszedł starzec,

przybrany w płaszcz z kapturem, ale z odkrytą głową, i wstąpił na kamień, leżący w pobliżu stosu.

Tłum zakołysał się na jego widok. Głosy obok Winicyusza poczęły szeptać: „Petrus! Petrus!...“ Niektórzy poklękali, inni wyciągali ku niemu ręce. Nastała cisza tak głęboka, że słychać było każdy opadający z pochodni węgielek, oddalony turkot kół na Nomentańskiej drodze i szmer wiatru w kilku piniach, rosnących obok cmentarza.

Chilon pochylił się ku Winicyuszowi i szepnął:

— To ten! pierwszy uczeń Chrestusa, rybak!

Starzec zaś wzniósł do góry dłoń i znakiem krzyża przeżegnał zgromadzonych, którzy tym razem padli na kolana. Towarzysze Winicyusza i on sam, nie chcąc się zdradzić, poszli za przykładem innych. Młody człowiek nie umiał na razie pochwytać swych wrażeń, albowiem wydało mu się, że owa postać, którą przed sobą widział, jest i dość prostaczą i nadzwyczajną, a co więcej, że ta nadzwyczajność wypływa właśnie z jej prostoty. Starzec nie miał ani mitry na głowie, ani dębowego wieńca na skroniach, ani palmy w ręku, ani złotej tablicy na piersiach, ani szat, usianych w gwiazdy lub białych, słowem żadnych takich oznak, jakie nosili kapłani wschodni, egipscy, greccy lub flaminowie rzymscy. I znów uderzyła Winicyusza taż sama różnica, którą odczuł, słuchając pieśni chrześcijańskich, albowiem i ten „rybak“ wydał mu się nie jakimś arcykapłanem, biegłym w ceremoniach, ale jakby prostym, wiekowym i niezmiernie czcigodnym świadkiem, który przychodzi z daleka, by opowiedzieć jakąś prawdę, którą widział, której dotykał, w którą uwierzył, jak wierzy się w oczywistość i ukochał właśnie dlatego, że uwierzył. Była też w jego twarzy taka siła przekonania, jaką posiada prawda sama. I Winicyusz, który będąc sceptykiem, nie chciał się poddać jego urokowi, poddał się jednakże jakiejś gorączkowej ciekawości, co też wypłynie z ust tego towarzysza tajemniczego „Chrestusa“ i jaką jest ta nauka, którą wyznają Ligia i Pomponia Grecyna.

Tymczasem Piotr zaczął mówić i mówił z początku, jak ojciec, który upomina dzieci i uczy je, jak mają żyć. Nakazywał im, by wyrzekli się zbytków i rozkoszy, miłowali zaś ubóstwo, czystość obyczajów, prawdę, by znosili cierpliwie krzywdy i prześladowania, słuchali przełożonych i władzy,

wystrzegali się zdrady, obłudy i obmówiska, a w końcu, żeby dawali przykład i jedni drugim między sobą i nawet poganom. Winicyusza, dla którego dobrem było to tylko, co mogło mu wrócić Ligię, a złem wszystko, co stawało między nimi jako przeszkoda, dotknęły i rozgniewały niektóre z tych rad, albowiem wydało mu się, że zalecając czystość i walkę z żądzami, starzec śmie tem samem nietylko potępiać jego miłość, ale zraża Ligię do niego i utwierdza ją w oporze. Zrozumiał, że jeśli ona jest między zebranymi i słucha tych słów, a bierze je do serca, to w tej chwili musi myśleć o nim, jako o wrogu tej nauki i niegodziwcu. Na tę myśl porwała go złość: „Cóżem nowego usłyszał, mówił sobie. Toż ma być owa nieznana nauka? każdy to wie, każdy to słyszał. Wszak ubóstwo i ograniczenie potrzeb zalecają i cynicy, wszak cnotę polecał i Sokrates, jako rzecz starą, a dobrą; wszak pierwszy lepszy stoik, nawet taki Seneka, który ma pięćset stołów cytrynowych, sławi umiarkowanie, zaleca prawdę, cierpliwość w przeciwnościach, stałość w nieszczęściu i to wszystko jest jakoby zleżałe zboże, które myszy jedzą, ludzie zaś już jeść nie chcą, dlatego, że ze starości zatęchło". I obok gniewu doznał jakoby uczucia zawodu, spodziewał się bowiem odkrycia jakichś nieznanych, czarodziejskich tajemnic, a przynajmniej mniemał, że usłyszy jakiegoś zadziwiającego swą wymową retora, tymczasem słyszał jeno słowa ogromnie proste, pozbawione wszelkich ozdób. Dziwiła go tylko ta cisza i to skupienie, z jakiem tłum słuchał. Lecz starzec mówił dalej do tych zasłuchanych ludzi, że mają być dobrzy, cisi, sprawiedliwi, ubodzy i czyści, nie dlatego, by za życia mieć spokój, ale by po śmierci żyć wiecznie w Chrystusie, w takiem weselu, w takiej chwale, rozkwicie i radości, jakich nikt na ziemi nigdy nie dostąpił. I tu Winicyusz, jakkolwiek uprzedzony przed chwilą niechętnie, nie mógł nie zauważyć, że jednak jest różnica między nauką starca, a tem, co mówili cynicy, stoicy lub inni filozofowie, ci bowiem dobro i cnotę zalecali jako rzecz rozumną i jedynie w życiu praktyczną, on zaś obiecywał za nią nieśmiertelność i to nie jakąś lichą nieśmiertelność pod ziemią, w nudzie, czczości, pustkowiu, ale wspaniałą, równą niemal bytowi bogów. Mówił przytem o niej, jak o rzeczy zupełnie pewnej, więc wobec takiej wiary cnota nabierała ceny po prostu bez granic, a klęski

życia stawały się czemś niesłychanie błahem, albowiem cierpieć chwilowo, dla nieprzebranego szczęścia, jest rzeczą zupełnie inną, niż cierpieć dlatego tylko, że taki jest porządek natury. Lecz starzec mówił dalej, że cnotę i prawdę należy miłować dla nich samych, albowiem najwyższem dobrem i przedwieczną cnotą jest Bóg, kto więc je miłuje, ten miłuje Boga i przez to sam staje się jego umiłowanem dzieckiem. Winicyusz nie rozumiał tego dobrze, wiedział jednak już dawniej ze słów, które Pomponia Grecyna powiedziała do Petroniusza, że ten Bóg jest wedle mniemania chrześcijan jeden i wszechmocny, gdy więc teraz usłyszał jeszcze, że jest on wszechdobrem i wszechprawdą, mimowoli pomyślał, że wobec takiego Demiurga Jowisz, Saturn, Apollo, Juno, Westa i Wenus wyglądaliby jak jakaś marna i hałaśliwa zgraja, w której broją wszyscy razem i każdy na swoją rękę. Ale największe zdumienie ogarnęło młodego człowieka, gdy starzec począł nauczać, że Bóg jest również wszechmiłością, kto więc kocha ludzi, ten spełnia najwyższe jego przykazanie. Lecz niedość jest kochać ludzi ze swego narodu, albowiem Bóg-człowiek za wszystkich krew przelał i między poganami znalazł już takich swoich wybranych, jak Korneliusz centuryon, i niedość jest kochać tych, którzy nam dobrze czynią, albowiem Chrystus przebaczył i Żydom, którzy go wydali na śmierć, i żołnierzom rzymskim, którzy go do krzyża przybili, należy więc tym, którzy krzywdy nam czynią, nietylko przebaczać, ale kochać ich i płacić im dobrem za złe; i niedość kochać dobrych, ale trzeba kochać i złych, gdyż tylko miłością można z nich złość wyplenić. Chilon przy tych słowach pomyślał sobie, że jego robota poszła na marne i że Urzus nigdy w świecie nie odważy się zabić Glauka, ani tej nocy, ani żadnej innej. Pocieszył się jednak natychmiast drugim wnioskiem, wyprowadzonym z nauki starca: mianowicie że i Glaukus nie zabije jego, choćby go odkrył i poznał. Winicyusz nie myślał już jednak, że w słowach starca niemasz niczego nowego, ale ze zdumieniem zadawał sobie pytanie: co to za Bóg? co to za nauka? i co to za lud? Wszystko, co słyszał, nie mieściło się wprost w jego głowie. Był to dla niego jakiś niesłychany nów pojęć. Czuł, że gdyby naprzykład chciał pójść za tą nauką, musiałby złożyć na stos swoje myślenie, zwyczaje, charakter, całą dotychczasową naturę i wszystko

to spalić na popiół, a wypełnić się jakiemś zgoła innem życiem i całkowicie nową duszą. Nauka, która mu nakazywała kochać Partów, Syryjczyków, Greków, Egipcyan, Gallów i Brytonów, przebaczać nieprzyjaciołom, płacić im dobrem za złe i kochać ich, wydała mu się szaloną, jednocześnie zaś miał poczucie, że jednak w samem jej szaleństwie jest coś potężniejszego, niż we wszelkich dotychczasowych filozofiach. Mniemał, że z powodu jej szaleństwa jest niewykonalną, a z powodu niewykonalności, boską. Odrzucał ją w duszy, a czuł, że rozchodzi się od niej, jakby od łąki, pełnej kwiatów, jakaś woń upajająca, którą gdy ktoś raz odetchnął, musi, jako w kraju Lotofagów, zapomnieć o wszystkiem innem i tylko do niej tęsknić. Zdawało mu się, że niema w niej nic rzeczywistego i zarazem, że rzeczywistość wobec niej jest czemś tak lichem, że nie warto zatrzymywać nad nią myśli. Otoczyły go jakieś przestwory, których się ani domyślał, jakieś ogromy, jakieś chmury. Ów cmentarz począł czynić na nim wrażenie zbiorowiska szaleńców, lecz także i miejsca tajemniczego i strasznego, na którem, jakby na jakiemś mistycznem łożu, rodzi się coś, czego nie było dotąd na świecie. Uprzytomnił sobie wszystko, co od pierwszej chwili starzec mówił o życiu, prawdzie, miłości, Bogu i myśli jego olśniewały od blasku, jak olśniewają oczy od błyskawic, nieustannie po sobie następujących. Jak zwykle ludzie, którym życie zmieniło się w jedną namiętność, myślał o tem wszystkiem przez swoją miłość do Ligii, i przy świetle owych błyskawic ujrzał jasno jedną rzecz: że jeśli Ligia jest na cmentarzu, jeśli wyznaje tę naukę, słucha i czuje, to przenigdy nie zostanie jego kochanką.

Po raz też pierwszy od czasu, jak ją u Aulusów poznał, Winicyusz poczuł, że choćby ją teraz odzyskał, to i tak jej nie odzyska. Nic podobnego nie przyszło mu dotąd do głowy, a i obecnie nie umiał sobie z tego zdać sprawy, gdyż było to nietyle wyraźne zrozumienie, ile raczej mętne poczucie jakowejś niepowetowanej straty i jakowegoś nieszczęścia. Wstał w nim niepokój, który wnet zmienił się w burzę gniewu, przeciw chrześcijanom wogóle, a przeciw starcowi w szczególności. Ów rybak, którego na pierwszy rzut oka poczytał za prostaka, przejmował go teraz niemal bojaźnią

i zdawał mu się być jakiemś tajemniczem fatum, rozstrzygającem nieubłaganie, a zarazem tragicznie jego losy.

Fossor przyłożył znów nieznacznie kilka pochodni na ogień, wiatr przestał szumieć w piniach, płomień wznosił się równo, wysmukłem ostrzem, ku skrzącym się na wypogodzonem niebie gwiazdom, starzec zaś, wspomniawszy o śmierci Chrystusa, począł już tylko o Nim mówić. Wszyscy zatrzymali oddech w piersiach i cisza zrobiła się jeszcze większa, niż poprzednio, taka, że słyszeć można było niemal bicie serc. Ten człowiek widział! i opowiadał, jako ten, któremu każda chwila wyryła się tak w pamięci, że gdy przymknie oczy, to jeszcze widzi. Mówił więc, jak wróciwszy od Krzyża, przesiedzieli z Janem dwa dni i dwie nocy w wieczorniku, nie śpiąc, nie jedząc, w znękaniu, żalu, trwodze, w zwątpieniu, głowy trzymając w rękach i rozmyślając, że On umarł. Oj, ach! jak było ciężko! jak ciężko! Już wstał dzień trzeci i świt pobielił mury, a oni obaj z Janem siedzieli tak pod ścianą bez rady i nadziei. Co ich sen zmorzył (bo i noc przed męką spędzili bezsennie), to budzili się i poczynali biadać na nowo. Aż ledwo weszło słońce, wpadła Marya z Magdali, bez tchu, z rozwiązanym włosem i z krzykiem: „Wzięli Pana!“ Oni zaś, posłyszawszy, zerwali się i poczęli biedz na miejsce. Lecz Jan, człek młodszy, przybieżał pierwszy, obaczył grób pusty i nie śmiał wejść. Dopiero, gdy było ich troje u wejścia, on który im to mówił, wszedł, ujrzał na kamieniu giezło i zawijacze, ale ciała nie znalazł.

Więc spadł na nich strach, bo myśleli, że porwali Chrystusa kapłani i obaj wrócili do domu w większem jeszcze udręczeniu. Potem nadeszli inni uczniowie, i podnosili lament, to wszyscy razem, by ich usłyszał łacniej Pan Zastępów, to kolejno. Zamarł w nich duch, bo się spodziewali, że mistrz miał odkupić Izraela, a oto był trzeci dzień, jak umarł, więc nie rozumieli, dlaczego Ojciec opuścił Syna, i woleliby nie oglądać dnia i pomrzeć, tak ciężkie było to brzemię.

Wspomnienie tych strasznych chwil jeszcze teraz wycisnęło dwie łzy z oczu starca, które widać było dobrze przy blasku ognia, ściekające po siwej brodzie. Stara, obnażona z włosów głowa, poczęła mu się trząść i głos zamarł mu w piersi. Winicyusz rzekł w duchu: „Ten człowiek mówi prawdę i płacze nad nią!“ a słuchaczów o prostych sercach

żal chwycił także za gardła. Słyszeli już nieraz o męce Chrystusa i wiadomo im było, że radość nastąpi po smutku, ale, że to opowiadał apostoł, który widział, więc pod wrażeniem załamywali ręce, łkając, lub bili się po piersiach.

Lecz zwolna uspokoili się, bo chęć dalszego słuchania przemogła. Starzec przymknął oczy, jakby chcąc widzieć lepiej w duszy rzeczy odległe i mówił dalej:

„Gdy tak czynili lament, wpadła znów Marya z Magdali, wołając, że widziała Pana. Nie mogąc go dla wielkiego blasku rozeznać, myślała, że ogrodnik, ale On rzekł: „Maryo!“ Wówczas krzyknęła: „Rabboni!“ i padła mu do nóg, On zaś kazał jej iść do uczniów, a potem znikł. Ale oni, uczniowie, nie wierzyli jej, a gdy płakała od radości, jedni przyganiali jej, inni myśleli, że żal pomieszał jej zmysły, bo mówiła także, że w grobie widziała aniołów, oni zasię, przybieżawszy raz wtóry, widzieli grób pusty. Potem wieczorem przyszedł Kleofas, który chodził z innym do Emmaus i wrócili co żywo, mówiąc: „Prawdziwie zmartwychwstał Pan“. I poczęli się spierać przy drzwiach zamkniętych dla bojaźni Żydów. Wtem On stanął między nimi, choć nie skrzypiały drzwi, a gdy struchleli, rzekł im: „Pokój z wami“.

. . . .

„I widziałem Go, jako widzieli wszyscy, a On był jako światłość i jako szczęśliwość serc naszych, bośmy uwierzyli, że zmartwychwstał i że morza wyschną, góry się w proch obrócą, a Jego chwała nie przeminie“.

. . . .

„A po ośmi dniach Tomasz Dydymus wkładał palce w Jego rany i dotykał boku Jego, a potem padł Mu do nóg i wołał: „Pan mój i Bóg mój!“ Któren mu odpowiedział: „Iżeś mnie ujrzał, uwierzyłeś. Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli“. I te słowa słyszeliśmy i oczy nasze patrzyły na Niego, albowiem był między nami“.

Winicyusz słuchał i działo się z nim coś dziwnego. Zapomniał na chwilę, gdzie jest, począł tracić czucie rzeczywistości, miarę, sąd. Stał wobec dwóch niepodobieństw. Nie mógł uwierzyć w to, co starzec mówił, a czuł, że trzebaby być chyba ślepym i zaprzeć się własnego rozumu, by przypuścić, że ów człowiek, który mówił: „Widziałem“, kłamał. Było coś w jego wzruszeniu, w jego łzach, w jego całej postaci

i w szczegółach zdarzeń, które opowiadał, co czyniło niemożliwem wszelkie posądzenie. Winicyuszowi wydawało się chwilami, że śni. Lecz naokół widział uciszony tłum; kopeć latarek dolatywał do jego nozdrzy; opodal płonęły pochodnie, a obok na kamieniu stał człowiek stary, blizki grobu, z drżącą nieco głową, który dając świadectwo, powtarzał: „Widziałem!"

I opowiedział im wszystko dalej, aż do Wniebowstąpienia. Chwilami wypoczywał, bo mówił bardzo szczegółowo, ale czuć było, że każdy najmniejszy szczegół tak wyrył się w jego pamięci, jak na kamieniu. Tych, którzy go słuchali, ogarnęło upojenie. Pozrzucali z głów kaptury, by słyszeć lepiej i by nie uronić żadnego z tych słów, które były dla nich bez ceny. Zdawało im się, że jakaś moc nadludzka przenosi ich do Galilei, że chodzą razem z uczniami po tamtejszych gajach i nad wodami, że ten cmentarz zmienia się w Tyberyadzkie jezioro, a na brzegu, w porannym tumanie, stoi Chrystus, tak, jak stał wówczas, gdy Jan, patrząc z łódki, rzekł: „Pan jest!" a Piotr rzucił się wpław, by prędzej przypaść do nóg umiłowanych. W twarzach znać było zachwyt bez granic i zapomnienie życia i szczęście i niezmierzoną miłość. Widocznem było, że w czasie długiego opowiadania Piotra niektórzy mieli widzenia, gdy zaś począł mówić, jak w chwili Wniebowstąpienia obłoki poczęły zasuwać się pod stopy Zbawiciela i przesłaniać Go i zakrywać przed oczyma apostołów, wszystkie głowy podniosły się mimowoli ku niebu i nastąpiła chwila jakby oczekiwania, jakby owi ludzie mieli nadzieję dojrzeć Go jeszcze, lub jakby się spodziewali, że zstąpi znów z pól niebieskich, by zobaczyć, jak stary apostoł pasie powierzone mu owce, i pobłogosławić jego i stado.

I dla tych ludzi nie było w tej chwili Rzymu, nie było szalonego Cezara, nie było świątyń, bogów, pogan, był tylko Chrystus, który wypełniał ziemię, morze, niebo, świat.

W odległych domach, porozrzucanych wzdłuż via Nomentana, koguty poczęły piać, oznajmując północ. W tej chwili Chilon pociągnął Winicyusza za róg płaszcza i szepnął:

— Panie, tam, niedaleko starca, widzę Urbana, a przy nim jakąś dziewicę.

Winicyusz otrząsnął się, jak ze snu i zwróciwszy się w kierunku, wskazywanym przez Greka, ujrzał Ligię.

ROZDZIAŁ XXI.

Każda kropla krwi zadrgała w młodym patrycyuszu na jej widok. Zapomniał o tłumach, o starcu, o własnem zdumieniu wobec tych niepojętych rzeczy, jakie słyszał, i widział przed sobą tylko ją jedną. Oto wreszcie po wszystkich wysiłkach, po długich dniach niepokoju, szarpania się, zmartwień, odnalazł ją! Po raz pierwszy w życiu doświadczył, że radość może się rzucić na piersi, jak dziki zwierz, i przygnieść je, aż do utraty oddechu. On, który dotąd sądził, że „Fortuna“ ma niejako obowiązek spełniać wszelkie jego życzenia, teraz zaledwie wierzył własnym oczom i własnemu szczęściu. Gdyby nie to niedowierzanie, jego zapalczywa natura mogła go była popchnąć do jakiego nierozważnego kroku, ale chciał się pierwej przekonać, czy to nie dalszy ciąg tych cudów, którymi miał przepełnioną głowę, i czy nie śni. Ale nie było wątpliwości: widział Ligię i dzieliła go od niej odległość zaledwie kilkunastu kroków. Stała w pełnem świetle, więc mógł napawać się jej widokiem, ile sam chciał. Kaptur zesunął się jej z głowy i rozrzucił włosy: usta miała nieco otwarte, oczy wzniesione ku apostołowi, twarz zasłuchaną i zachwyconą. W płaszczu z ciemnej wełny, ubrana była, jak dziewczyna z ludu, Winicyusz jednak nigdy nie widział jej piękniejszą i mimo całego zamętu, jaki w nim powstał, uderzyła go w przeciwstawieniu do tego niewolniczego niemal ubioru szlachetność tej cudnej patrycyuszowskiej głowy. Miłość przeleciała po nim, jak płomień, ogromna, pomieszana z jakiemś dziwnem uczuciem tęsknoty, uwielbienia, czci i żądzy. Czuł rozkosz, jaką sprawia mu sam jej widok, i napawał się nią, jakby ożywczą wodą po długiem pragnieniu. Stojąc przy olbrzymim Ligu, wydawała mu się mniejszą, niż była przedtem, niemal dzieckiem; spostrzegł także, iż wyszczuplała. Płeć jej była prawie przezrocza; czyniła na nim wrażenie kwiatu i duszy. Ale tembardziej tylko pragnął posiąść tę istotę, tak odmienną od kobiet, które widział lub posiadał na Wschodzie i w Rzymie. Czuł, że oddałby za nią tamte wszystkie, a z niemi Rzym i świat w dodatku.

Byłby się zapatrzył i zapamiętał zupełnie, gdyby nie Chilon, który ciągnął go za róg płaszcza, w strachu, aby nie uczynił czegoś, co mogło podać ich na niebezpieczeństwo.

Chrześcijanie tymczasem zaczęli się modlić i śpiewać. Za chwilę zagrzmiało „Maranatha", a potem wielki Apostoł począł chrzcić wodą z fontanny tych, których prezbyterowie przedstawiali, jako do przyjęcia chrztu przygotowanych. Winicyuszowi zdawało się, że ta noc nigdy się nie skończy. Chciał teraz iść jak najprędzej za Ligią i pochwycić ją w drodze lub w jej mieszkaniu.

Wreszcie niektórzy poczęli opuszczać cmentarz. Chilon wówczas szepnął:

— Wyjdźmy, panie, przed bramę, albowiem nie zdjęliśmy kapturów i ludzie patrzą na nas.

Tak było rzeczywiście. Gdy podczas słów apostoła wszyscy odrzucili kaptury, ażeby lepiej słyszeć, oni nie poszli za ogólnym przykładem. Rada Chilona wydała się też roztropną. Stojąc przy bramie, mogli uważać na wszystkich wychodzących, Urzusa zaś nietrudno było rozpoznać po wzroście i postawie.

— Pójdziemy za nimi — rzekł Chilon — zobaczymy, do jakiego domu wchodzą, jutro zaś, a raczej dziś jeszcze, otoczysz, panie, wszystkie wejścia do domu niewolnikami i zabierzesz ją.

— Nie! — rzekł Winicyusz.

— Co chcesz uczynić, panie?

— Wejdziemy za nią do domu i porwiemy ją natychmiast: wszak podjąłeś się tego, Krotonie?

— Tak jest — rzekł lanista — i oddaję ci się, panie, jako niewolnik, jeśli nie złamię krzyża temu bawołowi, który jej strzeże.

Lecz Chilon począł odradzać i zaklinać ich na wszystkich bogów, ażeby tego nie czynili. Przecie Kroto miał być wzięty tylko dla ochrony, na wypadek, gdyby ich poznano, nie dla porwania dziewicy. Biorąc ją we dwóch tylko, sami narażą się na śmierć i, co więcej, mogą ją wypuścić z rąk, a wówczas ona skryje się w innem miejscu lub opuści Rzym. I co uczynią? Dlaczego nie działać napewno, poco narażać siebie na zgubę i całe przedsięwzięcie na los niepewny?

Winicyusz, mimo, że z największym wysiłkiem wstrzymywał się, by zaraz na cmentarzu nie pochwycić Ligii w ramiona, czuł jednak, że Grek ma słuszność, i byłby może po-

dał ucho jego radom, gdyby nie Kroto, któremu chodziło o nagrodę.

— Każ, panie, milczeć temu staremu capowi — rzekł — albo pozwól mi spuścić pięść na jego głowę. Raz w Buxentum, dokąd mnie na igrzyska sprowadził Lucyusz Saturninus, napadło na mnie w gospodzie siedmiu pijanych gladyatorów i żaden nie wyszedł z całemi żebrami. Nie mówię, żeby dziewicę porywać teraz, z pośród tłumu, bo mogliby nam rzucać pod nogi kamienie, ale gdy raz będzie w domu, porwę ci ją i zaniosę, dokąd chcesz.

Winicyusz ucieszył się, słuchając tych słów, i odrzekł:

— Tak się stanie, na Herkulesa! Jutro moglibyśmy jej nie znaleźć wypadkiem w domu, gdybyśmy zaś rzucili między nich popłoch, uprowadzilibyśmy ją niechybnie.

— Ten Lig wydaje mi się strasznie silny! — jęknął Chilon.

— Nie tobie każą trzymać mu ręce — odpowiedział Kroto.

Musieli jednak czekać jeszcze długo i kury poczęły piać na przedświt, nim ujrzeli wychodzącego z bramy Urzusa, a z nim Ligię. Towarzyszyło im kilka innych osób. Chilonowi wydawało się, że rozpoznaje między nimi Wielkiego Apostoła, obok niego szedł drugi starzec, znacznie niższy wzrostem, dwie niemłode niewiasty i pacholę, które świeciło latarnią. Za tą garstką szedł tłum, liczący ze dwieście osób. Winicyusz, Chilon i Kroto pomieszali się z owym tłumem.

— Tak, panie — rzekł Chilon — twoja dziewica znajduje się pod możną opieką. To on z nią jest, Wielki Apostoł! bo patrz, jak ludzie klękają przed nim na przodzie.

Ludzie rzeczywiście klękali, ale Winicyusz nie patrzał na nich. Nie tracąc ani na chwilę z oczu Ligii, myślał tylko o jej porwaniu i, przywykłszy w wojnach do wszelkiego rodzaju podstępów, układał sobie w głowie z żołnierską ścisłością cały plan porwania. Czuł, że krok, na który się ważył, był zuchwały, ale wiedział dobrze, że zuchwałe napady zwykle kończą się powodzeniem.

Droga była jednak długa, więc chwilami myślał także o przepaściach, jakie wykopała między nim a Ligią ta dziwna nauka, którą ona wyznawała. Rozumiał teraz wszystko, co się w przeszłości stało i rozumiał, dlaczego się stało. Był na

to dość przenikliwym. Oto on dotąd Ligii nie znał. Widział w niej cudną nad wszystkie dziewczynę, do której zapaliły się jego zmysły, teraz zaś poznał, że ta nauka czyniła z niej jakąś różną od innych kobiet istotę i że nadzieja, aby ją także pociągnęły zmysły, żądza bogactwo, rozkosz, jest czczem złudzeniem. Pojął nareszcie to, czego obaj z Petroniuszem nie rozumieli, że owa nowa religia wszczepiała w duszę coś nieznanego temu światu, w którym żył, i że Ligia, gdyby go nawet kochała, nic ze swych chrześcijańskich prawd dla niego nie poświęci; że jeśli istnieje dla niej rozkosz, to całkiem odmienna od tej, za jaką ubiegał się i on, i Petroniusz, i dwór Cezara i cały Rzym. Każda inna z kobiet, które znał, mogła zostać jego kochanką, ta chrześcijanka mogła być tylko ofiarą.

I myśląc o tem, doznawał piekącego bólu i gniewu, czuł zaś zarazem, że ów gniew jest bezsilnym. Porwać Ligię wydawało mu się rzeczą możliwą i tego był prawie pewien, ale również pewien był, że wobec nauki on sam, jego męstwo, jego potęga są niczem i że z nią sobie nie poradzi. Ów rzymski trybun wojskowy, przekonany, że ta siła miecza i pięści, która zawładnęła światem, zawsze nim władać będzie, po raz pierwszy w życiu ujrzał, że poza nią może być jeszcze coś innego, więc ze zdumieniem zadawał sobie pytanie: co to jest?

I nie umiał sobie jasno odpowiedzieć, przez głowę przelatywały mu tylko obrazy cmentarza, zebranego tłumu i Ligii, zasłuchanej całą duszą w słowa starca, opowiadającego o męce, śmierci i zmartwychwstaniu Boga-człowieka, który odkupił świat i obiecał mu szczęście po drugiej stronie Styxu.

Gdy zaś o tem myślał, w głowie jego powstawał chaos.

Lecz z owego zamętu wyprowadziły go narzekania Chilona, który począł biadać na swoje losy: był przecie zgodzony do odszukania Ligii, którą też z niebezpieczeństwem życia odszukał i wskazał ją. Ale czegóż od niego chcą więcej? Czy się podejmował ją porywać i kto mógł nawet wymagać czegoś podobnego od kaleki, pozbawionego dwóch palców, od człowieka starego, oddanego rozmyślaniom, nauce i cnocie? Co się stanie, jeśli pan tak dostojny, jak Winicyusz, poniesie jakowy szwank przy porywaniu dziewicy? Zapewne,

że bogowie powinni czuwać nad wybranymi, ale czyż nie trafiają się nieraz takie rzeczy, jakby bogowie grywali w bierki, zamiast patrzeć, co się na świecie dzieje? Fortuna, jak wiadomo, ma zawiązane oczy, więc nie widzi nawet we dnie, a cóż dopiero w nocy. Niechże się coś stanie, niechże ten niedźwiedź ligijski rzuci na szlachetnego Winicyusza kamieniem od żaren, beczką wina, albo co gorzej, wody, któż zaręczy, czy na biednego Chilona zamiast nagrody, nie spadnie odpowiedzialność? On, biedny mędrzec, przywiązał się też do szlachetnego Winicyusza, jak Arystoteles do Alexandra Macedońskiego, i gdyby przynajmniej szlachetny Winicyusz oddał mu tę kieskę, którą w jego oczach zatknął za pas, wychodząc z domu, byłoby za co, w razie nieszczęścia, wezwać natychmiast pomocy lub przejednać samych chrześcijan. O! dlaczego nie chcą słuchać rad starca, które dyktuje roztropność i doświadczenie?

Winicyusz, usłyszawszy to, wydobył kieskę z pasa i rzucił ją między palce Chilonowi.

— Masz i milcz.

Grek poczuł, że była niezwykle ciężka, i nabrał odwagi.

— Cała moja nadzieja w tem — rzekł — że Herkules lub Tezeusz trudniejszych jeszcze dokonywali czynów, czemże zaś jest mój osobisty, najbliższy przyjaciel, Kroto, jeśli nie Herkulesem? Ciebie zaś, dostojny panie, nie nazwę półbogiem, albowiem jesteś całym bogiem i nadal nie zapomnisz o słudze biednym, a wiernym, którego potrzeby trzeba od czasu do czasu opatrywać, albowiem sam on, gdy raz zagłębi się w księgi, nie dba o nic zupełnie... Jakieś kilka staj ogrodu i domek, choćby z najmniejszym portykiem dla chłodu w lecie, byłoby czemś godnem takiego dawcy. Tymczasem będę podziwiał zdala wasze bohaterskie czyny, wzywał Jowisza, aby wam sprzyjał, w razie czego zaś narobię takiego hałasu, że pół Rzymu rozbudzi się i przyjdzie wam w pomoc. Co za zła i nierówna droga! Oliwa wypaliła się mi w latarce i gdyby Kroto, który równie jest szlachetny, jak silny, chciał mnie wziąć na ręce i donieść aż do bramy, naprzód poznałby, czy łatwo uniesie dziewicę, powtóre, postąpiłby, jak Eneasz, a w końcu zjednałby sobie wszystkich uczciwszych bogów w takim stopniu, że o wynik przedsięwzięcia byłbym zupełnie spokojny.

— Wolałbym nieść padlinę owcy, zdechłej na krosty przed miesiącem — odparł lanista — ale jeśli oddasz mi tę kiesę, którą ci rzucił dostojny trybun, to poniosę cię aż do bramy.

— Obyś wybił wielki palec u nogi! — odpowiedział Grek — także to skorzystał z nauk tego czcigodnego starca, który przedstawiał ubóstwo i litość, jako dwie najprzedniejsze cnoty?... Czyż ci nie nakazał wyraźnie miłować mnie? Widzę, że nigdy nie zrobię z ciebie nawet ladajakiego chrześcijanina, i że łatwiej słońcu przeniknąć przez mury mamertyńskiego więzienia, niż prawdzie przez twoją czaszkę hipopotama.

Kroto zaś, który posiadał zwierzęcą siłę, ale natomiast nie posiadał żadnych ludzkich uczuć, rzekł:

— Nie bój się! chrześcijaninem nie zostanę! nie chcę tracić kawałka chleba!

— Tak, ale gdybyś miał choć początkowe wiadomości z filozofii, wiedziałbyś, że złoto jest marnością!

— Pójdź do mnie z filozofią, a ja dam ci tylko jedno uderzenie głową w brzuch i zobaczymy, kto wygra.

— To samo mógł powiedzieć wół do Arystotelesa — odparł Chilon.

Na świecie szarzało. Blask powłóczył bladą barwą zręby murów. Przydrożne drzewa, budynki i rozrzucone tu i owdzie pomniki grobowe poczęły się wychylać z cienia. Droga nie była już zupełnie pusta. Przekupnie jarzyn zdążali na otwarcie bram, prowadząc osły i muły, obładowane warzywem; gdzieniegdzie skrzypiały wozy, na których wieziono zwierzynę. Na drodze i po obu stronach leżała przy samej ziemi lekka mgła, zwiastująca pogodę. Ludzie, widziani z nieco większej odległości, wyglądali w tej mgle, jak duchy. Winicyusz wpatrywał się w wysmukłą postać Ligii, która, w miarę jak brzask się powiększał, czyniła się coraz bardziej srebrzystą.

— Panie — rzekł Chilon — ubliżyłbym ci, gdybym przewidywał, że twoja hojność skończy się kiedykolwiek, lecz teraz, gdyś mi zapłacił, nie możesz mnie posądzać, abym przemawiał tylko dla mej korzyści. Otóż radzę ci raz jeszcze, abyś, dowiedziawszy się, w którym domu mieszka boska Ligia, wrócił do siebie po niewolników i lektykę i nie słuchał tej słoniowej trąby, Krotona, który dlatego tylko podejmuje

się sam porwać dziewicę, aby wycisnąć twoją kapsę, jak worek twarogu.

— Masz u mnie uderzenie pięścią między łopatki, to znaczy, że zginiesz — ozwał się Kroto.

— Masz u mnie dyotę kefalońskiego wina, to znaczy że zdrów będę — odrzekł Grek.

Winicyusz nie odpowiedział nic, albowiem zbliżyli się do bramy, przy której dziwny widok uderzył ich oczy. Oto dwóch żołnierzy klękło, gdy przechodził Apostoł, on zaś trzymał przez chwilę ręce na ich żelaznych szyszakach, a potem uczynił nad nimi znak krzyża. Młodemu patrycyuszowi nigdy nie przyszło dotąd na myśl, że już i między żołnierzami mogą być chrześcijanie i ze zdumieniem pomyślał, że jak w palącem się mieście pożar ogarnia coraz nowe domy, tak ta nauka z każdym dniem obejmuje widocznie coraz nowe dusze i szerzy się nad wszelkie ludzkie pojęcie. Uderzyło go też to i ze względu na Ligię, przekonał się bowiem, że gdyby była chciała uciec z miasta, znaleźliby się strażnicy, którzy sami ułatwiliby jej potajemnie wyjście. Błogosławił też w tej chwili wszystkim bogom, że się tak nie stało.

Przebywszy niezabudowane miejsca, znajdujące się za murem gromadki chrześcijan poczęły się rozpraszać. Trzeba było teraz iść za Ligią dalej i ostrożniej, by nie zwrócić na się uwagi. Chilon począł też narzekać na rany i strzykanie w nogach i pozostawał coraz bardziej w tyle, czemu Winicyusz nie sprzeciwiał się, sądząc, że obecnie tchórzliwy, a niedołężny Grek nie będzie mu już potrzebny. Byłby mu nawet pozwolił ruszyć, gdzieby chciał, jednakże zacnego mędrca wstrzymywała przezorność, ale parła widocznie ciekawość, szedł bowiem ciągle za nimi, a nawet chwilami przybliżał się, powtarzając swoje poprzednie rady oraz czyniąc przypuszczenia, że starzec, towarzyszący Apostołowi, gdyby nie wzrost nieco za nizki, mógłby być Glaukiem.

Szli jednak jeszcze długo aż na Zatybrze i słońce było już blizkie wschodu, gdy gromadka, w której była Ligia, rozdzieliła się. Apostoł, stara kobieta i pacholę udali się wzdłuż i w górę rzeki, starzec zaś niższego wzrostu, Urzus i Ligia wsunęli się w wązki vicus i, uszedłszy jeszcze ze sto kroków, weszli do sieni domu, w którym były dwa sklepy, jeden oliwny, drugi ptasznika.

Chilon, który szedł o jakie pięćdziesiąt kroków za Winicyuszem i Krotonem, stanął zaraz, jak wryty i, przycisnąwszy się do muru, począł na nich psykać, aby do niego wrócili.

Oni zaś uczynili to, bo należało się naradzić.

— Idź — rzekł mu Winicyusz — i obacz, czy ten dom nie wychodzi drugą stroną na inną ulicę.

Chilon, mimo, iż poprzednio narzekał na rany w nogach, skoczył tak żywo, jakby przy kostkach miał skrzydełka Merkurego i za chwilę powrócił.

— Nie — rzekł — wyjście jest jedno.

Poczem złożył ręce:

— Na Jowisza, Apollina, Westę, Kibelę, Izys i Ozyrysa, na Mitrę, Baala i wszystkie bogi ze Wschodu i Zachodu, zaklinam cię, panie, zaniechaj tego zamiaru... Posłuchaj mnie...

Lecz nagle urwał, gdyż spostrzegł, że twarz Winicyusza pobladła ze wzruszenia, oczy zaś jego skrzyły się, jak źrenice wilka. Dość było na niego spojrzeć, by zrozumieć, iż nic w świecie nie powstrzyma go od przedsięwzięcia. Kroto począł nabierać oddechu w swą herkulesową pierś i kiwać swą nierozwiniętą czaszką w obie strony, jak czynią niedźwiedzie zamknięte w klatce. Zresztą nie znać było na jego twarzy najmniejszego niepokoju.

— Ja wejdę pierwszy! — rzekł.

— Pójdziesz za mną! — rzekł rozkazującym głosem Winicyusz.

I po chwili zniknęli obaj w ciemnej sieni.

Chilon skoczył do rogu najbliższej uliczki i jął wyzierać z za węgła, czekając, co się stanie.

ROZDZIAŁ XXII.

Winicyusz dopiero w sieni zrozumiał całą trudność przedsięwzięcia. Dom był duży, kilkopiętrowy, jeden z takich, jakich tysiące budowano w Rzymie w widokach zysku z najmu mieszkań, zwykle zaś budowano tak pośpiesznie i licho, że nie było niemal roku, aby kilka z nich nie zapadło się na głowy mieszkańców. Były to prawdziwe ule, zbyt wysokie

i zbyt wązkie, pełne komórek i zakamarków, w których gnieździła się ludność uboga, a zarazem nader liczna. W mieście, w którem wiele ulic nie miało nazw, domy owe nie miały numerów; właściciele powierzali pobór komornego niewolnikom, ci jednak, nie obowiązani przez władzę miejską do podawania imion mieszkańców, częstokroć nie znali ich sami. Dopytać się o kogoś w takim domu, bywało nieraz niezmiernie trudno, zwłaszcza, gdy przy bramie nie było odźwiernego.

Winicyusz z Krotonem przez długą, podobną do kurytarza sień dostali się na wązkie, zabudowane z czterech stron podwórko, stanowiące rodzaj wspólnego dla całego domu atrium, z fontanną w środku, której strumień spadał w kamienną misę, wmurowaną w ziemię. Przy wszystkich ścianach biegły w górę zewnętrzne schody, częścią kamienne, częścią drewniane, prowadzące do galeryi, z których wchodziło się do mieszkań. Na dole były również mieszkania, niektóre zaopatrzone w drewniane drzwi, inne oddzielone od podwórza tylko za pomocą wełnianych, po większej części wystrzępionych i podartych lub połatanych zasłon.

Godzina była wczesna i na podwórku żywej duszy. Widocznie w całym domu spali jeszcze wszyscy, z wyjątkiem tych, którzy wrócili z Ostryanum.

— Co uczynimy, panie? — spytał Kroton, zatrzymując się.

— Czekajmy tu; może się ktoś zjawi — odrzekł Winicyusz. — Nie trzeba, by nas widziano na podwórzu.

Lecz zarazem myślał, że rada Chilona była praktyczną. Gdyby się miało kilkudziesięciu niewolników, możnaby obsadzić bramę, która zdawała się być jedynem wyjściem i przetrząsnąć wszystkie mieszkania, tak zaś należało odrazu trafić do mieszkania Ligii, inaczej bowiem chrześcijanie, których zapewne w tym domu nie brakło, mogli ją ostrzedz, że jej szukają. Z tego względu było niebezpiecznem i rozpytywanie się obcych osób. Winicyusz przez chwilę namyślał się, czy nie wrócić się po niewolników, gdy wtem z pod jednej z zasłon, zamykających dalsze mieszkania, wyszedł człowiek z sitem w ręku i zbliżył się do fontanny.

Młody człowiek na pierwszy rzut oka poznał Urzusa.

— To Lig! szepnął Winicyusz.

— Czy mam zaraz połamać mu kości?

— Czekaj.

Urzus nie dostrzegł ich, albowiem stali w mroku sieni, i począł spokojnie opłukiwać w wodzie jarzyny, napełniające sito. Widocznem było, że po całej nocy, spędzonej na cmentarzu, zamierzał przygotować z nich śniadanie. Po chwili, ukończywszy swą czynność, wziął mokre sito i zniknął z niem razem za zasłoną. Kroton i Winicyusz ruszyli za nim, sądząc, że wpadną wprost do mieszkania Ligii.

Więc zdziwienie ich było niepomierne, gdy spostrzegli, że zasłona oddzielała od podwórza nie mieszkanie, ale drugi ciemny kurytarz, na końcu którego widać było ogródek, złożony z kilku cyprysów, kilku mirtowych krzaków i mały domek, przylepiony do ślepej tylnej ściany innej kamienicy.

Obaj zrozumieli natychmiast, że jest to dla nich okoliczność pomyślna. Na podwórzu mogło powstać zbiegowisko wszystkich mieszkańców, ustronność zaś domku ułatwiała przedsięwzięcie. Prędko uwiną się z obrońcami, a raczej z Urzusem, poczem z porwaną Ligią równie prędko dostaną się na ulicę, a tam już dadzą sobie rady. Prawdopodobnie nikt ich nie zaczepi, gdyby ich zaczepiono, powiedzą, że chodzi o zbiegłą zakładniczkę Cezara, w ostatnim zaś razie Winicyusz da się poznać wigilom i wezwie ich pomocy.

Urzus wchodził już prawie do domku, gdy szelest kroków zwrócił jego uwagę, więc przystanął, a ujrzawszy dwóch ludzi, złożył sito na balustradzie i zawrócił ku nim.

— A czego tu szukacie? — spytał.

— Ciebie! — odparł Winicyusz.

Poczem zwróciwszy się do Krotona, zawołał prędkim, cichym głosem:

— Zabij!

Kroton rzucił się jak tygrys i w jednej chwili, zanim Lig zdołał się opamiętać lub rozpoznać nieprzyjaciół, chwycił go w swoje stalowe ramiona.

Lecz Winicyusz zbyt był pewien jego nadludzkiej siły, by czekać na koniec walki, więc, pominąwszy ich, skoczył ku drzwiom domku, pchnął je i znalazł się w ciemnej nieco izbie, rozświeconej jednak przez ogień palący się na kominie. Blask tego płomienia padał wprost na twarz Ligii. Drugą

osobą, siedzącą przy ognisku, był ów starzec, który towarzyszył dziewczynie i Urzusowi w drodze z Ostryanum.

Winicyusz wpadł tak nagle, że zanim Ligia mogła go rozpoznać, chwycił ją wpół i, uniósłszy w górę, rzucił się znów ku drzwiom. Starzec zdołał mu je wprawdzie zastąpić, lecz on, przycisnąwszy dziewczynę jednem ramieniem do piersi, odtrącił go drugą wolną ręką. Kaptur spadł mu z głowy i wówczas na widok tej znanej sobie, a straszliwej w tej chwili twarzy, krew ścięła się w Ligii z przerażenia, a głos zamarł jej w gardle. Chciała wołać o pomoc i nie mogła. Również napróżno chciała uchwycić za ramę drzwi, by dać opór. Palce jej zesunęły się po kamieniu i byłaby straciła przytomność, gdyby nie okropny obraz, który uderzył jej oczy, gdy Winicyusz wypadł z nią do ogrodu.

Oto Urzus trzymał w ramionach jakiegoś człowieka, całkiem przegiętego w tył, z przechyloną głową i z ustami we krwi. Ujrzawszy ich, raz jeszcze uderzył pięścią w tę głowę i w jednem mgnieniu oka skoczył, jak rozjuszony zwierz ku Winicyuszowi.

— Śmierć! — pomyślał młody patrycyusz.

A potem usłyszał, jakby przez sen, okrzyk Ligii: „nie zabijaj!“ następnie uczuł, że coś, jakby piorun, rozwiązało jego ręce, któremi ją obejmował, wreszcie ziemia zakręciła się z nim i światło dnia zgasło w jego oczach.

. . . .

Chilon jednakże, ukryty za węgłem narożnika, czekał, co się stanie, albowiem ciekawość walczyła w nim ze strachem. Myślał również, że jeśli im się uda porwać Ligię, to dobrze będzie być przy Winicyuszu. Urbana nie obawiał się już, był bowiem także pewny, że Kroton go zabije. Natomiast liczył, że w razie, gdyby na pustych dotąd ulicach zaczęło się tworzyć zbiegowisko, gdyby chrześcijanie lub jacykolwiek ludzie chcieli stawić opór Winicyuszowi, tedy on przemówi do nich jako przedstawiciel władzy, jako wykonawca woli Cezara, a w ostatnim razie wezwie wigilów na pomoc młodemu patrycyuszowi przeciw ulicznej hołocie i tem zaskarbi sobie nowe łaski. W duszy sądził zawsze, że postępek Winicyusza jest nieroztropny, bacząc jednak na straszliwą siłę Krotona, przypuszczał, że może się udać. „Gdyby było z nimi źle, sam trybun będzie niósł dziewczynę, a Kroton

utoruje mu drogę". Czas jednakże dłużył mu się; niepokoiła go cisza sieni, na którą z daleka spoglądał:

— Jeśli nie trafią do jej kryjówki, a naczynią hałasu, to ją spłoszą.

I myśl o tem nie była mu zresztą przykrą, rozumiał bowiem, że w takim razie będzie znów potrzebny Winicyuszowi i znów potrafi z niego wycisnąć pokaźną ilość sestercyi.

— Cokolwiek uczynią — mówił sobie — dla mnie uczynią, choć żaden się tego nie domyśla... Bogowie, bogowie, pozwólcie mi tylko...

I nagle urwał, zdawało mu się bowiem, że coś wychyliło się z sieni, więc, przycisnąwszy się do muru, począł patrzeć, tamując dech w piersiach.

I nie mylił się, z sieni bowiem wysunęła się do wpół jakaś głowa i poczęła się rozglądać dookoła.

Po chwili jednak znikła.

— To Winicyusz albo Kroton — pomyślał Chilon — ale jeśli porwali dziewkę, dlaczego ona nie krzyczy i po co wyglądają na ulicę? Ludzi i tak muszą napotkać, bo, nim dojdą do Karynów, ruch się zrobi na mieście. Co to!? na wszystkich bogów nieśmiertelnych!...

I nagle resztki włosów zjeżyły mu się na głowie.

We drzwiach pokazał się Urzus z przewieszonem przez ramię ciałem Krotona i, rozejrzawszy się raz jeszcze, począł z niem biedz pustą ulicą ku rzece.

Chilon uczynił się przy murze tak płaski, jak kawał tynku.

— Zginąłem, jeśli mnie dojrzy! — pomyślał.

Lecz Urzus przebiegł szybko koło narożnika i zniknął za następnym domem. Chilon zaś, nie czekając dłużej, począł biedz w głąb poprzecznej uliczki, dzwoniąc zębami z przerażenia i z chyżością, którąby nawet w młodzieńcu mogła dziwić.

— Jeśli, wracając, dojrzy mnie z daleka, to dogna i zabije — mówił sobie. — Ratuj mnie, Zeusie, ratuj Apollinie, ratuj Hermesie, ratuj Boże chrześcijan! Opuszczę Rzym, wrócę do Mezembryi, ale ocalcie mnie z rąk tego demona.

I ten Lig, który zabił Krotona, wydawał mu się w tej chwili rzeczywiście jakąś nadludzką istotą. Biegnąc, myślał,

że to może być jaki bóg, który wziął na siebie postać barbarzyńcy. W tej chwili wierzył we wszystkich bogów świata i we wszystkie mity, z których drwił zwykłego czasu. Przelatywało mu także przez głowę, że Krotona mógł zabić Bóg chrześcijan i włosy zjeżały mu się znów na głowie na myśl, że zadarł z taką potęgą.

Dopiero przebiegłszy kilka zaułków i spostrzegłszy jakichś robotników idących z dala naprzeciw, uspokoił się nieco. W piersiach brakło mu już tchu, siadł więc na progu domu i począł rogiem płaszcza obcierać pokryte potem czoło.

— Stary jestem i potrzebuję spokoju — rzekł.

Ludzie, idący naprzeciw, skręcili na jakąś boczną uliczkę i znów ogarnęła go pustka. Miasto spało jeszcze. Rankami ruch czynił się wcześniej w zamożniejszych dzielnicach, gdzie niewolnicy bogatych domów zmuszeni byli wstawać do dnia, w tych zaś, które zamieszkiwała ludność wolna, żywiona kosztem państwa, zatem próżniacza, budzono się, zwłaszcza w zimie, dość późno. Chilon, przesiedziawszy czas jakiś na progu, uczuł dojmujący chłód, więc powstał i, przekonawszy się, że nie zgubił kieski, którą dostał od Winicyusza, wolniejszym już krokiem skierował się ku rzece.

— Może obaczę gdzie ciało Krotona — mówił sobie. — Bogowie! Ten Lig, jeśli jest człowiekiem, mógłby w ciągu jednego roku zarobić miliony sestercyi, albowiem, jeśli Krotona udusił jak szczenię, to któż mu się oprze? Za każde wystąpienie na arenie, danoby mu złota tyle, ile sam waży. Lepiej on strzeże tej dziewki, niż Cerber piekła. Ale niech go też to piekło pochłonie! Nie chcę mieć z nim do czynienia. Zanadto jest kościsty. Co tu jednak począć? Stała się rzecz straszna. Jeśli on takiemu Krotonowi połamał kości, to pewno i dusza Winicyusza kwili tam nad tym przeklętym domem, czekając pogrzebu. Na Kastora! to przecie patrycyusz, przyjaciel Cezara, krewny Petroniusza, pan znany w całym Rzymie i trybun wojskowy. Śmierć jego nie ujdzie im na sucho... Gdybym też naprzykład udał się do obozu pretoryanów, albo do wigilów?...

Tu zamilkł i począł się namyślać, lecz po chwili rzekł:

— Biada mi! Któż wprowadził go do tego domu, jeśli nie ja?... Jego wyzwoleńcy i niewolnicy wiedzą, żem do niego przychodził, a niektórzy wiedzą, w jakim celu. Co będzie,

gdy posądzą mnie, żem umyślnie wskazał mu dom, w którym spotkała go śmierć? Choćby pokazało się potem w sądzie, żem jej nie chciał, i tak powiedzą, żem ja jej przyczyną... A to przecie patrycyusz, więc w żadnym razie nie ujdzie mi bezkarnie. Ale gdybym milczkiem opuścił Rzym i przeniósł się gdzieś daleko, to podałbym się w tem większe podejrzenie.

I tak i tak było źle. Chodziło tylko o to, by wybrać złe mniejsze. Rzym był ogromnem miastem, a jednak Chilon uczuł, że może mu w niem być za ciasno. Bo każdy inny mógłby pójść wprost do prefekta wigilów, opowiedzieć, co się stało i, choćby padło na niego jakoweś podejrzenie, czekać spokojnie na śledztwo. Ale cała przeszłość Chilona była tego rodzaju, że wszelka bliższa znajomość, bądź z prefektem miasta, bądź z prefektem wigilów, musiałaby nań sprowadzić nader poważne kłopoty, a zarazem uzasadnić wszelkie podejrzenia, jakieby przyjść mogły do głowy urzędnikom.

Z drugiej strony, uciec, było to, utwierdzić Petroniusza w mniemaniu, że Winicyusz został zdradzony i zamordowany skutkiem zmowy. Owóż Petroniusz był człowiek potężny, który mógł mieć na rozkazy policyę w całem państwie, i który niechybnie postarałby się odnaleźć winowajców choćby na krańcach świata. Jednakże Chilonowi przyszło do głowy, czyby nie udać się wprost do niego i nie opowiedzieć mu, co się zdarzyło. Tak! Był to najlepszy sposób. Petroniusz był człowiekiem spokojnym i Chilon mógł być pewnym przynajmniej tego, że go wysłucha do końca. Petroniusz, który znał sprawę od początku, łatwiej też uwierzyłby w niewinność Chilona, niż prefekci.

Żeby jednak udać się do niego, trzeba było wiedzieć napewno, co cię stało z Winicyuszem, Chilon zaś tego nie wiedział. Widział wprawdzie Liga, skradającego się do rzeki z ciałem Krotona, ale nic więcej. Winicyusz mógł być zabitym, ale mógł też być rannym lub schwytanym. Teraz dopiero przyszło Chilonowi do głowy, że chrześcijanie zapewne nie ośmieliliby się zabić człowieka tak potężnego, augustyanina i wysokiego urzędnika wojskowego, albowiem tego rodzaju postępek mógł ściągnąć na nich ogólne prześladowanie. Prawdopodobniejszem było, że zatrzymali go przemocą, aby dać czas Ligii do ponownego ukrycia się w innem miejscu.

Myśl ta napełniła Chilona otuchą.

— Jeśli ten ligijski smok nie rozdarł go w pierwszym zapędzie, tedy jest żywy, a jeśli jest żywy, tedy sam da świadectwo, żem go nie zdradził, a wówczas nietylko nic mi nie grozi, ale (o Hermesie, licz znów na dwie jałówki!) otwiera się przede mną nowe pole... Mogę dać znać jednemu z wyzwoleńców, gdzie ma szukać pana, a czy on uda się do prefekta, czy nie, to jego rzecz, bylebym ja się do niego nie udawał... Mogę także pójść do Petroniusza i liczyć na nagrodę... Szukałem Ligii, teraz będę szukał Winicyusza, a potem znów Ligii... Trzeba jednak naprzód wiedzieć, czy żyw, czy zabit.

Tu przeszło mu przez głowę, że mógłby nocą udać się do piekarza Demasa i spytać o to Urzusa. Ale myśl tę porzucił natychmiast. Wolał nie mieć nic do czynienia z Urzusem. Mógł słusznie przypuszczać, że jeśli Urzus nie zabił Glauka, to widocznie został przestrzeżony przez któregoś ze starszych chrześcijańskich, któremu wyznał swój zamiar, że to sprawa nieczysta, i że chciał go do niej namówić jakiś zdrajca. Zresztą na samo wspomnienie Urzusa, Chilona przebiegał dreszcz po całem ciele. Natomiast pomyślał, że wieczorem wyśle Eurycyusza po wieści do tego domu, w którym wypadek się zdarzył. Tymczasem potrzebował pożywić się, wykąpać i wypocząć. Niespana noc, droga do Ostryanum i ucieczka z Zatybrza, strudziły go istotnie nad wszelką miarę.

Jedna rzecz pocieszała go stale: oto, że miał przy sobie dwie kieski: tę, którą Winicyusz dał mu w domu i tę, którą mu rzucił w powrotnej drodze z cmentarza. Ze względu też na tę szczęśliwą okoliczność, jak również ze względu na wszelkie wzruszenia, przez jakie przeszedł, postanowił zjeść obficiej i napić się lepszego wina, niż zwykle.

I, gdy wreszcie nadeszła godzina otwarcia winiarni, uczynił to w mierze tak znacznej, iż zapomniał o kąpieli. Chciało mu się przedewszystkiem spać i senność odjęła mu siły do tego stopnia, że wrócił zupełnie chwiejnym krokiem do swego mieszkania na Suburze, gdzie czekała go zakupiona za Winicyuszowe pieniądze, niewolnica.

Tam, wszedłszy do ciemnego, jak lisia jama, kubikulum, rzucił się na posłanie i zasnął w jednej chwili.

Zbudził się dopiero wieczorem, a raczej zbudziła go niewolnica, wzywając go, by wstawał, albowiem ktoś szuka go i chce się z nim widzieć w pilnej sprawie.

Czujny Chilon oprzytomniał w jednej chwili, zarzucił naprędce płaszcz z kapturem i, kazawszy się niewolnicy usunąć na bok, wyjrzał naprzód ostrożnie na zewnątrz.

I zmartwiał! albowiem przez drzwi kubikulum ujrzał olbrzymią postać Urzusa.

Na ów widok uczuł, że nogi i głowa jego stają się zimne jak lód, serce przestaje bić w piersiach, po krzyżu chodzą roje mrówek... Czas jakiś nie mógł przemówić, następnie jednak, szczękając zębami, rzekł, a raczej wyjęczał:

— Syro! niema mnie... nie znam... tego... dobrego człowieka...

— Powiedziałam mu, że jesteś i że śpisz, panie — odrzekła dziewczyna — on zaś żądał, by cię rozbudzić...

— O bogi!... każę cię...

Lecz Urzus, jakby zniecierpliwiony zwłoką, zbliżył się do drzwi kubikulum i, schyliwszy się, wsadził do wnętrza głowę.

— Chilonie Chilonidesie! — rzekł.

— *Pax tecum! pax, pax!* — odpowiedział Chilon. — O, najlepszy z chrześcijan! Tak, jestem Chilonem, ale to omyłka... Nie znam cię!

— Chilonie Chilonidesie — powtórzył Urzus — pan twój, Winicyusz, wzywa cię, abyś się do niego udał wraz ze mną.

ROZDZIAŁ XXIII.

Winicyusza obudził dotkliwy ból. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, gdzie jest i co się z nim dzieje. W głowie czuł szum i oczy jego były zakryte jakby mgłą. Stopniowo jednak wracała mu przytomność i wreszcie przez ową mgłę dojrzał trzech schylonych nad sobą ludzi. Dwóch rozpoznał: jeden był Urzus, drugi — ten starzec, którego obalił, unosząc Ligię. Trzeci, zupełnie obcy, trzymał jego lewą rękę i, dotykając jej wzdłuż łokcia aż do ramienia i obojczyka, zadawał mu właśnie ból tak straszny, iż Winicyusz, sądząc,

że to jest jakiś rodzaj dokonywanej nad nim zemsty, rzekł przez zaciśnięte zęby:

— Zabijcie mnie.

Lecz oni nie zdawali się uważać na jego słowa, jakby nie słyszeli ich lub jakby je poczytali za zwykły jęk cierpienia. Urzus, ze swoją zatroskaną a zarazem groźną twarzą barbarzyńcy, trzymał pęki białych szmat, podartych na długie pasy, starzec zaś mówił do człowieka, który naciskał ramię Winicyusza:

— Glauku, jestżeś pewny, że ta rana w głowie nie jest śmiertelna?

— Tak jest, cny Kryspie, — odpowiedział Glaukus — służąc, jako niewolnik, na flocie, a potem mieszkając w Neapolis, opatrywałem wiele ran i z zysków, jakie mi przynosiło to zajęcie, wykupiłem wreszcie siebie i swoich... Rana w głowie jest lekka. Gdy ten człowiek (tu wskazał głową na Urzusa) odebrał młodzieńcowi dziewczynę i pchnął go na mur, ów widocznie, padając, zasłonił się ręką, którą wybił i złamał, ale przez to ocalił głowę — i życie.

— Niejednego już z braci miałeś w swej opiece — odpowiedział Kryspus — i słyniesz jako biegły lekarz... Dlatego to posłałem po ciebie Urzusa.

— Który po drodze wyznał mi, iż jeszcze wczoraj gotów był mnie zabić.

— Ale pierwej, niż tobie, wyznał swój zamiar mnie — ja zaś, który znam ciebie i twoją miłość dla Chrystusa, wytłómaczyłem mu, że nie ty jesteś zdrajcą, ale ów nieznajomy, który go do zabójstwa chciał namówić.

— To był zły duch, ale ja wziąłem go za anioła — odrzekł z westchnieniem Urzus.

— Kiedyindziej opowiesz mi to, — rzekł Glaukus — ale teraz musimy myśleć o rannym.

I to rzekłszy, począł nastawiać ramię Winicyusza, który, mimo iż Kryspus skrapiał mu twarz wodą, mdlał ciągle z bólu. Była to zresztą szczęśliwa dla niego okoliczność, nie czuł bowiem nastawiania nogi, ani opasywania złamanego ramienia, które Glaukus ujął w dwie wklęsłe deseczki, a następnie obwiązał szybko i silnie, aby je unieruchomić.

Lecz po dokonanej operacyi rozbudził się znowu — i ujrzał nad sobą Ligię.

Stała tuż przy jego łóżku, trzymając przed sobą miedziane wiaderko z wodą, w której Glaukus zanurzał od czasu do czasu gąbkę i zwilżał nią jego głowę.

Winicyusz patrzył i oczom nie wierzył. Zdawało mu się, że to sen albo gorączka stawia przed nim drogie widmo — i po długiej dopiero chwili zdołał wyszeptać:

— Ligio...

Na jego głos wiaderko zadrżało w jej ręku, lecz zwróciła na niego oczy, pełne smutku.

— Pokój z tobą! — odrzekła z cicha.

I stała z wyciągniętemi przed się rękoma, z twarzą pełną litości i żalu.

On zaś patrzył na nią, jakby chcąc napełnić nią źrenice tak, aby po zamknięciu powiek obraz jej został mu pod niemi. Patrzył na jej twarz, bledszą i szczuplejszą niż dawniej, na skręty ciemnych włosów, na ubogi ubiór robotniczy; patrzył tak uporczywie, że aż pod wpływem jego wzroku jej śnieżne czoło poczęło różowieć — i naprzód pomyślał, że ją kocha zawsze, a powtóre, że ta jej bladość i to jej ubóstwo są jego dziełem, że on to wypędził ją z domu, gdzie ją kochano i gdzie ją otaczał dostatek i wygody, a wtrącił do tej mizernej izby i odział w ten nędzny płaszcz z ciemnej wełny.

Ponieważ zaś pragnąłby ją odziać w najdroższe złotogłowy i we wszystkie klejnoty świata, więc zdjęło go zdumienie, trwoga, litość — i żal tak wielki, że byłby jej do nóg padł, gdyby mógł się poruszyć.

— Ligio — rzekł — nie pozwoliłaś mnie zabić.

A ona odpowiedziała ze słodyczą:

— Niech Bóg wróci ci zdrowie.

Dla Winicyusza, który miał poczucie i tych krzywd, które jej dawniej wyrządził, i tej, którą chciał wyrządzić świeżo, był w słowach Ligii prawdziwy balsam. Zapomniał w tej chwili, że przez jej usta może mówić chrześcijańska nauka, a czuł tylko, że mówi umiłowana kobieta i że w odpowiedzi jej jest jakaś osobista tkliwość i wprost nadludzka dobroć, która wstrząsa nim do głębi duszy. Jak poprzednio z bólu, tak teraz osłabł ze wzruszenia. Ogarnęła go jakaś niemoc, zarazem ogromna i słodka. Doznał takiego wrażenia, jakby się zapadał gdzieś w otchłań, ale czuł przytem, że mu

jest dobrze — i że jest szczęśliwy. Myślał też w tej chwili osłabienia, że stoi nad nim bóstwo.

Tymczasem Glaukus skończył obmywać ranę w jego głowie i przyłożył do niej maść gojącą. Urzus zabrał miednik z rąk Ligii, ona zaś, wziąwszy przygotowaną na stole czarę z wodą, pomieszaną z winem, przyłożyła ją do ust rannego. Winicyusz wypił chciwie, poczem doznał ogromnej ulgi. Po dokonanym opatrunku ból prawie minął. Rany i stłuczenia poczęły tężeć. Wróciła mu zupełna przytomność.

— Daj mi pić jeszcze — rzekł.

Ligia odeszła z próżną czarą do drugiej izby, natomiast Kryspus, po krótkich słowach, zamienionych z Glaukiem, zbliżył się do łóżka i rzekł:

— Winicyuszu, Bóg nie pozwolił ci popełnić złego uczynku, ale zachował cię przy życiu, byś opamiętał się w duszy. Ten, wobec którego człowiek jest tylko prochem — podał cię bezbronnego w ręce nasze, lecz Chrystus, w którego wierzymy, kazał nam miłować nawet nieprzyjaciół. Więc opatrzyliśmy twoje rany i, jako rzekła Ligia, będziemy modlić się, aby Bóg wrócił ci zdrowie, ale dłużej nad tobą czuwać nie możemy. Zostań więc w spokoju i pomyśl, czyli godziłoby ci się prześladować dłużej Ligię, którą pozbawiłeś opiekunów, dachu — i nas, którzyśmy ci dobrem za złe wypłacili?

— Chcecie mnie opuścić? — spytał Winicyusz.

— Chcemy opuścić ten dom, w którym może nas dosięgnąć prześladowanie prefekta miasta. Towarzysz twój został zabity, ty zaś, który jesteś możnym między swymi, leżysz ranny. Nie z naszej to winy się stało, ale na nas musiałby spaść gniew prawa...

— Prześladowania się nie bójcie — rzekł Winicyusz. — Ja was osłonię.

Kryspus nie chciał mu odpowiedzieć, że chodzi im nietylko o prefekta i policyę, ale że nie mając zaufania i do niego także, chcą zabezpieczyć Ligię przed dalszym jego pościgiem.

— Panie — rzekł — prawa twoja ręka jest zdrowa — więc oto tabliczki i styl: napisz do sług, aby przyszli do ciebie dziś wieczór z lektyką i odnieśli cię do twego domu, w którem ci będzie wygodniej, niż wśród naszego ubóstwa. —

My tu mieszkamy u biednej wdowy, która wkrótce nadejdzie z synem swoim — i owo pacholę odniesie twój list, my zaś musimy wszyscy szukać innego schronienia.

Winicyusz pobladł, pojął bowiem, że chcą go rozłączyć z Ligią, i że gdy straci ją ponownie, to może nigdy w życiu jej nie ujrzeć... Rozumiał wprawdzie, że zaszły między nią i nim rzeczy wielkie, na mocy których, chcąc ją posiąść, musi szukać jakichś nowych dróg, o których nie miał jeszcze czasu myśleć. Rozumiał również że cokolwiekby powiedział tym ludziom — choćby im zaprzysiągł, że wróci Ligię Pomponii Grecynie, to mu mają prawo nie uwierzyć i nie uwierzą. Przecie mógł to uczynić już dawniej; przecie mógł, zamiast prześladować Ligię, udać się do Pomponii — i przysiądz jej, że się pościgu wyrzeka, a w takim razie sama Pomponia byłaby odszukała i zabrała napowrót dziewczynę.— Nie! czuł, że żadne tego rodzaju przyrzeczenia nie zdołają ich wstrzymać i żadna uroczysta przysięga nie zostanie przyjęta, tembardziej, że, nie będąc chrześcijaninem, mógłby im chyba przysiądz na bogów nieśmiertelnych, w których sam nie bardzo wierzył, a których oni uważali za złe duchy.

Pragnął jednak rozpaczliwie przejednać i Ligię, i tych jej opiekunów — jakimkolwiek sposobem, na to zaś potrzebował czasu. Chodziło mu także o to, by choć kilka dni patrzeć na nią. Jak tonącemu każdy odłam deski lub wiosła wydaje się zbawieniem, tak i jemu wydawało się, iż przez te kilka dni zdoła może powiedzieć coś takiego, co go do niej zbliży, że może coś obmyśli, że może coś zajdzie pomyślnego.

Więc, zebrawszy myśli, rzekł:

— Posłuchajcie mnie, chrześcijanie. Wczoraj byłem wraz z wami na Ostryanum i słuchałem waszej nauki, ale choćbym jej nie znał, wasze uczynki przekonałyby mnie, iż jesteście ludzie uczciwi i dobrzy. Powiedzcie owej wdowie, która zamieszkuje ten dom, aby została w nim, wy zostańcie także i mnie pozwólcie zostać. Niech ten człowiok (tu zwrócił wzrok na Glauka), który jest lekarzem lub przynajmniej zna się na opatrywaniu ran, powie, czy można mnie dziś przenosić. Jestem chory i mam złamane ramię, które musi choć kilka dni zostać nieruchome — i dlatego oświadczam wam, iż nie ruszę się stąd, chyba mnie przemocą wyniesiecie.

Tu przerwał, bo w rozbitej jego piersi zbrakło oddechu, Kryspus zaś rzekł:

— Nikt, panie, nie użyje przeciw tobie przemocy, my tylko uniesiemy stąd nasze głowy.

Na to nieprzywykły do oporu młody człowiek, zmarszczył brwi i rzekł:

— Pozwól mi odetchnąć.

Po chwili zaś począł znów mówić:

— O Krotona, którego zdusił Urzus, nikt nie zapyta; miał dziś jechać do Benewentu, dokąd wezwał go Watyniusz, wszyscy więc będą myśleli, że wyjechał. Gdyśmy weszli z Krotonem do tego domu, nie widział nas nikt, prócz jednego Greka, który był z nami w Ostryanum. Powiem wam gdzie mieszka, sprowadźcie mi go — ja zaś nakażę mu milczenie, albowiem jest to człowiek przeze mnie płatny. Do domu mego napiszę list, żem wyjechał także do Benewentu. Gdyby Grek już dał znać prefektowi, oświadczę mu, żem Krotona sam zabił, i że on to złamał mi rękę. Tak uczynię, na cienie ojca i matki mojej! — a więc możecie tu pozostać bezpiecznie, gdyż włos nie spadnie z żadnej głowy. — Sprowadźcie mi prędko Greka, który zwie się Chilon Chilonides!

— Więc Glaukus zostanie przy tobie, panie — rzekł Kryspus — i wraz z wdową będzie miał pieczę nad tobą.

Winicyusz zmarszczył brwi jeszcze silniej.

— Uważ, stary człowieku, co powiem: — rzekł — winienem ci wdzięczność i wydajesz się dobrym i uczciwym człowiekiem, ale nie mówisz mi tego, co masz na dnie duszy. Ty się obawiasz, bym nie wezwał moich niewolników i nie kazał im zabrać Ligii? — Zali tak nie jest?

— Tak jest! — odrzekł z pewną surowością Kryspus.

— Tedy zważ, że z Chilonem będę rozmawiał przy was, i że przy was napiszę list do domu, iżem wyjechał — i że innych posłańców, jak wy, później nie znajdę... Rozważ to sam i nie drażnij mnie dłużej.

Tu wzburzył się i twarz skurczyła mu się z gniewu, poczem jął mówić w uniesieniu:

— Zaliś ty myślał, że ja się zaprę, iż chcę pozostać dlatego, by ją widzieć?... Głupiby odgadł, choćbym się zaparł. Ale przemocą nie będę jej więcej brał... Tobie zaś po-

wiem co innego. Jeśli ona tu nie zostanie, to tą zdrową ręką pozrywam wiązania z ramienia, nie przyjmę jadła ni napoju — i niech śmierć moja spadnie na ciebie i na twoich braci. Czemuś mnie opatrywał, czemuś nie kazał mnie zabić?

I pobladł z gniewu i osłabienia. Lecz Ligia, która z drugiej izby słyszała całą rozmowę, i która była pewna, iż Winicyusz spełni to, co zapowiada, zlękła się jego słów. Nie chciała za nic jego śmierci. Raniony i bezbronny, budził w niej tylko litość, nie strach. Od czasu ucieczki, żyjąc wśród ludzi, pogrążonych w ciągłem upojeniu religijnem, rozmyślających tylko o ofiarach, poświęceniach i miłosierdziu bez granic, sama upoiła się tem nowem tchnieniem do tego stopnia, że zastąpiło ono dla niej dom, rodzinę, stracone szczęście i zarazem uczyniło z niej jedną z takich dziewic chrześcijanek, które zmieniły później starą duszę świata. Winicyusz zbyt zaważył w jej losach i zbyt się jej narzucił, by mogła o nim zapomnieć. Myślała o nim po całych dniach i nieraz prosiła Boga o taką chwilę, w której, idąc za tchnieniem nauki, mogłaby mu wypłacić się dobrem za złe, miłosierdziem za prześladowanie, złamać go, zdobyć dla Chrystusa i zbawić. A teraz zdawało się jej właśnie, że taka chwila nadeszła, i że modlitwy jej zostały wysłuchane.

Zbliżyła się więc do Kryspusa z twarzą jakby natchnioną i poczęła mówić tak, jakby przez nią mówił głos jakiś inny:

— Kryspie, niech on zostanie między nami i my pozostaniemy z nim, dopóki Chrystus go nie uzdrowi.

A stary prezbiter, przywykły szukać we wszystkiem tchnień Bożych, widząc jej egzaltacyę, pomyślał zaraz, że może mówi przez nią moc wyższa i uląkłszy się w sercu, pochylił swą głowę.

— Niech się tak stanie, jak mówisz — rzekł.

Na Winicyuszu, który przez cały czas nie spuszczał jej z oczu, to szybkie posłuszeństwo Kryspa uczyniło dziwne i przejmujące wrażenie. Wydało mu się, że Ligia jest między chrześcijanami jakąś Sybillą czy kapłanką, którą otacza cześć i posłuch. I mimowoli poddał się także tej czci. Do miłości, jaką czuł, przyłączyła się teraz jakby pewna obawa, wobec której miłość sama stawała się czemś niemal zuchwałem. Nie umiał przytem oswoić się z myślą, że stosunek ich został

zmieniony, że teraz nie ona od jego, ale on zależy od jej woli, że leży oto chory, złamany, że przestał być siłą napastniczą — zdobywczą, i że jest jakby bezbronnem dzieckiem na jej opiece. Dla jego natury, dumnej i samowolnej, stosunek podobny względem każdej innej istoty byłby upokorzeniem — tym razem jednak nietylko nie odczuł upokorzenia, ale był jej wdzięczny, jak swojej pani. Były to poczucia w nim niesłychane, które dniem przedtem nie chciałyby mu się w głowie pomieścić i które zdumiewałyby go nawet w tej jeszcze chwili, gdyby umiał sobie jasno zdać z nich sprawę. Lecz on nie pytał teraz, dlaczego tak jest, jakby to było rzeczą zupełnie naturalną, czuł się tylko szczęśliwy, że zostaje.

I chciał jej dziękować — z wdzięcznością i jeszcze z jakiemś uczuciem, tak dalece mu nieznanem, że go nawet nazwać nie umiał, ponieważ było po prostu pokorą. Lecz poprzednie uniesienie wyczerpało go tak, że nie mógł mówić i dziękował jej tylko oczyma, w których świeciła radość, że zostaje przy niej i że będzie mógł na nią patrzeć jutro, pojutrze, może długo. Radość tę mieszała mu tylko obawa, by nie stracić tego, co zyskał, tak wielka, że, gdy Ligia podała mu znów po chwili wody i gdy chwyciła go przytem ochota, by objąć jej dłoń — bał się tego uczynić, bał się — on, ten sam Winicyusz, który na uczcie u Cezara całował przemocą jej usta, a po jej ucieczce obiecał sobie, że będzie ją za włosy włóczył do kubikulum, lub każe ją smagać.

ROZDZIAŁ XXIV.

Lecz począł się również obawiać, by jakaś niewczesna pomoc z zewnątrz nie zburzyła mu radości. Chilon mógł dać znać o jego zniknięciu prefektowi miasta lub wyzwoleńcom w domu — a w takim razie wtargnięcie wigilów było prawdopodobne. Przez głowę przeleciała mu wprawdzie myśl, że wówczas mógłby kazać pochwycić Ligię i zamknąć ją w swoim domu, lecz czuł, że tego uczynić nie powinien — i nie zdoła. Był człowiekiem samowolnym, zuchwałym i dość zepsutym, a w potrzebie nieubłaganym, nie był jednakże ni Tygellinem, ni Neronem. Życie wojskowe pozostawiło mu pewne poczucie sprawiedliwości, wiary i tyle sumienia, iż rozumiał, że taki

postępek byłby czemś potwornie podłem. Byłby może wreszcie zdolny dopuścić się go w napadzie złości i w pełni sił, ale w tej chwili był zarazem rozczulony i chory, więc chodziło mu o to tylko, by nikt nie stanął między nim a Ligią.

Zauważył zaś ze zdziwieniem, że od chwili, gdy Ligia stanęła po jego stronie, ani ona sama, ani Kryspus nie żądają od niego żadnych zapewnień, tak jak gdyby byli pewni, że w razie potrzeby obroni ich jakaś moc nadprzyrodzona. Winicyusz, w którego głowie — od czasu jak słyszał w Ostryanum naukę i opowiadanie Apostoła — poczęła się plątać i zacierać różnica między rzeczami możliwemi a niemożliwemi, nie był także zbyt daleki od przypuszczenia, że takby być mogło. Jednakże, biorąc rzeczy trzeźwiej, sam przypomniał im, co mówił o Greku, i znów zażądał, by sprowadzono mu Chilona.

Kryspus zgodził się na to i postanowiono wysłać Urzusa. Winicyusz, który w ostatnich dniach przed Ostryanum często, lubo bez skutku, wysyłał był niewolników swych do Chilona, wskazał Ligowi dokładnie jego mieszkanie, poczem skreśliwszy kilka słów na tabliczce, rzekł, zwróciwszy się do Kryspa:

— Daję tabliczkę, gdyż to jest człowiek podejrzliwy i chytry, który często, wzywany przeze mnie, kazał odpowiadać ludziom moim, że niema go w domu, czynił to zaś zawsze, gdy, nie mając dla mnie dobrych nowin, obawiał się mojego gniewu.

— Bylem go znalazł, to go przyprowadzę, czy będzie chciał, czy nie — odpowiedział Urzus.

Poczem, wziąwszy płaszcz, wyszedł śpiesznie.

Odnaleźć kogoś w Rzymie nie było łatwo, nawet przy najlepszych wskazówkach, ale Urzusowi pomagał w takich razach instynkt człowieka leśnego, a zarazem i wielka znajomość miasta, tak, że po niejakim czasie znalazł się w mieszkaniu Chilona.

Nie poznał go jednak. Poprzednio widział go tylko raz w życiu i do tego w nocy. Wreszcie tamten wyniosły i pewny siebie starzec, który go namawiał do zamordowania Glauka, tak był niepodobny do tego zgiętego we dwoje ze strachu Greka, że nikt nie mógł przypuścić, iż obaj stanowią jedną osobę. Chilon też, pomiarkowawszy, że Urzus patrzy na niego, jak na człowieka zupełnie obcego, ochłonął z pierwszego prze-

rażenia. Widok tabliczki z pismem Winicyusza uspokoił go jeszcze bardziej. Nie groziło mu przynajmniej podejrzenie, że wprowadził go umyślnie w zasadzkę. Pomyślał przytem, że chrześcijanie nie zabili Winicyusza widocznie dlatego, że nie ośmielili się podnieść ręki na osobę tak znakomitą.

— A zatem Winicyusz osłoni i mnie w potrzebie, — rzekł sobie w duchu — albowiem nie wzywa mnie przecie po to, by mnie dać zabić.

Nabrawszy więc nieco ducha, spytał:

— Dobry człowieku, zali przyjaciel mój, szlachetny Winicyusz, nie przysłał po mnie lektyki? — nogi mam popuchnięte i iść tak dalego nie mogę.

— Nie — odrzekł Urzus — pójdziemy piechotą.

— A jeśli odmówię?

— Nie czyń tego, gdyż pójść musisz.

— I pójdę, ale z własnej chęci. Inaczej niktby mnie nie zmusił, albowiem jestem człowiekiem wolnym i przyjacielem prefekta miasta. Jako mędrzec, posiadam również sposoby na przemoc — i umiem zamieniać ludzi w drzewa i zwierzęta. Ale pójdę — pójdę! Wdzieję tylko płaszcz jeszcze nieco cieplejszy i kaptur, aby mnie nie poznali niewolnicy tej dzielnicy, — inaczej bowiem zatrzymywaliby nas ustawicznie, aby całować moje ręce.

To rzekłszy, nawdział inny płaszcz, na głowę zaś spuścił gallicki obszerny kaptur, z obawy, by Urzus nie przypomniał sobie jego rysów, gdy wyjdą na większe światło.

— Gdzie mnie prowadzisz? — spytał po drodze Urzusa.

— Na Zatybrze.

— Niedawno jestem w Rzymie i nigdy tam nie byłem, ale i tam żyją zapewne ludzie, którzy kochają cnotę.

Ale Urzus, który był człowiekiem naiwnym i który słyszał Winicyusza, mówiącego, iż Grek był z nim na cmentarzu Ostryanum, a potem widział, gdy wchodzili z Krotonem do domu, w którym mieszkała Ligia, zatrzymał się na chwilę i rzekł:

— Nie kłam, stary człowieku, albowiem dziś byłeś z Winicyuszem na Ostryanum i pod naszą bramą.

— Ach — rzekł Chilon — więc to wasz dom stoi na Zatybrzu? Od niedawna jestem w Rzymie i nie wiem dobrze, jak się zwą różne dzielnice. Tak jest, przyjacielu! Byłem pod

waszą bramą i zaklinałem pod nią w imię cnoty Winicyusza, by nie wchodził. Byłem i w Ostryanum, a wiesz dlaczego? Oto od pewnego czasu pracuję nad nawróceniem Winicyusza i chciałem, aby posłuchał najstarszego z apostołów. Niech światło przeniknie do jego duszy i do twojej! Wszakże jesteś chrześcijaninem i wszak pragniesz, aby prawda zapanowała nad fałszem?

— Tak jest — odrzekł z pokorą Urzus.

Chilonowi wróciła zupełnie odwaga.

— Winicyusz jest to pan możny — rzekł — i przyjaciel Cezara. Często on jeszcze słucha podszeptów złego ducha, ale gdyby choć włos spadł z jego głowy, Cezar pomściłby się na wszystkich chrześcijanach.

— Nas większa moc strzeże.

— Słusznie! słusznie! ale co zamierzacie uczynić z Winicyuszem? — spytał z nowym niepokojem Chilon.

— Nie wiem. Chrystus nakazuje miłosierdzie.

— Toś wyśmienicie powiedział. Pamiętaj o tem zawsze, inaczej będziesz się skwarzył w piekle, jak kiszka na patelni.

Urzus westchnął, Chilon zaś pomyślał, że z tym straszliwym w chwili pierwszego porywu człowiekiem zrobiłby zawsze, coby chciał.

Więc pragnąc wiedzieć, jak rzeczy odbyły się przy porywaniu Ligii, pytał dalej głosem surowego sędziego:

— Jak postąpiliście z Krotonem? Mów i nie zmyślaj.

Urzus westchnął po raz drugi:

— Powie ci to Winicyusz.

— To się znaczy, że pchnąłeś go nożem lub zabiłeś pałką?

— Byłem bezbronny.

Grek nie mógł jednak oprzeć się podziwowi nad nadludzką siłą barbarzyńcy.

— Niech cię Pluto!... To jest, chciałem powiedzieć: niech ci Chrystus przebaczy!

Czas jakiś szli w milczeniu, poczem Chilo rzekł:

— Nie ja cię zdradzę, ale strzeż się wigilów.

— Ja boję się Chrystusa, nie wigilów.

— I to słusznie. Niemasz cięższej winy nad zabójstwo. Będę się za ciebie modlił, ale nie wiem, czy nawet moja

modlitwa co wskóra — chyba, że uczynisz ślub, iż nigdy w życiu nikogo nie tkniesz palcem.

— Ja i tak nie zabiłem rozmyślnie — odpowiedział Urzus.

Chilo jednak, który pragnął się na wszelki przypadek zabezpieczyć, nie przestawał obrzydzać w dalszym ciągu zabójstwa Urzusowi i zachęcać go do wykonania ślubu. Wypytywał też i o Winicyusza, lecz Lig odpowiadał na jego pytania niechętnie, powtarzając, że z ust samego Winicyusza usłyszy to, co usłyszeć powinien. Rozmawiając w ten sposób, przebyli wreszcie daleką drogę, dzielącą mieszkanie Greka od Zatybrza, i znaleźli się przed domem. Serce Chilona poczęło znów bić niespokojnie. Ze strachu wydało mu się, że Urzus poczyna spoglądać na niego jakimś łakomym wzrokiem. „Mała mi pociecha — mówił sobie — jeśli mnie zabije niechcący, i wolałbym w każdym razie, aby go ruszył paraliż — a razem z nim i wszystkich Ligów, co daj Zeusie, jeśli potrafisz". Tak rozmyślając zatulał się coraz mocniej w swoją gallicką gunię, powtarzając, iż boi się chłodu. Wreszcie, gdy, przebywszy sień i pierwsze podwórze, znaleźli się w korytarzu, prowadzącym do ogródka domku, zatrzymał się nagle i rzekł:

— Pozwól mi tchu nabrać, inaczej bowiem nie będę mógł rozmówić się z Winicyuszem i udzielić mu rad zbawiennych.

To rzekłszy, stanął — gdyż, jakkolwiek powtarzał sobie, że żadne niebezpieczeństwo mu nie grozi, jednakże na myśl, że stanie wśród tych tajemniczych ludzi, których widział w Ostryanum, nogi trzęsły się nieco pod nim.

Tymczasem z domku poczęły dochodzić uszu jego śpiewy.

— Co to jest? — spytał.

— Mówisz, żeś chrześcijaninem, a nie wiesz, że między nami jest zwyczaj po każdym posiłku wielbić Zbawiciela naszego śpiewaniem — odpowiedział Urzus. — Myryam z synem musiała już wrócić — a może i Apostoł jest z nimi, codziennie bowiem nawiedza wdowę i Kryspa.

— Prowadź mnie wprost do Winicyusza.

— Winicyusz jest w tej izbie, gdzie i wszyscy, bo ta jedna jest większa, a zresztą same ciemne kubikula, do których tylko spać chodzimy. Wejdźmy już — tam odpoczniesz.

I weszli. W izbie było ciemnawo, wieczór był chmurny, zimowy, a płomień kilku kaganków niezupełnie rozpraszał mrok. — Winicyusz raczej domyślił się, niż rozeznał, w zakapturzonym człowieku Chilona, ten zaś, ujrzawszy łoże w rogu izby i na nim Winicyusza, ruszył, nie patrząc na innych, wprost ku niemu — jakby w przekonaniu, że przy nim będzie mu najbezpieczniej.

— O panie! czemuś nie słuchał moich rad! — zawołał, składając ręce.

— Milcz — rzekł Winicyusz — i słuchaj!

Tu począł patrzeć bystro w oczy Chilona i mówić zwolna, a dobitnie, jakby chciał, by każde jego słowo zrozumiane było jako rozkaz i zostało raz na zawsze w Chilonowej pamięci:

— Kroto rzucił się na mnie, by mnie zamordować i ograbić — rozumiesz! Wówczas zabiłem go, ci zaś ludzie opatrzyli rany, jakie otrzymałem w walce z nim.

Chilo od razu zrozumiał, że, jeśli Winicyusz tak mówi, to chyba na mocy jakiegoś układu z chrześcijanami, a w takim razie chce, by mu wierzono. Poznał też to z jego twarzy, więc w jednej chwili, nie okazawszy ni powątpiewania, ni zdziwienia, podniósł oczy w górę i zawołał:

— Łotr to był wierutny, panie! Wszakżem cię ostrzegał, byś mu nie ufał. Wszystkie moje nauki obijały się o jego głowę, jak groch o ścianę. W całym Hadesie niema dla niego mąk dostatecznych. Bo kto nie może być uczciwym człowiekiem, ten poniekąd musi być łotrem, komuż zaś trudniej zostać uczciwym, niż łotrowi? Ale żeby napadać na swego dobroczyńcę i pana tak wspaniałomyślnego... O bogowie!...

Tu jednak wspomniał, że w czasie drogi przedstawiał się Urzusowi jako chrześcijanin — i umilkł.

Winicyusz rzekł:

— Gdyby nie „sica“, którą miałem ze sobą, byłby mnie zabił.

— Błogosławię tę chwilę, w której doradziłem ci wziąć choć nóż.

Lecz Winicyusz zwrócił się na Greka badawcze spojrzenie i spytał:

— Coś czynił dziś?

— Jakto? Czym ci, panie, nie powiedział, żem czynił śluby za twoje zdrowie?

— I nic więcej?

— I wybierałem się właśnie odwiedzić cię, gdy tamten dobry człowiek nadszedł i powiedział mi, że mnie wzywasz.

— Oto jest tabliczka. Pójdziesz z nią do mego domu, odnajdziesz mego wyzwoleńca i oddasz mu ją. Napisano jest na niej, żem wyjechał do Benewentu. — Powiesz Demasowi od siebie, żem to uczynił dziś rano, wezwany pilnym listem przez Petroniusza.

Tu powtórzył z naciskiem:

— Wyjechałem do Benewentu — rozumiesz!

— Wyjechałeś, panie! Rano żegnałem cię przecie przy Porta Capena — i od czasu twego wyjazdu taka ogarnia mnie tęsknota, że, jeśli twa wspaniałomyślność jej nie utuli, zakwilę się na śmierć, jak nieszczęsna żona Zethosa [1]) z żalu po Itylu.

Winicyusz, lubo chory i nawykły do giętkości Greka, nie mógł jednak wstrzymać uśmiechu. Rad był przytem, że Chilo w lot go zrozumiał, więc rzekł:

— Zatem dopiszę, by ci łzy obtarto. Daj mi kaganek.

Chilo, uspokojony już zupełnie, wstał i, uczyniwszy kilka kroków w stronę komina, zdjął jeden z palących się na murku kaganków.

Lecz, gdy kaptur zesunął się przy tej czynności z jego głowy i światło padło wprost na jego twarz, Glaukus zerwał się z ławy i, zbliżywszy się szybko, stanął przed nim.

— Nie poznajesz mnie, Cefasie? — spytał.

I w głosie jego było coś tak strasznego, że dreszcz przebiegł wszystkich obecnych.

Chilo podniósł kaganek i upuścił go prawie w tej chwili na ziemię — poczem zgiął się we dwoje i począł jęczeć:

— Nie jestem... nie jestem!... litości!

Glaukus zaś zwrócił się w stronę wieczerzających i rzekł:

— Oto jest człowiek, który zaprzedał i zgubił mnie i rodzinę moją!...

Historya jego była znaną i wszystkim chrześcijanom,

---

[1]) Aedon, zamieniona w słowika.

i Winicyuszowi, który dlatego tylko nie domyślił się, kim jest ów Glaukus, że mdlejąc ustawicznie z bólu przy opatrunku, nazwiska jego nie słyszał. Lecz dla Urzusa krótka ta chwila, w połączeniu ze słowami Glauka, była jakby błyskawicą w ciemności. Rozpoznawszy Chilona, jednym skokiem znalazł się przy nim, chwycił go za ramiona i, wygiąwszy je w tył, zawołał:

— On to namówił mnie, bym zamordował Glauka!

— Litości! — jęczał Chilo — oddam wam... Panie! — zawołał, zwracając głowę do Winicyusza — ratuj mnie! tobiem zaufał, wstaw się za mną... Twój list... odniosę, Panie! panie!...

Lecz Winicyusz, który najobojętniej ze wszystkich patrzył na to, co zaszło, raz dlatego, że wszystkie sprawy Greka były mu znane, a powtóre, że serce jego nie znało, co to litość, rzekł:

— Zakopcie go w ogrodzie: list poniesie kto inny.

Chilonowi wydało się, że słowa te są ostatecznym wyrokiem. Kości jego poczęły trzeszczeć w strasznych rękach Urzusa, oczy zachodziły łzami z bólu.

— Na waszego Boga! litości — woła — jestem chrześcijaninem, a jeśli mi nie wierzycie, ochrzcijcie mnie jeszcze raz, jeszcze dwa, jeszcze dziesięć razy! Glauku, to pomyłka! Pozwólcie mi mówić! uczyńcie mnie niewolnikiem... Nie zabijajcie mnie! litości!...

I głos jego, dławiony bólem, słabł coraz bardziej, gdy wtem za stołem podniósł się Apostoł Piotr; przez chwilę chwiał swą białą głową, zniżając ją ku piersiom, i oczy miał zamknięte, ale następnie otworzył je i rzekł wśród ciszy:

— A oto powiedział nam Zbawiciel: „Jeśliby twój brat zgrzeszył przeciw tobie, strofuj go; a jeśliby żałował, odpuść mu. A jeśliby siedmkroć na dzień zgrzeszył przeciw tobie i siedmkroć nawrócił się k'tobie, mówiąc: Żal ci mi! odpuść mu!“

Poczem zapadła cisza jeszcze większa.

Glaukus stał długi czas z twarzą nakrytą dłońmi, wreszcie odjął i rzekł:

— Cefasie, niech ci tak Bóg odpuści krzywdy moje, jako ja ci je w imię Chrystusa odpuszczam.

A Urzus, uwolniwszy ramiona Greka, dodał zaraz:

— Niech mi tak Zbawiciel będzie miłościwy, jako i ja ci odpuszczam.

Ów upadł na ziemię i, wsparty na niej rękoma, kręcił głową, jak zwierz, schwytany w sidła, rozglądając się naokół i czekając, skąd śmierć przyjdzie. Oczom i uszom jeszcze nie wierzył, i nie śmiał spodziewać się przebaczenia.

Lecz zwolna wracała mu przytomność, tylko zsiniałe wargi trzęsły mu się jeszcze z przerażenia. Tymczasem Apostoł rzekł:

— Odejdź w spokoju!

Chilo powstał, lecz nie mógł jeszcze przemówić. Mimowoli zbliżył się do łoża Winicyusza, jakby jeszcze szukając u niego opieki, albowiem nie miał dotąd czasu pomyśleć, że ów, jakkolwiek korzystał z jego usług i był poniekąd jego wspólnikiem, potępił go, gdy tymczasem ci właśnie, przeciw którym służył, przebaczyli. Myśl ta miała mu przyjść później. Obecnie we wzroku jego widać było tylko zdumienie i niedowierzanie. Jakkolwiek zmiarkował już, że mu przebaczono, chciał jednak jak najprędzej wynieść głowę z pośród tych niepojętych ludzi, których dobroć przerażała go prawie równie, jak przerażałoby okrucieństwo. Zdawało mu się, że, gdyby dłużej został, zaszłoby znowu coś niespodzianego, więc, stanąwszy nad Winicyuszem, począł mówić przerywanym głosem:

— Daj, panie, list! daj list!

I, porwawszy tabliczkę, którą mu podał Winicyusz, wybił jeden pokłon chrześcijanom, drugi choremu i chyłkiem, sunąc przy samej ścianie, wypadł za drzwi.

W ogródku, gdy ogarnęła go ciemność, strach jeżył mu znów włosy na głowie, był bowiem pewny, że Urzus wypadnie za nim i zabije go wśród nocy. Byłby uciekał ze wszystkich sił, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, po chwili zaś uczyniły się zupełnie bezwładne, albowiem Urzus istotnie stanął przy nim.

Chilon upadł twarzą na ziemię i począł jęczeć.

— Urbanie... w imię Chrystusa...

Lecz Urban rzekł:

— Nie bój się. Apostoł kazał mi wywieść cię za bramę, abyś nie zabłądził w ciemności, a jeślić sił brak, to odprowadzę cię do domu.

Chilon podniósł twarz.

— Co mówisz? co?... Nie zabijesz mnie?

— Nie! nie zabiję cię, a jeślim chwycił cię zbyt silnie i nadwyrężył ci kości, to mi odpuść.

— Pomóż mi wstać — rzekł Grek. — Nie zabijesz mnie? co? Wyprowadź mnie na ulicę, dalej sam pójdę.

Urzus podniósł go z ziemi, jak piórko, i postawił na nogach, potem zaś prowadził przez ciemne przejście na drugie podwórze, z którego wychodziło się do sieni i na ulicę. W korytarzu Chilon powtarzał znów w duszy: „już po mnie!“, i dopiero gdy znaleźli się na ulicy, ochłonął i rzekł:

— Dalej sam pójdę.

— Pokój niech będzie z tobą!

— I z tobą! i z tobą!... Daj mi odetchnąć.

I po odejściu Urzusa odetchnął całą piersią. Rękoma macnął się po pasie i biodrach, jakby chcąc się przekonać, że żyje, i ruszył śpiesznym krokiem przed siebie.

Lecz, uszedłszy kilkadziesiąt kroków, stanął i rzekł:

— Czemu jednak oni mnie nie zabili?

I pomimo, iż już z Erycyuszem rozmawiał o nauce chrześcijańskiej, pomimo rozmowy nad rzeką z Urbanem i pomimo wszystkiego, co słyszał na Ostryanum, nie umiał znaleźć na to pytanie odpowiedzi.

ROZDZIAŁ XXV.

Winicyusz również nie umiał zdać sobie sprawy z tego, co zaszło, i na dnie duszy prawie niemniej zdumiony był od Chilona. Bo że z nim samym ludzie ci obeszli się tak, jak się obeszli, i zamiast pomścić się nad nim za napaść, opatrzyli troskliwie jego rany, przypisywał to w części nauce, którą wyznawali, bardziej Ligii, a potrochu i swemu wielkiemu znaczeniu. Ale postąpienie ich z Chilonem przechodziło wprost jego pojęcia o ludzkiej zdolności przebaczania. I jemu mimowoli nasuwało się na myśl pytanie, dlaczego oni nie zabili Greka? Wszakże mogli to uczynić bezkarnie. Urzus byłby go zakopał w ogrodzie lub nocą wyniósł do Tybru, który w owych czasach nocnych rozbojów, dokonywanych przez samego Cezara, tak często wyrzucał rankami ciała ludzkie, iż nikt nawet nie dochodził, skąd się brały. Przytem, wedle Wi-

nicyusza, chrześcijanie nietylko mogli, ale powinni byli zabić Chilona. Litość nie była wprawdzie całkiem obcą temu światu, do którego należał młody patrycyusz. Ateńczycy wznieśli przecie jej ołtarz i długi czas opierali się wprowadzeniu do Aten walk gladyatorów. Bywało, że i w Rzymie zwyciężeni otrzymywali przebaczenie, jak naprzykład Kalikratus, król Bretonów, który, wzięty w niewolę za Klaudyusza i opatrzony przez tegoż suto, mieszkał swobodnie w mieście. Ale zemsta za krzywdy osobiste wydawała się Winicyuszowi, tak jak i wszystkim, słuszną i usprawiedliwioną. Niechanie jej było zgoła przeciwne jego duszy. Słyszał wprawdzie i on w Ostryanum, że należy miłować nawet nieprzyjaciół, uważał to jednak za jakąś teoryę, nie mającą w życiu znaczenia. I teraz jeszcze przechodziło mu przez głowę, że może nie zabito Chilona dlatego tylko, że była jakaś pora świąt lub jakaś kwadra księżyca, podczas której chrześcijanom nie godziło się zabijać. Słyszał, że bywają takie terminy, w których różnym narodom nie wolno nawet i wojny poczynać. Lecz dlaczego w takim razie nie oddano Greka w ręce sprawiedliwości, dlaczego Apostoł mówił, że gdyby ktoś siedemkroć zawinił, to siedemkroć należy mu przebaczyć, i dlaczego Glaukus powiedział Chilonowi: „Niech ci tak Bóg odpuści, jako ja ci odpuszczam?“ A przecie Chilo wyrządził mu najstraszliwszą krzywdę, jaką człowiek człowiekowi może wyrządzić, i w Winicyuszu na samą myśl o tem, jakby postąpił z takim, ktoby naprzykład zabił Ligię, zawrzało serce, jak ukrop: nie byłoby takich mąk, któremiby jej nie pomścił! A tamten przebaczył! I Urzus przebaczył także, on, który w istocie rzeczy mógł zabić w Rzymie kogoby chciał, zupełnie bezkarnie, albowiem następnie potrzebował zabić tylko króla Nemoreńskiego gaju i zająć jego miejsce. Czyż człowiekowi, któremu nie oparł się Kroto, oparłby się piastujący tę godność gladyator, do której dochodziło się tylko przez zabójstwo poprzedniego „króla“? Jedna była tylko na te wszystkie pytania odpowiedź. Oto oni nie zabijali przez jakąś dobroć, tak wielką, że podobnej nie było dotąd na świecie, i przez miłość do ludzi bezgraniczną, która nakazywała zapominać o sobie, o swoich krzywdach, o swojem szczęściu i swej niedoli — i żyć dla innych. Jaką zapłatę mieli ludzie ci za to odebrać, Winicyusz słyszał w Ostryanum, lecz nie mieściło mu się to w głowie. Czuł

natomiast, że to życie ziemskie, połączone z obowiązkiem wyrzekania się wszystkiego, co jest dobrem i rozkoszą, na korzyść innych, musiałoby być nędzne. To też w tem, co o chrześcijanach w tej chwili myślał, obok największego zdumienia była i litość, i jakby odcień pogardy. Wydało mu się, że to są owce, które muszą prędzej czy później być zjedzone przez wilki, jego zaś rzymska natura nie była zdolną zdobyć się na uznanie dla tych, którzy pozwalają się zjadać. Uderzyła go wszelako jedna rzecz. Oto, po wyjściu Chilona, jakaś głęboka radość rozjaśniła wszystkie twarze. Apostoł zbliżył się do Glauka i, położywszy dłoń na jego głowie, rzekł:

— Chrystus w tobie zwyciężył!

Ów zaś wzniósł oczy ku górze, tak ufne i pełne wesela, jakby zlało się na niego jakieś wielkie, niespodziane szczęście. Winicyusz, który byłby zrozumiał tylko radość z dokonanej zemsty, patrzył na niego rozszerzonemi przez gorączkę oczyma, trochę tak, jak patrzyłby na obłąkanego. Widział jednak i widział nie bez wewnętrznego oburzenia, jak następnie Ligia przycisnęła swoje usta królewny do ręki tego człowieka, który z pozoru wyglądał na niewolnika, i zdawało mu się, że porządek tego świata odwraca się zupełnie. Potem nadszedł Urzus i jął opowiadać, jak wyprowadził Chilona na ulicę i jak prosił go o przebaczenie za krzywdę, jaką mógł wyrządzić jego kościom, za co Apostoł pobłogosławił i jego, a Kryspus oświadczył, że to jest dzień wielkiego zwycięstwa. Posłyszawszy o tem zwycięstwie, Winicyusz stracił całkiem wątek myśli.

Lecz, gdy Ligia podała mu znów po chwili napój chłodzący, zatrzymał na chwilę jej rękę i spytał:

— To i ty mi przebaczyłaś?

— My chrześcijanie. Nam nie wolno chować w sercu gniewu.

— Ligio — rzekł wówczas — kimkolwiek jest twój Bóg, uczczę go stuwołem, dlatego tylko, że jest twoim.

Ona zaś odrzekła:

— Uczcisz go w sercu, gdy go pokochasz.

— Dlatego tylko, że jest twoim... — powtórzył słabszym głosem Winicyusz.

I przymknął powieki, albowiem opanowało go znów osłabienie.

Ligia odeszła, ale po chwili wróciła i, stanąwszy blizko, pochyliła się nad nim, by się przekonać, czy śpi. Winicyusz odczuł jej blizkość i, otworzywszy oczy, uśmiechnął się, ona zaś położyła mu na nich lekko rękę, jakby chcąc go do snu nakłonić. Wówczas ogarnęła go wielka słodycz, ale zarazem czuł się mocniej chorym. I tak było w istocie. Noc już zrobiła się zupełna, a wraz z nią przyszła i silniejsza gorączka. Z tego powodu nie mógł zasnąć i wodził za Ligią wzrokiem, gdziekolwiek się ruszyła. Chwilami jednak zapadał w jakiś pół-sen, w którym widział i słyszał wszystko, co się naokół niego działo, ale, w którym rzeczywistość mieszała się z gorączkowemi widzeniami. Zdawało mu się więc, że na jakimś starym, opuszczonym cmentarzu wznosi się świątynia w kształcie wieży, w której Ligia jest kapłanką. I oto nie spuszczał z niej oczu, ale widział ją na szczycie wieży, z lutnią w ręku, całą w świetle, podobną do tych kapłanek, które nocami śpiewały hymny na cześć księżyca, a które widywał na Wschodzie. On sam wspinał się z wielkiem wysileniem po wężowatych schodach, by ją porwać, za nim zaś pełzł Chilon, szczękając zębami z przerażenia i powtarzając: „nie czyń tego, panie, bo to kapłanka, za którą On się pomści...“ Winicyusz nie wiedział, kto był ów On, rozumiał jednakże, że idzie spełnić świętokradztwo i czuł także przestrach niezmierny. Ale gdy doszedł do balustrady, otaczającej szczyt wieży, przy Ligii stanął nagle Apostoł ze srebrną brodą i rzekł: „nie podnoś na nią ręki, albowiem ona należy do mnie“. I, rzekłszy to, począł z nią razem iść szlakiem księżycowego światła, jakby drogą ku niebu, on zaś, Winicyusz, wyciągnąwszy ku nim ręce, począł ich błagać, by zabrali go ze sobą.

Tu rozbudził się, otrzeźwiał i począł patrzeć przed siebie. Ognisko na wysokim trzonie żarzyło się już słabiej, ale rzucało blask jeszcze dość żywy, oni zaś siedzieli wszyscy przed ogniem, grzejąc się, ponieważ noc była chłodna, a izba dość zimna. Winicyusz widział ich oddechy, wychodzące z ust w kształcie pary. W środku siedział Apostoł, u jego kolan na nizkim podnóżku Ligia, dalej Glaukus, Kryspus, Myryam, a na krańcach z jednej strony Urzus, z drugiej Nazaryusz, syn Myryam, młode pacholę, o ślicznej twarzy i długich, czarnych włosach, które spadały mu aż na ramiona.

Ligia słuchała, z oczyma wzniesionemi ku Apostołowi,

i wszystkie głowy były zwrócone ku niemu, on zaś mówił coś półgłosem. Winicyusz począł patrzeć na niego z pewną zabobonną bojaźnią, mało co mniejszą od tego strachu, jakiego doznawał w gorączkowem widzeniu. Przeszło mu przez myśl, iż w gorączce czuł prawdę i że ten sędziwy przychodzeń z dalekich brzegów rzeczywiście zabiera mu Ligię i prowadzi ją gdzieś w nieznane drogi. Był też pewny, że starzec o nim mówi, a może radzi, jak rozłączyć go z nią, zdawało się bowiem Winicyuszowi rzeczą niepodobną, by ktoś mógł mówić o czem innem, więc, zebrawszy całą przytomność, począł nasłuchywać słów Piotra.

Lecz omylił się najzupełniej, Apostoł bowiem mówił znów o Chrystusie.

— Oni tem imieniem tylko żyją! — pomyślał Winicyusz.

Starzec zaś opowiadał o pochwyceniu Chrystusa. Przyszła rota i słudzy kapłańscy, aby Go chwycili. Gdy Zbawiciel spytał ich, kogo szukają, odpowiedzieli: „Jezusa Nazareńskiego!“ Lecz gdy im rzekł: „Jam jest!“ — padli na ziemię i nie śmieli na Niego podnieść ręki, i aż dopiero po powtórnem pytaniu chwycili Go.

Tu Apostoł przerwał i wyciągnąwszy ręce do ognia, rzekł:

— Noc była chłodna, jak dziś, ale zawrzało we mnie serce, więc wydobyłem miecz, by Go bronić, i uciąłem ucho sługi arcykapłana. I byłbym Go bronił, więcej niż żywota własnego, gdyby mi nie był rzekł: „Włóż twój miecz w pochwy. Zali kielicha, który mi dał Ojciec, pić nie będę?“... Wówczas Go pojmali i związali...

To rzekłszy, przyłożył dłonie do czoła i umilkł, chcąc przed dalszem opowiadaniem moc wspomnień pokonać. Lecz Urzus, nie mogąc wytrzymać, zerwał się, żeleźcem poprawił ogień na trzonie, aż iskry sypnęły się złotym deszczem i płomień strzelił żywiej, poczem siadł i zawołał:

— A niechby się stało, co chciało — hej!...

Lecz urwał nagle, gdyż Ligia położyła palec na ustach. Oddychał tylko rozgłośnie i znać było, że burzy się w duszy i że choć zawsze gotów całować stopy Apostoła, przecie tego jednego postępku uznać w duszy nie może, bo gdyby tak, ot, przy nim podniósł kto rękę na Zbawiciela, gdyby on był

z Nim tej nocy, oj, poleciałyżby wióry i z żołnierzy i ze sług kapłańskich i ze służebników... I aż oczy zaszły mu łzami na samą myśl o tem, zarazem z żalu i z dusznej rozterki, bo z jednej strony pomyślał, że nietylko samby Zbawiciela bronił, ale jeszcze skrzyknąłby mu w pomoc Ligów, chłopów na schwał, a z drugiej, że gdyby to uczynił, to okazałby nieposłuszeństwo Zbawicielowi i przeszkodził odkupieniu świata.

Więc dlatego nie mógł powstrzymać łez.

Po chwili Piotr, odjąwszy dłonie z czoła, począł opowiadać dalej, lecz Winicyusza opanował znów pół-sen gorączkowy. To, co teraz słyszał, pomieszało mu się z tem, co Apostoł opowiadał poprzedniej nocy w Ostryanum o owym dniu, w którym Chrystus ukazał się na brzegu Tyberyadzkiego morza. Widział więc szeroko rozlaną toń, na niej łódź rybacką, a w łodzi Piotra i Ligię. On sam płynął ze wszystkich sił za nimi, lecz ból w złamanem ramieniu przeszkadzał mu ich doścignąć. Burza jęła mu rzucać fale w oczy i począł tonąć, wołując błagalnym głosem o ratunek. Wówczas Ligia uklękła przed Apostołem, on zaś zwrócił łódź i wyciągnął ku niemu wiosło, które on schwyciwszy wydostał się przy ich pomocy na łódź i upadł na jej dno.

Lecz następnie zdawało mu się, że powstawszy ujrzał mnóstwo ludzi, płynących za łodzią. Fale nakrywały pianą ich głowy; niektórym widać było już z odmętu tylko ręce, ale Piotr raz po raz ratował tonących i zabierał ich do łodzi, która rozszerzała się jakby cudem. Wkrótce wypełniły ją całe tłumy, tak wielkie, jak te, które były zebrane w Ostryanum, a potem jeszcze większe. Winicyusz dziwił się, jak się mogły w niej pomieścić, i wziął go strach, że pójdą na dno. Lecz Ligia poczęła go uspokajać i pokazywała mu jakieś światło na dalekiem brzegu, do którego płynęli. Tu marzenia Winicyusza pomieszały się znów z tem, co słyszał w Ostryanum z ust Apostoła, jako się Chrystus objawił raz nad jeziorem. Więc teraz widział w owem nadbrzeżnem świetle jakąś postać, ku której Piotr sterował. I w miarę jak zbliżali się ku niej, pogoda czyniła się cichsza, toń gładsza, a światłość większa. Tłumy poczęły śpiewać hymn słodki, powietrze wypełniło się zapachem nardu; woda grała tęczą, jakby z dna przeglądały lilie i róże, a wreszcie łódź uderzyła łagodnie

piersią o piasek. Wówczas Ligia wzięła go za rękę i rzekła: „Pójdź, zaprowadzę cię!“ I wiodła go w światłość.

. . . .

Winicyusz rozbudził się znowu, lecz marzenia jego rozpraszały się zwolna i nieodrazu odzyskał poczucie rzeczywistości. Przez czas jakiś zdawało mu się jeszcze, że jest nad jeziorem i że otaczają go tłumy, wśród których, sam nie wiedząc dlaczego, począł szukać Petroniusza i zdziwił się, że go nie może odnaleźć. Żywe światło od komina, przy którym nie było już nikogo, otrzeźwiło go jednak zupełnie. Pieńki oliwne żarzyły się leniwie pod różowym popiołem, lecz za to szczapy pinii, których widocznie świeżo dorzucono na żarzewie, strzelały jasnym płomieniem i w blasku tym Winicyusz ujrzał Ligię, siedzącą nieopodal od jego łóżka.

Widok jej wzruszył go do głębi duszy. Pamiętał, że zeszłą noc spędziła w Ostryanum a cały dzień krzątała się przy opatrunku, teraz zaś, gdy wszyscy udali się na spoczynek, ona jedna czuwała u jego łoża. Łatwo było zgadnąć, że musi być jednak zmęczona, albowiem, siedząc nieruchomie, oczy miała zamknięte. Winicyusz nie wiedział, czy śpi, czy pogrążona jest w myślach. Patrzał na jej profil, na spuszczone rzęsy, na ręce złożone na kolanach i w pogańskiej głowie jego poczęło się z trudem wykluwać pojęcie, że obok nagiej, pewnej siebie i dumnej ze swych kształtów piękności greckiej i rzymskiej, jest na świecie jakaś inna, nowa, ogromnie czysta, w której tkwi dusza.

Nie umiał zdobyć się na to, by ją nazwać chrześcijańską, myśląc jednak o Ligii, nie mógł już oddzielić jej od nauki, którą wyznawała. Pojmował nawet, że jeśli wszyscy inni udali się na spoczynek, a Ligia jedna, ona, którą pokrzywdził, czuwała nad nim, to właśnie dlatego, że ta nauka tak nakazuje. Lecz myśl ta, przejmująca go podziwem dla nauki, była mu zarazem i przykrą. Wolałby był, by Ligia czyniła tak z miłości dla niego, dla jego twarzy, oczu, dla posągowych kształtów, słowem dla tych wszystkich powodów, dla których nieraz obwijały się naokół jego szyi śnieżne ramiona greckie i rzymskie.

Nagle jednak poczuł, że gdyby ona była taka, jak inne kobiety, toby mu już w niej czegoś nie dostawało. Wówczas zdumiał się i sam nie wiedział, co się z nim dzieje, albowiem

spostrzegł, że i w nim poczynają powstawać jakieś nowe uczucia i nowe upodobania, obce światu, w którym żył dotąd.

Tymczasem ona otworzyła oczy, i widząc, że Winicyusz na nią patrzy, zbliżyła się ku niemu i rzekła:

— Jestem przy tobie.

A on odpowiedział:

— Widziałem we śnie twoją duszę.

ROZDZIAŁ XXVI.

Nazajutrz rano ocknął się osłabiony, ale z głową chłodną i bez gorączki. Zdawało mu się, iż rozbudził go szept rozmowy, ale gdy otworzył oczy Ligii nie było przy nim, Urzus tylko, pochylony przed kominem, rozgrzebywał siwy popiół i szukał pod nim żaru, który znalazłszy, począł rozdmuchywać węgle tak, jakby czynił to nie ustami, ale miechem kowalskim. Winicyusz, przypomniawszy sobie, że człowiek ów zgniótł wczoraj Krotona, przypatrywał się z zajęciem,-godnem lubownika areny, jego olbrzymiemu grzbietowi, podobnemu do grzbietu cyklopa, i potężnym, jak kolumny, udom.

— Dzięki Merkuremu, że mi karku nie skręcił — pomyślał w duszy. — Na Polluxa! jeśli inni Ligowie do niego podobni, legie danubijskie mogą mieć z nimi kiedyś ciężką robotę!

Głośno zaś ozwał się:

— Hej, niewolniku!

Urzus usunął głowę z komina i uśmiechnąwszy się niemal przyjaźnie, rzekł:

— Bóg ci daj, panie, dobry dzień i dobre zdrowie, ale ja człek wolny, nie niewolnik.

Winicyuszowi, który miał ochotę rozpytać Urzusa o ojczysty kraj Ligii, słowa te sprawiły pewną przyjemność, albowiem rozmowa z człowiekiem wolnym, jakkolwiek prostym, mniejszą przynosiła ujmę jego rzymskiej i patrycyuszowskiej godności, niż rozmowa z niewolnikiem, w którym ni prawo, ni obyczaj nie uznawały ludzkiej istoty.

— Toś ty nie Aulusów? — spytał.

— Nie, panie. Ja służę Kallinie, jako służyłem jej matce, ale po dobrej woli.

Tu schował znów głowę w komin, by podmuchać na węgle, na które narzucił poprzednio drew, poczem wyjął ją i rzekł:

— U nas niema niewolników.

Lecz Winicyusz spytał:

— Gdzie jest Ligia?

— Dopiero co odeszła, a ja mam uwarzyć śniadanie dla ciebie, panie. Czuwała nad tobą całą noc.

— Czemuś jej nie wyręczył?

— Bo tak chciała, a moja rzecz słuchać.

Tu oczy zasępiły mu się i po chwili dodał:

— Gdybym ja jej nie słuchał, to tybyś, panie, nie żył.

— Zali żałujesz, żeś mnie nie zabił?

— Nie, panie. Chrystus nie kazał zabijać.

— A Atacynus? a Kroto?

— Nie mogłem inaczej — mruknął Urzus.

I począł patrzeć jakby z żalem na swe ręce, które widocznie zostały pogańskie, mimo iż dusza chrzest przyjęła.

Następnie postawił garnek na trzonie i kucnąwszy przed kominem, utkwił zamyślone oczy w płomień.

— To twoja wina, panie — rzekł wreszcie — pocoś podnosił rękę na nią, na córkę królewską?

W Winicyuszu zawrzała w pierwszej chwili duma, że prostak i barbarzyniec śmie nietylko przemawiać do niego tak poufale, ale jeszcze przyganiać mu. Do tych nadzwyczajnych i nieprawdopodobnych rzeczy, które spotkały go od onegdajszej nocy, przybyła jeszcze jedna. Lecz, będąc słabym i nie mając pod ręką swych niewolników, pohamował się, zwłaszcza, że i chęć dowiedzenia się jakichś szczegółów z życia Ligii przemogła.

Więc, uspokoiwszy się, począł wypytywać o wojnę Ligów przeciw Waniuszowi i Swewom. Urzus rad opowiadał, lecz nie mógł dodać wiele nowego do tego, co Winicyuszowi opowiadał w swoim czasie Aulus Plaucyusz. Urzus w bitwie nie był, towarzyszył bowiem zakładniczkom do obozu Ateliusza Histra. Wiedział tylko, że Ligowie zbili Swewów i Jazygów, ale wódz ich i król poległ od strzały Jazyga. Zaraz potem odebrali wieści, że Semnonowie zapalili lasy na ich gra-

nicach i wrócili w lot, by pomścić krzywdę, a zakładniczki zostały u Ateliusza, który z początku kazał im oddawać honory królewskie. Później matka Ligii zmarła. Wódz rzymski nie wiedział, co robić z dzieckiem. Urzus chciał wracać z niem do kraju, ale droga to była niebezpieczna z powodu zwierza i dzikich plemion; gdy więc przyszła wieść, że jakieś poselstwo Ligów znajduje się u Pomponiusza, ofiarując mu pomoc przeciw Markomanom, Hister odesłał ich do Pomponiusza. Przybywszy do niego, dowiedzieli się jednak, że posłów żadnych nie było — i w ten sposób zostali w obozie, skąd Pomponiusz przywiózł ich do Rzymu, a po odbytym tryumfie oddał królewskie dziecko Pomponii Grecynie.

Winicyusz, jakkolwiek w tem opowiadaniu drobne tylko szczegóły były mu nieznane, słuchał z przyjemnością, albowiem niezmierną jego pychę rodową łechtało mile to, że naoczny świadek stwierdzał królewskie pochodzenie Ligii. Jako córka królewska, mogła była ona zająć na dworze Cezara stanowisko, równe córkom najpierwszych rodów, tembardziej, że naród, którego władcą był jej ojciec, nigdy dotąd nie wojował z Rzymem, a jakkolwiek barbarzyński, mógł się okazać groźnym, gdyż, wedle świadectwa samego Ateliusza Histra, posiadał „niezliczoną moc" wojowników.

Urzus zresztą potwierdził w zupełności owo świadectwo, albowiem na pytanie Winicyusza o Ligów, odrzekł:

— My siedzim w lasach, ale ziemi u nas tyle, że nikt nie wie, gdzie koniec puszczy i ludu w niej dużo. Są też w puszczy i grody drewniane, w których dostatek wielki, bo co Semnony, Markomany, Wandale i Kwady złupią po świecie, to my im odbieramy. Oni zaś nie śmią do nas iść, jeno gdy wiatr od nich, to palą nam lasy. I nie boimy się ni ich, ni rzymskiego Cezara.

— Bogowie dali Rzymianom zwierzchnictwo nad ziemią — rzekł surowo Winicyusz.

— Bogowie, to złe duchy — odpowiedział z prostotą Urzus — a gdzie niema Rzymian, tam niema i zwierzchnictwa.

Tu poprawił ogień i mówił jakby sam do siebie:

— Gdy Kallinę wziął Cezar na dwór, a ja myślałem, że może ją spotkać krzywda, tom chciał iść aż hen do lasów i sprowadzić Ligów na pomoc królewnie. I Ligowie ruszyliby

ku Dunajowi, bo to lud dobry, choć pogański. Ot! zaniósłbym im „dobrą nowinę“. Ale ja i tak kiedy, jak Kallina wróci do Pomponii, pokłonię się jej, by pozwoliła mi iść do nich, bo Chrystus narodził się daleko i oni nawet nie słyszeli o Nim... Wiedział On lepiej ode mnie, gdzie Mu się trzeba narodzić, ale gdyby tak u nas, w puszczy przyszedł na świat, pewniebyśmy Go nie umęczyli, ale hodowalibyśmy Dzieciątko i dbali, by Mu nigdy nie zbrakło ni zwierzyny, ni grzybów, ni skór bobrowych, ni bursztynu. A cobyśmy na Swewach albo Markomanach złupili, tobyśmy Mu oddali, by zaś miało dostatek i wygodę.

Tak mówiąc, przystawił do ognia naczynie z polewką, przeznaczoną dla Winicyusza, i umilkł. Myśl jego błądziła widocznie czas jakiś po puszczach ligijskich, aż dopiero gdy płyn począł syczeć, wylał go w płaską misę i ostudziwszy należycie, rzekł:

— Glaukus radzi, byś jak najmniej poruszał, panie, nawet tą ręką, która została zdrowa, więc Kallina rozkazała mi cię karmić.

Ligia rozkazała! na to nie było odpowiedzi. Winicyuszowi nie przyszło nawet na myśl sprzeciwić się jej woli, jakby była córką Cezara lub boginią, nie odpowiedział przeto ani słowem, Urzus zaś, siadłszy koło jego łóżka, począł czerpać polewkę z misy małym kubkiem i podawać mu ją do ust. Czynił to tak troskliwie, z takim dobrym uśmiechem w swoich błękitnych oczach, iż Winicyusz oczom swoim nie wierzył, by to mógł być ten sam straszliwy tytan, który w dniu wczorajszym, zgniótłszy Krotona, rzucił się na niego samego, jak burza, i byłby go rozniósł, gdyby nie litość Ligii. Młody patrycyusz po raz pierwszy w życiu począł się zastanawiać nad tem, co też może dziać się w piersi prostaka, sługi i barbarzyńcy.

Lecz Urzus okazał się niańką o tyle niezgrabną, o ile troskliwą. Kubek ginął całkowicie w jego herkulesowych palcach, tak, że nie pozostawało nic miejsca dla ust Winicyusza. Po kilku nieudanych próbach olbrzym zatroskał się wielce i rzekł:

— Ej, łatwiej żubra z ostępu wywieść...

Winicyusza zabawiło zakłopotanie Liga, lecz niemniej zajęła go jego uwaga. Widywał on w cyrkach straszliwe „ury“,

sprowadzone z puszcz północnych, na które najdzielniejsi *bestiarii* polowali z obawą i które jednym tylko słoniom ustępowały w wielkości i sile.

— Zaliś próbował brać takie bestye za rogi? — spytał ze zdumieniem.

— Póki nie przeszło nade mną dwadzieścia zim, tom się bał — odrzekł Urzus — ale potem bywało!

I jął znów karmić Winicyusza, jeszcze niezgrabniej, niż przedtem.

— Muszę poprosić Myryam lub Nazaryusza — rzekł.

Lecz tymczasem blada główka Ligii wychyliła się z poza zasłony.

— Zaraz pomogę — rzekła.

I wyszła po chwili z kubikulum, w którem gotowała się widocznie do snu, gdyż przybrana była tylko w obcisłą tunikę, zwaną u starożytnych *capitium*, zakrywającą szczelnie piersi, i włosy miała rozwiązane. Winicyusz, którego serce zabiło żywiej na jej widok, począł jej wymawiać, że dotąd nie pomyślała o śnie, lecz ona odrzekła wesoło:

— Właśnie chciałam to uczynić, ale pierwej zastąpię Urzusa.

I wziąwszy kubek, siadła na krawędzi łóżka i poczęła karmić Winicyusza, który czuł się zarazem upokorzony i szczęśliwy. Gdy pochylała się ku niemu, biło na niego ciepło jej ciała i rozwiązane jej włosy spływały mu na piersi, on zaś bladł z wrażenia, ale w zamęcie i porywie żądz odczuwał zarazem, że to jest nad wszystko droga i nad wszystko uwielbiona głowa, wobec której świat cały jest niczem. Pierwej pożądał jej, teraz poczynał ją kochać pełną piersią. Dawniej, jak wogóle w życiu, tak i w uczuciu, był, jak wszyscy ówcześni ludzie, ślepym, bezwzględnym egoistą, któremu chodziło tylko o siebie, obecnie poczęło mu chodzić i o nią.

Po chwili też odmówił dalszego posiłku i, choć w patrzeniu na nią i w jej obecności znajdował nieprzebraną rozkosz, rzekł:

— Dosyć. Idź spocząć, boska moja.

— Nie nazywaj mnie tak — odpowiedziała — mnie się tego słuchać nie godzi.

Jednakże uśmiechała się do niego, a następnie rzekła mu, że sen ją odbiegł, że trudu nie czuje i że nie uda się

na spoczynek, póki nie przyjdzie Glaukus. On słuchał jej słów jak muzyki, a zarazem serce wzbierało mu coraz większem wzruszeniem, coraz większym zachwytem, coraz większą wdzięcznością, a myśl biedziła się, jakby jej tę wdzięczność okazać.

— Ligio — rzekł po chwili milczenia — jam cię poprzednio nie znał. Ale teraz wiem, żem chciał dojść do ciebie błędną drogą, więc ci powiadam: wróć do Pomponii Grecyny i bądź pewna, że odtąd nikt nie podniesie na ciebie ręki.

A jej twarz posmutniała nagle.

— Byłabym szczęśliwa — odrzekła — gdybym ją choć z daleka mogła zobaczyć, ale wrócić do niej już nie mogę.

— Dlaczego? — zapytał ze zdziwieniem Winicyusz.

— My, chrześcijanie, wiemy przez Akte, co się na Palatynie dzieje. Zaliś nie słyszał, że Cezar wkrótce po mojej ucieczce, a przed swym wyjazdem do Neapolis, wezwał Aulusa i Pomponię — i, mniemając, że mi pomogli, groził im swym gniewem. Szczęściem, Aulus mógł mu odrzec: „Wiesz, panie, że nigdy kłamstwo nie przeszło mi przez usta; otóż przysięgam ci, żeśmy jej nie pomogli do ucieczki i że równie, jak ty, nie wiemy, co się z nią stało“. I Cezar uwierzył, a potem zapomniał — ja zaś z porady starszych nigdy nie pisałam do matki, gdzie jestem, by zawsze śmiało mogła zaprzysiądz, że nic o mnie nie wie. Ty może tego nie pojmiesz, Winicyuszu, ale nam kłamać nie wolno, nawet gdyby o życie chodziło. Taka jest nasza nauka, do której chcemy stosować serca, więc nie widziałam Pomponii od czasu, gdym opuściła jej dom, ją zaś zaledwie od czasu do czasu dolatywały dalekie echa, że żyję i żem bezpieczna.

Tu porwała ją tęsknota, bo oczy jej zrosiły się łzami, lecz wkrótce uspokoiła się i rzekła:

— Wiem, że i Pomponia tęskni za mną, my jednak mamy nasze pociechy, których nie mają inni.

— Tak — odrzekł Winicyusz — waszą pociechą Chrystus, ale ja tego nie rozumiem.

— Patrz na nas: niema dla nas rozłączeń, niema boleści i cierpień, a jeśli przyjdą, to zmieniają się w radość. I śmierć sama, która dla was jest końcem życia, dla nas jest tylko jego początkiem i zmianą gorszego szczęścia na lepsze, mniej spokojnego na spokojniejsze i wieczyste. Zważ, jaką

musi być nauka, która nakazuje nam miłosierdzie nawet względem nieprzyjaciół, broni kłamstwa, oczyszcza dusze nasze od złości, i obiecuje po śmierci szczęście nieprzebrane.

— Słyszałem to w Ostryanum i widziałem, jak postąpiliście ze mną i z Chilonem, a gdy o tem myślę, dotychczas zdaje mi się, że to sen i że ni uszom, ni oczom nie powinienem wierzyć. Lecz ty mi odpowiedz na inne pytanie: jestżeś szczęśliwa?

— Tak! — odrzekła Ligia. — Wyznając Chrystusa, nie mogę być nieszczęśliwą.

Winicyusz spojrzał na nią, jak gdyby to, co mówiła, przechodziło całkiem miarę ludzkiego rozumowania.

— I nie chciałabyś wrócić do Pomponii?

— Chciałabym z całej duszy i wrócę, jeśli taka będzie wola Boga.

— Więc ci mówię: wróć, a ja ci przysięgnę na moje lary, że nie podniosę na ciebie ręki.

Ligia zamyśliła się przez chwilę, poczem odrzekła:

— Nie. Nie mogę blizkich moich podać na niebezpieczeństwo. Cezar nie kocha rodu Plaucyuszów. Gdybym wróciła — ty wiesz jak przez niewolników rozchodzi się każda wiadomość po Rzymie — więc i mój powrót stałby się rozgłośny w mieście i Nero dowiedziałby się o nim przez swoich niewolników niewątpliwie. Wówczas skarałby Aulusów, a co najmniej odebrałby mnie im znowu.

— Tak — rzekł, marszcząc brwi Winicyusz — toby być mogło. Uczyniłby to, choćby dlatego, by okazać, że woli jego musi się stać zadosyć. Prawda jest, że on tylko zapomniał o tobie lub nie chciał myśleć, mniemając, że nie jemu, ale mnie stała się ujma. Lecz może... odjąwszy cię Aulusom... oddałby mnie, a ja, wróciłbym cię Pomponii.

Lecz ona zapytała ze smutkiem:

— Winicyuszu, czy chciałbyś mnie widzieć znów na Palatynie?

On zaś zacisnął zęby i odrzekł:

— Nie. Masz słuszność. Mówiłem jak głupiec! Nie!

I nagle ujrzał przed sobą jakby przepaść bez dna. Był patrycyuszem, był trybunem wojskowym, był człowiekiem potężnym, ale nad wszystkiemi potęgami tego świata, do którego należał, stał przecie szaleniec, którego ni woli, ni złośli-

wości niepodobna było przewidzieć. Nie liczyć się z nim, nie bać się go, mogli chyba tacy ludzie, jak chrześcijanie, dla których cały ten świat, jego rozłąki, cierpienia i śmierć sama była niczem. Wszyscy inni musieli drżeć przed nim. Groza czasów, w których żyli, ukazała się Winicyuszowi w całej swej potwornej rozciągłości. Nie mógł oto oddać Ligii Aulusom, z obawy, by potwór nie przypomniał sobie jej, i nie zwrócił na nią swego gniewu; z tego samego powodu, gdyby ją teraz wziął za żonę, mógł narazić ją, siebie i Aulusów. Chwila złego humoru wystarczała, by zgubić wszystkich. Winicyusz po raz pierwszy w życiu poczuł, że albo świat musi się zmienić i przerodzić, albo życie stanie się zgoła niemożliwe. Zrozumiał również to, co przed chwilą jeszcze było dla niego ciemne, że w takich czasach jedni tylko chrześcijanie mogli być szczęśliwi.

Lecz przedewszystkiem chwycił go żal, gdyż zrozumiał i to, że to on sam tak poplątał życie sobie i Ligii, iż z tej plątaniny nie było prawie wyjścia. I pod wpływem tego żalu począł mówić:

— Czy ty wiesz, żeś ty szczęśliwsza ode mnie? Ty w ubóstwie i w tej jednej izbie wśród prostaków miałaś swoją naukę i swego Chrystusa, ja zaś mam tylko ciebie, i gdy mi cię zbrakło, byłem jak nędzarz, który niema ni dachu nad sobą, ni chleba. Tyś mi droższa, niż świat cały. Szukałem cię, bom nie mógł żyć bez ciebie. Nie chciałem ni uczt, ni snu. Gdyby nie nadzieja, że cię znajdę, byłbym się rzucił na miecz. Ale boję się śmierci, bo nie mógłbym na ciebie patrzeć. Mówię ci szczerą prawdę, iż nie potrafię bez ciebie żyć i dotąd żyłem tylko nadzieją, że cię znajdę i zobaczę. Czy pamiętasz nasze rozmowy u Aulusów? Raz nakreśliłaś mi rybę na piasku, a jam nie rozumiał, co to znaczy. Pamiętasz, jak bawiliśmy się w piłkę? Kochałem cię już wówczas nad życie, a i ty już poczęłaś się domyślać, że cię kocham... Nadszedł Aulus, straszył nas Libityną i przerwał nam rozmowę. Pomponia powiedziała na pożegnanie Petroniuszowi, że Bóg jest jeden, wszechmocny i miłosierny, ale nam ani do głowy nie przyszło, że waszym Bogiem jest Chrystus. Niech mi odda ciebie, a pokocham Go, choć wydaje mi się Bogiem niewolników, cudzoziemców i nędzarzy. Ty siedzisz przy mnie i myślisz o Nim tylko. Myśl i o mnie, bo inaczej

Go znienawidzę. Dla mnie tyś jedna bóstwem. Błogosławiony ojciec twój i matka, błogosławiona ziemia, która cię wydała. Chciałbym objąć twoje nogi i modlić się do ciebie, tobie składać cześć, tobie ofiary, tobie pokłony — ty trzykroć boska!! Ty nie wiesz, ty nie możesz wiedzieć, jak ja cię kocham...

Tak mówiąc, pociągnął ręką po pobladłem czole i przymknął oczy. Natura jego nie znała nigdy tamy, tak w gniewie, jak i w miłości. Mówił z uniesieniem, jak człowiek, który, przestawszy nad sobą panować, nie chce liczyć się z żadną miarą ni w słowach, ni w czci. Lecz mówił z głębi duszy i szczerze. Czuć było, że ból, zachwyt, żądza i uwielbienie, nagromadziwszy się w jego piersi, buchnęły wreszcie niepopowstrzymanym potokiem słów. Ligii słowa jego wydały się bluźniercze, a jednak serce jej poczęło bić, jakby chciało rozerwać krępującą piersi tunikę. Nie mogła oprzeć się litości nad nim i nad jego męką. Wzruszyła ją cześć, z jaką do niej mówił. Czuła się kochaną i ubóstwioną bez granic, czuła, że ten nieugięty i niebezpieczny człowiek należy teraz do niej duszą i ciałem, jak niewolnik, i to poczucie jego pokory, własnej potęgi napełniło ją szczęściem. Wspomnienia jej ożyły w jednej chwili. Był to dla niej znów ten przepyszny i piękny, jak pogański bóg, Winicyusz, który w domu Aulusów mówił jej o miłości i budził, jak ze snu, jej półdziecinne naówczas serce; ten sam, którego pocałunki czuła jeszcze na ustach, i z którego objęć wyrwał ją na Palatynie Urzus, jakby ją wyrwał z płomienia. Tylko obecnie, z zachwytem, a zarazem z bólem w swojej orlej twarzy, z pobladłem czołem i błagalnym wyrazem oczu, ranny, złamany miłością, kochający, pełen ubóstwienia i pokory, wydał się jej takim, jakim go chciała mieć wówczas i jakiego byłaby pokochała całą duszą, a więc droższym, niż kiedykolwiek.

I nagle zrozumiała, że może przyjść chwila, w której jego miłość ogarnie i porwie ją, jak wicher, a poczuwszy to, doznała takiego samego wrażenia, jakiego przed chwilą doznał on: mianowicie, że stoi nad brzegiem przepaści. Na toż porzuciła dom Aulusów? na toż ratowała się ucieczką? na toż kryła się tyle czasu w nędznych dzielnicach miasta? Kto był ów Winicyusz? Augustyanin, żołnierz i dworzanin Nerona! Wszakże brał udział w jego rozpuście i szaleństwach, jak świadczyła o tem ta uczta, której Ligia nie mogła zapomnieć;

wszakże chodził razem z innymi do świątyni i składał ofiary bezecnym bogom, w których może i nie wierzył, ale oddawał im jednak cześć urzędową. Wszakże ją ścigał po to, by z niej uczynić swoją niewolnicę i kochankę, a zarazem wtrącić ją w ów straszny świat zbytku, rozkoszy, zbrodni i bezeceństw, wołających o gniew i pomstę Bożą. Wydawał się wprawdzie zmieniony, ale przecie dopiero co sam jej rzekł, że, jeśli będzie więcej myślała o Chrystusie, niż o nim, to gotów Go znienawidzić. Ligii wydało się, że sama myśl o jakiejkolwiek innej miłości, niż miłość do Chrystusa, jest już grzechem przeciw Niemu i przeciw nauce, gdy więc spostrzegła, że na dnie jej duszy mogą się zbudzić inne uczucia i pragnienia, chwyciła ją trwoga przed własną przyszłością i własnem sercem.

Na tę chwilę wewnętrznej rozterki trafił Glaukus, który przyszedł opatrzyć chorego i zbadać jego zdrowie. Na twarzy Winicyusza w mgnieniu oka odbił się gniew i zniecierpliwienie. Zły był, iż mu przerwano rozmowę z Ligią i, gdy Glaukus począł zadawać mu pytania, odpowiadał niemal z pogardą. Wprawdzie pomiarkował się wkrótce, lecz, jeśli Ligia miała jakiekolwiek złudzenia, że to, co słyszał na Ostryanum, mogło podziałać na jego nieużytą naturę, to złudzenia owe musiały pierzchnąć. Zmienił się tylko dla niej, lecz poza tem jednem uczuciem pozostało mu w piersi dawne surowe i samolubne, prawdziwie rzymskie i zarazem wilcze serce, niezdolne, nietylko do uczucia słodkiej nauki chrześcijańskiej, ale nawet i wdzięczności.

Odeszła wreszcie, pełna wewnętrznej troski i niepokoju. Niegdyś w modlitwie ofiarowała Chrystusowi serce pogodne i istotnie czyste, jak łza. Teraz pogoda ta była zmącona. Do wnętrza kwiatu dostał się jadowity robak i począł w nim huczeć. Nawet sen, mimo nieprzespanych dwóch nocy, nie przyniósł jej ukojenia. Śniło jej się, że na Ostryanum Nero na czele orszaku augustyanów, bachantek, korybantów i gladyatorów tratuje uwieńczonym w róże wozem tłumy chrześcijan, a Winicyusz chwyta ją w ramiona, wciąga na kwadrygę i, cisnąc ją do piersi, szepcze: „Pójdź z nami!“

ROZDZIAŁ XXVII.

Od tej chwili rzadziej pokazywała się we wspólnej izbie i rzadziej zbliżała się do jego łóżka. Lecz spokój jej nie wracał. Widziała, że Winicyusz wodzi za nią błagalnym wzrokiem, że czeka na każde jej słowo, jak na łaskę, że cierpi i nie śmie się skarżyć, by jej do siebie nie zrazić, że ona jedna mu jest zdrowiem i radością, i wówczas serce wzbierało w niej politowaniem. Wkrótce też spostrzegła, że im bardziej stara się go unikać, tem większy jej go żal, a tem samem tem tkliwsze rodzą się w niej dla niego uczucia. Opuściła ją spokojność. Czasem mówiła sobie, że właśnie powinna być ciągle przy nim, raz dlatego, że Boska nauka nakazuje dobrem za złe płacić, a powtóre, że, rozmawiając z nim, mogłaby go do tej nauki pociągnąć. Lecz zaraz sumienie mówiło jej, że oszukuje sama siebie, i że ciągnie ją ku niemu nie co innego, tylko jego miłość i jego urok. W ten sposób żyła w ciągłej rozterce, która powiększała się z dniem każdym. Chwilami wydawało jej się, że ją otacza jakaś sieć, ona zaś, chcąc ją przebić, wikła się w niej coraz bardziej. Musiała też wyznać przed sobą, że widok jego co dzień staje się jej potrzebniejszym, głos jego milszym, i że potrzeba jej całą siłą walczyć z chęcią przesiadywania przy jego łożu. Gdy zbliżała się do niego, a on rozpromieniał się, radość zalewała i jej serce. Pewnego dnia dostrzegła ślady łez na jego rzęsach, i po raz pierwszy w życiu przyszła jej myśl, że mogłaby je osuszyć pocałunkami. Przestraszona tą myślą i pełna pogardy dla siebie, przepłakała noc następną.

On zaś był cierpliwy, jakby sobie cierpliwość poprzysiągł. Gdy chwilami zaświeciły mu oczy zniecierpliwieniem, samowolą i gniewem, wnet hamował te błyski, a potem patrzył na nią z niepokojem, jakby chcąc ją przeprosić, ją zaś ujmowało to jeszcze bardziej. Nigdy nie miała poczucia, że jest tak bardzo kochana, i gdy myślała o tem, czuła się zarazem winną i szczęśliwą. Winicyusz też zmieniał się istotnie. W rozmowach jego z Glaukiem mniej było dumy. Często przychodziło mu do głowy, że i ten biedny lekarz niewolnik, i cudzoziemka, stara Myryam, która otaczała go troskliwością, i Kryspus, którego widywał pogrążonego ciągle w mo-

dlitwie, to jednak są ludzie. Dziwił się podobnym myślom — jednakże je miewał. Urzusa polubił z czasem, i rozmawiał z nim teraz całymi dniami, albowiem mógł z nim mówić o Ligii, olbrzym zaś był niewyczerpany w opowiadaniach i spełniając przy chorym najprostsze usługi, począł mu również okazywać pewien rodzaj przywiązania. Ligia była zawsze dla Winicyusza istotą, jakby do innego gatunku należącą, wyższą stokrotnie od tych, którzy ją otaczali; niemniej jednak począł przypatrywać się ludziom prostym i ubogim, czego nie czynił nigdy w życiu, i począł odkrywać w nich różne godne uwagi strony, których istnienie nigdy przedtem nie przychodziło mu do głowy.

Nazaryusza tylko nie mógł ścierpieć, albowiem zdawało mu się, że młody chłopak ośmiela kochać się w Ligii. Długi czas wstrzymywał się wprawdzie z okazywaniem mu niechęci, lecz raz, gdy ten przyniósł dziewczynie dwie przepiórki, które zakupił na targu za własne zarobione pieniądze, w Winicyuszu odezwał się potomek Kwirytów, dla którego przybłęda z obcego narodu mniej znaczył, niż robak najlichszy. Słysząc podziękowanie Ligii, pobladł straszliwie i gdy Nazaryusz wyszedł po wodę dla ptaków, rzekł:

— Ligio, zali możesz ścierpieć, by on składał ci dary? zali nie wiesz, że ludzi jego narodu Grecy psami żydowskimi nazywają?

— Nie wiem, jak ich nazywają Grecy, — odpowiedziała — ale wiem, że Nazaryusz jest chrześcijaninem i bratem moim.

To rzekłszy, spojrzała na niego ze zdziwieniem i żalem, bo już ją był odzwyczaił od podobnych wybuchów, on zaś zacisnął zęby, by jej nie powiedzieć, że takiego jej brata kazałby na śmierć zasmagać batami, lub zesłałby go na wieś, by jako *compeditus* [1]) kopał ziemię w jego sycylijskich winnicach... Pohamował się jednak, zdusił w sobie gniew i dopiero po chwili rzekł:

— Wybacz mi, Ligio. Tyś dla mnie córką królewską i przybranem dzieckiem Plaucyuszów.

I przemógł się do tego stopnia, że gdy Nazaryusz pokazał się znów w izbie, obiecał mu, iż po powrocie do swej

---

[1]) Człowiek, który pracował ze skutemi nogami.

willi podaruje mu parę pawi lub parę flamingów, których miał pełne ogrody.

Ligia zrozumiała, ile go muszą kosztować podobne zwycięstwa nad samym sobą. Lecz im częściej je odnosił, tem bardziej jej serce szło ku niemu. Zasługa jego względem Nazaryusza była jednak mniejsza, niż przypuszczała. Winicyusz mógł przez chwilę oburzyć się na niego, ale nie mógł być o niego zazdrosnym. Syn Myryamy istotnie niewiele więcej znaczył w jego oczach od psa, a prócz tego był jeszcze dzieckiem, które jeśli kochało Ligię, to kochało ją zarazem bezwiednie i służebniczo. Większe walki musiał ze sobą staczać młody trybun, by poddać się, choćby w milczeniu, tej czci, jaką wśród tych ludzi było otoczone imię Chrystusa i Jego nauka. Pod tym względem działy się w Winicyuszu rzeczy dziwne. Była to, bądź co bądź, nauka, w którą wierzyła Ligia, więc dlatego samego gotów był ją uznać. Następnie, im bardziej przychodził do zdrowia, im lepiej przypominał sobie cały szereg zdarzeń, które zaszły od owej nocy na Ostryanum, i cały szereg pojęć, które napłynęły od tego czasu do jego głowy, tem bardziej zdumiewał się nad nadludzką siłą tej nauki, która przeradzała tak do gruntu dusze ludzkie. Rozumiał, że jest w niej coś nadzwyczajnego, coś, czego nie było dotąd na świecie, i czuł, że gdyby ona ogarnęła świat cały, gdyby wszczepiła weń swoją miłość i swoje miłosierdzie, to chyba nastałaby jakaś epoka, przypominająca ową, w której jeszcze nie Jowisz, ale Saturn rządził światem. Nie śmiał też wątpić ani o nadprzyrodzonem pochodzeniu Chrystusa, ani o Jego zmartwychwstaniu, ani o innych cudach. Naoczni świadkowie, którzy o tem mówili, zbyt byli wiarogodni i zbyt brzydzili się kłamstwem, by mógł przypuścić, że opowiadają rzeczy niebywałe. Wreszcie sceptycyzm rzymski pozwalał sobie na niewiarę w bogów, ale wierzył w cuda. Winicyusz stał wobec jakiejś dziwnej zagadki, której nie umiał rozplątać. Z drugiej strony jednak cała ta nauka wydawała mu się tak przeciwną istniejącemu porządkowi rzeczy, tak niepodobną do przeprowadzenia w praktyce i tak szaloną, jak żadna inna. Według niego, ludzie i w Rzymie i na całym świecie mogli być źli, ale porządek rzeczy był dobry. Gdyby Cezar był naprzykład uczciwym człowiekiem, gdyby senat składał się nie ze znikczemniałych rozpustników,

ale z ludzi takich, jakim był Trazeasz, czegóżby więcej można sobie życzyć? Wszak pokój rzymski i zwierzchność rzymska były rzeczą dobrą, rozdział między ludźmi słusznym i sprawiedliwym. A tymczasem ta nauka, wedle rozumienia Winicyusza, musiałaby zburzyć wszelki porządek, wszelką zwierzchność, i znieść wszelkie różnice. I co wówczas stałoby się choćby z władztwem i państwem rzymskiem? Zali Rzymianie mogli przestać panować, lub uznać całą trzodę podbitych narodów za równą sobie? To już nie mieściło się w głowie patrycyusza. A przytem osobiście nauka ta była przeciwną wszelkim jego wyobrażeniom, przyzwyczajeniu, charakterowi i pojęciom o życiu. Nie mógł sobie zgoła wyobrazić, jakby mógł istnieć, gdyby ją naprzykład przyjął. Obawiał się jej i podziwiał ją, ale przed przyjęciem jej wzdrygała się po prostu jego natura. Rozumiał nakoniec, że nic innego, tylko ona rozdzieliła go z Ligią, i gdy o tem myślał, nienawidził jej ze wszystkich sił duszy.

Jednakże zdawał sobie już sprawę, że to ona ubrała Ligię w tę jakąś wyjątkową, niewysłowioną piękność, która w jego sercu zrodziła prócz miłości, cześć, prócz żądzy, uwielbienie, i z samej Ligii uczyniła drogą mu nad wszystko w świecie istotę. A wówczas chciało mu się znów kochać Chrystusa. I pojmował jasno, że albo Go musi pokochać, albo znienawidzić, obojętnym zaś zostać nie może. Tymczasem parły go jakby dwie przeciwne fale, wahał się w myślach, wahał się w uczuciach, nie umiał wybrać, skłaniał jednak głowę i okazywał milczącą cześć temu niepojętemu dla siebie Bogu, dlatego tylko, że był to Bóg Ligii.

Ligia zaś widziała co się w nim działo, jak się przełamywał, jak natura jego odrzucała tę naukę, i jeśli z jednej strony martwiło ją to śmiertelnie, z drugiej strony, żal, litość i wdzięczność za owo milczące poszanowanie, jakie dla Chrystusa okazywał, skłaniały ku niemu z nieprzepartą siłą jej serce. Przypomniała sobie Pomponię Grecynę i Aulusa. Dla Pomponii źródłem nieustannego smutku i nigdy nie osychających łez, była myśl, że za grobem nie odnajdzie Aulusa. Ligia poczęła teraz lepiej rozumieć tę gorycz i ten ból. I ona znalazła drogą istotę, z którą groził jej wiekuisty rozdział. Czasem łudziła się wprawdzie, że jego dusza otworzy się jeszcze na Chrystusowe prawdy, ale złudzenia te nie mogły

się ostać. Znała i rozumiała go już zbyt dobrze. Winicyusz — chrześcijaninem! Te dwa pojęcia, nawet w jej niedoświadczonej głowie, nie mogły się obok siebie pomieścić. Jeśli rozważny i pełen stateczności Aulus nie został nim pod wpływem mądrej i doskonałej Pomponii, jakże mógł nim zostać Winicyusz? Na to nie było odpowiedzi, a raczej istniała tylko jedna: że niemasz dla niego ni nadziei, ni ratunku.

Lecz Ligia spostrzegła z przestrachem, że ten wyrok zatraty, który nad nim wisi, zamiast ją zrażać do niego, przez samo politowanie czyni go jej jeszcze droższym. Chwilami brała ją ochota mówić z nim szczerze o jego ciemnej przyszłości, lecz gdy raz siadłszy przy nim rzekła mu, że poza nauką chrześcijańską niema życia, on, będąc już silniejszym, przypodniósł się na swem zdrowem ramieniu i nagle złożył jej głowę na kolanach, mówiąc: „tyś jest życie!“ A wówczas oddech zamarł jej w piersi, przytomność opuściła ją, jakiś dreszcz rozkoszy przebiegł ją od stóp do głowy. Chwyciwszy dłońmi jego skronie, usiłowała go podnieść, lecz sama pochyliła się przytem ku niemu, tak, że ustami dotknęła jego włosów i przez chwilę zmagali się tak w upojeniu, ze sobą i z miłością, która pchała jedno ku drugiemu.

Ligia podniosła się wreszcie i uciekła, czując płomień w żyłach i zawrót w głowie. Lecz to była kropla, która przelała ostatecznie pełny już kielich. Winicyusz nie domyślił się, jak drogo przyjdzie mu opłacić szczęsną chwilę, lecz Ligia zrozumiała, że teraz ona sama potrzebuje ratunku. Noc po owym wieczorze spędziła bezsennie, we łzach i na modlitwie, z poczuciem, że nie godna jest się modlić i że nie może być wysłuchaną. Nazajutrz wyszła wcześnie z kubikulum i wywoławszy Kryspa do ogrodowego letnika, pokrytego bluszczem i zwiędłymi powojami, otworzyła mu całą duszę, błagając go zarazem, by pozwolił jej porzucić dom Myryam, albowiem nie ufa już sobie i nie może przemódz w sercu miłości dla Winicyusza.

Kryspus, który był człowiekiem starym, surowym i pogrążonym w ciągłem uniesieniu, zgodził się na zamiar opuszczenia domu Myryam, lecz nie znalazł słów przebaczenia dla grzesznej, wedle jego pojęć, miłości. Serce wezbrało mu oburzeniem na samą myśl, że owa Ligia, którą opiekował się od chwili ucieczki, którą pokochał, utwierdził w wierze i na którą

patrzył dotychczas jakby na białą lilię, wyrosłą na gruncie nauki chrześcijańskiej i nieskażoną żadnem tchnieniem ziemskiem, mogła znaleźć w duszy miejsce na inną miłość, niż niebieską. Wierzył dotąd, że nigdzie, w całym świecie nie biło czystsze serce na chwałę Chrystusa. Chciał ją Mu ofiarować, jak perłę, jak klejnot i drogie dzieło rąk własnych, więc doznany zawód napełnił go i zdumieniem i goryczą.

— Idź i błagaj Boga, by ci przebaczył winy — rzekł jej posępnie. — Uciekaj, póki zły duch, który cię oplątał, nie przywiedzie cię do zupełnego upadku i póki nie zaprzesz się Zbawiciela. Bóg umarł dla cię na krzyżu, by krwią własną odkupić twą duszę, lecz ty wolałaś umiłować tego, który chciał cię uczynić swoją nałożnicą. Bóg cudem ocalił cię z rąk jego, lecz ty otworzyłaś serce żądzy nieczystej i pokochałaś syna ciemności. Któż on jest? — Przyjaciel i sługa Antychrysta, wspólnik rozpusty i zbrodni. Gdzież on cię zawiedzie, jeśli nie do tej otchłani i do tej Sodomy, w której sam żyje, a którą Bóg zniszczy płomieniem swego gniewu? A ja ci mówię: bogdajbyś była umarła, bogdajby ściany tego domu były zawaliły się na głowę twoją pierwej, niż ów mąż wpełznął do twojej piersi i poślinił ją jadem swej nieprawości.

I unosił się coraz bardziej, albowiem wina Ligii napełniła go nietylko gniewem, ale obrzydzeniem i pogardą dla natury ludzkiej wogóle, w szczególności zaś dla kobiecej, której nawet nauka chrześcijańska nie uchroniła od słabości Ewy. Niczem dla niego było, że dziewczyna pozostała jeszcze czystą, że chciała uciekać od tej miłości i że wyznawała ją z żalem i skruchą. Kryspus chciał ją był zmienić w anioła i wynieść na wysokości, na których istniała tylko miłość dla Chrystusa, a ona pokochała oto augustyanina! Sama myśl o tem napełniła jego serce zgrozą, spotęgowaną uczuciem rozczarowania i zawodu. Nie! nie mógł jej tego przebaczyć! Słowa zgrozy paliły mu wargi nakształt gorejących węgli; walczył jeszcze ze sobą, by ich nie wymówić, lecz trząsł swemi wychudłemi rękoma nad przerażoną dziewczyną. Ligia czuła się winną, lecz nie do tego stopnia winną. Sądziła nawet, że oddalenie się z domu Myryam będzie jej zwycięstwem nad pokusą i złagodzeniem winy. Kryspus starł ją w proch; ukazał jej całą lichotę i nikczemność jej duszy, o jaką nie podejrzywała się dotąd. Ona sądziła nawet, że stary prezbiter,

który od chwili jej ucieczki z Palatynu był dla niej jakby ojcem, okaże trochę litości, że ją pocieszy, doda otuchy, umocni.

— Bogu ofiaruję mój zawód i moją boleść — mówił — aleś ty zawiodła i Zbawiciela, boś zeszła jakoby na bagno, którego wyziewy zatruły ci duszę. Mogłaś ofiarować ją Chrystusowi, jako naczynie kosztowne, i rzec Mu: „Wypełnij je, Panie, łaską!“ a wolałaś ofiarować słudze złego ducha. Niechaj ci Bóg przebaczy i niechaj zmiłuje się nad tobą, gdyż ja, póki nie wyrzucisz węża... ja, który miałem cię za wybraną...

I nagle przestał mówić, albowiem spostrzegł, że nie byli sami.

Przez zwiędłe powoje i przez bluszcze, zieleniące się jednako latem i zimą, ujrzał dwóch ludzi, z których jeden był Piotr Apostoł. Drugiego nie mógł zrazu rozpoznać, albowiem płaszcz z grubej włosianej tkaniny, zwanej *cilicium*, zasłaniał mu część twarzy. Kryspowi wydawało się przez chwilę, iż to był Chilon.

Oni zaś usłyszawszy podniesiony głos Kryspa, weszli do letnika i siedli na kamiennej ławce. Towarzysz Piotra odsłonił wówczas twarz chudą, z łysiejącą czaszką, pokrytą po bokach kędzierzawym włosem, z zaczerwienionemi powiekami i z zakrzywionym nosem — brzydką i zarazem natchnioną, w której Kryspus rozpoznał rysy Pawła z Tarzu.

Lecz Ligia, rzuciwszy się na kolana, objęła ramionami jakby z rozpaczą nogi Piotra i przytuliwszy swą znękaną główkę do fałd jego płaszcza, pozostała tak w milczeniu.

A Piotr rzekł:

— Pokój duszom waszym.

I widząc dziecko u swych nóg, zapytał, co się stało. Wówczas Kryspus począł opowiadać wszystko, co mu wyznała Ligia, jej grzeszną miłość, jej chęć ucieczki z domu Myryam i swój żal, że dusza, którą chciał ofiarować Chrystusowi czystą, jak łza, zbrudziła się ziemskiem uczuciem dla uczestnika wszystkich zbrodni, w których grzęznął świat pogański i które wołały o pomstę Bożą.

Ligia w czasie jego słów obejmowała coraz silniej nogi Apostoła, jakby chcąc przy nich szukać ucieczki i wyżebrać choć trochę litości.

Apostoł zaś, wysłuchawszy do końca, pochylił się i położył zgrzybiałą rękę na jej głowie, poczem podniósł oczy na starego kapłana i rzekł:

— Kryspie, zaliś nie słyszał, że Mistrz nasz ukochany był w Kanie na godach i błogosławił miłości między niewiastą i mężem?

Kryspowi opadły ręce i spojrzał ze zdumieniem na mówiącego, nie mogąc słowa przemówić.

A ów, pomilczawszy chwilę, spytał znowu:

— Kryspie, zali mniemasz, że Chrystus, który dopuszczał Maryi z Magdali leżeć u nóg swoich i który przebaczył jawnogrzesznicy, odwróciłby się od tego dziecka, czystego jak lilie polne?

Ligia ze łkaniem przytuliła się jeszcze silniej do nóg Piotrowych, zrozumiawszy, że niepróżno szukała przy nich ucieczki. Apostoł, podniósłszy jej złami zalaną twarz, mówił do niej:

— Póki oczy tego, którego miłujesz, nie otworzą się na światło prawdy, póty unikaj go, aby nie przywiódł cię do grzechu, lecz módl się za niego i wiedz, że niemasz winy w miłości twojej. A iż chcesz się chronić pokusy, przeto ta zasługa policzona ci będzie. Nie martw się i nie płacz, albowiem powiadam ci, że łaska Zbawiciela nie opuściła cię i że modlitwy twoje zostaną wysłuchane, po smutkach zaś poczną się dni wesela.

To rzekłszy, położył obie dłonie na jej włosach, i wzniósłszy w górę oczy, błogosławił jej. Z twarzy świeciła mu nadziemska dobroć.

Lecz skruszony Kryspus począł się z pokorą usprawiedliwiać:

— Zgrzeszyłem przeciw miłosierdziu — rzekł — alem mniemał, że dopuszczając do serca miłość ziemską, zaparła się Chrystusa...

Piotr zaś odpowiedział:

— Po trzykroć się Go zaparłem, a jednak przebaczył mi i kazał paść baranki swoje.

— ...I dlatego, — kończył Kryspus — że Winicyusz jest augustyaninem...

— Chrystus kruszył twardsze jeszcze serca — odrzekł Piotr.

Na to Paweł z Tarzu, który milczał dotąd, przyłożył palce do swej piersi i wskazując na siebie, rzekł:

— Jam jest, którym prześladował i porywał na śmierć sługi Chrystusa. Jam podczas kamienowania Szczepana pilnował szat tych, którzy go kamienowali; jam chciał wyplenić prawdę po wszystkiej ziemi, którą zamieszkują ludzie, a jednak — mnie to przeznaczył Pan, abym ją po wszystkiej ziemi opowiadał. I opowiadałem ją w Judei, w Grecyi, na wyspach i w tem bezbożnem mieście, gdym po raz pierwszy, jako więzień, w niem mieszkał. A teraz, gdy mnie wezwał Piotr, mój zwierzchnik, wstąpię do domu tego, aby ugiąć tę dumną głowę do nóg Chrystusowych i rzucić ziarno w tę kamienistą rolę, którą użyźni Pan, aby wydała plon obfity.

I powstał — Kryspowi zaś ten mały, zgarbiony człowiek wydał się w tej chwili tem, czem był w istocie, to jest olbrzymem, który wzruszy świat z posad i zagarnie ludy i ziemie.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Petroniusz do Winicyusza:

„Zmiłuj się, Carissime, nie naśladuj w listach swych ani Lacedemończyków, ani Juliusza Cezara. Gdybyś przynajmniej, tak jak on, mógł napisać: *veni, vidi, vici!* — rozumiałbym jeszcze lakonizm. Ale twój list znaczy ostatecznie: *veni, vidi, fugi;* że zaś takie zakończenie sprawy jest wprost przeciwne twej naturze, że byłeś ranny i że nakoniec działy się z tobą rzeczy nadzwyczajne, więc list twój potrzebuje objaśnień. Oczom nie wierzyłem, gdym wyczytał, że ów Lig zadusił tak łatwo Krotona, jak pies kaledoński dusi wilka w wąwozach Hibernii. Ten człowiek wart tyle złota, ile sam waży i od niego tylko zależałoby zostać ulubieńcem Cezara. Gdy wrócę do miasta, muszę z nim zabrać bliższą znajomość i każę go sobie odlać z bronzu. Miedzianobrody pęknie z ciekawości, gdy mu powiem, że to z natury. Prawdziwie atletyczne ciała coraz są rzadsze i w Italii i w Grecyi; o Wschodzie niema co i mówić, Germanowie zaś, jakkolwiek rośli, mają muskuły pokryte tłuszczem i więcej ogromu, niż siły. Dowiedz się od Liga, czy stanowi wyjątek, czy też w jego kraju znajduje się

więcej ludzi do niego podobnych. Nuż tobie lub mnie wypadnie kiedy z urzędu wyprawiać igrzyska, dobrzeby było wiedzieć, gdzie szukać ciał najlepszych.

„Ale chwała bogom wschodnim i zachodnim, żeś wyszedł z duszą z rąk podobnych. Ocalałeś zapewne dlatego, żeś patrycyuszem i synem konsularnego męża, ale wszystko, co cię spotkało, zdumiewa mnie w najwyższym stopniu: i ten cmentarz, na którym znalazłeś się wśród chrześcijan, i oni sami, i ich postępowanie z tobą, i następna ucieczka Ligii i wreszcie ten jakiś smutek i niepokój, który wieje z twego krótkiego listu. Objaśnij mnie, albowiem wielu rzeczy nie rozumiem, a jeśli chcesz prawdy, powiem otwarcie, że nie rozumiem: ani chrześcijan, ani ciebie, ani Ligii. I nie dziw się, że ja, którego poza moją własną osobą mało rzeczy obchodzi na świecie, dopytuję się o to wszystko tak skwapliwie. Jam przyczynił się do tego wszystkiego, co zaszło, więc jest to poniekąd moja sprawa. Pisz śpiesznie, albowiem nie umiem dokładnie przewidzieć, kiedy się zobaczymy. W głowie Miedzianobrodego zamiary zmieniają się, jak wiatry wiosenne. Obecnie, siedząc w Benewencie, ma chęć jechać wprost do Grecyi i nie wracać do Rzymu. Tygellinus jednak radzi mu, by wrócił choć na czas pewien, albowiem lud, zbyt stęskniony do jego osoby (czytaj: do igrzysk i chleba), może się wzburzyć. Otóż nie wiem, jak będzie. Jeśli Achaja przeważy, to może zachce nam się Egiptu. Nalegałbym najmocniej, byś tu przyjechał, gdyż uważam, że w tym stanie duszy podróż i nasze rozrywki byłyby lekarstwem, ale mógłbyś nas nie zastać. Pomyśl jednak, czy w takim razie nie wolałbyś wypocząć w twoich ziemiach w Sycylii, niż siedzieć w Rzymie. Pisz mi obszernie o sobie — i żegnaj. Życzeń żadnych, prócz zdrowia, tym razem nie załączam, bo, na Polluxa, nie wiem, czego ci życzyć“.

Winicyusz, odebrawszy ów list, nie czuł początkowo żadnej chęci do odpowiadania. Miał jakieś poczucie, że odpowiadać nie warto, że to na nic nikomu nie posłuży, nic nie wyjaśni i niczego nie rozwiąże. Ogarnęło go zniechęcenie i poczucie marności życia. Zdawało mu się przytem, że Petroniusz w żadnym razie go nie zrozumie, i że zaszło coś takiego, co ich wzajem od siebie oddaliło. Nie mógł przyjść do ładu nawet i sam ze sobą. Wróciwszy z Zatybrza do swej rozkosznej

insuli na Karynach, był jeszcze osłabiony, wyczerpany i przez pierwsze dni doznawał pewnego zadowolenia z wypoczynku, wygód i dostatku, jaki go otaczał. Lecz zadowolenie to trwało krótko. Wkrótce uczuł, że żyje w próżni, że to wszystko, co stanowiło dla niego dotychczas interes życia, albo zupełnie dla niego nie istnieje, albo zmniejszyło się do zaledwie dostrzegalnych rozmiarów. Miał takie uczucie, jakoby podcięto w jego duszy te struny, które dotychczas łączyły go z życiem, a nie nawiązano żadnych nowych. Na myśl, że mógłby pojechać do Benewentu, a następnie do Achai i zanurzyć się w życiu rozkoszy i szalonych wybryków, doznał uczucia czczości. „Poco? co mi z tego przyjdzie?" Oto były pierwsze pytania, które przesunęły mu się przez głowę. Również po raz pierwszy w życiu pomyślał, że gdyby pojechał, to rozmowa Petroniusza, jego dowcip, błyskotliwość, jego wykwintne określanie myśli i dobieranie trafnych słów dla każdej idei, mogłyby go obecnie nużyć.

Z drugiej strony jednak poczęła go nużyć także i samotność. Wszyscy jego znajomi bawili z Cezarem w Benewencie, musiał więc siedzieć w domu sam, z głową pełną myśli i sercem pełnem poczuć, z których nie umiał sobie zdać sprawy. Miewał jednak chwile, w których sądził, że gdyby mógł z kim porozmawiać o tem wszystkiem, co się w nim dzieje, to może zdołałby to wszystko jakoś uchwycić, uporządkować i rozpoznać lepiej. Pod wpływem tej nadziei, po kilku dniach wahania, postanowił jednak odpowiedzieć Petroniuszowi, i lubo nie był pewien, czy mu ową odpowiedź wyśle, skreślił ją jednak w następnych słowach:

„Chcesz, bym pisał obszerniej, więc zgoda; czy potrafię jaśniej, nie wiem, albowiem i sam nie umiem wielu węzłów rozwiązać. Doniosłem ci o moim pobycie wśród chrześcijan, o ich postępkach z nieprzyjaciółmi, do których mieli prawo liczyć i mnie i Chilona, wreszcie o dobroci, z jaką byłem pielęgnowany, i o zniknięciu Ligii. Nie, drogi: nie dlatego mnie oszczędzono, że jestem synem konsularnego męża. Takie względy dla nich nie istnieją, bo przecie przebaczyli i Chilonowi, choć sam zachęcałem ich, by go zakopali w ogrodzie. To są ludzie, jakich dotąd świat nie widział, i nauka, o jakiej dotąd świat nie słyszał. Nic ci innego powiedzieć nie mogę i ktokolwiek ich zechce mierzyć naszą miarą — chybi.

Powiem ci natomiast, że gdybym leżał ze złamaną ręką we własnym domu i gdyby mnie doglądali ludzie moi lub nawet moja rodzina, miałbym zapewne większe wygody, ale nie doznałbym ani w połowie takiej troskliwości, jakiej doznałem między nimi. Wiedz też o tem, że Ligia jest taką, jak inni. Gdyby była moją siostrą lub moją małżonką, nie mogłaby mnie pielęgnować tkliwiej. Nieraz radość zalewała mi serce, sądziłem bowiem, że tylko miłość może podobną tkliwością natchnąć. Nieraz czytałem ją w jej twarzy i spojrzeniu, a wówczas, czy uwierzysz, że wśród tych prostaków, w ubogiej izbie, która zastępowała im zarazem kuchnię i tryklinium, czułem się szczęśliwszy, niż kiedykolwiek? Nie! nie byłem jej obojętny i dziś jeszcze wydaje mi się niepodobieństwem myśleć inaczej. A jednak taż sama Ligia opuściła potajemnie przede mną mieszkanie Myryam. Przesiaduję teraz oto całymi dniami z głową opartą na rękach i rozmyślam, czemu ona to uczyniła? Czym ci pisał, że sam ofiarowałem się jej wrócić ją Aulusom? Wprawdzie odrzekła mi, że to jest już niemożliwe i ze względu na to, że Aulusowie wyjechali do Sycylii, i ze względu na wieści, jakie, przechodząc przez niewolników z domu do domu, dostają się na Palatyn. Cezar mógłby ją znów odebrać Aulusom. Prawda! Ona jednak wiedziała, że dłużej już nastawać na nią nie będę, że porzucam drogę przemocy, a nie mogąc ni przestać jej kochać, ni żyć bez niej, wprowadzę ją do domu mego przez uwieńczone drzwi i posadzę na uświęconej skórze przy ognisku... A jednak uciekła! Dlaczego? Nic jej już nie groziło. Jeśli mnie nie kochała, mogła mnie odrzucić. Na dzień przedtem poznałem dziwnego człowieka, niejakiego Pawła z Tarzu, który rozmawiał ze mną o Chrystusie i Jego nauce i rozmawiał tak potężnie, że mi się wydało, iż każde jego słowo, mimo jego woli, obraca w perzynę wszystkie podstawy naszego świata. Ten sam człowiek odwiedzał mnie po jej ucieczce i rzekł mi: „Gdy Bóg otworzy oczy twoje na światło i zdejmie z nich bielmo, jak z moich, wówczas odczujesz, że postąpiła słusznie, i wówczas może ją odnajdziesz“. I oto łamię głowę nad temi słowy, jakbym je usłyszał z ust Pityi w Delfach. Chwilami zdaje mi się, że już coś rozumiem. Oni, kochając ludzi, są nieprzyjaciółmi naszego życia, naszych bogów i... naszych zbrodni, więc ona uciekła ode mnie, jako od człowieka, który do tego

świata należy i z którym musiałaby podzielić życie, uważane przez chrześcijan za występne. Powiesz, że skoro mogła mnie odrzucić, więc nie potrzebowała się oddalać. A jeśli i ona mnie kocha? W takim razie chciała uciec przed miłością. Na samą myśl o tem chce mi się wysłać niewolników we wszystkie zaułki Rzymu i nakazać im, aby krzyczeli po domach: „wróć Ligio!“ Ale przestaję rozumieć, dlaczego ona to uczyniła. Jabym jej przecie nie bronił wierzyć w jej Chrystusa i sam wzniósłbym mu ołtarz w atrium. Co jeden nowy Bóg więcej mógłby mi szkodzić i dlaczego nie miałbym w Niego uwierzyć, ja, który nie bardzo wierzę w starych? Wiem z wszelką pewnością, że chrześcijanie nigdy nie kłamią, a mówią, że zmartwychwstał. Człowiek przecie tego zrobić nie mógł. Ów Paweł z Tarzu, który jest obywatelem rzymskim, ale który, jako Żyd, zna stare księgi hebrajskie, mówił mi, iż przyjście Chrystusa było zapowiadane od całych tysięcy lat przez proroków. Wszystko to są rzeczy nadzwyczajne, ale czyż nadzwyczajność nie otacza nas ze wszystkich stron? Nie przestano jeszcze przecie mówić i o Apoloniuszu z Tyany. To, co potwierdził Paweł, że niemasz całej gromady bogów, ale jest jeden, wydaje mi się rozsądnem. Podobno i Seneka jest tego zdania, a przed nim było wielu innych. Chrystus był, dał się ukrzyżować dla zbawienia świata i zmartwychwstał. Wszystko to jest zupełnie pewne, nie widzę zatem powodu, dlaczegobym miał się upierać w zdaniu przeciwnem lub dlaczego nie miałbym Mu wznieść ołtarza, skoro gotów byłbym wznieść go naprzykład Serapisowi. Nie trudnoby mi nawet przyszło wyrzec się innych bogów, bo wszakże żaden rozumniejszy umysł i tak w nich nie wierzy. Ale zdaje się, że to wszystko chrześcianom jeszcze nie wystarcza. Nie dość uczcić Chrystusa, trzeba jeszcze żyć wedle nauki; i tu dopiero stajesz jakby nad brzegiem morza, które ci każą przebrnąć piechotą. Gdybym to im obiecał, sami czuliby, że to jest pusty dźwięk słów w moich ustach. Paweł powiedział mi to otwarcie. Ty wiesz, jak kocham Ligię, i wiesz, że niema nic takiego, czegobym dla niej nie czynił. Ale nie mógłbym przecie, nawet na jej żądanie, podnieść na ramionach Sorakte lub Wezuwiusza, ani pomieścić w dłoni Trazymeńskiego jeziora, ani zmienić oczu moich z czarnych na niebieskie, jakie mają Ligowie. Gdyby żądała, chciałbym, ale to nie leży

w mojej mocy. Jam nie filozof, ale też nie jestem i tak głupi, jak ci się może nieraz wydawałem. Otóż powiem ci tak: nie wiem, jak chrześcijanie radzą sobie, by żyć, wiem natomiast, że gdzie się zaczyna ich nauka, tam się kończy władztwo rzymskie, kończy się Rzym, kończy się życie, różnica między zwyciężonym i zwycięzcą, możnym i biednym, panem i niewolnikiem, kończy się urząd, kończy się Cezar, prawo i cały porządek świata, a zamiast tego wszystkiego przychodzi Chrystus i jakieś miłosierdzie, którego dotąd nie bywało, i jakaś dobrotliwość, przeciwna ludzkim i naszym rzymskim instynktom. Mnie wprawdzie Ligia obchodzi więcej, niż cały Rzym i jego panowanie, i niechby się lepiej świat zapadł, bylem ją mógł mieć w swoim domu. Ale to inna rzecz. Dla nich, dla chrześcijan, nie dość się zgodzić w słowach, trzeba jeszcze czuć, że tak jest dobrze i nie mieć w duszy niczego innego. A ja, bogowie mi świadkami! — nie mogę. Czy rozumiesz, co to znaczy? Jest coś w mojej naturze, co się wzdryga na tę naukę, i choćby usta moje ją sławiły, choćbym się do jej przepisów stosował, rozum i dusza mówiłyby mi, że to czynię dla miłości, dla Ligii, i że gdyby nie ona, to nic w świecie nie byłoby dla mnie przeciwniejszego. I rzecz dziwna, że taki Paweł z Tarzu to rozumie, i że rozumie, mimo całej swej prostoty i nizkiego pochodzenia, ów stary theurgus, największy między nimi, Piotr, który był uczniem Chrystusa. I czy wiesz, co czynią? oto modlą się za mnie i proszą dla mnie o coś, co nazywają łaską, a na mnie zstępuje tylko niepokój i coraz większa tęsknota za Ligią.

„Wszakżem ci pisał, że ona odeszła tajemnie, ale odchodząc, zostawiła mi krzyż, który sama powiązała z gałązek bukszpanu. Zbudziwszy się, znalazłem go przy łóżku. Mam go teraz w lararium i sam nie umiem zdać sobie sprawy, dlaczego zbliżam się jednak do niego, tak, jakby w nim było coś boskiego, to jest ze czcią i obawą. Kocham go, bo jej ręce go wiązały, a nienawidzę, bo on nas dzieli. Czasem mi się zdaje, że są w tem wszystkiem jakieś czary i że theurgus Piotr, choć się powiada być prostym rybakiem, jest większy i od Apoloniusza, i od wszystkich, jacy przed nim byli, i że on to opętał ich tam wszystkich, Ligię, Pomponię, i mnie samego.

„Ty piszesz, że w liście mym poprzednim znać niepokój i smutek. Smutek musi być, bom ją znowu utracił, a niepokój jest dlatego, że coś się jednak zmieniło we mnie. Szczerze ci mówię, że nic przeciwniejszego mej naturze, jak ta nauka, a jednak od czasu, jakem się z nią zetknął, nie mogę się poznać. Czary, czy miłość?... Kirka zmieniała dotknięciem ciała ludzkie, a mnie zmieniono duszę. Chyba Ligia jedna mogła to uczynić, albo raczej Ligia przez tę dziwną naukę, którą wyznaje. Gdym od nich wrócił do siebie, nikt się mnie nie spodziewał. Mniemano, że jestem w Benewencie i że nie prędko wrócę, więc w domu zastałem nieład, pijanych niewolników i ucztę, którą sobie wydawali w mojem tryklinium. Śmierci raczej spodziewali się, niż mnie, i mniejby się jej przerazili. Ty wiesz, jak silną ręką trzymam mój dom, wszystko więc, co żyło, rzuciło się na kolana, a niektórzy poomdlewali ze strachu. A ja, wiesz, jak postąpiłem? Oto w pierwszej chwili chciałem wołać o rózgi i rozpalone żelazo, ale zaraz potem chwycił mnie jakiś wstyd i, dasz wiarę? — jakiś żal tych nędzników; są między nimi i starzy niewolnicy, których jeszcze mój dziad, M. Winicyusz, przywiódł za czasów Augusta z nad Renu. Zamknąłem się samotny w bibliotece i tam przyszły mi jeszcze dziwniejsze myśli do głowy, mianowicie, że po tem, co słyszałem i widziałem między chrześcijanami, nie godzi mi się postępować z niewolnikami tak, jak postępowałem dotąd, i że to są także ludzie. Oni przez kilka dni chodzili w trwodze śmiertelnej, sądząc, że zwłóczę dlatego, by tem okrutniejszą karę obmyślić, a ja nie karałem i nie ukarałem, bo nie mogłem! Zwoławszy ich trzeciego dnia, rzekłem: przebaczam wam, wy zaś pilną służbą starajcie się winy naprawić! Na to padli na kolana, zalewając się łzami, wyciągając z jękiem ręce i zowiąc mnie panem i ojcem, ja zaś — ze wstydem ci to mówię — byłem również wzruszony. Wydało mi się, że w tej chwili widzę słodką twarz Ligii i jej oczy zalane łzami, dziękujące mi za ten postępek. I, *proh pudor!* czułem, że i mnie zwilgotniały źrenice... Wiesz, co ci wyznam: oto, że nie mogę sobie dać rady bez niej, że mi źle jest samemu, żem jest po prostu nieszczęśliwy i że mój smutek większy jest, niż przypuszczasz... Lecz co do moich niewolników, zastanowiła mnie jedna rzecz. Przebaczenie, jakie otrzymali, nietylko nie rozzuchwaliło ich, nietylko

nie rozluźniło karności, ale nigdy strach nie pobudzał ich do tak skwapliwej służby, do jakiej pobudziła wdzięczność. Nietylko służą, ale zdają się na wyścigi zgadywać moje myśli, ja zaś wspominam ci o tem dlatego, że, gdym na dzień przed opuszczeniem chrześcijan powiedział Pawłowi, że świat rozleciałby się na skutek jego nauki, jak beczka bez obręczy, ów odrzekł mi: „Silniejszą obręczą jest miłość, niż groza". A teraz widzę, że w pewnych wypadkach zdanie to może być słuszne. Sprawdziłem je również i w stosunku do klientów, którzy, zwiedziawszy się o moim powrocie, zbiegli się, by mnie przywitać. Wiesz, że nie byłem nigdy dla nich zbyt skąpy, ale jeszcze ojciec mój postępował z zasady z nimi wyniośle, i mnie do podobnego postępowania przyuczył. Otóż teraz, widząc te wytarte płaszcze i wygłodniałe twarze, znów doznałem jakby uczucia litości. Kazałem im dać jeść, a nadto mówiłem z nimi; nazwałem kilku po imieniu, kilku spytałem o ich żony i dzieci, i znów widziałem łzy w oczach, a nadto znów wydało mi się, że Ligia to widzi, że cieszy się i pochwala... Czy mój umysł poczyna się błąkać, czy miłość miesza mi zmysły, nie wiem, wiem jednak, iż mam ciągle uczucie, że ona na mnie zdala patrzy, i boję się uczynić coś takiego, coby ją mogło zasmucić i obrazić. Tak, Kaju! zmieniono mi jednak duszę, i czasem dobrze mi z tem, czasem znów dręczę się tą myślą, albowiem obawiam się, że zabrano mi dawne męstwo, dawną energię i że może niezdatny już jestem nietylko do rady, sądu, uczt, ale nawet i do wojny. To są niechybnie czary! I tak dalece mnie zmieniono, że powiem ci i to, co mi przychodziło do głowy jeszcze wówczas, gdym leżał chory: że, gdyby Ligia była podobną do Nigidyi, do Poppei, do Kryspinili i do innych naszych rozwódek, gdyby była równie plugawą, równie niemiłosierną i równie łatwą, jak one, tobym jej nie kochał tak, jak kocham. Ale, gdy kocham ją za to, co nas dzieli, domyślisz się, jaki chaos rodzi się w mej duszy, w jakich żyję ciemnościach, jak nie widzę przed sobą dróg pewnych i jak dalece nie wiem, co mam począć. Jeśli życie może być porównanem do źródła, w mojem źródle, zamiast wody, płynie niepokój. Żyję nadzieją, że ją może ujrzę, i czasem zdaje mi się, że to musi nastąpić... Ale co będzie ze mną za rok lub dwa, nie wiem i nie mogę odgadnąć. Z Rzymu nie wyjadę. Nie mógłbym

znieść towarzystwa augustyanów, a przytem jedyną ulgę w moim smutku i niepokoju jest mi myśl, że jestem blizko Ligii, że przez Glauka lekarza, który obiecał mnie odwiedzić, albo przez Pawła z Tarzu może się czasem czegoś o niej dowiem. Nie! nie opuściłbym Rzymu, choćbyście mi ofiarowali zarząd Egiptu. Wiedz także, że kazałem rzeźbiarzowi obrobić kamień grobowy dla Gula, którego zabiłem w gniewie. Zapóźno przyszło mi na myśl, że on jednak na ręku mnie nosił i pierwszy uczył, jak strzałę na łuk nakładać. Nie wiem, dlaczego zbudziła się teraz we mnie pamięć o nim, podobna do żalu i do wyrzutu... Jeśli cię zdziwi to, co piszę, odpowiem ci, że mnie to niemniej dziwi, ale piszę ci szczerą prawdę. Żegnaj".

ROZDZIAŁ XXIX.

Na list ten Winicyusz nie miał już odpowiedzi, gdyż Petroniusz nie odpisywał, spodziewając się widocznie, że Cezar lada dzień nakaże powrót do Rzymu. Jakoż wieść o tem rozeszła się w mieście i wzbudziła radość wielką w sercach tłuszczy, tęskniącej do igrzysk i rozdawnictwa zboża i oliwy, których wielkie zapasy nagromadzone były w Ostyi. Helius, wyzwoleniec Nerona, zapowiedział wreszcie jego powrót w senacie. Lecz Nero, wsiadłszy wraz z dworem na statki u przylądka Mizenum, wracał zwolna, wstępując do miast nadbrzeżnych dla wypoczynku, lub dla występów w teatrach. W Minturnae, gdzie znów śpiewał publicznie, zabawił dni kilkanaście, a nawet znów się namyślał, czy nie wrócić do Neapolu i nie czekać tam na nadejście wiosny, która zresztą czyniła się wcześniejsza, niż zwykle, i ciepła. Przez cały ten czas Winicyusz żył zamknięty w swym domu, z myślą o Ligii i o tych wszystkich nowych rzeczach, które zajmowały mu duszę i wnosiły do niej obce jej dotąd pojęcia i uczucia. Widywał tylko od czasu do czasu Glauka lekarza, którego każde odwiedziny napełniały go wewnętrzną radością, albowiem mógł z nim rozmawiać o Ligii. Glaukus nie wiedział wprawdzie, gdzie znalazła schronienie, zapewniał go jednak, że starsi otoczyli ją troskliwą opieką. Raz też, wzruszony smutkiem Winicyusza, powiedział mu, że Piotr Apostoł zganił Kryspa

za to, iż wyrzucał Ligii jej ziemską miłość. Młody patrycyusz, usłyszawszy to, pobladł ze wzruszenia. I jemu zdawało się niejednokrotnie, że nie jest obojętnym dla Ligii, ale również często wpadał w zwątpienie i niepewność, teraz zaś po raz pierwszy usłyszał potwierdzenie swych pragnień i nadziei z ust obcych, a do tego chrześcijańskich. W pierwszej chwili wdzięczności chciał biedz do Piotra, dowiedziawszy się zaś, że niemasz go w mieście i że naucza w okolicy, zaklinał Glauka, by go do niego przyprowadził, obiecując obdarzyć za to hojnie ubogich gminy. Zdawało mu się też, że, jeśli Ligia go kocha, to tem samem wszystkie przeszkody są usunięte, gdyż gotów był w każdej chwili uczcić Chrystusa. Lecz Glaukus, jakkolwiek namawiał go usilnie do przyjęcia chrztu, nie śmiał mu ręczyć, czy zyszcze przez to od razu Ligię, i mówił mu, że chrztu należy żądać dla chrztu samego i dla miłości Chrystusa, nie zaś dla innych celów. „Trzeba mieć i duszę chrześcijańską“ — rzekł mu — a Winicyusz, lubo każda przeszkoda wzburzała go, poczynał już rozumieć, że Glaukus, jako chrześcijanin, mówi to, co mówić powinien. Sam on nie zdawał sobie dokładnie sprawy, że jedną z najgłębszych zmian w jego naturze stanowiło to, iż dawniej mierzył ludzi i rzeczy tylko przez własny egoizm, obecnie zaś zwolna przyuczał się do myśli, że inne oczy mogą inaczej patrzeć, inne serce inaczej czuć, i że słuszność nie zawsze toż samo znaczy, co osobista korzyść.

Brała go też często chęć zobaczenia Pawła z Tarzu, którego słowa rozciekawiały go i niepokoiły. Układał sobie w duszy dowody, którymi będzie zwalczał jego naukę, opierał mu się w myśli, chciał go jednakże widzieć i słyszeć. Lecz Paweł wyjechał do Arycyi, gdy zaś i odwiedziny Glauka stawały się coraz rzadsze, Winicyusza otoczyła zupełna samotność. Wówczas począł znów przebiegać zaułki, przyległe do Subury, i wązkie uliczki Zatybrza, w nadziei, że choć z daleka ujrzy Ligię, lecz gdy i ta nadzieja go zawiodła, w sercu poczęła mu wzbierać nuda i zniecierpliwienie. Przyszedł nakoniec czas, że dawna natura odezwała się w nim raz jeszcze z taką siłą, z jaką fala w chwili przypływu wraca na brzeg, z którego ustąpiła. Wydało mu się, że był głupcem, że niepotrzebnie zaprzątał sobie głowę rzeczami, które doprowadziły go do smutku, i że powinien brać z życia, co się da. Postanowił

zapomnieć o Ligii, a przynajmniej szukać rozkoszy i użycia poza nią. Czuł jednak, że to jest ostatnia próba, rzucił się więc w wir życia z całą ślepą, właściwą mu energią i zapalczywością. Życie zaś samo zdawało się go do tego zachęcać. Obumarłe i wyludnione przez zimę miasto poczęło się ożywiać nadzieją blizkiego przyjazdu Cezara. Gotowano mu uroczyste przyjęcie. Przytem szła wiosna: śniegi znikły pod tchnieniem afrykańskich wiatrów ze szczytów gór Albańskich. Trawniki w ogrodach pokryły się fiołkami. Fora i pole Marsowe zaroiły się ludźmi, których przygrzewało coraz gorętsze słońce. Na via Appia, która była zwykłem miejscem zamiejskich przejażdżek, zapanował ruch bogato zdobnych wozów. Czyniono już wycieczki do gór Albańskich. Młode kobiety, pod pozorem uczczenia Junony w Lanuwium lub Dyany w Arycyi, wymykały się z domów, aby za miastem szukać wrażeń, towarzystwa, spotkań i rozkoszy. Tu Winicyusz wśród wspaniałych rydwanów spostrzegł pewnego dnia przepyszną, poprzedzaną przez dwa molosy, karrukę petroniuszowej Chryzotemis, otoczoną przez całe grono młodzieży i starych senatorów, których urząd zatrzymał w mieście. Chryzotemis, powożąc sama czterema korsykańskimi kucami, rozdawała naokół uśmiechy i lekkie uderzenia złotym biczem, lecz, spostrzegłszy Winicyusza, wstrzymała konie i zabrała go do karruki, a następnie na ucztę do domu, która trwała przez całą noc. Winicyusz spił się tak na owej uczcie, iż nie pamiętał nawet, kiedy odwieziono go do domu, przypomniał sobie jednak, że gdy Chryzotemis spytała go o Ligię, obraził się i, będąc już pijanym, wylał jej na głowę puhar falernu. Rozmyślając o tem po trzeźwemu, odczuwał jeszcze gniew. Lecz w dzień później Chryzotemis, zapomniawszy widocznie o obeldzę, odwiedziła go w jego domu i zabrała go znów na drogę Appijską, poczem była u niego na wieczerzy, na której wyznała, że nietylko Petroniusz, ale i jego lutnista znudził ją już od dawna i że serce jej jest wolne. Przez tydzień ukazywali się razem, lecz stosunek nie obiecywał być trwałym. Jakkolwiek od wypadku z falernem imię Ligii nie było nigdy wspomniane, Winicyusz nie mógł się jednak pozbyć myśli o niej. Miał ciągle uczucie, że oczy jej patrzą na niego, i uczucie to przejmowało go jakby obawą. Zżymał się sam na siebie, nie mogąc wszelako pozbyć się ani myśli, że Ligię zasmuca, ani żalu,

który się z tej myśli rodził. Po pierwszej scenie zazdrości, jaką Chryzotemis uczyniła mu z powodu dwóch dziewcząt syryjskich, które nabył, przepędził ją w sposób grubijański. Nie przestał wprawdzie od razu nurzać się w rozkoszy i rozpuście, owszem, czynił to jakby na złość Ligii, ale w końcu spostrzegł, że myśl o niej nie opuszcza go ani na chwilę, że ona wyłącznie jest powodem jego tak złych, jak dobrych czynności, i że naprawdę nic go w świecie nie obchodzi poza nią. Wówczas opanował go niesmak i zmęczenie. Rozkosz mu zbrzydła i zostawiła tylko wyrzuty. Zdawało mu się, że jest nędznikiem, i to ostatnie uczucie napełniło go niezmiernem zdumieniem, dawniej bowiem uznawał za dobre wszystko, co mu dogadzało. Wreszcie stracił swobodę, pewność siebie i wpadł w zupełne odrętwienie, z którego nie mogła go rozbudzić nawet wieść o powrocie Cezara. Nic go już teraz nie obchodziło i nawet do Petroniusza nie wybrał się dopóty, dopóki ten nie przysłał mu wezwania i swojej własnej lektyki.

Ujrzawszy go, lubo powitany radośnie, odpowiadał na jego pytania niechętnie, lecz wreszcie długo tłumione uczucia i myśli wybuchły i popłynęły mu z ust obfitym potokiem słów. Raz jeszcze opowiedział szczegółowo historyę swych poszukiwań za Ligią i pobytu między chrześcijanami, wszystko, co tam widział i słyszał, wszystko, co mu przechodziło przez głowę i serce, i wreszcie począł narzekać, że wpadł w chaos, w którym stracił spokojność, dar rozróżniania rzeczy i sąd o nich. Nic go oto nie nęci, nic mu nie smakuje, nie wie, czego się trzymać i jak postępować. Gotów jest czcić Chrystusa i prześladować Go, rozumie wzniosłość Jego nauki i zarazem czuje do niej wstręt nieprzezwyciężony. Rozumie, że, choćby posiadł Ligię, to jej nie posiędzie zupełnie, bo się musi nią dzielić z Chrystusem. Nakoniec żyje, jakby nie żył: bez nadziei, bez jutra, bez wiary w szczęście, a naokół otacza go ciemność, z której szuka po omacku wyjścia i nie może znaleźć.

Petroniusz patrzył w czasie opowiadania na jego zmienioną twarz, na ręce, które, mówiąc, wyciągał w dziwny sposób przed siebie, jakby rzeczywiście szukał drogi w ciemności, i rozmyślał. Nagle wstał i, zbliżywszy się do Winicyusza, począł rozgarniać palcami jego włosy nad uchem.

— Czy ty wiesz — spytał — że masz kilka siwych włosów na skroni?

— Może być — odpowiedział Winicyusz — nie dziwię się, jeśli wkrótce wszystkie mi zbieleją.

Poczem nastało milczenie. Petroniusz był człowiekiem rozumnym i nieraz zastanawiał się nad duszą ludzką i nad życiem. Lecz wogóle życie to, w tym świecie, w którym obaj żyli, mogło być zewnętrznie szczęśliwe lub nieszczęśliwe, ale wewnętrznie bywało spokojne. Równie jak piorun lub trzęsienie ziemi mogło obalić świątynię, tak nieszczęście mogło zburzyć życie, samo w sobie jednak składało się ono z prostych i harmonijnych linii, wolnych od wszelkich zawikłań. Tymczasem co innego było w słowach Winicyusza i Petroniusz po raz pierwszy stanął wobec szeregu duchowych węzłów, których nikt dotąd nie rozplątywał. Był o tyle rozumny, że czuł ich wagę, ale przy całej swej bystrości nie umiał nic na zadane pytania odpowiedzieć — i wreszcie po długiej chwili milczenia rzekł:

— To są chyba czary.

— I ja tak sądziłem — odpowiedział Winicyusz — nieraz wydawało mi się, że oczarowano nas oboje.

— A gdybyś — rzekł Petroniusz — udał się naprzykład do kapłanów Serapisa. Bezwątpienia jest między nimi, jak wogóle między kapłanami, wielu oszustów, są jednak tacy, którzy zgłębili dziwne tajemnice.

Lecz mówił to bez wiary i głosem niepewnym, sam bowiem czuł, jak w ustach jego ta rada może wydawać się marną, a nawet i śmieszną.

Winicyusz zaś począł trzeć czoło — i mówił:

— Czary!... Widziałem czarowników, którzy podziemnych, nieznanych sił używali dla zysku, widziałem i takich, którzy używali ich na szkodę swych nieprzyjaciół. Lecz chrześcijanie żyją w ubóstwie, nieprzyjaciołom przebaczają, głoszą pokorę, cnotę i miłosierdzie, co im tedy może przyjść z czarów, i dlaczego mieliby je rzucać?...

Petroniusza poczęło gniewać, iż rozum jego nie może znaleźć na nic odpowiedzi, nie chcąc się jednak do tego przyznać, odpowiedział, byle dać jakąkolwiek odpowiedź:

— To nowa sekta...

Po chwili zaś rzekł:

— Na boską mieszkankę Pafijskich gajów, jak to wszystko psuje życie! Ty podziwiasz dobroć i cnotę tych ludzi, a ja ci powiadam, że są źli, gdyż są nieprzyjaciółmi życia, jak choroby i jak śmierć sama. Dosyć ich mamy i tak! nie potrzeba nam jeszcze chrześcijan. Policz tylko: choroby, Cezar, Tygellinus, wiersze Cezara, szewcy, którzy rządzą potomkami dawnych Kwirytów, wyzwoleńcy, którzy zasiadają w senacie, na Kastora! dość tego. To jest zgubna i obrzydła sekta! Próbowałżeś otrząsnąć się z tych smutków, i użyć trochę życia?

— Próbowałem — odpowiedział Winicyusz.

A Petroniusz roześmiał się i rzekł:

— Ach, zdrajco! Przez niewolników prędko rozchodzą się wiadomości: uwiodłeś mi Chryzotemis!

Winicyusz kiwnął z niesmakiem ręką.

— W każdym razie dziękuję ci — mówił Petroniusz — poślę jej parę trzewików, naszywanych perłami; w moim języku miłosnym znaczy to: „odejdź". Winienem ci podwójną wdzięczność: raz za to, że nie przyjąłeś Eunice, drugi raz, żeś mnie uwolnił od Chryzotemis. Posłuchaj mnie: widzisz przed sobą człowieka, który wstawał rano, kąpał się, ucztował, posiadał Chryzotemis, pisywał satyry, a nawet czasami prozę przeplatał wierszami, ale który nudził się, jak Cezar, i często nie umiał opędzić się posępnym myślom. A czy wiesz, dlaczego tak było? Oto dlatego, żem szukał daleko tego, co było blizko... Kobieta piękna warta jest zawsze tyle złota, ile waży, ale kobieta, która przytem kocha, nie ma wprost ceny. Tego nie kupisz za wszystkie skarby Werresa. Teraz mówię sobie oto, co następuje: napełniam życie szczęściem, jak puhar najprzedniejszem winem, jakie wydała ziemia, i piję, póki nie zmartwieje mi ręka i nie pobledną usta. Co będzie dalej, nie dbam, i oto jest moja najnowsza filozofia.

— Wyznawałeś ją zawsze. Nic w niej nowego!

— Jest w niej treść, której brakło.

To rzekłszy, zawołał Eunice, która weszła, ubrana w białą draperyę, złotowłosa, już nie dawna niewolnica, ale jakby bogini miłości i szczęścia.

On zaś otworzył jej ramiona i rzekł:

— Pójdź!

Na to przybiegła ku niemu, i siadłszy na jego kolanach, oplotła mu ramionami szyję, głowę zaś złożyła na jego piersiach. Winicyusz widział, jak zwolna policzki jej poczęły się pokrywać odblaskiem purpury, jak oczy zatapiały się stopniowo we mgle. Razem tworzyli cudną grupę miłosną i szczęśliwą. Petroniusz sięgnął ręką do płaskiej wazy, stojącej obok na stole i, wydobywszy z niej pełną garść fiołków, począł obsypywać nimi głowę, piersi i stolę Eunice, następnie obsunął tunikę z jej ramion i rzekł:

— Szczęśliwy, kto, jak ja, znalazł miłość w takim zamkniętą kształcie... Czasem wydaje mi się, że jesteśmy dwojgiem bogów... Patrz sam: czy Praxyteles, czy Miron, czy Skopas lub Lizyasz stworzyli kiedy cudniejsze linie? Czy na Paros lub w Pentelikonie istnieje podobny marmur, ciepły, różowy i rozkochany? Są ludzie, którzy wycałowują brzegi waz, lecz ja wolę szukać rozkoszy tam, gdzie ją prawdziwie znaleźć można.

To rzekłszy, począł wodzić ustami po jej ramionach i szyi, ją zaś przejmowało drganie i oczy jej to zamykały się, to otwierały z wyrazem niewysłowionej rozkoszy. Petroniusz podniósł po chwili swą wykwintną głowę i, zwróciwszy się do Winicyusza, rzekł:

— A teraz pomyśl, czem są wobec tego twoi posępni chrześcijanie? i jeśli nie rozumiesz różnicy, to idź sobie do nich... Ale ten widok cię uleczy.

Winicyusz rozdął nozdrza, przez które wchodziła woń fiołków, napełniająca cały pokój, i pobladł, pomyślał bowiem, że gdyby mógł tak wodzić ustami po ramionach Ligii, to byłaby jakaś świętokradzka rozkosz, tak wielka, że potem niechby się zapadł świat. Lecz przywykłszy już do prędkiego uświadamiania tego, co się w nim dzieje, spostrzegł, że i w tej chwili myśli o Ligii, tylko o niej.

Petroniusz zaś rzekł:

— Eunice, każ nam, boska, przygotować wieńce na głowę i śniadanie.

Potem, gdy odeszła, zwrócił się do Winicyusza:

— Chciałem ją wyzwolić, ona zaś, wiesz, co mi odpowiedziała: „Wolałabym być twoją niewolnicą, niż żoną Cezara“. I nie chciała się zgodzić. Wówczas wyzwoliłem ją mimo jej wiedzy. Pretor zrobił to dla mnie, że nie wymagał

jej obecności. Ale ona nie wie o tem, jak również nie wie, że ten dom i wszystkie moje klejnoty, z wyjątkiem gemm, do niej będą należały na wypadek mojej śmierci.

To rzekłszy, wstał, przeszedł się po pokoju i rzekł:

— Miłość zmienia jednych więcej, drugich mniej, ale zmieniła i mnie. Niegdyś lubiłem zapach werweny, lecz, ponieważ Eunice woli fiołki, więc i ja polubiłem je teraz nad wszystko, i od czasu, jak wiosna nadeszła, oddychamy tylko fiołkami.

Tu zatrzymał się przed Winicyuszem i zapytał:

— A ty? zawsze trzymasz się nardu?

— Daj mi pokój! — odpowiedział młody człowiek.

— Ja chciałem, byś się przypatrzył Eunice, i mówię ci o niej dlatego, że może i ty szukasz daleko tego, co jest blizkie. Może i dla ciebie bije gdzieś w twoich niewolniczych kubikulach serce wierne i proste. Przyłóż taki balsam na twe rany. Mówisz, że Ligia cię kocha? Być może! Ale co to jest za miłość, która się wyrzeka? Czy to nie znaczy, że jest coś od niej silniejszego? Nie drogi: Ligia, to nie Eunice.

Na to Winicyusz odrzekł:

— Wszystko jest tylko jednem udręczeniem. Widziałem cię całującego ramiona Eunice i pomyślałem wówczas, że, gdyby mi tak Ligia odkryła swoje, to niechby potem ziemia otworzyła się pod nami! Ale na samą myśl o tem chwycił mnie jakiś lęk, jak gdybym porwał się na westalkę lub zamierzał pohańbić bóstwo... Ligia, to nie Eunice, tylko że ja inaczej rozumiem tę różnicę, niż ty. Tobie miłość zmieniła nozdrza, więc wolisz fiołki od werweny, a mnie zmieniła duszę, więc mimo mojej nędzy i żądzy, wolę, że Ligia jest taką, jak jest, niż żeby była podobna do innych.

Petroniusz wzruszył ramionami.

— W takim razie nie dzieje ci się krzywda. Ale ja tego nie rozumiem.

A Winicyusz odpowiedział gorączkowo:

— Tak! tak!... My się już nie możemy zrozumieć!

Nastała znów chwila milczenia, poczem Petroniusz rzekł:

— Niech Hades pochłonie twoich chrześcijan! Napełnili cię niepokojem i zniszczyli zmysł życia. Niech ich Hades pochłonie! Mylisz się, mniemając, że to jest nauka dobro-

czynna, bo dobroczynnem jest to, co ludziom daje szczęście, to jest piękność, miłość i moc, oni zaś nazywają to marnością. Mylisz się, że są sprawiedliwi, bo jeśli za złe będziemy płacili dobrem, to czemże będziemy płacić za dobro? A przytem jeśli i za to i za to jednaka zapłata, to pocóż ludzie mają być dobrzy?

— Nie: zapłata nie jest jednaka, ale się zaczyna wedle ich nauki, w życiu przyszłem, które nie jest doczesne.

— W to się nie wdaję, bo to dopiero zobaczymy, jeśli coś można zobaczyć... bez oczu. Tymczasem są to po prostu niedołęgi. Urzus zadusił Krotona, bo ma członki ze spiżu, ale to są mazgaje, przyszłość zaś nie może do mazgajów należeć.

— Życie dla nich zaczyna się wraz ze śmiercią.

— To jakby ktoś powiedział: dzień zaczyna się razem z nocą. Czy ty masz zamiar porwać Ligię?

— Nie. Nie mogę jej złem za dobre płacić i przysiągłem, że tego nie uczynię.

— Czy masz zamiar przyjąć naukę Chrystusa?

— Chcę, ale moja natura jej nie znosi.

— A potrafisz zapomnieć o Ligii?

— Nie.

— To podróżuj.

Niewolnicy dali w tej chwili znać, że śniadanie gotowe, lecz Petroniusz, któremu zdawało się, że wpadł na dobrą myśl, mówił dalej w drodze do tryklinium.

— Zjeździłeś kawał świata, ale tylko jako żołnierz, który śpieszy na miejsce przeznaczenia i nie zatrzymuje się po drodze. Wybierz się z nami do Achai. Cezar nie zarzucił dotąd zamiaru podróży. Będzie się zatrzymywał wszędzie po drodze, śpiewał, zbierał wieńce, łupił świątynie i wreszcie wróci, jako tryumfator, do Italii. Będzie to coś, jakby pochód Bachusa i Apollina w jednej osobie. Augustyanie, augustyanki, tysiące cytr — na Kastora! Warto to widzieć, bo świat nie widział dotąd niczego podobnego.

Tu położył się na ławce przed stołem, obok Eunice, a gdy niewolnik kładł mu na głowę wieniec z anemonów, mówił dalej:

— Coś ty widział w służbie Korbulona? Nic! Czyś zwiedzał porządnie świątynie greckie, tak jak ja, który prze-

szło dwa lata przechodziłem z rąk jednego przewodnika do rąk drugiego? Czyś był na Rodos oglądać miejsce, gdzie stał kolos? Czyś widział w Panopie, w Focydzie, glinę, z której Promoteusz lepił ludzi, albo w Sparcie jaje, które zniosła Leda, albo w Atenach sławny pancerz sarmacki, zrobiony z kopyt końskich, albo na Eubei okręt Agamemnona, albo czaszę, dla której za formę służyła lewa pierś Heleny? Czyś widział Alexandrye, Memfis, Piramidy, włos Izydy, który sobie wyrwała z żalu za Ozyrysem? Czyś słyszał jęk Memnona? Świat jest szeroki i nie wszystko się kończy na Zatybrzu! Ja będę towarzyszył Cezarowi, a potem, gdy będę wracał, opuszczę go i pojadę na Cypr, bo ta złotowłosa moja boginka życzy sobie, byśmy razem ofiarowali w Pafos Cyprydzie gołębie, a trzeba ci wiedzieć, że czego ona sobie życzy, to się staje.

— Niewolnicą twoją jestem — rzekła Eunice.

On zaś wsparł uwieńczoną głowę na jej łonie i rzekł z uśmiechem:

— Więc jestem niewolnikiem niewolnicy. Podziwiam cię, boska, od stóp do głów.

Poczem do Winicyusza:

— Jedź z nami na Cypr. Przedtem jednak pamiętaj, że musisz widzieć się z Cezarem. Źle, żeś dotąd u niego nie był; Tygellinus gotów wyzyskać to na twoją niekorzyść. Nie ma on wprawdzie do ciebie osobistej nienawiści, jednakże nie może cię kochać choćby dlatego, że jesteś moim siostrzeńcem... Powiemy, że byłeś chory. Musimy się namyśleć, co masz mu odpowiedzieć, jeśli spyta cię o Ligię. Najlepiej machnij ręką i powiedz mu, że była, póki ci się nie znudziła. On to rozumie. Powiedz mu również, że choroba zatrzymała cię w domu, że gorączkę powiększyło zmartwienie, iż nie mogłeś być w Neapolu i słuchać jego śpiewu, a do zdrowia pomogła ci jedynie nadzieja, że go usłyszysz. Nie lękaj się przesadzić. Tygellinus zapowiada, że wymyśli dla Cezara coś nietylko wielkiego, ale i grubego... Boję się jednak, by mnie nie podkopał. Boję się także twego usposobienia...

— Czy wiesz — rzekł Winicyusz — że są ludzie, którzy się Cezara nie boją i żyją tak spokojnie, jakby go na świecie nie było?

— Wiem, kogo wymienisz: chrześcijan.

— Tak. Oni jedni... Nasze zaś życie czemże jest, jeśli nie ciągłym strachem?

— Daj mi pokój z twoimi chrześcijanami. Nie boją się Cezara, bo on może o nich i nie słyszał, a w każdym razie nic o nich nie wie i tyle go oni obchodzą, ile zwiędłe liście. A ja ci powiadam, że to są niedołęgi, że sam to czujesz, i że jeśli twoja natura otrząsa się na ich naukę, to właśnie dlatego, że czujesz ich niedołęstwo. Tyś człowiek z innej gliny i dlatego daj sobie i mnie z nimi spokój. Potrafimy żyć i umrzeć, a co oni potrafią, to niewiadomo.

Winicyusza uderzyły te słowa i wróciwszy do siebie, począł rozmyślać, że może w istocie owa dobrotliwość i miłosierdzie chrześcijan dowodzi niedołęstwa ich dusz. Zdawało mu się, że ludzie, mający tęgość i hart, nie umieliby tak przebaczać. Przyszło mu do głowy, że istotnie to może być powodem wstrętu, jaki jego rzymska dusza odczuwa do tej nauki. „Potrafimy żyć i umrzeć!“ — mówił Petroniusz. A oni? Oni umieją tylko przebaczać, ale nie rozumieją ni prawdziwej miłości, ni prawdziwej nienawiści.

ROZDZIAŁ XXX.

Cezar, wróciwszy do Rzymu, zły był, że wrócił, i po kilku dniach już zapłonął na nowo chęcią wyjazdu do Achai. Wydał nawet edykt, w którym oświadczył, że nieobecność jego nie potrwa długo, i że rzeczy publiczne na żadną szkodę z tego powodu nie będą narażone. Zaczem, w towarzystwie augustyanów, między którymi znajdował się i Winicyusz, udał się na Kapitol, by złożyć bogom ofiary za pomyślną podróż. Lecz na drugi dzień, gdy z kolei odwiedził przybytek Westy, zaszedł wypadek, który wpłynął na zmianę wszystkich zamiarów. Nero nie wierzył w bogów, ale bał się ich, zwłaszcza zaś tajemnicza Westa taką przejmowała go obawą, że na widok bóstwa i świętego ognia włosy podniosły mu się nagle z przerażenia, zwarły się zęby, drżenie przebiegło po wszystkich członkach i osunął się na ręce Winicyusza, który wypadkiem znajdował się tuż za nim. Wyniesiono go natychmiast ze świątyni i przeprowadzono na Palatyn, gdzie,

lubo niebawem przyszedł zupełnie do siebie, nie opuszczał jednak łoża przez cały dzień. Oświadczył też, ku wielkiemu zdziwieniu obecnych, że zamiar wyjazdu odkłada stanowczo do czasów późniejszych, gdyż bóstwo ostrzegło go tajemnie przed pośpiechem. W godzinę później głoszono już publicznie ludowi po całym Rzymie, że Cezar, widząc zasmucone twarze obywateli, powodowany miłością ku nim, jako ojciec ku dzieciom, zostaje z nimi, by dzielić ich uciechy i dolę. Lud uradowany z postanowienia, a zarazem pewien, że nie chybią igrzyska i rozdawnictwo zboża, zebrał się tłumnie przed bramą Palatyńską, wydając okrzyki na cześć boskiego Cezara, ów zaś przerwał grę w kości, w którą się zabawiał z augustyanami, i rzekł:

— Tak! trzeba było odłożyć; Egipt i władztwo nad Wschodem, wedle przepowiedni, nie może mnie minąć, więc i Achaja mi nie przepadnie. Każę przekopać istm koryncki, a w Egipcie wzniesiem takie pomniki, przy których piramidy wydadzą się igraszką dziecinną. Każę zbudować Sfinxa, większego siedm razy od tego, który koło Memfis patrzy w pustynię, ale każę mu dać twarz moją. Wieki potomne będą mówiły tylko o tym pomniku i o mnie.

— Zbudowałeś sobie już pomnik swymi wierszami, większy nie siedem, ale trzy razy po siedem od piramidy Cheopsa — rzekł Petroniusz.

— A śpiewem? — spytał Nero.

— Niestety! gdyby to umiano zbudować ci taki posąg, jak posąg Memnona, któryby odzywał się twoim głosem o wschodzie słońca! Morza przyległe Egiptowi roiłyby się po wiek wieków od okrętów, na których tłumy z trzech części świata wsłuchiwałyby się w pieśń twoją.

— Niestety, któż to potrafi? — rzekł Nero.

— Ale możesz kazać wyciąć z bazaltu siebie, powożącego kwadrygę.

— Prawda! uczynię to!

— Uczynisz podarek ludzkości.

— W Egipcie zaślubię też Lunę, która jest wdową, i będę naprawdę bogiem.

— A nam dasz za żony gwiazdy, my zaś utworzymy nową konstelacyę, która będzie się zwała konstelacyą Nerona. Witeliusza jednak ożeń z Nilem, aby płodził hipopo-

tamy. Tygellinowi podaruj pustynię, będzie wówczas królem szakalów...

— A mnie co przeznaczasz? — spytał Watyniusz.

— Niech cię Apis błogosławi! Wyprawiłeś nam tak wspaniałe igrzyska w Benewencie, że nie mogę ci źle życzyć: zrób parę butów Sfinxowi, któremu łapy drętwieją w czasie ros nocnych, a potem będziesz robił obuwie dla kolosów, tworzących aleje przed świątyniami. Każdy tam znajdzie odpowiednie zajęcie. Domicyusz Afer naprzykład zostanie skarbnikiem, jako znany z uczciwości. Lubię, Cezarze, gdy marzysz o Egipcie i smuci mnie to, żeś odłożył zamiar wyjazdu.

Nero zaś rzekł:

— Wasze śmiertelne oczy nic nie widziały, bo bóstwo czyni się niewidzialnem, dla kogo zechce. Wiedzcie, że gdym był w świątyni Westy, ona sama stanęła koło mnie i rzekła mi w samo ucho: „Odłóż wyjazd“. Stało się to tak niespodziewanie, żem się przeraził, choć za taką widoczną opiekę bogów nade mną powinienbym im być wdzięczny.

— Wszyscyśmy się przerazili — rzekł Tygellinus — a westalka Rubrya zemdlała.

— Rubrya! — rzekł Nero — jaką ona ma śnieżną szyję.

— Lecz się rumieni na twój widok, boski Cezarze...

— Tak! zauważyłem to i ja. To dziwne! Westalka! Jest coś boskiego w każdej westalce, a Rubrya jest bardzo piękna.

Tu zamyślił się przez chwilę, poczem zapytał:

— Powiedzcie mi, dlaczego Westy ludzie się więcej boją, niż innych bogów? Co w tem jest? Ot mnie samego lęk ogarnął, chociaż jestem najwyższym kapłanem. Pamiętam tylko, że padłem na wznak i byłbym runął na ziemię, gdyby mnie ktoś nie podtrzymał. Kto mnie podtrzymał?

— Ja — odrzekł Winicyusz.

— Ach, ty „srogi Aresie?“ Czemu nie byłeś w Benewencie? Mówiono mi, żeś chory, i istotnie twarz masz zmienioną. Ale! słyszałem, że Kroto chciał cię zamordować? Czy to prawda?

— Tak jest — i złamał mi ramię, ale się obroniłem.

— Złamanem ramieniem?

— Pomógł mi pewien barbarzyńca, który był od Krotona silniejszy.

Nero spojrzał na niego ze zdziwieniem:

— Silniejszy od Krotona? Chyba żartujesz? Kroto był najsilniejszy z ludzi, a teraz jest Syfax z Etyopii.

— Mówię ci, Cezarze, com widział na własne oczy.

— Gdzież jest ta perła? Czy nie został królem Nemoreńskim?

— Nie wiem, Cezarze. Straciłem go z oczu.

— Nie wiesz nawet, z jakiego narodu?

— Miałem złamaną rękę, więc nie mogłem się o nic go wypytać.

— Poszukaj mi go i znalezi.

Na to Tygellinus rzekł:

— Ja się tem zajmę.

Lecz Nero mówił dalej do Winicyusza:

— Dziękuję ci, żeś mnie podtrzymał. Mogłem, padłszy, rozbić głowę. Niegdyś dobry był z ciebie towarzysz, ale od czasu wojny i służby pod Korbulonem, zdziczałeś jakoś i rzadko cię widuję.

Poczem, pomilczawszy chwilę, rzekł:

— Jak się ma owa dziewczyna... za wązka w biodrach... w której się kochałeś i którą odebrałem Aulusom dla ciebie?...

Winicyusz zmieszał się, lecz Petroniusz w tej chwili przyszedł mu z pomocą:

— Założę się, panie — rzekł — że zapomniał. Czy widzisz jego zmieszanie? Pytaj go o to, ile ich było od tego czasu, a nie ręczę, czy i na to potrafi odpowiedzieć. Z Winicyuszów dobrzy żołnierze, ale lepsze jeszcze koguty. Trzeba im stada. Ukarz go za to, panie, i nie zaproś go na ucztę, jaką nam Tygellinus obiecuje wyprawić na twoją cześć na stawie Agryppy.

— Nie, nie uczynię tego. Ufam Tygellinowi, że tam właśnie stada nie zbraknie.

— Miałożby braknąć charytek tam, gdzie będzie Amor? — odpowiedział Tygellin.

Lecz Nero rzekł:

— Nuda mnie dręczy! zostałem z woli bogini w Rzymie, ale go nie mogę znosić. Wyjadę do Ancyum. Duszę się

w tych ciasnych ulicach, wśród tych walących się domów, wśród tych plugawych zaułków. Smrodliwe powietrze zalatuje aż tu, do mego domu i do moich ogrodów. Ach, gdyby trzęsienie ziemi zniszczyło Rzym, gdyby jaki rozgniewany bóg zrównał go z ziemią, dopiero pokazałbym wam, jak powinno się budować miasto, które jest głową świata i moją stolicą.

— Cezarze — odpowiedział Tygellinus — mówisz: „gdyby jaki rozgniewany bóg zniszczył miasto“ — czy tak?

— Tak! Więc cóż?

— Albož nie jesteś bogiem?

Nero machnął ręką z wyrazem znużenia, poczem rzekł:

— Zobaczymy, co nam urządzisz na stawach Agryppy. Potem wyjadę do Ancyum. Wy wszyscy jesteście mali, więc nie rozumiecie, że mi potrzeba rzeczy wielkich.

To powiedziawszy, przymknął oczy, dając w ten sposób znać, że potrzebuje spoczynku. Jakoż augustyanie poczęli się rozchodzić. Petroniusz wyszedł z Winicyuszem i rzekł mu:

— Jesteś więc wezwany do udziału w zabawie. Miedzianobrody wyrzekł się podróży, ale natomiast będzie szalał więcej, niż kiedykolwiek, i rozpościerał się w mieście, jak we własnym domu. Staraj się i ty znaleźć w szaleństwach rozrywkę i zapomnienie. U licha! podbiliśmy przecie świat i mamy prawo się bawić. Ty, Marku, jesteś bardzo pięknym chłopcem i temu w części przypisuję słabość, jaką mam do ciebie. Na Dyanę efezką! gdybyś ty mógł widzieć swoje zrośnięte brwi i swoją twarz, w której znać starą krew Kwirytów. Tamci wyglądają przy tobie jak wyzwoleńcy. Tak jest! Gdyby nie ta dzika nauka, Ligia byłaby dziś w domu twoim. Próbujże mi jeszcze dowodzić, że to nie są nieprzyjaciele życia i ludzi... Obeszli się z tobą dobrze, więc możesz być im wdzięczny, ale na twojem miejscu znienawidziłbym tą naukę, a szukał rozkoszy tam, gdzie ją znaleźć można. Jesteś pięknym chłopcem, powtarzam ci, a Rzym roi się od rozwódek.

— Dziwię się tylko, że cię to wszystko jeszcze nie męczy? — odpowiedział Winicyusz.

— Kto ci to powiedział? Mnie męczy to od dawna, ale ja nie mam twoich lat. Ja zresztą mam inne zamiłowania, których tobie brak. Lubię książki, których ty nie lubisz, lu-

bię poezyę, która cię nudzi, lubię naczynia, gemmy i mnóstwo rzeczy, na które ty nie patrzysz, mam bóle w krzyżu, których ty nie miewasz i wreszcie znalazłem Eunice, ty zaś nic podobnego nie znalazłeś... Mnie dobrze w domu, wśród arcydzieł, z ciebie zaś nigdy nie zrobię estety. Ja wiem, że w życiu nic już więcej nie znajdę nad to, com znalazł, ty sam nie wiesz, że ciągle jeszcze spodziewasz się i szukasz. Gdyby na ciebie śmierć przyszła, przy całej twej odwadze i wszystkich smutkach umarłbyś ze zdziwieniem, że już trzeba świat opuścić, ja zaś przyjąłbym ją jako konieczność, z tem przeświadczeniem, że niema na całym świecie takich jagód, którychbym nie spróbował. Nie śpieszę się, ale też nie będę się ociągał, postaram się tylko, by mi było do ostatka wesoło. Są na świecie weseli sceptycy. Stoicy są dla mnie głupcami, ale stoicyzm przynajmniej hartuje, twoi zaś chrześcijanie wprowadzają na świat smutek, który jest tem w życiu, czem deszcz w naturze. Czy wiesz, czegom się dowiedział? — oto, że w czasie uroczystości, które wyprawi Tygellin, na brzegach stawu Agryppy staną lupanarya, a w nich zebrane będą kobiety z najpierwszych domów w Rzymie. Czyż nie znajdzie się choć jedna dość piękna, by mogła cię pocieszyć? Będą i dziewice, które po raz pierwszy na świat wystąpią... jako nimfy. Takie nasze cesarstwo rzymskie... Ciepło już! południowy wiatr ogrzeje wody i nie spryszczy nagich ciał. A ty, Narcyzie, wiedz o tem, że nie znajdzie się ani jedna, któraby ci się oparła, ani jedna — choćby była westalką.

Winicyusz począł się uderzać w głowę dłonią, jako człowiek zajęty wiecznie jedną myślą.

— Trzebaż szczęścia, żebym na taką jedyną trafił...

— A któż to sprawił, jeśli nie chrześcijanie!... Ale ludzie, których godłem jest Krzyż, nie mogą być inni. Słuchaj mnie: Grecya była piękna i stworzyła mądrość świata, my stworzyliśmy siłę, a co, jak myślisz, może stworzyć ta nauka? Jeśli wiesz, to objaśnij mnie, bo, na Polluxa! nie mogę się domyśleć.

Winicyusz wzruszył ramionami.

— Zdawałoby się, iż boisz się, abym nie został chrześcijaninem.

— Boję się, byś sobie życia nie popsuł. Jeśli nie potrafisz być Grecyą, bądź Rzymem: władaj i używaj! Szaleń-

stwa nasze mają dlatego pewien sens, że w nich tkwi taka właśnie myśl. Miedzianobrodym pogardzam, bo jest błaznem-Grekiem. Gdyby się miał za Rzymianina, przyznałbym mu, że ma słuszność, pozwalając sobie na szaleństwa. Przyrzecz mi, że jeśli teraz, wróciwszy do domu, zastaniesz jakiego chrześcijanina, pokażesz mu język. Jeśli to będzie Glaukuś-lekarz, to się nawet nie zdziwi. Do widzenia na stawie Agryppy.

ROZDZIAŁ XXXI.

Pretoryanie okrążali gaje, rosnące po brzegach stawu Agryppy, aby zbyt wielkie tłumy widzów nie przeszkadzały Cezarowi i jego gościom, gdyż i tak mówiono, że co tylko było w Rzymie odznaczającego się bogactwem, umysłem lub pięknością, stawiło się na ową ucztę, która nie miała równej sobie w dziejach miasta. Tygellinus chciał wynagrodzić Cezarowi odłożoną podróż do Achai, a zarazem przewyższyć wszystkich, którzy kiedykolwiek podejmowali Nerona, i dowieść mu, że nikt go tak zabawić nie potrafi. W tym celu, jeszcze bawiąc przy Cezarze w Neapolis, a potem w Benewencie, czynił przygotowania i wysyłał rozkazy, by z najodleglejszych krańców świata sprowadzano zwierzęta, ptaki, rzadkie ryby i rośliny, nie pomijając naczyń i tkanin, które miały ucztę uświetnić. Dochody z całych prowincyi szły na zaspokojenie szalonych pomysłów, lecz na to potężny faworyt nie potrzebował się oglądać. Wpływ jego wzrastał z dniem każdym. Tygellinus może nie był jeszcze Neronowi milszy od innych, ale stawał się coraz niezbędniejszym. Petroniusz przewyższał go nieskończenie polorem, umysłem, dowcipem i w rozmowach lepiej umiał bawić Cezara, ale na swoje nieszczęście przewyższał w tem i Cezara, wskutek czego budził jego zazdrość. Nie umiał też być posłusznem we wszystkiem narzędziem i Cezar bał się jego zdania, gdy chodziło o rzeczy smaku; z Tygellinem zaś nie czuł się nigdy skrępowanym. Sama nazwa: *arbiter elegantiarum*, jaką nadawano Petroniuszowi, drażniła miłość własną Nerona, któż bowiem, jeśli nie on sam, powinien był ją nosić? Tygellinus miał jednak tyle rozumu, iż zdawał sobie sprawę ze swych braków, a wi-

dząc, że nie może iść w zawody ani z Petroniuszem, ani z Lukanem, ani z innymi, których wyróżniało czy to urodzenie, czy talenta, czy nauka — postanowił zgasić ich podatnością swych służb, a przedewszystkiem zbytkiem takim, żeby i wyobraźnia Nerona została nim uderzona.

Ucztę więc kazał zastawić na olbrzymiej tratwie, zbudowanej z pozłoconych belek. Brzegi jej przybrane były w przepyszne konchy, poławiane w morzu Czerwonem i w oceanie Indyjskim, grające kolorami pereł i tęczy. Boki były pokryte kępami palm, gaikami lotosów i róż rozkwitłych, wśród których ukryto fontanny, tryskające wonnościami, posągi bogów i złote lub srebrne klatki, napełnione różnokolorowem ptactwem. W środku wznosił się olbrzymi namiot, albo raczej, dla niezasłaniania widoku, tylko wierzch namiotu z syryjskiej purpury, wsparty na srebrnych słupkach, pod nim zaś błyszczały jak słońca stoły, przygotowane dla biesiadników, obciążone szkłem aleksandryjskiem, kryształem i naczyniami wprost bez ceny, złupionemi w Italii, Grecyi i Azyi Mniejszej. Tratwa, mająca z powodu nagromadzonych na niej roślin pozór wyspy i ogrodu, połączona była sznurami ze złota i purpury z łodziami w kształcie ryb, łabędzi, mew i flamingów, w których przy kolorowych wiosłach siedzieli nadzy wioślarze i wioślarki, o kształtach i rysach cudnej piękności, z włosami utrefionymi na sposób wschodni, lub ujętymi w złote siatki. Gdy Nero, przybywszy z Poppeą i augustyanami, przybił do głównej tratwy i zasiadł pod purpurowym namiotem, łodzie owe poruszyły się, wiosła poczęły uderzać wodę, wyprężyły się złote sznury i tratwa wraz z ucztą i gośćmi poczęła się poruszać i opisywać kręgi po stawie. Otoczyły ją też inne łodzie i inne mniejsze tratwy, pełne cytrzystek i harfiarek, których różowe ciała, na tle błękitu nieba i wody i w odblaskach od złotych instrumentów, zdawały się wsiąkać w siebie owe błękity i odblaski, mienić się i kwitnąć, jak kwiaty.

Z gajów pobrzeżnych, z dziwacznych budynków, powznoszonych umyślnie i poukrywanych wśród gęstwy, ozwały się także odgłosy muzyki i śpiewu. Zabrzmiała okolica, zabrzmiały gaje, echa rozniosły dźwięk rogów i trąb. Sam Cezar, mając po jednej stronie Poppeę, po drugiej Pitagorasa, podziwiał, i, zwłaszcza gdy między łodziami pojawiły się młode niewolnicze dziewczęta, poprzebierane za syreny, pokryte zie-

loną siatką, naśladującą łuskę, nie szczędził pochwał Tygellinowi. Z przyzwyczajenia spoglądał jednak na Petroniusza, chcąc poznać zdanie „arbitra", lecz ów zachowywał się przez długi czas obojętnie i dopiero wręcz zapytany, odrzekł:

— Ja sądzę, panie, że dziesięć tysięcy obnażonych dziewic czyni mniejsze wrażenie, niż jedna.

Cezarowi podobała się jednak „pływająca uczta", albowiem była czemś nowem. Podawano zresztą, jak zwykle, tak wyszukane potrawy, że i wyobraźnia Apicyusza omdlałaby na ich widok, i wina w tylu gatunkach, że Othon, który podawał ich osiemdziesiąt, skryłby się pod wodę ze wstydu, gdyby mógł widzieć ów przepych. Do stołu, prócz kobiet, zasiedli sami augustyanie, wśród których Winicyusz gasił wszystkich pięknością. Niegdyś postać i twarz jego zbyt znamionowały żołnierza z zawodu, teraz troski wewnętrzne i ból fizyczny, przez który przeszedł, wyrzeźbiły tak jego rysy, jakby przeszła po nich delikatna ręka mistrza-rzeźbiarza. Płeć jego straciła dawną śniadość, lecz zostały jej złotawe połyski numidyjskiego marmuru. Oczy stały się większe, smutniejsze. Tylko tors jego zachował dawne potężne formy, jakby stworzone do pancerza, lecz nad tym torsem legionisty widniała głowa greckiego boga, albo przynajmniej wyrafinowanego patrycyusza, zarazem subtelna i przepyszna. Petroniusz mówiąc mu, że żadna z augustyanek i nie potrafi i nie zechce mu się oprzeć, mówił jak człowiek doświadczony. Patrzyły na niego teraz wszystkie, nie wyjmując Poppei, ani westalki Rubryi, którą Cezar życzył sobie mieć na uczcie.

Wina, mrożone w śniegach z gór, wkrótce rozgrzały serca i głowy biesiadników. Z gęstwiny pobrzeżnej wysuwały się coraz nowe łódki o kształtach koników polnych i łątek. Błękitna szyba stawu wyglądała jakby ją kto przyrzucił płatkami kwiatów, lub jakby ją poobsiadały motyle. Nad łodziami unosiły się tu i owdzie poprzywiązywane na srebrnych i niebieskich niciach lub sznurkach gołębie i inne ptaki z Indyi i Afryki. Słońce przebiegło już większą część nieba, ale dzień, lubo uczta odbywała się w początkach maja, był ciepły, a nawet upalny. Staw kołysał się od uderzeń wioseł, które biły toń w takt muzyki, lecz w powietrzu nie było najmniejszego tchnienia wiatru i gaje stały nieruchome, jakby zasłuchane i zapatrzone w to, co działo się na wodzie. Tratwa krążyła

wciąż po stawie, wioząc coraz bardziej pijanych i wrzaskliwych biesiadników. Jeszcze uczta nie dobiegła do połowy, gdy nie pilnowano już porządku, w jakim wszyscy zasiedli przy stole. Sam Cezar dał przykład, wstawszy bowiem, kazał ustąpić Winicyuszowi, który spoczywał przy Rubryi westalce, i zająwszy jego tryklinium, począł jej szeptać coś do ucha. Winicyusz znalazł się przy Poppei, która po chwili wyciągnęła doń ramię, prosząc, by zapiął jej rozluźniony naramiennik, a gdy uczynił to trochę drżącemi rękoma, rzuciła mu z pod swoich długich rzęs spojrzenie jakby zawstydzone i potrząsnęła swą złotą głową, niby czemuś przecząc. Tymczasem słońce stało się większe, czerwieńsze i zwolna staczało się za szczyty gajów; goście byli po większej części zupełnie pijani. Tratwa krążyła teraz blizko brzegów, na których, wśród kęp drzew i kwiatów, widać było grupy ludzi, poprzebieranych za faunów lub za satyrów, grających na fletniach, multankach i bębenkach, oraz grupy dziewcząt, przedstawiających nimfy, dryady i hamadryady. Mrok zapadł wreszcie wśród pijanych okrzyków na cześć Luny, dochodzących z pod namiotu: wówczas gaje zaświeciły tysiącem lamp. Z lupanaryów, stojących po brzegach, popłynęły roje światła: na tarasach ukazały się nowe grupy, również obnażone, składające się z żon i córek pierwszych domów rzymskich. Te głosem i wyuzdanymi ruchami poczęły przyzywać biesiadników. Tratwa przybiła wreszcie do brzegu, Cezar i augustyanie wypadli do gajów, rozproszyli się w lupanaryach, w namiotach, ukrytych wśród gęstwy, w grotach, sztucznie urządzonych wśród źródeł i fontann. Szał ogarnął wszystkich; nikt nie wiedział, gdzie podział się Cezar, kto jest senatorem, kto rycerzem, kto skoczkiem lub muzykiem. Satyry i fauny poczęły gonić z krzykiem za nimfami. Bito tyrsami w lampy, by je pogasić. Niektóre części gajów ogarnęła ciemność. Wszędzie jednak słychać było to głośne krzyki, to śmiechy, to szept, to zdyszany oddech ludzkich piersi. Rzym istotnie nie widział dotąd nic podobnego.

Winicyusz nie był pijany, jak na owej uczcie w pałacu Cezara, na której była Ligia, ale i jego olśnił i upoił widok wszystkiego, co się działo, a wreszcie ogarnęła go gorączka rozkoszy. Wypadłszy do lasu, biegł razem z innymi, upatrując, która z dryad wyda mu się najpiękniejszą. Co chwila przelatywały koło niego ze śpiewem i okrzykami coraz nowe ich

stada, gonione przez faunów, satyrów, senatorów, rycerzy i przez odgłosy muzyki. Ujrzawszy nareszcie orszak dziewic, prowadzony przez jedną, przybraną za Dyanę, skoczył ku niemu, chcąc bliżej spojrzeć na boginię, i nagle serce zamarło mu w piersiach. Oto zdawało mu się, że w bogini z księżycem na głowie poznaje Ligię.

One zaś otoczyły go szalonym korowodem, a po chwili, chcąc go widocznie skłonić do pościgu, pierzchły jak stado sarn. Lecz on został na miejscu, z bijącem sercem, bez oddechu, bo jakkolwiek rozpoznał, że Dyana nie była Ligią i z blizka nie była nawet do niej podobna, zbyt silne wrażenie pozbawiło go sił. Nagle ogarnęła go tęsknota za Ligią, tak niezmierna, jakiej nigdy w życiu nie doświadczał i miłość do niej napłynęła mu nową ogromną falą do piersi. Nigdy nie wydała mu się droższą, czystszą i bardziej miłowaną, jak w tym lesie szału i dzikiej rozpusty. Przed chwilą sam chciał pić z tego kielicha i wziąć udział w owem rozpętaniu zmysłów i bezwstydu, teraz przejął go wstręt i obrzydzenie. Poczuł, że dusi go ohyda, że piersiom jego potrzeba powietrza a oczom gwiazd, nie zaćmionych przez gęstwę tego strasznego gaju, i postanowił uciekać. Lecz zaledwie ruszył, stanęła przed nim jakaś postać, z głową owiniętą w zasłonę, i wsparłszy się dłońmi na jego ramionach, poczęła szeptać, oblewając mu gorącem tchnieniem twarz:

— Kocham cię!... Pójdź! Nikt nas nie ujrzy: śpiesz się!

Winicyusz rozbudził się, jakby ze snu:

— Ktoś ty?

Lecz ona wsparła się na nim piersią i poczęła nalegać:

— Śpiesz się! Patrz, jak tu pusto, a ja cię kocham! Pójdź!

— Ktoś ty? — powtórzył Winicyusz.

— Zgadnij!...

To rzekłszy, przycisnęła przez zasłonę usta do jego ust, ciągnąc jednocześnie ku sobie jego głowę, aż wreszcie, gdy jej zbrakło oddechu, oderwała od niego twarz.

— Noc miłości!... noc zapamiętania! — mówiła, chwytając szybko powietrze. — Dziś wolno!... masz mnie!

Lecz Winicyusza sparzył ów pocałunek i napełnił go nowem obrzydzeniem. Dusza i serce jego były gdzieindziej i na całym świecie nie istniało dla niego nic, prócz Ligii.

Więc, odsunąwszy ręką zakwefioną postać, rzekł:

— Ktokolwiek jesteś, kocham inną i nie chcę cię.

A ona zniżyła ku niemu głowę:

— Uchyl zasłony...

Lecz w tej chwili zaszeleściały liście poblizkich mirtów; postać znikła, jak senne widziadło, tylko z daleka rozległ się jej śmiech jakiś dziwny i złowrogi.

Petroniusz stanął przed Winicyuszem.

— Słyszałem i widziałem — rzekł.

Winicyusz zaś odpowiedział:

— Pójdźmy stąd!...

I poszli. Minęli gorejące światłem lupanarya, gaj, łańcuch konnych pretoryanów i odnaleźli lektyki.

— Wstąpię do ciebie — rzekł Petroniusz.

I wsiedli razem. Lecz przez drogę milczeli obaj. Dopiero gdy znaleźli się w atrium Winicyuszowego domu, Petroniusz rzekł:

— Czy wiesz, kto to był?

— Rubrya? — spytał Winicyusz, wstrząsnąwszy się na samą myśl, że Rubrya była westalką.

— Nie.

— Więc kto?

Petroniusz zniżył głos:

— Ogień Westy został splugawiony, bo Rubrya była z Cezarem. Z tobą zaś mówiła...

Tu dokończył jeszcze ciszej:

— Diva Augusta.

Nastała chwila milczenia.

— Cezar — rzekł Petroniusz — nie umiał ukryć przy niej swej żądzy do Rubryi, więc może chciała się zemścić, a ja przeszkodziłem wam dlatego, że gdybyś, poznawszy Augustę, odmówił jej, to byłbyś zgubiony bez ratunku: ty, Ligia, a może i ja.

Lecz Winicyusz wybuchnął:

— Mam dosyć Rzymu, Cezara, uczt, Augusty, Tygellina i was wszystkich! Duszę się! nie mogę tak żyć! nie mogę! Rozumiesz mnie!

— Tracisz głowę, sąd, miarę!... Winicyuszu!

— Kocham ją jedną w świecie!

— Więc co?

— Więc nie chcę innej miłości, nie chcę waszego życia, waszych uczt, waszego bezwstydu i waszych zbrodni!

— Co się z tobą dzieje? Czyś ty chrześcijanin?

A młody człowiek objął rękoma głowę i począł powtarzać, jakby z rozpaczą:

— Jeszcze nie! jeszcze nie!

ROZDZIAŁ XXXII.

Petroniusz odszedł do domu, wzruszając ramionami i niezadowolony mocno. Spostrzegł teraz i on, że przestali się z Winicyuszem rozumieć i że dusze ich rozbiegły się zupełnie. Niegdyś Petroniusz miał nad młodym żołnierzem ogromny wpływ. Był mu we wszystkiem wzorem i często kilka ironicznych słów z jego strony wystarczało, by Winicyusza od czegoś powstrzymać lub do czegoś popchnąć. Obecnie nie zostało z tego nic, tak dalece, że Petroniusz nie próbował nawet dawnych sposobów, czując, że jego dowcip i ironia ześlizną się bez żadnego skutku po nowych pokładach, jakie na duszę Winicyusza nałożyła miłość i zetknięcie się z niepojętym światem chrześcijańskim. Doświadczony sceptyk rozumiał, że stracił klucz do tej duszy. Przejmowało go też to niezadowoleniem, a nawet i obawą, którą spotęgowały jeszcze wypadki tej nocy. „Jeśli to ze strony Augusty nie przemijające zachcenie, trwalsza żądza — myślał Petroniusz — to będzie jedno z dwojga: albo Winicyusz jej się nie oprze, i może być przez lada przypadek zgubiony, albo, co dziś do niego podobne, oprze się i w takim razie będzie zgubiony napewno, a z nim mogę być i ja, choćby dlatego, że jestem jego krewnym, i że Augusta, objąwszy niechęcią całą rodzinę, przerzuci wagę swego wpływu na stronę Tygellina...“ I tak, i tak było źle. Petroniusz był człowiekiem odważnym i śmierci się nie bał, ale, nie spodziewając się od niej niczego, nie chciał jej wywoływać. Po długim namyśle postanowił wreszcie, że najlepiej i najbezpieczniej będzie wyprawić Winicyusza z Rzymu w podróż. Ach! gdyby mógł dać mu w dodatku na drogę Ligię, byłby to z radością uczynił. Lecz i tak spodziewał się, że nie będzie mu go zbyt trudno namówić. Wówczas

rozpuściłby na Palatynie wieść o chorobie Winicyusza, i odsunąłby niebezpieczeństwo zarówno od niego, jak i od siebie. Augusta ostatecznie nie wiedziała, czy była przez Winicyusza poznana; mogła przypuszczać, że nie, więc jej miłość własna dotychczas niezbyt ucierpiała. Inaczej mogło być jednak w przyszłości i należało temu zapobiedz. Petroniusz chciał przedewszystkiem wygrać na czasie, rozumiał bowiem, że, skoro raz Cezar ruszy do Achai, wówczas Tygellinus, który się na niczem z zakresu sztuki nie rozumiał, zejdzie na drugi plan i straci swój wpływ. W Grecyi Petroniusz pewien był zwycięstwa nad wszystkimi współzawodnikami.

Tymczasem postanowił czuwać nad Winicyuszem i zachęcać go do podróży. Przez kilkanaście dni rozmyślał nawet nad tem, że, gdyby wyrobił u Cezara edykt, wypędzający chrześcijan z Rzymu, to Ligia opuściłaby go razem z innymi wyznawcami Chrystusa, a za nią i Winicyusz. Wówczas nie potrzebaby go namawiać. Sama zaś rzecz była możliwa. Wszakże nie tak dawno jeszcze, gdy Żydzi wszczęli rozruchy z nienawiści do chrześcijan, Klaudyusz Cezar nie umiejąc odróżnić jednych od drugich, wypędził Żydów. Czemuby zatem Nero nie miał wypędzić chrześcijan? W Rzymie byłoby przestronniej. Petroniusz po owej „pływającej uczcie“ widywał codziennie Nerona i na Palatynie i w innych domach. Podsunąć mu podobną myśl było łatwo, bo Cezar nie opierał się nigdy namowom, przynoszącym komuś zgubę lub szkodę. Po dojrzałem zastanowieniu, Petroniusz ułożył sobie cały plan. Oto wyprawi u siebie ucztę i na niej skłoni Cezara do wydania edyktu. Miał nawet niepłonną nadzieję, że Cezar jemu powierzy wykonanie. Wówczas wyprawiłby Ligię, ze wszelkimi należnymi kochance Winicyusza względami, naprzykład do Bajów, i niechby się tam kochali i bawili w chrześcijaństwo, ileby im się podobało.

Tymczasem odwiedzał Winicyusza często, raz dlatego, że, przy całym swym rzymskim egoizmie, nie mógł się pozbyć przywiązania do niego, a powtóre, by namawiać go do podróży. Winicyusz udawał chorego i nie pokazywał się na Palatynie, gdzie codzień powstawały inne zamiary. Pewnego dnia wreszcie Petroniusz usłyszał z własnych ust Cezara, że wybiera się stanowczo za trzy dni do Ancyum, i zaraz nazajutrz poszedł zawiadomić o tem Winicyusza.

Lecz ów pokazał mu listę osób, zaproszonych do Ancyum, którą rano przyniósł mu wyzwoleniec Cezara.

— Jest na niej moje nazwisko — rzekł — jest i twoje. Wróciwszy, zastaniesz taką samą u siebie.

— Gdyby mnie nie było między zaproszonymi — odpowiedział Petroniusz — toby znaczyło, że trzeba umrzeć, nie spodziewam się zaś, by to nastąpiło przed podróżą do Achai. Będę tam Neronowi zbyt potrzebny.

Poczem, przejrzawszy listę, rzekł:

— Ledwośmy przybyli do Rzymu, trzeba znów opuścić dom i wlec się do Ancyum. Ale trzeba! bo to nietylko zaproszenie, to zarazem rozkaz.

— A gdyby kto nie posłuchał?

— Dostałby innego rodzaju wezwanie: by się wybrał w znacznie dłuższą podróż, w taką, z której się nie wraca. Co za szkoda, żeś nie posłuchał mojej rady i nie wyjechał, póki był czas. Teraz, musisz do Ancyum.

— Teraz muszę do Ancyum... Patrzże, w jakich my czasach żyjemy i jakimi podłymi jesteśmy niewolnikami.

— Czyś to dziś dopiero spostrzegł?

— Nie. Ale widzisz, tyś mi dowodził, że nauka chrześcijańska jest nieprzyjaciółką życia, bo nakłada na nie więzy. A czyż mogą być twardsze, niż te, które nosimy? Tyś mówił: Grecya stworzyła mądrość i piękność, a Rzym moc. Gdzież nasza moc?

— Zawołaj sobie Chilona. Nie mam dziś żadnej ochoty do filozofowania. Na Herkulesa! nie ja stworzyłem te czasy i nie ja za nie odpowiadam. Mówmy o Ancyum. Wiedz, że czeka cię tam wielkie niebezpieczeństwo i że lepiejby może było dla ciebie zmierzyć się z tym Urzusem, który zdławił Krotona, niż tam jechać, a jednak nie możesz nie jechać.

Winicyusz skinął niedbale dłonią i rzekł:

— Niebezpieczeństwo! My wszyscy brodzimy w mroku śmierci i co chwila jakaś głowa zanurza się w ów mrok.

— Czy mam ci wyliczać wszystkich, którzy mieli trochę rozumu i dlatego mimo czasów Tyberyusza, Kaliguli, Klaudyusza i Nerona dożyli ośmdziesięciu lub dziewięćdziesięciu lat? Niech ci za przykład posłuży choćby tylko taki Domicyusz Afer. Ten zestarzał się spokojnie, choć całe życie był złodziejem i łotrem.

— Może dlatego! może właśnie dlatego! — odpowiedział Winicyusz.

Poczem jął przeglądać listę, i rzekł:

— Tygellinus, Watyniusz, Sextus Afrykanus, Akwillinus Regulus, Suiliusz Nerulinus, Epryus Marcellus, i tak dalej! co za zbiór hołoty i łotrów!... I powiedzieć, że to rządzi światem!... Czy nie lepiejby im przyszło obwozić jakieś egipskie, albo syryjskie bóstwo po miasteczkach, brząkać w sistry i zarabiać na chleb wróżbiarstwem, albo skokami?...

— Lub pokazywać uczone małpy, rachujące psy, albo osła dmuchającego we flet — dodał Petroniusz — wszystko to prawda, ale mówmy o czemś ważniejszem. Zbierz uwagę i słuchaj mnie: opowiadałem na Palatynie, żeś chory, i nie możesz opuszczać domu, tymczasem nazwisko twoje znajduje się jednak na liście, co dowodzi, że ktoś nie uwierzył moim opowiadaniom i postarał się o to umyślnie. Neronowi nic na tem nie zależało, albowiem jesteś dla niego żołnierzem, z którym co najwyżej można gadać o gonitwach w cyrku, i który o poezyi i muzyce nie ma pojęcia. Otóż o umieszczenie twego nazwiska postarała się chyba Poppea, a to znaczy, że jej żądza ku tobie nie była przemijającem zachceniem, i że pragnie cię zdobyć.

— Odważna z niej Augusta!

— Odważna zaiste, bo może cię zgubić bez ratunku. A niechby Wenus natchnęła ją jak najprędzej inną miłością, ale póki chce jej się ciebie, musisz zachować jak największe ostrożności. Miedzianobrodemu ona już poczyna powszednieć, woli już dziś Rubryę lub Pitagorasa, lecz przez samą miłość własną wywarłby na was najstraszniejszą zemstę.

— W gaju nie wiedziałem, że to ona do mnie mówiła, ale przecieżeś podsłuchiwał i wiesz, co jej odpowiedziałem: że kocham inną i że jej nie chcę.

— A ja cię zaklinam na wszystkich bogów podziemnych, nie trać tej resztki rozumu, którą ci jeszcze chrześcijanie zostawili. Jak można się wahać, mając wybór między zgubą prawdopodobną a pewną? Zali nie mówiłem ci już, że, gdybyś zranił miłość własną Augusty, nie byłoby dla ciebie ratunku? Na Hades! jeśli ci życie zbrzydło, to lepiej sobie zaraz żyły otwórz lub rzuć się na miecz, bo gdy obrazisz Poppeę, może cię spotkać śmierć mniej lekka. Niegdyś przy-

jemniej było z tobą mówić! O co właściwie ci chodzi? Czy cię ubędzie? czy ci to przeszkodzi kochać twoją Ligię? Pamiętaj przytem, że Poppea widziała ją w Palatynie i że nietrudno jej się będzie domyśleć, dla kogo odrzucasz tak wysokie łaski. A wówczas wydobędzie ją, choćby z pod ziemi. Zgubisz nietylko siebie, ale i Ligię — rozumiesz?

Winicyusz słuchał, jakby myśląc o czem innem, i wreszcie rzekł:

— Ja muszę ją widzieć.

— Kogo? Ligię?

— Ligię.

— Wiesz, gdzie ona jest?

— Nie.

— Więc zaczniesz znów szukać jej po starych cmentarzach i na Zatybrzu?

— Nie wiem, ale muszę ją widzieć.

— Dobrze. Jakkolwiek jest chrześcijanką, może się okaże, iż jest rozsądniejsza od ciebie, a okaże się to z pewnością, jeśli nie chce twojej zguby.

Winicyusz ruszył ramionami.

— Wyratowała mnie z rąk Urzusa.

— W takim razie śpiesz się, bo Miedzianobrody nie będzie zwlekał z wyjazdem. Wyroki śmierci może wydawać i z Ancyum.

Lecz Winicyusz nie słuchał. Zajmowała go tylko jedna myśl: zobaczenia się z Ligią, więc począł rozmyślać nad sposobami.

Tymczasem zdarzyła się okoliczność, która mogła usunąć wszystkie trudości. Oto nazajutrz przyszedł niespodzianie do niego Chilon.

Przyszedł nędzny i obdarty, z oznakami głodu w twarzy i w podartym łachmanie, służba jednak, która miała dawniej rozkaz puszczania go o każdej porze dnia i nocy, nie śmiała go wstrzymywać, tak, że wszedł prosto do atrium i, stanąwszy przed Winicyuszem, rzekł:

— Niech ci bogowie dadzą nieśmiertelność i podzielą się z tobą władzą nad światem.

Winicyusz w pierwszej chwili miał ochotę kazać wyrzucić go za drzwi. Lecz przyszła mu myśl, że może Grek wie coś o Ligii, i ciekawość przemogła obrzydzenie.

— To ty? — spytał. — Co się z tobą dzieje?

— Źle, synu Jowisza — odpowiedział Chilon. — Prawdziwa cnota, to towar, o który nikt dziś nie zapyta, i prawdziwy mędrzec musi być rad i z tego, jeśli raz na pięć dni ma za co kupić baranią głowę u rzeźnika, którą ogryza na poddaszu, popijając łzami. Ach, panie! Wszystko coś mi dał, wydałem na księgi u Atraktusa, a potem okradziono mnie, zniszczono; niewolnica, która miała spisywać moją naukę, uciekła, zabrawszy resztę tego, czem twoja wspaniałomyślność mnie obdarzyła. Nędzarz jestem, alem pomyślał sobie: do kogóż mam się udać, jeśli nie do ciebie, Serapisie, którego kocham, ubóstwiam i za którego narażałem życie moje!

— Pocoś przyszedł i co przynosisz?

— Po pomoc, Baalu, a przynoszę ci moją nędzę, moje łzy, moją miłość i wreszcie wiadomości, które przez miłość dla ciebie zebrałem. Pamiętasz, panie, com ci w swoim czasie mówił, że odstąpiłem niewolnicy boskiego Petroniusza jedną nitkę z przepaski Wenery w Pafos?... Dowiadywałem się teraz, czy jej to pomogło, i ty synu Słońca, który wiesz, co się w tamtym domu dzieje, wiesz także, czem jest tam Eunice. Mam jeszcze taką jedną nitkę. Zachowałem ją dla ciebie, panie.

Tu przerwał, spostrzegłszy gniew, zbierający się w brwiach Winicyusza, i, chcąc uprzedzić wybuch, rzekł prędko:

— Wiem, gdzie mieszka boska Ligia, wskażę ci, panie, dom i zaułek.

Winicyusz potłumił wzruszenie, jakiem przejęła go ta wiadomość, i rzekł:

— Gdzie ona jest?

— U Linusa, starego kapłana chrześcijan. Ona tam jest wraz z Urzusem, a ten po dawnemu chodzi do młynarza, który zwie się tak, jak twój dyspenzator, panie, Demas... Tak, Demas!... Urzus pracuje nocami, więc, otoczywszy dom w nocy, nie znajdzie się go... Linus jest stary... a w domu, prócz niego, są tylko jeszcze starsze dwie niewiasty.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Pamiętasz, panie, że chrześcijanie mieli mnie w swym ręku i oszczędzili. Glaukus myli się wprawdzie, mniemając, żem ja przyczyną jego nieszczęść, ale uwierzył w to nieborak i wierzy dotąd, a jednak, oszczędzili mnie! Więc nie dziw

się, panie, że wdzięczność napełniła mi serce. Jam człowiek z dawnych, lepszych czasów. Zatem myślałem: mamże zaniechać moich przyjaciół i dobroczyńców? Zali nie byłoby zatwardziałością nie zapytać o nich, nie wywiedzieć się, co się z nimi dzieje, jak im służy zdrowie i gdzie mieszkają? Na Pessinuncką Cybelę! nie ja jestem do tego zdolny. Wstrzymywała mnie z początku obawa, żeby źle nie zrozumieli mych zamiarów. Ale miłość, jaką do nich miałem, okazała się większą od obawy, a zwłaszcza dodała mi otuchy ta łatwość, z jaką oni przebaczają wszelkie krzywdy. Przedewszystkiem jednak myślałem o tobie, panie. Ostatnia nasza wyprawa zakończyła się porażką, a czyż taki syn Fortuny może pogodzić się z tą myślą? Więc przygotowałem ci zwycięstwo. Dom stoi osobno. Możesz go kazać otoczyć niewolnikom tak, że i mysz się nie wyśliźnie. O panie, panie! od ciebie zależy tylko, by jeszcze dzisiejszej nocy ta wielkoduszna królewna znalazła się w twoim domu. Ale jeśli się to stanie, pomyśl, że przyczynił się do tego bardzo biedny i zgłodniały syn mojego ojca.

Winicyuszowi krew napłynęła do głowy. Pokusa raz jeszcze wstrząsnęła całem jego jestestwem. Tak jest! to był sposób, i tym razem sposób pewny. Gdy raz będzie miał Ligię u siebie, któż zdoła mu ją odjąć? Gdy raz uczyni Ligię swoją kochanką, cóż jej pozostanie innego, jak zostać nią na zawsze? I niech zginą wszelkie nauki! Co dla niego będą znaczyli wówczas chrześcijanie, razem z ich miłosierdziem i posępną wiarą? Zali nie czas otrząsnąć się z tego wszystkiego? zali nie czas rozpocząć żyć, jak wszyscy żyją? Co następnie uczyni Ligia, jak pogodzi swój los z nauką, którą wyznaje, to również rzecz mniejsza. To są rzeczy bez wagi! Przedewszystkiem będzie jego, i to dziś jeszcze. A i to pytanie, czy się w jej duszy ostoi owa nauka, wobec tego nowego dla niej świata, wobec rozkoszy i uniesień, którym musi się poddać? A stać się to może jeszcze dziś. Dość zatrzymać Chilona i wydać o zmroku rozkazy. I potem radość bez końca! „Czem było moje życie? — myślał Winicyusz — cierpieniem, niezaspokojoną żądzą i zadawaniem sobie ciągłych pytań bez odpowiedzi“. W ten sposób przetnie i skończy się wszystko. Przypomniał sobie wprawdzie, że przyrzekł jej, iż nie wzniesie na nią ręki. Ale na cóż przysięgał? Nie na bo-

gów, bo w nich już nie wierzył, nie na Chrystusa, bo w niego jeszcze nie wierzył. Zresztą, jeśli będzie się czuła pokrzywdzona, zaślubi ją i w ten sposób wynagrodzi jej krzywdę. Tak! do tego czuje się zobowiązanym, bo przecież zawdzięcza jej życie. Tu przypomniał mu się ów dzień, w którym wraz z Krotonem wpadł do jej schronienia; przypomniał sobie wzniesioną nad sobą pięść Urzusa i wszystko, co nastąpiło potem. Ujrzał ją znów schyloną nad jego łożem, przebraną w strój niewolnicy, piękną, jak bóstwo, dobroczynną i uwielbioną. Oczy jego mimowoli przeniosły się na lararium i na ów krzyżyk, który zostawiła mu, odchodząc. Zali jej za to wszystko zapłaci nowym zamachem? zali będzie ją ciągał za włosy do kubikulum, jak niewolnicę? I jakże potrafi to uczynić, skoro nietylko jej pożąda, ale ją kocha, a kocha za to właśnie, że jest taką, jak jest? I nagle uczuł, że niedość mu ją mieć w domu, niedość chwycić przemocą w ramiona, i że jego miłość chce już czegoś więcej, to jest: jej zgody, jej kochania i jej duszy. Błogosłowiony ten dach, jeśli ona wejdzie pod niego dobrowolnie, błogosławiona chwila, błogosławiony dzień, błogosławione życie. Wówczas szczęście obojga będzie jako morze nieprzebrane, i jako słońce. Ale porwać ją przemocą, byłoby to zabić na wieki takie szczęście, a zarazem zniszczyć, splugawić i zohydzić to, co jest najdroższe i jedynie ukochane w życiu.

Zgroza przejęła go teraz na samą myśl o tem. Spojrzał na Chilona, który wpatrując się w niego, zasunął rękę pod łachman i drapał się niespokojnie, poczem przejęło go niewypowiedziane obrzydzenie i chęć zdeptania tego dawnego pomocnika, tak, jak depce się plugawe robactwo lub jadowitego węża. Po chwili wiedział już, co ma uczynić. Lecz, nie znając w niczem miary, a idąc za popędem swej srogiej rzymskiej natury, zwrócił się do Chilona i rzekł:

— Nie uczynię tego, co mi radzisz, byś jednak nie odszedł bez nagrody, na jaką zasługujesz, każę ci dać trzysta rózeg w domowem ergastulum.

Chilo zbladł. W pięknej twarzy Winicyusza tyle było zimnej zawziętości, iż ani chwili nie mógł się łudzić nadzieją, by obiecana zapłata była tylko okrutnym żartem.

Więc rzucił się w jednej chwili na kolana i zgiąwszy się, począł jęczeć przerywanym głosem:

— Jakto, królu perski? za co?... Piramido łaski! kolosie miłosierdzia! za co?... Jam stary, głodny, nędzny... Służyłem ci... Także się odwdzięczasz?...

— Jak ty chrześcijanom — odparł Winicyusz. — I zawołał dyspenzatora.

Lecz Chilo skoczył do jego nóg i, objąwszy je konwulsyjnie, wołał jeszcze, z twarzą pokrytą śmiertelną bladością:

— Panie, panie!... Jam stary! pięćdziesiąt, nie trzysta... Pięćdziesiąt dosyć!... Sto, nie trzysta!... Litości! litości!

Winicyusz odtrącił go nogą i wydał rozkaz. W mgnieniu oka za dyspenzatorem wbiegło dwóch silnych Kwadów, którzy, porwawszy Chilona za resztki włosów, okręcili mu głowę jego własnym łachmanem i powlekli go do ergastulum.

— W imię Chrystusa!... — zawołał Grek we drzwiach do korytarza.

Winicyusz został sam. Wydany rozkaz podniecił go i ożywił. Tymczasem starał się zebrać rozpierzchłe myśli, i przyprowadzić je do ładu. Czuł wielką ulgę i zwycięstwo, jakie nad sobą odniósł, napełniło go otuchą. Zdawało mu się, że uczynił jakiś wielki krok ku Ligii, i że powinna go spotkać za to jakaś nagroda. W pierwszej chwili nie przyszło mu nawet na myśl, jak ciężkiej dopuścił się niesprawiedliwości względem Chilona, i że kazał go smagać za to samo, za co przedtem nagradzał. Nadto był jeszcze Rzymianinem, by go miał boleć cudzy ból i by miał zaprzątać swą uwagę jednym nędznym Grekiem. Gdyby nawet był pomyślał o tem, sądziłby, iż postąpił słusznie, rozkazawszy ukarać nikczemnika. Lecz on myślał o Ligii i mówił jej: nie zapłacę ci złem za dobre, a gdy się kiedyś dowiesz, jak postąpiłem z tym, który chciał mnie namówić do podniesienia na ciebie ręki, będziesz mi za to wdzięczna. Tu jednak zastanowił się, czy Ligia pochwaliłaby jego postępek z Chilonem? Wszakże nauka, którą ona wyznaje, każe przebaczać; wszak chrześcijanie przebaczyli nędznikowi, chociaż większe mieli do zemsty powody. Wówczas dopiero ozwał mu się w duszy krzyk: „w imię Chrystusa!“ Przypomniał sobie, że podobnym okrzykiem Chilon wykupił się z rąk Liga, i postanowił darować mu resztę kary.

W tym celu miał właśnie zawołać dyspenzatora, gdy ten sam stanął przed nim i rzekł:

— Panie, ów starzec omdlał, a może i umarł. Czy mam kazać go ćwiczyć dalej?

— Ocucić go i stawić przede mną.

Rządca atrium znikł za zasłoną, lecz cucenie nie musiało iść łatwo, albowiem Winicyusz czekał jeszcze czas długi, i poczynał się już niecierpliwić, gdy wreszcie niewolnicy wprowadzili Chilona i na znak dany sami cofnęli się natychmiast.

Chilon blady był, jak płótno, i wzdłuż nóg jego spływały na mozaikę atrium nitki krwi. Był jednak przytomny i, padłszy na kolana, począł mówić z wyciągniętemi rękoma:

— Dzięki ci, panie! Jesteś miłosierny i wielki.

— Psie — rzekł Winicyusz — wiedz, żem ci przebaczył dla tego Chrystusa, któremu i sam życie zawdzięczam.

— Będę służył, panie, Jemu i tobie.

— Milcz i słuchaj. Wstań! Pójdziesz ze mną i pokażesz mi dom, w którym mieszka Ligia.

Chilon zerwał się, lecz zaledwie stanął na nogach, pobladł jeszcze śmiertelniej i rzekł mdlejącym głosem:

— Panie, jam naprawdę głodny... Pójdę, panie, pójdę! lecz nie mam sił... Każ mi dać choć resztki z misy twego psa, a pójdę!...

Winicyusz kazał mu dać jeść, sztukę złota i płaszcz. Lecz Chilon, którego osłabiły razy i głód, nie mógł iść nawet po posiłku, choć strach podnosił mu włosy na głowie, by Winicyusz nie wziął jego osłabienia za opór i nie kazał go smagać na nowo.

— Niech jeno wino mnie rozgrzeje — powtarzał, szczękając zębami — będę mógł iść zaraz, choćby do Wielkiej Grecyi.

Jakoż po pewnym czasie odzyskał trochę sił i wyszli. Droga była długa, Linus bowiem mieszkał, jak większa część chrześcijan, na Zatybrzu, niedaleko od domu Myryam. Chilon pokazał wreszcie Winicyuszowi osobny mały domek, otoczony murem, pokrytym całkiem przez bluszcze, i rzekł:

— To tu, panie.

— Dobrze — rzekł Winicyusz — idź teraz precz, ale pierwej posłuchaj, co ci powiem: zapomnij, żeś mi służył; zapomnij, gdzie mieszka Myryam, Piotr i Glaukus; zapomnij również o tym domu i o wszystkich chrześcijanach. Przyj-

dziesz każdego miesiąca do mego domu, gdzie Demas wyzwoleniec będzie ci wypłacał po dwie sztuki złota. Lecz gdybyś dalej szpiegował chrześcijan, każę cię zaćwiczyć lub oddam w ręce prefekta miasta.

Chilon skłonił się i rzekł:

— Zapomnę.

Lecz gdy Winicyusz znikł na zakręcie uliczki, wyciągnął za nim ręce i, grożąc pięściami, zawołał:

— Na Ate i na Furye! nie zapomnę!

Poczem znów osłabł.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Winicyusz udał się wprost do domu, w którym zamieszkiwała Myryam. Przed bramą spotkał Nazaryusza, który zmieszał się na jego widok, ale on pozdrowił go uprzejmie i kazał się prowadzić do mieszkania matki.

W mieszkaniu, prócz Myryamy, zastał Piotra, Glauka, Kryspa, a nadto i Pawła z Tarzu, który świeżo był wrócił z Fregellae. Na widok młodego trybuna, zdziwienie odbiło się na wszystkich twarzach, on zaś rzekł:

— Pozdrawiam was w imię Chrystusa, którego czcicie.

— Niech imię Jego będzie wysławiane na wieki.

— Widziałem waszą cnotę i doświadczyłem dobroci, więc przychodzę jako przyjaciel.

— I pozdrawiamy cię, jako przyjaciela — odpowiedział Piotr. — Siądź, panie, i podziel z nami posiłek, jako gość nasz.

— Siądę i podzielę z wami posiłek, jeno pierwej wysłuchajcie mnie: ty Piotrze i ty Pawle z Tarzu, abyście poznali szczerość moją. Wiem, gdzie jest Ligia; wracam z przed domu Linusa, który leży blizko tego mieszkania. Mam prawo do niej, dane mi przez Cezara, mam w mieście, w domach moich, blizko pięćset niewolników; mógłbym otoczyć jej schronienie i pochwycić ją, a jednak nie uczyniłem tego i nie uczynię.

— Przeto błogosławieństwo Pana będzie nad tobą i będzie oczyszczone serce twoje — rzekł Piotr.

— Dziękuję ci, ale posłuchajcie mnie jeszcze: nie uczy-

niłem tego, choć żyję w męce i tęsknocie. Przedtem nim byłem z wami, byłbym niechybnie wziął ją i zatrzymał przemocą, ale wasza cnota i wasza nauka, chociaż jej nie wyznawam, zmieniła coś w mojej duszy, tak, że nie ważę się już na przemoc. Sam nie wiem, dlaczego się tak stało, ale tak jest! Zaczem przychodzę do was, bo wy Ligii zastępujecie ojca i matkę, i mówię wam: dajcie mi ją za żonę, a ja przysięgnę wam, że nietylko jej nie wzbronię wyznawać Chrystusa, ale i sam pocznę się uczyć Jego nauki.

Mówił z podniesioną głową, głosem stanowczym, ale był jednak wzruszony i nogi drżały mu pod pasiastym płaszczem, gdy zaś po słowach jego nastało milczenie, począł mówić dalej, jakby chcąc uprzedzić niepomyślną odpowiedź:

— Wiem, jakie są przeszkody, ale miłuję ją, jak oczy własne, i chociaż nie jestem jeszcze chrześcijaninem, nie jestem nieprzyjacielem ni waszym, ni Chrystusa. Chcę przed wami być w prawdzie, abyście mogli mi ufać. Idzie w tej chwili o życie moje, a jednak mówię wam prawdę. Inny rzekłby wam może: ochrzcijcie mnie! — ja mówię: oświećcie mnie! Wierzę, że Chrystus zmartwychwstał, bo to prawią ludzie prawdą żyjący, którzy Go widzieli po śmierci. Wierzę, bom sam widział, że wasza nauka płodzi cnotę, sprawiedliwość i miłosierdzie, nie zaś zbrodnie, o które was posądzają. Niewielem jej dotąd poznał. Tyle, co od was, z waszych uczynków, tyle, co od Ligii, tyle, co z rozmów z wami. A przecie, powtarzam wam, że i we mnie coś się już przez nią zmieniło. Trzymałem dawniej żelazną ręką sługi moje, teraz — nie mogę. Nie znałem litości, teraz znam. Kochałem się w rozkoszy, teraz uciekłem ze stawu Agryppy, bo mi tchu od obrzydzenia nie stało. Dawniej wierzyłem w przemoc, dziś się jej wyrzekłem. Wiedzcie, że sam siebie nie poznaję, ale zbrzydły mi uczty, zbrzydło wino, śpiewanie, cytry i wieńce, zbrzydł dwór Cezara i nagie ciała i wszystkie zbrodnie. A gdy myślę, że Ligia jest jako śnieg w górach, to miłuję ją tembardziej: a gdy pomyślę, że jest taka przez waszą naukę, to miłuję i tę naukę i chcę jej! Ale że jej nie rozumiem, że nie wiem, czy w niej żyć potrafię i czy zniesie ją natura moja, przeto żyję w niepewności i męce, jakobym żył w ciemnicy.

Tu brwi na czole zbiegły mu się w bolesną fałdę i ru-

mieniec wystąpił na policzki, poczem znów mówił coraz śpieszniej i z coraz większem wzruszeniem:

— Widzicie! męczę się i z miłości i od mroku. Mówili mi, że w waszej nauce nie ostoi się ni życie, ni radość ludzka, ni szczęście, ni prawo, ni porządek, ni zwierzchność, ni władztwo rzymskie. Zali tak jest? Mówili mi, żeście ludzie szaleni; powiedzcie, co przynosicie? Czy grzech miłować? czy grzech czuć radość? czy grzech chcieć szczęścia? czy wyście nieprzyjaciółmi życia? Czy trzeba chrześcijaninowi być nędzarzem? czy miałbym się wyrzec Ligii? Jaka jest wasza prawda? Wasze uczynki i wasze słowa są jako woda przejrzysta, ale jakie dno tej wody? Widzicie, żem szczery. Rozproszcie ciemności! Bo mnie powiedzieli jeszcze i to: Grecya stworzyła mądrość i piękność, Rzym moc, a oni co przynoszą? Więc powiedzcie, co przynosicie? Jeśli za drzwiami waszemi jest jasność, to mi otwórzcie!

— Przynosim miłość — rzekł Piotr.

A Paweł z Tarzu dodał:

— Gdybym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłościbym nie miał, byłbym jako miedź brząkająca...

Lecz serce starego Apostoła wzruszyło się tą duszą w męce, która jak ptak zamknięty w klatce rwała się do powietrza i słońca, więc wyciągnął ku Winicyuszowi ręce i rzekł:

— Kto puka, będzie mu otworzono i łaska Pana jest nad tobą, przeto błogosławię tobie, twojej duszy i twojej miłości w imię Zbawiciela świata.

Winicyusz, który i tak mówił w uniesieniu, usłyszawszy błogosławieństwo, skoczył ku Piotrowi i wówczas stała się rzecz nadzwyczajna. Oto ten potomek Kwirytów, który do niedawna nie uznawał w obcym człowieka, chwycił ręce starego Galilejczyka i począł je z wdzięcznością do ust przyciskać.

A Piotr ucieszył się, albowiem rozumiał, że siejba znów padła na jedną więcej rolę i że jego sieć rybacza ogarnęła jedną więcej duszę.

Obecni zaś, niemniej ucieszeni tym jawnym znakiem czci dla Bożego Apostoła, zawołali jednym głosem:

— Chwała na wysokościach Panu!

Winicyusz powstał z rozjaśnioną twarzą i począł mówić:

— Widzę, że szczęście może między wami mieszkać,

bo czuję się szczęśliwy i mniemam, że tak samo w innych mnie przekonacie rzeczach. Ale to wam jeszcze powiem, że nie stanie się to w Rzymie; Cezar jedzie do Ancyum, a ja z nim muszę, gdyż mam rozkaz. Wiecie, że nie posłuchać, to śmierć. Ale jeślim znalazł łaskę w waszych oczach, jedźcie ze mną, abyście mnie nauczali prawdy waszej. Bezpieczniej wam tam będzie, niż mnie samemu, w tym wielkim natłoku ludzi będziecie mogli opowiadać waszą prawdę na samym dworze Cezara. Mówią, że Akte jest chrześcijanką, a i między pretoryanami są chrześcijanie, bom sam widział, jak żołnierze klękali przed tobą, Piotrze, u bramy Nomentańskiej. W Ancyum mam willę, w której zbierać się będziemy, aby pod bokiem Nerona słuchać nauk waszych. Mówił mi Glaukus, że wy dla jednej duszy gotowiście na krańce świata wędrować, więc uczyńcie to dla mnie, coście uczynili dla tych, dla których przyszliście tu aż z Judei, uczyńcie i nie opuszczajcie duszy mojej!

Oni, usłyszawszy to, poczęli się naradzać, myśląc z radością o zwycięstwie swej nauki i o znaczeniu, jakie dla pogańskiego świata mieć będzie nawrócenie się augustyanina i potomka jednego z najstarszych rodów rzymskich. Gotowi byli istotnie wędrować na krańce świata dla jednej duszy ludzkiej i od śmierci mistrza nic przecie innego nie czynili, więc odpowiedź odmowna nie przeszła im nawet przez myśl. Ale Piotr był w tej chwili pasterzem całej rzeszy, więc jechać nie mógł, natomiast Paweł z Tarzu, który niedawno był w Arycyi i we Fregellae, a wybierał się znów w długą podróż na Wschód, aby odwiedzić tamtejsze kościoły i ożywić je nowym duchem gorliwości, zgodził się towarzyszyć młodemu trybunowi do Ancyum, łatwo mu bowiem było znaleźć tam statek, idący na morza greckie.

Winicyusz, jakkolwiek zasmucił się, że Piotr, któremu był tyle obowiązany, nie będzie mu towarzyszył, podziękował jednak z wdzięcznością, a następnie zwrócił się do starego Apostoła z ostatnią prośbą.

— Wiedząc mieszkanie Ligii — rzekł — mógłbym sam pójść do niej i spytać, jako jest rzecz słuszna, czyli zechce mnie za męża, jeśli dusza moja stanie się chrześcijańską, ale wolę cię prosić, Apostole: pozwól mi ją widzieć, albo wprowadź mnie sam do niej. Nie wiem, jak długo przyjdzie mi

zabawić w Ancyum, i pamiętajcie, że przy Cezarze nikt nie jest pewny swego jutra. Już mi mówił i Petroniusz, że nie całkiem mi tam będzie bezpiecznie. Niechże ją ujrzę przedtem, niech nasycę nią oczy i niech ją zapytam, czy mi złe zapomni i czy dobre ze mną podzieli.

A Piotr Apostoł uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

— A któżby ci słusznej radości miał odmawiać, synu mój.

Winicyusz znów pochylił się do jego rąk, albowiem całkiem już nie mógł wezbranego serca pohamować, Apostoł zaś wziął go za skronie i rzekł:

— Ale ty się Cezara nie bój, bo to ci powiadam, że włos nie spadnie ci z głowy.

Poczem wysłał Myryam po Ligię, przykazując, by nie mówiła jej, kogo między nimi znajdzie, by i dziewczynie tem większą sprawić radość.

Było niedaleko, więc po krótkim czasie zgromadzeni w izbie ujrzeli wśród mirtów ogródka Myryam, prowadzącą za rękę Ligię.

Winicyusz chciał biedz naprzeciw, lecz na widok tej umiłowanej postaci szczęście odjęło mu siły — i stał z bijącem sercem, bez tchu, zaledwie mogąc się utrzymać na nogach, stokroć więcej wzruszony, niż wówczas, kiedy po raz pierwszy w życiu usłyszał strzały Partów, warczące koło swej głowy.

Ona wbiegła, nie spodziewając się niczego, i na jego widok, stanęła również, jak wryta. Twarz jej zaczerwieniła się i wraz pobladła bardzo, poczem jęła spoglądać zdumionemi a zarazem przelękłemi oczyma na obecnych.

Lecz naokół widziała jasne, pełne dobroci spojrzenia, Apostoł zaś Piotr zbliżył się do niej i rzekł:

— Ligio, miłujeszże ty go zawsze?

Nastała chwila milczenia. Usta poczęły jej drżeć, jak u dziecka, któremu zbiera się na płacz i które, czując się winnem, widzi jednak, że trzeba przyznać się do winy.

— Odpowiedz — rzekł Apostoł.

Wówczas z pokorą i lękiem w głosie wyszeptała, obsuwając się do kolan Piotra:

— Tak jest...

Lecz Winicyusz w jednej chwili klęknął przy niej, Piotr zaś położył ręce na ich głowach i rzekł:

— Miłujcie się w Panu i na chwałę Jego, albowiem niemasz grzechu w miłości waszej.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Chodząc po ogródku, Winicyusz opowiadał jej w krótkich, wyrwanych z głębi serca słowach, to, co przed chwilą wyznał Apostołom: więc niepokój swej duszy, zmiany, jakie w nim zaszły, i wreszcie tę niezmierną tęsknotę, która przesłoniła mu życie od czasu, jak opuścił mieszkanie Myryam. Przyznał się Ligii, że chciał o niej zapomnieć, ale nie mógł. Myślał o niej po całych dniach i nocach. Przypominał mu ją ów krzyżyk, związany z gałązek bukszpanu, który mu zostawiła, a który umieścił w lararium i mimowoli czcił, jak coś boskiego. I tęsknił coraz mocniej, bo kochanie było od niego silniejsze i już u Aulusów objęło całkiem jego duszę... Innym przędą nić życia Parki, a jemu przędła ją miłość, tęsknota i smutek. Złe były jego postępki, ale płynęły z miłości. Kochał ją u Aulusów i na Palatynie, i gdy ją widział na Ostryanum, słuchającą słów Piotra, i gdy szedł ją porywać z Krotonem, i gdy czuwała przy jego łożu, i gdy go opuściła. Przyszedł oto Chilon, który odkrył jej mieszkanie i radził ją porwać, ale on wolał ukarać Chilona i pójść do Apostołów prosić o prawdę i o nią... I niech będzie błogosławiona ta chwila, w której taka myśl przyszła mu do głowy, bo oto jest przy niej, a wszakże już ona nie będzie więcej uciekała przed nim, tak jak ostatnim razem uciekła z mieszkania Myryam?

— Ja nie przed tobą uciekłam — rzekła Ligia.

— Więc czemuś to uczyniła?

A ona podniosła na niego swe oczy koloru irysów, poczem, schyliwszy zawstydzoną głowę, odrzekła:

— Ty wiesz...

Winicyusz umilkł na chwilę z nadmiaru szczęścia, poczem znów jął mówić, jak powoli otwierały mu się oczy, że ona jest całkiem różna od Rzymianek i chyba do jednej Pomponii podobna. Nie umiał jej zresztą dobrze wypowiedzieć, albowiem sam nie zdawał sobie sprawy z tego, co czuł, że w niej przychodzi na świat jakaś zupełnie inna pię-

kność, której dotąd na świecie nie bywało, a która nietylko jest posągiem, ale i duszą. Powiedział jej natomiast to, co napełniało ją radością, że ją pokochał nawet za to, iż uciekała przed nim i że będzie mu świętą przy ognisku.

Poczem, chwyciwszy jej rękę, nie mógł więcej mówić, patrzył tylko na nią z zachwytem, jak na odzyskane szczęście życia i powtarzał jej imię, jakby chcąc się upewnić, że ją odnalazł i że jest przy niej:

— O Ligio! o Ligio!...

Wreszcie jął ją rozpytywać, co się działo w jej duszy, a ona przyznała mu się, że go pokochała jeszcze w domu Aulusów, i że gdyby ją był odprowadził do nich z Palatynu, byłaby wyznała im swoją miłość i starała się przebłagać ich gniew na niego.

— Ja ci przysięgam, — rzekł Winicyusz — że mnie w myśli nawet nie postało odbierać cię Aulusom. Petroniusz powie ci kiedyś, żem już wówczas mówił mu, że cię kocham i że pragnę cię zaślubić. Powiedziałem mu: niech omaści drzwi moje wilczym tłuszczem i niech zasiądzie przy mojem ognisku! Ale on mnie wyśmiał i podał Cezarowi myśl, by cię zażądał jako zakładniczki i oddał mnie. Ileż razy przeklinałem go w moim żalu, ale może to pomyślny los tak zrządził, bo inaczejbym nie poznał chrześcijan i nie zrozumiał ciebie...

— Wierz mi, Marku, — odrzekła Ligia — że to Chrystus umyślnie prowadził cię ku sobie.

Winicyusz podniósł głowę z pewnem zdziwieniem.

— Prawda! — odpowiedział z żywością — wszystko składało się tak dziwnie, żem, szukając ciebie, spotkał się z chrześcijanami... W Ostryanum ze zdumieniem słuchałem Apostoła, bom takich rzeczy nigdy nie słyszał. To tyś modliła się za mnie.

— Tak! — odpowiedziała Ligia.

Przeszli koło letnika, pokrytego gęstwą bluszczu, i zbliżyli się do miejsca, w którem Urzus, zdławiwszy Krotona, rzucił się na Winicyusza.

— Tu, — rzekł młody człowiek — gdyby nie ty, byłbym zginął.

— Nie przypominaj! — odpowiedziała Ligia — i nie pamiętaj tego Urzusowi.

— Mógłżebym mścić się nad nim za to, że cię bronił? Gdyby był niewolnikiem, zaraz darowałbym mu wolność.

— Gdyby był niewolnikiem, Aulusowie dawnoby go wyzwolili.

— Pamiętasz, — rzekł Winicyusz — żem cię chciał wrócić Aulusom? aleś ty mi odrzekła, że Cezar mógłby się o tem dowiedzieć i mścić się nad nimi. Patrzże: teraz będziesz ich mogła widywać, ilekroć zechcesz.

— Dlaczego, Marku?

— Mówię: „teraz“, a myślę, że będziesz ich mogła widywać bezpiecznie wówczas, gdy będziesz moja. Tak!... Bo gdyby Cezar, dowiedziawszy się o tem, zapytał, com uczynił z zakładniczką, którą mi powierzył, rzeknę: zaślubiłem ją i do Aulusów chodzi z mojej woli. On długo w Ancyum nie zabawi, bo mu się chce do Achai, a choćby i zabawił, nie potrzebuję widywać go codziennie. Gdy Paweł z Tarzu nauczy mnie waszej Prawdy, zaraz chrzest przyjmę i wrócę tu, odzyskam przyjaźń Aulusów, którzy w tych dniach wracają do miasta, i nie będzie już przeszkód, a wówczas zabiorę cię i posadzę przy mojem ognisku. *O! carissima, carissima!*

To rzekłszy, wyciągnął ręce, jakby niebo biorąc na świadka swej miłości, a Ligia, podniósłszy na niego świetliste oczy, rzekła:

— I wówczas powiem: „gdzie ty Kajus, tam i ja Kaja“.

— Nie, Ligio! — zawołał Winicyusz — przysięgam ci, że nigdy żadna kobieta nie była tak czczona w domu męża, jak ty będziesz w moim.

Przez chwilę szli w milczeniu, nie mogąc objąć piersiami szczęścia, rozkochani w sobie, podobni do dwojga bóstw i tak piękni, jakby ich wraz z kwiatami wydała na świat wiosna.

Stanęli wreszcie pod cyprysem, rosnącym blizko wejścia do izby. Ligia oparła się o jego pień, Winicyusz zaś znów począł prosić drgającym głosem:

— Każ Urzusowi pójść do domu Aulusów, zabrać twoje sprzęty i zabawki dziecinne i przenieść do mnie.

A ona, spłonąwszy jak róża lub jak jutrzenka, odrzekła:

— Zwyczaj każe inaczej...

— Ja wiem. Zanosi je zwykle *pronuba* [1]) dopiero za oblubienicą, ale uczyń to dla mnie. Ja zabiorę je do mojej willi w Ancyum i będą mi cię przypominały.

Tu złożył ręce i jął powtarzać, jak dziecko, które prosi:

— Pomponia wróci w tych dniach, więc uczyń to, *diva*, uczyń, *carissima* moja!

— Niech Pomponia zrobi, jak zechce — odrzekła Ligia, płonąc na wspomnienie „pronuby" jeszcze silniej.

I znów umilkli, gdyż miłość poczęła im tamować dech w piersiach. Ligia stała oparta plecami o cyprys, z twarzą bielejącą w cieniu nakształt kwiatu, ze spuszczonemi oczyma i falującą żywiej piersią, a Winicyusz mienił się na twarzy i bladł. W ciszy południowej słyszeli bicie własnych serc i w upojeniu wzajemnem ów cyprys, krzewy mirtowe i bluszcze letnika zmieniały im się w ogród miłości.

Lecz Myryam ukazała się we drzwiach i zaprosiła ich na południowy posiłek. Zasiedli wówczas wśród Apostołów, ci zaś patrzyli na nich z uciechą, jako na młode pokolenie, które po ich śmierci miało zachować i siać dalej ziarno nowej nauki. Piotr łamał i błogosławił chleb: na wszystkich twarzach był spokój i jakieś ogromne szczęście zdawało się przepełniać całą tę izbę.

— Patrzże — rzekł wreszcie Paweł, zwracając się do Winicyusza — zaliśmy nieprzyjaciółmi życia i radości?

Ów zaś odpowiedział:

— Wiem, jako jest, bom nigdy nie był tak szczęśliwy, jak między wami.

ROZDZIAŁ XXXV.

Wieczorem dnia tego Winicyusz, przechodząc przez Forum do domu, spostrzegł przy wejściu na vicus Tuscus złoconą lektykę Petroniusza, niesioną przez ośmiu Bityńczyków, i zatrzymawszy ich znakiem ręki, zbliżył się do firanek.

— Obyś miał sen przyjemny i błogi! — zawołał, śmiejąc się, na widok uśpionego Petroniusza.

---

[1]) Matrona, która towarzyszyła oblubienicy i pouczała ją o obowiązkach żony.

— Ach, to ty! — rzekł, ocknąwszy się, Petroniusz. — Tak! zdrzemnąłem się, bom noc spędził na Palatynie. Teraz wybrałem się, by sobie kupić coś do czytania do Ancyum... Co słychać?

— Chodzisz po księgarniach? — spytał Winicyusz.

— Tak. Nie chcę wprowadzić nieładu w bibliotece, więc na drogę czynię osobne zapasy. Podobno wyszły nowe rzeczy Muzoniusza i Seneki. Szukam także Persyusza i pewnego wydania eklog Wergilego, którego nie mam. Och, jakiż jestem zmęczony i jak ręce mnie bolą od zdejmowania zwojów z kołków... Bo gdy się jest raz w księgarni, ciekawość bierze to i owo zobaczyć. Byłem u Awiruna, u Atraktusa na Argiletum, a przedtem jeszcze u Sozyuszów na vicus Sandalarius. Na Kastora! jak mi się spać chce!...

— Byłeś na Palatynie, więc ja ciebie spytam, co słychać? Albo wiesz co? odeślij lektykę i puszki z książkami, a pójdź do mnie. Pomówimy o Ancyum i o czemś jeszcze.

— Dobrze — odrzekł Petroniusz, wysuwając się z lektyki. — Musisz przecie wiedzieć, że pojutrze wybieramy się do Ancyum.

— Skądżebym miał wiedzieć?

— Na jakim ty świecie żyjesz? A więc ja pierwszy zwiastuję ci nowinę? Tak! Bądź gotów na pojutrze rano. Groch na oliwie nie pomógł, chustka na grubym karku nie pomogła i Miedzianobrody ochrypł. Wobec tego niema mowy o zwłoce. Przeklina Rzym i jego powietrze, na czem świat stoi, radby go z ziemią zrównać, albo zniszczyć ogniem, i chce mu się morza jak najprędzej. Powiada, że te zapachy, które wiatr niesie z wązkich uliczek, wtrącą go do grobu. Dziś czyniono wielkie ofiary we wszystkich świątyniach, by mu wrócił głos — i biada Rzymowi, a zwłaszcza senatowi, jeśli prędko nie wróci.

— Nie byłoby po co jechać wówczas do Achai.

— Alboż nasz boski Cezar ten jeden tylko talent posiada? — odrzekł, śmiejąc się, Petroniusz — wystąpiłby na igrzyskach olimpijskich jako poeta, ze swoim pożarem Troi, jako woźnica, jako muzyk, jako atleta, ba, nawet jako tancerz, i zabrałby w każdym razie wszystkie korony przeznaczone dla zwycięzców. Czy wiesz, dlaczego ta małpa ochrypła? Oto wczoraj zachciało mu się dorównać w tańcu naszemu

Parysowi i tańczył nam przygodę Ledy, przyczem spotniał i zaziębił się. Cały był mokry i klejki, jak węgorz świeżo wyjęty z wody. Zmieniał maski jedna po drugiej, kręcił się jak wrzeciono, machał rękami jak spity majtek, i aż obrzydliwość brała patrzeć na ten wielki brzuch i na te cienkie nogi. Parys uczył go od dwóch tygodni, ale wyobraźże sobie Ahenobarba jako Ledę, albo jako boga-łabędzia. To łabędź! niema co mówić! Ale on chce publicznie wystąpić z tą pantominą, naprzód w Ancyum, a potem w Rzymie.

— Gorszono się już tem, że śpiewał publicznie, ale pomyśleć sobie, że Cezar rzymski wystąpi jako mima, nie! tego chyba Rzym nie zniesie!

— Mój drogi! Rzym wszystko zniesie, a senat uchwali dziękczynienie „ojcu ojczyzny".

Po chwili zaś dodał:

— A gawiedź dumna jeszcze z tego, że Cezar jest jej błaznem.

— Powiedz sam, czy można było więcej spodleć?

Petroniusz ruszył ramionami.

— Ty sobie żyjesz w domu i w swoich rozmyślaniach to o Ligii, to o chrześcijanach, więc chyba nie wiesz co się stało przed paru dniami. Przecie Nero zaślubił publicznie Pitagorasa. Występował jako panna młoda. Zdawałoby się, że to już miara szaleństwa przebrana, nieprawda? I cóż powiesz: przyszli wezwani flaminowie i dali mu uroczyście ślub. Byłem przy tem! I ja dużo mogę znieść, a jednak wyznaję, iżem pomyślał, że bogowie, jeśli są, to powinni dać jaki znak... Ale Cezar nie wierzy w bogów i ma racyę.

— Jest zatem w jednej osobie najwyższym kapłanem, bogiem i ateistą — rzekł Winicyusz.

Petroniusz począł się śmiać:

— Prawda! Nie przyszło mi to do głowy, a to jest połączenie, jakiego świat dotąd nie widział.

Poczem przystanąwszy, rzekł:

— Bo trzeba jeszcze dodać, że ten najwyższy kapłan, który nie wierzy w bogów i ten bóg, który z nich drwi, boi się ich jako ateista.

— Dowodem to, co zaszło w świątyni Westy.

— Co za świat!

— Jaki świat, taki Cezar! — Ale to długo nie potrwa.

Tak rozmawiając, weszli do domu Winicyusza, który wesoło zawołał o wieczerzę, a następnie zwrócił się do Petroniusza i rzekł:

— Nie, mój drogi, świat musi się odrodzić.

— My go nie odrodzim — odpowiedział Petroniusz — choćby dlatego, że w czasach Nerona człowiek jest jako motyl: żyje w słońcu łaski, a przy pierwszym chłodnym powiewie, ginie... choćby nie chciał! Na syna Mai: nieraz zadaję sobie pytanie, jakim cudem taki Lucyusz Saturninus mógł dożyć dziewięćdziesięciu trzech lat, przeżyć Tyberyusza, Kaligulę, Klaudyusza?... Ale mniejsza z tem. Czy pozwolisz mi posłać twoją lektykę po Eunice? Przeszła mi jakoś ochota do snu i chciałbym się weselić. Każ na wieczerzę przyjść cytarzyście, a potem pogadamy o Ancyum. Trzeba o tem pomyśleć, a zwłaszcza tobie.

Winicyusz wydał rozkaz, by posłano po Eunice, ale oświadczył, że nad pobytem w Ancyum nie myśli sobie łamać głowy. Niech ją łamią ci, którzy nie umieją żyć inaczej, jak w promieniach łaski Cezara. Świat nie kończy się na Palatynie, zwłaszcza dla tych, którzy co innego mają w sercu i w duszy.

I mówił to tak niedbale, z takiem ożywieniem i tak wesoło, że wszystko to uderzyło Petroniusza, więc popatrzywszy na niego przez chwilę, rzekł:

— Co się z tobą dzieje? Tyś dziś taki, jak byłeś wówczas, gdyś jeszcze nosił złotą bullę na szyi.

— Jestem szczęśliwy — odrzekł Winicyusz. — Zaprosiłem cię do siebie umyślnie, by ci to powiedzieć.

— Co ci się zdarzyło?

— Coś takiego, czegobym nie odstąpił za imperyum rzymskie.

To rzekłszy, siadł, wsparł ramię na poręczy krzesła, głowę na ramieniu i począł mówić z twarzą pełną uśmiechów i z jaśniejącym wzrokiem:

— Czy pamiętasz, jak byliśmy razem u Aulusa Plaucyusza i tam po raz pierwszy widziałeś boską dziewczynę, którąś sam nazwał jutrzenką i wiosną? Pamiętasz tę Psychę, tę nieporównaną, tę najpiękniejszą z dziewic i z waszych bogiń?

Petroniusz patrzył na niego z takiem zdziwieniem, jakby chciał sprawdzić, czy głowa jego jest w porządku.

— Po jakiemu ty mówisz? — rzekł wreszcie. — Oczywiście, że pamiętam Ligię.

A Winicyusz rzekł:

— Jestem jej narzeczonym.

— Co?...

Lecz Winicyusz zerwał się i zawołał dyspenzatora.

— Niech niewolnicy staną tu przede mną co do jednej duszy! żywo!

— Jesteś jej narzeczonym? — powtórzył Petroniusz.

Lecz nim ochłonął ze zdziwienia, ogromne atrium Winicyuszowego domu zaroiło się od ludzi. Biegli zadyszani starcy, mężczyźni w sile wieku, kobiety, chłopięta i dziewczyny. Z każdą chwilą atrium napełniało się coraz szczelniej; na korytarzach, zwanych *fauces*, słychać było głosy nawołujące się w rozmaitych językach. Wreszcie ustawili się wszyscy murem pod ścianami i wśród kolumn, Winicyusz zaś, stanąwszy koło impluvium, zwrócił się do Demasa, wyzwoleńca, i rzekł:

— Którzy wysłużyli w domu lat dwadzieścia, mają się stawić jutro u pretora, gdzie otrzymają wolność; którzy nie wysłużyli, otrzymają po trzy sztuki złota i podwójną porcyę przez tydzień. Do ergastulów wiejskich posłać rozkaz, by odpuszczono kary, zdjęto kajdany z nóg ludziom i karmiono ich dostatnio. Wiedzcie, że nastał dla mnie szczęśliwy dzień i chcę, by radość była w domu.

Oni przez chwilę stali w milczeniu, jakby uszom własnym nie wierząc, poczem wszystkie ręce podniosły się naraz do góry i wszystkie usta zawołały:

— Aa! panie! aaa!...

Winicyusz odprawił ich znakiem ręki, więc choć mieli ochotę dziękować i padać mu do nóg, odeszli śpiesznie, napełniając dom szczęściem od podziemi do dachu.

— Jutro — rzekł Winicyusz — każę im jeszcze zejść się w ogrodzie i kreślić przed sobą znaki, jakie chcą. Tych, którzy nakreślą rybę, wyzwoli Ligia.

Lecz Petroniusz, który nie dziwił się nigdy długo niczemu, ochłódł już i zapytał:

— Rybę? Aha! pamiętam, co mówił Chilo: to znak chrześcijan.

Poczem wyciągnął rękę do Winicyusza i rzekł:

— Szczęście jest zawsze tam, gdzie je człowiek widzi. Niech Flora sypie wam kwiaty pod nogi przez długie lata. Życzę ci wszystkiego, czego sam sobie życzysz.

— To ci dziękuję, bom myślał, że będziesz odradzał, a to, widzisz, byłby stracony czas.

— Ja, odradzać? Bynajmniej. Owszem, mówię ci, że dobrze robisz.

— Ha, zmienniku! — odrzekł wesoło Winicyusz — zaliś zapomniał, coś mi niegdyś mówił, gdyśmy wychodzili z domu Grecyny?

Lecz Petroniusz odpowiedział z zimną krwią:

— Nie! ale zmieniłem zdanie.

Po chwili zaś dodał:

— Mój kochany! w Rzymie wszystko się zmienia. Mężowie zmieniają żony, żony zmieniają mężów, dlaczegóż jabym nie miał zmienić zdania? Niewiele brakło, a Nero byłby zaślubił Akte, którą umyślnie dla niego wywiedli z królewskiego rodu. I cóż! Miałby uczciwą żonę, a my uczciwą Augustę. Na Proteusza i jego morskie pustkowia! zawsze będę zmieniał zdanie, ilekroć uznam to za stosowne lub wygodne. Co do Ligii, jej królewskie pochodzenie pewniejsze jest, niż pergamscy przodkowie Akte. Ale ty się strzeż w Ancyum Poppei, która jest mściwa.

— Ani myślę! Włos mi nie spadnie z głowy w Ancyum.

— Jeśli sądzisz, że mnie jeszcze raz zadziwisz, to się mylisz, ale skąd masz tę pewność?

— Powiedział mi to Piotr Apostoł.

— A! powiedział ci to Piotr Apostoł! Na to niema argumentu, pozwól jednak, bym ja przedsięwziął pewne środki ostrożności, choćby dlatego, by Piotr Apostoł nie okazał się fałszywym prorokiem, bo gdyby Piotr Apostoł wypadkiem się omylił, mógłby stracić twoją ufność, która i nadal zapewne Piotrowi Apostołowi się przyda.

— Czyń co chcesz, ale ja mu wierzę. I jeśli myślisz, że mnie do niego zrazisz, powtarzając z przekąsem w kółko jego imię, to się mylisz.

— Więc jeszcze jedno pytanie: czyś został już chrześcijaninem?

— Dotąd nie, ale Paweł z Tarzu jedzie ze mną, aby

mi tłómaczyć naukę Chrystusa, a potem przyjmę chrzest, bo to, coś mówił, że oni są nieprzyjaciółmi życia i radości, to nieprawda.

— To tem lepiej dla ciebie i dla Ligii — odpowiedział Petroniusz.

Poczem wzruszywszy ramionami, rzekł jakby sam do siebie:

— Zadziwiająca jednak rzecz, jak ci ludzie umieją zdobywać wyznawców i jak ta sekta się szerzy.

A Winicyusz odpowiedział z takim zapałem, jakby i sam był ochrzczony:

— Tak! tysiące i dziesiątki tysięcy są w Rzymie, w miastach Italii, w Grecyi i Azyi. Są chrześcijanie wśród legii i wśród pretoryanów, są w samym pałacu Cezara. Wyznają tę naukę niewolnicy i obywatele, ubodzy i bogaci, plebs i patrycyat. Zali wiesz, że niektórzy Korneliusze są chrześcijanami, że jest chrześcijanką Pomponia Grecyna, że była nią podobno Oktawia, a jest Akte? Tak, ta nauka ogarnia świat i ona jedna może go odrodzić. Nie wzruszaj ramionami, bo kto wie, czy za miesiąc lub za rok sam jej nie przyjmiesz.

— Ja? — rzekł Petroniusz. — Nie, na syna Lety! ja jej nie przyjmę, choćby w niej tkwiła prawda i mądrość zarówno ludzka, jak boska... To wymagałoby trudu, a ja się nie lubię trudzić... To wymagałoby zrzeczeń się, a ja się nie lubię niczego w życiu zrzekać. Z twoją naturą, podobną do ognia i ukropu, zawsze mogło się coś podobnego przytrafić, ale ja? ja mam swoje gemmy, swoje kamee, swoje wazy i swoją Eunice. W Olimp nie wierzę, ale go sobie urządzam na ziemi i będę kwitnął, póki mnie nie przeszyją strzały boskiego łucznika, lub póki mi Cezar nie każe otworzyć sobie żył. Ja nadto lubię woń fiołków i wygodne tryklinium. Lubię nawet naszych bogów... jako figury retoryczne i Achaję, do której wybieram się z naszym otyłym, cienkonogim, nieporównanym, boskim Cezarem, Augustem, Peryodonicesem... Herkulesem, Neronem!...

To rzekłszy, rozweselił się na samo przypuszczenie, że mógłby przyjąć naukę rybaków galilejskich, i począł półgłosem śpiewać:

W zieleń mirtową owinę jasny miecz mój,
W ślad Harmodyosa i Arystogitona...

Lecz przerwał, gdyż wywoływacz dał znać, że przybyła Eunice.

Wraz też po jej przybyciu podano i wieczerzę, w czasie której, po kilku pieśniach odśpiewanych przez cytrzystę, Winicyusz opowiadał Petroniuszowi o odwiedzinach Chilona i o tem, jak te odwiedziny podały mu myśl udania się wprost do Apostołów, która przyszła mu właśnie podczas chłosty Chilona.

Na to Petroniusz, którego znów poczęła ogarniać senność, przyłożył rękę do czoła i rzekł:

— Myśl była dobra, skoro skutek dobry. A co do Chilona, ja kazałbym mu dać pięć sztuk złota, ale skoro kazałeś go ćwiczyć, to już lepiej było i zaćwiczyć, bo kto wie, czy z czasem nie będą mu się jeszcze senatorowie kłaniali, jak dziś kłaniają się naszemu rycerzowi-Dratewce-Watyniuszowi. Dobranoc.

I zdjąwszy wieńce, poczęli się razem z Eunice zbierać do domu, a gdy wyszli, Winicyusz udał się do biblioteki i pisał do Ligii, co następuje:

„Chcę, aby, gdy otworzysz twoje śliczne oczy, o boska! list ten powiedział ci: dzień dobry! Dlatego dziś piszę, choć jutro cię zobaczę. Cezar pojutrze wyjeżdża do Ancyum i ja, eheu! muszę mu towarzyszyć. Wszak ci już powiedziałem, że nie posłuchać, byłoby to narazić życie, a ja teraz nie miałbym odwagi umierać. Lecz jeśli ty nie chcesz, odpisz mi jedno słowo, a zostanę, a już Petroniusza rzeczą będzie odwrócić ode mnie niebezpieczeństwo. Dziś, w dniu radości, rozdałem nagrody wszystkim niewolnikom, a tych, którzy przesłużyli w domu lat dwadzieścia, zawiodę jutro do pretora, by ich wyzwolić. Ty, droga, powinnaś mi to pochwalić, gdyż mi się zdaje, że to będzie zgodne z tą słodką nauką, którą wyznajesz, a powtóre, uczyniłem to dla ciebie. Powiem im jutro, że tobie zawdzięczają wolność, aby ci byli wdzięczni i sławili imię twoje. Sam za to oddaję się w niewolę szczęściu i tobie, i bogdajem nigdy nie zaznał wyzwolenia. Przeklęte niech będzie Ancyum i podróże Ahenobarba. Trzykroć, czterykroć szczęśliwym, żem nie tak mądry jak Petroniusz, bo może musiałbym jechać do Achai. Tymczasem chwile rozstania osłodzi mi pamięć o tobie. Ilekroć będę się mógł wyrwać, siędę na konia i popędzę do Rzymu, by oczy twoim widokiem, uszy

twym słodkim głosem ucieszyć. Ilekroć nie zdołam, wyślę niewolnika z listem i zapytaniem o ciebie. Pozdrawiam cię, boska, i obejmuję nogi twoje. Nie gniewaj się, że cię zwę boską. Jeśli zakażesz, usłucham, ale dziś jeszcze nie umiem inaczej. Pozdrawiam cię z przyszłego twego domu — duszą całą".

ROZDZIAŁ XXXVI.

Wiadomo było w Rzymie, że Cezar chce odwiedzić po drodze Ostyę, a raczej największy statek na świecie, który świeżo przywiózł był zboże z Aleksandryi, stamtąd zaś drogą Pobrzeżną [1]) uda się do Ancyum. Rozkazy były wydane już kilka dni temu, dlatego od rana przy Porta Ostiensis zbierały się tłumy, złożone z miejscowej gawiedzi i wszystkich narodów świata, by oczy nasycić widokiem orszaku cesarskiego, któremu plebs rzymski nigdy nie mógł się dostatecznie napatrzyć. Do Ancyum droga nie była trudna, ni daleka, w samem zaś mieście, złożonem z urządzonych wspaniale pałaców i willi, można było znaleźć wszystko, czego wymagała wygoda, a nawet najwyszukańszy ówczesny zbytek. Jednakże Cezar miał zwyczaj zabierać ze sobą w drogę wszelkie przedmioty, w których miał upodobanie, począwszy od narzędzi muzycznych i sprzętów domowych, skończywszy na posągach i mozaikach, które układano nawet wówczas, gdy chciał na krótką tylko chwilę zatrzymać się w drodze, czy to dla odpoczynku, czy to dla posiłku. Z tego powodu towarzyszyły mu w każdej wycieczce całe zastępy sług, nie licząc oddziałów pretoryańskich i augustyanów, z których każdy miewał osobny orszak niewolników.

Wczesnym rankiem dnia tego pastuchy z Kampanii, przyodziani w koźle skóry na nogach i z twarzami spieczonemi przez słońce, przepędzili naprzód przez bramę pięćset oślic, aby Poppea nazajutrz po przybyciu do Ancyum, mogła mieć swą zwyczajną kąpiel w ich mleku. Gawiedź ze śmiechem i zadowoleniem patrzyła na kołyszące się wśród kłębów kurzu długie uszy stada i z radością słuchała świstu biczów, oraz dzikich okrzyków pastuchów. Po przejściu oślic, roje pa-

---

[1]) Via Littoralis.

chołków rzuciły się na drogę i oczyściwszy ją starannie, poczęły posypywać kwiatami i igliwem pinii. W tłumach powtarzano sobie z pewnem uczuciem dumy, że cała droga aż do Ancyum miała być tak przytrząśnięta kwieciem, które zebrano z ogrodów prywatnych z okolicy, a nawet zakupiono za drogie pieniądze od przekupek przy Porta Mugionis. W miarę, jak upływały godziny poranku, ciżba zwiększała się z każdą chwilą. Niektórzy poprzyprowadzali całe rodziny, by zaś czas nie wydał się im zbyt długi, rozkładali zapasy żywności na kamieniach, przeznaczonych pod nową świątynię Cerery, i jedli „prandium" pod gołem niebem. Gdzieniegdzie potworzyły się gromady, w których rej wodzili bywalcy. Rozprawiano z powodu wyjazdu cesarskiego, o jego przyszłych podróżach i o podróżach wogóle, przyczem majtkowie i wysłużeni żołnierze opowiadali dziwy o krajach, o których słyszeli w czasie dalekich wypraw, a w których nie postała dotąd noga rzymska. Mieszczuchowie, którzy nie byli nigdy w życiu dalej, jak na via Appia, słuchali ze zdumieniem o cudach Indyi i Arabii, o archipelagach, otaczających Brytanię, gdzie na pewnej wysepce Bryaryusz zwięził uśpionego Saturna i gdzie mieszkały duchy, o krainach Hiperborejskich, o stężałych morzach, o syczeniu i ryku, jaki wydawały wody Oceanu w chwili, gdy zachodzące słońce zanurzało się w topieli. Łatwo znajdowały wiarę wśród hałastry podobne wieści, w które wierzyli tacy nawet ludzie jak Pliniusz i Tacyt. Mówiono również o owym okręcie, który miał zwiedzić Cezar, iż wiezie na dwa lata pszenicy, nie licząc czterystu podróżnych, tyleż załogi i mnóstwo dzikich zwierząt, które miały być użyte w czasie letnich igrzysk. Jednało to ogólną przychylność dla Cezara, który nietylko karmił, ale bawił lud. Gotowano się też na pełne zapału powitanie.

Tymczasem ukazał się oddział numidyjskich jeźdźców, należących do wojsk pretoryańskich. Przybrani byli w żółte szaty, czerwone przepaski i wielkie zausznice, rzucające złoty blask na ich czarne twarze. Ostrza ich bambusowych dzid świeciły w słońcu jak płomyki. Po przejściu ich, rozpoczął się pochód, podobny do procesyi. Tłumy cisnęły się, by bliżej przypatrzyć się przejściu, lecz nadeszły oddziały pieszych pretoryanów i ustawiwszy się wzdłuż po jednej i drugiej stronie bramy, broniły przystępu do drogi. Szły naprzód wozy,

wiozące namioty z purpury, czerwone i fioletowe, i namioty z białego jak śnieg byssu, przetykanego złotemi nićmi, i kobierce wschodnie, i stoły cytrusowe, i kawałki mozaik, i sprzęty kuchenne, i klatki z ptakami ze Wschodu, Południa i Zachodu, których mózgi lub języki miały iść na stół cesarski, i amfory z winem, i kosze z owocami. Lecz przedmioty, których nie chciano narażać na pogięcie lub potłuczenie na wozach, nieśli piesi niewolnicy. Widziano więc całe setki ludzi, niosących naczynia i posążki z miedzi koryntckiej; widziano osobnych do waz etruskich, osobno do greckich, osobnych do naczyń złotych, srebrnych lub wyrobionych ze szkła aleksandryjskiego. Przegradzały ich małe oddziały pretoryanów pieszych i konnych, nad każdym zaś niewolniczym zastępem czuwali dozorcy, uzbrojeni w bicze, zakończone w kawałki ołowiu i żelaza, zamiast trzaskawek. Pochód, złożony z ludzi niosących z uwagą i skupieniem rozmaite przedmioty, wyglądał jak jakaś uroczysta procesya religijna, a podobieństwo stawało się jeszcze wyraźniejsze, gdy poczęły iść narzędzia muzyczne Cezara i dworu. Widać tam było harfy, lutnie greckie, lutnie hebrajskie i egipskie, liry, formingi, cytry, piszczałki, długie powyginane bucyny i cymbały. Patrząc na to morze instrumentów, połyskujących w słońcu złotem, bronzem, drogimi kamieniami i perłowcem, możnaby sądzić, że Apollo lub Bachus wybrali się w podróż po świecie. Zaczem pojawiły się wspaniałe karruki, pełne skoczków, tancerzy, tancerek, malowniczo zgrupowanych, z tyrsami w ręku. Za nimi jechali niewolnicy, przeznaczeni nie do posług, lecz do zbytku: więc pacholęta i małe dziewczątka, wybrane w całej Grecyi i Azyi Mniejszej, długowłose lub z wijącymi się puklami, ujętymi w złote siatki, podobne do amorów, o twarzach cudnych, ale całkiem pokrytych grubą warstwą kosmetyku, z obawy, by delikatnej ich płci nie opalił wiatr Kampanii.

I znów następował pretoryański oddział olbrzymich Sykambrów, brodatych, jasno i rudowłosych, a błękitnookich. Przed nimi chorążowie, zwani imaginarii, nieśli orły rzymskie, tablice z napisami, posążki bogów germańskich i rzymskich, a wreszcie posążki i popiersia Cezara. Z pod skór i pancerzy żołnierskich wyglądały ramiona ogorzałe i silne, jak machiny wojenne, zdolne władać ciężką bronią, w którą zbrojne były tego rodzaju straże. Ziemia zdawała się uginać pod ich równym,

ciężkim krokiem, oni zaś, jakby świadomi swej siły, której mogli użyć przeciw samym Cezarom, spoglądali wyniośle na czerń uliczną, widocznie zapominając, że wielu z nich przyszło do tego miasta w łańcuchach. Lecz była ich garść nieznaczna, główne bowiem pretoryańskie siły pozostawały w obozach na miejscu, by czuwać nad miastem i trzymać je w ryzach. Gdy przeszli, wiedziono pociągowe tygrysy i lwy Nerona, aby, jeśli mu przyjdzie chęć naśladować Dyonizosa, było co zaprządz do pochodowych wozów. Prowadzili je Hindusi i Arabowie na stalowych łańcuchach z pętlicą, ale owiniętych tak w kwiaty, że zdawały się z samych kwiatów uwite. Przyswojone przez biegłych bestiaryów zwierzęta, patrzyły na tłumy swemi zielonemi, jakby sennemi oczyma, czasem zaś, wznosząc olbrzymie głowy, wciągały chrapliwie w nozdrza wyziewy ludzkie, oblizując kolczastymi językami paszcze.

Szły jeszcze wozy cesarskie i lektyki, większe i mniejsze, złote lub purpurowe, wykładane kością słoniową, perłami, lub grające blaskiem klejnotów; za nimi znów mały oddział pretoryanów w rzymskich zbrojach, złożony z samych italskich żołnierzy-ochotników [1]); znów tłumy wykwintnej służby niewolniczej i chłopiąt, a wreszcie jechał sam Cezar, którego zbliżenie się zwiastował z daleka okrzyk tłumów.

W ciżbie znajdował się i Piotr Apostoł, który raz w życiu chciał ujrzeć Cezara. Towarzyszyła mu Ligia, mając twarz ukrytą pod gęstą zasłoną, i Urzus, którego siła stanowiła najpewniejszą dla dziewczyny opiekę pośród niesfornych i rozpasanych tłumów. Lig wziął w ręce jeden z głazów, przeznaczonych pod budowę świątyni, i przyniósł go Apostołowi, aby ten, wstąpiwszy na niego, mógł lepiej widzieć od innych. Ciżba poczęła z początku szemrać, gdyż Urzus rozsuwał ją, jak statek rozsuwa fale, gdy jednak sam jeden podniósł kamień, którego czterech najtęższych z ludu mocarzy nie zdołałoby poruszyć, szemranie zmieniło się w podziw i okrzyki: *macte!* odezwały się naokoło. Lecz tymczasem nadjechał Cezar. Siedział na wozie, mającym kształt namiotu, ciągnionym przez

---

[1]) Mieszkańcy Italii zostali jeszcze przez Augusta uwolnieni od służby wojskowej, skutkiem czego tak zwana *cohors Italica*, stojąca zwykle w Azyi, złożona była z ochotników. Również w straży pretoryańskiej, o ile nie składała się z cudzoziemców, służyli ochotnicy.

sześć białych idumejskich ogierów, podkutych złotem. Wóz miał kształt namiotu z otwartymi umyślnie bokami, tak, aby tłumy mogły Cezara widzieć. Mogło się tam pomieścić kilka osób, lecz Nero, chcąc by uwaga skupiała się wyłącznie na nim, jechał przez miasto sam, mając u nóg tylko dwóch karzełków-wyrodków. Przybrany był w białą tunikę i w ametystową togę, która rzucała sinawy blask na jego oblicze. Na głowie miał laurowy wieniec. Od czasu wyjazdu do Neapolis utył znacznie. Twarz mu się rozlała; pod dolną szczęką zwieszał się podwójny podbródek, przez co usta jego, zawsze zbyt blizko nosa położone, teraz zdawały się być wycięte tuż pod nozdrzami. Grubą szyję osłaniał, jak zwykle, chustką jedwabną, którą poprawiał co chwila ręką białą i tłustą, porośniętą na przegubie rudawym włosem, tworzącym jakby krwawe plamy, którego nie pozwolił wyrywać sobie epilatorom, gdyż mu powiedziano, że sprowadza to drżenie palców i przeszkadza w grze na lutni. Bezdenna próżność malowała się, jak zawsze, na jego twarzy, w połączeniu ze zmęczeniem i nudą. Wogóle była to twarz zarazem straszna i błazeńska. Jadąc, obracał głowę na obie strony, przymrużając chwilami oczy i nasłuchując bacznie, jak go witają. Witała go burza oklasków i okrzyki: „witaj boski! Cezarze, imperatorze, witaj zwycięski! witaj niezrównany — synu Apollina, Apollinie!“ Słuchając tych słów uśmiechał się, lecz chwilami przelatywała mu po twarzy jakby chmura, tłum bowiem rzymski był szyderczy i, zaufany w liczbę, pozwalał sobie na drwiące docinki nawet względem wielkich tryumfatorów, takich, których istotnie kochał i szanował. Wszakże wiadomo było, że niegdyś krzyczano przy wjeździe Juliusza Cezara do Rzymu: „obywatele, pochowajcie żony, bo wjeżdża urwis z łysiną!“ Lecz potworna miłość własna Nerona nie znosiła najmniejszych przygan, ni docinków, tymczasem w tłumie wśród okrzyków pochwalnych odzywały się wołania: „Miedzianobrody!... Miedzianobrody! Dokąd wieziesz swą płomienną brodę? Czy boisz się, by Rzym od niej nie spłonął?“ I ci, którzy tak wołali, nie wiedzieli, że żart ich kryje w sobie straszliwe proroctwo. Cezara niezbyt zresztą gniewały podobne głosy, tembardziej, że brody nie nosił, albowiem dawniej jeszcze ofiarował ją w złotej puszce Jowiszowi Kapitolińskiemu. Lecz inni, ukryci za stosami głazów i przy zrębie świątyni, krzyczeli: „Matricida!

Nero! Orestes! Alkmeon!" a inni: „Gdzie Oktawia!" „Oddaj purpurę!" — na jadącą zaś tuż za nim Poppeę wołano: „*flava coma!*", którą to nazwą oznaczano ulicznice. Muzykalne ucho Nerona chwytało i takie okrzyki, a wówczas podnosił palcami do oka swój wypolerowany szmaragd, jakby chcąc zobaczyć i zapamiętać tych, którzy je wydawali. W ten sposób wzrok jego zatrzymał się na stojącym na kamieniu Apostole. Przez chwilę dwaj ci ludzie patrzyli na siebie, nikomu zaś ni z tego świetnego orszaku, ni z tych nieprzeliczonych tłumów nie przyszło na myśl, że spoglądają na siebie w tej minucie dwaj władcy ziemi, z których jeden minie wkrótce, jak krwawy sen, drugi zaś, ów starzec, przybrany w prostaczą lacernę, obejmie w wieczyste posiadanie świat i miasto.

Tymczasem Cezar przejechał, a tuż za nim ośmiu Afrów przeniosło wspaniałą lektykę, w której siedziała znienawidzona przez lud Poppea. Przybrana, jak i Nero, w szatę ametystowej barwy, z grubym pokładem kosmetyków na twarzy, nieruchoma, zamyślona i obojętna, wyglądała jak jakieś bóstwo, zarazem piękne i złe, które niesiono jak na procesyi. Ciągnął w jej ślady znów cały dwór męskiej i żeńskiej służby, oraz szeregi wozów z przyborami do wygód i stroju. Słońce dobrze już schodziło z południa, gdy zaczął się przejazd augustyanów — korowód świetny, migotliwy, mieniący się jak wąż i nieskończony. Leniwy Petroniusz, życzliwie witany przez tłumy, kazał się wraz z swoją, do bogini podobną niewolnicą, nieść w lektyce: Tygellinus jechał w karruce, ciągniętej przez małe koniki, przybrane w białe i purpurowe pióra. Widziano go, jak wstawał z wozu i wyciągając szyję wypatrywał, rychło mu li Cezar da znak, żeby się do niego przesiadł. Z pośród innych tłumy witały oklaskami Licynianusa Pisona, śmiechem Weteliusza, gwizdaniem Watyniusza. Względem Licyniusza i Lekaniusza, konsulów, zachowywano się obojętnie, lecz Tuliusz Senecyo, którego lubiono, niewiadomo za co, równie jak i Westynus, zyskali poklask tłuszczy. Dwór był nieprzeliczony. Zdawało się, że wszystko, co jest bogatsze i świetniejsze lub znakomite w Rzymie, emigruje do Ancyum. Nero nigdy nie podróżował inaczej, jak w tysiąc wozów, zastęp zaś towarzyszących mu prawie zawsze przenosił liczbę żołnierzy w legii [1]).

---

[1]) Za czasów cesarstwa legia liczyła przeszło 12.000 ludzi.

Pokazywano więc sobie i Domicyusza Afra i zgrzybiałego Lucyusza Saturnina; widziano Wespazyana, który nie był jeszcze wyciągnął na swą wyprawę do Judei, z której wrócił dopiero po koronę cesarską, i jego synów, i młodego Nerwę i Lukana, i Anniusza Gallona, i Kwintyanusa i mnóstwo kobiet, znanych z bogactw, piękności, zbytku i rozpusty. Oczy tłuszczy przenosiły się ze znajomych twarzy na uprzęże, wozy, konie, dziwaczne stroje służby, złożonej ze wszystkich narodów świata. W tej powodzi przepychu i wielkości niewiadomo było, na co patrzeć i nietylko oczy, ale i myśl olśniewała od tych blasków złotych, od tych barw purpury i fioletu, od migotania drogich kamieni, od połysków bisiorów, perłowca, kości słoniowej. Zdawało się, że same promienie słoneczne rozpraszają się w tej świetnej topieli. A choć wśród tłuszczy nie brakło nędzarzy z zaklęśniętymi brzuchami i głodem w oczach, przecie widok ów zapalał ich nietylko chęcią użycia i zazdrością, ale napełniał zarazem rozkoszą i dumą, dając poczucie tej mocy i niepożyteczności Rzymu, na którą się składał i przed którą klęczał świat. Jakoż w świecie całym nie było nikogo, ktoby śmiał mniemać, że ta potęga nie przetrwa wszystkich wieków, nie przeżyje wszystkich narodów, i że coś może jej na ziemi się oprzeć.

Winicyusz, jadąc na końcu orszaku, na widok Apostoła i Ligii, której nie spodziewał się widzieć, wyskoczył z wozu i powitawszy ich z rozpromienioną twarzą, począł mówić przyśpieszonym głosem, jak człowiek, który nie ma czasu do stracenia:

— Przyszłaś? Nie wiem, jak ci mam dziękować, o Ligio!... Bóg nie mógł mi zesłać lepszej wróżby. Pozdrawiam cię jeszcze, żegnając, ale nie żegnam na długo. Po drodze rozstawię konie partyjskie i w każdy dzień wolny będę przy tobie, póki powrotu sobie nie wyproszę. Bądź zdrowa!

— Bądź zdrów, Marku, — odrzekła Ligia i potem dodała ciszej:

— Niech cię Chrystus prowadzi i otworzy ci duszę na słowa Pawła.

On zaś ucieszył się w sercu, iż chodzi jej o to, by prędko został chrześcijaninem, więc odpowiedział:

— *Ocelle mi!* niech się tak stanie, jak mówisz. Paweł woli jechać między mymi ludźmi, ale jest ze mną i będzie

mi mistrzem i towarzyszem... Uchyl zasłony, radości moja, abym cię jeszcze ujrzał przed drogą. Czemu się tak zakryłaś?

Ona podniosła ręką zasłonę i ukazała mu swą jasną twarz i cudne śmiejące się oczy, pytając:

— To źle?

I uśmiech jej miał w sobie trochę dziewczęcej przekory, lecz Winicyusz, patrząc na nią z uniesieniem, odpowiedział:

— Źle dla oczu moich, które niechby do śmierci patrzyły na ciebie jedną.

Poczem zwrócił się do Urzusa i rzekł:

— Urzusie, pilnuj jej, jak źrenicy oka, bo to nietylko twoja, lecz i moja — domina!

To powiedziawszy, chwycił jej rękę i przycisnął do niej usta, ku wielkiemu zdumieniu gawiedzi, która nie mogła zrozumieć oznaki takiej czci ze strony świetnego augustyanina dla dziewczyny, przybranej w proste, niemal niewolnicze szaty.

— Bądź zdrowa...

Poczem oddalił się prędko, gdyż cały orszak cezaryański posunął się był znacznie naprzód. Apostoł Piotr przeżegnał go nieznacznym znakiem krzyża, zaś dobry Urzus począł go zaraz wysławiać, rad, że młoda pani słucha chciwie i patrzy na niego z wdzięcznością.

Orszak oddalał się i przesłaniał kłębami złotej kurzawy, lecz oni patrzyli jeszcze długo w ślad za nim, póki nie zbliżył się do nich Demas, młynarz, ten sam, u którego pracował nocami Urzus.

Ów, ucałowawszy rękę Apostoła, począł go prosić, by wstąpili do niego na posiłek, mówiąc, że dom jego jest blizko Emporyum, oni zaś muszą być głodni i zmęczeni, spędziwszy większą część dnia przy bramie.

Poszli więc razem i odpocząwszy i posiliwszy się w jego domu, pod wieczór dopiero wracali na Zatybrze. Mając zamiar przejść rzekę przez most Emiliusza, szli przez clivus Publicus, idący środkiem wzgórza Awentyńskiego między świątyniami Dyany i Merkurego. Apostoł Piotr patrzył z wyżyny na otaczające go i na dalsze, ginące w oddaleniu gmachy, i pogrążywszy się w milczeniu, rozmyślał nad ogromem i władzą tego miasta, do którego przyszedł opowiadać słowo Boże. Dotychczas widywał on panowanie rzymskie i legiony w róż-

nych krajach, po których wędrował, lecz były to jakby pojedyńcze członki tej siły, której uosobienie w postaci Cezara ujrzał dziś po raz pierwszy. To miasto niezmierne, drapieżne i chciwe a zarazem wyuzdane, zgniłe do szpiku kości a zarazem niewzruszone w swej nadludzkiej mocy, ten Cezar, bratobójca, matkobójca i żonobójca, za którym wlókł się nie mniejszy od jego dworu orszak krwawych mar; ten rozpustnik i błazen, a zarazem pan trzydziestu legii, a przez nie ziemi całej; ci dworzanie, pokryci złotem i szkarłatem, niepewni jutra a zarazem władniejsi od królów — wszystko to razem wzięte wydało mu się jakiemś piekielnem królestwem zła i nieprawości. I zadziwił się w sercu prostaczem, jak Bóg może dawać tak niepojętą wszechmoc szatanowi i jak może oddawać mu ziemię, by ją miesił, przewracał, deptał, wyciskał łzy i krew, wichrzył jak wicher, burzył jak burza, palił jak płomień. A od tych myśli zatrwożyło się jego apostolskie serce i począł mówić w duchu do Mistrza: „Panie, co pocznę wobec tego miasta, do którego mnie posłałeś? Jego są morza i lądy, jego zwierz na ziemi i twór wodny, jego są inne królestwa i grody i trzydzieści legii, które ich strzegą, a jam, Panie, rybak z jeziora! Co pocznę? i jakoż jego złość przezwyciężę?"

Tak mówiąc, wznosił swą siwą, drżącą głowę ku niebu, modląc się i wołając z głębi serca do swego Boskiego Mistrza, pełen smutku i trwogi.

A wtem modlitwę przerwał mu głos Ligii, która rzekła:

— Miasto całe, jak w ogniu...

Rzeczywiście słońce zachodziło dnia tego dziwnie. Ogromna jego tarcza zasunęła się już do połowy za Janikulskie wzgórze, cały zaś przestwór nieba napełnił się czerwonym blaskiem. Z miejsca, na którem stali, wzrok ich obejmował znaczne przestrzenie. Nieco na prawo widzieli wydłużone mury circus Maximus, nad nim piętrzące się pałace Palatynu, a wprost przed sobą za Forum Boarium i Welabrum szczyt Kapitolu ze świątynią Jowisza. Ale mury, kolumny i szczyty świątyń były jakby zanurzone w ów blask złoty i purpurowy. Widne zdala części rzeki płynęły jakby krwią i w miarę, jak słońce zasuwało się coraz bardziej za wzgórze, blask czynił się coraz czerwieńszy, coraz do łuny pożaru podobniejszy, i wzma-

gał się, rozszerzał, aż wreszcie objął siedem wzgórz, z których zdawał się spływać na całą okolicę.

— Miasto całe, jak w ogniu — powtórzyła Ligia.

A Piotr przysłonił oczy ręką i rzekł:

— Gniew Boży jest nad niem.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Winicyusz do Ligii:

„Niewolnik Flegon, przez którego posyłam ci ten list, jest chrześcijaninem, będzie zatem jednym z tych, którzy otrzymają wolność z rąk twoich, najdroższa moja. Stary to sługa naszego domu, mogę więc pisać przez niego z całą ufnością i bez obawy, aby list wpadł w inne ręce, niż twoje. Piszę z Laurentum, gdzie zatrzymaliśmy się z powodu upału. Otto posiadał tu wspaniałą willę, którą swego czasu darował Poppei, a ta, lubo rozwiedziona z nim, uznała za stosowne zatrzymać piękny podarek... Gdy myślę o tych kobietach, które mnie teraz otaczają, i o tobie, wydaje mi się, że z kamieni Deukaliona musiały powstać różne, zgoła do siebie niepodobne gatunki ludzi, i że ty należysz do tego, który się zrodził z kryształu. Podziwiam cię i kocham z całej duszy, tak, że chciałbym ci mówić tylko o tobie i trzeba mi się zmuszać, bym ci pisał o podróży, o tem, co ze mną się dzieje, i o nowinach dworskich. Cezar był więc gościem Poppei, która w tajemnicy przygotowała wspaniałe przyjęcie. Niewielu zresztą zaprosiła augustyanów, ale i ja i Petroniusz dostaliśmy wezwanie. Po prandium pływaliśmy złotemi łodziami po morzu, które było tak ciche, jakby spało, a tak niebieskie, jak twoje oczy, o boska! Wiosłowaliśmy sami, albowiem pochlebiało to widocznie Auguście, że ją wiozą konsularni mężowie, albo ich synowie. Cezar, stojąc u rudla w purpurowej todze, śpiewał hymn na cześć morza, który ułożył poprzedniej nocy i do którego dorobił muzykę wraz z Dyodorem. Na innych łodziach wtórowali niewolnicy z Indyi, którzy umieją grać na konchach morskich, a wkoło ukazywały się liczne delfiny, jakby istotnie wywabione z głębin Amfitryty muzyką. A ja, czy wiesz, com czynił? Otom myślał o tobie i tęskniłem za tobą, i chciałem zabrać to morze, i tę pogodę, i tę muzykę

i oddać wszystko tobie. Czy chcesz, byśmy kiedyś zamieszkali nad brzegiem morskim, Augusto moja, zdala od Rzymu? Mam w Sycylii ziemię, gdzie jest las migdałów, które wiosną kwitną różowo, a schodzą tak blizko do morza, że końce gałęzi prawie dotykają się wody. Tam będę kochał ciebie i wielbił tę naukę, której mnie Paweł nauczy, bo to już wiem, że ona nie przeciwi się miłości i szczęściu. Czy chcesz?... Lecz nim odpowiedź z twoich kochanych ust usłyszę, piszę ci dalej, co się zdarzyło na łodzi. Skoro brzeg został już daleko za nami, ujrzeliśmy żagiel w dali przed sobą i wnet powstała sprzeczka, czy to zwyczajna łódź rybacka, czy wielki statek z Ostyi. Rozpoznałem go pierwszy, a wówczas Augusta rzekła, że dla moich oczu niema widocznie nic skrytego, i, spuściwszy nagle na twarz zasłonę, spytała, czy i takbym nawet ją rozpoznał? Petroniusz odpowiedział zaraz, że za chmurą nawet i słońca dostrzedz nie można, lecz ona, niby się śmiejąc, mówiła, iż tak bystry wzrok chyba jedna miłość mogłaby oślepić, i, wymieniając różne augustyanki, poczęła pytać i zgadywać, w której się kocham. Odpowiadałem spokojnie, lecz ona w końcu wymieniła i twoje imię. Mówiąc o tobie, odkryła znów twarz i poczęła patrzeć na mnie złemi i zarazem badawczemi oczyma. Prawdziwą wdzięczność czuję dla Petroniusza, który pochylił w tej chwili łódź, przez co uwaga powszechna odwróciła się ode mnie, gdybym był bowiem usłyszał o tobie niechętne lub szyderskie słowa, byłbym nie umiał ukryć gniewu i musiałbym walczyć z chęcią rozbicia wiosłem głowy tej przewrotnej i złej kobiecie... Wszak pamiętasz, com ci w wigilię wyjazdu opowiadał w domu Linusa o zajściu na stawie Agryppy? Petroniusz boi się o mnie i jeszcze dziś zaklinał mnie, bym nie drażnił miłości własnej Augusty. Ale Petroniusz już mnie nie rozumie i nie wie, że poza tobą niemasz dla mnie ni rozkoszy, ni piękności, ni kochania, i że dla Poppei mam tylko wstręt i pogardę. Tyś już bardzo zmieniła duszę moją, i tak dalece, że do dawnego życia jużbym nawet wrócić nie umiał. Lecz nie obawiaj się, aby mnie tu mogło spotkać coś złego. Poppea nie kocha mnie, bo ona nikogo kochać niezdolna, i jej zachcianki płyną tylko z gniewu na Cezara, który jest jeszcze pod jej wpływem i który może nawet ją jeszcze miłuje, wszelako już jej nie szczędzi i nie ukrywa przed nią

swego bezwstydu i swych występków. Powiem ci zresztą i inną rzecz, która cię uspokoić powinna: oto Piotr rzekł mi na wyjezdnem, abym się nie obawiał Cezara, gdyż włos nie spadnie z głowy mojej, i ja mu wierzę. Jakiś głos mówi mi w duszy, że każde słowo jego musi się spełnić, że zaś on pobłogosławił miłość naszą, więc ani Cezar, ani wszystkie potęgi Hadesu, ani samo nawet Przeznaczenie nie zdoła mi cię odebrać, o Ligio! Gdy o tem myślę, jestem szczęśliwy, jak gdybym był niebem, które samo jedno jest szczęśliwe i spokojne. Lecz ciebie, chrześcijankę, może uraża to, co mówię o Niebie i Przeznaczeniu? W takim razie przebacz mi, bo grzeszę niechcący. Chrzest jeszcze nie obmył mnie, ale serce moje jest jako czara próżna, którą Paweł z Tarzu ma napełnić słodką nauką waszą, tem słodszą dla mnie, że jest twoją. Ty, boska, policz mi za zasługę, choć to, żem z tej czary wylał płyn, który ją napełniał poprzednio, i że nie cofam jej, ale ją wyciągam, jak człowiek spragniony, który stanął u czystego zdroju. Niech znajdę łaskę w twych oczach. W Ancyum dni i noce będą mi schodziły na słuchaniu Pawła, który wśród moich ludzi w pierwszym już dniu podróży pozyskał wpływ taki, że otaczają go bez ustanku, widząc w nim nietylko taumaturga, ale nadprzyrodzoną niemal istotę. Wczoraj widziałem radość na jego twarzy, a gdym go spytał, co czyni, odrzekł mi: „Sieję". Petroniusz wie, iż on znajduje się między mymi ludźmi i pragnie go widzieć, jak również Seneka, który słyszał o nim od Gallona. Ale już gwiazdy bledną, o Ligio, a poranny „lucyfer" świeci coraz mocniej. Wkrótce jutrzenka zaróżowi morze — i śpi wszystko naokół, tylko ja myślę o tobie i kocham cię. Bądź pozdrowiona wraz z zorzą ranną, *sponsa mea!*"

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Winicyusz do Ligii:

„Czyś ty droga była kiedy z Aulusami w Ancyum? Jeśli nie, będę szczęśliwy, gdy ci je z czasem pokażę. Już od Laurentum ciągną się na pobrzeżu wille jedna za drugą, a samo Ancyum to nieskończony szereg pałaców i portyków, których kolumny przeglądają się czasu pogody w wodzie.

Mam i ja tu siedzibę, tuż nad wodą, z oliwnikiem i lasem cyprysów za willą, i gdy pomyślę, że ta siedziba stanie się kiedyś twoją, bielsze wydają mi się jej marmury, cienistsze ogrody i lazurowsze morze. O Ligio, jak dobrze jest żyć i kochać! Stary Menikles, który zarządza tu willą, posadził na łąkach pod mirtami całe kępy irysów i na ich widok przyszedł mi na myśl dom Aulusów, wasze impluwium i wasz ogród, w którym siadywałem przy tobie. I tobie te irysy będą przypominały dom rodzinny, dlatego jestem pewien, że polubisz Ancyum i tę willę. Zaraz po przybyciu długo rozmawialiśmy z Pawłem przy prandium. Mówiliśmy o tobie, a potem on począł nauczać, ja zaś słuchałem długo i to ci powiem tylko, że, gdybym nawet tak umiał pisać, jak Petroniusz, jeszczebym nie potrafił wypowiedzieć ci wszystkiego, co przeszło mi przez myśl i duszę. Jam się nie spodziewał, że może być na świecie jeszcze takie szczęście, piękność i spokój, o których ludzie dotąd nie wiedzą. Lecz to wszystko chowam na rozmowę z tobą, gdy z pierwszą wolną chwilą przybędę do Rzymu. Powiedz mi, jak ziemia może pomieścić razem takich ludzi, jak Piotr Apostoł, jak Paweł z Tarzu i Cezar. Pytam dlatego, żem wieczór, po nauce Pawła, spędził u Nerona, i czy wiesz, com tam słyszał? Oto naprzód on sam czytał swój poemat o zburzeniu Troi, i począł narzekać, że nigdy nie widział płonącego miasta. Zazdrościł Pryamowi i zwał go szczęśliwym człowiekiem, dlatego właśnie, iż mógł oglądać pożogę i zgubę ojczystego grodu. Na to Tygellinus rzekł: „Powiedz słowo, boski, a wezmę pochodnię i, nim noc upłynie, ujrzysz płonące Ancyum“. Lecz Cezar nazwał go głupcem. „Gdzież, mówi, przyjeżdżałbym oddychać morskiem powietrzem i ochraniać ten głos, którym obdarzyli mnie bogowie i o który, jak mówią, dla dobra ludu dbać powinienem? zali nie Rzym mi szkodzi, zali nie duszne wyziewy z Subury i Eskwilinu nabawiają mnie chrypki, i czyż palący się Rzym nie przedstawiałby stokroć wspanialszego i tragiczniejszego widoku od Ancyum?“ Tu wszyscy poczęli mówić, jaką tragedyą niesłychaną byłby obraz takiego miasta, które podbiło świat, zmienionego w kupę siwych popiołów. Cezar zapowiedział, że wówczas poemat jego przeszedłby pieśni Homera, a potem jął mówić, jak odbudowałby miasto i jakby potomne wieki musiały podziwiać jego dzieło,

wobec którego zmalałyby wszystkie inne dzieła ludzkie. Wówczas pijani biesiadnicy poczęli wołać; „Uczyń to! uczyń!“ on zaś rzekł: „Musiałbym mieć wierniejszych i bardziej oddanych mi przyjaciół“. Ja, wyznaję, słuchając tego, zaniepokoiłem się zrazu, bo w Rzymie ty jesteś, *carissima*. Sam śmieję się teraz z tej obawy i myślę, że Cezar i augustyanie, jakkolwiek szaleni, nie odważyliby się podobnego szaleństwa dopuścić, a jednak, patrz, jak człowiek boi się o swoje kochanie, jednak wolałbym, by dom Linusa nie stał na wązkim zatybrzańskim zaułku i w dzielnicy, zamieszkałej przez obcą ludność, na którą mniejby w danym razie zważano. Dla mnie same pałace palatyńskie nie byłyby mieszkaniem godnem ciebie, więc chciałbym także, by ci nie brakło niczego z tych ozdób i wygód, do których z dzieciństwa przywykłaś. Przenieś się do domu Aulusów, Ligio moja. Ja dużo tu o tem myślałem. Gdyby Cezar był w Rzymie, wieść o twym powrocie mogłaby istotnie dojść przez niewolników na Palatyn, zwrócić na ciebie uwagę i ściągnąć prześladowanie za to, żeś się ośmieliła postąpić wbrew woli Cezara. Ale on długo zostanie tu w Ancyum, a nim wróci, dawno i niewolnicy przestaną o tem mówić. Linus i Urzus mogą zamieszkać z tobą. Zresztą żyję nadzieją, że, zanim Palatyn ujrzy Cezara, ty, moja boska, będziesz już mieszkała we własnym domu na Karynach. Błogosławiony dzień, godzina i chwila, w której przestąpisz mój próg, i jeśli Chrystus, którego uczę się wyznawać, to sprawi, niech będzie błogosławione i Jego imię. Będę Mu służył i oddam za Niego życie i krew. Źle mówię: będziemy mu służyli oboje, póki starczy nam przędzy życia. Kocham cię i pozdrawiam duszą całą“.

ROZDZIAŁ XXXIX.

Urzus czerpał wodę w cysternie i, ciągnąc sznurem podwójne amfory, śpiewał półgłosem dziwną pieśń ligijską, a zarazem spoglądał rozradowanemi oczyma na Ligię i Winicyusza, którzy wśród cyprysów w ogródku Linusa, bielili się jak dwa posągi. Najmniejszy wiatr nie poruszał ich odzieży. Na świecie zapadał zmrok złoty i liliowy, oni zaś, wśród spokoju wieczora, rozmawiali, trzymając się za ręce.

— Czy nic złego spotkać cię nie może, Marku, za to, że opuściłeś Ancyum bez wiedzy Cezara? — pytała Ligia.

— Nie, droga moja — odpowiedział Winicyusz. — Cezar zapowiedział, że zamknie się na dwa dni z Terpnosem i będzie układał nowe pieśni. Często on tak czyni i wówczas o niczem innem nie wie i nie pamięta. Zresztą, co mi Cezar, gdy jestem przy tobie i patrzę na ciebie. Zbyt już tęskniłem, a w ostatnich nocach opuścił mnie sen. Nieraz, gdym zdrzemnął ze znużenia, budziłem się nagle z uczuciem, że nad tobą wisi niebezpieczeństwo; czasem śniłem, że zrabowano mi rozstawne konie, które miały mnie przynieść z Ancyum do Rzymu i na których przebiegłem tę drogę tak szybko, jak nigdy żaden goniec cesarski. I dłużej już bez ciebie wytrzymać nie mogłem. Zbyt cię kocham, droga, najdroższa moja!

— Wiedziałam, że przyjedziesz. Dwa razy Urzus wybiegał na moją prośbę na Karyny i pytał o ciebie w twoim domu. Linus śmiał się ze mnie i Urzus także.

Rzeczywiście znać było, że się go spodziewała, gdyż, zamiast zwykłej ciemnej odzieży, miała na sobie miękką białą stolę, z której ślicznych fałd jej ramiona i głowa wychylały się, jak rozkwitłe pierwiosnki ze śniegu. Kilka różowych anemonów zdobiło jej włosy.

Winicyusz przycisnął usta do jej ręki, poczem siedli na kamiennej ławce wśród dzikiego wina i, wsparłszy się o siebie ramionami, milczeli, poglądając ku zorzom, których ostatnie blaski odbijały się w ich oczach.

Urok cichego wieczora opanowywał ich zwolna.

— Jak tu cicho i jaki świat śliczny — rzekł zniżonym głosem Winicyusz. — Noc idzie ogromnie pogodna. Czuję się tak szczęśliwy, jak nigdy w życiu nie byłem. Powiedz mi, Ligio, co to jest? Jam nigdy nie przypuszczał, żeby mogła być taka miłość. Myślałem, że to jest tylko ogień we krwi i żądza, a teraz dopiero widzę, że można kochać każdą kroplą krwi i każdem tchnieniem, a zarazem czuć taki spokój słodki i niezmierny, jakby już ukoiły duszę Sen i Śmierć. To dla mnie coś nowego. Patrzę na ten spokój drzew i zdaje mi się, że on jest we mnie. Teraz dopiero rozumiem, że może być szczęście, o jakiem ludzie dotąd nie wiedzieli. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego i ty, i Pomponia Grecyna jesteście takie pogodne... Tak!... To daje Chrystus...

A ona w tej chwili położyła swą śliczną twarz na jego ramieniu i rzekła:

— Mój Marku drogi...

I nie mogła mówić więcej. Radość, wdzięczność i poczucie, że teraz dopiero wolno jej kochać, odjęły jej głos, a natomiast napełniły oczy łzami wzruszenia. Winicyusz, objąwszy ramieniem jej drobne ciało, tulił ją przez chwilę do siebie, poczem rzekł:

— Ligio! niech będzie błogosławiona chwila, w której pierwszy raz usłyszałem Jego imię.

Ona zaś odpowiedziała cicho:

— Kocham cię, Marku.

Poczem umilkli znów oboje, nie mogąc słów dobyć z wezbranych piersi. Na cyprysach zgasły ostatnie liliowe odblaski i ogród począł się srebrzyć od księżycowego sierpa.

Po chwili Winicyusz począł mówić:

— Ja wiem... Ledwiem tu wszedł, ledwiem ucałował twoje drogie ręce, wyczytałem w twoich oczach pytanie, czym pojął tę Boską naukę, którą ty wyznajesz, i czym został ochrzczony? Nie! ochrzczony jeszcze nie jestem, ale czy wiesz, kwiecie dlaczego? Oto Paweł mi rzekł: „Jam cię przekonał, że Bóg przyszedł na świat i dał się ukrzyżować dla zbawienia świata, ale niech w zdroju łaski obmyje cię Piotr, który pierwszy wyciągnął nad tobą ręce i pierwszy cię błogosławił". A i ja także chciałem, byś ty, najdroższa, patrzyła na mój chrzest, i by mi matką była Pomponia. Więc dlatego nie jestem dotąd ochrzczony, choć wierzę w Zbawiciela i w Jego słodką naukę. Paweł mnie przekonał, nawrócił, i zali mogło być inaczej? Jakżebym mógł nie uwierzyć, że Chrystus przyszedł na świat, skoro tak mówi Piotr, który był Jego uczniem, i Paweł, któremu się objawił? Jakże mógłbym nie wierzyć, że był Bogiem, skoro zmartwychwstał? Widzieli Go przecie i w mieście, i nad jeziorem, i na górze, i widzieli ludzie, których usta kłamstwa nie zaznały. Jam już w to wierzył od czasu, gdym słyszał Piotra w Ostryanum, bom sobie już wówczas powiedział: na całym świecie prędzejby każdy inny człowiek mógł skłamać, niż ten, który powiada: „Widziałem!" Ale nauki waszej się bałem. Zdawało mi się, że ona odbiera mi ciebie. Mniemałem, że niemasz w niej ani mądrości, ani piękności, ani szczęścia. Dziś jednak, gdym ją poznał, cóż-

bym był za człowiek, gdybym nie chciał, by na świecie panowała prawda, a nie kłamstwo, miłość, a nie nienawiść, dobro, nie zbrodnia, wierność, nie zaś niewierność, litość, nie zemsta? Któżby taki był, któryby tego nie wolał i nie chciał? A przecie tego uczy wasza nauka. Inne chcą także sprawiedliwości, ale ta jedna czyni serce ludzkie sprawiedliwem. I prócz tego czyni je czystem, jak twoje i Pomponii, i czyni je wiernem, jak twoje i Pomponii. Ślepymbym był, gdybym tego nie widział. A jeśli przytem Chrystus Bóg obiecał życie wieczne i szczęście tak nieprzebrane, jakie tylko wszechmoc Boska dać może, to czegóż człowiek może chcieć więcej? Gdybym spytał Seneki, z jakich powodów zaleca cnotę, skoro przewrotność więcej szczęścia przynosi, nie umiałby mi naprawdę nic rozsądnego odpowiedzieć. Ale ja wiem teraz, dlaczego mam być cnotliwy. Oto dlatego, że dobro i miłość płynie z Chrystusa, i dlatego, aby, gdy śmierć mi zamknie oczy, odnaleźć życie, odnaleźć szczęście, odnaleźć siebie samego i ciebie, najdroższa moja... Jakże nie pokochać i nie przyjąć nauki, która zarazem mówi prawdę i znosi śmierć? Ktoby nie przełożył dobra nad zło? Ja myślałem, że ta nauka przeciwi się szczęściu, a tymczasem Paweł przekonał mnie, że ona nietylko nic nie odbiera, ale jeszcze dodaje. Wszystko to zaledwie mi się w głowie chce pomieścić, ale czuję, że tak jest, bom nigdy nie był równie szczęśliwy i nie mogłem być, choćbym cię był zabrał przemocą i miał w domu swoim. Otoś mi powiedziała przed chwilą: „kocham cię“, a tych wyrazów nie byłbym z ciebie wydobył za całą potęgę Rzymu. O Ligio! Rozum mówi, że ta nauka jest Boska i najlepsza, serce to czuje, a takim dwom potęgom któż się oprze?

Ligia słuchała go, utkwiwszy w niego swe niebieskie oczy, podobne przy blasku księżyca do kwiatów mistycznych, i równie zroszone, jak kwiaty.

— Tak, Marku! Prawda! — rzekła, przytulając silniej głowę do jego ramienia.

I w tej chwili czuli się oboje ogromnie szczęśliwi, albowiem rozumieli, że prócz miłości, łączy ich jeszcze jakaś inna siła, zarazem słodka i nieprzeparta, przez którą sama miłość staje się czemś niepożytem, niepodległem zmianom, zawodom, zdradzie i nawet śmierci. Serca ich przepełniła zupełna pewność, że cokolwiekby się mogło zdarzyć, oni nie

przestaną się kochać i należeć do siebie. I z tego powodu spływał w ich dusze niewypowiedziany spokój. Winicyusz czuł przytem, że to jest miłość nietylko czysta i głęboka, ale całkiem nowa, taka, jakiej świat dotąd nie znał i dać nie mógł. Składało się na nią w jego sercu wszystko: i Ligia, i nauka Chrystusa, i światło księżyca, śpiące cicho na cyprysach, i pogodna noc, tak, że cały wszechstwór wydał mu się nią jedną przepełniony.

Po chwili znów mówić począł głosem przyciszonym i drgającym:

— Ty będziesz duszą mojej duszy i będziesz mi w świecie najdroższą. Razem nam będą biły serca, jedna będzie modlitwa i jedna będzie wdzięczność Chrystusowi. O moja droga! Żyć razem, czcić razem słodkiego Boga i wiedzieć, że, gdy nadejdzie śmierć, oczy nasze otworzą się znów, jak po śnie błogim, na nowe światło, cóż można lepszego pomyśleć! Więc dziwię się tylko, żem tego pierwej nie zrozumiał. I wiesz, co mi się teraz zdaje, oto, że tej nauce nie oprze się nikt. Za dwieście lub trzysta lat, przyjmie ją cały świat; ludzie zapomną o Jowiszu, i nie będzie innych bogów, tylko Chrystus, i innych świątyń jak chrześcijańskie. Któżby nie chciał własnego szczęścia? Ach! słyszałem przecie rozmowę Pawła z Petroniuszem, i czy wiesz, co Petroniusz rzekł w końcu? „To nie dla mnie“, ale nic więcej odpowiedzieć nie umiał.

— Powtórz mi słowa Pawła — rzekła Ligia.

— Było to u mnie, wieczorem. Petroniusz począł lekko mówić i żartować, jak on czyni zwykle, a wówczas Paweł rzekł mu: „Jak możesz, mądry Petroniuszu, przeczyć, że Chrystus istniał i zmartwychwstał, gdyś nie był wówczas na świecie. Piotr zaś i Jan widzieli Go, i ja widziałem w drodze do Damaszku? Pierwej zatem niech twoja mądrość wykaże, iż jesteśmy kłamcami, a potem dopiero zaprzeczy naszym świadectwom“. Lecz Petroniusz odpowiedział, że przeczyć nie myśli, gdyż wie, iż dzieje się wiele rzeczy niepojętych, które jednak wiarogodni ludzie stwierdzają. Ale, mówił, że inną jest rzeczą odkrycie jakiegoś nowego cudzoziemskiego Boga, a inną przyjęcie Jego nauki. „Nie chcę — rzekł — wiedzieć o niczem, co mogłoby mi popsuć życie i zniweczyć jego piękność. Mniejsza, czy nasi bogowie są prawdziwi, ale są piękni, jest nam przy nich wesoło, i możemy żyć bez

troski“. Wówczas Paweł tak odpowiedział: „Odrzucasz naukę miłości, sprawiedliwości i miłosierdzia z obawy przed troskami życia, lecz pomyśl, Petroniuszu, czy życie wasze istotnie jest od trosk wolne? Oto i ty, panie, i nikt z pomiędzy najbogatszych i najmożniejszych nie wie, czy zasypiając wieczorem, nie zbudzi się z wyrokiem śmierci. Lecz powiedz: gdyby Cezar wyznawał tę naukę, która nakazuje miłość i sprawiedliwość, zali twoje szczęście nie byłoby pewniejsze? Boisz się o swoje radości, lecz czy życie nie byłoby wówczas weselsze? A co do ozdoby życia i piękności, jeśliście nabudowali tyle pięknych świątyń i posągów na cześć bóstw złych, mściwych, cudzołożnych i fałszywych, czegóżbyście nie dokonali dla czci jedynego Boga, miłości i prawdy? Chwalisz sobie swój los, gdyż jesteś możnym i żyjesz w rozkoszy, lecz zarówno mogłeś być biednym i opuszczonym, chociaż z wielkiego domu pochodzisz, a wówczas lepiejby ci było zaiste na świecie, gdyby ludzie Chrystusa wyznawali. W mieście waszem możni nawet rodzice, nie chcąc się trudzić wychowaniem dzieci, wyrzucają je częstokroć z domu, które to dzieci zowią alumnami. I ty, panie, mogłeś być takim alumnem. Ale, gdyby rodzice twoi żyli wedle nauki naszej, tedy nie mogłoby ci się to przygodzić. Gdybyś, doszedłszy męskich lat, zaślubił umiłowaną niewiastę, wolałbyś, by ci została wierną do śmierci. A tymczasem patrz, co się u was dzieje, ile jest sromoty, ile hańby, frymarku wiarą małżeńską! Wszakże już sami dziwicie się, gdy się zdarzy niewiasta, którą zowiecie univira. Ale ja ci mówię, że te, które Chrystusa w sercu nosić będą, nie złamią wiary mężom, równie jak i chrześcijańscy mężowie dochowają jej żonom. Ale wyście niepewni ni waszych władców, ni waszych ojców, ni żon, ni dzieci, ni sług. Przed wami drży świat cały, a wy drżycie przed własnymi niewolnikami, wiecie bowiem, że każdej godziny mogą podnieść przeciw waszemu ciemięstwu wojnę straszliwą, jaką już nieraz podnosili. Bogatym jesteś, lecz nie wiesz, czy jutro nie każą ci porzucić bogactw; młodym jesteś, lecz jutro może ci trzeba będzie umrzeć. Miłujesz, lecz czyha na ciebie zdrada; kochasz się w willach i posągach, lecz jutro możesz być wypędzon na pustkowia Pandataryi; masz tysiące sług, lecz jutro ci słudzy mogą wytoczyć z ciebie krew. A jeśli tak jest, to jakże możecie być spokojni, szczęśliwi i żyć

w radości? Lecz oto ja głoszę miłość, i głoszę naukę, która nakazuje władcom kochać poddanych, panom niewolników, niewolnikom służyć z miłości, czynić sprawiedliwość i miłosierdzie, a w końcu obiecuje szczęśliwość jako morze nieprzebrane bez końca. Jakże więc, Petroniuszu, możesz mówić, że ta nauka psuje życie, skoro ona je naprawia i skoro sam byłbyś stokroć szczęśliwszym i pewniejszym, gdyby ona ogarnęła tak świat, jak ogarnęło go wasze władztwo rzymskie".

— Tak mówił Paweł, o Ligio, a wówczas Petroniusz rzekł: „to nie dla mnie", i udając śpiącego, wyszedł, a na odchodnem rzekł jeszcze: „Wolę moją Eunice, niż twoją naukę, Judejczyku, ale nie chciałbym walczyć z tobą z mownicy". Lecz ja słuchałem słów jego całą duszą, a gdy mówił o niewiastach naszych, całem sercem wielbiłem tę naukę, z której wyrosłaś, jako na wiosnę wyrastają lilie z bujnej roli. I myślałem wówczas: oto Poppea porzuciła dwóch mężów dla Nerona, oto Kalwia Kryspinilla, oto Nigidya, oto wszystkie niemal, które znam, prócz jednej Pomponii, kupczyły wiarą i przysięgami, i tylko ta jedna, i tylko ta moja, nie odstąpi, nie zwiedzie i nie przygasi ogniska, choćby mnie zawiodło i odstąpiło wszystko, w czem położyłem ufność. Więc mówiłem do ciebie w duszy: czemże ci się odwdzięczę, jeśli nie miłością i czcią? Czyś ty czuła, żem tam w Ancyum przemawiał do ciebie i rozmawiałem ciągle, bez ustanku, jak gdybyś była przy mnie. Stokroć cię więcej kocham za to, żeś uciekła przede mną z domu Cezara. Nie chcę go już i ja. Nie chcę jego rozkoszy i muzyki, tylko ciebie jednej. Powiedz słowo, a opuścimy Rzym, by osiąść gdzieś daleko.

Ona zaś, nie odwracając głowy od jego ramienia, podniosła oczy, jakby w zamyśleniu, na osrebrzone wierzchołki cyprysów i odrzekła:

— Dobrze, Marku. Tyś pisał mi o Sycylii gdzie i Aulusowie chcą osiąść na stare lata...

A Winicyusz przerwał z radością:

— Tak, droga moja! Ziemie nasze znajdują się w pobliżu. Cudny to brzeg, gdzie klimat jeszcze słodszy, a noce jeszcze pogodniejsze od rzymskich, wonne i widne... Tam życie i szczęście, to prawie jedno i to samo.

Poczem zaczął marzyć o przyszłości.

— Tam można zapomnieć o troskach. W gajach, wśród

oliwników, będziemy chodzili i spoczywali w cieniu. O Ligio! co za życie kochać się, koić, razem spoglądać na morze, razem na niebo, razem czcić słodkiego Boga, czynić wokoło dobro i sprawiedliwość w spokoju.

Umilkli oboje, patrząc w przyszłość; on tylko tulił ją caraz silniej do siebie, przyczem w blaskach księżyca migotał na jego ręku rycerski złoty pierścień. W dzielnicy, zamieszkałej przez ubogą ludność roboczą, spało już wszystko i żaden szmer nie mącił ciszy.

— Pozwolisz mi widywać Pomponię? — spytała Ligia.

— Tak, droga. Będziemy ich zapraszali w dom nasz lub sami jeździli do nich. Czy chcesz, byśmy zabrali ze sobą Piotra Apostoła? On przyciśnięty wiekiem i pracą. Paweł będzie nas także odwiedzał, nawróci Aulusa Plaucyusza i jako żołnierze zakładają kolonie w odległych krajach, tak my założymy kolonię chrześcijan.

Ligia podniosła rękę i wziąwszy dłoń Winicyusza, chciała przycisnąć do niej usta, lecz on począł mówić, szepcząc, jakby się bał spłoszyć szczęście:

— Nie, Ligio! nie! to ja czczę cię i uwielbiam, daj mi ty ręce.

— Kocham cię.

Lecz on przycisnął już usta do jej białych, jak jaśmin, dłoni i przez chwilę słyszeli tylko bicie własnych serc. W powietrzu nie było najmniejszego powiewu i cyprysy stały tak nieruchome, jakby również zatrzymały dech w piersiach...

Nagle ciszę przerwał grzmot niespodziany, głęboki i jakby wychodzący z pod ziemi. Dreszcz przebiegł przez ciało Ligii, Winicyusz zaś powstawszy, rzekł:

— To lwy ryczą w wiwaryach...

I poczęli oboje nasłuchiwać. Tymczasem pierwszemu grzmotowi odpowiedział drugi, trzeci, dziesiąty, ze wszystkich stron i dzielnic. W mieście bywało czasem po kilka tysięcy lwów, pomieszczonych przy różnych arenach, i nieraz nocami, zbliżając się do krat i opierając o nie olbrzymie głowy, głosiły w ten sposób swą tęsknotę za wolnością i pustynią. Tak poczęły tęsknić i teraz, i podając jeden drugiemu głos w ciszy nocnej, napełniły rykiem całe miasto. Było w tem coś niewypowiedzianie groźnego i posępnego, to też Ligia, której owe głosy spłoszyły jasne i spokojne widzenia przyszłości,

słuchała ich z sercem ściśniętem jakąś dziwną trwogą i smutkiem.

Lecz Winicyusz otoczył ją ramieniem i rzekł:

— Nie bój się, droga. Igrzyska blizko, więc wszystkie wiwarya przepełnione.

Poczem weszli oboje do domu Linusa, przeprowadzeni coraz potężniejszym grzmotem lwich głosów.

ROZDZIAŁ XL.

W Ancyum tymczasem Petroniusz odnosił niemal każdego dnia nowe zwycięstwa nad augustyanami, współubiegającymi się z nim o łaskę Cezara. Wpływ Tygellina upadł zupełnie. W Rzymie, gdy trzeba było usuwać ludzi, którzy wydawali się niebezpieczni, łupić ich mienie, załatwiać sprawy polityczne, dawać widowiska, zdumiewające przepychem i złym smakiem, a wreszcie zaspakajać potworne zachcenia Cezara, Tygellinus, zarówno przebiegły, jak gotów na wszystko, okazywał się niezbędnym. Ale w Ancyum, wśród pałaców przeglądających się w lazurach morza, Cezar żył życiem helleńskiem. Od rana do wieczora czytywano wiersze, rozprawiano nad ich budową i doskonałością, zachwycano się szczęśliwymi zwrotami, zajmowano się muzyką, teatrem, słowem wyłącznie tem, co wynalazł i czem przyozdobił życie geniusz grecki. Lecz w takich warunkach, niezrównanie więcej wykształcony od Tygellina i innych augustyanów, Petroniusz, dowcipny, wymowny, pełen subtelnych poczuć i smaku, musiał uzyskać przewagę. Cezar szukał jego towarzystwa, zasięgał jego zdania, pytał o radę, gdy sam tworzył, i okazywał przyjaźń żywszą niż kiedykolwiek. Otaczającym wydawało się, że wpływ jego odniósł wreszcie ostateczne zwycięstwo, że przyjaźń między nim i Cezarem weszła już w okres stały i że przetrwa lata. Ci nawet, którzy dawniej okazywali niechęć wykwintnemu epikurejczykowi, poczęli go teraz otaczać i ubiegać się o jego łaski. Niejeden rad był nawet szczerze w duszy, że przewagę uzyskał człowiek, który wiedział wprawdzie co o kim ma myśleć i przyjmował ze sceptycznym uśmiechem pochlebstwa wczorajszych wrogów, lecz czy to przez lenistwo, czy przez wytworność, nie był mściwym i potęgi swej nie używał na

cudzą zgubę lub szkodę. Bywały chwile, że mógł zgubić nawet i Tygellina, ale on wolał go wyśmiewać i wyprowadzać na jaw jego brak wykształcenia i pospolitość. Senat w Rzymie odetchnął, gdyż od półtora miesiąca żaden wyrok śmierci nie został wydany. I w Ancyum i w mieście opowiadano wprawdzie dziwy o wyrafinowaniu, do jakiego doszła rozpusta Cezara i jego faworyta, każdy jednak wolał czuć nad sobą Cezara wyrafinowanego, niż zezwierzęconego w rękach Tygellina. Sam Tygellinus tracił głowę i wahał się, czy nie dać za wygraną, albowiem Cezar wielokrotnie odzywał się, że w całym Rzymie i na całym dworze są tylko dwie dusze zdolne się zrozumieć, i dwóch prawdziwych Hellenów: on i Petroniusz.

Zdumiewająca zręczność tego ostatniego, utwierdziła ludzi w przekonaniu, iż jego wpływ przetrwa wszystkie inne. Nie zdawano już sobie sprawy, jakby Cezar zdołał się bez niego obejść, z kimby mógł rozmawiać o poezyi, muzyce, wyścigach i w czyje oczy by patrzył, chcąc sprawdzić, czy to, co tworzy, jest naprawdę doskonałem. Petroniusz zaś, ze zwykłą sobie niedbałością, zdawał się nie przywiązywać żadnej wagi do swego stanowiska. Bywał, jak zwykle, opieszały, leniwy, dowcipny i sceptyczny. Częstokroć czynił na ludzi wrażenie człowieka, który drwi z nich, z siebie, z Cezara i z całego świata. Chwilami ośmielał się przyganiać w oczy Cezarowi, i gdy inni sądzili, iż posuwa się za daleko lub wprost gotuje sobie zgubę, on umiał przyganę przyprawić nagle w taki sposób, że wychodziła na jego korzyść, w obecnych zaś budziła podziw i przekonanie, że niemasz położenia, z którego nie wyszedłby z tryumfem. Raz, mniej więcej w tydzień po powrocie Winicyusza z Rzymu, Cezar czytał w małem kółku ustęp ze swej Troiki, gdy zaś skończył i gdy przebrzmiały okrzyki zachwytu, Petroniusz, zapytywany wzrokiem przez Cezara, rzekł:

— Niegodziwe wiersze, godne rzucenia w gień.

Obecnym serca przestały bić z przerażenia, Nero bowiem od dziecinnych lat nie usłyszał nigdy z niczyich ust podobnego wyroku; tylko twarz Tygellina zaświeciła radością. Winicyusz natomiast pobladł, sądząc, że Petroniusz, który nie upijał się nigdy, upił się tym razem.

A Nero począł pytać miodowym głosem, w którym drgała wszelako głęboko zraniona miłość własna:

— Co znajdujesz w nich niedobrego?

Petroniusz zaś napadł na niego.

— Nie wierz im — rzekł, wskazując ręką na obecnych — oni się na niczem nie znają. Pytasz, co niedobrego w tych wierszach? Jeśli chcesz prawdy, to ci powiem: Dobre są dla Wergiliusza, dobre dla Owidyusza, dobre nawet dla Homera, ale nie dla ciebie. Tobie nie wolno takich pisać. Ten pożar, który opisujesz, nie dość płonie, twój ogień nie dość parzy. Nie słuchaj pochlebstw Lukana. Jemu za takie same wiersze przyznałbym geniusz, ale nie tobie. A wiesz dlaczego? Boś większy od nich. Komu bogowie dali tyle, co tobie, od tego więcej można wymagać. Ale ty się lenisz. Wolisz sypiać po prandium, niż przysiedzieć fałdów. Ty możesz stworzyć dzieło, o jakiem świat dotąd nie słyszał, i dlatego w oczy ci powiadam: napisz lepsze!

I mówił to od niechcenia, jakby drwiąc, a zarazem zrzędząc, lecz oczy Cezara zaszły mgłą rozkoszy i rzekł:

— Bogowie dali mi trochę talentu, ale dali prócz tego więcej, bo prawdziwego znawcę i przyjaciela, który jeden umie mówić prawdę w oczy.

To rzekłszy, wyciągnął swą tłustą, pokrytą rdzawym włosem rękę do złotego kandelabru, złupionego w Delfach, by spalić wiersze.

Lecz Petroniusz odebrał mu je, nim płomień dotknął papirusu.

— Nie, nie! — rzekł — nawet tak niegodziwe należą do ludzkości. Zostaw mi je.

— Pozwól mi w takim razie odesłać ci je w puszce mego pomysłu — odpowiedział, ściskając go Nero.

I po chwili mówić począł:

— Tak jest, masz słuszność. Mój pożar Troi nie dość świeci, mój ogień nie dość parzy. Myślałem jednak, że gdy wyrównam Homerowi, to wystarczy. Pewna nieśmiałość i małe rozumienie o sobie przeszkadzały mi zawsze. Tyś mi otworzył oczy. Ale czy wiesz, dlaczego jest tak, jak mówisz? Oto, gdy rzeźbiarz chce stworzyć postać boga, szuka sobie wzoru, jam zaś nie miał wzoru. Nie widziałem nigdy płonącego miasta i dlatego w opisie moim brak prawdy.

— Więc ci powiem, że trzeba jednak być wielkim artystą, by to rozumieć.

Nero zamyślił się, po chwili zaś rzekł:

— Odpowiedz mi, Petroniuszu, na jedno pytanie: czy ty żałujesz, że Troja się spaliła?

— Czy żałuję?... Na chromego małżonka Wenery, bynajmniej! I powiem ci, dlaczego! Oto Troja nie spaliłaby się, gdyby Prometeusz nie podarował ludziom ognia i gdyby Grecy nie wypowiedzieli Pryamowi wojny; gdyby zaś nie było ognia, Eschilos nie napisałby swego Prometeusza, równie jak bez wojny, Homer nie napisałby Iliady, a ja wolę, że istnieje Prometeusz i Iliada, niż żeby zachowała się mieścina, prawdopodobnie licha i brudna, w którejby teraz co najmniej siedział jakiś zakazany prokurator i nudził cię zatargami z miejscowym areopagiem.

— Oto co się nazywa mówić rozumnie — odpowiedział Cezar. — Dla poezyi i sztuki wolno i należy wszystko poświęcić. Szczęśliwi Achaje, którzy dostarczyli Homerowi treści do Iliady i szczęśliwy Pryam, który oglądał zgubę ojczyzny. A ja? ja nie widziałem płonącego miasta.

Nastała chwila milczenia, którą przerwał wreszcie Tygellinus.

— Wszakżem ci już mówił, Cezarze — rzekł — rozkaż, a spalę Ancyum. Albo wiesz co? jeśli ci żal tych willi i pałaców, każę spalić okręty w Ostyi lub zbuduję ci na podgórzu albańskiem drewniane miasto, w które sam rzucisz płomień. Czy chcesz?

Lecz Nero rzucił mu spojrzenie pełne pogardy.

— Ja mam patrzeć na płonące drewniane budy? Twój umysł zupełnie wyjałowiał, Tygellinie! I widzę przytem, że nie bardzo cenisz mój talent i moją Troikę, skoro sądzisz, że jakaś inna ofiara byłaby dla niej za wielka.

Tygellinus zmieszał się, Nero zaś po chwili, jakby chcąc zmienić rozmowę, dodał:

— Lato idzie... O, jak ten Rzym musi teraz cuchnąć!... A jednak na letnie igrzyska trzeba tam będzie wrócić.

Wtem Tygellinus rzekł:

— Gdy odprawisz augustyanów, Cezarze, pozwól mi na chwilę zostać ze sobą...

W godzinę później Winicyusz, wracając z Petroniuszem z cesarskiej willi, mówił:

— Miałem przez ciebie chwilę trwogi. Sądziłem, żeś się po pijanemu zgubił bez ratunku. Pamiętaj, że igrasz ze śmiercią.

— To jest moja arena — odrzekł niedbale Petroniusz — i bawi mnie poczucie, że jestem na niej najlepszym z gladyatorów. Patrzże, jak się skończyło. Wpływ mój urósł jeszcze tego wieczoru. Odeśle mi swoje wiersze w puszce, która (chcesz się założyć?) będzie ogromnie bogata i ogromnie w złym smaku. Każę memu lekarzowi trzymać w niej środki czyszczące. Ja uczyniłem to i dlatego jeszcze, że Tygellinus widząc, jak takie rzeczy się udają, zechce mnie niechybnie naśladować, i wyobrażam sobie, co się stanie, skoro ruszy konceptem. To będzie, jak gdyby pirenejski niedźwiedź chciał chodzić po linie. Będę się śmiał jak Demokryt. Gdybym koniecznie chciał, potrafiłbym może zgubić Tygellina i zostać na jego miejscu prefektem pretoryanów. Wówczas miałbym w ręku samego Ahenobarba. Ale się lenię. Wolę od biedy takie życie, jakie prowadzę, i nawet wiersze Cezara.

— Co za zręczność, która nawet z nagany potrafi zrobić pochlebstwo! Ale czy istotnie te wiersze są tak złe? Ja się na tem nie znam.

— Nie są gorsze od innych. Lukan ma w jednym palcu więcej talentu, ale i w Miedzianobrodym coś jest. Jest przedewszystkiem niezmierne zamiłowanie do poezyi i muzyki. Za dwa dni mamy być u niego, by wysłuchać muzyki do hymnu na cześć Afrodyty, który dziś lub jutro skończy. Będziemy w małem kółku. Tylko ja, ty, Tuliusz Senecyo i młody Nerwa. A co do wierszy, to com ci mówił, że używam ich po uczcie, tak jak Witeliusz używa pióra flaminga, to nieprawda!... Bywają czasem wymowne. Słowa Hekuby są wzruszające... Skarży się ona na męki porodu i Nero umiał znaleźć szczęśliwe wyrażenia może dlatego, że sam rodzi w męce każdy wiersz... Czasem mi go żal. Na Polluxa! co to za dziwna mieszanina! Kaliguli brakło piątej klepki, ale nie był jednak takim dziwotworem.

— Kto przewidzi, dokąd może zajść szaleństwo Ahenobarba? — rzekł Winicyusz.

— Nikt zgoła. Mogą się jeszcze zdarzyć rzeczy takie,

że ludziom przez wieki całe będą na myśl o nich powstawały włosy na głowie. Ale to właśnie jest ciekawe, jest zajmujące, i chociaż nudzę się nieraz jak Jowisz Ammoński na pustyni, myślę, że pod innym Cezarem nudziłbym się jeszcze setniej. Twój Judejczyk Paweł jest wymowny, to mu przyznaję, i jeśli podobni ludzie będą opowiadali tę naukę, nasi bogowie muszą się strzedz nie żartem, by z czasem nie pójść na strych. Prawda, że gdyby naprzykład Cezar był chrześcijaninem, wszyscy czulibyśmy się bezpieczniejsi. Ale twój prorok z Tarzu, stosując swoje dowody do mnie, nie pomyślał, widzisz, że dla mnie ta niepewność stanowi ponętę życia. Kto nie gra w kości, nie przegra mienia, a jednak ludzie w kości grywają. Jest w tem jakaś rozkosz i jakieś zapomnienie. Znałem synów rycerzy i senatorów, którzy dobrowolnie zostali gladyatorami. Ja, mówisz, igram z życiem, i tak jest, ale czynię to, bo mnie to bawi, zaś wasze cnoty chrześcijańskie znudziłyby mnie, jak rozprawy Seneki, w jeden dzień. Dlatego wymowa Pawła poszła na marne. On powinien rozumieć, że tacy ludzie jak ja, nie przyjmą tej nauki nigdy. Ty, co innego! Z twojem usposobieniem mogłeś albo nienawidzić imienia chrześcijanina, jak zarazy, albo nim zostać. Ja przyznaję im słuszność, ziewając. Szalejem, dążym do przepaści, coś nieznanego idzie ku nam z przyszłości, coś się załamuje pod nami, coś mrze obok nas, zgoda! ale umrzeć potrafimy, a tymczasem nie chce się nam obarczać życia i służyć śmierci, wpierw nim nas zabierze. Życie istnieje dla siebie samego, nie dla niej.

— A mnie ciebie żal, Petroniuszu.

— Nie żałuj mnie więcej niż ja sam siebie. Dawniej było ci między nami nieźle i wojując w Armenii, tęskniłeś za Rzymem.

— I teraz tęsknię za Rzymem.

— Tak! boś pokochał chrześcijańską westalkę, która siedzi na Zatybrzu. Ani się temu dziwię, ani ci to naganiam. Dziwię się więcej temu, że mimo tej nauki, o której mówisz, iż jest morzem szczęścia, i mimo tej miłości, która ma być wkrótce uwieńczoną, smutek nie schodzi z twojej twarzy. Pomponia Grecyna jest wiecznie smutna, ty od czasu, jak zostałeś chrześcijaninem, przestałeś się uśmiechać. Nie wmawiajże we mnie, że to jest wesoła nauka. Z Rzymu wróciłeś jeszcze

smutniejszy. Jeśli wy się tak po chrześcijańsku kochacie, na jasne kędziory Bakcha! nie pójdę waszym śladem.

— To jest co innego — odpowiedział Winicyusz — ja ci przysięgam nie na kędziory Bakcha, ale na duszę ojca mego, że nigdy za dawnych czasów nie doznałem nawet przedsmaku takiego szczęścia, jakiem oddycham dzisiaj. Ale tęsknię niezmiernie, i co dziwniejsza, gdy jestem od Ligii daleko, zdaje mi się, że wisi nad nią jakieś niebezpieczeństwo. Nie wiem jakie i nie wiem skądby przyjść mogło, ale przeczuwam je tak, jak się przeczuwa burzę.

— Za dwa dni podejmuję się wyrobić dla ciebie pozwolenie opuszczenia Ancyum na tak długo, jak zechcesz. Poppea jakaś spokojniejsza, i o ile wiem, nic od niej nie grozi ni tobie, ni Ligii.

— Dziś jeszcze pytała mnie, com czynił w Rzymie, choć wyjazd mój był tajemnicą.

— Być może, że kazała cię szpiegować. Teraz jednak i ona musi się ze mną liczyć.

Winicyusz zatrzymał się i rzekł:

— Paweł mówił, że Bóg czasem przestrzega, ale we wróżby wierzyć nie dozwala, więc bronię się przeciw tej wierze i nie mogę się obronić. Powiem ci, co się zdarzyło, by zrzucić ciężar z serca. Siedzieliśmy z Ligią obok siebie w noc tak pogodną jak dzisiejsza i układaliśmy sobie przyszłe życie. Nie umiem ci powiedzieć, jak byliśmy szczęśliwi i spokojni. A wtem poczęły ryczeć lwy. Rzecz to w Rzymie zwykła, a jednak od tej chwili nie mam spokoju. Wydaje mi się, że była w tem jakby groźba, jakby zapowiedź nieszczęścia... Wiesz, że trwoga nie chwyta mnie łatwo, ale wówczas zrobiło się coś takiego, że trwoga napełniła całą ciemność nocy. Tak to przyszło dziwnie i niespodzianie, że teraz ciągle mam w uszach te odgłosy i ciągły niepokój w sercu, jakby Ligia potrzebowała mojej obrony od czegoś strasznego... choćby od tych samych lwów. I męczę się. Uzyskajże dla mnie pozwolenie wyjazdu, bo inaczej wyjadę bez pozwolenia. Nie mogę tu siedzieć, powtarzam ci, nie mogę!

Petroniusz począł się śmiać.

— Jeszcze też do tego nie przyszło — rzekł — by synowie mężów konsularnych lub ich żony były oddawane lwom na arenach. Może was spotkać każda inna śmierć, ale

nie taka. Kto wie zresztą, czy to były lwy, bo tury germańskie wcale nie gorzej od nich ryczą. Co do mnie, drwię z wróżb i losów. Wczoraj noc była ciepła i widziałem gwiazdy spadające jak deszcz. Niejednemu czyni się niemiło na taki widok, ale ja pomyślałem sobie: jeśli między niemi jest i moja, to mi przynajmniej towarzystwa nie zbraknie!...

Poczem umilkł na chwilę i pomyślawszy, rzekł:

— Zresztą, widzisz, jeśli wasz Chrystus zmartwychwstał, to może i was oboje obronić od śmierci.

— Może — odpowiedział Winicyusz, spoglądając na nabite gwiazdami niebo.

ROZDZIAŁ XLI.

Nero grał i śpiewał hymn na cześć „Pani Cypru“, do którego sam ułożył wiersze i muzykę. Był tego dnia przy głosie i czuł, że muzyka jego naprawdę porywa obecnych, a poczucie to tyle dodało siły dźwiękom, które z siebie wydobywał, i tak rozkołysało jego własną duszę, że wydawał się być natchniony. W końcu pobladł sam ze szczerego wzruszenia. Pierwszy też zapewne raz w życiu nie chciał słuchać pochwał obecnych. Przez chwilę siedział z rękoma wspartemi na cytrze i z pochyloną głową, poczem powstał nagle i rzekł:

— Zmęczony jestem i potrzeba mi powietrza. Nastrójcie tymczasem cytry.

To powiedziawszy, obwinął gardło jedwabną chustką.

— Wy pójdźcie za mną — rzekł, zwracając się do Petroniusza i Winicyusza, siedzących w kącie sali. — Ty, Winicyuszu, podaj mi rękę, bo mi sił brak, Petroniusz zaś będzie mi mówił o muzyce.

Poszli wyszli razem na wyłożony alabastrem i posypany szafranem taras pałacowy.

— Tu się oddycha swobodniej — rzekł Nero. — Duszę mam wzruszoną i smutną, choć widzę, że z tem, co wam na próbę zaśpiewałem, mogę wystąpić publicznie i że to będzie tryumf, jakiego nigdy jeszcze żaden Rzymianin nie odniósł.

— Możesz wystąpić tu, w Rzymie i w Achai. Podzi-

wiałem cię całem sercem i umysłem, boski! — odpowiedział Petroniusz.

— Wiem. Jesteś zbyt leniwy, byś się miał zmuszać do pochwał. I szczery jesteś, jak Tuliusz Senecyo, ale się lepiej znasz od niego. Powiedz mi, co ty sądzisz o muzyce?

— Gdy słucham poezyi, gdy patrzę na kwadrygę, którą powozisz w cyrku, na piękny posąg, piękną świątynię lub obraz, czuję, że ogarniam to, co widzę, w całości, i że w moim zachwycie mieści się wszystko, co te rzeczy dać mogą. Ale gdy słucham muzyki, zwłaszcza twojej, otwierają się przede mną coraz nowe piękności i rozkosze. Biegnę za niemi, chwytam je, lecz zanim przyjmę je w siebie, napływają znów nowe i nowe, zupełnie fale morskie, które idą z nieskończoności. Więc oto powiem ci, że muzyka jest jak morze. Stoimy na jednym brzegu i widzimy dal, ale drugiego brzegu dojrzeć niepodobna.

— Ach, jakim ty jesteś głębokim znawcą! — rzekł Nero.

I przez chwilę chodzili w milczeniu, tylko szafran szeleścił cicho pod ich stopami.

— Wypowiedziałeś moją myśl — rzekł wreszcie Nero — i dlatego powiadam zawsze, że w całym Rzymie ty jeden potrafisz mnie zrozumieć. Tak jest. To samo i ja sądzę o muzyce. Gdy gram i śpiewam, widzę takie rzeczy, o których nie wiedziałem, że istnieją w państwie mojem lub na świecie. Oto jestem Cezarem i świat należy do mnie, mogę wszystko. A jednak muzyka odkrywa mi nowe królestwa, nowe góry i morza i nowe rozkosze, których nie znałem dotąd. Najczęściej nie umiem ich nazwać, ni pojąć umysłem — czuję je tylko. Czuję bogów, widzę Olimp. Jakiś wiatr zaziemski wieje na mnie; spostrzegam, jak we mgle, jakieś wielkości niezmierzone a spokojne i tak jasne, jak wschód słońca... Sferos cały gra wokół mnie i powiem ci... (tu głos Nerona zadrgał rzeczywistem zdziwieniem), że ja, Cezar i bóg, czuję się wówczas małym, jak proch. Dasz temu wiarę?

— Tak. Tylko wielcy artyści mogą się czuć wobec sztuki małymi...

— Dziś jest noc szczerości, więc otwieram przed tobą duszę, jak przed przyjacielem, i powiem ci więcej... Czy sądzisz, że jestem ślepy lub pozbawiony rozumu? Czy myślisz, że nie wiem, iż w Rzymie wypisują na murach obelgi na

mnie, że zwą mnie matkobójcą i żonobójcą... że mają mnie za potwora i okrutnika, dlatego, że Tygellinus uzyskał ode mnie kilka wyroków śmierci na moich nieprzyjaciół. Tak, drogi, mają mię za potwora i ja wiem o tem... Wmówili we mnie okrucieństwo do tego stopnia, iż ja sam zadaję sobie czasem pytanie, czy nie jestem okrutnikiem... Ale oni nie rozumieją tego, że czyny człowieka mogą być czasem okrutne, a człowiek może nie być okrutnikiem. Ach, nikt nie uwierzy, a może i ty, mój drogi, nie uwierzysz, że chwilami, gdy muzyka kołysze moją duszę, ja czuję się tak dobry, jak dziecię w kolebce. Przysięgam ci na te gwiazdy, które nad nami świecą, że mówię szczerą prawdę: ludzie nie wiedzą, ile dobrego leży w tem sercu i jakie ja sam spostrzegam w niem skarby, gdy muzyka drzwi do nich otworzy.

Petroniusz, który nie miał najmniejszej wątpliwości, że Neron mówi w tej chwili szczerze i że muzyka istotnie może wydobywać na jaw różne szlachetniejsze skłonności jego duszy, zawalone górami egoizmu, rozpusty i zbrodni, rzekł:

— Ciebie trzeba znać tak blizko, jak ja, Rzym nie umiał cię nigdy ocenić.

Cezar zaś wsparł się silniej na ramieniu Winicyusza, jakby się ugiął pod brzemieniem niesprawiedliwości, i odpowiedział:

— Tygellin mówił mi, iż w senacie szepcą sobie do uszu, że Dyodor i Terpnos lepiej grają ode mnie na cytrach. Odmawiają mi nawet i tego! Ale ty, który mówisz zawsze prawdę, powiedz mi szczerze: czy oni grają lepiej ode mnie, albo równie dobrze, jak ja?

— Bynajmniej. Ty masz słodsze dotknięcie, a zarazem więcej siły. W tobie znać artystę, w nich — biegłych rzemieślników. Owszem! słysząc poprzednio ich muzykę, lepiej się rozumie, czem ty jesteś.

— Jeśli tak, to niech sobie żyją. Nie domyślą się nigdy, jaką im oddałeś w tej chwili usługę. Zresztą, gdybym ich skazał, musiałbym wziąć na ich miejsce innych.

— I ludzie mówiliby w dodatku, że z miłości dla muzyki tępisz w państwie muzykę. Nie zabijaj nigdy sztuki dla sztuki, boski.

— Jakiś ty różny od Tygellina — odpowiedział Neron. — Ale widzisz, ja właśnie jestem we wszystkiem arty-

stą i ponieważ muzyka otwiera przedemną przestwory, których nie domyślałem się istnienia, krainy, któremi nie władam, rozkosz i szczęście, których nie zaznałem, więc ja nie mogę żyć życiem zwyczajnem. Ona mi mówi, że nadzwyczajność istnieje, przeto jej szukam całą potęgą władzy, którą bogowie złożyli w moje ręce. Czasem wydaje mi się, że aby się dostać do tych olimpijskich światów, trzeba zrobić coś takiego, czego żaden człowiek dotąd nigdy nie uczynił, trzeba przewyższyć ludzkie pogłowie w dobrem lub w złem. Wiem także, że ludzie posądzają mnie, iż szaleję. Ale ja nie szaleję, tylko szukam! a jeśli szaleję, to z nudy i niecierpliwości, że znaleźć nie mogę. Ja szukam! rozumiesz mnie, i dlatego chcę być większym, niż człowiek, bo tylko w ten sposób mogę być największy, jako artysta.

Tu zniżył głos, tak aby Winicyusz nie mógł go słyszeć, i przyłożywszy usta do ucha Petroniusza, począł szeptać:

— Czy wiesz, że ja głównie dlatego skazałem na śmierć matkę i żonę? U bram nieznanego świata chciałem złożyć największą ofiarę, jaką człowiek mógł złożyć. Mniemałem, że się potem coś stanie i że jakieś drzwi się otworzą, za któremi dojrzę coś nieznanego. Niechby to było cudniejsze lub straszliwsze nad ludzkie pojęcie, byle było niezwyczajne i wielkie... Ale tej ofiary nie było dość. Dla otwarcia empirejskich drzwi potrzeba widocznie większej — i niech się tak stanie, jak chcą wyroki.

— Co zamierzasz uczynić?

— Zobaczysz, zobaczysz prędzej, niż myślisz. Tymczasem wiedz, że jest dwóch Neronów: jeden taki, jakim go ludzie znają, drugi artysta, którego znasz tylko ty jeden i który, jeśli zabija jak śmierć, lub szaleje jak Bachus, to właśnie dlatego, że go dławi płaskość i lichota zwykłego życia i chciałby je wyplenić, choćby przyszło użyć ognia lub żelaza... O! jaki ten świat będzie płaski, gdy mnie nie stanie!... Nikt się jeszcze nie domyśla, nawet ty, drogi, jakim ja jestem artystą. Ale właśnie dlatego cierpię i szczerze ci mówię, że dusza bywa we mnie czasami tak smutna, jak te cyprysy, które tam czernią się przed nami. Ciężko człowiekowi dźwigać naraz brzemię najwyższej władzy i największego talentu...

— Współczuję ci, Cezarze, z całego serca, a ze mną ziemia i morze, nie licząc Winicyusza, który cię w duszy ubóstwia.

— Był mi też i on zawsze miłym — rzekł Neron — choć służy Marsowi nie muzom.

— On przedewszystkiem służy Afrodycie — odrzekł Petroniusz.

I nagle postanowił za jednym zamachem załatwić sprawę siostrzeńca, a zarazem usunąć wszelkie niebezpieczeństwa, jakie mogły mu grozić.

— On jest zakochany, jak Troilus w Kressydzie — rzekł. — Pozwól mu, panie, odjechać do Rzymu, bo mi uschnie. Czy wiesz, że owa zakładniczka ligijska, którą mu podarowałeś, odnalazła się i Winicyusz, wyjeżdżając do Ancyum, zostawił ją pod opieką niejakiego Linusa? Nie wspominałem ci o tem, gdyż układałeś swój hymn, a to jest rzecz ważniejsza od wszystkiego. Winicyusz chciał z niej mieć kochankę, lecz gdy okazała się cnotliwą, jak Lukrecya, rozkochał się w jej cnocie i teraz pragnie ją poślubić. Jest to królewska córka, więc ujmy mu nie przyniesie, ale on, to prawdziwy żołnierz: wzdycha, schnie, jęczy, lecz czeka na pozwolenie swego imperatora.

— Imperator nie wybiera żon żołnierzom. Po co mu moje pozwolenie?

— Mówiłem ci, panie, że on cię ubóstwia.

— Tem bardziej może być pewny pozwolenia. To ładna dziewczyna, ale za wązka w biodrach. Augusta Poppea skarżyła się na nią przede mną, że urzekła nasze dziecko w ogrodach Palatynu...

— Ale powiedziałem Tygellinowi, że bóstwa nie podlegają złym urokom. Pamiętasz, boski, jak się zmieszał i jak sam krzyczałeś: *habet!*

— Pamiętam.

Tu zwrócił się do Winicyusza:

— Kochaszże ją tak, jak mówi Petroniusz?

— Kocham ją, panie! — odpowiedział Winicyusz.

— A więc rozkazuję ci jechać zaraz jutro do Rzymu, zaślubić ją i nie pokazywać mi się na oczy bez ślubnego pierścienia.

— Dzięki ci, panie, z serca i duszy.

— O, jak miło jest uszczęśliwiać ludzi — rzekł Cezar. — Chciałbym nic innego przez całe życie nie czynić.

— Uczyń nam jeszcze jedną łaskę, boski, — rzekł Petroniusz — i oświadcz tę swoją wolę wobec Augusty. Winicyusz nie ośmieliłby się nigdy zaślubić istoty, do której Augusta żywi niechęć, ale ty, panie, rozproszysz jednem słowem jej uprzedzenia, oznajmiając, żeś sam tak rozkazał.

— Dobrze — rzekł Cezar — tobie i Winicyuszowi nie umiałbym niczego odmówić.

I zawrócił do willi, a oni poszli z nim razem, pełni w sercach radości ze zwycięstwa. Winicyusz musiał się powstrzymywać, by nie rzucić się na szyję Petroniusza, teraz bowiem wszelkie niebezpieczeństwa i przeszkody zdawały się być usunięte.

W atrium willi młody Nerwa i Tuliusz Senecyo zabawiali Augustę rozmową, Terpnos zaś i Dyodor stroili cytry. Nero, wszedłszy, siadł na wykładanem szyldkretem krześle i szepnąwszy coś do ucha przybocznemu greckiemu pacholęciu, czekał.

Pacholę wróciło niebawem ze złotą skrzynką — Neron otworzył ją i wybrawszy naszyjnik z wielkich opalów, rzekł:

— Oto są klejnoty, godne dzisiejszego wieczora.

— Mieni się na nich jutrzenka — odpowiedziała Poppea, w przekonaniu, że naszyjnik dla niej jest przeznaczony.

Cezar przez chwilę to podnosił, to zniżał różowe kamienie i wreszcie rzekł:

— Winicyuszu, podarujesz ode mnie ten naszyjnik młodej królewnie ligijskiej, którą nakazuję ci zaślubić.

Pełen gniewu i nagłego zdziwienia wzrok Poppei począł przenosić się z Cezara na Winicyusza, w końcu zaś spoczął na Petroniuszu.

Lecz ów, przechylony niedbale przez poręcz krzesła, wodził ręką po gryfie harfy, jakby chcąc dokładnie kształt jego zapamiętać.

Tymczasem Winicyusz, złożywszy dzięki za podarek, zbliżył się do Petroniusza i rzekł:

— Czem ja ci się odwdzięczę za to, coś dziś dla mnie uczynił?

— Ofiaruj Euterpie parę łabędzi, — odpowiedział Petroniusz — chwal pieśni Cezara i śmiej się z wróżb. Spodziewam się, że ryk lwów nie będzie odtąd przerywał snu ani tobie, ani twojej lilii ligijskiej.

— Nie, — rzekł Winicyusz — teraz jestem zupełnie spokojny.

— Niechże fortuna będzie wam łaskawą. Ale teraz uważaj, bo Cezar bierze znów formingę. Zatrzymaj oddech, słuchaj i roń łzy.

Jakoż Cezar wziął rzeczywiście formingę do ręki i podniósł oczy w górę. W sali ustały rozmowy i ludzie siedzieli nieruchomie, jakby skamieniali. Tylko Terpnos i Dyodor, którzy mieli akompaniować Cezarowi, spoglądali, kręcąc głowami, to na siebie, to na jego usta, w oczekiwaniu pierwszych tonów pieśni.

Wtem w przedsionku wszczął się ruch i hałas, a po chwili z za zasłony wychylił się naprzód wyzwoleniec cesarski, Faon, a tuż za nim konsul Lekaniusz.

Neron zmarszczył brwi.

— Wybacz, boski imperatorze, — rzekł zdyszanym głosem Faon — w Rzymie pożar! większa część miasta w płomieniach!...

Na tę wiadomość wszyscy zerwali się z miejsc, Neron złożył formingę i rzekł:

— Bogowie!... Ujrzę płonące miasto i skończę Troikę.

Poczem zwrócił się do konsula:

— Czy, wyjechawszy natychmiast, zdążę jeszcze zobaczyć pożar?

— Panie! — odpowiedział blady jak ściana konsul — nad miastem jedno morze płomieni: dym dusi mieszkańców i ludzie mdleją lub z szaleństwa rzucają się w ogień... Rzym ginie, panie!

Nastała chwila ciszy, którą przerwał okrzyk Winicyusza:

— *Vae misero mihi*...

I młody człowiek, zrzuciwszy togę, w samej tunice wybiegł z pałacu.

Neron zaś podniósł ręce ku niebu i zawołał:

— Biada ci, święty grodzie Pryama!...

ROZDZIAŁ XLII.

Winicyusz zaledwie miał czas rozkazać kilku niewolnikom, by jechali za nim, poczem wskoczywszy na konia, popędził wśród głębokiej nocy przez puste ulice Ancyum, w kierunku Laurentum. Wpadłszy pod wpływem straszliwej wieści w stan jakby szału i umysłowego zdziczenia, chwilami nie zdawał sobie dokładnie sprawy, co się z nim dzieje, miał tylko poczucie, że na tym samym koniu siedzi za jego plecami nieszczęście i krzycząc mu do uszu: „Rzym się pali!“ — smaga jego samego, konia i pędzi ich w ten ogień. Położywszy swą odkrytą głowę na karku końskim, biegł w samej tunice, na oślep, nie patrząc przed siebie i nie zważając na przeszkody, o które mógł się roztrzaskać. Wśród ciszy i wśród nocy, spokojnej i gwiaździstej, jeździec i koń, oblani blaskiem księżyca, czynili wrażenie sennych widziadeł. Idumejski ogier, stuliwszy uszy i wyciągnąwszy szyję, mknął jak strzała, mijając nieruchome cyprysy i białe, pochowane wśród nich, wille. Tentent kopyt o płyty kamienne budził tu i ówdzie psy, które szczekaniem przeprowadzały dziwne zjawisko, potem zaś, zaniepokojone jego nagłością, poczynały wyć, podnosząc paszcze do księżyca. Niewolnicy, biegnący za Winicyuszem, mając konie o wiele gorsze, wkrótce pozostali w tyle. On sam, przebiegłszy jak burza śpiące Laurentum, zawrócił ku Ardei, w której również jak w Arycyi, w Bowilli i Ustrynum, trzymał od czasu przyjazdu do Ancyum rozstawne konie, aby módz w jak najkrótszym czasie przebiegać przestrzeń, dzielącą go od Rzymu. Pamiętając o tem, wydobywał ostatki sił z konia. Za Ardeą wydało mu się, że niebo w północno-wschodniej stronie powleka się różowym odblaskiem. Mogła to być i zorza ranna, gdyż godzina była późna, dzień zaś czynił się wcześnie w lipcu. Lecz Winicyusz nie mógł powstrzymać okrzyku rozpaczy i wściekłości, wydało mu się bowiem, że to jest łuna pożogi. Przypomniały mu się słowa Lekaniusza: „miasto całe jednem morzem płomieni“ — i przez chwilę czuł, że grozi mu naprawdę szaleństwo, stracił bowiem całkowicie nadzieję, by mógł uratować Ligię, a nawet dobiedz, zanim miasto nie zmieni się w jeden stos popiołu. Myśli jego stały się teraz jeszcze szybsze, niż pęd konia,

i gnały przed nim, jako stado czarnego ptactwa — rozpaczliwe i potworne. Nie wiedział wprawdzie, która część miasta zaczęła płonąć, przypuszczał jednak, że dzielnica zatybrzańska, pełna skupionych domów, składów drzewa i drewnianych bud, w których sprzedawano niewolników, pierwsza mogła stać się pastwą płomienia. W Rzymie pożary zdarzały się dość często, przy których równie często przychodziło do gwałtów i rabunków, zwłaszcza w dzielnicach, zamieszkałych przez ludność ubogą i nawpół barbarzyńską — cóż więc mogło dziać się na takiem Zatybrzu, które było gniazdem hałastry, pochodzącej ze wszystkich stron świata? Tu Urzus ze swą nadludzką siłą mignął się w głowie Winicyusza, lecz cóż mógł poradzić choćby nie człowiek, ale tytan, przeciw niszczącej sile ognia? Obawa buntu niewolników była również zmorą, która dusiła Rzym od lat całych. Mówiono, iż setki tysięcy tych ludzi marzy o czasach Spartakusa i czeka tylko na sposobną chwilę, by chwycić za broń przeciw ciemięzcom i miastu. A oto chwila nadeszła! Być może, że tam w mieście, obok pożogi, wre rzeź i wojna. Może nawet pretoryanie rzucili się na miasto i mordują z rozkazu Cezara. I włosy powstały nagle z przerażenia na głowie Winicyusza. Przypomniał sobie wszystkie rozmowy o pożarach miast, które od pewnego czasu z dziwną uporczywością prowadzono na dworze Cezara, przypomniał sobie jego skargi, że musi opisywać płonące miasto, nie widząc nigdy prawdziwego pożaru, jego pogardliwą odpowiedź Tygellinowi, który podejmował się podpalić Ancyum lub sztuczne drewniane miasto, wreszcie jego narzekania na Rzym i smrodliwe zaułki Subury. Tak! to Cezar kazał spalić miasto! On jeden mógł się na to ważyć, tak jak jeden Tygellinus mógł się podjąć wykonania podobnego rozkazu. A jeśli Rzym płonie z rozkazu Cezara, to któż może zaręczyć, że i ludność nie zostanie z jego rozkazu wymordowana? Potwór był zdolnym i do takiego czynu. Więc pożar, bunt niewolników i rzeź! jakiś straszliwy chaos! jakieś rozpętanie niszczących żywiołów i wściekłości ludzkiej, a w tem wszystkiem Ligia. Jęki Winicyusza pomieszały się z chrapaniem i jękami konia, który, biegnąc drogą, wznoszącą się ciągle do Arycyi w górę, pędził już ostatkiem tchu. Kto ją wyrwie z płonącego miasta i kto może ją ocalić? Tu Winicyusz, położywszy się całkiem na koniu, wpił palce we

włosy, gotów z bólu kąsać kark koński. Lecz w tej chwili jakiś jeździec, pędzący również, jak wicher, ale ze strony przeciwnej, do Ancyum, krzyknął, przebiegając koło niego: „Roma ginie!“ i popędził dalej. Do uszu Winicyusza doszedł tylko jeszcze wyraz: „bogowie“, resztę zgłuszył tentent kopyt. Lecz ów wyraz wytrzeźwił go. Bogowie!... Winicyusz podniósł nagle głowę i, wyciągnąwszy ramiona ku niebu, nabitemu gwiazdami, począł się modlić: „Nie was wzywam, których świątynie płoną, ale Ciebie!... Tyś sam cierpiał, Tyś jeden miłosierny! Tyś jeden rozumiał ludzki ból! Tyś przyszedł na świat, by ludzi nauczyć litości, więc ją teraz okaż. Jeśliś jest taki, jak mówią Piotr i Paweł, to mi uratuj Ligię. Weź ją na ręce i wynieś z płomieni. Ty to możesz! Oddaj mi ją, a ja ci oddam krew. A jeśli dla mnie nie zechcesz tego uczynić, to uczyń dla niej. Ona Cię kocha i ufa Ci. Obiecujesz życie po śmierci i szczęście, ale szczęście po śmierci nie minie, a ona nie chce jeszcze umierać. Daj jej żyć. Weź ją na ręce i wynieś z Rzymu. Ty możesz, chybabyś nie chciał...“

I przerwał, czuł bowiem, że dalsza modlitwa mogła się zmienić w groźbę, bał się obrazić Bóstwo w chwili, gdy najbardziej potrzebował Jego litości i łaski. Zląkł się na samą myśl o tem i, by nie dopuścić do głowy ani cienia groźby, począł znów smagać konia, tembardziej, że białe mury Arycyi, która leżała na połowie drogi do Rzymu, zaświeciły już przed nim w blasku księżyca. Po pewnym czasie przebiegł w całym pędzie koło świątyni Merkurego, która leżała w gaju przed miastem. Wiedziano już tu widocznie o nieszczęściu, albowiem przed świątynią panował ruch niezwykły. Winicyusz dojrzał w przelocie na schodach i między kolumnami roje ludzi, świecących sobie pochodniami, którzy cisnęli się pod opiekę bóstwa. Droga nie była też ani tak pusta, ani tak wolna, jak za Ardeą. Tłumy dążyły wprawdzie do gaju bocznemi ścieżkami, ale i na głównym gościńcu stały gromadki, które usuwały się pośpiesznie przed pędzącym jeźdźcem. Z miasta dochodził gwar głosów. Winicyusz wpadł w nie, jak wicher, przewróciwszy i stratowawszy kilku ludzi po drodze. Naokół teraz otoczyły go okrzyki: „Rzym płonie! miasto w ogniu! Bogowie, ratujcie Rzym!“

Koń potknął się i ściągnięty silną ręką, osiadł na za-

dzie przed gospodą, w której Winicyusz trzymał innego do zmiany. Niewolnicy, jakby spodziewając się przybycia pana, stali przed gospodą i na jego rozkaz ruszyli na wyścigi, by przyprowadzić nowego konia, Winicyusz zaś widząc oddział, złożony z dziesięciu konnych pretoryanów, którzy widocznie jechali z wieścią z miasta do Ancyum, skoczył ku nim i począł pytać:

— Która część miasta w ogniu?

— Ktoś jest? — spytał dziesiętnik.

— Winicyusz, trybun wojskowy i augustyanin! Odpowiadaj, na głowę twoją!

— Pożar, panie, wybuchł w kramach przy Wielkim cyrku. Gdy nas wysłano, środek miasta był w ogniu.

— A Zatybrze?

— Płomień tam dotychczas nie doszedł, lecz z niepowstrzymaną siłą ogarnia coraz nowe dzielnice. Ludzie giną od żaru i dymu i wszelki ratunek niemożliwy.

W tej chwili podano Winicyuszowi nowego konia. Młody trybun skoczył na niego i popędził dalej.

Jechał teraz ku Albanum, pozostawiając na prawo Albalongę i jej wspaniałe jezioro. Gościniec do Arycyi szedł pod górę, która zasłaniała całkowicie widnokrąg i leżące po drugiej jej stronie Albanum. Winicyusz jednakże wiedział, że wydostawszy się na szczyt, obaczy nietylko Bowilę i Ustrynum, w których czekały na niego nowe konie, ale i Rzym, za Albanum bowiem ciągnęła się po obu bokach Appijskiej drogi równa, nizka Kampania, po której biegły ku miastu tylko arkady akweduktów i nic już nie zasłaniało widoku.

— Ze szczytu zobaczę płomienie — mówił sobie.

I poczynał znów smagać konia.

Lecz, zanim dobiegł do szczytu góry, uczuł na twarzy powiew wiatru i wraz z nim zapach dymu doszedł do jego nozdrzy.

A wtem i wierzchołek wzgórza zaczął się złocić.

— Łuna! — pomyślał Winicyusz.

Noc jednak bladła już od dawna, brzask przechodził w świt i na wszystkich poblizkich wzgórzach świeciły również złote i różowe blaski, mogące pochodzić zarazem od pożogi i od jutrzni. Winicyusz dobiegł do szczytu i wówczas straszliwy widok uderzył jego oczy.

Cała nizina pokryta była dymami, tworzącymi jakby jedną olbrzymią, leżącą tuż przy ziemi chmurę, w której znikły miasta, akwedukty, wille, drzewa, na końcu zaś tej szarej, okropnej płaszczyzny gorzało na wzgórzach miasto.

Pożar jednakże nie miał kształtu ognistego słupa, jak bywa wówczas, gdy się pali pojedyńczy, choćby największy budynek. Była to raczej długa, podobna do zorzy, wstęga. Nad tą wstęgą unosił się wał dymu, miejscami zupełnie czarny, miejscami mieniący się różowo i krwawo, zbity w sobie, wydęty, gęsty i kłębiący się, jak wąż, który się kurczy i wydłuża. Potworny ów wał chwilami zdawał się przykrywać nawet wstęgę ognistą, tak, iż czyniła się wązka jak taśma, lecz chwilami ona rozświecała go od dołu, zmieniając jego dolne kłęby w fale płomienne. Oboje ciągnęły się od krańca do krańca widnokręgu, zamykając go tak, jak czasem zamyka go pasmo leśne. Gór Sabińskich nie było wcale widać.

Winicyuszowi na pierwszy rzut oka wydało się, że to nietylko płonie miasto, ale świat cały, i że żadna żywa istota nie może się uratować z tego oceanu ognia i dymów.

Wiatr wiał coraz silniejszy od strony pożaru, niosąc zapach spalenizny i srężogę, która poczynała przesłaniać nawet bliższe przedmioty. Dzień uczynił się zupełny i słońce oświeciło szczyty, otaczające jezioro Albańskie. Lecz jasnozłote poranne promienie wydawały się przez srężogę jakby rude i chore. Winicyusz, spuszczając się ku Albanum, wjeżdżał w dymy coraz gęstsze i coraz mniej przenikliwe. Samo miasteczko było zupełnie w nich pogrążone. Zaniepokojeni mieszkańcy wylegli na ulice i strach było pomyśleć, co się musi dziać w Rzymie, gdy tu już trudno było oddychać.

Rozpacz ogarnęła znów Winicyusza i przerażenie poczęło mu podnosić włosy na głowie. Lecz próbował się pokrzepiać, jak mógł. „Niepodobna, myślał, by całe miasto poczęło naraz płonąć. Wiatr wieje z północy i zwiewa dymy w tę tylko stronę. Po drugiej stronie niema ich. Zatybrze, przedzielone rzeką, może całkiem ocalało, a w każdym razie dość będzie Urzusowi przedostać się wraz z Ligią przez bramę Janikulską, by uchronić się od niebezpieczeństwa. Również niepodobna, by zginęła cała ludność i by miasto, które włada światem, starte było wraz z mieszkańcami z powierzchni ziemi.

Nawet w zdobywanych miastach, gdy rzeź i ogień srożą się naraz, pewna liczba ludzi zostaje zawsze przy życiu, dlaczego więc miałaby koniecznie zginąć Ligia? Wszak czuwa nad nią Bóg, który sam zwyciężył śmierć?" Tak rozumując, począł znów modlić się i, wedle obyczaju, do którego przywykł, czynić Chrystusowi wielkie śluby, wraz z obietnicami darów i ofiar. Przebiegłszy Albanum, którego cała niemal ludność siedziała na dachach i drzewach, by spoglądać na Rzym, uspokoił się cokolwiek i odzyskał zimną krew. Pomyślał też, że Ligią opiekuje się nietylko Urzus i Linus, ale i Piotr Apostoł. Na samo wspomnienie o tem nowa otucha wstąpiła mu do serca. Piotr był zawsze dla niego istotą niepojętą, prawie nadludzką. Od chwili, gdy słyszał go w Ostryanum, zostało mu dziwne wrażenie, o którem na początku pobytu w Ancyum pisał do Ligii: że każde słowo tego starca jest prawdą, lub musi się stać prawdą. Bliższa znajomość, jaką zawarł z Apostołem w czasie choroby, wzmogła jeszcze to wrażenie, które następnie zmieniło się w niezachwianą wiarę. Więc skoro Piotr błogosławił jego miłości i przyobiecał mu Ligię, to Ligia nie mogła zginąć w płomieniach. Miasto może sobie spłonąć, lecz żadna iskra płomieni nie padnie na jej odzież. Pod wpływem bezsennej nocy, szalonej jazdy i wzruszeń, Winicyusza poczęła ogarniać teraz dziwna egzaltacya, w której wszystko wydało mu się możliwem: Piotr przeżegna płomienie, otworzy je jednem słowem i przejdą bezpieczni wśród alei z ognia. Piotr wiedział przytem rzeczy przyszłe, więc niechybnie przewidział i klęskę pożaru, a w takim razie jakżeby mógł nie ostrzedz i nie wyprowadzić z miasta chrześcijan, a między nimi i Ligii, którą kochał jak dziecko własne. I coraz silniejsza nadzieja poczęła wstępować w serce Winicyusza. Pomyślał, że jeśli oni uciekają z miasta, to może ich znaleźć w Bowili lub napotkać w drodze. Może oto lada chwila kochana twarz wychyli się z tych dymów, rozpościerających się coraz szerzej po całej Kampanii.

Wydało mu się to tem prawdopodobniejszem, że na drodze począł napotykać coraz więcej ludzi, którzy, opuściwszy miasto, jechali do gór Albańskich, by, ocaliwszy się od ognia, wydostać się następnie i poza granice dymów. Nie dojechawszy do Ustrynum, musiał zwolnić z powodu zatłoczenia drogi. Obok pieszych, z manatkami na plecach, napo-

tykał objuczone konie, muły, wozy naładowane dobytkiem, a wreszcie i lektyki, w których niewolnicy nieśli zamożniejszych mieszkańców. Ustrynum tak już było nabite zbiegami z Rzymu, że przez tłum trudno się było przecisnąć. Na rynku, pod kolumnami świątyń i na ulicach roiło się od zbiegów. Tu i owdzie poczęto rozbijać już namioty, pod którymi miały szukać schronienia całe rodziny. Inni obozowali pod gołem niebem, krzycząc, wzywając bogów, lub przeklinając losy. W powszechnem przerażeniu trudno się było o coś dopytać. Ludzie, do których zwracał się Winicyusz, albo nie odpowiadali mu wcale, lub podnosili na niego wpół obłąkane z przerażenia oczy, odpowiadając, że ginie miasto i świat. Od strony Rzymu napływały z każdą chwilą nowe tłumy, złożone z mężczyzn, kobiet i dzieci, które wzmagały zamieszanie i lament. Niektórzy, pogubiwszy się w ścisku, szukali rozpaczliwie zaginionych. Inni bili się o obozowiska. Gromady nawpół dzikich pasterzy z Kampanii przyciągnęły do miasteczka, szukając nowin lub zysków z kradzieży, którą ułatwiało zamieszanie. Tu i owdzie tłum, złożony z niewolników wszelkiej narodowości i z gladyatorów, począł grabić domy i wille w mieście i bić się z żołnierzami, występującymi w obronie mieszkańców.

Senator Juniusz, którego Winicyusz spostrzegł przy gospodzie, otoczonego zastępem batawskich niewolników, pierwszy dał mu nieco dokładniejszą wiadomość o pożarze. Ogień wszczął się rzeczywiście przy Wielkim cyrku, w miejscu, które dotyka Palatynu i wzgórza Caelius, lecz rozszerzył się z niepojętą szybkością, tak, iż ogarnął cały środek miasta. Nigdy jeszcze od czasów Brennusa nie spotkała miasta tak straszna klęska. „Cyrk zgorzał cały, również jak otaczające go kramy i domy — mówił Juniusz — Awentyn i Caelius w ogniu. Płomień, otoczywszy Palatyn, dostał się na Karyny..."

Tu Juniusz, który na Karynach posiadał wspaniałą *insulę*, pełną dzieł sztuki, w których się kochał, porwał garść brudnego pyłu i posypawszy nim głowę, począł przez chwilę jęczeć rozpaczliwie.

Lecz Winicyusz potrząsnął go za ramiona.

— I mój dom na Karynach — rzekł — lecz, gdy wszystko ginie, niech i on ginie.

Poczem, przypomniawszy sobie, że Ligia, idąc za jego radą, mogła się przenieść do domu Aulusów, spytał:

— A Vicus Patricius?

— W ogniu! — odpowiedział Juniusz.

— A Zatybrze?

Juniusz spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Mniejsza o Zatybrze — rzekł, ściskając dłońmi zbolałe skronie.

— Mnie więcej chodzi o Zatybrze, niż o cały Rzym — zawołał gwałtownie Winicyusz.

— To się tam dostaniesz chyba przez via Portuensis, bo obok Awentynu żar cię udusi... Zatybrze?... Nie wiem. Ogień nie mógł tam chyba jeszcze dojść, lecz czy już w tej chwili nie doszedł, jedni bogowie wiedzą..

Tu Juniusz zawahał się przez chwilę, następnie rzekł zniżonym głosem:

— Wiem, że mnie nie zdradzisz, więc ci powiem, że to nie jest zwykły pożar. Cyrku nie dawano ratować... Sam słyszałem... Gdy domy poczęły wkoło płonąć, tysiące głosów wołało: „Śmierć ratującym!“ Jacyś ludzie przebiegają miasto i ciskają w domy płonące pochodnie... Z drugiej strony lud się burzy i woła, że miasto płonie z rozkazu. Nic więcej nie powiem. Biada miastu, biada nam wszystkim i mnie! Co się tam dzieje, tego ludzki język nie wyrazi. Ludność ginie w ogniu, lub morduje się wzajemnie w ścisku... To koniec Rzymu!...

I znów począł powtarzać: „Biada! Biada miastu i nam!“ — lecz Winicyusz wskoczył na konia i ruszył przed siebie dalej drogą Appijską.

Lecz było to obecnie raczej przepychanie się wśród rzeki ludzi i wozów, która płynęła z miasta. — Miasto leżało teraz przed Winicyuszem, jak na dłoni, objęte potwornym pożarem... Od morza ognia i dymu bił żar straszliwy, a wrzaski ludzkie nie mogły stłumić syczenia i huku płomieni.

ROZDZIAŁ XLIII.

W miarę jak Winicyusz zbliżał się do murów, okazywało się, że łatwiej było przyjechać do Rzymu, niż dostać

się do środka miasta. Przez drogę Appijską trudno było się przecisnąć z powodu natłoku ludzi. Domy, pola, cmentarze, ogrody i świątynie, leżące po obu jej stronach, zmienione były w obozowiska. W świątyni Marsa, leżącej tuż koło Porta Appia, tłum odbił drzwi, aby w jej wnętrzu znaleźć przytułek na noc. Na cmentarzach brano w posiadanie większe grobowce i toczono o nie walki, które dochodziły do rozlewu krwi. Ustrynum ze swoim nieładem dawało zaledwie lekki przedsmak tego, co działo się pod murami samego miasta. Ustał wszelki wzgląd na powagę prawa, na urząd, na węzły rodzinne, na różnice stanu. Widziano niewolników okładających kijami obywateli. Gladyatorowie pijani winem złupionem w Emporyum, połączywszy się w duże gromady, przebiegali z dzikimi okrzykami place przydrożne, rozpędzając ludzi, tratując, łupiąc. Mnóstwo barbarzyńców, wystawionych na sprzedaż w mieście, pouciekało z bud sprzedażnych. Pożar i zaguba miasta były dla nich zarazem końcem niewoli i godziną pomsty, to też gdy osiadła ludność, która w ogniu traciła całe mienie, wyciągała z rozpaczą ręce do bogów, wołając o ratunek, oni z wyciem radości rozbijali tłumy, ściągając ludziom odzież z ramion i porywając młodsze niewiasty. Łączyli się z nimi niewolnicy z dawna już służący w Rzymie, nędzarze niemający nic na ciele, prócz wełnianej opaski na biodrach, straszne postacie z zaułków, których po dniu nie widywało się niemal nigdy na ulicach i których istnienia w Rzymie trudno się było domyśleć. Tłum ten złożony z Azyatów, Afrykanów, Greków, Traków, Germanów i Brytonów, wrzeszczący wszystkimi językami ziemi, dziki i rozpasany, szalał, sądząc, iż nadeszła chwila, w której wolno mu sobie wynagrodzić za lata cierpień i nędzy. Wśród tej rozkołysanej ciżby ludzkiej, w blasku dnia i pożogi migotały hełmy pretoryanów, pod których opiekę chroniła się ludność spokojniejsza i którzy w wielu miejscach wstępnym bojem musieli uderzać na rozbestwioną tłuszczę. Winicyusz widział w życiu swojem zdobywane miasta, lecz nigdy oczy jego nie patrzyły na widowisko, w któremby rozpacz, łzy, ból, jęki, dzika radość, szaleństwo, wściekłość i rozpasanie zmieszały się razem w taki niezmierny chaos. Nad tą zaś falującą, obłąkaną ciżbą ludzką huczał pożar, płonęło na wzgórzach największe w świecie miasto, śląc w zamieszanie swój ognisty oddech i przykrywając je dymami,

nad którymi nie było już widać błękitu nieba. Młody trybun, z największem wysileniem narażając co chwila życie, dotarł wreszcie do bramy Appijskiej, lecz tu spostrzegł, że przez dzielnicę Porta Capena nie będzie mógł dostać się do miasta nietylko z powodu ciżby, lecz i dla straszliwego żaru, od którego tuż za bramą drżało całe powietrze. Przytem most przy Porta Trigenia, naprzeciw świątyni Bonae Deae, jeszcze nie istniał, chcąc więc dostać się za Tyber, trzeba było przedrzeć się aż do mostu Sublicyusza, to jest przejechać koło Awentynu, przez część miasta zalaną jednem morzem płomieni. Było to zupełnem niepodobieństwem. Winicyusz zrozumiał, że musi wrócić w kierunku Ustrynum, tam skręcić z drogi Appijskiej, przejechać rzekę poniżej miasta i dostać się na via Portuensis, która wiodła wprost na Zatybrze. Nie było i to rzeczą łatwą z powodu coraz większego zamętu, panującego na drodze Appijskiej. Trzeba tam było torować sobie drogę chyba mieczem, Winicyusz zaś nie miał broni, wyjechał bowiem z Ancyum tak, jak wieść o pożarze zastała go w willi Cezara. Lecz przy Źródle Merkurego ujrzał znajomego centuryona pretoryanów, który na czele kilkudziesięciu ludzi bronił przystępu do obrębu świątyni, i kazał mu jechać za sobą, ten zaś poznawszy trybuna i augustyanina, nie śmiał się rozkazowi sprzeciwić.

Winicyusz sam objął dowództwo oddziału i przepomniawszy na tę chwilę nauk Pawła o miłości bliźniego, parł i rozcinał przed sobą tłum z pośpiechem, zgubnym dla wielu, którzy na czas nie potrafili się usunąć. Ścigały ich przekleństwa i grad kamieni, lecz on nie zważał na to, pragnąc prędzej wydostać się na miejsca wolniejsze. Jednakże można się było posuwać naprzód tylko z największem wysileniem. Ludzie, którzy rozłożyli się już obozem, nie chcieli żołnierzom ustępować z drogi, klnąc na głos Cezara i pretoryanów. W niektórych miejscach tłum przybierał groźną postawę. Do uszu Winicyusza dochodziły głosy oskarżające Nerona o padpalenie miasta. Grożono otwarcie śmiercią i jemu i Poppei. Okrzyki: „sannio!“, „histrio!“ (błazen, aktor), „matkobójca!“ rozlegały się dookoła. Niektórzy wołali, by go powlec do Tybru, inni, że dość Rzym okazał cierpliwości. Widocznem było, że groźby owe mogą się zmienić w bunt otwarty, który, byle się znalazł przywódca, może lada chwila wybuchnąć. Tymczasem

wściekłość i rozpacz tłumu zwracała się przeciw pretoryanom, którzy i dlatego jeszcze nie mogli się z ciżby wydobyć, że drogę zagradzały całe stosy rzeczy wyniesionych naprędce z pożaru: skrzynie i beczki z żywnością, kosztowniejsze sprzęty, naczynia, kolebki dziecinne, pościel, wozy i nosze ręczne. Tu i owdzie przyszło do starć, lecz pretoryanie prędko radzili sobie z bezbronną tłuszczą. Przejechawszy z trudem w poprzek drogę Łacińską, Numicyjską, Ardejską, Luwinijską i Ostyjską, okrążając wille, ogrody, cmentarze i świątynie, Winicyusz dotarł w końcu do miasteczka, zwanego Vicus Alexandri, za którem przeprawił się przez Tyber. Było tam już luźniej i mniej dymu. Od zbiegów, których jednak i tu nie brakło, dowiedział się, że tylko niektóre zaułki Zatybrza zostały objęte pożarem, ale że zapewne nic się nie ostoi przed potęgą ognia, ponieważ są ludzie, którzy podkładają go umyślnie i nie pozwalają ratować, krzycząc, iż czynią to z rozkazu. Młody trybun nie miał już teraz najmniejszej wątpliwości, że to Cezar kazał istotnie podpalić Rzym, i pomsta, o jaką wołały tłumy, wydała mu się rzeczą słuszną i sprawiedliwą. Cóż więcej mógł był uczynić Mitrydat lub którykolwiek z najzawziętszych nieprzyjaciół Rzymu? Miara była przebrana, szaleństwo stało się zbyt potwornem, a życie ludzkie zbyt wobec niego niemożliwem. Winicyusz wierzył też, że godzina Nerona wybiła, że te gruzy, w które rozpada się miasto, powinny i muszą przywalić potwornego błazna, razem z jego wszystkiemi zbrodniami. Gdyby znalazł się mąż dość śmiały, by stanąć na czele zrozpaczonej ludności, stać się to mogło w przeciągu kilku godzin. Tu śmiałe i mściwe myśli poczęły przelatywać przez głowę Winicyusza. A gdyby to uczynił on? Dom Winicyuszów, który aż do ostatnich czasów liczył całe szeregi konsulów, znany był w całym Rzymie. Tłumy potrzebowałyby tylko nazwiska. Przecie już raz z powodu skazania na śmierć czterystu niewolników prefekta Pedaniusza Sekunda, o mało nie przyszło do buntu i wojny domowej, cóżby więc stało się dziś, wobec straszliwej klęski, przewyższającej niemal wszystkie, jakich Rzym w przeciągu ośmiu wieków doznał. Kto wezwie do broni Kwirytów (myślał Winicyusz), ten niewątpliwie obali Nerona i sam przyobleczе się w purpurę. A więc czemuby on nie miał tego uczynić? Był tęższym, dzielniejszym i młodszym od innych augustyanów... Nero rozkazywał wprawdzie

trzydziestu legiom, stojącym na krańcach państwa, ale czyż i te legie, i ich przywódcy nie wzburzą się na wieść o spaleniu Rzymu i jego świątyń?... A w takim razie on, Winicyusz, mógłby zostać Cezarem. Wszakże szeptano między augustyanami, że jakiś wieszczek przepowiedział purpurę Othonowi. W czemże on gorszy? Może i Chrystus dopomógłby mu swą Boską potęgą, może to Jego natchnienie? „Oby tak było!“ wołał w duchu Winicyusz. Pomściłby się wówczas na Neronie za niebezpieczeństwo Ligii i za swój niepokój, zaprowadziłby panowanie sprawiedliwości i prawdy, rozszerzyłby naukę Chrystusa od Eufratu aż do mglistych brzegów Brytanii, a zarazem przyodziałby w purpurę Ligię i uczynił ją panią ziemi.

Lecz myśli te, wybuchnąwszy z jego głowy jak snop iskier z płonącego domu, zagasły jak iskry. Przedewszystkiem należało Ligię ratować. Patrzył teraz na klęskę z blizka, więc lęk zdjął go na nowo, a wobec tego morza ognia i dymu, wobec zetknięcia się ze straszliwą rzeczywistością, owa ufność, z jaką wierzył, iż Piotr Apostoł uratuje Ligię, zamarła zupełnie w jego sercu. Rozpacz chwyciła go po raz drugi, więc wydostawszy się na via Portuensis, wiodącą wprost na Zatybrze, nie opamiętał się aż w bramie, przy której powtórzono mu to, co poprzednio mówili zbiegowie, że większa część tej dzielnicy nie była jeszcze objęta pożarem, lubo ogień w kilku miejscach przerzucił się już za rzekę.

Zatybrze jednak pełne było także dymu i uciekających tłumów, przez które trudniej było się w głąb przedostać dlatego, że ludzie mając więcej czasu, wynosili i ratowali więcej rzeczy. Sama główna droga Portowa była w wielu miejscach zupełnie niemi zawalona, a koło Naumachii Augusta wznosiły się ich całe stosy. Ciaśniejsze zaułki, w których nagromadziły się gęściej dymy, były wprost nieprzystępne. Mieszkańcy uciekali z nich tysiącami. Winicyusz widział po drodze przerażające obrazy. Nieraz dwie rzeki ludzkie, płynące ze stron przeciwnych, spotkawszy się w ciasnem przejściu, parły się wzajem i walczyły ze sobą na zabój. Ludzie bili się i tratowali jedni po drugich. Rodziny gubiły się w zamieszaniu, matki nawoływały rozpaczliwie dzieci. Winicyuszowi włosy powstawały na myśl, co musiało się dziać bliżej ognia. Wśród wrzasków i zgiełku trudno było się o coś rozpytać lub zro-

zumieć wołania. Chwilami z za rzeki przytaczały się nowe bałwany dymów czarnych i tak ciężkich, iż toczyły się tuż przy ziemi, zakrywając tak domy, ludzi i wszystkie przedmioty, jak je zakrywa noc. Lecz wiatr spowodowany pożarem, rozwiewał je i wówczas Winicyusz mógł posuwać się dalej ku zaułkowi, na którym stał dom Linusa. Upał lipcowego dnia, zwiększony żarem, bijącym od płonących dzielnic, stał się nieznośnym. Dym gryzł w oczy, piersiom brakło tchu. Nawet i ci mieszkańcy, którzy w nadziei, że płomień nie przekroczy rzeki, zostali dotąd w domach, poczęli je opuszczać i ciżba zwiększała się z każdą godziną. Pretoryanie towarzyszący Winicyuszowi, pozostali w tyle. W tłoku zranił ktoś młotem jego konia, który począł rzucać zakrwawionym łbem, wspinać się i odmawiać posłuszeństwa jeźdźcowi. Poznano też po bogatej tunice augustyanina i natychmiast rozległy się wokół okrzyki: „Śmierć Neronowi i jego podpalaczom!" Nadeszła chwila groźnego niebezpieczeństwa, albowiem setki rąk wyciągnęły się ku Winicyuszowi, lecz spłoszony koń uniósł go, tratując ludzi, a zarazem nadpłynęła nowa fala czarnego dymu i pogrążyła w mroku ulicę. Winicyusz widząc, że nie przejedzie, zeskoczył wreszcie na ziemię i począł biedz piechotą, prześlizgując się koło murów, a czasami czekając, by uciekający tłum minął go. W duszy mówił sobie, że to są próżne wysilenia. Ligia mogła nie być już w mieście, mogła w tej chwili ratować się ucieczką: łatwiej było odnaleźć szpilkę nad brzegiem morza, niż ją w tym natłoku i chaosie. Chciał jednak choćby za cenę życia dotrzeć do domu Linusa. Chwilami zatrzymywał się i tarł oczy. Urwawszy brzeg tuniki, zasłonił nią nos i usta i biegł dalej. W miarę, jak zbliżał się do rzeki, upał powiększał się straszliwie. Winicyusz, wiedząc, że pożar wszczął się przy Wielkim cyrku, sądził z początku, że żar ów bije od jego zgliszcz, oraz od Forum Boarium i od Velabrum, które leżąc w pobliżu, musiały być również ogarnięte płomieniem. Lecz gorąco stawało się nie do zniesienia. Ktoś uciekający, ostatni, jakiego Winicyusz spostrzegł, starzec o kulach, krzyknął: „Nie zbliżaj się do mostu Cestyusza! cała wyspa w ogniu". Jakoż nie można się było dłużej łudzić. Na zakręcie ku Vicus Judaeorum, na którym stał dom Linusa, młody trybun dojrzał wśród chmury dymów

płomień: paliła się nietylko wyspa, ale i Zatybrze, a przynajmniej drugi koniec uliczki, na której mieszkała Ligia.

Winicyusz jednak pamiętał, że dom Linusa otoczony był ogrodem, za którym od strony Tybru było niezbyt rozległe, niezabudowane pole. Ta myśl dodała mu otuchy. Ogień mógł zatrzymać się na pustem miejscu. W tej nadziei biegł dalej, jakkolwiek każdy powiew przynosił już nietylko dymy, ale tysiące iskier, które mogły wzniecić pożar z drugiego końca zaułka i przeciąć odwrót.

Nakoniec ujrzał jednak przez dymną zasłonę cyprysy w ogrodzie Linusa. Domy, leżące za niezabudowanem polem, paliły się już, jak stosy drzewa, ale mała „insula" Linusowa stała jeszcze nietknięta. Winicyusz spojrzał z wdzięcznością w niebo i skoczył ku niej, jakkolwiek samo powietrze poczęło go parzyć. Drzwi były zamknięte, lecz on pchnął je i wpadł do środka.

W ogródku nie było żywej duszy i dom zdawał się być również zupełnie pusty.

— Może pomdleli od dymu i żarów — pomyślał Winicyusz.

I począł wołać:

— Ligio! Ligio!

Odpowiedziało mu milczenie. W ciszy słychać było tylko huk dalekiego ognia.

— Ligio!

Nagle do uszu jego doszedł ów posępny głos, który słyszał już raz w tym ogródku. Na poblizkiej wyspie zapaliło się widocznie wiwaryum, leżące niedaleko świątyni Eskulapa, w którem wszelkiego rodzaju zwierzęta, a między niemi lwy, poczęły ryczeć z przerażenia. Winicyusza dreszcz przebiegł od stóp do głowy. Oto drugi już raz, w chwili, gdy cała jego istota była skupiona w myśli o Ligii, te straszliwe głosy odzywały się, jak zapowiedź nieszczęścia, jak dziwna wróżba złowrogiej przyszłości.

Było to jednak krótkie, chwilowe wrażenie, albowiem jeszcze straszliwszy od ryku dzikich zwierząt huk pożaru nakazywał myśleć o czem innem. Ligia nie odpowiedziała wprawdzie na wołanie, lecz mogła znajdować się w tym zagrożonym budynku zemdlała lub zduszona dymem. Winicyusz skoczył do środka domu. W małem atrium było pusto i ciemno

od dymu. Szukając rękoma drzwi, prowadzących do kubikulów, spostrzegł migocący płomyk lampki i, zbliżywszy się, ujrzał lararium, w którem zamiast larów był krzyż. Pod krzyżem tym płonął kaganek. Przez głowę młodego katechumena przebiegła z błyskawiczną szybkością myśl, że ów krzyż zsyła mu to światełko, przy którem może odnaleźć Ligię, wziął więc kaganek i począł szukać kubikulów. Znalazłszy jedno, odsunął zasłonę i, świecąc kagangiem, począł patrzeć.

Lecz i tu nie było nikogo. Winicyusz pewien był jednak, że trafił do kubikulum Ligii, albowiem na gwoździach, nabitych w ścianę, wisiała jej odzież, na łóżku zaś leżało „capitium", to jest obcisła sztata, którą kobiety nosiły bezpośrednio na ciele. Winicyusz porwał ją, przycisnął do ust i, przewiesiwszy ją przez ramię, ruszył na dalsze poszukiwania. Domek był mały, więc w krótkim przeciągu czasu zwiedził wszystkie izby, a nawet i piwnice. Lecz nigdzie nie znalazł żywej duszy. Było rzeczą aż nadto widoczną, że Ligia, Linus i Urzus musieli wraz z innymi mieszkańcami dzielnicy szukać w ucieczce ocalenia przed pożarem. „Trzeba ich szukać między tłumem, za bramami miasta" — pomyślał Winicyusz.

Nie zdziwiło go też zbytnio, że nie napotkał ich na via Portuensis, mogli bowiem wyjść z Zatybrza ze strony przeciwnej, w kierunku wzgórza Watykańskiego. W każdym razie ocaleli, przynajmniej od ognia. Winicyuszowi kamień spadł z piersi. Widział wprawdzie, z jak strasznemi niebezpieczeństwami była połączona ucieczka, ale myśl o nadludzkiej sile Urzusa dodawała mu otuchy. „Trzeba mi teraz (mówił sobie) uciekać stąd i przez ogrody Domicyi przedostać się do ogrodów Agrypiny. Tam ich znajdę. Dymy tam nie straszne, bo wiatr wieje od gór Sabińskich".

Przyszedł jednak najwyższy czas, w którym musiał myśleć o własnem ocaleniu, albowiem fala ognia napływała coraz bliżej od strony wyspy i kłęby dymu przysłoniły niemal zupełnie zaułek. Kaganek, którym świecił sobie w domu, zgasł od przeciągu powietrza. Winicyusz, wypadłszy na ulicę, biegł teraz całym pędem ku via Portuensis, w tę samą stronę, z której przyszedł, a pożar zdawał się go gonić swym ognistym oddechem, to otaczając go coraz nowemi chmurami dymu, to obsypując iskrami, które padały mu na włosy, na szyję i odzież. Tunika poczęła się na nim tlić w kilku miejscach,

lecz on nie zważał na to i biegł dalej, w obawie, że dym może go zadusić. Jakoż w ustach miał smak spalenizny i sadzy, gardło i płuca paliły go, jak ogień. Krew napływała mu do głowy, tak, iż chwilami widział wszystko czerwono i same dymy wydawały mu się również czerwone. Wówczas mówił sobie w duszy: „To żywy ogień! lepiej mi rzucić się na ziemię i zginąć". Bieg męczył go coraz bardziej. Głowa, szyja i plecy oblewały mu się potem, a ów pot parzył go, jak ukrop. Gdyby nie imię Ligii, które powtarzał w myśli, i gdyby nie jej „capitium", którem obwinął sobie usta, byłby padł W kilka chwil później począł już jednak nie rozeznawać zaułka, którym biegł. Stopniowo opuszczała go świadomość, pamiętał tylko, że musi uciekać, albowiem na otwartem polu czeka go Ligia, którą przyobiecał mu Piotr Apostoł. I nagle ogarnęła go jakaś dziwna, nawpół już gorączkowa, podobna do przedśmiertnego widzenia pewność, że ją musi zobaczyć, zaślubić, a potem zaraz umrze.

Biegł już jednak, jak pijany, taczając się od jednej strony ulicy do drugiej. A wtem zmieniło się coś w potwornem ognisku, ogarniającem olbrzymie miasto. Wszystko, co dotychczas jeszcze się tylko tliło, wybuchnęło widocznie jednem morzem płomieni, albowiem wiatr przestał przynosić dymy, te zaś, które się nagromadziły w zaułkach, zwiał szalony pęd rozpalonego powietrza. Pęd ów gnał teraz miliony iskier, tak że Winicyusz biegł jakby w ognistej chmurze. Natomiast mógł lepiej widzieć przed sobą, i w chwili prawie, gdy już miał padać, ujrzał koniec zaułka. Widok ten dodał mu znowu sił. Ominąwszy narożnik, znalazł się w ulicy, która wiodła ku via Portuensis i polu Kodetańskiemu. Skry przestały go gonić. Zrozumiał, że, jeśli zdoła dobiedz do Portowej drogi, to ocaleje, choćby mu nawet przyszło na niej zemdleć.

Na końcu ulicy dojrzał znów jakby chmurę, która przesłaniała wyjście. „Jeśli to są dymy — pomyślał — to już nie przejdę". Biegł resztą sił. Po drodze zrzucił z siebie tunikę, która zatłona od iskier poczęła go palić, jak koszula Nessusa, i leciał nagi, mając tylko na głowie i na ustach „capitium" Ligii. Dobiegłszy bliżej, rozpoznał, że to, co brał za dym, było kurzawą, z której nadomiar dochodziły głosy i krzyki ludzkie.

— Tłuszcza rabuje domy — rzekł sobie.

Lecz biegł w kierunku głosów. Zawsze byli tam ludzie, którzy mogli dać mu pomoc. W tej nadziei, zanim jeszcze dobiegł, począł krzyczeć całą siłą głosu o ratunek. Lecz było to jego ostatnie wysilenie: w oczach poczerwieniało mu jeszcze bardziej, w płucach zbrakło oddechu, w kościach siły i padł.

Dosłyszano go jednak, a raczej spostrzeżono, i dwóch ludzi ruszyło mu na pomoc, z gurdami pełnemi wody. Winicyusz, który padł z wyczerpania, ale nie stracił przytomności, chwycił obu rękoma naczynie i wychylił je do połowy.

— Dzięki — rzekł — postawcie mnie na nogi, dalej sam pójdę!

Drugi robotnik oblał mu głowę wodą, obaj zaś nietylko postawili go na nogi, ale podjęli z ziemi i ponieśli do gromady innych, którzy otoczyli go wkoło, badając troskliwie, czy nie poniósł zbytniego szwanku. Troskliwość ta zdziwiła Winicyusza.

— Ludzie — zapytał — coście za jedni?

— Burzymy domy, aby pożar nie mógł dojść do drogi Portowej — odpowiedział jeden z robotników.

— Przyszliście mi na pomoc, gdym już padł. Dzięki wam.

— Nam niewolno odmówić pomocy — ozwało się kilka głosów.

Wówczas Winicyusz, który poprzednio od rana patrzył na rozbestwione tłumy, na bójki i grabież, spojrzał uważniej na otaczające go twarze i rzekł:

— Niech wam wynagrodzi... Chrystus.

— Chwała imieniowi Jego! — zawołał cały chór głosów.

— Linus?... — spytał Winicyusz.

Lecz nie mógł pytać dłużej i nie dosłyszał odpowiedzi, gdyż ze wzruszenia i przebytych wysileń, zemdlał. Obudził się dopiero na polu Kodetańskiem, w ogrodzie otoczony przez kilka kobiet i mężczyzn, i pierwsze słowa, na jakie znowu się zdobył, były:

— Gdzie Linus?

Przez chwilę nie było odpowiedzi, poczem jakiś znajomy Winicyuszowi głos rzekł nagle:

— Za bramą Nomentańską; wyszedł do Ostryanum... od dwóch dni... Pokój ci, królu perski!

Winicyusz podniósł się, i siadł, ujrzawszy niespodzianie nad sobą Chilona.

Grek zaś mówił:

— Dom twój, panie, zapewne spłonął, bo Karyny w płomieniu, ale ty zawsze będziesz bogaty, jak Midas. O, co za nieszczęście! Chrześcijanie, synu Serapisa, przepowiadali od dawna, że ogień zniszczy to miasto... A Linus wraz z córką Jowisza jest na Ostryanum... O! co za nieszczęście na to miasto!...

Winicyuszowi znów uczyniło się słabo.

— Widziałeś ich? — spytał.

— Widziałem, panie!... Niech będą dzięki Chrystusowi i wszystkim bogom, żem ci mógł dobrą wieścią odpłacić za twoje dobrodziejstwa. Ale ja ci, Ozyrysie, jeszcze odpłacę, przysięgam na ten palący się Rzym.

Na dworze czynił się wieczór, ale w ogrodzie widno było, jak w dzień, gdyż pożar wzmógł się jeszcze. Zdawało się, że płoną już nie pojedyncze dzielnice, ale całe miasto, jak długie i szerokie. Niebo było czerwone, jak okiem sięgnąć, i na świecie czyniła się noc czerwona.

ROZDZIAŁ XLIV.

Łuna od palącego się miasta zalała niebo tak szeroko, jak wzrok ludzki mógł sięgnąć. Z za wzgórz wytoczył się księżyc wielki i pełny, który rozgorzał wnet od blasku i, przybrawszy barwę rozpalonej miedzi, zdawał się ze zdumieniem spoglądać na ginący gród światowładny. W zaróżowionych przepaściach nieba świeciły również różowe gwiazdy, lecz, w przeciwieństwie do zwykłych nocy, ziemia jaśniejsza była od niebios. Rzym oświecał nakształt olbrzymiego stosu całą Kampanię. Przy krwawym blasku widać było dalsze wzgórza, miasta, wille, świątynie, pomniki i akwedukty, biegnące ze wszystkich okolicznych gór ku miastu, na akweduktach zaś roje ludzi, którzy schronili się tam dla bezpieczeństwa lub dla przypatrywania się pożarowi.

Tymczasem straszny żywioł obejmował coraz nowe dzielnice. Nie można było wątpić, że jakieś zbrodnicze ręce podpalają miasto, gdy coraz nowe pożary wybuchały w miej-

scach, od głównego ogniska odległych. Ze wzgórz, na których Rzym był zbudowany, płomienie spływały nakształt fal morskich na doliny, szczelnie zabudowane domami, liczącymi po pięć i sześć pięter, pełne bud, kramów, drewnianych ruchomych amfiteatrów, zbudowanych przygodnie na rozmaite widowiska, i wreszcie składów drzewa, oliwy, zboża, orzechów, szyszek pinii, których ziarnem żywiła się uboga ludność, i odzieży, którą czasem z łaski Cezarów rozdawano hałastrze, gnieżdżącej się po ciasnych zaułkach. Tam pożar, znajdując dostatek palnych materyałów, zmieniał się niemal w szereg wybuchów i z niesłychaną szybkością ogarniał całe ulice. Ludzie, obozujący za miastem lub stojący na wodociągach, odgadywali z barwy płomienia, co się pali. Szalony pęd powietrza wynosił chwilami z ognistej toni tysiące i miliony rozżarzonych skorup od orzechów i migdałów, które wzbijały się nagle w górę, jak nieprzeliczone stada jaśniejących motyli, — i pękały z trzaskiem w powietrzu lub, gnane wiatrem, spadały na nowe dzielnice, na wodociągi i na pola, otaczające miasto. Wszelka myśl o ratunku wydawała się niedorzeczną, zamieszanie zaś wzrastało coraz bardziej, gdy bowiem z jednej strony ludność miejska uciekała wszystkiemi bramami za mury, z drugiej pożar przywabił tysiące ludzi z okolicy, tak mieszkańców małych miast, jak chłopstwa i nawpół dzikich pasterzy z Kampanii, których znęciła także nadzieja rabunku.

Okrzyk „Rzym ginie!“ nie schodził z ust tłumu, zguba zaś miasta wydawała się w owych czasach zarazem końcem władztwa i rozwiązaniem wszelkich węzłów, które aż dotąd związywały ludzkość w jedną całość. Tłuszcza też, w której większości ludzi, złożonej z niewolników i przybyszów, nie zależało nic na panowaniu Rzymu, a którą przewrót mógł tylko uwolnić od pęt, przybierała tu i owdzie groźną postawę. Szerzyła się przemoc i grabież. — Zdawało się, że jedynie samo widowisko ginącego grodu przykuwa uwagę ludzką i powstrzymuje jeszcze wybuch rzezi, która rozpocznie się natychmiast, jak tylko miasto zmieni się w zgliszcza. Setki tysięcy niewolników, zapominając, że Rzym, prócz świątyń i murów, posiada jeszcze kilkadziesiąt legii we wszystkich stronach świata, — zdawały się tylko czekać hasła i wodza. Poczęto wspominać imię Spartakusa, — lecz Spartakusa nie

było, — natomiast obywatele jęli się skupiać i zbroić, czem kto mógł. Najpotworniejsze wieści krążyły po wszystkich bramach. Niektórzy twierdzili, że to Wulkan z rozkazu Jowisza niszczy miasto ogniem, wydobywającym się z pod ziemi; inni, że to jest zemsta Westy za Westalkę Rubryę. Ludzie, tak przekonani, nie chcieli nic ratować, natomiast, oblegając świątynie, prosili o zmiłowanie się bogów. Lecz najpowszechniej powtarzano, iż Cezar kazał spalić Rzym dlatego, by się uwolnić od zapachów, zalatujących od Subury, i by wybudować nowe miasto, pod nazwiskiem Neronii. Na tę myśl wściekłość ogarniała ludzi, i gdyby, jak to myślał Winicyusz, znalazł się przywódca, któryby chciał skorzystać z tego wybuchu nienawiści, godzina Nerona byłaby wybiła o całe lata wcześniej.

Mówiono również, że Cezar oszalał, że każe pretoryanom i gladyatorom uderzyć na lud i sprawić rzeź ogólną. Niektórzy przysięgali na bogi, że zwierzęta ze wszystkich wiwaryów zostały z polecenia Miedzianobrodego wypuszczone. Widziano na ulicy lwy z płonącemi grzywami, i rozszalałe słonie, i tury, tratujące gromadami ludzi. Była w tem nawet część prawdy, gdyż w kilku miejscach słonie, na widok zbliżającego się pożaru, rozwaliły wiwarya i, wydostawszy się na wolność, gnały w dzikim popłochu w stronę od ognia przeciwną, niszcząc wszystko przed sobą, jak burza. Wieść publiczna podawała na dziesiątki tysięcy liczbę osób, które zginęły w ogniu. Jakoż zginęło mnóstwo. Byli tacy, którzy, straciwszy całe mienie lub najdroższe sercu istoty, dobrowolnie rzucali się z rozpaczy w płomienie. Innych udusiły dymy. W środku miasta, między Kapitolem z jednej, a Kwirynałem, Wiminalem i Eskwilinem z drugiej strony, jak również między Palatynem a wzgórzem Caelius, gdzie były najgęściej zabudowane ulice, pożar wszczynał się w tak wielu miejscach naraz, że całe gromady ludzi, uciekając w jedną stronę, trafiały najniespodzianiej na nową ścianę płomienia ze strony przeciwnej i ginęły straszną śmiercią wśród ognistego zalewiska.

W przestrachu, zamęcie i obłąkaniu nie wiedziano wreszcie, gdzie uciekać. Drogi były zawalone rzeczami, a w wielu ciasnych miejscach wprost zamknięte. Ci, którzy chronili się na rynki i place, w miejscu, gdzie później stanął Amfiteatr Flawiański, koło świątyni Ziemi, koło portyku Liwii i wyżej

koło świątyń Junony i Lucyny, oraz między Clivus Vibrius a starą bramą Eskwilińską, otoczeni naokół morzem ognia, poginęli od żaru. W miejscach, do których płomień nie doszedł, poznajdywano później setki ciał, spieczonych na węgiel, choć tu i owdzie nieszczęśliwi wyrywali płyty kamienne i dla ochrony przed żarem zagrzebywali się do połowy w ziemię. Żadna prawie z rodzin, zamieszkujących środek miasta, nie ocalała w zupełności, dlatego wzdłuż murów, i u wszystkich bram, i na wszystkich drogach słychać było wycia rozpaczliwe kobiet, wywołujących drogie imiona zaginionych w tłoku lub w ogniu.

I tak, gdy jedni żebrali u bogów miłosierdzia, drudzy bluźnili im wobec tej straszliwej klęski. Widziano starców, zwróconych w stronę świątyni Jowisza Liberatora, którzy, wyciągając ręce, wołali: „Jesteś wybawcą, wybaw twój ołtarz i miasto!“ Rozpacz jednakże zwracała się głównie przeciw starym rzymskim bogom, którzy w pojęciu ludności, obowiązani byli czuwać troskliwiej od innych nad grodem. Okazali się bezsilni, więc urągano im. Natomiast zdarzyło się, że gdy na via Asinaria ukazał się zastęp kapłanów egipskich, przeprowadzający posąg Izydy, który uratowano z świątyni, leżącej w okolicy Porta Caelimontana, tłum rzucił się między orszak, przyprzągł się do wozu, przyciągnął go aż do bramy Appijskiej i, porwawszy posąg, umieścił go w świątyni Marsa, poturbowawszy zarazem kapłanów tegoż bóstwa, którzy ośmielili się stawiać opór. W innych miejscach wzywano Serapisa, Baala lub Jehowę, którego wyznawcy, wyroiwszy się z zaułków w okolicach Subury i z Zatybrza, napełniali wrzaskiem i wołaniami pola, leżące pod murami. W krzykach ich brzmiały jednakże tony jakby tryumfu, dlatego też, gdy jedni z mieszkańców przyłączali się do chóru, sławiąc „Pana świata“, drudzy, oburzając się tym radosnym zgiełkiem, usiłowali go potłumić przemocą. Gdzieniegdzie słyszano śpiewane przez mężczyzn w sile wieku, starców, kobiety i dzieci, pieśni dziwne i uroczyste, których znaczenia nie umiano pojąć, ale w których powtarzały się co chwila słowa: „Oto nadchodzi sędzia w dniu gniewu i klęski“. Tak to ruchliwa i bezsenna fala ludzka otaczała nakształt wzburzonego morza płonące miasto.

Lecz nic nie pomagała ni rozpacz, ni bluźnierstwa, ni pieśni. Klęska zdawała się być nieprzepartą, zupełną i nieubła-

ganą, jak Przeznaczenie. Koło Amfiteatru Pompejusza zapaliły się składy konopi i lin, których potrzebowano mnóstwo do cyrków, aren i do wszelkiego rodzaju machin, używanych przy igrzyskach, a zarazem przyległe budynki, zawierające beczki smoły, którą smarowano liny. Przez kilka godzin cała ta część miasta, za którą leżało pole Marsowe, świeciła tak jasno-żółtym płomieniem, że nawpół przytomnym z przerażenia widzom wydawało się przez czas jakiś, iż przy powszechnej zagubie porządek dnia i nocy został również pomieszany i że widzą blask słoneczny. Lecz potem krwawy jednolity blask pokonał wszystkie inne barwy płomieni. Z morza ognia strzelały ku rozgorzałemu niebu jakby olbrzymie fontanny i słupy płomienia, rozwiewając się w górze w ogniste kiście i pióra, wiatr zaś porywał je, zmieniał w złote nici i włosy skier i niósł, hen nad Kampanią, aż ku górom Albańskim. Noc stawała się coraz widniejsza; samo powietrze zdawało się być przesiąknięte nietylko blaskiem, ale i płomieniem. Tyber płynął żywym ogniem. Nieszczęsne miasto zmieniło się w jedno piekło. Pożar ogarniał coraz większe przestrzenie, brał szturmem wzgórza, rozlewał się po równinach, zatapiał doliny, szalał, huczał, grzmiał.

ROZDZIAŁ XLV.

Makrynus, tkacz, do którego domu przyniesiono Winicyusza, obmył go, zaopatrzył w odzież i posilił, poczem młody trybun, odzyskawszy zupełnie siły, oświadczył, że tejże jeszcze nocy rozpocznie dalsze poszukiwania za Linusem. Makryn, który był chrześcijaninem, potwierdził słowa Chilona, że Linus, wraz ze starszym kapłanem, Klemensem, udali się do Ostryanum, gdzie Piotr miał chrzcić całe gromady zwolenników nowej nauki. W dzielnicy wiadomo było chrześcijanom, że Linus pieczę nad domem swym powierzył od dwóch dni niejakiemu Gajusowi. Dla Winicyusza stanowiło to dowód, że ani Ligia, ani Urzus nie pozostali w domu i że musieli udać się również do Ostryanum.

Myśl ta sprawiła mu wielką ulgę. Linus był człowiek stary, któremu trudno było chodzić codziennie z Zatybrza aż za odległą bramę Nomentańską i wracać znów stamtąd na

Zatybrze, prawdopodobnie więc zamieszkał na te kilka dni u którego ze współwyznawców za murami, a wraz z nim i Ligia i Urzus. W ten sposób uniknęli pożaru, który wogóle nie przedostał się na drugi stok Eskwilinu. Winicyusz widział w tem wszystkiem zrządzenie Chrystusa; poczuł nad sobą Jego opiekę i z sercem wezbranem większą, niż kiedykolwiek, miłością poprzysięgał Mu w duszy wypłacić się całem życiem za te widome znaki łaski.

Tembardziej jednak śpieszno mu było do Ostryanum. Odnajdzie Ligię, odnajdzie Linusa, Piotra i zabierze ich gdzie daleko, do którejkolwiek ze swoich ziem, choćby aż do Sycylii. Rzym oto płonie i za kilka dni zostanie po nim tylko kupa zgliszcz, po co więc mają tu zostawać wobec klęski i rozhukanej ludności? Tam otoczą ich zastępy karnych niewolników, otoczy ich cisza wsi i będą żyli spokojnie, pod skrzydłami Chrystusa, pobłogosławieni przez Piotra. Byle ich tylko teraz odnaleźć!

Nie było to zaś rzeczą łatwą. Winicyusz pamiętał, z jakim trudem przedostał się z via Appia na Zatybrze i jak musiał kołować, aby dotrzeć do drogi Portowej, postanowił więc teraz obejść miasto ze strony przeciwnej. Idąc drogą Tryumfalną, można było dotrzeć, posuwając się wzdłuż rzeki, aż do mostu Emiliusza, stamtąd zaś, pomijając Pincius, wzdłuż pola Marsowego, obok ogrodów Pompejusza, Lukulla i Sallustyusza, przedrzeć się na via Nomentana. Była to droga najkrótsza, lecz i Makrynus, i Chilon nie radzili się na nią zapuszczać. Ogień nie objął wprawdzie dotychczas tej części miasta, lecz wszystkie rynki i ulice mogły być zupełnie zatłoczone ludźmi i ich rzeczami. Chilon radził udać się przez Ager Vaticanus aż do Porta Flaminia, tam przejść rzekę i posuwać się dalej nazewnątrz murów, za ogrodami Acyliusza, ku Porta Salaria. Winicyusz, po chwili wahania, zgodził się na tę radę.

Makryn musiał pozostać na straży domu, lecz wystarał się o dwa muły, które mogły posłużyć i do dalszej podróży dla Ligii. Chciał również dodać niewolnika, lecz Winicyusz odmówił, sądząc, że jak to już zdarzało się poprzednio, pierwszy lepszy oddział pretoryanów, napotkany w drodze, podda się pod jego rozkazy.

I po chwili obaj z Chilonem ruszyli przez Pagus Jani-

culensis ku drodze Tryumfalnej. Na otwartych miejscach były i tu obozowiska, przeciskali się jednak przez nie z mniejszym trudem, albowiem większa część mieszkańców uciekała ku morzu drogą Portową. Za bramą Septimiańską jechali między rzeką a wspaniałymi ogrodami Domicyi, których potężne cyprysy świeciły czerwono od pożaru, jakby od zorzy zachodniej. Droga stawała się wolniejsza, czasem tylko przychodziło im walczyć z prądem napływającego wieśniactwa. Winicyusz popędzał, o ile mógł, muła, Chilon zaś, jadąc tuż za nim, rozmawiał przez całą drogę sam ze sobą:

— Oto pożar został za nami i teraz grzeje nas w plecy. Nigdy jeszcze na tej drodze nie było tak widno w nocy. O Zeusie! jeśli nie spuścisz ulewy na ten pożar, to znać, że nie kochasz Rzymu. Moc ludzka nie zagasi tego ognia. Takie miasto, któremu służyła Grecya i cały świat! A teraz pierwszy lepszy Grek będzie mógł prażyć swój bób w jego popiołach! Ktoby się tego spodziewał!... I nie będzie już Rzymu, ni panów rzymskich... A kto zechce chodzić po zgliszczach, gdy wystygną, i świstać, ten będzie świstał bezpiecznie. O bogowie! świstać nad takiem światowładnem miastem! Ktoby z Greków albo nawet z barbarzyńców mógł się tego spodziewać?... A jednak można świstać, bo kupa popiołu, czy zostanie po ognisku pastuchów, czy po spalonym grodzie, jest tylko kupą popiołów, którą prędzej czy później wiatr rozwieje.

Tak mówiąc, obracał się chwilami w stronę pożaru i patrzył na fale ognia z twarzą zarazem złą i radosną. Poczem mówił dalej:

— Ginie! ginie! i nie będzie go już więcej na ziemi. Gdzie teraz świat będzie wysyłał swoje zboże, swoją oliwę i swoje pieniądze? Kto mu będzie wyciskał złoto i łzy? Marmur nie pali się, ale kruszeje w ogniu. Kapitol pójdzie w gruzy i Palatyn w gruzy. O Zeusie! Rzym był jako pasterz, a inne ludy jako owce. Gdy pasterz był głodny, zarzynał jedną z owiec, zjadał mięso, a tobie, ojcze bogów, ofiarował skórę. Kto, o Chmurowładny, będzie teraz zarzynał i w czyje ręce złożysz bicz pasterski? Bo Rzym gorzeje, ojcze, tak dobrze, jakbyś go sam zapalił piorunem.

— Śpiesz się! — naglił Winicyusz, — co tam robisz?

— Płaczę nad Rzymem, panie, — odpowiedział Chilon. — Takie jowiszowe miasto!...

I czas jakiś jechali w milczeniu, wsłuchując się w huk pożogi i w szum skrzydeł ptasich. Gołębie, których mnóstwo gnieździło się przy willach i po miasteczkach Kampanii, a zarazem i wszelkiego rodzaju polne ptaki z nad morza i z gór okolicznych, biorąc widocznie blask pożaru za światło słoneczne, leciały całemi stadami na oślep w ogień.

Winicyusz pierwszy przerwał milczenie:

— Gdzie byłeś, gdy pożar wybuchnął?

— Szedłem do mego przyjaciela, Eurycyusza, panie, który trzymał kram przy Wielkim cyrku i rozmyślałem właśnie nad nauką Chrystusa, gdy poczęto wołać: „Ogień!“ Ludzie zgromadzili się koło cyrku dla ratunku i przez ciekawość, ale gdy płomienie ogarnęły cały cyrk, a prócz tego poczęły się ukazywać naraz i w innych miejscach, trzeba było myśleć o własnem ocaleniu.

— Czy widziałeś ludzi, rzucających pochodnie do domów?

— Czego ja nie widziałem, wnuku Eneasza! Widziałem ludzi, torujących sobie w tłoku drogę mieczami; widziałem bitwy i rozdeptane na bruku wnętrzności ludzkie. Ach, panie, gdybyś na to patrzył, sądziłbyś, że barbarzyńcy zdobyli miasto i wyprawiają rzeź. Ludzie naokół wołali, że nadszedł koniec świata. Niektórzy stracili zupełnie głowy i, zaniechawszy ucieczki, czekali bezmyślnie, póki ich nie ogarną płomienie. Inni wpadli w obłęd, inni wyli z rozpaczy, ale widziałem i takich, którzy wyli z radości, albowiem, o panie, dużo jest na świecie złych ludzi, którzy nie umieją ocenić dobrodziejstw waszego łagodnego panowania i tych słusznych praw, na mocy których odbieracie wszystkim to, co mają, i przywłaszczacie sobie. Ludzie nie umieją się pogodzić z wolą bogów!

Winicyusz zbyt był zajęty własnemi myślami, by zauważyć ironię, drgającą w słowach Chilona. Dreszcz przerażenia chwytał go na samą myśl, że Ligia mogła się znaleźć wśród tego zamętu, na tych strasznych ulicach, na których rozdeptywano wnętrzności ludzkie. Więc, jakkolwiek mało dziesięć razy wypytywał już Chilona o wszystko, co ten mógł wiedzieć, zwrócił się do niego raz jeszcze:

— A ich widziałeś na Ostryanum własnemi oczyma?

— Widziałem, synu Wenery, widziałem dziewicę, dobrego Liga, świętego Linusa i Piotra Apostoła.

— Przed pożarem?

— Przed pożarem, Mitro!

Lecz w duszy Winicyusza zrodziła się wątpliwość, czy Chilon nie kłamie, więc, powstrzymawszy muła, spojrzał groźnie na starego Greka i spytał:

— Coś ty tam robił?

Chilon zmieszał się. Wprawdzie jak wielu ludziom, tak i jemu wydawało się, że razem z zagubą Rzymu nadchodzi kres i rzymskiego władztwa, ale tymczasem był sam na sam z Winicyuszem, przypomniał zaś sobie, że tenże zakazał mu pod straszliwą groźbą podpatrywać chrześcijan, a zwłaszcza Linusa i Ligię.

— Panie — rzekł — czemu mi nie wierzysz, że ich miłuję? Tak jest! byłem na Ostryanum, albowiem jestem nawpół chrześcijaninem. Pirrhon nauczył mnie cenić więcej cnotę od filozofii, więc coraz bardziej lgnę do ludzi cnotliwych. A przytem, o panie, jestem ubogim, i gdy ty, Jowiszu, bawiłeś w Ancyum, często przymierałem głodem nad księgami, więc siadałem przy murze Ostryanum, albowiem chrześcijanie, jakkolwiek sami ubodzy, więcej rozdają jałmużn, niż wszyscy inni, razem wzięci, mieszkańcy Rzymu.

Powód ten wydał się Winicyuszowi wystarczającym, więc zapytał mniej groźnie:

— I nie wiesz, gdzie na ten czas zamieszkał Linus?

— Ukarałeś mnie raz za ciekawość, panie, okrutnie — odpowiedział Grek.

Winicyusz umilkł i jechali dalej.

— Panie — rzekł po chwili Chilon — nie odnalazłbyś dziewicy, gdyby nie ja, ale jeśli ją odnajdziemy, nie zapomnisz o ubogim mędrcu?

— Dostaniesz dom z winnicą pod Ameryolą — odpowiedział Winicyusz.

— Dzięki ci, Herkulesie! Z winnicą?... Dzięki ci! O, tak! z winnicą!

Mijali teraz wzgórza Watykanu, które świeciły czerwono od pożaru, lecz za Naumachią skręcili w prawo, by po przebyciu pola Watykańskiego zbliżyć się do rzeki i, przeprawiwszy się przez nią, dotrzeć do Porta Flaminia. Nagle Chilon powstrzymał muła i rzekł:

— Panie! przyszła mi do głowy dobra myśl.

— Mów — odpowiedział Winicyusz.

— Między wzgórzem Janikulskiem a Watykanem, za ogrodami Agrypiny, są podziemia, z których wybierano kamienie i piasek pod budowę cyrku Nerona. Posłuchaj mnie, panie! W ostatnich czasach Żydzi, których, jak wiesz, mnóstwo jest na Zatybrzu, poczęli okrutnie prześladować chrześcijan. Pamiętasz, że już za boskiego Klaudyusza takie tam były rozruchy, iż Cezar zmuszony był wygnać ich z Rzymu. Dziś, gdy wrócili i gdy, dzięki opiece Augusty, czują się bezpieczni, tem zuchwalej pomiatają chrześcijanami. Ja to wiem! jam widział. Żaden edykt przeciw chrześcijanom nie został wydany, ale Żydzi oskarżają ich przed prefektem miasta, iż mordują dzieci, czczą osła i opowiadają naukę, nie uznaną przez senat, a sami biją ich i napadają na domy modlitwy tak zawzięcie, że chrześcijanie kryć się przed nimi muszą.

— Co więc chcesz powiedzieć? — spytał Winicyusz.

— To, panie, że synagogi istnieją otwarcie na Zatybrzu, ale chrześcijanie, chcąc uniknąć prześladowań, muszą się modlić w ukryciu i zbierają się w opustoszałych szopach za miastem lub w arenaryach. Ci, którzy mieszkają na Zatybrzu, wybrali sobie to właśnie, które powstało z przyczyny budowy cyrku i różnych domów wzdłuż Tybru. Teraz, gdy ginie miasto, niechybnie wyznawcy Chrystusa modlą się. Znajdziemy ich nieprzeliczone mnóstwo w podziemiach, dlatego radzę ci, panie, abyśmy tam wstąpili po drodze.

— Wszakżeś mówił, że Linus udał się do Ostryanum! — zawołał niecierpliwie Winicyusz.

— A ty mi przyrzekłeś dom z winnicą pod Ameryolą — odpowiedział Chilon — więc chcę szukać dziewicy wszędzie, gdzie mam nadzieję ją znaleźć. Po wybuchu pożaru mogli powrócić na Zatybrze... Mogli okrążyć miasto, tak jak my okrążamy je w tej chwili. Linus ma dom, może chciał być bliżej domu, by obaczyć, czy pożar nie ogarnie i tej dzielnicy. Jeśli wrócili, tedy przysięgam ci, panie, na Persefonę, że znajdziemy ich na modlitwie w podziemiu, a w najgorszym razie zasięgniemy o nich wiadomości.

— Masz słuszność, a zatem prowadź! — rzekł trybun.

Chilon bez namysłu skręcił na lewo, ku wzgórzu. Na chwilę zbocze owego wzgórza przesłoniło im pożar tak, że, jakkolwiek poblizkie wzniesienia były w świetle, oni sami znaleźli się w cieniu. Minąwszy cyrk, skręcili jeszcze na lewo

i weszli w rodzaj wąwozu, w którym było zupełnie ciemno. Ale w ciemnościach owych Winicyusz dojrzał roje migających latarek.

— Oto oni! — rzekł Chilon. — Będzie ich dziś więcej, niż kiedykolwiek, bo inne domy modlitwy spłonęły lub pełne są dymu, jak całe Zatybrze.

— Tak! słyszę śpiewy — rzekł Winicyusz.

Jakoż z ciemnego otworu w górze dochodziły śpiewające głosy ludzkie, latarki zaś ginęły w nim jedna za drugą. Lecz z bocznych wąwozów wysuwały się coraz nowe postacie, tak, że po niejakim czasie Winicyusz i Chilon znaleźli się wśród całej gromady ludzi.

Chilon zsunął się z muła i, skinąwszy na wyrostka, który szedł obok, rzekł mu:

— Jestem kapłanem Chrystusa i biskupem. Potrzymaj nam muły, a dostaniesz moje błogosławieństwo i odpuszczenie grzechów.

Potem, nie czekając odpowiedzi, wsunął mu w rękę cugle, sam zaś przyłączył się wraz z Winicyuszem do idącej gromady.

Po chwili weszli do podziemia i posuwali się przy mdłym blasku latarek ciemnym korytarzem, póki nie dotarli do obszernej jaskini, z której widocznie wybierano poprzednio kamień, albowiem ściany utworzone były z świeżych jego odłamów.

Było tam widniej, niż w korytarzu, gdyż prócz kaganków i latarek płonęły pochodnie. Przy ich świetle ujrzał Winicyusz cały tłum ludzi klęczących, z rękoma wyciągniętemi do góry. Ligii, Piotra Apostoła, ni Linusa nie mógł nigdzie dojrzeć, natomiast naokół otaczały go twarze uroczyste i wzruszone. W niektórych widoczne było oczekiwanie, trwoga, nadzieja. Blask odbijał się w białkach wzniesionych oczu, pot spływał po bladych, jak kreda, czołach; niektórzy śpiewali pieśni, inni powtarzali gorączkowo imię Jezus, niektórzy bili się w piersi. Po wszystkich znać było, iż lada chwila oczekują czegoś nadzwyczajnego.

Wtem pieśni umilkły i nad zgromadzeniem, we framudze, powstałej po wyjęciu ogromnego głazu, ukazał się znajomy Winicyuszowi Kryspus, z twarzą jakby nawpół przytomną, bladą, fanatyczną i surową. Oczy zwróciły się ku

niemu, jakby w oczekiwaniu słów pokrzepienia i nadziei, on zaś, przeżegnawszy zgromadzenie, począł mówić głosem śpiesznym i prawie do krzyku zbliżonym:

Żałujcie za grzechy wasze, albowiem chwila nadeszła. Oto na miasto zbrodni i rozpusty, oto na nowy Babilon Pan spuścił płomień niszczący. Wybiła godzina sądu, gniewu i klęski... Pan zapowiedział przyjście i wraz ujrzycie go! Ale nie przyjdzie już jako Baranek, który ofiarował krew za grzechy wasze, jeno jako sędzia straszliwy, który w sprawiedliwości swej pogrąży w otchłań grzesznych i niewiernych... Biada światu i biada grzesznym, albowiem nie będzie już dla nich miłosierdzia!... Widzę Cię, Chryste! Gwiazdy spadają deszczem na ziemię! słońce się zaćmiewa, ziemia otwiera się w przepaści i zmarli powstają, a Ty idziesz wśród dźwięku trąb i zastępów aniołów, wśród gromów i grzmotów. Widzę i słyszę cię, o Chryste!

Tu umilkł i, podniósłszy twarz, zdawał się wpatrywać w coś dalekiego i strasznego. A wtem w podziemiu ozwał się głuchy grzmot, jeden, drugi i dziesiąty. To w płonącem mieście całe ulice przepalonych domów jęły się walić z łoskotem. Lecz większość chrześcijan wzięła owe głosy za widomą oznakę, iż straszliwa godzina nastaje, albowiem wiara w rychłe powtórne przyjście Chrystusa i w koniec świata była i tak między nimi rozpowszechniona, teraz zaś wzmocnił ją jeszcze pożar miasta. To też trwoga Boża ogarnęła zgromadzenie. Liczne głosy poczęły powtarzać: „Dzień sądu!... Oto idzie!“ Niektórzy zakrywali dłońmi twarze, w przekonaniu, że wnet ziemia zatrzęsie się w posadach i z jej czeluści wyjdą bestye piekielne, by rzucić się na grzesznych. Inni wołali: „Chryste, zmiłuj się! Odkupicielu, bądź miłościw!...“ — inni wyznawali głośno grzechy, inni nakoniec rzucali się sobie w objęcia, by w przerażającej chwili mieć jakieś blizkie serca przy sobie.

Lecz byli i tacy, których twarze, jakby wniebowzięte, pełne nadziemskich uśmiechów, nie okazywały trwogi. W kilku miejscach rozległa się glossa: to ludzie w uniesieniu religijnem poczęli wykrzykiwać niezrozumiałe słowa w niezrozumiałych językach. Ktoś z ciemnego kąta pieczary zawołał: „Zbudź się, który śpisz!“ Nad wszystkiem górował krzyk Kryspa: „Czuwajcie! czuwajcie!“

Chwilami jednak zapadało milczenie, jak gdyby wszy-

scy zatrzymując dech w piersiach, czekali na to, co się stanie. A wówczas słychać było daleki grzmot zapadających się w gruzy dzielnic, po którym odzywały się znów jęki, modlitwy, glossy i wołania: „Odkupicielu, zmiłuj się!" Chwilami Kryspus zabierał głos i krzyczał: „Wyrzeczcie się dobra ziemskiego, albowiem wkrótce nie stanie wam ziemi pod nogami! wyrzeczcie się ziemskich miłości, albowiem Pan zatraci tych, którzy więcej, niż Jego, miłowali żony i dzieci. Biada temu, kto umiłował stworzenie więcej, niż Stworzyciela! biada możnym! biada zbytkownikom! biada rozpustnym! biada mężowi, niewieście i dziecku!..."

Nagle silniejszy od poprzednich huk wstrząsnął kamieniołomem. Wszyscy padli na ziemię, wyciągając ramiona w krzyż, aby kształtem tym bronić się od złych duchów. Nastała cisza, w której słychać tylko było przyśpieszone oddechy, pełne przerażenia szepty: „Jezus, Jezus, Jezus!" i gdzieniegdzie płacz dzieci. A wtem ponad tą leżącą czernią ludzką jakiś spokojny głos rzekł:

— Pokój z wami!

Był to głos Piotra Apostoła, który przed chwilą wszedł do pieczary. Na dźwięk jego słów strach przeszedł w jednej chwili, jak przechodzi strach trzody, między którą zjawił się pasterz. Ludzie popodnosili się z ziemi, bliżsi poczęli garnąć się do jego kolan, jakby szukając pod jego skrzydłami opieki, on zaś wyciągnął nad nimi ręce i mówił:

— Czemu trwożycie się w sercach? Kto z was odgadnie, co go może spotkać, zanim godzina nadejdzie? Pan pokarał ogniem Babilon, ale nad wami, których obmył chrzest i których grzechy odkupiła krew Baranka, będzie miłosierdzie Jego i pomrzecie z imieniem Jego na ustach waszych. Pokój z wami!

Po groźnych i niemiłosiernych słowach Kryspa słowa Piotrowe spadły, jak balsam, na obecnych. Zamiast trwogi Bożej, owładnęła dusze miłość Boża. Ludzie ci odnaleźli takiego Chrystusa, jakiego pokochali z opowiadań apostolskich, a zatem nie bezlitosnego sędziego, ale słodkiego i cierpliwego Baranka, którego miłosierdzie stokroć przewyższało złość ludzką. Uczucie ulgi ogarnęło całe zgromadzenie i otucha w połączeniu z wdzięcznością dla Apostoła przepełniła serca. Głosy z różnych stron poczęły wołać: „My owce twoje, paś

nas!“ Bliżsi zaś mówili: „Nie opuszczaj nas w dniu klęski!“ I klękali u jego kolan, co widząc Winicyusz, zbliżył się, chwycił kraj jego płaszcza i, pochyliwszy głowę, rzekł:

— Panie, poratuj mnie! Szukałem jej w dymie pożaru i w tłoku ludzkim, a nigdzie znaleźć nie mogłem, ale wierzę, że ty możesz mi ją wrócić.

Piotr zaś położył mu rękę na głowie.

— Ufaj — rzekł — i pójdź ze mną.

ROZDZIAŁ XLVI.

Miasto płonęło ciągle. Wielki cyrk zapadł w gruzy, potem zaś w dzielnicach, które pierwsze zaczęły płonąć, zapadały całe zaułki i ulice. Po każdym takim upadku, słupy płomienia wzbijały się przez chwilę aż pod niebo. Wiatr zmienił się i wiał teraz z niezmierną siłą od strony morza, niosąc na Caelius, na Esquilinus i na Viminalis fale ognia, głowni i węgli. Pomyślano już jednak o ratunku. Z rozkazu Tygellina, który trzeciego dnia nadbiegł z Ancyum, poczęto burzyć dumy na Eskwilinie, aby ogień trafiwszy na puste miejsca, zgasł sam przez się. Był to jednak czczy ratunek, przedsięwzięty dla ocalenia resztek miasta, albowiem o ocaleniu tego, co już płonęło, nie było co i myśleć. Należało przytem zapobiegać i dalszym następstwom klęski. Wraz z Rzymem ginęły niezmierne bogactwa, ginęło całe mienie jego mieszkańców, tak, że wokół murów koczowały teraz setki tysięcy samych nędzarzy. Drugiego już dnia głód począł dokwierać tej ciżbie ludzkiej, niezmierne bowiem zapasy żywności, nagromadzone w mieście, gorzały z niem razem, w powszechnym zaś zamęcie i rozprzężeniu urzędów, nikt dotąd nie pomyślał, aby sprowadzić nowe. Dopiero po przybyciu Tygellina, poszły do Ostyi odpowiednie rozkazy, ale tymczasem ludność poczęła przybierać coraz groźniejszą postawę.

Dom przy Aqua Appia, w którym tymczasowo zamieszkał Tygellinus, otaczały tłumy kobiet, krzycząc od rana do późnej nocy: „chleba i dachu!“ Próżno pretoryanie, sprowadzeni z wielkiego obozu, leżącego między via Salaria a Nomentana, usiłowali utrzymać jaki taki ład. Tu i owdzie stawiano im otwarcie zbrojny opór; gdzieindziej bezbronne gro-

mady, wskazując na palące się miasto, wołały: „mordujcie nas wobec tego ognia!“ Złorzeczono Cezarowi, augustyanom, pretoryańskim żołnierzom i wzburzenie rosło z każdą godziną tak, że Tygellinus spoglądając nocą na tysiące ognisk, rozłożonych naokół miasta, mówił sobie, że to są ogniska nieprzyjacielskich obozów. Z rozkazu jego sprowadzono prócz mąki jak największą ilość gotowych chlebów, które ściągnięto nietylko z Ostyi, ale ze wszystkich miast i wsi okolicznych, lecz gdy pierwsze przesyłki nadeszły nocą do Emporyum, lud odbił główną bramę od strony Awentynu i rozerwał w mgnieniu oka zapasy, powodując straszliwe zamieszanie. Przy blasku łuny walczono o bochenki, których mnóstwo wdeptano w ziemię. Mąka z porozrywanych worów pokryła jakby śniegiem całą przestrzeń, od śpichrzów aż do łuku Druzusa i Germanika, i rozruch trwał dopóty, dopóki żołnierze nie obsadzili wszystkich budynków i nie poczęli odpędzać tłumów za pomocą strzał i pocisków.

Nigdy od czasu najścia Gallów pod Brennusem, nie spotkała Rzymu podobna klęska. Porównywano też z rozpaczą oba te pożary. Ale wówczas ostał się przynajmniej Kapitol. Obecnie i Kapitol otoczony był straszliwym wieńcem ognia. Marmury nie paliły się wprawdzie płomieniem, ale nocami, gdy wiatr na chwilę rozchylał płomienie, widać było szeregi kolumn górnej świątyni Jowisza rozpalone i świecące różowo, nakształt żarzących się węgli. Wreszcie za czasów Brennusa, Rzym posiadał ludność karną, jednolitą, przywiązaną do miasta i ołtarzy, obecnie zaś naokół murów płonącego grodu, koczowały tłumy różnojęzyczne, złożone w większej części z niewolników i wyzwoleńców, rozhukane, niesforne i gotowe pod naciskiem nędzy zwrócić się przeciw władzy i miastu.

Lecz sam ogrom pożaru, napełniając serca przerażeniem, ubezwładniał do pewnego stopnia tłuszczę. Za klęską ognia mogła przyjść klęska głodu i chorób, albowiem nadomiar nieszczęścia, nastały straszne lipcowe upały. Powietrzem, rozpalonem od ognia i słońca, niepodobna było oddychać. Noc nietylko nie przynosiła ulgi, ale stawała się piekłem. W dzień odkrywał się przerażający i złowrogi widok. W środku olbrzymie miasto na wzgórzach, zmienione w huczący wulkan, naokół zaś, aż do gór Albańskich, jedno nieprzejrzane koczo-

wisko, złożone z bud, namiotów, szałasów, wozów, taczek, noszy, kramów, ognisk, przesłonięte dymem, kurzawą, oświecone rudymi promieniami słońca, przechodzącego przez pożogę, pełne gwaru, krzyków, gróźb, nienawiści i strachu, potworny wyraz mężczyzn, kobiet i dzieci. Wśród Kwirytów Grecy, kudłate jednookie ludy Północy, Afrowie i Azyaci; wśród obywateli niewolnicy, wyzwoleńcy, gladyatorowie, kupcy, rzemieślnicy, chłopi i żołnierze, prawdziwe morze ludzkie, oblewające wyspę ognia.

Rozmaite wieści poruszały tem morzem, jak wiatr prawdziwą falą. Były pomyślne i niepomyślne. Opowiadano o niezmiernych zapasach zboża i odzieży, które miały nadejść do Emporyum i być rozdawane darmo. Mówiono również, że z rozkazu Cezara, prowincye w Azyi i Afryce zostaną złupione ze wszystkich bogactw, skarb zaś, zebrany tym sposobem, będzie rozdzielony między mieszkańców Rzymu, tak, aby każdy mógł sobie wybudować dom własny. Lecz jednocześnie puszczano i takie nowiny, że wody zostały w wodociągach zatrute i że Neron chce zniszczyć miasto i wygubić co do nogi mieszkańców, aby przenieść się do Grecyi lub Egiptu i stamtąd władać światem. Każda wieść rozbiegała się z szybkością błyskawicy i każda znajdowała wiarę wśród tłuszczy, powodując wybuchy albo nadziei, gniewu, strachu lub wściekłości. Wreszcie jakaś gorączka opanowała te tysiące koczowników. Wiara chrześcijan, iż koniec świata przez ogień jest blizki, szerzyła się i między wyznawcami bogów, z każdym dniem coraz bardziej. Ludzie wpadali w odrętwienie lub szaleństwo. Wśród obłoków, oświeconych przez łunę, widziano bogów, przypatrujących się zagubie ziemi, i wyciągano do nich ręce o litość lub przeklinano ich.

Tymczasem żołnierze, wspomagani przez pewną liczbę mieszkańców, burzyli wciąż domy na Eskwilinie, na Caelius, a także i na Zatybrzu, które wskutek tego w znacznej części ocalało. Lecz w samem mieście płonęły nieprzebrane skarby, nagromadzone przez wieki zwycięstw, bezcenne dzieła sztuki, wspaniałe świątynie i najdroższe pamiątki rzymskiej przeszłości i rzymskiej sławy. Przewidywano, że z całego miasta ocaleje zaledwie kilka położonych na krańcach dzielnic i że setki tysięcy ludzi pozostanie bez dachu. Inni rozszerzali jednakże wieść, że żołnierze burzą domy nie dla za-

tamowania ognia, ale dlatego, aby nic nie zostało z miasta. Tygellin błagał w każdym liście, by Cezar przyjechał i obecnością swą uspokoił zrozpaczony lud. Lecz Neron ruszył się dopiero wówczas, gdy płomienie ogarnęły „domus transitoria", i śpieszył się, aby nie stracić chwili, w której pożoga doszła do najwyższej potęgi.

ROZDZIAŁ XLVII.

Ogień tymczasem dosięgnął do via Nomentana, a od niej wraz ze zmianą wiatru, zwrócił się ku via Lata i ku Tybrowi, okrążył Kapitol, rozlał się po Forum Boarium i niszcząc wszystko, co w pierwszym pędzie pominął, zbliżył się znów do Palatynu. Tygellinus, zebrawszy wszystkie siły pretoryanów, słał gońca za gońcem do zbliżającego się Cezara z oznajmieniem, że nic nie straci ze wspaniałości widowiska, albowiem pożoga wzmogła się jeszcze. Lecz Neron chciał przybyć w nocy, aby tem lepiej nasycać się obrazem ginącego miasta. W tym celu zatrzymał się w okolicach Aqua Albana i wezwawszy do namiotu tragika Aliturusa, układał z pomocą jego postawę, twarz, wejrzenie i uczył się odpowiednich ruchów, spierając się z nim zawzięcie, czy przy słowach: „o święty grodzie, któryś się wydawał trwalszym od Idy", ma podnieść do góry obie ręce, czy też, trzymając w jednej formingę, opuścić ją wzdłuż ciała, a podnieść tylko drugą. I pytanie to wydawało mu się w tej chwili ważniejszem od wszystkich innych. Wyruszywszy wreszcie o zmierzchu, zasięgał jeszcze rady Petroniusza, czyby w wierszu poświęconym klęsce, nie umieścić kilku wspaniałych bluźnierstw przeciw bogom i czyby takowe, biorąc ze stanowiska sztuki, nie musiały same przez się wyrwać z ust w podobnem położeniu człowiekowi, tracącemu ojczyznę.

Koło północy zbliżył się wreszcie do murów, wraz ze swym potężnym dworem, złożonym z całych zastępów dworzan, senatorów, rycerzy, wyzwoleńców, niewolników, kobiet i dzieci. Szesnaście tysięcy pretoryanów, ustawionych w szyku bojowym po drodze, czuwało nad spokojem i bezpieczeństwem jego wjazdu, utrzymując zarazem w odpowiedniej odległości wzburzony lud. Lud przeklinał wprawdzie, krzyczał i gwi-

zdał na widok orszaku, ale nie śmiał na niego uderzyć. W wielu miejscach ozwały się jednak i oklaski, dawane przez hałastrę, która, nie posiadając nic, nic też nie utraciła w pożarze, a spodziewała się hojniejszego, niż zwykle, rozdawnictwa zboża, oliwy, odzieży i pieniędzy. Wreszcie zarówno okrzyki i gwizdania, jak i oklaski, zgłuszył odgłos trąb i rogów, w które kazał dąć Tygellin. Neron po przebyciu bramy Ostyjskiej, zatrzymał się na chwilę i rzekł: „bezdomny władca bezdomnego ludu, gdzież złożę na noc nieszczęsną swą głowę!“, poczem przeszedłszy clivus Dalphini, wstąpił po przygotowanych dla siebie schodach na wodociąg Appijski, a za nim augustyanie i chór śpiewaków, niosących cytry, lutnie i inne narzędzia muzyczne.

I wszyscy zatrzymali dech w piersiach, czekając, czy nie wypowie jakich wielkich słów, które dla własnego bezpieczeństwa należało zapamiętać. Lecz on stał uroczysty, niemy, przybrany w purpurowy płaszcz i wieniec ze złotych laurów, wpatrując się w rozszalałą potęgę płomieni. Gdy Terpnos podał mu złotą lutnię, wzniósł oczy ku oblanemu łuną niebu, jakby czekając natchnienia.

Lud wskazywał go zdala rękoma, oblanego krwawym blaskiem. W oddali syczały węże płomieni i płonęły odwieczne, najświętsze zabytki: płonęła świątynia Herkulesa, którą wzniósł Ewander, i świątynia Jowisza Statora, i świątynia Luny, zbudowana jeszcze przez Serwiusza Tuliusza, i dom Numy Pompiliusza, i przybytek Westy z penatami ludu rzymskiego, w grzywach płomieni ukazywał się czasem Kapitol, płonęła przeszłość i dusza Rzymu, on zaś, Cezar, stał z lutnią w ręku, z twarzą tragicznego aktora i z myślą nie o ginącej ojczyźnie, ale o postawie i patetycznych słowach, któremiby najlepiej wielkość klęski mógł oddać, obudzić największy podziw i najgorętsze zyskać oklaski.

Nienawidził tego miasta, nienawidził jego mieszkańców, kochał tylko swe pieśni i wiersze, więc radował się w sercu, że wreszcie ujrzał tragedyę, podobną do tej, którą opisywał. Wierszorób czuł się szczęśliwy, deklamator czuł się natchniony, poszukiwacz wzruszeń poił się straszliwem widowiskiem i z rozkoszą myślał, że nawet zagłada Troi niczem była w porównaniu z zagładą tego olbrzymiego grodu. Czegóż mógł jeszcze żądać? Oto Rzym, Rzym światowładny, płonie, a on

stoi na łukach wodociągu, ze złotą lutnią w ręku, widny, purpurowy, podziwiany, wspaniały i poetyczny. Gdzieś tam, poniżej, w mroku, szemrze i burzy się lud! Ale niech szemrze. Wieki upłyną, tysiące lat przejdą, a ludzie będą pamiętali i sławili tego poetę, który w taką noc śpiewał upadek i pożar Troi. Czemże wobec niego Homer? czem sam Apollo ze swoją drążoną formingą?

Tu podniósł ręce i uderzywszy w struny, ozwał się słowy Pryama:

— O gniazdo ojców moich, o kolebko droga!...

Głos jego na otwartem powietrzu, przy huku pożaru i przy dalekim gwarze tysiącznych tłumów, wydawał się dziwnie nikły, drżący i słaby, a dźwięk wtóru brzmiał, jak brzęczenie muchy. Lecz senatorowie, urzędnicy i augustyanie, zebrani na wodociągu, pochylili głowy, słuchając w milczącym zachwycie. On zaś śpiewał długo i nastrajał się coraz żałośniej. W chwilach, gdy przestawał dla nabrania tchu, chór śpiewaków powtarzał ostatnie wiersze, poczem znów Neron zrzucał wyuczonym od Aliturusa ruchem z ramienia tragiczną „syrmę“, uderzał w struny i śpiewał dalej. Skończywszy wreszcie ułożoną poprzednio pieśń, począł improwizować, szukając wielkich porównań w widoku, który się przed nim roztaczał. I twarz poczęła mu się mienić. Nie wzruszyła go wprawdzie zagłada ojczystego miasta, ale upoił się i wzruszył patosem własnych słów do tego stopnia, że nagle upuścił z brzękiem lutnię pod stopy i owinąwszy się w „syrmę“, pozostał jak skamieniały, podobny do jednego z tych posągów Niobidów, które zdobiły dziedziniec Palatynu.

Po krótkiej chwili milczenia, zawrzała burza oklasków. Lecz z oddali odpowiedziało mu wycie tłumów. Teraz nikt już nie wątpił, że to Cezar rozkazał spalić to miasto, by sobie wyprawić widowisko i śpiewać przy niem pieśni. Neron, usłyszawszy ów krzyk setek tysięcy głosów, zwrócił się do augustyanów ze smutnym, pełnym rezygnacyi uśmiechem człowieka, którego krzywdzą, i rzekł:

— Oto, jak Kwiryci umieją cenić mnie i poezyę.

— Łotry! — odpowiedział Watyniusz — każ, panie, uderzyć na nich pretoryanom.

Neron zwrócił się do Tygellina:

— Czy mogę liczyć na wierność żołnierzy?

— Tak, boski! — odpowiedział prefekt.

Lecz Petroniusz wzruszył ramionami.

— Na ich wierność, lecz nie na ich liczbę — rzekł. — Zostań tymczasem tu, gdzie jesteś, bo tu najbezpieczniej, a ten lud trzeba uspokoić.

Tegoż zdania był i Seneka, i konsul Licyniusz. Tymczasem w dole wzburzenie rosło. Lud zbroił się w kamienie, w drągi od namiotów, w deski z wozów i taczek i w rozmaite żelaziwo. Po niejakim czasie kilku z przywódców kohort przyszło z oznajmieniem, że pretoryanie, napierani przez tłumy, zachowują z największem wysileniem linię bojową i nie mając rozkazu uderzenia, nie wiedzą, co czynić.

— Bogowie! — rzekł Neron — co za noc! Z jednej strony pożar, z drugiej rozhukane morze ludu.

I począł szukać dalej wyrażeń, któreby najwspanialej mogły określić niebezpieczeństwo chwili, lecz widząc naokół twarze blade i niespokojne spojrzenia, zląkł się także.

— Dajcie mi ciemny płaszcz z kapturem! — zawołał — czyby naprawdę miało przyjść do bitwy?

— Panie — odpowiedział niepewnym głosem Tygellin — ja zrobiłem wszystko, co mogłem, ale niebezpieczeństwo jest groźne... Przemów, panie, do ludu i poczyń mu obietnice.

— Cezar miałby przemawiać do tłuszczy? Niech to uczyni inny w mojem imieniu. Kto się tego podejmie?

— Ja! — odrzekł spokojnie Petroniusz.

— Idź, przyjacielu! tyś mi najwierniejszy w każdej potrzebie... Idź i nie szczędź obietnic.

Petroniusz zwrócił się do orszaku z twarzą niedbałą i szyderczą.

— Senatorowie tu obecni — rzekł — a prócz nich Pizo, Nerwa i Senecyo pojadą za mną.

Poczem zszedł zwolna z wodociągu, owi zaś, których wezwał, szli za nim, nie bez wahania, ale z pewną otuchą, którą napełniał ich jego spokój. Petroniusz, stanąwszy u stóp arkad, kazał sobie podać białego konia i siadłszy na niego, pojechał na czele towarzyszy przez głębokie szeregi pretoryańskie, ku czarnej, wyjącej tłuszczy, bezbronny, mając w ręku cienką laskę z kości słoniowej, którą się zwykle podpierał.

I przyjechawszy tuż, wparł konia w tłumy. Naokół, przy świetle pożogi, widać było wzniesione ręce, zbrojne we wszelakiego rodzaju broń, rozpalone oczy, spotniałe twarze i ryczące, zapienione wargi. Rozszalała fala wnet otoczyła jego i orszak, za nią widać było istotnie jakby morze głów, ruchome, kotłujące się, straszne.

Wrzaski wzmogły się jeszcze i zmieniły się w nieludzki ryk; drągi, widły, a nawet i miecze chwiały się nad głową Petroniusza, drapieżne ręce wyciągały się ku cuglom jego konia i ku niemu, lecz on wjeżdżał coraz głębiej, zimny, obojętny, pogardliwy. Chwilami uderzał laską po głowach najzuchwalszych, tak jakby torował sobie drogę w zwykłym ścisku, i ta jego pewność, ten spokój zdumiewały jednakże rozhukaną tłuszczę. Poznano go wreszcie i liczne głosy poczęły wołać:

— Petroniusz! *Arbiter elegantiarum!* Petroniusz!...

— Petroniusz! — zabrzmiało ze wszystkich stron.

I w miarę, jak powtarzano to imię, twarze naokół stawały się mniej groźne, a wrzaski mniej wściekłe, albowiem ów wykwintny patrycyusz, jakkolwiek nigdy nie zabiegał o łaski u ludu, był jednak jego ulubieńcem. Uchodził za człowieka ludzkiego i hojnego, a popularność jego wzrosła zwłaszcza od czasu sprawy Pedaniusza Sekunda, w której przemawiał za złagodzeniem okrutnego wyroku, skazującego na śmierć wszystkich niewolników prefekta. Szczególniej tłumy niewolników kochały go odtąd taką niepohamowaną miłością, jaką ludzie pognębieni i nieszczęśni zwykli miłować tych, którzy okazują im choć trochę współczucia. Prócz tego w chwili obecnej dołączyła się i ciekawość, co powie wysłannik Cezara, nikt bowiem nie wątpił, że Cezar wysłał go umyślnie.

On zaś, zdjąwszy z siebie swą białą, obramowaną szkarłatnym szlakiem togę, podniósł ją w górę i począł nią wywijać nad głową, na znak, że chce przemówić.

— Milczeć! milczeć! — wołano ze wszystkich stron.

Po chwili uciszyło się istotnie. Wówczas wyprostował się na koniu i począł mówić donośnym, spokojnym głosem:

— Obywatele! niech ci, którzy mnie usłyszą, powtórzą słowa moje tym, którzy stoją dalej, wszyscy zaś niechaj się zachowają jak ludzie, nie jak zwierzęta w arenach.

— Słuchamy! słuchamy!...

— Zatem słuchajcie. Miasto zostanie odbudowane. Ogrody Lukulla, Mecenasa, Cezara i Agrypiny będą dla was otwarte! Od jutra rozpocznie się rozdawnictwo zboża, wina i oliwy, tak aby każdy mógł napełnić brzuch aż do gardła! Potem Cezar wyprawi wam igrzyska, jakich świat nie widział dotąd, przy których czekają was uczty i dary. Bogatsi będziecie po pożarze, niż przed pożarem!

Odpowiedział mu pomruk, który rozchodził się tak od środka na wszystkie strony, jak rozchodzą się fale na wodzie, w którą wrzucił ktoś kamień: to bliżsi powtarzali dalszym jego słowa. Potem tu i owdzie ozwały się okrzyki, gniewne lub potakujące, które zmieniły się wreszcie w jeden powszechny olbrzymi wrzask:

— *Panem et circenses*!!!...

Petroniusz owinął się w togę i przez czas jakiś słuchał nieruchomy, podobny w swej białej odzieży do marmurowego posągu. Wrzask wzrastał, głuszył odgłosy pożaru, odzywał się ze wszystkich stron i z coraz większych głębin, lecz wysłannik widocznie miał jeszcze coś do powiedzenia, albowiem czekał.

I wreszcie, nakazawszy znów wzniesioną ręką milczenie, zawołał:

— Obiecuję wam *panem et circenses*, a teraz wydajcie okrzyk na cześć Cezara, który was karmi, odziewa, poczem idź spać hołoto, albowiem niedługo świtać zacznie.

To rzekłszy, zwrócił konia i uderzając z lekka laską po głowach i twarzach tych, którzy mu stali na drodze, odjechał zwolna do pretoryańskich szeregów.

Po chwili był pod wodociągiem. Na górze zastał niemal popłoch. Nie zrozumiano tam okrzyku: *panem et circenses*, i sądzono, że to jest nowy wybuch wściekłości. Nie spodziewano się nawet, by Petroniusz mógł się uratować, to też Neron, ujrzawszy go, przybiegł aż do schodów i z twarzą, pobladłą ze wzruszenia, począł pytać:

— I cóż? co się tam dzieje? Czy już bitwa?

Petroniusz nabrał powietrza w płuca, odetchnął głęboko i odrzekł:

— Na Polluxa! pocą się i cuchną! Niech mi kto poda „epilimmę", bo zemdleję.

Poczem zwrócił się do Cezara.

— Obiecałem im — rzekł — zboże, oliwę, otwarcie ogrodów i igrzyska. Ubóstwiają cię znowu i wrzeszczą spierzchłemi wargami na twoją cześć. Bogowie, jaki ten plebs ma nieprzyjemny zapach!

— Pretoryanów miałem gotowych — zawołał Tygellin — i gdybyś ich nie uspokoił, krzykacze umilkliby na wieki. Szkoda, Cezarze, iż mi nie pozwoliłeś użyć siły.

Petroniusz popatrzył na mówiącego, wzruszył ramionami i rzekł:

— To jeszcze nie stracone. Może będziesz jej musiał użyć jutro.

— Nie, nie! — rzekł Cezar. — Każę im otworzyć ogrody i rozdawać zboże. Dzięki ci, Petroniuszu! Igrzyska wyprawię, a tę pieśń, którą wam śpiewałem dzisiaj, odśpiewam publicznie.

To rzekłszy, położył rękę na ramieniu Petroniusza, chwilę milczał, a nakoniec, ochłonąwszy, zapytał:

— Powiedz szczerze: jak ci się wydałem, gdym śpiewał?

— Byłeś godnym widoku, jak widok był godnym ciebie — odpowiedział Petroniusz.

Poczem zwrócił się do pożaru.

— Ale przypatrzmy się jeszcze — rzekł — i pożegnajmy się ze starym Rzymem.

ROZDZIAŁ XLVIII.

Słowa Apostoła wlały ufność w dusze chrześcijan. Koniec świata wydawał im się zawsze blizkim, poczęli jednak wierzyć, że straszliwy sąd nie nastąpi natychmiast i że przedtem jeszcze zobaczą może koniec panowania Nerona, które uważali za panowanie Antychrysta i karę Boską za wołające o pomstę jego zbrodnie. Pokrzepieni więc w sercach, poczęli rozchodzić się po ukończeniu modłów z podziemia i wracać do swoich tymczasowych schronisk, a nawet i na Zatybrze, gdyż przyszły wieści, że ogień, podłożony w kilkunastu miejscach, zwrócił się wraz ze zmianą wiatru znów ku rzece i strawiwszy tu i owdzie, co mógł strawić, przestał się szerzyć.

Apostoł w towarzystwie Winicyusza i idącego za nimi Chilona, opuścił również podziemie. Młody trybun nie śmiał

przerywać mu modlitwy, więc czas jakiś szedł w milczeniu, oczyma tylko błagając litości i drżąc z niepokoju. Lecz wiele osób przychodziło jeszcze całować ręce i kraj odzieży Apostoła, matki wyciągały ku niemu dzieci, inni klękali w ciemnem, długiem przejściu i podnosząc w górę kaganki, prosili o błogosławieństwo, inni wreszcie, idąc wpobok, śpiewali, tak, że nie było chwili sposobnej, ni na zapytanie, ni na odpowiedź. Tak było i w wąwozie. Dopiero gdy wyszli na wolniejszą przestrzeń, z której widać już było płonące miasto, Apostoł, przeżegnawszy je trzykrotnie, zwrócił się do Winicyusza i rzekł:

— Nie trwoż się. Blizko stąd jest chata fossora, w której znajdziemy Ligię z Linusem i z wiernym jej sługą. Chrystus, który ci ją przeznaczył, zachował ją dla ciebie.

A Winicyusz zachwiał się i wsparł ręką o skałę. Droga z Ancyum, wypadki pod murami, poszukiwanie Ligii wśród gorących dymów, bezsenność i straszny niepokój o nią wyczerpały jego siły, a reszty ich pozbawiła go wiadomość, że ta najdroższa w świecie głowa jest blizko i że za chwilę ją ujrzy. Ogarnęło go nagle osłabienie tak wielkie, że osunął się do nóg Apostoła i objąwszy jego kolana, pozostał tak, nie mogąc słowa przemówić.

Apostoł zaś, broniąc się od podzięki i czci, rzekł:

— Nie mnie, nie mnie, lecz Chrystusowi!

— Co za walne bóstwo!! — ozwał się z tyłu głos Chilona. — Ale nie wiem, co mam czynić z mułami, które tu czekają opodal.

— Wstań i pójdź ze mną — rzekł Piotr, biorąc za rękę młodego człowieka.

Winicyusz wstał. Przy świetle łuny widać było łzy, ściekające mu po pobladłej ze wzruszenia twarzy. Usta trzęsły mu się, jakby się modlił.

— Pójdźmy — rzekł.

Lecz Chilon znów powtórzył:

— Panie, co mam robić z mułami, które czekają? Możeby ten godny prorok wolał jechać, niż iść.

Winicyusz sam nie wiedział, co odpowiedzieć, lecz usłyszawszy od Piotra, że chata kopacza leży tuż, odrzekł:

— Odprowadź muły do Makryna.

— Wybacz, panie, że ci przypomnę dom w Ameryoli.

Wobec tego okropnego pożaru, łatwo zapomnieć o rzeczy tak drobnej.

— Dostaniesz go.

— O! wnuku Numy Pompiliusza, byłem zawsze pewny, ale teraz, gdy obietnicę usłyszał i ten wielkoduszny Apostoł, nie przypominam ci nawet tego, że przyrzekłeś mi i winnicę. *Pax vobiscum*. Ja cię odnajdę, panie. *Pax vobiscum*.

Oni zaś odpowiedzieli:

— I z tobą.

Poczem zawrócili obaj na prawo ku wzgórzom. Po drodze Winicyusz rzekł:

— Panie! obmyj mnie wodą chrztu, abym mógł się nazwać prawdziwym wyznawcą Chrystusa, gdyż miłuję Go ze wszystkich sił duszy mojej. Obmyj mnie prędko, bom w sercu już gotów. I co mi przykaże, to uczynię, ale ty mi powiedz, cobym mógł nadto uczynić.

— Miłuj ludzi jak braci swoich — odpowiedział Apostoł — bo tylko miłością możesz Mu służyć.

— Tak! Ja to już rozumiem i czuję. Dzieckiem będąc, wierzyłem w bogów rzymskich, alem ich nie kochał, a tego Jedynego kocham tak, że oddałbym za Niego z radością życie.

I począł patrzeć w niebo, powtarzając z uniesieniem:

— Bo On jeden jest! bo On jeden dobry i miłosierny! więc niechby nietylko ginęło to miasto, ale świat cały, Jemu jednemu będę świadczył i Jego wyznawał!

— A On będzie błogosławił tobie i twemu domowi — zakończył Apostoł.

Tymczasem skręcili w inny wąwóz, na którego końcu widać było mdłe światełko. Piotr ukazał na nie ręką i rzekł:

— Oto chata kopacza, który dał nam schronienie, gdy wróciwszy z chorym Linusem z Ostryanum, nie mogliśmy się przedostać na Zatybrze.

Po chwili doszli. Chata była raczej jaskinią, wydrążoną w załomie góry, którą od zewnątrz zamknięto ścianą, ulepioną z gliny i trzcin. Drzwi były zamknięte, ale przez otwór, który zastępował okno, widać było oświecone ogniskiem wnętrze.

Jakaś ciemna, olbrzymia postać podniosła się na spotkanie przybyłych i poczęła pytać:

— Kto jesteście?

— Słudzy Chrystusa — odrzekł Piotr. — Pokój z tobą, Urzusie.

Urzus pochylił się do nóg Apostoła, poczem, poznawszy Winicyusza, chwycił w kostce jego rękę i podniósł ją do ust.

— I ty, panie? — rzekł. — Błogosławione niech będzie imię Baranka za radość, jaką sprawisz Kallinie.

To rzekłszy, otworzył drzwi i weszli. Chory Linus leżał na pęku słomy z twarzą wychudłą i żółtem, jak kość słoniowa, czołem. Obok ogniska siedziała Ligia, trzymając w ręku pęczek małych ryb, nanizanych na sznurek i przeznaczonych widocznie na wieczerzę.

Zajęta zdejmowaniem ryb ze sznurka i w przekonaniu, że to wchodzi Urzus, nie podniosła wcale oczu. Lecz Winicyusz zbliżył się i wymówiwszy jej imię, wyciągnął ku niej ręce. Wówczas podniosła się szybko: błyskawica zdumienia i radości przemknęła po jej twarzy i bez słowa, jak dziecko, które po dniach trwogi i klęski odzyskuje ojca lub matkę, rzuciła się w jego otwarte ramiona.

On zaś objął ją i czas jakiś przyciskał do piersi, również z takiem uniesieniem, jakby cudownie uratowaną. Więc następnie rozplotłszy ramiona, wziął w ręce jej skronie, całował czoło, oczy i znów ją obejmował, powtarzał jej imię, potem schylał się do jej kolan i do dłoni, witał ją, wielbił, czcił. Radość jego nie miała wprost granic, jak jego miłość i szczęście.

Wreszcie począł jej opowiadać, jak przyleciał z Ancyum, jak szukał jej pod murami i wśród dymów, w domu Linusa, ile się namartwił i natrwożył i ile wycierpiał, zanim Apostoł wskazał mu jej schronienie.

— Lecz teraz — mówił — gdym cię odnalazł, ja cię tu nie zostawię wobec tego ognia i rozszalałych tłumów. Ludzie tu mordują się pod murami, burzą się i łupią niewolnicy, Bóg jeden wie, jakie jeszcze klęski mogą spaść na Rzym. Ale ja ocalę ciebie i was wszystkich. O droga moja!... Czy chcecie jechać ze mną do Ancyum? Tam siądziemy na statek i popłyniemy do Sycylii. Ziemie moje, to wasze ziemie, domy moje, to wasze domy. Słuchaj mnie! W Sycylii odnajdziem Aulusów, wrócę cię Pomponii i wezmę cię potem z jej rąk. Wszak ty, o carissima, nie lękasz się już mnie więcej.

Chrzest jeszcze mnie nie obmył, ale oto zapytaj Piotra, czym mu przed chwilą, idąc do ciebie, nie rzekł, że chcę być prawdziwym wyznawcą Chrystusa i czym go nie prosił, by mnie ochrzcił, choćby w tej chacie fossora. Zaufaj mi i zaufajcie mi wszyscy.

Ligia słuchała z rozjaśnioną twarzą tych słów. Wszyscy tu, przedtem z powodu prześladowań ze strony Żydów, a obecnie z powodu pożaru i zamętu, wywołanego przez klęskę, żyli istotnie w ciągłej niepewności i trwodze. Wyjazd do spokojnej Sycylii położyłby koniec wszystkim niepokojom, a zarazem otworzył nową epokę szczęścia w ich życiu. Gdyby Winicyusz chciał przytem zabrać tylko samą Ligię, zapewne oparłaby się pokusie, nie chcąc porzucać Piotra Apostoła i Linusa, ale Winicyusz mówił przecie im: „Jedźcie ze mną! ziemie moje, to wasze ziemie, domy moje, to wasze domy!"

Więc, pochyliwszy się do jego ręki, by ją ucałować na znak posłuszeństwa, rzekła.

— Twoje ognisko, mojem.

Poczem, zawstydzona, że wymówiła słowa, które wedle rzymskiego zwyczaju powtarzały tylko oblubienice przy ślubie, oblała się rumieńcem i stała w blasku ognia, ze spuszczoną głową, niepewna, czy jej nie wezmą ich za złe.

Lecz we wzroku Winicyusza malowało się tylko bezgraniczne uwielbienie. Zwrócił się następnie do Piotra i począł znów mówić:

— Rzym płonie z rozkazu Cezara. Już w Ancyum skarżył się, że nie widział nigdy wielkiej pożogi. Ale jeśli nie cofnął się przez taką zbrodnią, pomyślcie, co się jeszcze stać może. Kto wie, czy ściągnąwszy wojska, nie każe wymordować mieszkańców. Kto wie, jakie nastąpią proskrypcye, kto wie, czy po klęsce pożaru nie nastąpi klęska wojny domowej, mordów i głodu? Chrońcie się więc i chrońmy Ligię. Tam przeczekacie burzę w spokoju, a gdy przeminie, wrócicie znowu siać ziarno wasze.

Na zewnątrz, od strony ager Vaticanus, jakby na potwierdzenie obaw Winicyusza, ozwały się jakieś odległe krzyki, pełne wściekłości i przerażenia. W tej chwili nadszedł także kamieniarz, właściciel chaty i zamknąwszy pośpiesznie drzwi, zawołał:

— Ludzie mordują się koło cyrku Nerona. Niewolnicy i gladyatorowie uderzyli na obywateli.

— Słyszycie? — rzekł Winicyusz.

— Dopełnia się miara — rzekł Apostoł — i klęski będą, jak morze nieprzebrane.

Poczem zwrócił się do Winicyusza i wskazując na Ligię, rzekł:

— Weź tę dzieweczkę, którą ci Bóg przeznaczył, i ocal ją, a Linus, który jest chory i Urzus niechaj odjadą z wami.

Lecz Winicyusz, który pokochał Apostoła całą siłą swej niepohamowanej duszy, zawołał:

— Przysięgam ci, nauczycielu, iż cię tu nie zostawię na zgubę.

— I pobłogosławi cię Pan za twoją chęć — odrzekł Apostoł — ale zali nie słyszałeś, że Chrystus trzykroć powtórzył mi nad jeziorem: „Paś baranki moje!“

Winicyusz umilkł.

— Więc jeśli ty, któremu nikt nie powierzył pieczy nade mną, mówisz, że mnie tu nie zostawisz na zgubę, jakże chcesz, abym ja odbieżał trzody mojej w dniu klęski? Gdy była burza na jeziorze i gdyśmy się trwożyli w sercach, On nie opuścił nas, jakoż więc ja, sługa, nie mam iść za przykładem Pana mojego?

Wtem Linus podniósł swą wychudłą twarz i zapytał:

— A jakoż ja, namiestniku Pański, nie mam iść za przykładem twoim?

Winicyusz począł wodzić ręką po głowie, jakby walczył ze sobą lub bił się z myślami, poczem chwyciwszy Ligię za rękę, rzekł głosem, w którym drgała energia rzymskiego żołnierza:

— Słuchajcie mnie, Piotrze, Linusie i ty, Ligio! Mówiłem, co mi nakazał mój ludzki rozum, ale wy macie inny, który nie własnego bezpieczeństwa patrzy, jeno przykazań Zbawiciela. Tak! jam tego nie zrozumiał i zbłądziłem, bo z oczu moich nie zdjęte jeszcze bielmo i dawna natura odzywa się we mnie. Ale że miłuję Chrystusa i chcę być Jego sługą, przeto, choć mi tu o coś więcej, niż o własną głowę chodzi, klękam oto przed wami i przysięgam, że i ja spełnię przykazanie miłości i nie opuszczę braci moich w dniu klęski.

To rzekłszy, klęknął i nagle ogarnęło go uniesienie: oczy i ręce wzniósł w górę i począł wołać:

— Zali rozumiem Cię już, o Chryste? zalim Cię godzien?

Ręce drżały mu, oczy rozbłysły łzami, ciałem wstrząsał dreszcz wiary i miłości, Piotr zaś Apostoł wziął glinianą amforę z wodą i zbliżywszy się do niego, rzekł uroczyście:

— Oto cię chrzczę, w imię Ojca i Syna i Ducha, amen!

Wówczas uniesienie religijne ogarnęło wszystkich obecnych. Zdało im się, że izba napełnia się jakiemś światłem nadziemskiem, że słyszą jakąś nadziemską muzykę, że skała jaskini otwiera się nad ich głowami, że z nieba spływają roje aniołów, a hen, w górze, widać krzyż i przebite ręce błogosławiące.

Tymczasem zewnątrz rozlegały się krzyki walczących ludzi i huk płomieni gorzejącego miasta.

ROZDZIAŁ XLIX.

Obozowiska ludzkie rozłożyły się we wspaniałych ogrodach Cezara, dawnych Domicyi i Agrypiny, na polu Marsowem, w ogrodach Pompejusza, Sallustyusza i Mecenasa. Pozajmowano portyki, budynki przeznaczone na grę w piłki, rozkoszne domy letnie i szopy, zbudowane dla zwierząt. Pawie, flamingi, łabędzie i strusie, gazelle i antylopy z Afryki, jelenie i sarny, służące za ozdobę ogrodów, poszły pod nóż tłuszczy. Żywność poczęto sprowadzać z Ostyi tak obficie, że po tratwach i różnorodnych statkach można było przechodzić z jednej strony Tybru na drugą, jak po moście. Rozdawano zboże po niesłychanie nizkiej cenie trzech sestercyi, a uboższym całkiem darmo. Ściągnięto niezmierne zapasy wina, oliwy i kasztanów; z gór przypędzano codziennie stada wołów i owiec. Nędzarze, kryjący się przed pożarem w zaułkach Subury i przymierający w zwykłych czasach głodem, żyli obecnie lepiej, niż poprzednio. Groźba głodu została stanowczo usuniętą, natomiast trudniej było zapobiedz rozbojom, grabieży i nadużyciom. Koczujące życie zapewniało bezkarność rzezimieszkom, tembardziej, że głosili się wielbicielami

Cezara i nie żałowali mu oklasków, gdziekolwiek się ukazał. Gdy przytem urzędy siłą rzeczy były zawieszone, a zarazem brakło na miejscu i dostatecznej siły zbrojnej, która mogłaby swawoli zapobiegać, w mieście, zamieszkałem przez męty całego ówczesnego świata, działy się rzeczy, przechodzące wyobraźnię ludzką. Co noc zdarzały się bitwy, morderstwa, porywania kobiet i pacholąt. Przy porta Mugionis, gdzie był postój dla przypędzanych z Kampanii stad, przychodziło do walk, w których ginęły setki ludzi. Co rano brzegi Tybru roiły się od utopionych ciał, których nikt nie grzebał, a które, gnijąc szybko wskutek upałów, zwiększonych jeszcze pożarem, napełniały powietrze smrodliwymi wyziewami. W obozowiskach wszczęły się choroby i lękliwsi przewidywali wielką zarazę.

A miasto płonęło ciągle. Szóstego dopiero dnia pożar, trafiwszy na puste przestrzenie Eskwilinu, na których zburzono umyślnie ogromną ilość domów, począł słabnąć. Lecz stosy gorejącego węgla świeciły jeszcze tak mocno, że lud nie chciał wierzyć, by to był już koniec klęski. Jakoż siódmej nocy pożar wybuchnął z nową siłą w budynkach Tygellina, dla braku jednak strawy trwał już krótko. Tylko przepalone domy zapadały się jeszcze tu i owdzie, wyrzucając w górę węże płomieni i słupy skier. Lecz zwolna żarzące się w głębi zgliszcza poczęły czernieć po wierzchu. Niebo, po zachodzie słońca, przestało świecić krwawą łuną i tylko podczas nocy na rozległem czarnem pustkowiu skakały błękitne języki, wydobywające się ze stosów węgla.

Z czternastu dzielnic Rzymu pozostały zaledwie cztery, licząc w to i Zatybrze. Resztę pożarły płomienie. Gdy wreszcie spopielały stosy węgla, widać było, począwszy od Tybru aż do Eskwilinu, ogromną przestrzeń siwą, smutną, umarłą, na której sterczały szeregi kominów nakształt kolumn grobowych na cmentarzu. Między temi kolumnami snuły się we dnie posępne gromady ludzi, poszukujących to drogich rzeczy, to kości drogich osób. Nocami psy wyły na popieliskach i zgliszczach dawnych domów.

Cała hojność i pomoc, jaką Cezar okazał ludowi, nie powstrzymała złorzeczeń i wzburzenia. Zadowolony był tylko tłum rzezimieszków, złodziei i bezdomnych nędzarzy, który mógł dowoli jeść, pić i rabować. Ale ludzie, którzy potracili

najbliższe istoty i mienie, nie dali się zjednać ni otwarciem ogrodów, ni rozdawnictwem zboża, ni obietnicą i grzysk i darów. Nieszczęście było zbyt wielkie i zbyt niesłychane. Innych, w których tliła się jeszcze jakaś iskra miłości do miasta — ojczyzny, przywodziła do rozpaczy wieść, że stara nazwa „Roma" ma zniknąć z powierzchni ziemi i że Cezar ma zamiar wznieść z popiołów nowe miasto pod nazwą Neropolis. Fala niechęci wzbierała i rosła z dniem każdym i mimo pochlebstw augustyanów, mimo kłamstw Tygellina, Neron wrażliwy, jak żaden z poprzednich cezarów, na łaskę tłumów, z trwogą rozmyślał, że w głuchej walce na śmierć i życie, jaką prowadził z patrycyuszami i senatem, może mu zbraknąć podpory. Sami augustyanie niemniej byli zaniepokojeni, gdyż każde jutro mogło im przynieść zagładę. Tygellin zamyślał o sprowadzeniu kilku legii z Azyi Mniejszej. Watyniusz, który śmiał się nawet wówczas, gdy go policzkowano, stracił humor; Witeliusz stracił apetyt.

Inni naradzali się między sobą, jak odwrócić niebezpieczeństwo, nikomu bowiem nie było tajnem, że gdyby jaki wybuch zmiótł Cezara, to za wyjątkiem może Petroniusza, ani jeden z augustyanów nie uszedłby z życiem. Ich to przecie wpływom przypisywano szaleństwa Nerona, ich podszeptom wszystkie zbrodnie, jakie spełnił. Nienawiść przeciw nim była niemal silniejsza, niż przeciw niemu.

Poczęli więc wysilać głowy, jakby zrzucić z siebie odpowiedzialność za spalenie miasta. Ale chcąc ją zrzucić z siebie, należało oczyścić od posądzeń i Cezara, inaczej bowiem niktby nie uwierzył, że nie byli sprawcami klęski. Tygellin naradzał się w tym celu z Domicyuszem Afrem, a nawet i z Seneką, chociaż go nienawidził. Poppea, rozumiejąc również, że zguba Nerona byłaby wyrokiem i na nią, zasięgała zdania swych powierników i kapłanów hebrajskich, przypuszczano bowiem powszechnie, że od lat kilku wyznawała wiarę w Jehowę. Neron wynajdował sposoby na swoją rękę, często straszne, częściej jeszcze błazeńskie i naprzemian to wpadał w strach, to bawił się, jak dziecko, przedewszystkiem jednak wyrzekał.

Pewnego razu, w ocalonym z pożaru domu Tyberyusza, trwała długa i bezskuteczna narada. Petroniusz był zdania, żeby poniechawszy kłopotów, jechać do Grecyi, a następnie

do Egiptu i Azyi Mniejszej. Podróż była przecież zamierzona od dawna, po co więc ją odkładać, gdy w Rzymie i smutno i niebezpiecznie.

Cezar przyjął radę z zapałem, lecz Seneka, pomyślawszy chwilę, rzekł:

— Pojechać łatwo, ale wrócić byłoby potem trudniej.

— Na Herakla! — odpowiedział Petroniusz — wrócić możnaby na czele legii azyatyckich.

— Tak uczynię! — zawołał Neron.

Ale Tygellinus począł się sprzeciwiać. Nie umiał sam nic wynaleźć i gdyby pomysł Petroniusza przyszedł mu do głowy, ogłosiłby go niewątpliwie jako zbawczy, chodziło mu jednak o to, by Petroniusz nie okazał się powtórnie jedynym człowiekiem, który w ciężkich chwilach potrafi wszystko i wszystkich ocalić.

— Słuchaj mnie, boski! — rzekł — rada jest zgubna! Zanim dojedziesz do Ostyi, rozpocznie się wojna domowa, kto wie, czy kto z żyjących jeszcze pobocznych potomków boskiego Augusta nie ogłosi się Cezarem, a wówczas co uczynimy, jeśli legie staną po jego stronie?

— Uczynimy to — odrzekł Neron — iż przedtem postaramy się, aby zbrakło potomków Augusta. Niewielu już ich jest, więc uwolnić się od nich łatwo.

— Uczynić to można, ale czy tylko o nich chodzi? Ludzie moi, nie dawniej, jak wczoraj, słyszeli w tłumie, że Cezarem powinien być taki mąż, jak Trazeasz.

Neron przygryzł wargi. Po chwili jednak wzniósł oczy w górę i rzekł:

— Nienasyceni i niewdzięczni. Mają dość zboża i węgli, na których mogą piec placki, czegóż chcą więcej?

Na to Tygellinus rzekł:

— Zemsty.

Nastało milczenie. Nagle Cezar wstał, podniósł rękę do góry i począł deklamować:

„Serca zemsty wołają, a zemsta ofiary".

Poczem, zapomniawszy o wszystkiem, zawołał z rozjaśnioną twarzą:

— Niech mi podadzą tabliczki i styl, abym ten wiersz

zapisał. Nigdy Lukan nie ułożył podobnego. Czyście uważali, żem znalazł go w mgnieniu oka?

— O, niezrównany! — ozwało się kilka głosów.

Neron zapisał wiersz i rzekł:

— Tak! zemsta chce ofiary.

Poczem powiódł wzrokiem po otaczających:

— A gdyby puścić wieść, że to Watyniusz kazał podpalić miasto i poświęcić go gniewowi ludu?

— O boski! Kimże ja jestem? — zawołał Watyniusz.

— Prawda! Trzeba kogoś większego od ciebie... Witeliusza?...

Witeliusz pobladł, lecz począł się śmiać.

— Mój tłuszcz — odrzekł — mógłby chyba na nowo rozniecić pożar.

Ale Neron miał co innego na myśli, szukał bowiem w duszy ofiary, któraby naprawdę mogła zaspokoić gniew ludu i znalazł ją.

— Tygellinie — rzekł po chwili — ty spaliłeś Rzym!

Po zgromadzonych przebiegł dreszcz. Zrozumieli, że Cezar tym razem przestał żartować i że nadchodzi chwila brzemienna w wypadki.

A twarz Tygellina skurczyła się jak paszcza psa, gotowego kąsać.

— Spaliłem Rzym z twego rozkazu — rzekł.

I poczęli patrzeć na siebie, jak dwa demony. Nastała taka cisza, że słychać było brzęk much, przelatujących przez atryum.

— Tygellinie — ozwał się Neron — czy ty mnie kochasz?

— Ty wiesz, panie.

— Poświęć się dla mnie!

— Boski Cezarze — odrzekł Tygellinus — czemu mi podajesz słodki napój, którego mi niewolno do ust podnieść? Lud szemrze i burzy się, czy chcesz, by poczęli burzyć się i pretoryanie?

Poczucie grozy ścisnęło serca obecnych. Tygellinus był prefektem pretoryi i słowa jego miały wprost znaczenie groźby. Sam Neron zrozumiał to i twarz jego oblekła się bladością.

Wtem wszedł Epafrodyt, wyzwoleniec Cezara, z oznajmieniem, że boska Augusta życzy sobie widzieć Tygellina,

albowiem ma u siebie ludzi, których prefekt powinien wysłuchać.

Tygellin skłonił się Cezarowi i wyszedł z twarzą spokojną i pogardliwą. Oto, gdy chciano go uderzyć, pokazał zęby; dał do zrozumienia, kim jest i znając tchórzostwo Nerona, był pewien, że ów władca świata nigdy nie poważy się podnieść przeciw niemu ręki.

Neron zaś siedział przez chwilę w milczeniu, lecz widząc, że obecni oczekują od niego jakiegoś słowa, rzekł:

— Wyhodowałem węża na łonie.

Petroniusz wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że takiemu wężowi nietrudno urwać głowę.

— Co powiesz? mów, radź! — zawołał Nero, ujrzawszy jego ruch — tobie jednemu ufam, bo ty masz więcej rozumu od nich wszystkich i kochasz mnie!

Petroniusz miał już na ustach: „Mianuj mnie prefektem pretoryi, a ja wydam ludowi Tygellina i uspokoję w jednym dniu miasto“. Lecz wrodzone mu lenistwo przemogło. Być prefektem, znaczyło właściwie dźwigać na barkach osobę Cezara i tysiące spraw publicznych. I po co mu ten trud? Zali nie lepiej czytywać w rozkosznej bibliotece wiersze, oglądać wazy i posągi, lub trzymając na łonie boskie ciało Eunice, przebierać palcami w jej złotych włosach i schylać usta do jej koralowych ust.

Więc rzekł:

— Ja radzę jechać do Achai.

— Ach — odpowiedział Neron — czekałem od ciebie czegoś więcej. Senat mnie nienawidzi. Gdy wyjadę, któż mi zaręczy, czy nie zbuntują się przeciw mnie i nie ogłoszą kogo innego Cezarem? Lud był mi dawniej wierny, ale dziś pójdzie za nimi.. Na Hades! gdyby ten senat i ten lud miał jedną głowę!...

— Pozwól powiedzieć sobie, o boski, że chcąc zachować Rzym, trzeba zachować choć kilku Rzymian — rzekł z uśmiechem Petroniusz.

Lecz Neron począł narzekać:

— Co mi po Rzymie i Rzymianach! Słuchanoby mnie w Achai. Tu otacza mnie tylko zdrada. Wszyscy mnie opuszczają! i wy gotowiście mnie zdradzić! Wiem to, wiem!... Wy

ani pomyślicie, co powiedzą o was potomne wieki, gdy opuścicie takiego artystę, jak ja.

Tu nagle uderzył się w czoło i zawołał:

— Prawda!... Wśród tych trosk zapominam i ja, kim jestem.

To rzekłszy, zwrócił się do Petroniusza z twarzą całkiem już rozjaśnioną.

— Petroniuszu — rzekł — lud szemrze, ale gdybym wziął lutnię i wyszedł z nią na pole Marsowe, gdybym zaśpiewał mu te pieśń, którą śpiewałem wam w czasie pożaru, czy sądzisz, że nie wzruszyłbym go mym śpiewem, jak niegdyś Orfeusz wzruszył dzikie zwierzęta?

Na to Tuliusz Senecyo, któremu pilno było wrócić do swoich niewolnic, przywiezionych z Ancyum i który niecierpliwił się od dawna, rzekł:

— Bezwątpienia, Cezarze, gdyby ci pozwolili rozpocząć.

— Jedźmy do Hellady! — zawołał z niechęcią Neron.

Lecz w tej chwili weszła Poppea, a za nią Tygellinus. Oczy obecnych zwróciły się mimowoli ku niemu, nigdy bowiem żaden tryumfator nie wjeżdżał z taką dumą na Kapitol, z jaką on stanął przed Cezarem.

Poczem jął mówić zwolna i dobitnie, głosem, w którym był jakby zgrzyt żelaza:

— Wysłuchaj mnie, Cezarze, albowiem mogę ci powiedzieć: znalazłem! Ludowi potrzeba zemsty i ofiary, ale nie jednej, lecz setek i tysięcy. Zaliś ty kiedy słyszał, panie, kto był Chrestos, ten przez Poncyusza Piłata ukrzyżowan? i czy wiesz, kto są chrześcijanie? Zalim ci nie mówił o ich zbrodniach i bezecnych obrzędach, o przepowiedniach, iż ogień przyniesie koniec świata? Lud nienawidzi ich i podejrzewa. Nikt ich nie widział w świątyniach, albowiem bogów naszych poczytują za złe duchy; niemasz ich w Stadium, bo pogardzają gonitwami. Nigdy dłonie żadnego chrześcijanina nie uczciły cię oklaskiem. Nigdy żaden nie uznał cię za boga. Nieprzyjaciółmi są rodu ludzkiego, nieprzyjaciółmi miasta i twymi. Lud szemrze przeciw tobie, ale nie tyś mi, Cezarze, kazał spalić Rzym i nie ja go spaliłem... Lud pragnie zemsty, niech ją ma. Lud pragnie krwi i igrzysk, niech je ma. Lud podejrzywa ciebie, niech jego podejrzenia zwrócą się w inną stronę.

Nero słuchał z początku ze zdumieniem. Lecz w miarę słów Tygellina, aktorska twarz jego poczęła się zmieniać i przybierać naprzemian wyraz gniewu, żalu, współczucia, oburzenia. Nagle powstał i zrzuciwszy z siebie togę, która spłynęła mu do stóp, wyciągnął obie ręce w górę i przez chwilę pozostał tak w milczeniu.

Wreszcie ozwał się głosem tragika:

— Zeusie, Apollinie, Hero, Atene, Persefono i wy wszyscy nieśmiertelni bogowie, czemuście nie przyszli nam w pomoc? Co to nieszczęsne miasto uczyniło tym okrutnikom, że je tak nieludzko spalili?

— Nieprzyjaciółmi są rodu ludzkiego i twymi — rzekła Poppea.

A inni poczęli wołać:

— Uczyń sprawiedliwość! Ukarz podpalaczy! Sami bogowie chcą pomsty.

On zaś siadł, spuścił głowę na piersi i znów milczał, jakby niegodziwość, o której usłyszał, ogłuszyła go. Lecz po chwili potrząsnął rękoma i ozwał się:

— Jakież kary i jakież męki godne są takiej zbrodni?... Ale bogi mnie natchną i z pomocą potęg Tartaru dam biednemu ludowi memu takie widowisko, że przez wieki będzie mnie wspominał z wdzięcznością.

Czoło Petroniusza pokryło się nagle chmurą. Pomyślał o niebezpieczeństwie, jakie zawiśnie nad Ligią, nad Winicyuszem, którego kochał i nad wszystkimi tymi ludźmi, których naukę odrzucał, ale o których niewinności był przekonany. Pomyślał również, że rozpocznie się jedna z takich krwawych orgii, jakich nie znosiły jego oczy estety. Lecz przedewszystkiem mówił sobie: „Muszę ratować Winicyusza, który oszaleje, jeśli tamta dziewczyna zginie“ i ten wzgląd przeważył wszystkie inne, Petroniusz rozumiał bowiem dobrze, że poczyna grę tak niebezpieczną, jak nigdy w życiu.

Począł wszelako mówić swobodnie i niedbale, jak mówił zwykle, gdy krytykował lub wyśmiewał niedość estetyczne pomysły Cezara i augustyanów:

— A więc znaleźliście ofiary! Dobrze! Możecie je posłać na areny lub przybrać w „bolesne tuniki“. Również dobrze! Ale posłuchajcie mnie: Macie władzę, macie pretoryanów, macie siłę, bądźcie zatem szczerzy, przynajmniej wówczas,

gdy nikt was nie słyszy. Oszukujcie lud, ale nie siebie samych. Wydajcie ludowi chrześcijan, skażcie ich na jakie chcecie męki, miejcie jednak odwagę powiedzieć sobie, że nie oni spalili Rzym!... Phy! Nazywacie mnie arbitrem elegancyi, więc oświadczam wam, że nie znoszę nędznych komedyi. Phy! Ach, jak to wszystko przypomina mi budy teatralne koło porta Asinaria, w których aktorowie grają dla uciechy przedmiejskiej gawiedzi bogów i królów, a po przedstawieniu popijają cebulę kwaśnem winem lub dostają baty. Bądźcie naprawdę bogami i królami, bo mówię wam, że możecie sobie na to pozwolić. Co do ciebie, Cezarze, groziłeś nam sądem wieków potomnych, ale pomyśl, że one wydadzą wyrok i o tobie. Na boską Klio! Neron władca świata, Neron bóg, spalił Rzym, bo był tak potężnym na ziemi, jak Zeus w Olimpie. Neron poeta, kochał tak poezyę, że poświęcił dla niej ojczyznę! Od początku świata nikt nic podobnego nie uczynił, na nic podobnego się nie ważył. Zaklinam cię w imię dziewięciu Libetryd, nie wyrzekaj się takiej sławy, bo oto pieśni o tobie będą brzmiały do skończenia wieków. Czemże przy tobie będzie Pryam? czem Agamemnon? czem Achilles? czem sami bogowie? Mniejsza, czy spalenie Rzymu jest rzeczą dobrą, ale jest wielką i niezwykłą! A przytem mówię ci, że lud nie podniesie na ciebie dłoni! To nieprawda! Miej odwagę! strzeż się postępków niegodnych ciebie, bo tobie grozi tylko to, że potomne wieki mogą powiedzieć: „Neron spalił Rzym, ale jako małoduszny Cezar i małoduszny poeta, wyparł się wielkiego czynu ze strachu i zrzucił winę na niewinnych!“

Słowa Petroniusza czyniły zwykle silne na Neronie wrażenie, lecz tym razem sam Petroniusz nie łudził się, rozumiał bowiem, iż to, co mówi, jest środkiem ostatecznym, który może wprawdzie w szczęśliwym wypadku uratować chrześcijan, ale jeszcze łacniej może zgubić jego samego. Nie zawahał się jednak, gdyż szło mu zarazem o Winicyusza, którego kochał, i hazard, którym się bawił. „Kości są rzucone, mówił sobie, i zobaczymy, o ile w małpie strach o własną skórę przeważy nad miłością dla sławy“.

I w duszy nie wątpił, że jednak przeważy strach.

Tymczasem po słowach jego zapadło milczenie. Poppea i wszyscy obecni patrzyli, jak w tęczę, w oczy Nerona, ów zaś począł podnosić wargi w górę, zbliżając je do samych

nozdrzy, jak zwykł był czynić, gdy nie wiedział, co począć, wreszcie zakłopotanie i niechęć odbiły się widocznie na jego twarzy.

— Panie — zawołał, widząc to, Tygellinus — pozwól mi odejść, bo gdy chcą wystawić na zgubę twą osobę, a przytem zwą cię małodusznym Cezarem, małodusznym poetą, podpalaczem i komedyantem, uszy moje nie mogą znieść takich słów.

— Przegrałem — pomyślał Petroniusz.

Lecz, zwróciwszy się do Tygellina, zmierzył go wzrokiem, w którym była pogarda wielkiego pana i wykwintnego człowieka dla nędznika, poczem rzekł:

— Tygellinie, ciebie to nazwałem komedyantem, albowiem jesteś nim nawet i teraz.

— Czy dlatego, że nie chcę słuchać twych obelg?

— Dlatego, że udajesz miłość bez granic dla Cezara, a przed chwilą groziłeś mu pretoryanami, co zrozumieliśmy my wszyscy i on także.

Tygellinus, który nie spodziewał się, aby Petroniusz ośmielił się rzucić na stół podobne kości, pobladł, stracił głowę i oniemiał. Ale było to ostatnie zwycięstwo arbitra elegancyi nad współzawodnikiem, gdyż w tej chwili Poppea rzekła:

— Panie, jak możesz pozwolić, by nawet myśl taka przeszła przez czyjąś głowę, a tembardziej, by ktoś ośmielił się wypowiedzieć ją głośno wobec ciebie.

— Ukarz zuchwalca! — zawołał Witeliusz.

Neron podniósł znów wargi do nozdrzy i zwróciwszy na Petroniusza swe szkliste oczy krótkowidza, rzekł:

— Także to wypłacasz mi się za przyjaźń, którą dla ciebie miałem?

— Jeśli się mylę, dowiedź mi tego — odpowiedział Petroniusz — lecz wiedz, że mówię to, co mi nakazuje miłość do ciebie.

— Ukarz zuchwalca! — powtórzył Witeliusz.

— Uczyń to! — ozwało się kilka głosów.

W atrium zrobił się szmer i ruch, albowiem ludzie poczęli się odsuwać od Petroniusza. Odsunął się nawet Tuliusz Senecyo, jego stały towarzysz przy dworze i młody Nerwa, który okazywał mu dotychczas najżywszą przyjaźń. Po chwili Petroniusz został sam po lewej stronie atrium i z uśmiechem

na ustach, rozgarniając dłonią fałdy togi, czekał jeszcze, co powie lub pocznie Cezar.

Cezar zaś rzekł:

— Chcecie, bym go ukarał, lecz to mój towarzysz i przyjaciel, więc chociaż zranił mi serce, niech wie, że to serce ma dla przyjaciół tylko... przebaczenie.

— Przegrałem i zginąłem — pomyślał Petroniusz.

Tymczasem Cezar wstał, narada była skończona.

ROZDZIAŁ L.

Petroniusz udał się do siebie, Neron zaś z Tygellinem przeszli do atrium Poppei, gdzie czekali na nich ludzie, z którymi prefekt poprzednio rozmawiał.

Było tam dwóch „rabbich" z Zatybrza, przybranych w długie uroczyste szaty, z mitrami na głowach, młody pisarz, ich pomocnik, oraz Chilon. Na widok Cezara, kapłani pobledli ze wzruszenia i podniósłszy na wysokość ramion ręce, pochylili głowy aż do dłoni.

— Witaj, monarcho monarchów i królu królów — rzekł starszy — witaj władco ziemi, opiekunie ludu wybranego i Cezarze, lwie między ludźmi, którego panowanie jest jako światłość słoneczna i jako cedr libański i jako źródło i jako palma i jako balsam jerychoński!...

— Nie nazywacie mnie bogiem? — spytał Cezar.

Kapłani pobledli jeszcze mocniej; starszy znów zabrał głos:

— Słowa twoje, panie, są słodkie, jako grono winnej macicy i jako figa dojrzała, albowiem Jehowa napełnił dobrocią serce twoje. Lecz poprzednik ojca twego, cezar Kajus, był okrutnikiem, a jednak wysłańcy nasi nie nazywali go bogiem, przekładając śmierć samą nad obrazę Zakonu.

— I Kaligula kazał ich rzucić lwom?

— Nie, panie. Cezar Kajus uląkł się gniewu Jehowy.

I podnieśli głowy, albowiem imię potężnego Jehowy dodało im odwagi. Ufni w moc jego, śmielej już patrzyli w oczy Nerona.

— Oskarżacie chrześcijan o spalenie Rzymu? — spytał Cezar.

— My, panie, oskarżamy ich tylko, że są nieprzyjaciółmi Zakonu, nieprzyjaciółmi rodu ludzkiego, nieprzyjaciółmi Rzymu i twymi i że od dawna grozili miastu i światu ogniem. Resztę dopowie ci ten człowiek, którego usta nie skalają się kłamstwem, albowiem w żyłach jego matki płynęła krew wybranego narodu.

Neron zwrócił się do Chilona:

— Kto jesteś?

— Twój czciciel, Ozyrysie, a przytem ubogi stoik...

— Nienawidzę stoików — rzekł Neron — nienawidzę Trazeasza, nienawidzę Muzoniusza i Kornuta. Wstrętna mi jest ich mowa, ich pogarda sztuki, ich dobrowolna nędza i niechlujstwo.

— Panie, twój mistrz Seneka ma tysiąc stołów cytrusowych. Zechciej tylko, a będę ich miał dwakroć więcej. Jestem stoikiem z potrzeby. Przybierz, o Promienisty, mój stoicyzm w wieniec z róż i postaw przed nim dzban wina, a będzie śpiewał Anakreonta tak, że zgłuszy wszystkich epikurejczyków.

Neron, któremu przypadł do smaku przydomek: „Promienisty", uśmiechnął się i rzekł:

— Podobasz mi się!

— Ten człowiek wart tyle złota, ile sam waży — zawołał Tygellinus.

Chilon zaś odpowiedział:

— Dopełnij, panie, mojej wagi twoją hojnością, gdyż inaczej wiatr uniesie zapłatę.

— Zaiste, nie przeważyłbyś Witeliusza — wtrącił Cezar.

— Eheu, Srebrnołuki, mój dowcip nie jest z ołowiu.

— Widzę, że twój Zakon nie zabrania ci zwać mnie bogiem?

— O, nieśmiertelny! mój Zakon jest w tobie: chrześcijanie bluźnili przeciw temu Zakonowi i dlategom ich znienawidził.

— Co wiesz o chrześcijanach?

— Czy pozwolisz mi płakać, boski?

— Nie — rzekł Neron — to mnie nudzi.

— I potrzykroć masz słuszność, albowiem oczy, które cię widziały, powinny raz na zawsze oschnąć z łez. Panie, broń mnie od moich nieprzyjaciół.

— Mów o chrześcijanach — rzekła Poppea z odcieniem niecierpliwości.

— Będzie, jak ty każesz, Izydo — odpowiedział Chilon. — Oto od młodości poświęciłem się filozofii i szukałem prawdy. Szukałem jej i u dawnych boskich mędrców i w Akademii w Atenach i w Serapeum aleksandryjskiem. Posłyszawszy o chrześcijanach, sądziłem, że to jest jakaś nowa szkoła, w której będę mógł znaleźć kilka ziarn prawdy i poznałem się z nimi, na moje nieszczęście!! Pierwszym chrześcijaninem, do którego mnie zły los zbliżył, był Glaukos, lekarz w Neapolu. Od niego to dowiedziałem się z czasem, że oni oddają cześć niejakiemu Chrestosowi, który im obiecał wytępić wszystkich ludzi i zniszczyć wszystkie miasta na ziemi, ich zaś zostawić, jeżeli mu pomogą w wytępieniu deukalionowych dzieci. Dlatego to, o panie, oni nienawidzą ludzi, dlatego zatruwają fontanny, dlatego na zebraniach swych miotają przekleństwa na Rzym i na wszystkie świątynie, w których cześć bywa oddawana naszym bogom. Chrestos był ukrzyżowan, ale obiecał im, że gdy Rzym będzie zniszczony ogniem, wówczas po raz drugi przyjdzie na świat — i odda im panowanie nad ziemią...

— Teraz lud zrozumie dlaczego Rzym został spalony — przerwał Tygellinus.

— Wielu już rozumie, panie — odpowiedział Chilon — albowiem chodzę po ogrodach, po polu Marsowem i nauczam. Lecz, jeśli mnie zechcecie wysłuchać do końca, zrozumiecie, jakie mam do zemsty powody. Glaukos-lekarz nie zdradzał się z początku przede mną, że ich nauka nakazuje nienawiść do ludzi. Owszem! mówił mi, że Chrestos jest dobrem bóstwem i że podstawą jego nauki jest miłość. Tkliwe moje serce nie mogło się oprzeć takim prawdom, więc pokochałem Glaukosa i zaufałem mu. Dzieliłem się z nim z każdym kawałkiem chleba, każdym groszem i czy wiesz, panie, jak mi się wypłacił? Oto w drodze z Neapolu do Rzymu pchnął mnie nożem, moją zaś żonę, moją piękną i młodą Berenikę zaprzedał handlarzom niewolników. Gdyby Sofokles znał moje dzieje... ale, co mówię! słucha mnie ktoś lepszy, niż Sofokles.

— Biedny człowiek! — rzekła Poppea.

— Kto ujrzał oblicze Afrodyty, nie jest biednym, pani, a ja widzę je w tej chwili. Lecz wówczas szukałem pociechy

w filozofii. Przybywszy do Rzymu, starałem się trafić do starszych chrześcijańskich, aby uzyskać sprawiedliwość na Glauku. Myślałem, że go zmuszą do oddania mi żony... Poznałem ich arcykapłana, poznałem drugiego, imieniem Paweł, który był tu uwięzion, ale potem został uwolniony, poznałem syna Zebedeusza, poznałem Lina i Kleta i wielu innych. Wiem, gdzie mieszkali przed pożarem, wiem, gdzie się schodzą, mogę wskazać jedno podziemie we Wzgórzu Watykańskiem i jeden cmentarz za bramą Nomentańską, na którym odprawują swoje bezecne obrzędy. Widziałem tam Piotra Apostoła, widziałem Glauka, jak mordował dzieci, aby Apostoł miał czem skrapiać głowy obecnych i widziałem Ligię, wychowankę Pomponii Grecyny, która chełpiła się, że nie mogąc przynieść krwi dziecięcej, przynosi jednak śmierć dziecka, albowiem urzekła małą Augustę, córkę twoją, o Ozyrysie! i twoją, o Izydo!

— Słyszysz, Cezarze! — rzekła Poppea.

— Byćże to może? — zawołał Nero.

— Mogłem odpuścić krzywdy własne — mówił dalej Chilon — lecz usłyszawszy o waszych, chciałem ją nożem pchnąć. Niestety, przeszkodził mi szlachetny Winicyusz, który ją miłuje.

— Winicyusz? wszakże ona od niego uciekła?

— Ona uciekła, ale on jej szukał, gdyż nie mógł bez niej żyć. Za nędzną zapłatę pomagałem mu jej szukać i ja to wskazałem mu dom, w którym mieszkała wśród chrześcijan na Zatybrzu. Udaliśmy się tam razem, a z nami i twój zapaśnik, Kroto, którego szlachetny Winicyusz najął dla bezpieczeństwa. Lecz Urzus, niewolnik Ligii, zdusił Krotona. Człowiek to strasznej siły, o panie, który bykom skręca głowy tak łatwo, jakby inny skręcał makówki. Aulus i Pomponia miłowali go za to.

— Na Herkulesa! — rzekł Neron — śmiertelnik, który zdusił Krotona, godzien jest mieć posąg na Forum. Ale mylisz się lub zmyślasz, starcze, albowiem Krotona zabił nożem Winicyusz.

— Tak to ludzie okłamują bogów. O panie, ja sam widziałem, jak żebra Krotona łamały się w rękach Urzusa, który następnie powalił i Winicyusza. Byłby go zabił, gdyby nie Ligia. Winicyusz długo potem chorował, lecz oni pielę-

gnowali go, mając nadzieję, że z miłości stanie się chrześcijaninem. Jakoż stał się chrześcijaninem.

— Winicyusz?

— Tak jest.

— A może i Petroniusz? — spytał skwapliwie Tygellin.

Chilon począł wić się, trzeć ręce i rzekł:

— Podziwiam twą przenikliwość panie! O!... być może! bardzo być może!

— Teraz rozumiem, dlaczego tak bronił chrześcijan.

Lecz Nero począł się śmiać.

— Petroniusz chrześcijaninem!... Petroniusz nieprzyjacielem życia i rozkoszy. Nie bądźcie głupcami i nie chciejcie, abym w to wierzył, gdyż gotówem w nic nie wierzyć.

— Lecz szlachetny Winicyusz został chrześcijaninem, panie. Przysięgam na ten blask, jaki od ciebie bije, że mówię prawdę i że nic nie przejmuje mnie takiem obrzydzeniem, jak kłamstwo. Pomponia jest chrześcijanką, mały Aulus jest chrześcijaninem i Ligia i Winicyusz. Służyłem mu wiernie, on zaś w nagrodę na żądanie Glauka-lekarza kazał mnie schłostać, choć jestem stary, a byłem chory i głodny. I przysiągłem na Hades, że mu to zapamiętam. O panie, pomścij na nich moje krzywdy, a ja wam wydam Piotra Apostoła i Linusa i Kleta i Glauka i Kryspa, samych starszych i Ligię i Urzusa, wskażę wam ich setki, tysiące, wskażę domy modlitwy, cmentarze, wszystkie wasze więzienia nie obejmą ich!... Beze mnie nie potrafilibyście ich znaleźć! Dotychczas w biedach moich szukałem pociechy tylko w filozofii, niechaj ją teraz znajdę w łaskach, jakie na mnie spłyną... Stary jestem, a nie zaznałem życia, niech odpocznę!...

— Chcesz być stoikiem przed pełną misą — rzekł Neron.

— Kto oddaje przysługę tobie, tem samem ją napełnia.

— Nie mylisz się, filozofie.

Ale Poppea nie traciła z myśli swych nieprzyjaciół. Upodobanie jej do Winicyusza było wprawdzie raczej chwilowem zachceniem, powstałem pod wpływem zazdrości, gniewu i obrażonej miłości własnej. A jednak chłód młodego patrycyusza dotknął ją głęboko i napełnił jej serce zawziętą urazą. Już to samo, że śmiał przenieść nad nią inną, zdawało jej się występkiem, wołającym o pomstę. Co do Ligii, znienawidziła ją od pierwszej chwili, w której zaniepokoiła ją piękność

tej północnej lilii. Petroniusz, który mówił o zbyt wązkich biodrach dziewczyny, mógł wmówić, co chciał w Cezara, ale nie w Augustę. Znawczyni Poppea od jednego rzutu oka zrozumiała, że w całym Rzymie jedna Ligia może z nią współzawodniczyć, a nawet ją zwyciężyć. I od tej chwili zaprzysięgła jej zgubę.

— Panie — rzekła — pomścij nasze dziecko!

— Śpieszcie się! — zawołał Chilon — śpieszcie się! inaczej Winicyusz ją ukryje. Ja wskażę dom, do którego znów wrócili po pożarze.

— Dam ci dziesięciu ludzi i idź natychmiast — rzekł Tygellinus.

— Panie! tyś nie widział Krotona w rękach Urzusa: jeśli dasz pięćdziesięciu, pokażę tylko z daleka dom. Ale jeśli nie uwięzicie i Winicyusza, zginąłem.

Tygellin spojrzał na Nerona.

— Czyby nie było dobrze, o boski, załatwić się zarazem z wujem i siostrzeńcem?

Neron pomyślał chwilę i odrzekł:

— Nie! nie teraz!... Ludzie nie uwierzyliby, gdyby chciano w nich wmówić, że Petroniusz, Winicyusz lub Pomponia Grecyna podpalili Rzym. Zbyt piękne mieli domy... Dziś trzeba innych ofiar, a tamtych kolej przyjdzie później.

— Więc daj mi, panie, żołnierzy, by mnie strzegli — rzekł Chilon.

— Tygellin pomyśli o tem.

— Zamieszkasz tymczasem u mnie — rzekł prefekt.

Radość poczęła bić od twarzy Chilona.

— Wydam wszystkich! tylko się śpieszcie! Śpieszcie się! — wołał ochrypłym głosem.

ROZDZIAŁ LI.

Petroniusz, wyszedłszy od Cezara, kazał się nieść do swego domu na Karynach, który, otoczony z trzech stron ogrodem i mając z przodu małe forum Cecyliów, wyjątkowo ocalał w czasie pożaru.

Z tego powodu inni augustyanie, którzy potracili domy, a w nich mnóstwo bogactw i dzieł sztuki, nazywali Petro-

niusza szczęśliwym. Mówiono zresztą o nim od dawna, że jest pierworodnym synem Fortuny, a coraz żywsza przyjaźń, jaką mu w ostatnich czasach okazywał Cezar, zdawała się potwierdzać słuszność tego mniemania.

Lecz ów pierworodny syn Fortuny mógł rozmyślać teraz chyba nad zmiennością tej matki, a raczej nad podobieństwem jej z Chronosem, pożerającym własne dzieci.

— Gdyby mój dom był się spalił — mówił sobie — a z nim razem moje gemmy, moje naczynia etruskie i szkło aleksandryjskie, i miedź koryncka, to może Neron naprawdę zapomniałby urazy. Na Polluxa! I pomyśleć, że ode mnie tylko zależało, by w obecnej chwili być prefektem pretoryanów. Byłbym Tygellina ogłosił za podpalacza, którym zresztą jest, byłbym go ubrał w bolesną tunikę, wydał ludowi, ochronił chrześcijan i odbudował Rzym. Kto wie nawet, czy uczciwym ludziom nie poczęłoby się dziać lepiej. Powinienem był to zrobić, choćby ze względu na Winicyusza. W razie zbytniej roboty, jemu ustąpiłbym urząd prefekta — i Neron nie próbowałby się nawet opierać... Niechby sobie Winicyusz ochrzcił potem wszystkich pretoryanów i samego nawet Cezara, co mi to mogło szkodzić! Neron pobożny, Neron cnotliwy i miłosierny, pociesznyby nawet przedstawiał widok.

I jego niekłopotliwość była tak wielka, że począł się uśmiechać. Lecz po chwili myśl jego zwróciła się w inną stronę. Zdawało mu się, że jest w Ancyum i że Paweł z Tarzu mówi do niego:

„Nazywacie nas nieprzyjaciółmi życia, ale odpowiedz mi, Petroniuszu: gdyby Cezar był chrześcijaninem i postępował wedle naszej nauki, czy życie wasze nie byłoby pewniejsze i bezpieczniejsze?“

I, wspomniawszy te słowa, mówił sobie dalej:

— Na Kastora! Ilu tu chrześcijan pomordują, tylu Paweł znajdzie nowych, bo, jeśli świat nie może stać na łotrowstwie, to on ma słuszność... Ale kto wie, czy nie może, skoro stoi. Ja sam, który nauczyłem się niemało, nie nauczyłem się, jak być dość wielkim łotrem i dlatego przyjdzie sobie żyły otworzyć... Ale przecie na tem musiałoby się skończyć, a gdyby nawet nie skończyło się tak, to skończyłoby się inaczej. Szkoda mi Eunice i mojej wazy mirreńskiej, ale Eunice jest wolną a waza pójdzie ze mną. Ahenobarbus nie dostanie jej w żadnym

razie! Szkoda mi również Winicyusza. Zresztą, jakkolwiek mniej nudziłem się w ostatnich czasach, niż dawniej, jestem gotów. Na świecie rzeczy są piękne, ale ludzie w większej części tak plugawi, że życia nie warto żałować. Kto umiał żyć, ten powinien umieć umrzeć. Jakkolwiek należałem do augustyanów, byłem człowiekiem więcej wolnym, niż oni tam przypuszczają.

Tu wzruszył ramionami:

— Oni tam może myślą, że w tej chwili drżą mi kolana i strach podnosi mi włosy na głowie, a ja, wróciwszy do domu, wezmę kąpiel w fijołkowej wodzie, poczem moja złotowłosa sama mnie namaści i po posiłku każemy sobie śpiewać na głosy ten hymn do Apollina, który ułożył Antemios. Sam kiedyś powiedziałem: o śmierci nie warto myśleć, bo ona bez naszej pomocy o nas myśli. Byłoby jednak rzeczą godną podziwu, gdyby naprawdę istniały jakie pola Elizejskie, a na nich cienie... Eunice przyszłaby z czasem do mnie i błądzilibyśmy razem po łąkach, porosłych asfodelem. Znalazłbym też towarzystwo lepsze, niż tu... Co za błazny! co za kuglarze, co za gmin plugawy bez smaku i poloru! Dziesięciu arbitrów elegancyi nie przerobiłoby tych Trymalchionów na przyzwoitych ludzi. Na Persefonę! mam ich dosyć!

I spostrzegł ze zdziwieniem, że już coś rozdzieliło go od tych ludzi. Znał ich przecie dobrze i wiedział przedtem, co o nich sądzić, a jednak wydali mu się teraz jacyś dalsi i godniejsi pogardy, niż zwykle. Naprawdę miał ich dosyć.

Lecz następnie począł zastanawiać się nad położeniem. Dzięki swej przenikliwości, zrozumiał, że zguba nie grozi mu natychmiast. Neron skorzystał przecie z odpowiedniej chwili, aby wypowiedzieć kilka pięknych, podniosłych słów o przyjaźni, o przebaczeniu i poniekąd związał się niemi. Będzie teraz musiał szukać pozorów, a nim je znajdzie, może upłynąć sporo czasu. Przedewszystkiem wyprawi igrzysko z chrześcijan — mówił sobie Petroniusz — potem dopiero pomyśli o mnie, a jeśli tak, to nie warto się tem kłopotać, ni zmieniać trybu życia. Bliższe niebezpieczeństwo grozi Winicyuszowi!...

I odtąd myślał już tylko o Winicyuszu, którego postanowił ratować.

Niewolnicy nieśli szybko lektykę wśród ruin, popielisk

i kominów, jakiemi były jeszcze zapełnione Karyny, lecz on rozkazał im biedz pędem, by jak najprędzej stanąć u siebie. Winicyusz, którego „insula“ spłonęła, mieszkał u niego i na szczęście był w domu.

— Widziałeś dziś Ligię? — spytał go na wstępie Petroniusz.

— Od niej wracam.

— Słuchajże, co ci powiem i nie trać czasu na pytania. Postanowiono dziś u Cezara złożyć na chrześcijan winę za podpalenie Rzymu. Grozi im prześladowanie i męki. Pościg rozpocznie się lada chwila. Bierz Ligię i uciekajcie natychmiast, choćby za Alpy lub do Afryki. I śpiesz się, bo z Palatynu bliżej na Zatybrze, niż stąd!

Winicyusz był istotnie nadto żołnierzem, by tracić czas na zbyteczne pytania. Słuchał z namarszczoną brwią, z twarzą skupioną i groźną, ale bez przerażenia. Widocznie pierwszem uczuciem, jakie budziło się w tej naturze wobec niebezpieczeństwa, była chęć walki i obrony.

— Idę — rzekł.

— Słowo jeszcze: weź „capsę“ ze złotem, weź broń i garść twoich ludzi chrześcijan. W razie potrzeby, odbij!

Winicyusz był już we drzwiach atrium.

— Przyślij mi wiadomość przez niewolnika — zawołał za odchodzącym Petroniusz.

I, pozostawszy sam, począł chodzić wzdłuż kolumn, zdobiących atrium, rozmyślając nad tem, co się stanie. Wiedział, że Ligia i Linus wrócili po pożarze do dawnego domu, który, jak większa część Zatybrza, ocalał, i to była okoliczność niepomyślna, inaczej bowiem niełatwo byłoby ich odnaleźć wśród tłumów. Spodziewał się jednak, że i tak nikt w Palatynie nie wie, gdzie mieszkają, a więc, że w każdym razie Winicyusz uprzedzi pretoryanów. Przyszło mu również na myśl, iż Tygellin, chcąc wyłowić za jednym zamachem jak największą ilość chrześcijan, musi sieć rozciągnąć na cały Rzym, to jest podzielić pretoryanów na małe oddziały. Jeśli przyślą po nią nie więcej, jak dziesięciu ludzi — myślał — to sam olbrzym ligijski połamie im kości, a cóż dopiero, gdy w pomoc przyjdzie mu Winicyusz. I myśląc o tem, nabrał otuchy. Wprawdzie postawić zbrojny opór pretoryanom, było to niemal toż samo, co rozpocząć wojnę z Cezarem. Petro-

niusz wiedział także, że jeżeli Winicyusz uchroni się przed zemstą Nerona, to zemsta ta może spaść na niego, ale niewiele o to dbał. Owszem, myśl pomieszania szyków Neronowi i Tygellinowi rozweseliła go. Postanowił nie pożałować na to ni pieniędzy, ni ludzi, że zaś Paweł z Tarzu nawrócił jeszcze w Ancyum większą część jego niewolników, przeto mógł być pewny, że w sprawie obrony chrześcijanki może liczyć na ich gotowość i poświęcenie.

Wejście Eunice przerwało mu rozmyślania. Na jej widok wszystkie jego kłopoty i troski pierzchły bez śladu. Zapomniał o Cezarze, o niełasce, w jaką popadł, o znikczemniałych augustyanach, o pościgu, grożącym chrześcijanom, o Winicyuszu i Ligii, a patrzył tylko na nią oczyma estety, rozmiłowanego w cudnych kształtach, i kochanka, dla którego z tych kształtów tchnie miłość. Ona, przybrana w przezroczą fioletową szatę, zwaną Coa vestis, przez którą przeglądało jej różane ciało, była istotnie piękna, jak bóstwo. Czując się przytem podziwianą i kochając go całą duszą, zawsze spragniona jego pieszczot, poczęła płonić się z radości, jak gdyby była nie nałożnicą, ale niewinnem dziewczęciem.

— Co mi powiesz, Charyto? — rzekł Petroniusz, wyciągając do niej ręce.

Ona zaś, chyląc ku nim swą złotą głowę, odrzekła:

— Panie, przyszedł Antemios ze śpiewakami i pyta, czy go zechcesz słuchać dzisiaj?

— Niechaj zaczeka. Zaśpiewa nam przy obiedzie hymn do Apollina. Wokół jeszcze zgliszcza i popioły, a my będziem słuchali hymnu do Apollina! Na gaje Pafijskie! gdy cię widzę w tej Coa vestis, zdaje mi się, że Afrodyta przesłoniła się rąbkiem nieba i stoi przedemną.

— O panie! — rzekła Eunice.

— Pójdź tu, Eunice, obejmij mnie ramionami — i daj mi usta twoje... Kochasz ty mnie?

— Nie kochałabym więcej Zeusa.

To rzekłszy, przycisnęła usta do jego ust, drżąc mu w ramionach ze szczęścia.

Lecz po chwili Petroniusz rzekł:

— A gdyby przyszło nam się rozłączyć?...

Eunice spojrzała mu z przestrachem w oczy:

— Jakto, panie?...

— Nie lękaj się!... Bo widzisz, kto wie, czy nie będę musiał wybrać się w daleką podróż.

— Weź mnie ze sobą...

Lecz Petroniusz zmienił nagle przedmiot rozmowy i zapytał:

— Powiedz mi, czy na trawnikach w ogrodzie są asfodele?

— W ogrodzie cyprysy i trawniki pożółkły od pożaru, z mirtów opadły liście i cały ogród wygląda jak umarły.

— Cały Rzym wygląda jak umarły, a wkrótce będzie prawdziwym cmentarzem. Czy wiesz, że wyjdzie edykt przeciw chrześcijanom i rozpocznie się prześladowanie, w czasie którego zginą tysiące ludzi?

— Za co będą ich karali, panie? To ludzie dobrzy i cisi.

— Właśnie za to.

— Więc jedźmy nad morze. Twoje boskie oczy nie lubią patrzeć na krew.

— Dobrze, ale tymczasem muszę się wykąpać. Przyjdź do elaeothesium namaścić mi ramiona. Na pas Kiprydy! nigdy nie wydałaś mi się jeszcze tak piękna. Każę ci zrobić wannę w kształcie konchy, a ty będziesz w niej, jak kosztowna perła... Przyjdź, Złotowłosa.

I odszedł, a w godzinę później oboje w wieńcach róż i z zamglonemi oczyma spoczęli przed stołem, zastawionym złotemi naczyniami. Usługiwały im pacholęta, przebrane za amorów, oni zaś, popijając wino z bluszczowych kruży, słuchali hymnu do Apollina, śpiewanego przy dźwięku harf pod wodzą Antemia. Co ich mogło obchodzić, że naokół willi sterczały ze zgliszcz kominy domów i że powiewy wiatru roznosiły popioły spalonego Rzymu. Czuli się szczęśliwi i myśleli tylko o miłości, która im życie zmieniała jakby w boski sen.

Lecz, zanim hymn był skończony, wszedł do sali niewolnik, przełożony nad atrium.

— Panie — rzekł głosem, w którym drgał niepokój — centuryon z oddziałem pretoryanów stoi przed bramą i z rozkazu Cezara pragnie widzieć się z tobą.

Śpiew i dźwięki harf ustały. Niepokój udzielił się wszystkim obecnym, albowiem Cezar w stosunkach z przyjaciółmi

nie posługiwał się zwykle pretoryanami i przybycie ich nie wróżyło w owych czasach nic dobrego. Jeden tylko Petroniusz nie okazał najmniejszego wzruszenia i rzekł, jakby mówił człowiek, którego nudzą ciągłe wezwania:

— Mogliby też dać mi spokojnie zjeść obiad.

Poczem, zwróciwszy się do przełożonego nad atrium:

— Wpuść.

Niewolnik zniknął za kotarą; w chwilę później dały się słyszeć ciężkie kroki i do sali wszedł znajomy Petroniuszowi setnik Aper, cały w zbroi i w żelaznym hełmie na głowie.

— Szlachetny panie — rzekł — oto pismo od Cezara.

Petroniusz wyciągnął leniwie swą białą rękę, wziął tabliczki i, rzuciwszy na nie okiem, oddał je z całym spokojem Eunice.

— Będzie czytał wieczór nową pieśń z Troiki — rzekł — i wzywa mnie, bym przyszedł.

— Mam tylko rozkaz oddać pismo — ozwał się setnik.

— Tak. Nie będzie odpowiedzi. Ale możebyś setniku, spoczął nieco przy nas i wychylił krater wina?

— Dzięki ci, szlachetny panie. Krater wina wypiję chętnie za twoje zdrowie, ale spocząć nie mogę, gdyż jestem na służbie.

— Czemu to tobie oddano pismo, zamiast wysłać je przez niewolnika?

— Nie wiem, panie. Może dlatego, że wysłano mnie w tę stronę w innej sprawie.

— Wiem — rzekł Petroniusz — przeciw chrześcijanom.

— Tak jest, panie.

— Czy pościg dawno rozpoczęty?

— Niektóre oddziały wysłano na Zatybrze jeszcze przed południem.

To rzekłszy, setnik strząsnął z czaszy nieco wina na cześć Marsa, następnie wychylił ją i rzekł:

— Niechaj bogowie dadzą ci, panie, czego zapragniesz.

— Weź i ten krater — rzekł Petroniusz.

Poczem dał znak Antemiosowi, by kończył hymn do Apollina.

— Miedzianobrody poczyna igrać ze mną i z Winicyuszem — mówił sobie, gdy harfy ozwały się nanowo. Odga-

duję zamiar! Chciał mnie przerazić, przysyłając wezwanie przez centuryona. Będą się wieczór wypytywali setnika, w jaki sposób go przyjąłem. Nie, nie ucieszysz się zbytnio, złośliwa i okrutna kukło. Wiem, że urazy nie zapomnisz, wiem, że zguba mnie nie minie, ale jeśli myślisz, że będę ci patrzył błagalnie w oczy, że zobaczysz na mojej twarzy strach i pokorę, to się mylisz.

— Cezar pisze, panie: „Przyjdźcie, jeśli macie ochotę“ — rzekła Eunice — czy pójdziesz?

— Jestem w wyśmienitem usposobieniu i mogę słuchać nawet jego wierszy — odpowiedział Petroniusz — więc pójdę tembardziej, że Winicyusz pójść nie może.

Jakoż po skończonym obiedzie i po zwykłej przechadzce oddał się w ręce niewolnic, trefiących włosy, i niewolnic, układających fałdy, a w godzinę później, piękny, jak bożek, kazał się zanieść na Palatyn. Godzina była późna, wieczór cichy, ciepły, księżyc świecił tak mocno, że „lampadarii“, idący przed lektyką, pogasili pochodnie. Po ulicach i wśród rumowisk snuły się podpite winem gromady ludzi, przybrane w bluszcze i wiciokrzew, niosące w rękach gałązki mirtu i lauru, których dostarczyły ogrody Cezara. Obfitość zboża i nadzieja wielkich igrzysk napełniała wesołością serca ludzi. Gdzieniegdzie śpiewano pieśni, wielbiące „boską noc“ i miłość; gdzieniegdzie tańczono przy świetle księżyca: kilkakrotnie niewolnicy musieli wołać o miejsce dla lektyki „szlachetnego Petroniusza“ i wówczas tłum rozsuwał się, wydając okrzyki na cześć swego ulubieńca.

On zaś rozmyślał o Winicyuszu i dziwił się, że nie ma od niego żadnej wieści. Był epikurejczykiem i egoistą, ale przestając, to z Pawłem z Tarzu, to z Winicyuszem i słysząc codziennie o chrześcijanach, zmienił się nieco, choć sam o tem nie wiedział. Powiał na niego od nich jakiś wiatr, który rzucił w jego duszę nieznane ziarnka. Poza własną osobą poczęli go zajmować inni ludzie, do Winicyusza był zresztą zawsze przywiązany, gdyż w dzieciństwie kochał mocno jego matkę, a swoją siostrę, obecnie zaś, wziąwszy udział w jego sprawach, patrzył na nie jeszcze z takiem zajęciem, jakby patrzył na jakąś tragedyę.

Nie tracił nadziei, że Winicyusz uprzedził pretoryanów i uciegł z Ligią, lub w ostateczności, że ją odbił. Lecz wo-

łałby był mieć pewność, gdyż przewidywał, że może przyjdzie odpowiadać mu na rozmaite pytania, na które lepiej było być przygotowanym.

Stanąwszy przed domem Tyberyusza, wysiadł z lektyki i po chwili wszedł do atrium, napełnionego już augustyanami. Wczorajsi przyjaciele, jakkolwiek dziwiło ich, że został zaproszony, odsuwali się jeszcze od niego, lecz on posuwał się wśród nich, piękny, swobodny, niedbały i tak pewny siebie, jakby sam mógł łaski rozdawać. Niektórzy też, widząc go, zaniepokoili się w duszy, czy nie zawcześnie było okazywać mu obojętność.

Cezar udawał jednak, że go nie widzi, i nie odpowiedział na jego ukłon, udając zajętego rozmową. Natomiast Tygellin zbliżył się i rzekł:

— Dobry wieczór, arbitrze elegancyi. Czy zawsze jeszcze twierdzisz, że nie chrześcijanie Rzym spalili?

A Petroniusz wzruszył ramionami i, klepiąc go po łopatce, jak wyzwoleńca, odpowiedział:

— Ty wiesz tak dobrze, jak ja, co o tem mniemać.

— Nie śmiem porównać się z twoją mądrością.

— I poniekąd masz słuszność, bo w takim razie, gdy oto Cezar przeczyta nam nową pieśń z Troiki, musiałbyś, zamiast krzyczeć, jak paw, wypowiedzieć jakieś zdanie niedorzeczne.

Tygellin zagryzł wargi. Nie był on zbyt rad, iż Cezar postanowił wygłosić dziś nową pieśń, albowiem otwierało to pole, na którem nie mógł współzawodniczyć z Petroniuszem. Jakoż w czasie wygłaszania Neron mimowoli, skutkiem dawnego przyzwyczajenia, zwracał oczy na Petroniusza, pilnie bacząc, co w jego twarzy wyczyta. Ów zaś słuchał, podnosząc w górę brwi, miejscami potakując, miejscami natężając uwagę, jakby chciał sprawdzić, czy dobrze słyszał. I następnie to chwalił, to przyganiał, wymagając poprawek lub wypolerowania niektórych wierszy. Sam Neron czuł, że innym w wygórowanych pochwałach chodzi tylko o własne osoby, ten jeden zaś tylko zajmuje się poezyą dla samej poezyi, jeden się zna i jeśli coś pochwali, to można być pewnym, że wiersze są godne pochwały. Powoli też począł z nim rozprawiać, spierać się, a gdy wreszcie Petroniusz podał w wątpliwość trafność pewnego wyrażenia, rzekł mu:

— Zobaczysz w ostatniej pieśni, dlaczegom go użył.

— Ach! — pomyślał Petroniusz — więc doczekam ostatniej pieśni.

Niejeden zaś, słysząc to, mówił sobie w duchu:

— Biada mi! Petroniusz, mając przed sobą czas, może wrócić do łask i obalić nawet Tygellina.

I poczęto znów zbliżać się do niego. Lecz koniec wieczoru mniej był szczęśliwy, Cezar bowiem, w chwili, gdy Petroniusz go żegnał, zapytał nagle ze zmrużonemi oczyma i twarzą zarazem złośliwą i uradowaną:

— A Winicyusz czemu nie przyszedł?

Gdyby Petroniusz był pewien, że Winicyusz z Ligią są już za bramami miasta, byłby odrzekł: „Ożenił się z twego pozwolenia i wyjechał“. Lecz, widząc dziwny uśmiech Nerona, odrzekł:

— Twoje wezwanie, boski, nie znalazło go w domu.

— Powiedz mu, że rad go ujrzę — odpowiedział Neron — i powiedz mu odemnie, by nie opuszczał igrzysk, na których wystąpią chrześcijanie.

Petroniusza zaniepokoiły te słowa, wydało mu się bowiem, że odnoszą się wprost do Ligii. Siadłszy w lektykę, kazał się nieść do domu jeszcze prędzej, niż rano. Nie było to jednak rzeczą tak łatwą. Przed domem Tyberyusza stał tłum gęsty i zgiełkliwy, pijany, jak poprzednio, lecz nie rozśpiewany i nie tańczący, ale jakby wzburzony. Zdala dochodziły jakieś okrzyki, których Petroniusz nie umiał od razu zrozumieć, ale które potężniały, rosły, aż wreszcie zmieniły się w jeden dziki wrzask:

— Chrześcijanie dla lwów!!

Świetne lektyki dworaków posuwały się wśród wyjącej tłuszczy. Z głębi spalonych ulic nadbiegały coraz nowe gromady, które zasłyszawszy okrzyk, poczynały go powtarzać. Podawano sobie z ust do ust wieść, że pościg trwa już od południa, że schwytano już mnóstwo podpalaczy, i wkrótce po nowo wytkniętych i starych ulicach, po zaułkach, leżących w gruzach, naokół Palatynu, po wszystkich wzgórzach i ogrodach, rozlegały się, jak długi i szeroki Rzym, coraz wścieklejsze wrzaski:

— Chrześcijanie dla lwów!!

— Trzoda! — powtarzał z pogardą Petroniusz — lud godny Cezara!

I począł myśleć, że taki świat, oparty na przemocy, na okrucieństwie, o którem nawet barbarzyńcy nie mieli żadnego pojęcia, na zbrodniach i szalonej rozpuście, nie może się jednak ostać. Rzym był panem świata, ale i wrzodem świata. Wiało od niego trupią wonią. Na zgniłe życie padał cień śmierci. Nieraz mówiono o tem nawet między augustyanami, ale Petroniuszowi nigdy nie stanęła wyraźniej przed oczyma ta prawda, że ów uwieńczony wóz, na którym w postaci tryumfatora stoi Rzym, wlokąc za sobą spętaną trzodę narodów, idzie do przepaści. Życie światowładnego grodu wydało mu się jakimś błazeńskim korowodem i jakąś orgią, która jednak musi się skończyć.

Rozumiał teraz, że jedni tylko chrześcijanie mają jakieś nowe podstawy życia, ale sądził, że wkrótce nie pozostanie z chrześcijan ślad żaden. A wówczas co?

Błazeński korowód pójdzie dalej pod wodzą Nerona, a jeśli Neron minie, znajdzie się drugi, taki sam lub gorszy, bo wobec takiego ludu i takich patrycyuszów niema żadnego powodu, by znalazł się ktoś lepszy. Będzie nowa orgia, a w dodatku coraz plugawsza i szpetniejsza.

Orgia zaś nie może trwać wiecznie i trzeba po niej pójść spać, choćby z samego wyczerpania.

Myśląc o tem, Petroniusz sam czuł się ogromnie zmęczony. Czy warto żyć i to żyć w niepewności jutra po to tylko, by patrzeć na podobny porządek świata? Geniusz śmierci nie jest przecie mniej piękny, niż geniusz snu, i ma także skrzydła u ramion.

Lektyka zatrzymała się przed drzwiami domu, które czujny odźwierny w tej samej chwili otworzył.

— Czy szlachetny Winicyusz powrócił? — zapytał go Petroniusz.

— Przed chwilą, panie — odpowiedział niewolnik.

— A zatem jej nie odbił! — pomyślał Petroniusz.

I, zrzuciwszy togę, wbiegł do atrium. Winicyusz siedział na trójnogu, z głową pochyloną niemal do kolan i z rękami na głowie, lecz na odgłos kroków podniósł swą skamieniałą twarz, w której tylko oczy świeciły gorączkowo.

— Przybyłeś zapóźno? — spytał Petroniusz.

— Tak jest. Uwięziono ją przed południem.

Nastała chwila milczenia.

— Widziałeś ją?

— Tak.

— Gdzie jest?

— W więzieniu Mamertyńskiem.

Petroniusz wzdrygnął się i począł patrzeć na Winicyusza pytającym wzrokiem.

Ten zaś zrozumiał.

— Nie! — rzekł. — Nie wtrącono jej do Tulianum [1], ani nawet do środkowego więzienia. Przepłaciłem stróża, aby odstąpił jej swą izbę. Urzus położył się w progu i czuwa nad nią.

— Czemu Urzus jej nie obronił?

— Przysłano pięćdziesięciu pretoryanów. Zresztą Linus mu zabronił.

— A Linus?

— Linus umiera. Dlatego nie wzięto go.

— Co zamierzasz?

— Uratować ją lub umrzeć z nią razem. I ja wierzę w Chrystusa.

Winicyusz mówił niby spokojnie, ale w jego głosie było coś tak rozdzierającego, że serce Petroniusza zadrgało szczerą litością.

— Ja cię pojmuję — rzekł — ale jak ją chcesz ratować?

— Przepłaciłem stróżów, naprzód dlatego, by ratować ją od zniewag, a powtóre, by nie przeszkadzali jej w ucieczce.

— Kiedy to ma nastąpić?

— Odpowiedzieli, że nie mogą wydać mi jej natychmiast, albowiem boją się odpowiedzialności. Gdy więzienia napełnią się mnóstwem ludzi i gdy straci się rachunek więźniów, wówczas mi ją oddadzą. Ale to ostateczność! Pierwej ty ratuj ją i mnie! Jesteś przyjacielem Cezara. On sam mi ją oddał. Idź do niego i ratuj mnie!

Petroniusz, zamiast odpowiedzieć, zawołał niewolnika

---

[1]) Najniższa część więzienia, leżąca zupełnie pod ziemią, z jedynym otworem w pułapie. Tam umarł z głodu Jugurta.

i, rozkazawszy mu przynieść dwa ciemne płaszcze i dwa miecze, zwrócił się do Winicyusza.

— Po drodze ci odpowiem — rzekł. — Tymczasem weź płaszcz, weź broń i pójdźmy do więzienia. Tam daj stróżom sto tysięcy sestercyi, daj dwakroć i pięćkroć więcej, byle wypuścili Ligię natychmiast. Inaczej będzie zapóźno.

— Pójdźmy — rzekł Winicyusz.

I po chwili obaj znaleźli się na ulicy.

— A teraz słuchaj mnie — rzekł Petroniusz. — Nie chciałem tracić czasu. Jestem od dziś w niełasce. Moje własne życie wisi na włosku i dlatego nie mogę nic wskórać u Cezara. Gorzej! mam pewność, że postąpi wbrew mojej prośbie. Gdyby nie to, czyż byłbym ci radził, byś uciekał z Ligią lub odbił ją? Przecie, gdybyś ty zdołał ujść, gniew Cezara zwróciłby się na mnie. Ale on prędzejby dziś uczynił coś na twoją prośbę niż na moją, Nie licz jednak na to. Wydobądź ją z więzienia i uciekaj! Nic więcej ci nie pozostaje. Gdy się to nie uda, wówczas będzie czas na inne sposoby. Tymczasem wiedz, że Ligię uwięzili nietylko za wiarę w Chrystusa. Ją i ciebie ściga gniew Poppei. Czy ty pamiętasz, żeś obraził Augustę, żeś ją odrzucił? Ona zaś wie, żeś ją odrzucił dla Ligii, którą i tak znienawidziła od pierwszego rzutu oka. Wszakże już i poprzednio usiłowała ją zgubić, przypisując jej czarom śmierć swego dziecka. W tem, co się stało, jest ręka Poppei! Czemże wytłómaczysz, że Ligia została pierwsza uwięziona? Kto mógł wskazać dom Linusa? A ja ci mówię, że szpiegowano ją od dawna! Wiem, że ci rozdzieram duszę i odejmuję resztę nadziei, ale mówię ci to umyślnie dlatego, że jeśli jej nie uwolnisz, zanim nie wpadną na myśl, iż będziesz próbował, to zginiecie oboje.

— Tak jest! rozumiem! — odrzekł głucho Winicyusz.

Ulice z powodu późnej godziny były puste, jednak dalszą rozmowę przerwał im idący z przeciwka spity gladyator, który zatoczył się na Petroniusza, tak, iż wsparł się dłonią na jego ramieniu, oblewając mu twarz przesiąkniętym winem oddechem i wrzeszcząc ochrypłym głosem:

— Chrześcijanie dla lwów!

— Mirmilonie — ozwał się spokojnie Petroniusz — posłuchaj dobrej rady i ruszaj w swoją drogę.

Wtem pijany schwycił go i drugą ręką za ramię:

— Krzycz wraz ze mną, inaczej skręcę ci kark: chrześcijanie dla lwów!

Lecz nerwy Petroniusza miały już dosyć tych wrzasków. Od chwili wyjścia z Palatynu dusiły go one, jak zmora i rozdzierały mu uszy, więc, gdy ujrzał przytem wzniesioną nad sobą pięść olbrzyma, wyczerpała się miara jego cierpliwości.

— Przyjacielu — rzekł — cuchniesz winem i zawadzasz mi.

I tak mówiąc, wbił mu w pierś aż po rękojeść krótki mieczyk, w który uzbroił się, wychodząc z domu, poczem, wziąwszy pod rękę Winicyusza, mówił dalej, jak gdyby nic nie zaszło:

— Cezar rzekł mi dziś: „Powiedz ode mnie Winicyuszowi, żeby był na igrzyskach, na których wystąpią chrześcijanie“. Czy rozumiesz, co to znaczy? Oto chcą sobie wyprawić widowisko z twego bólu. To rzecz ułożona. Może dlatego nie uwięziono dotąd ciebie i mnie. Jeśli jej nie zdołasz natychmiast wydobyć, wówczas... nie wiem!... Może Akte wstawi się za tobą, lecz czy co wskóra?... Twoje ziemie sycylijskie mogłyby także skusić Tygellina. Próbuj.

— Oddam mu wszystko, co posiadam — odpowiedział Winicyusz.

Z Karyn na Forum nie było zbyt daleko, wkrótce więc doszli. Noc już poczęła blednąć i mury zamku wychylały się wyraźnie z cienia.

Nagle, gdy skręcili ku Mamertyńskiemu więzieniu, Petroniusz stanął i rzekł:

— Pretoryanie!... Zapóźno!...

Jakoż więzienie otaczał podwójny szereg żołnierzy. Brzask srebrzył żelazne ich hełmy i ostrza włóczni.

Twarz Winicyusza stała się blada, jak marmur.

— Pójdźmy — rzekł.

Po chwili stanęli przed szeregiem. Petroniusz, który, obdarzony niezwykłą pamięcią, znał nietylko starszyznę, ale wszystkich niemal żołnierzy pretoryi, wnet ujrzał znajomego sobie dowódcę kohorty i skinął na niego.

— A co to, Nigrze? — rzekł — kazano wam pilnować więzienia?

— Tak jest, szlachetny Petroniuszu. Prefekt obawiał się, by nie próbowano odbić podpalaczy.

— Czy macie rozkaz nie wpuszczać nikogo? — spytał Winicyusz.

— Nie, panie. Znajomi będą odwiedzali uwięzionych i w ten sposób wyłapiemy więcej chrześcijan.

— Zatem mnie wpuść — rzekł Winicyusz.

I, ścisnąwszy dłoń Petroniusza, rzekł mu:

— Zobacz Akte, a ja przyjdę dowiedzieć się, jaką ci dała odpowiedź....

— Przyjdź — odpowiedział Petroniusz.

W tej chwili pod ziemią i za grubymi murami ozwało się śpiewanie. Pieśń, zrazu głucha i stłumiona, rosła coraz bardziej. Głosy męskie, kobiece i dziecinne łączyły się w jeden zgodny chór. Całe więzienie poczęło w ciszy świtania śpiewać, jak harfa. Lecz nie były to głosy żałości, ni rozpaczy. Owszem, brzmiała w nich radość i tryumf.

Żołnierze spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Na niebie zjawiły się pierwsze złote i różowe blaski jutrzni.

ROZDZIAŁ LII.

Okrzyk: „Chrześcijanie dla lwów!“ rozlegał się ciągle we wszystkich dzielnicach miasta. W pierwszej chwili nietylko nikt nie wątpił, że oni byli prawdziwymi sprawcami klęski, ale nikt nie chciał wątpić, albowiem kara ich miała być zarazem wspaniałą zabawą dla ludu. Lecz rozszerzyło się mniemanie, że klęska nie przybrałaby tak straszliwych rozmiarów, gdyby nie gniew bogów, nakazano więc w świątyniach „piacula“, czyli ofiary oczyszczalne. Z porady ksiąg Sybilijskich senat urządził uroczystości i publiczne modły do Wulkana, do Cerery i do Prozerpiny. Matrony składały ofiary Junonie; cała ich procesya udała się aż na brzeg morza, by zaczerpnąć wody i skropić nią posąg bogini. Zamężne niewiasty przygotowywały uczty bogom [1]) i nocne czuwania. Cały Rzym oczyszczał się z grzechów, składał ofiary i przejednywał Nieśmiertelnych. A tymczasem wśród zgliszcz wytykano nowe

---

[1]) Selisteria v. Lectisteria.

szerokie ulice. Tu i owdzie pozakładano już fundamenta wspaniałych domów, pałaców i świątyń. Przedewszystkiem jednak budowano z niesłychanym pośpiechem ogromne drewniane amfiteatra, w których mieli konać chrześcijanie. Zaraz po naradzie w domu Tyberyusza poszły rozkazy do prokonsulów, aby dostarczyli dzikich zwierząt. Tygellinus opustoszył wiwarya wszystkich miast italskich, nie wyłączając pomniejszych. W Afryce urządzono z jego polecenia olbrzymie łowy, w których cała miejscowa ludność musiała brać udział. Sprowadzono słonie i tygrysy z Azyi, krokodyle i hipopotamy z Nilu, lwy z Atlasu, wilki i niedźwiedzie z Pirenejów, zaciekłe psy z Hibernii, psy molosy z Epiru, bawoły i olbrzymie srogie tury z Germanii. Z powodu ilości uwięzionych igrzyska miały przejść ogromem wszystko, co dotychczas widziano. Cezar zapragnął zatopić wspomnienia pożaru w krwi i upoić nią Rzym, więc nigdy rozlew nie zapowiadał się wspanialej.

Rozochocony lud pomagał „wigilom" i pretoryanom w pościgu chrześcijan. Nie było to rzeczą trudną, gdyż całe ich gromady, obozując jeszcze wraz z inną ludnością wśród ogrodów — wyznawały głośno swą wiarę. Gdy ich otaczano, klękali i, śpiewając pieśni, pozwalali się porywać bez oporu. Lecz cierpliwość ich zwiększała tylko gniew ludu, który, nie rozumiejąc jej źródła, poczytywał ją za zaciekłość i zatwardziałość w zbrodni. Szał ogarnął prześladowców. Zdarzało się, że czerń wyrywała chrześcijan z rąk pretoryanów i rozszarpywała ich rękoma; kobiety ciągnięto za włosy do więzień, dzieciom rozbijano głowy o kamienie. Tysiące ludzi dniem i nocą przebiegało z wyciem ulice. Szukano ofiar wśród zgliszcz, w kominach i w piwnicach. Przed więzieniami wyprawiano przy ogniskach, naokół beczek z winem, bachiczne uczty i tańce. Wieczorami słuchano z upojeniem podobnych do grzmotu ryków, którymi rozbrzmiewało całe miasto. Więzienia przepełnione były tysiącami ludzi, codzień zaś czerń i pretoryanie przypędzali nowe ofiary. Litość zgasła. Zdawało się, że ludzie zapomnieli mówić i w dzikiem obłąkaniu zapamiętali tylko jeden okrzyk: „Chrześcijanie dla lwów!" Przyszły dziwnie znojne dni i noce tak duszne, jakich nigdy przedtem nie bywało: samo powietrze było jakby nasiąknięte szałem, krwią, zbrodnią.

A owej przebranej mierze okrucieństw odpowiadała ró-

wnież przebrana miara żądzy męczeństwa. Wyznawcy Chrystusa szli dobrowolnie na śmierć lub nawet szukali jej, póki ich nie powstrzymały surowe rozkazy zwierzchników. Z polecenia ich poczęto zbierać się już tylko za miastem, w podziemiach na drodze Appijskiej i w winnicach podmiejskich, należących do patrycyuszów-chrześcijan, z pośród których nie uwięziono dotąd nikogo. Na Palatynie wiedziano doskonale, że do wyznawców Chrystusa należą: i Flawiusz, i Domitylla, i Pomponia Grecyna, i Korneliusz Pudens, i Winicyusz; sam Cezar obawiał się jednak, że czerń nie da wmówić w siebie, by tacy ludzie podpalili Rzym, że zaś chodziło przedewszystkiem o przekonanie ludu, więc karę i zemstę odłożono na dni dalsze. Inni mniemali, że owych patrycyuszów ocalił wpływ Akte. Mniemanie było błędne. Petroniusz po rozstaniu się z Winicyuszem, udał się wprawdzie do Akte o pomoc dla Ligii, lecz ona mogła mu ofiarować jeno łzy, żyła bowiem w zapomnieniu i w bólu, o tyle tylko cierpiana, o ile kryła się przed Poppeą i Cezarem.

Odwiedziła jednak Ligię w więzieniu, przyniosła jej odzież i żywność, a nadewszystko ochroniła ją tembardziej od zniewag ze strony i tak już przekupionych stróżów więziennych.

Wszelako Petroniusz, nie mogąc zapomnieć, że, gdyby nie on i nie jego pomysły odebrania Ligii z domu Aulusów, to prawdopodobnie nie byłaby obecnie w więzieniu, a prócz tego pragnąc wygrać grę z Tygellinem, nie szczędził czasu, ni zabiegów. W ciągu kilku dni widział się z Seneką, z Domicyuszem Afrem, z Krispinillą, przez którą chciał trafić do Poppei, z Terpnosem, z Dyodorem, z pięknym Pitagoresem, a nakoniec z Aliturem i Parysem, którym zazwyczaj nie odmawiał Cezar niczego. Za pomocą Chryzotemis, która była obecnie kochanką Watyniusza, starał sobie zjednać nawet i jego pomoc, nie szczędząc i jemu i innym zarówno obietnic, jak pieniędzy.

Lecz wszystkie te usiłowania pozostały bez skutku. Seneka, niepewny własnego jutra, począł mu przekładać, że chrześcijanie, jeśli nawet istotnie nie spalili Rzymu, powinni być wytępieni dla jego dobra, słowem: usprawiedliwiał przyszłą rzeź racyą stanu. Terpnos i Dyodor wzięli pieniądze i nie uczynili w zamian nic. Watyniusz doniósł Cezarowi, że

usiłowano go przekupić, jeden tylko Aliturus, który z początku wrogo usposobiony dla chrześcijan, żałował ich obecnie, ośmielił się wspomnieć Cezarowi o uwięzionej dziewczynie i prosić za nią, lecz nie otrzymał nic, prócz odpowiedzi:

— Zali mniemasz, że mniejszą mam duszę, niż Brutus, który dla dobra Rzymu nie oszczędził własnych synów?

I gdy powtórzył tę odpowiedź Petroniuszowi, ten rzekł:

— Skoro znalazł porównanie z Brutusem, to niema już ratunku.

Żal mu jednak było Winicyusza i brał go strach, czy on nie targnie się na własne życie. „Teraz — mówił sobie — podtrzymują go jeszcze zabiegi, które czyni dla jej ratunku, jej widok i sama męka, lecz gdy wszystkie sposoby zawiodą i zgaśnie ostatnia iskra nadziei, na Kastora! on jej nie przeżyje i rzuci się na miecz". Petroniusz pojmował nawet lepiej, że można tak skończyć, niż, że można tak pokochać i tak cierpieć. Tymczasem Winicyusz czynił jeszcze wszystko, na co mógł zdobyć się jego umysł, by uratować Ligię. Odwiedzał augustyanów i on, tak niegdyś dumny, żebrał teraz ich pomocy. Przez Witeliusza ofiarował Tygellinowi swoje ziemie sycylijskie i wszystko, czegoby zażądał, Tygellinus jednak, nie chcąc zapewne narazić się Auguście, odmówił. Pójść do samego Cezara, objąć mu kolana i błagać, nie prowadziło do niczego, Winicyusz chciał wprawdzie i to uczynić, lecz Petroniusz, usłyszawszy o zamiarze, zapytał:

— A jeśli ci odmówi, jeśli odpowie żartem lub groźbą bezecną, co uczynisz?

Na to rysy Winicyusza ściągnęły się bólem i wściekłością, a ze zwartych szczęk począł się wydobywać zgrzyt.

— Tak! — rzekł Petroniusz — dlatego ci odradzam. Zamkniesz wszystkie drogi ocalenia!

Lecz Winicyusz pohamował się, i wodząc dłonią po czole, pokrytem zimnym potem, rzekł:

— Nie! nie! Jestem chrześcijaninem!...

— I zapomnisz o tem, jak zapomniałeś przed chwilą. Masz prawo zgubić siebie, ale nie ją. Pamiętaj, przez co przeszła przed śmiercią córka Sejana.

I tak mówiąc, nie był zupełnie szczerym, chodziło mu bowiem więcej o Winicyusza niż o Ligię. Ale wiedział, że niczem nie powstrzyma go tak od niebezpiecznego kroku, jak

przedstawiając mu, że mógłby on przynieść nieodwołalną zgubę Ligii. Zresztą, miał słuszność, gdyż na Palatynie przewidywano przyjście młodego trybuna i przedsięwzięto odpowiednie środki ostrożności.

Jednakże męka Winicyusza przeszła wszystko, co siły ludzkie znieść mogą. Od chwili, gdy Ligia była uwięziona i gdy padł na nią blask przyszłego męczeństwa, nietylko pokochał ją stokroć więcej, ale po prostu począł jej oddawać w duszy cześć niemal religijną, jakby nadziemskiej istocie. A teraz na myśl, że tę istotę i ukochaną i zarazem świętą, musi stracić i że prócz śmierci spaść mogą na nią męczarnie od samej śmierci straszniejsze, krew stygła mu w żyłach, dusza zmieniała się w jeden jęk, mieszały się zmysły. Chwilami zdawało mu się, że czaszkę wypełnia mu żywy ogień, który ją spali lub rozsadzi. Przestał rozumieć, co się dzieje, przestał rozumieć, dlaczego Chrystus, ów miłosierny! ów Bóg! nie przychodzi w pomoc swym wyznawcom, dlaczego okopcone mury Palatynu nie zapadają się pod ziemię, a z nimi razem Neron, augustyanie, obóz pretoryanów i całe to miasto zbrodni. Mniemał, że nie może i nie powinno być inaczej, i że to wszystko, na co patrzą jego oczy, od czego łamie się dusza i skowyczy serce, to sen. Lecz ryk zwierząt mówił mu, że to rzeczywistość; huk siekier, z pod których wyrastały areny, mówił mu, że to rzeczywistość, a potwierdzały ją wycie ludu i przepełnione więzienia. Wówczas przerażała się w nim wiara w Chrystusa i to przerażenie było nową męką, może ze wszystkich najstraszniejszą.

A tymczasem Petroniusz mówił mu:

— Pamiętaj, przez co przed śmiercią przeszła córka Sejana.

ROZDZIAŁ LIII.

I wszystko zawiodło. Winicyusz zniżył się do tego stopnia, że szukał poparcia u wyzwoleńców i niewolnic, tak Cezara jak i Poppei, przepłacał ich czcze obietnice, zjednywał sobie bogatymi podarkami ich względy. Odnalazł pierwszego męża Augusty, Rufiusa Kryspinusa i uzyskał od niego list; podarował willę w Ancyum synowi jej z pierwszego małżeń-

stwa, Rufiusowi, lecz rozgniewał tem tylko Cezara, który pasierba nienawidził. Przez umyślnego gońca pisał do drugiego męża Poppei, Othona, do Hiszpanii, ofiarował całe swe mienie i siebie samego, aż wreszcie spostrzegł, że był tylko igraszką ludzi, i że, gdyby był udawał, iż więzienie Ligii mało go obchodzi, byłby ją prędzej uwolnił.

Toż samo spostrzegł i Petroniusz. Tymczasem płynął dzień za dniem. Amfiteatra były skończone. Rozdawano już „tessery“, to jest znaki wejścia na „ludus matutinus“. Lecz tym razem igrzysko „poranne“ z powodu niesłychanej ilości ofiar, miało się rozciągnąć na dnie, tygodnie i miesiące. Nie wiedziano już gdzie mieścić chrześcijan. Więzienia były natłoczone i srożyła się w nich gorączka. „Puticuli“, to jest wspólne doły, w których chowano niewolników, poczęły się przepełniać. Powstała obawa, by choroby nie rozszerzyły się na całe miasto, więc postanowiono się śpieszyć.

A wszystkie owe wieści odbijały się o uszy Winicyusza, gasząc w nim ostatnie przebłyski nadziei. Póki był czas, mógł się łudzić, że coś jeszcze wskóra, ale teraz nie było już i czasu. Widowiska miały się rozpocząć. Ligia lada dzień mogła się znaleźć w „cuniculum“ cyrkowem, skąd wyjście było już tylko na arenę. Winicyusz, nie wiedząc, gdzie rzuci ją los i okrucieństwo przemocy, począł obchodzić wszystkie cyrki, przekupywać stróżów i „bestyaryów“, stawiając im żądania, których nie mogli spełnić. Czasem spostrzegał się, że już pracuje tylko nad tem, by jej uczynić śmierć mniej straszną i wówczas to właśnie czuł, że zamiast mózgu ma rozżarzone węgle pod czaszką.

Nie myślał zresztą jej przeżyć i postanowił zginąć z nią razem. Lecz sądził, że ból może wypali w nim życie, zanim straszliwy termin nadejdzie. Jego przyjaciele i Petroniusz mniemali również, iż lada dzień otworzy się przed nim królestwo cieniów. Twarz Winicyusza zczerniała i stała się podobną do owych woskowych masek, które trzymano w „lararyach“. W rysach zastygło mu zdumienie, jak gdyby nie rozumiał, co się stało i co się stać może. Gdy ktoś do niego mówił, podnosił mechanicznym ruchem ręce do głowy i ściskając dłońmi skronie, patrzył na mówiącego wzrokiem przerażonym i pytającym. Noce spędzał wraz z Urzusem pod drzwiami Ligii, w więzieniu, jeśli zaś kazała mu odejść i spocząć, wra-

cał do Petroniusza i przechadzał się do rana po atrium. Niewolnicy znajdowali go też często klęczącego, ze wzniesionemi rękoma, lub leżącego twarzą do ziemi. Modlił się do Chrystusa, gdyż to była ostatnia nadzieja. Wszystko zawiodło. Ligię mógł ocalić tylko cud, więc Winicyusz bił czołem w kamienne płyty i prosił o cud.

Lecz pozostało mu jeszcze tyle świadomości, że rozumiał, iż modlitwa Piotra więcej znaczy niż jego. Piotr mu przyobiecał Ligię, Piotr go chrzcił, Piotr sam czynił cuda, niechże mu da ratunek i wspomożenie.

I pewnej nocy poszedł go szukać. Chrześcijanie, których niewielu już zostało, ukrywali go teraz starannie nawet jedni przed drugimi, aby ktoś ze słabszych duchem nie zdradził go mimowolnie lub umyślnie. Winicyusz wśród ogólnego zamieszania i pogromu, zajęty przytem całkiem zabiegami o wydobycie Ligii z więzienia, stracił Apostoła z oczu, tak, iż od czasu swego chrztu, spotkał go zaledwie raz jeden, jeszcze przed rozpoczęciem pościgu. Lecz udawszy się do owego fossora, w którego chacie został ochrzczony, dowiedział się od niego, że w winnicy leżącej za porta Salaria, należącej do Korneliusza Pudensa, odbędzie się zebranie chrześcijan. Fossor podejmował się wprowadzić na nie Winicyusza, upewniając go, że znajdą na niem Piotra. Jakoż o zmroku wyszli i przedostawszy się za mury, a następnie idąc wśród wądołów zarosłych trzciną, dostali się do winnicy, położonej dziko i ustronnie. Zgromadzenie odbywało się w szopie, w której zwykle wytłaczano wino. Do uszu Winicyusza doszedł na wstępie szmer modlitwy, wszedłszy zaś, ujrzał przy mdłem świetle latarek kilkadziesiąt postaci klęczących i pogrążonych w modlitwie. Odmawiały one rodzaj litanii, chór głosów, zarówno męskich jak kobiecych, powtarzał co chwila: „Chryste zmiłuj się“. Drgał w tych głosach głęboki, rozdzierający smutek i żal.

Piotr był obecny. Klęczał na przodzie, przed drewnianym krzyżem, przybitym do ściany szopy i modlił się. Winicyusz rozpoznał zdala jego białe włosy i wzniesione ręce. Pierwszą myślą młodego patrycyusza było przejść przez gromadę, rzucić się do nóg Apostoła i krzyczeć: „ratuj!“ lecz czy to uroczystość modlitwy, czy osłabienie ugięło pod nim kolana, więc klęknąwszy u wejścia, począł powtarzać z jękiem i z zaciśnionemi dłońmi: „Chryste zmiłuj się!“ Gdyby

był przytomny, byłby zrozumiał, że nietylko w jego prośbie brzmiał jęk i że nie on tylko przyniósł tu swój ból, swój żal i swoją trwogę. Nie było w tem zebraniu jednej duszy ludzkiej, któraby nie straciła drogich sercu istot, a gdy najgorliwsi i najpełniejsi odwagi z wyznawców byli już uwięzieni, gdy z każdą chwilą rozchodziły się nowe wieści o zniewagach i mękach, jakie zadawano im w więzieniach, gdy ogrom klęski przerósł wszelkie przypuszczenia, gdy została już ta garść tylko, nie było wśród niej jednego serca, któreby nie przeraziło się w wierze i nie pytało w zwątpieniu: gdzie Chrystus? i czemu zezwala, by zło stało się potężniejsze od Boga?

Lecz tymczasem błagali Go jeszcze z rozpaczą o miłosierdzie, bo w każdej duszy tliła się dotąd iskra nadziei, że przyjdzie, zetrze zło, strąci w przepaść Nerona i zapanuje nad światem... Jeszcze patrzyli w niebo, jeszcze nasłuchiwali, jeszcze modlili się ze drżeniem. Winicyusza również, w miarę jak powtarzał: „Chryste, zmiłuj się!“ poczęło ogarniać uniesienie, takie, jak niegdyś w chacie fossora. Oto wołają Go z głębi bólu, z otchłani, oto woła Go Piotr, więc lada chwila rozedrze się niebo, ziemia zadrży w posadach i zstąpi On, w blasku niezmiernym, z gwiazdami u stóp, miłosierny, lecz i groźny, któren wywyższy swych wiernych i każe przepaściom pożreć prześladowców.

Winicyusz zakrył twarz rękoma i przypadł do ziemi. Naraz otoczyła go cisza, jak gdyby bojaźń uwięziła dalsze wołanie w ustach wszystkich obecnych. I zdawało mu się, że musi się koniecznie coś stać, że nastąpi chwila cudu. Był pewien, że gdy się podniesie i otworzy oczy, ujrzy światło, od którego ślepną śmiertelne źrenice, i usłyszy głos, od którego mdleją serca.

Lecz cisza trwała ciągle. Przerwało ją nakoniec łkanie kobiece.

Winicyusz podniósł się i począł patrzeć osłupiałym wzrokiem przed siebie.

W szopie, zamiast blasków zaziemskich, migotały nikłe płomyki latarek, i promienie księżyca, wchodzące przez otwór w dachu, napełniały ją srebrnem światłem. Ludzie, klęczący obok Winicyusza, wznosili w milczeniu zalane łzami oczy ku krzyżowi; tu i owdzie ozwały się inne łkania, a z zewnątrz

dochodziło ostrożne pogwizdywanie strażników. Wtem Piotr wstał i zwróciwszy się do gromady, rzekł:

— Dzieci, podnieście serca ku Zbawicielowi naszemu i ofiarujcie mu wasze łzy.

I umilkł.

Nagle wśród zgromadzonych ozwał się głos kobiecy, pełen żałosnej skargi i bólu bez granic:

— Ja, wdowa, jednego syna miałam, który mnie żywił... Wróć mi go, panie!

Nastała powtórnie chwila ciszy. Piotr stał przed klęczącą gromadą, stary, stroskany i wydawał się im w tej chwili jakby uosobieniem zgrzybiałości i niemocy.

Wtem począł się skarżyć drugi głos:

— Kaci znieważyli córki moje i Chrystus na to pozwolił!

Poczem trzeci:

— Zostałam sama z dziećmi, a gdy mnie porwą, kto da im chleba i wody?

Poczem czwarty:

— Linusa, którego zaniechali, wzięli znowu i położyli na męki, panie!

Poczem piąty:

— Gdy wrócimy do domów, pochwycą nas pretoryanie. Nie wiemy, gdzie się ukryć.

— Biada nam! Kto nas osłoni?

I tak w ciszy nocnej brzmiała skarga za skargą. Stary rybak przymknął oczy i trząsł swą białą głową nad tym ludzkim bólem i trwogą. Zapadło znów milczenie, tylko strażnicy poświstywali z cicha za szopą.

Winicyusz zerwał się znowu, by przedrzeć się przez gromadę do Apostoła i zażądać od niego ratunku, lecz nagle ujrzał przed sobą jakby przepaść, której widok obezwładnił jego nogi. Co będzie, jeśli Apostoł wyzna swoją niemoc, jeśli stwierdzi, że Cezar rzymski potężniejszy jest, niż Chrystus Nazareński? I na tę myśl przerażenie podjęło mu włosy na głowie, gdyż uczuł, że wówczas w tę przepaść wpadnie nietylko reszta jego nadziei, ale i on sam, i jego Ligia, i jego miłość do Chrystusa, i jego wiara, i wszystko, czem żył, a pozostanie tylko śmierć i noc, jako morze, bezbrzeżna.

A tymczasem Piotr zaczął mówić głosem z początku tak cichym, że ledwie można go było dosłyszeć:

— Dzieci moje! Na Golgocie widziałem, jak Boga przybijali do krzyża. Słyszałem młoty i widziałem, jak podnieśli krzyż do góry, aby rzesze patrzyły na śmierć Syna człowieczego...

. . . .

...I widziałem, jak mu otworzyli bok i jak umarł. A wówczas, wracając od krzyża, wołałem w boleści, jako wy wołacie: „Biada! biada! Panie! Tyś Bóg! czemużeś na to pozwolił, czemuś umarł i czemuś utrapił nam serca, którzyśmy wierzyli, że przyjdzie królestwo Twoje?“...

...A On, Pan nasz i Bóg nasz, trzeciego dnia zmartwychwstał i był między nami, póki w wielkiej światłości nie wstąpił do królestwa swego...

A my, poznawszy małą wiarę naszą, umocniliśmy się w sercach i odtąd siejemy ziarno Jego...

. . . .

Tu, zwróciwszy się w stronę, skąd wyszła pierwsza skarga, począł mówić silniejszym już głosem:

— Czemu się skarżycie?... Bóg sam poddał się męce i śmierci, a wy chcecie, by was przed nią osłonił? Ludzie małej wiary! zaliście podjęli Jego naukę, zali On wam to jedno życie obiecał? Oto przychodzi do was i mówi wam: „Pójdźcie drogą moją“, oto podnosi was ku sobie, a wy czepiacie się ziemi rękoma, wołając: „Panie ratuj!“ Ja proch przed Bogiem, lecz wobec was Apostoł Boży i namiestnik, mówię wam w imię Chrystusa: Nie śmierć przed wami, lecz życie, nie męki, lecz nieprzebrane rozkosze, nie łzy i jęki, lecz śpiewanie, nie niewola, lecz królowanie! Ja, Apostoł Boży, mówię tobie, wdowo: syn twój nie umrze, jeno narodzi się w chwale na życie wieczne i połączysz się z nim! Tobie, ojcze, któremu kaci splamili córki niewinne, obiecuję, że odnajdziesz je bielsze od lilii Hebronu! Wam, matki, które porwą od sierót, wam, którzy stracicie ojców, wam, którzy się skarżycie, wam, którzy będziecie patrzeć na śmierć umiłowanych, wam, stroskani, nieszczęśliwi, trwożni, i wam, mający umrzeć, w imię Chrystusa, powiadam, iż zbudzicie się jako ze snu na szczęsne czuwanie i jako z nocy na świt boży. W imię Chrystusa, niech spadnie bielmo z oczu waszych i rozgoreją serca!

To rzekłszy, podniósł dłoń, jak gdyby rozkazywał, a oni uczuli nową krew w żyłach i zarazem dreszcz w kościach, bo stał już przed nimi nie starzec zgrzybiały i strapiony, ale mocarz, który brał ich dusze i dźwigał je z prochu i trwogi.

— Amen! — zawołało kilka głosów.

Jemu zaś z oczu bił blask coraz większy i szła od niego siła, szedł majestat, szła świętość. Głowy chyliły się przed nim, a on, gdy umilkło „amen!“ mówił dalej:

— Siejcie w płakaniu, abyście zbierali w weselu. Czemu lękacie się mocy złego? Nad ziemią, nad Rzymem, nad murami miast jest Pan, który zamieszkał w was. Kamienie zwilgną od łez, piasek przesiąknie krwią, pełne będą doły ciał waszych, a ja wam powiadam: wyście zwycięzcy! Pan idzie na podbój tego miasta zbrodni, ciemięstwa i pychy, a wyście legia Jego! I jako sam odkupił męką i krwią grzechy świata, tak chce, abyście wy odkupili męką i krwią to gniazdo nieprawości!... To wam oznajmia przez wargi moje!

I rozłożył ręce, a oczy utkwił w górze, im zaś serca przestały prawie bić w piersi, albowiem uczuli, że wzrok jego widzi coś, czego nie mogą dojrzeć ich śmiertelne źrenice.

Jakoż twarz mu się zmieniła i oblała się jasnością, i patrzył czas jakiś w milczeniu, jakby oniemiał z zachwytu, lecz po chwili usłyszano jego głos:

— Jesteś, Panie, i ukazujesz mi drogi swoje!... Jakto, o Chryste!... Nie w Jeruzalem, ale w tym grodzie szatana chcesz założyć stolicę Twoją? Tu, z tych łez i z tej krwi chcesz zbudować Kościół Twój? Tu, gdzie dziś włada Neron, ma stanąć wieczyste królestwo Twoje? O, Panie, Panie! I każesz tym trwożnym, aby z kości swych zbudowali fundament pod Syon świata, a duchowi memu każesz objąć rząd nad nim i nad ludami ziemi?... I oto zlewasz zdrój mocy na słabych, aby się stali silni, i oto każesz mi paść stąd baranki Twoje, aż do spełnienia wieków... O, bądźże pochwalony w wyrokach Twoich, który każesz zwyciężać. Hosanna! Hosanna!...

Ci, którzy byli trwożni, powstali, w tych, którzy zwątpili, wpłynęły strumienie wiary. Jedne głosy zawołały naraz: „Hosanna!“ inne: „pro Christo!“ poczem zapadła cisza. Jasne letnie błyskawice rozświecały wnętrze szopy i twarze pobladłe ze wzruszenia.

Piotr, zapatrzony w widzenie, modlił się jeszcze długo, lecz nakoniec zbudził się, zwrócił do gromady swą natchnioną, pełną światła głowę i rzekł:

— Oto, jako Pan zwyciężył w was zwątpienie, tak i wy idźcie zwyciężać w imię Jego!

I chociaż wiedział już, że zwyciężą, choć wiedział, co wyrośnie z ich łez i krwi, jednak głos zadrgał mu wzruszeniem, gdy począł żegnać ich krzyżem i mówił:

— A teraz błogosławię was, dzieci moje, na mękę, na śmierć, na wieczność!

Lecz oni opadli go, wołając: „My już gotowi, ale ty święta głowo chroń się, albowiem tyś jest namiestnik, który sprawuje rząd Chrystusów!“ I tak mówiąc, czepiali się jego szat, on zaś kładł ręce na ich głowach i żegnał każdego z osobna, równie jak ojciec żegna dzieci, które wysyła w podróż daleką.

I zaraz poczęli wychodzić z szopy, albowiem pilno już im było do domów, a z nich do więzień i na areny. Umysły ich oderwały się od ziemi, dusze wzięły lot ku wieczności i szli, jakby w śnie lub w zachwyceniu, przeciwstawiać tę siłę, która w nich była, sile i okrucieństwu „bestyi“.

Apostoła zaś wziął Nereusz, sługa Pudensa, i wiódł go ukrytą w winnicy ścieżką do swego domu. Lecz wśród jasnej nocy, postępował za nimi Winicyusz i gdy wreszcie doszli do nereuszowej chaty, rzucił się nagle do nóg Apostoła.

Ów zaś, poznawszy go, zapytał:

— Czego żądasz, synu?

Ale Winicyusz, po tem, co słyszał w szopie, nie śmiał go już o nic błagać, tylko objąwszy obiema rękami jego stopy, przyciskał do nich ze łkaniem czoło, wzywając w ten niemy sposób litości.

Ów zaś rzekł:

— Wiem. Wzielić dzieweczkę, którą umiłowałeś. Módl się za nią.

— Panie! — jęknął Winicyusz, obejmując jeszcze silniej stopy Apostoła. — Panie! jam robak lichy, aleś ty znał Chrystusa, ty Go błagaj, ty wstaw się za nią.

I drżał z bólu, jak liść i bił czołem w ziemię, albowiem poznawszy moc Apostoła, wiedział, iż on jeden może mu ją powrócić.

A Piotr wzruszył się tą boleścią. Przypomniał sobie, jak niegdyś Ligia, zgromiona przez Kryspusa, leżała tak samo u jego nóg, żebrząc litości. Przypomniał sobie, że ją podniósł i pocieszył, więc teraz podniósł Winicyusza.

— Synaczku — rzekł — będę się modlił za nią, lecz ty pomnij, com mówił tamtym wątpiącym: że sam Bóg przeszedł przez mękę krzyżową i pomnij, że po tem życiu zaczyna się inne, wieczyste.

— Ja wiem!... jam słyszał — odparł Winicyusz, łowiąc w pobladłe usta powietrze — ale, widzisz, panie... nie mogę! Jeśli potrzeba krwi, proś Chrystusa, aby wziął moją... Jam żołnierz. Niech mi podwoi, niech potroi mękę dla niej przeznaczoną, wytrzymam! ale niech ją ocali! To jeszcze dziecko, panie! a On mocniejszy od Cezara, wierzę! mocniejszy!... Tyś ją sam miłował. Tyś nam błogosławił! To jeszcze dziecko niewinne!...

Tu znów pochylił się i, przyłożywszy twarz do kolan Piotra, począł powtarzać:

— Tyś znał Chrystusa, panie! tyś znał, On ciebie wysłucha! Wstaw się za nią!

A Piotr przymknął powieki i modlił się żarliwie.

Letnie błyskawice poczęły znów rozświecać niebo. Winicyusz wpatrywał się przy ich blasku w usta Apostoła, czekając z nich wyroku życia lub śmierci. W ciszy słychać było przepiórki nawołujące się po winnicach i głuchy, daleki odgłos deptaków, leżących przy via Salaria.

— Winicyuszu — zapytał wreszcie Apostoł — wierzysz-li ty?

— Panie, czyżbym inaczej tu przyszedł? — odpowiedział Winicyusz.

— Tedy wierz do końca, albowiem wiara góry porusza. Więc choćbyś widział onę dzieweczkę pod mieczem kata, albo w paszczęce lwa, wierz jeszcze, że Chrystus może ją zbawić. Wierz i módl się do Niego, a ja będę się modlił wraz z tobą.

Poczem, podniósłszy twarz ku niebu, mówił głośno:

— Chryste miłosierny, spojrz na ono serce zbolałe i pociesz je! Chryste miłosierny, pomiarkuj wiatr do wełny jagnięcia! Chryste miłosierny, któryś prosił Ojca, aby odwrócił kielich goryczy od ust Twoich, odwróć go od ust tego sługi Twego! Amen!

A Winicyusz, wyciągając ręce ku gwiazdom, mówił jęcząc:

— O Chryste! jam twój! Weź mnie za nią!

Na wschodzie niebo poczęło bieleć.

ROZDZIAŁ LIV.

Winicyusz, opuściwszy Apostoła, szedł do więzienia z odrodzonem przez nadzieję sercem. Gdzieś, w głębi duszy, krzyczała mu jeszcze rozpacz i przerażenie, lecz on tłumił w sobie te głosy. Wydało mu się niepodobieństwem, by wstawiennictwo Bożego namiestnika i potęga jego modlitwy miały pozostać bez skutku. Bał się nie mieć nadziei, bał się wątpić. „Będę wierzył w miłosierdzie Jego — mówił do siebie — choćbym ją ujrzał w paszczy lwa". I na tę myśl, choć drżała w nim dusza i pot zimny oblewał mu skronie, wierzył. Każde uderzenie jego serca było teraz modlitwą. Poczynał rozumieć, że wiara góry porusza, albowiem poczuł w sobie jakąś dziwną siłę, której nie odczuwał przedtem. Zdawało mu się, że potrafi nią dokonać takich rzeczy, które jeszcze wczoraj nie były w jego mocy. Chwilami miał wrażenie, jakby złe już minęło. Gdy rozpacz odzywała się jeszcze jękiem w jego duszy, przypominał sobie tę noc i tę świętą sędziwą twarz, wzniesioną ku niebu w modlitwie. „Nie! Chrystus nie odmówi pierwszemu uczniowi swemu i pasterzowi trzody! Chrystus mu nie odmówi, a ja nie zwątpię". I biegł do więzienia, jak zwiastun dobrej nowiny.

Lecz tu czekała go rzecz niespodziewana.

Straże pretoryańskie, zmieniające się przy Mamertyńskiem więzieniu, znały go już wszystkie i zwykle nie czyniono mu najmniejszych trudności, lecz tym razem łańcuch się nie otworzył, a natomiast setnik zbliżył się ku niemu i rzekł:

— Wybacz, szlachetny trybunie, mamy dziś rozkaz nie wpuszczać nikogo.

— Rozkaz? — powtórzył, blednąc, Winicyusz.

Żołnierz spojrzał na niego ze współczuciem i odrzekł:

— Tak, panie. Rozkaz Cezara. W więzieniu dużo jest

chorych i być może, iż obawiają się, aby przychodnie nie roznieśli zarazy po mieście.

— Lecz mówiłeś, że rozkaz na dziś tylko?

— W południe zmieniają się straże.

Winicyusz zamilkł i odkrył głowę, albowiem zdawało mu się, że „pileolus“, który miał na niej, jest z ołowiu.

Wtem żołnierz zbliżył się i rzekł przyciszonym głosem:

— Uspokój się, panie. Stróże i Urzus czuwają nad nią.

To rzekłszy, pochylił się i w mgnieniu oka nakreślił na kamiennej płycie swym długim gallijskim mieczem kształt ryby.

Winicyusz spojrzał na niego bystro.

— ...I jesteś pretoryaninem?...

— Póki nie będę tam — odrzekł żołnierz, wskazując na więzienie.

— I ja czczę Chrystusa.

— Niech będzie pochwalone imię Jego! Wiem, panie. Nie mogę cię wpuścić do więzienia, lecz jeśli napiszesz list, oddam go stróżom.

— Dzięki ci, bracie!...

I, ścisnąwszy rękę żołnierza, odszedł. „Pileolus“ przestał mu ciężyć ołowiem. Słońce ranne podniosło się nad mury więzienia, a razem z jego jasnością poczęła znów wstępować otucha w serce Winicyusza. Ten żołnierz, chrześcijanin, był dla niego jakby nowem świadectwem potęgi Chrystusa. Po chwili zatrzymał się i, utkwiwszy wzrok w różowych obłokach, zwieszonych nad Kapitolem i świątynią Statora, rzekł:

— Nie widziałem jej dziś, Panie, ale wierzę w Twoje miłosierdzie.

W domu czekał na niego Petroniusz, który, jak zwykle, „z nocy dzień czyniąc“, niedawno był powrócił. Zdążył jednakże wziąć już kąpiel i namaścić się do snu.

— Mam dla ciebie nowiny — rzekł. — Byłem dziś u Tuliusza Senecya, u którego był i Cezar. Nie wiem, skąd Auguście przyszło na myśl przyprowadzić ze sobą małego Rufiusa... Może dlatego, by swą urodą zmiękczył serce Cezara. Na nieszczęście, dziecko, zmorzone snem, usnęło w czasie czytania, jak niegdyś Wespazyan, co widząc Ahenobarbus, cisnął w nie puharem i skaleczył je ciężko. Poppea zemdlała,

wszyscy zaś słyszeli, jak Cezar rzekł: „Dość mam tego przypłodka!“ a to wiesz: tyle znaczy, co śmierć!

— Nad Augustą zawisła kara Boża — odpowiedział Winicyusz — ale czemu mi to mówisz?

— Mówię dlatego, że ciebie i Ligię ścigał gniew Poppei, teraz zaś ona, zajęta własnem nieszczęściem, może poniecha zemsty i łatwiej da się przejednać. Zobaczę ją dziś wieczór i będę z nią mówił.

— Dzięki ci. Zwiastujesz mi dobrą nowinę.

— A ty się wykąp i spocznij. Usta masz sine i cień z ciebie pozostał.

Lecz Winicyusz spytał:

— Zali nie mówiono, kiedy odbędzie się pierwszy *ludus matutinus?*

— Za dziesięć dni. Ale wezmą pierwej inne więzienia. Im więcej zostanie nam czasu, tem lepiej. Nie wszystko jeszcze stracone.

I tak mówiąc, mówił to, w co sam już nie wierzył, wiedział albowiem doskonale, że, skoro Cezar, w odpowiedzi na prośbę Aliturusa, znalazł wspaniale brzmiącą odpowiedź, w której porównał się z Brutusem, to dla Ligii niema już ratunku. Ukrył też przez litość, co słyszał u Senecya, że Cezar i Tygellin postanowili wybrać dla siebie i dla przyjaciół najpiękniejsze dziewice chrześcijańskie i pohańbić je przed męką, reszta zaś miała być wydana w sam dzień igrzyska pretoryanom i bestyaryuszom.

Wiedząc, że Winicyusz w żadnym razie nie zechce przeżyć Ligii, umyślnie krzepił tymczasem nadzieję w jego sercu, naprzód przez współczucie dla niego, a powtóre, że temu estecie chodziło także i o to, aby Winicyusz, jeśli ma umrzeć, umarł pięknym, nie zaś z twarzą wyniszczoną i zczerniałą od bólu i bezsenności.

— Powiem dziś Auguście — rzekł — mniej więcej tak: uratuj Ligię dla Winicyusza, a ja uratuję dla ciebie Rufiusa. I będę o tem myślał naprawdę. Z Ahenobarbem jedno słowo, powiedziane w stosownej chwili, może kogoś uratować lub zgubić. W najgorszym razie zyskamy na czasie.

— Dzięki ci — powtórzył Winicyusz.

— Najlepiej mi podziękujesz, gdy się pożywisz i spo-

czniesz. Na Atenę! Odysej w największem nieszczęściu myślał o śnie i jadle. Całą noc spędziłeś pewno w więzieniu.

— Nie — odpowiedział Winicyusz. — Chciałem pójść do więzienia teraz, ale jest rozkaz, aby nikogo nie dopuszczano. Dowiedz ty się, Petroniuszu, czy rozkaz jest na dziś tylko, czy aż do dnia igrzysk.

— Dowiem się dziś w nocy i jutro rano powiem ci, na jak długo i dlaczego rozkaz został wydany. A teraz, choćby Helios miał ze zmartwienia zejść do Kimeryjskich krajów, idę spać, ty zaś naśladuj mnie.

I rozeszli się, lecz Winicyusz udał się do biblioteki i począł pisać list do Ligii.

Gdy skończył, odniósł go sam i wręczył chrześcijańskiemu setnikowi, który natychmiast poszedł z nim do więzienia. Po chwili wrócił z pozdrowieniem od Ligii i z obietnicą, że dziś jeszcze odniesie jej odpowiedź.

Winicyusz nie chciał jednak wracać i, siadłszy na głazie, czekał na list Ligii. Słońce wzbiło się już wysoko na niebo i przez Clivus Argentarius napływały na Forum, jak zwykle, tłumy ludzi. Przekupnie wywoływali swoje towary; wróżbici polecali przechodniom swe usługi; obywatele ciągnęli poważnym krokiem ku rostrom, by słuchać przygodnych mowców, lub rozpowiadać sobie wzajemnie najświeższe nowiny. W miarę, jak upał dogrzewał coraz silniej, gromady próżniaków chroniły się pod portyki świątyń, z pod których wylatywały co chwila z wielkim łopotem skrzydeł całe stada gołębi, rozbłyskując białemi piórami w jasności słonecznej i błękicie.

Pod nadmiarem światła, pod wpływem gwaru, ciepła i niezmiernego znużenia, oczy Winicyusza poczęły się kleić. Monotonne okrzyki chłopców, grających obok w morę, i miarowe kroki żołnierzy kołysały go do snu. Kilkakroć podniósł jeszcze głowę i objął oczyma więzienie, poczem oparł ją o zrąb skalny, westchnął jak dziecko, które usypia po długim płaczu, i usnął.

I wnet opadły go widzenia. Zdawało mu się, że wśród nocy niesie na ręku Ligię przez nieznaną winnicę, a przed nimi idzie Pomponia Grecyna z kagankiem w ręku i świeci. Jakiś głos, jakby głos Petroniusza, wołał za nim z daleka: „Wróć się!“ lecz on nie zważał na owo wołanie i szedł dalej

za Pomponią, póki nie doszli do chaty, w której progu stał Piotr Apostoł. Wówczas on pokazał mu Ligię i rzekł: „Idziemy z areny, panie, ale nie możemy jej obudzić, zbudź ty ją". Lecz Piotr odpowiedział: „Chrystus sam przyjdzie ją zbudzić!"

Potem obrazy poczęły mu się mieszać. Widział przez sen Nerona i Poppeę, trzymającą na ręku małego Rufiusa ze skrwawionem czołem, które obmywał Petroniusz, i Tygellina, posypującego popiołem stoły, zastawione kosztownemi potrawami, i Witeliusza, pożerającego owe potrawy, i mnóstwo innych augustyanów, siedzących przy uczcie. On sam spoczywał przy Ligii; lecz między stołami chodziły lwy, którym z płowych bród ściekała krew. Ligia prosiła go, by ją wyprowadził, a jego ogarnęła bezwładność tak straszna, iż nie mógł się nawet poruszyć. Zaczem w widzeniach jego nastał bezład jeszcze większy i wreszcie wszystko zapadło w ciemność zupełną.

Z głębokiego snu zbudził go dopiero żar słoneczny i okrzyki, które rozległy się tuż obok miejsca, na którem siedział. Winicyusz przetarł oczy: ulica roiła się od ludzi, lecz dwaj biegacze, przybrani w żółte tuniki, rozsuwali długiemi trzcinami tłum, krzycząc i czyniąc miejsce dla wspaniałej lektyki, którą niosło czterech silnych niewolników egipskich.

W lektyce siedział jakiś człowiek, przybrany w białe szaty, którego twarzy nie było dobrze widać, albowiem tuż przy oczach trzymał zwój papirusu i odczytywał coś pilnie.

— Miejsce dla szlachetnego augustyanina! — wołali biegacze.

Ulica jednak była tak natłoczona, że lektyka musiała się na chwilę zatrzymać. Wówczas augustyanin opuścił niecierpliwie zwój papieru i wychylił głowę, wołając:

— Rozpędzić mi tych nicponiów! Prędzej!

Nagle, spostrzegłszy Winicyusza, cofnął głowę i podniósł szybko do oczu zwój papieru.

A Winicyusz przeciągnął ręką po czole, sądząc, że śni jeszcze.

W lektyce siedział Chilon.

Tymczasem biegacze utorowali drogę i Egipcyanie mieli ruszyć naprzód, gdy nagle młody trybun, który w jednej chwili zrozumiał wiele rzeczy, przedtem dla niego niezrozumiałych, przybliżył się do lektyki.

— Pozdrowienie ci, Chilonie! — rzekł.

— Młodzieńcze — odpowiedział z godnością i dumą Grek, usiłując swej twarzy nadać wyraz spokoju, którego w duszy nie miał — witaj, ale mnie nie zatrzymuj, gdyż śpieszę do przyjaciela mego, szlachetnego Tygellina.

A Winicyusz, chwyciwszy za krawędź lektyki, pochylił się ku niemu i, patrząc mu wprost w oczy, rzekł zniżonym głosem:

— Tyś wydał Ligię?...

— Kolosie Memnona! — zawołał z przestrachem Chilon.

Lecz w oczach Winicyusza nie było groźby, więc strach Greka przeszedł szybko. Pomyślał, że jest pod opieką Tygellina i samego Cezara, to jest potęg, przed któremi drży wszystko, i że otaczają go silni niewolnicy, a zaś Winicyusz stoi przed nim bezbronny, z wynędzniałą twarzą i postawą, zgiętą przez ból.

Na tę myśl wróciła mu zuchwałość. Utkwił w Winicyuszu swe oczy, okolone czerwonemi obwódkami, i odszepnął:

— A ty, gdym umierał z głodu, kazałeś mnie schłostać.

Na chwilę umilkli obaj, poczem ozwał się głuchy głos Winicyusza:

— Skrzywdziłem cię, Chilonie!...

Wówczas Grek podniósł głowę i, klasnąwszy w palce, co w Rzymie było oznaką lekceważenia i pogardy, odrzekł tak głośno, aby wszyscy mogli go słyszeć:

— Przyjacielu, jeśli masz do mnie prośbę, przyjdź do domu mego na Eskwilinie o rannej porze, w której po kąpieli przyjmuję gości i klientów.

I skinął ręką, a na ów znak Egipcyanie podnieśli lektykę, niewolnicy zaś, przybrani w żółte tuniki, poczęli wołać, machając trzcinami:

— Miejsce dla lektyki szlachetnego Chilona Chilonidesa! miejsce! miejsce!...

ROZDZIAŁ LV.

Ligia w długim, pośpiesznie pisanym liście żegnała na zawsze Winicyusza. Wiadomo jej było, że do więzienia nie-

wolno już nikomu przychodzić i że będzie mogła widzieć Winicyusza dopiero z areny. To też prosiła go, by dowiedział się, kiedy przypadnie ich kolej, i by był na igrzysku, albowiem chciała raz jeszcze zobaczyć go za życia. W liście jej nie znać było bojaźni. Pisała, że i ona, i inni tęsknią już do areny, na której znajdą wyzwolenie z więzienia. Spodziewając się przyjazdu Pomponii i Aulusa, błagała, by przyszli i oni. W każdem jej słowie widać było uniesienie i to oderwanie się od życia, w którem żyli wszyscy uwięzieni, a zarazem niezachwianą wiarę, że obietnice spełnić się muszą za grobem. „Czy Chrystus (pisała) teraz, czy po śmierci mnie wyzwoli, On ci obiecał mnie przez usta Apostoła, a więc ja twoja". I zaklinała go, by jej nie żałował i nie dał się opanować bólowi. Śmierć nie była dla niej rozerwaniem ślubów. Z ufnością dziecka upewniała Winicyusza, że zaraz po męce w arenie powie Chrystusowi, iż w Rzymie został jej narzeczony, Marek, który tęskni po niej całem sercem. I myślała, że może Chrystus pozwoli wrócić na chwilę jej duszy do niego, aby mu powiedzieć, że żyje, że męki nie pamięta i że jest szczęśliwa. Cały jej list tchnął szczęściem i ogromną nadzieją. Była w nim tylko jedna prośba, związana ze sprawami ziemi: aby Winicyusz zabrał ze spoliarium jej ciało i pochował ją, jako swoją żonę, w grobowcu, w którym sam niegdyś miał spocząć.

On czytał ów list z rozdartą duszą, ale zarazem zdało mu się niepodobieństwem, aby Ligia mogła zginąć pod kłami dzikich zwierząt i aby Chrystus nie zlitował się nad nią. Jednakże w tem właśnie tkwiła nadzieja i ufność. Wróciwszy do domu, odpisał, że będzie przychodził codziennie pod mury Tulianum czekać, póki Chrystus nie skruszy murów i nie odda mu jej. Nakazał wierzyć jej, że On może mu ją oddać nawet z cyrku, że Wielki Apostoł błaga Go o to i że chwila wyzwolenia jest blizka. Nawrócony centuryon miał odnieść jej ów list nazajutrz.

Lecz gdy Winicyusz przyszedł następnego dnia pod więzienie, setnik, opuściwszy szereg, zbliżył się do niego pierwszy i rzekł:

— Posłuchaj mnie, panie. Chrystus, który cię doświadczył, okazał ci łaskę swoją. Dzisiejszej nocy przyszli wyzwoleńcy Cezara i prefekta, aby wybrać im dziewice chrześcijańskie na pohańbienie; pytali się o oblubienicę twoją, lecz Pan

nasz zesłał na nią gorączkę, na którą umierają więźnie w Tulianum, i poniechali jej. Wczoraj wieczór była już nieprzytomna, i niech będzie błogosławione imię Zbawiciela, albowiem ta choroba, która ją ocaliła od hańby, może ją ocalić i od śmierci.

Winicyusz oparł dłoń na naramienniku żołnierza, aby nie upaść, ów zaś mówił dalej:

— Dziękuj miłosierdziu Pana. Linusa porwali i położyli na męki, ale widząc, że kona, oddali go. Może i tobie oddadzą ją teraz, a Chrystus wróci jej zdrowie.

Młody trybun chwilę jeszcze pozostał ze spuszczoną głową, poczem podniósł ją i rzekł cicho:

— Tak jest, setniku. Chrystus, który wybawił ją od hańby, wybawi ją od śmierci.

I, dosiedziawszy pod murem więzienia do wieczora, wrócił do domu, aby wysłać swoich ludzi po Linusa i kazać go przenieść do jednej ze swoich willi podmiejskich.

Jednakże Petroniusz, dowiedziawszy się o wszystkiem, postanowił działać jeszcze. Poprzednio był już u Augusty, teraz zaś udał się do niej po raz drugi. Zastał ją u łoża małego Rufiusa. Dziecko z rozbitą głową majaczyło w gorączce, matka zaś ratowała je z rozpaczą i zgrozą w sercu, myśląc, że, jeśli je uratuje, to może tylko po to, by wkrótce straszniejszą zginęło śmiercią.

Zajęta wyłącznie swoim bólem, nie chciała nawet słuchać o Winicyuszu i Ligii, lecz Petroniusz przeraził ją. „Obraziłaś — rzekł jej — nowe nieznane bóstwo. Ty, Augusto, czcisz podobno hebrajskiego Jehowę, ale chrześcijanie utrzymują, że Chrystus jest jego synem, pomyśl więc, czy cię nie ściga gniew ojca. Kto wie, czy to, co cię spotkało, nie jest ich zemstą, i czy życie Rufiusa nie zależy od tego, jak postąpisz“.

— Co chcesz, abym uczyniła? — spytała z przestrachem Poppea.

— Przebłagaj zagniewane bóstwa.

— Jak?

— Ligia jest chora. Wpłyń na Cezara lub Tygellina, żeby ją wydano Winicyuszowi.

A ona spytała z rozpaczą:

— Czy ty myślisz, że ja mogę?

— Więc możesz co innego. Jeśli Ligia wyzdrowieje, musi iść na śmierć. Idź do świątyni Westy i zażądaj, aby *virgo magna* znalazła się wypadkiem koło Tulianum w chwili, gdy będą wyprowadzali więźniów na śmierć i rozkazała uwolnić tę dziewczynę. Wielka westalka nie odmówi ci tego.

— A jeśli Ligia umrze z gorączki?

— Chrześcijanie mówią, że Chrystus jest mściwy, ale sprawiedliwy: być może, że przebłagasz go chęcią samą.

— Niech mi da jaki znak, że ocali Rufiusa.

Petroniusz wzruszył ramionami.

— Ja nie przychodzę, jako jego poseł, o boska, mówię ci tylko: bądź lepiej w zgodzie ze wszystkiemi bóstwami rzymskiemi i obcemi.

— Pójdę! — rzekła złamanym głosem Poppea.

Petroniusz odetchnął głęboko.

— Nareszcie coś wskórałem! — pomyślał.

I, wróciwszy do Winicyusza, rzekł mu:

— Proś swego Boga, by Ligia nie umarła na gorączkę, bo jeśli nie umrze, to Wielka westalka rozkaże ją uwolnić. Sama Augusta będzie ją o to prosiła.

Winicyusz popatrzył na niego oczyma, w których błyszczała gorączka i odpowiedział:

— Ją uwolni Chrystus.

A Poppea, która dla ocalenia Rufiusa gotowa była palić hekatomby wszystkim bogom świata, tegoż jeszcze wieczora udała się na Forum do westalek, powierzywszy opiekę nad chorem dzieckiem wiernej piastunce, Sylwii, która i ją samą wyniańczyła.

Lecz na Palatynie wyrok na dziecko był już wydany, zaledwie bowiem lektyka cesarzowej znikła za Wielką bramą, do komnaty, w której spoczywał mały Rufius, weszli dwaj wyzwoleńcy Cezara, z których jeden rzucił się na Starą Sylwię i zatkał jej usta, drugi zaś, chwyciwszy miedziany posążek Sfinxa, ogłuszył ją pierwszem uderzeniem.

Poczem zbliżyli się do Rufiusa. Trawiony gorączką i bezprzytomny chłopak, nie zdając sobie sprawy, co dzieje się koło niego, uśmiechał się do nich i mrużył swe śliczne oczy, jakby usiłował ich rozpoznać. Lecz oni, zdjąwszy z niańki pas, zwany cingulum, zadzierzgnęli mu go koło szyi i poczęli zaciskać. Dziecko, zawoławszy raz matki, skonało

łatwo. Zaczem owinęli je w prześcieradło i, siadłszy na przygotowane konie, pośpieszyli aż do Ostyi, gdzie wrzucili ciało w morze.

Poppea, nie zastawszy Wielkiej dziewicy, która wraz z innemi westalkami była u Watyniusza, wróciła wkrótce na Palatyn. Znalazłszy puste łoże i zastygłe ciało Sylwii, zemdlała, a gdy ją otrzeźwiono, poczęła krzyczeć i dzikie jej krzyki rozlegały się przez noc całą i dzień następny.

Lecz trzeciego dnia Cezar kazał jej przyjść na ucztę, więc, przybrawszy się w ametystową tunikę, przyszła i siedziała z kamienną twarzą, złotowłosa, milcząca, cudna i złowroga, jak anioł śmierci.

ROZDZIAŁ LVI.

Zanim Flawiusze wznieśli Koloseum, amfiteatra w Rzymie budowano przeważnie z drzewa, to też wszystkie niemal spłonęły w czasie pożaru. Neron jednak, dla wyprawienia przyobiecanych igrzysk, kazał wznieść kilka, a między nimi jeden olbrzymi, na który, zaraz po ugaszeniu ognia, poczęto sprowadzać morzem i Tybrem potężne pnie drzew, wyciętych na stokach Atlasu. Ponieważ igrzyska wspaniałością i liczbą ofiar miały przejść wszystkie poprzednie, dodano więc obszerne pomieszczenia dla ludzi i zwierząt. Tysiące rzemieślników pracowało nad budową dniem i nocą. Budowano i ozdabiano bez wytchnienia. Lud opowiadał sobie cuda o oparciach, wykładanych bronzem, bursztynem, kością słoniową, perłowcem i skorupnikiem zamorskich żółwiów. Biegnące wzdłuż siedzeń kanały, napełnione lodowatą wodą z gór, miały utrzymywać w budynku chłód przyjemny nawet w czasie największych upałów. Olbrzymie purpurowe „velarium“ zabezpieczało od promieni słonecznych. Między rzędami siedzeń ustawiono kadzielnice do palenia wonności arabskich; w górze pomieszczono przyrządy do skrapiania widzów rosą szafranową i werweną. Słynni budowniczowie: Sewerus i Celler wysilili całą swą wiedzę, by wznieść amfiteatr niezrównany, a zarazem mogący pomieścić taką liczbę ciekawych, jakiej dotąd żaden ze znanych nie mógł pomieścić.

To też w dniu, w którym miał rozpocząć się *ludus*

matutinus, tłumy gawiedzi czekały od świtu na otwarcie wrót, wsłuchując się z lubością w ryk lwów, chrapliwe beczenie panter i wycie psów. Zwierzętom nie dawano jeść od dwóch dni, a natomiast przesuwano przed niemi zakrwawione kawały mięsa, by tembardziej pobudzić w nich wściekłość i głód. Chwilami też zrywała się taka burza dzikich głosów, że ludzie stojący przed cyrkiem, nie mogli rozmawiać, a wrażliwsi bledli ze strachu. Lecz wraz ze wschodem słońca zabrzmiały w obrębie cyrku pieśni donośne, ale spokojne, których słuchano ze zdziwieniem, powtarzając sobie wzajem: „Chrześcijanie! chrześcijanie!“ Jakoż mnogie ich zastępy sprowadzono do amfiteatru jeszcze w nocy i nie z jednego tylko więzienia, jak był pierwotny zamiar, ale ze wszystkich potrochu. Wiedziano w tłumie, że widowiska pociągną się przez całe tygodnie i miesiące, ale spierano się, czy z tą częścią chrześcijan, która była przeznaczona na dziś, zdołają skończyć w ciągu jednego dnia. Głosy męskie, kobiece i dziecinne, śpiewające pieśń poranną, były tak liczne, iż znawcy utrzymywali, że, choćby po sto i dwieście ciał wysyłano naraz, zwierzęta zmęczą się, nasycą i do wieczora nie potrafią wszystkich porozrywać. Inni twierdzili, że zbyt wielka liczba ofiar, występujących jednocześnie na arenie, rozrywa uwagę i nie pozwala lubować się, jak należy, widowiskiem. W miarę, jak zbliżała się chwila otwarcia korytarzy, prowadzących do wnętrza, zwanych womitoryami, lud ożywiał się, rozweselał i spierał o rozmaite, tyczące widowiska, rzeczy. Poczęły się tworzyć stronnictwa, podnoszące większą sprawność lwów lub tygrysów w rozdzieraniu ludzi. Tu i owdzie czyniono zakłady. Inni jednak rozprawiali o gladyatorach, którzy mieli wystąpić przed chrześcijanami na arenie, i znów tworzyły się stronnictwa to Samnitów, to Gallów, to Mirmillonów, to Traków, to sieciarzy. Wczesnym rankiem większe lub mniejsze ich oddziały poczęły pod przywództwem mistrzów, zwanych lanistami, napływać do amfiteatru. Nie chcąc się utrudzać przed czasem, szli bez zbroi, często zupełnie nadzy, często z zielonemi gałęziami w ręku, lub uwieńczeni w kwiaty, młodzi, piękni w świetle porannem i pełni życia. Ciała ich, błyszczące od oliwy, potężne, jakby wykowane w marmurze, wprawiały w zachwyt rozmiłowany w kształtach lud. Wielu z nich znano osobiście i co chwila rozlegały się okrzyki: „Witaj Furnius!

witaj Leo! witaj Maxymus! witaj Dyomedes!“ Młode dziewczęta wznosiły ku nim oczy, pełne miłości, oni zaś upatrywali, gdzie która najpiękniejsza, i odzywali się do nich żartobliwemi słowami, jakby żadna troska nie ciążyła nad nimi, przesyłając całusy lub wołając: „Obejmij, nim śmierć obejmie!“ Poczem znikali w bramach, z których wielu nie miało już wyjść więcej. Lecz coraz nowe powody rozrywały uwagę tłumów. Za gladyatorami szli mastygoforowie, to jest ludzie, zbrojni w bicze, których obowiązkiem było smagać i podniecać walczących. Potem muły ciągnęły w stronę „spoliarium“ całe szeregi wozów, na których poukładane były stosy drewnianych trumien. Na ten widok cieszył się lud, wnioskując z ich liczby o ogromie widowiska. Zaczem ciągnęli ludzie, którzy mieli dobijać rannych, przebrani tak, aby każdy podobny był do Charona lub do Merkurego, zaczem ludzie, pilnujący porządku w cyrku, rozdający siedzenia, zaczem niewolnicy do roznoszenia potraw i chłodników, a wreszcie pretoryanie, których każdy Cezar zawsze miewał w amfiteatrze pod ręką.

Otworzono wreszcie womitorya i tłumy runęły do środka. Lecz takie było mnóstwo zgromadzonych, że płynęli i płynęli przez całe godziny, aż dziwno było, że amfiteatr może tak nieprzeliczoną czerń pochłonąć. Ryki zwierząt, czujących wyziewy ludzkie, wzmogły się jeszcze. Lud huczał w cyrku przy zajmowaniu miejsc, jak fala w czasie burzy.

Przybył nakoniec prefekt miasta w otoczeniu „wigilów“, a po nim nieprzerwanym już łańcuchem poczęły się zmieniać lektyki senatorów, konsulów, pretorów, edylów, urzędników publicznych i pałacowych, starszyzny pretoryańskiej, patrycyuszów i wykwintnych kobiet. Niektóre lektyki poprzedzali liktorowie niosący siekiery wśród pęku rózg, inne tłumy niewolników. W słońcu migotały złocenia lektyk, białe i różnobarwne suknie, pióra, zausznice, klejnoty, stal toporów. Z cyrku dochodziły okrzyki, jakimi lud witał potężnych dostojników. Od czasu do czasu przybywały jeszcze niewielkie oddziały pretoryanów.

Lecz kapłani z rozmaitych świątyń przybyli nieco później, a za nimi dopiero niesiono święte dziewice Westy, które poprzedzali liktorowie. Z rozpoczęciem widowiska czekano już tylko na Cezara, który też nie chcąc narażać ludu

na zbyt długie oczekiwanie i pragnąc ująć go sobie pośpiechem, przybył niebawem w towarzystwie Augusty i augustyanów.

Petroniusz przybył między augustyanami, mając w swej lektyce Winicyusza. On wiedział, że Ligia jest chora i bezprzytomna, ale ponieważ w ostatnich dniach dostęp do więzienia był jak najsurowiej strzeżony, ponieważ dawne straże zastąpiono nowemi, którym nie wolno było rozmawiać ze stróżami, jak również udzielać najmniejszej wiadomości tym, którzy przychodzili pytać o więźniów, nie był więc pewien, czy niema jej między ofiarami, przeznaczonemi na pierwszy dzień widowiska. Dla lwów mogli wysłać i chorą, choćby bezprzytomną. Ale ponieważ ofiary miały być poobszywane w skóry zwierząt i wysyłane całemi gromadami na arenę, przeto nikt z widzów nie mógł sprawdzić, czy jedna więcej lub mniej znajduje się między niemi, i nikt żadnej rozpoznać. Stróże i cała służba amfiteatru była przekupiona, z bestyaryuszami stanął zaś układ, że ukryją Ligię w jakimś ciemnym zakątku amfiteatru, a nocą wydadzą ją w ręce pewnego Winicyuszowego dzierżawcy, który natychmiast wywiezie ją w góry Albańskie. Petroniusz, przypuszczony do tajemnicy, radził Winicyuszowi, by otwarcie udał się z nim do amfiteatru i dopiero przy wejściu wymknął się w tłoku i pośpieszył do lochów, gdzie dla uniknięcia możliwych pomyłek, osobiście miał wskazać stróżom Ligię.

Stróże puścili go małemi drzwiczkami, któremi wychodzili sami. Jeden z nich, imieniem Syrus, poprowadził go natychmiast do chrześcijan. Po drodze rzekł:

— Nie wiem, panie, czy znajdziesz, czego szukasz. My dopytywaliśmy się o dziewicę imieniem Ligia, nikt jednak nie dał nam odpowiedzi, ale być może, iż nie ufają nam.

— Dużo ich jest? — pytał Winicyusz.

— Wielu musi, panie, pozostać na jutro.

— Czy są chorzy między nimi?

— Takich, którzyby nie mogli ustać na nogach, niemasz.

To rzekłszy, Syrus otworzył drzwi i weszli jakby do ogromnej izby, ale nizkiej i ciemnej, światło bowiem przychodziło do niej jedynie przez zakratowane otwory, oddzielające ją od areny. Winicyusz z początku nie mógł nic dojrzeć, słyszał tylko w izbie szmer głosów i okrzyki ludu, do-

chodzące z amfiteatru. Lecz po chwili, gdy oczy jego przywykły do zmroku, ujrzał całe gromady dziwacznych istot, podobnych do wilków i niedźwiedzi. Byli to chrześcijanie, poobszywani w skóry zwierząt. Jedni z nich stali, drudzy modlili się, klęcząc. Tu i owdzie z długich włosów, spływających po skórze, można było odgadnąć, że ofiara jest kobietą. Matki, podobne do wilczyc, nosiły na ręku również kosmato obszyte dzieci. Lecz z pod skór wychylały się twarze jasne, oczy w mroku połyskiwały radością i gorączką. Widocznem było, że większą część tych ludzi opanowała jedna myśl, wyłączna i zaziemska, która jeszcze za życia znieczuliła ich na wszystko, co się koło nich dziać i co ich spotkać mogło. Niektórzy, zapytywani o Ligię przez Winicyusza, patrzyli nań oczyma jakby zbudzonemi ze snu, nie odpowiadając na pytania; inni uśmiechali się do niego, kładąc palec na ustach lub wskazując na żelazne kraty, przez które wchodziły jasne snopy blasku. Dzieci tylko płakały gdzieniegdzie, przestraszone rykiem bestyi, wyciem psów, wrzaskiem ludu i podobnemi do zwierząt postaciami własnych rodziców. Winicyusz, idąc obok stróża Syrusa, patrzył w twarze, szukał, rozpytywał, chwilami potykał się o ciała tych, którzy pomdleli z natłoku, zaduchu i gorąca, i przeciskał się dalej w ciemną głąb izby, która zdawała się być tak obszerną, jak cały amfiteatr.

Lecz nagle zatrzymał się, albowiem zdawało mu się, że w pobliżu kraty ozwał się jakiś znajomy mu głos. Posłuchawszy przez chwilę zawrócił i, przecisnąwszy się przez tłum, stanął blizko. Snop światła padał na głowę mówiącego i w blasku tym Winicyusz rozpoznał z pod wilczej skóry wychudłą i nieubłaganą twarz Kryspa.

— Żałujcie za grzechy wasze — mówił Kryspus — bo oto chwila zaraz nadejdzie. Ale kto myśli, że samą śmiercią okupi winy, ten nowy grzech popełnia, i strącony będzie w ogień wieczny. Każdym grzechem waszym, któryście za życia popełnili, odnawialiście mękę Pana, jakże więc śmiecie mniemać, by ta, która was czeka, mogła tamtę okupić? Jednaką śmiercią pomrą dziś sprawiedliwi i grzeszni, ale Pan swoich odróżni. Biada wam, albowiem kły lwów podrą ciała wasze, ale nie podrą win waszych, ni waszego rachunku z Bogiem. Pan okazał dość miłosierdzia, gdy pozwolił na krzyż się przybić, ale odtąd będzie tylko sędzią, który żadnej

winy bez kary nie zostawi. Więc, którzyście myśleli, iż męką zgładzicie grzechy wasze, bluźniliście przeciw sprawiedliwości Boskiej i tem głębiej będziecie pogrążeni. Skończyło się miłosierdzie, a przyszedł czas gniewu Bożego. Oto za chwilę staniecie przed strasznym sądem, wobec którego zaledwie cnotliwy się ostoi. Żałujcie za grzechy, albowiem otwarte są czeluści piekielne i biada wam mężowie i żony, biada rodzice i dzieci!

I wyciągnąwszy kościste dłonie, trząsł niemi nad pochylonemi głowami, nieustraszony, ale też i nieubłagany nawet wobec śmierci, na którą za chwilę pójść mieli wszyscy owi skazańcy. Po jego słowach ozwały się głosy: „Żałujmy za grzechy nasze!“, poczem zapadło milczenie i słychać było tylko płacz dzieci i uderzenia rąk o piersi. Winicyuszowi zaś krew ścięła się w żyłach. On, który całą nadzieję złożył w miłosierdziu Chrystusa, usłyszał teraz, że nadszedł dzień gniewu i że miłosierdzia nie zjedna nawet śmierć na arenie. Przez głowę przebiegła mu wprawdzie jasna i szybka, jak błyskawica, myśl, że Piotr Apostoł inaczej przemówiłby do tych mających umrzeć, niemniej jednak groźne, pełne fanatyzmu słowa Kryspa i ta ciemna izba z kratami, za któremi było pole męki i blizkość jej i natłok ofiar, przybranych już na śmierć, napełniły mu duszę zgrozą i przerażeniem. Wszystko to razem wzięte wydało mu się straszne i stokroć okropniejsze, niż najkrwawsze bitwy, w których brał udział. Zaduch i żar poczęły go dusić. Pot zimny wystąpił mu na czoło. Chwyciła go obawa, że zemdleje, jak ci, o których ciała potykał się, czyniąc poszukiwania w głębi izby, więc gdy pomyślał jeszcze, że lada chwila mogą otworzyć kraty, począł wołać głośno Ligii i Urzusa, w nadziei, że jeśli nie oni, to ktoś znający ich mu odpowie.

Jakoż natychmiast jakiś człowiek, przybrany za niedźwiedzia, pociągnął go za togę i rzekł:

— Panie, zostali w więzieniu. Mnie ostatniego wyprowadzono i widziałem ją chorą na łożu.

— Kto jesteś? — spytał Winicyusz.

— Fossor, w którego chacie Apostoł chrzcił cię, panie. Uwięziono mnie przed trzema dniami, a dziś już umrę.

Winicyusz odetchnął. Wchodząc tu, życzył sobie zna-

leźć Ligię, obecnie zaś gotów był dziękować Chrystusowi, że jej tu niema i w tem widzieć znak Jego miłosierdzia.

Tymczasem fossor pociągnął go jeszcze raz za togę i rzekł:

— Pamiętasz, panie, że to ja zaprowadziłem cię do Korneliuszowej winnicy, gdzie w szopie nauczał Apostoł?

— Pamiętam — odpowiedział Winicyusz.

— Widziałem go później na dzień przedtem, nim mnie uwięzili. Pobłogosławił mi i mówił, iż przyjdzie do amfiteatru przeżegnać ginących. Chciałbym na niego patrzeć w chwili śmierci i widzieć znak krzyża, bo wówczas łatwiej mi będzie umrzeć, więc jeśli wiesz, panie, gdzie on jest, to mi powiedz.

Winicyusz zniżył głos i odrzekł:

— Jest między ludźmi Petroniusza, przebrany za niewolnika. Nie wiem, gdzie wybrali miejsca, ale wrócę do cyrku i zobaczę. Ty patrz na mnie, gdy wyjdziecie na arenę, ja zaś podniosę się i zwrócę głowę w ich stronę. Wówczas go odnajdziesz oczyma.

— Dzięki ci, panie, i pokój z tobą.

— Niech ci Zbawiciel będzie miłościw.

— Amen.

Winicyusz wyszedł z „kunikulum" i udał się do amfiteatru, gdzie miał miejsce obok Petroniusza, wśród innych augustyanów.

— Jest? — zapytał go Petroniusz.

— Niemu jej. Została w więzieniu.

— Słuchaj, co mi jeszcze przyszło na myśl, ale słuchając, patrz naprzykład na Nigidyę, aby się zdawało, że rozmawiamy o jej uczesaniu... Tygellinus i Chilon spoglądają na nas w tej chwili... Słuchaj więc: niech Ligię nocą włożą w trumnę i wyniosą z więzienia jako umarłą, reszty się domyślasz.

— Tak — odpowiedział Winicyusz.

Dalszą rozmowę przerwał im Tuliusz Senecyo, który pochyliwszy się ku nim, rzekł:

— Nie wiecie, czy chrześcijanom dadzą broń?

— Nie wiemy — odpowiedział Petroniusz.

— Wolałbym, gdyby ją dali — mówił Tuliusz — inaczej arena zbyt prędko staje się podobna do jatek rzeźniczych. Ale co za przepyszny amfiteatr!

Rzeczywiście, widok był wspaniały. Niższe siedzenia, nabite togami, bielały, jak śnieg. W wyzłoconem „podium“ siedział Cezar w dyamentowym naszyjniku, ze złotym wieńcem na głowie, obok niego piękna i posępna Augusta, obok po obu stronach westalki, wielcy urzędnicy, senatorowie w bramowych płaszczach, starszyzna wojskowa w błyszczących zbrojach, słowem wszystko, co w Rzymie było potężne, świetne i bogate. W dalszych rzędach siedzieli rycerze, a wyżej, czerniało kręgiem morze głów ludzkich, nad któremi od słupa zwieszały się girlandy, uwite z róż, lilii, sasanków, bluszczu i winogradu.

Lud rozmawiał głośno, nawoływał się, śpiewał, chwilami wybuchał śmiechem nad jakiemś dowcipnem słowem, które przesyłano sobie z rzędu do rzędu i tupał z niecierpliwości, by przyśpieszyć widowisko.

Wreszcie tupanie stało się podobne do grzmotów i nieustające. Wówczas prefekt miasta, który poprzednio już był ze świetnym orszakiem objechał arenę, dał znak chustką, na który w amfiteatrze odpowiedziało powszechne: „aaa!...“ wyrwane z tysiąców piersi.

Zwykle widowisko rozpoczynano od łowów na dzikiego zwierza, w których celowali rozmaici barbarzyńcy z północy i południa, tym razem jednak zwierząt miało być aż nadto, rozpoczęto więc od andabatów, to jest ludzi przybranych w hełmy bez otworów na oczy, a zatem bijących się na oślep. Kilkunastu ich, wyszedłszy naraz na arenę, poczęło machać mieczami w powietrzu, mastygoforowie za pomocą długich wideł posuwali jednych ku drugim, aby mogło przyjść do spotkania. Wykwintniejsi widzowie patrzyli obojętnie i z pogardą na podobne widowisko, lecz lud bawił się niezgrabnymi ruchami szermierzy, gdy zaś trafiało się, że spotykali się plecami, wybuchał głośnym śmiechem, wołając: „w prawo!“ „w lewo!“ „wprost“ i często myląc umyślnie przeciwników. Kilka par zczepiło się jednak i walka poczynała być krwawą. Zawziętsi zapaśnicy, rzucali tarcze i podając sobie lewe ręce, aby nie rozłączyć się więcej, prawemi walczyli na zabój. Kto padł, podnosił palce do góry, błagając tym znakiem litości, lecz na początku widowiska lud zwykle domagał się śmierci ranionych, zwłaszcza gdy chodziło o andabatów, którzy mając twarze zakryte, pozostawali mu nieznani. Zwolna liczba

walczących zmniejszała się coraz bardziej, a gdy wreszcie pozostało dwóch tylko, popchnięto ich ku sobie, tak, że spotkawszy się, padli obaj na piasek i zakłuli się na nim wzajemnie. Wówczas, wśród okrzyków „dokonano!“ [1]) posługacze uprzątnęli trupy, pacholęta zaś zagrabiły krwawe ślady na arenie i potrząsnęły ją listkami szafranu.

Teraz miała nastąpić poważniejsza walka, budząca zaciekawienie nietylko motłochu, ale i ludzi wykwintnych, w czasie której młodzi patrycyusze czynili nieraz ogromne zakłady, zgrywając się częstokroć do nitki. Wraz też, zaczęły krążyć z rąk do rąk tabliczki, na których wypisywano imiona ulubieńców, a zarazem ilość sestercyi, jaką każdy stawiał za swoim wybranym. „Spectati“, to jest zapaśnicy, którzy występowali już na arenie i odnosili na niej zwycięstwa, zyskiwali najwięcej zwolenników, lecz między grającymi byli i tacy, którzy stawiali znaczne sumy na gladyatorów nowych i całkiem nieznanych, w tej nadziei, że na wypadek ich zwycięstwa zagarną olbrzymie zyski. Zakładał się sam Cezar i kapłani i westalki i senatorowie i rycerze i lud. Ludzie z gminu, gdy zbrakło im pieniędzy, stawiali często w zakład własną wolność. Czekano też z biciem serca, a nawet i trwogą na ukazanie się szermierzy i niejeden czynił głośne śluby bogom, by zjednać ich opiekę dla swego ulubieńca.

Jakoż, gdy ozwały się przeraźliwe odgłosy trąb, w amfiteatrze uczyniła się cisza oczekiwania. Tysiące oczu zwróciło się ku wielkim wrzeciądzom, do których zbliżył się człowiek, przebrany za Charona i wśród ogólnego milczenia trzykrotnie zastukał w nie młotem, niby wywołując na śmierć tych, którzy byli za niemi ukryci. Poczem otworzyły się zwolna obie połowy bramy, ukazując czarną czeluść, z której poczęli wysypywać się na jasną arenę gladyatorowie. Szli oddziałami po dwudziestu pięciu ludzi, osobno Trakowie, osobno Mirmillonowie, Samnici, Gallowie, wszyscy ciężko zbrojni, a wreszcie „retiarii“, dzierżący w jednem ręku sieć, w drugiem trójząb. Na ich widok tu i owdzie zerwały się po ławkach oklaski, które wkrótce zmieniły się w jedną ogromną i przeciągłą burzę. Od góry do dołu widać było rozpalone twarze, klaszczące dłonie i otwarte usta, z których wyrywały się okrzyki.

---

[1]) Peractum est.

Oni zaś okrążyli całą arenę krokiem równym i sprężystym, migocąc orężem i bogatemi zbrojami, poczem zatrzymali się przed cesarskiem „podium“ dumni, spokojni i świetni. Przeraźliwy głos rogu uciszył oklaski, a wówczas zapaśnicy wyciągnęli w górę prawice i wznosząc oczy i głowy ku Cezarowi, poczęli wołać, a raczej śpiewać przeciągłymi głosami:

„Ave, caesar imperator!
Morituri te salutant!“

Zaczem rozsunęli się szybko, zajmując osobne miejsca na okręgu areny. Mieli na siebie uderzać całymi oddziałami, lecz pierwej dozwolono słynniejszym szermierzom stoczyć ze sobą szereg pojedyńczych walk, w których najlepiej okazywała się siła, zręczność i odwaga przeciwników. Jakoż wnet z pomiędzy „Gallów“ wysunął się zapaśnik, znany dobrze miłośnikom amfiteatru pod imieniem „Rzeźnika“ (Lanio), zwycięzca w wielu igrzyskach. W wielkim hełmie na głowie i pancerzu, opinającym z przodu i z tyłu jego potężną pierś, wyglądał w blasku na żółtej arenie, jak olbrzymi błyszczący żuk. Niemniej słynny retiarius Kalendyo wystąpił przeciw niemu.

Między widzami poczęto się zakładać:

— Pięćset sestercyi za Gallem!

— Pięćset za Kalendyem!

— Na Herkulesa! tysiąc!

— Dwa tysiące!

Tymczasem Gall, doszedłszy do środka areny, począł się znów cofać z nastawionym mieczem i zniżając głowę, przypatrywał się uważnie przez otwory w przyłbicy przeciwnikowi, lekki zaś, o ślicznych posągowych kształtach retiarius, całkiem nagi, prócz przepaski w biodrach, okrążał szybko ciężkiego nieprzyjaciela, machając z wdziękiem siecią, pochylając lub podnosząc trójząb i śpiewając zwykłą pieśń „sieciarzy“:

„Nie chcę ciebie, ryby szukam,
Czemu zmykasz, Gallu“ [1]).

Lecz Gall nie zmykał, po chwili bowiem zatrzymał się

---

[1]) Non te peto, piscem peto,
Quid me fugis Galle.

i stanąwszy w miejscu, począł obracać się tylko nieznacznym ruchem, tak, aby zawsze mieć z przodu nieprzyjaciela. W jego postaci i potwornie wielkiej głowie było teraz coś strasznego. Widzowie rozumieli doskonale, że to ciężkie, zakute w miedź ciało zbiera się do nagłego rzutu, który może walkę rozstrzygnąć. Sieciarz tymczasem to przyskakiwał do niego, to odskakiwał, czyniąc swemi potrójnemi widłami ruchy tak szybkie, że wzrok ludzki z trudnością mógł za nimi podążyć. Dźwięk zębów o tarczę rozległ się kilkakrotnie, lecz Gall ani się zachwiał, dając tem świadectwo olbrzymiej swej siły. Cała jego uwaga zdawała się być skupioną nie na trójząb, ale na sieć, która krążyła ustawicznie nad jego głową, jak ptak złowrogi. Widzowie, zatrzymawszy oddech w piersi, śledzili mistrzowską grę gladyatorów. Lanio, upatrzywszy chwilę, runął wreszcie na przeciwnika, ów zaś z równą szybkością przemknął się pod jego mieczem i wzniesionem ramieniem, wyprostował się i rzucił siecią.

Gall, zwróciwszy się na miejscu, zatrzymał ją tarczą, poczem rozskoczyli się obaj. W amfiteatrze zagrzmiały okrzyki: „Macte!“ w niższych zaś rzędach poczęto robić nowe zakłady. Sam Cezar, który z początku rozmawiał z Westalką Rubryą i nie bardzo dotąd zważał na widowisko, zwrócił głowę ku arenie.

Oni zaś poczęli znów walczyć tak wprawnie i z taką dokładnością w ruchach, iż chwilami wydawało się, że chodzi im nie o śmierć lub życie, ale o wykazanie swej zręczności. Lanio, dwukrotnie jeszcze wywinąwszy się z sieci, począł się na nowo cofać ku okręgowi areny. Wówczas jednak ci, którzy trzymali przeciw niemu, nie chcąc, by wypoczął, poczęli krzyczeć: „Nacieraj!“ Gall usłuchał i natarł. Ramię sieciarza oblało się nagle krwią i sieć mu zwisła. Lanio skurczył się i skoczył, chcąc zadać cios ostatni. Lecz w tej chwili Kalendyo, który umyślnie udał, że nie może już władać siecią, przegiął się w bok, uniknął pchnięcia i wsunąwszy trójząb między kolana przeciwnika, zwalił go na ziemię.

Ów chciał powstać, lecz w mgnieniu oka spowiły go fatalne sznury, w których każdym ruchem zaplątywał silniej ręce i nogi. Tymczasem razy trójzęba przygważdżały go raz po raz do ziemi. Raz jeszcze wysilił się, wsparł na ręku i wyprężył, by powstać, napróżno! Podniósł jeszcze ku gło-

wie mdlejącą rękę, w której nie mógł już miecza utrzymać i padł na wznak. Kalendyo przycisnął mu zębami wideł szyję do ziemi i wsparłszy się obu rękoma na ich trzonie, zwrócił się w stronę cesarskiej loży.

Cały cyrk począł się trząść od oklasków i ludzkiego ryku. Dla tych, którzy trzymali za Kalendyem, był on w tej chwili większy, niż Cezar, ale właśnie dlatego znikła w ich sercu zawziętość i przeciw Laniowi, który kosztem krwi własnej napełnił im kieszenie. Rozdwoiły się więc życzenia ludu. Na wszystkich ławach ukazały się w połowie znaki śmierci, w połowie politowania, lecz sieciarz patrzył tylko w lożę Cezara i westalek, czekając, co oni postanowią.

Na nieszczęście, Neron nie lubił Lania, albowiem na ostatnich igrzyskach przed pożarem, zakładając się przeciw niemu, przegrał do Licyniusza znaczną sumę, wysunął więc rękę z podium i zwrócił wielki palec ku ziemi.

Westalki powtórzyły znak natychmiast. Wówczas Kalendyo przykląkł na piersiach Galla, wydobył krótki nóż, który nosił za pasem i odchyliwszy zbroi koło szyi przeciwnika, wbił mu po rękojeść w gardło trójkątne ostrze.

— *Peractum est!* — rozległy się głosy w amfiteatrze.

Lanio zaś drgał czas jakiś, jak zarznięty wół i kopał nogami piasek, poczem wyprężył się i pozostał nieruchomy.

Merkury nie potrzebował sprawdzać rozpalonem żelazem, czy żyje jeszcze. Wnet uprzątnięto go i wystąpiły inne pary, po których przejściu zawrzała dopiero walka całych oddziałów. Lud brał w niej udział duszą, sercem, oczyma: wył, ryczał, świstał, klaskał, śmiał się, podniecał walczących, szalał. Na arenie podzieleni na dwa zastępy gladyatorowie walczyli z wściekłością dzikich zwierząt: pierś uderzała o pierś, ciała splatały się w śmiertelnym uścisku, trzeszczały w stawach potężne członki, miecze topiły się w piersiach i brzuchach, pobladłe usta buchały krwią na piasek. Kilkunastu nowicyuszów chwyciła pod koniec trwoga tak straszna, że wyrwawszy się z zamętu, poczęli uciekać, lecz mastygoforowie zagnali ich wnet w bitwę batami, zakończonymi ołowiem. Na piasku potworzyły się wielkie ciemne plamy; coraz więcej nagich i zbrojnych ciał leżało pokotem nakształt snopów. Żywi walczyli na trupach, potykali się o zbroje, o tarcze, krwawili nogi o połamany oręż i padali. Lud nie posiadał

się z radości, upajał się śmiercią, dyszał nią, nasycał oczy jej widokiem i z rozkoszą wciągał w płuca jej wyziewy.

Zwyciężeni legli wreszcie niemal wszyscy. Zaledwie kilku rannych klękło na środku areny i chwiejąc się, wyciągnęło ku widzom ręce z prośbą o zmiłowanie. Zwycięzcom rozdano nagrody, wieńce, gałązki oliwne i nastąpiła chwila odpoczynku, która z rozkazu wszechwładnego Cezara zmieniła się w ucztę. W wazach zapalono wonności. Skrapiacze zraszali lud deszczykiem szafrannym i fiołkowym. Roznoszono chłodniki, pieczone mięsiwa, słodkie ciasta, wino, oliwę i owoce. Lud pożerał, rozmawiał i wykrzykiwał na cześć Cezara, by skłonić go do tem większej hojności. Jakoż, gdy nasycono głód i pragnienie, setki niewolników wniosły pełne podarunków kosze, z których przybrane za Amorów pacholęta wyjmowały rozmaite przedmioty i obu rękoma rozrzucały wśród ławek. W chwili, gdy rozdawano loteryjne „tessery“, powstała bójka: ludzie cisnęli się, przewracali, deptali jedni po drugich, krzyczeli o ratunek, przeskakiwali przez rzędy siedzeń i dusili się w straszliwym tłoku, kto bowiem dostał szczęśliwą liczbę, mógł wygrać nawet dom z ogrodem, niewolnika, wspaniałą odzież lub osobliwe dzikie zwierzę, które następnie sprzedawał do amfiteatru. Czyniły się z tego powodu takie zamęty, że częstokroć pretoryanie musieli wprowadzać ład, po każdem zaś rozdawnictwie wynoszono z widowni ludzi z połamanemi rękoma, nogami, lub nawet zadeptanych na śmierć w ścisku.

Lecz bogatsi nie brali udziału w walce o „tessery“. Augustyanie zabawiali się tym razem widokiem Chilona i przedrwiwaniem z jego daremnych usiłowań, by pokazać ludziom, że na walkę i rozlew krwi może patrzyć tak dobrze, jak każdy inny. Próżno jednak nieszczęśliwy Grek marszczył brwi, zagryzał wargi i zaciskał pięści tak, że aż paznogcie wpijały mu się w dłonie. Zarówno jego grecka natura, jak i jego osobiste tchórzostwo, nie znosiły takich widowisk. Twarz mu pobladła, czoło operliło się kroplami potu, wargi posiniały, oczy wpadły, zęby poczęły szczękać, a ciało chwyciła drżączka. Po ukończonej walce przyszedł nieco do siebie, lecz gdy wzięto go na języki, zdjął go nagły gniew i począł odgryzać się rozpaczliwie.

— Ha, Greku! nieznośny ci widok podartej ludzkiej skóry! — mówił, pociągając go za brodę, Watyniusz.

Chilon zaś wyszczerzył na niego swe dwa ostatnie żółte zęby i odrzekł:

— Mój ojciec nie był szewcem, więc nie umiem jej łatać.

— *Macte! habet!* — zawołało kilka głosów.

Lecz inni drwili dalej:

— Nie on winien, że zamiast serca ma w piersiach kawał sera! — zawołał Senecyo.

— Nie tyś winien, że zamiast głowy masz pęcherz — odparł Chilon.

— Może zostaniesz gladyatorem! dobrzebyś wyglądał z siecią na arenie.

— Gdybym ciebie w nią złowił, złowiłbym cuchnącego dudka.

— A jak będzie z chrześcijanami? — pytał Festus z Liguryi. — Czy nie chciałbyś zostać psem i kąsać ich?

— Nie chciałbym zostać twoim bratem.

— Ty meocki trądzie!

— Ty liguryjski mule!

— Skóra cię swędzi widocznie, ale nie radzęć prosić mnie, bym cię podrapał.

— Drap sam siebie. Jeśli zdrapiesz własne pryszcze, zniszczysz, co w tobie jest najlepszego.

I w ten sposób oni napadali go, on zaś odgryzał się zjadliwie wśród powszechnego śmiechu. Cezar klaskał w dłonie, powtarzał: „Macte!“ i podniecał ich. Po chwili jednak zbliżył się Petroniusz i dotknąwszy rzeźbioną w kości słoniowej laseczką ramienia Greka, rzekł zimno:

— To dobrze, filozofie, aleś w jednem tylko pobłądził: bogowie stworzyli cię rzezimieszkiem, tyś zaś został demonem i dlatego nie wytrzymasz!

Starzec popatrzył na niego swemi zaczerwienionemi oczyma, wszelako tym razem nie znalazł jakoś gotowej obelgi. Na chwilę umilkł, poczem odpowiedział jakby z pewnem wysileniem:

— Wytrzymam!...

Ale tymczasem trąby dały znać, że przerwa w widowisku skończona. Ludzie poczęli opuszczać przedziały, w których gromadzili się dla wyprostowania nóg i dla rozmowy.

Wszczął się ruch ogólny i zwykłe kłótnie o zajmowane poprzednio siedzenia. Senatorowie i patrycyusze dążyli do swoich miejsc. Zwolna uciszał się gwar i amfiteatr przychodził do ładu. Na arenie pojawiła się gromada ludzi, aby tu i owdzie rozgrabić jeszcze pozlepiane zsiadłą krwią grudki piasku.

Nadchodziła kolej na chrześcijan. Ale, że było to nowe dla ludu widowisko i nikt nie wiedział, jak się zachowają, wszyscy oczekiwali ich z pewnem zaciekawieniem. Nastrój tłumu był skupiony, spodziewano się bowiem scen nadzwyczajnych, ale nieprzyjazny. Wszakże ci ludzie, którzy mieli się teraz pojawić, spalili Rzym i odwieczne jego skarby. Wszakże karmili się krwią niemowląt, zatruwali wody, przeklinali cały rodzaj ludzki i dopuszczali się najbezecniejszych zbrodni. Rozbudzonej nienawiści niedość było najsroższych kar i jeśli jaka obawa przejmowała serca, to tylko obawa o to, czy męki dorównają występkom tych złowrogich skazańców.

Tymczasem słońce podniosło się wysoko i promienie jego, przecedzone przez purpurowe „velarium", napełniły amfiteatr krwawem światłem. Piasek przybrał barwę ognistą i w tych blaskach, w twarzach ludzkich, zarówno jak i w pustce areny, która za chwilę miała się zapełnić męką ludzką i zwierzęcą wściekłością, było coś strasznego. Zdawało się, iż w powietrzu unosi się groza i śmierć. Tłum zwykle wesoły, zaciął się pod wpływem nienawiści w milczeniu. Twarze miały wyraz zawzięty.

Wtem prefekt dał znak: wówczas pojawił się ten sam starzec, przebrany za Charona, który wywoływał na śmierć gladyatorów i przeszedłszy wolnym krokiem przez całą arenę, wśród głuchej ciszy zastukał znów trzykrotnie młotem we drzwi.

W całym amfiteatrze ozwał się pomruk:

— Chrześcijanie! chrześcijanie!...

Zgrzytnęły żelazne kraty: w ciemnych otworach rozległy się zwykłe krzyki mastygoforów: „Na piasek!" i w jednej chwili arena zaludniła się gromadami jakby sylwanów, pookrywanych skórami. Wszyscy biegli prędko nieco, gorączkowo i wypadłszy na środek koliska, klękali jedni przy drugich, z wzniesionemi w górę rękoma. Lud sądził, że to jest prośba o litość i rozwścieczony takiem tchórzostwem, począł

tupać, gwizdać, rzucać próżnemi naczyniami od wina, poogryzanemi kośćmi i ryczeć: „Zwierząt! zwierząt!...“ Lecz nagle stało się coś nieoczekiwanego. Oto ze środka kosmatej gromady podniosły się śpiewające głosy i w tejże chwili zabrzmiała pieśń, którą po raz pierwszy usłyszano w rzymskim cyrku:

„Christus regnat!!...“

. . . .

Wówczas zdumienie ogarnęło lud. Skazańcy śpiewali z oczyma wzniesionemi ku welarium. Widziano twarze pobladłe, lecz jakby natchnione. Wszyscy zrozumieli, że ludzie ci nie proszą o litość i że zdają się nie widzieć ni cyrku, ni ludu, ni senatu, ni Cezara. *Christus regnat!* rozbrzmiewało coraz donośniej, a w ławach, hen, aż do góry, między rzędami widzów, niejeden zadawał sobie pytanie: co to się dzieje i co to jest za *Christus*, który króluje w ustach tych ludzi, mających umrzeć? Ale tymczasem otwarto nową kratę i na arenę wypadły z dzikim pędem i szczekaniem całe stada psów: płowych olbrzymich molosów z Peloponezu, pręgowatych psów z Pirenejów i podobnych do wilków kundli z Hibernii, wygłodzonych umyślnie, o zapadłych bokach i krwawych oczach. Wycie i skomlenie napełniło cały amfiteatr. Chrześcijanie, skończywszy pieśń, klęczeli nieruchomi, jakby skamienieli, powtarzając tylko jednym jękliwym chórem: *Pro Christo! pro Christo!* Psy, wyczuwszy ludzi pod skórami zwierząt i zdziwione ich nieruchomością, nie śmiały się na nich od razu rzucić. Jedne wspinały się na ściany lóż, jakby chciały dostać się do widzów, drugie biegały wokoło, szczekając zażarcie, jakby goniły jakiegoś niewidzialnego zwierza. Lud rozgniewał się. Zawrzasły tysiące głosów: niektórzy z widzów udawali ryk zwierząt; inni szczekali, jak psy, inni szczuli we wszystkich językach. Amfiteatr zatrząsł się od wrzasków. Rozdrażnione psy poczęły to dopadać do klęczących, to cofać się jeszcze, kłapiąc zębami, aż wreszcie jeden z molosów wpił kły w bark klęczącej na przodzie kobiety i pociągnął ją pod siebie.

Wówczas dziesiątki ich rzuciły się w środek, jakby przez wyłom. Tłum przestał ryczeć, by przypatrywać się z większą uwagą. Wśród wycia i charkotu słychać jeszcze

było żałosne głosy męskie i kobiece: *Pro Christo! pro Christo!* lecz na arenie potworzyły się drgające kłęby z ciał psów i ludzi. Krew płynęła teraz strumieniem z porozdzieranych ciał. Psy wydzierały sobie wzajem krwawe ludzkie członki. Zapach krwi i poszarpanych wnętrzności zgłuszył arabskie wonie i napełnił cały cyrk. W końcu już tylko gdzieniegdzie widać było pojedyńcze klęczące postaci, które wnet pokrywały ruchome wyjące kupy.

Winicyusz, który w chwili, gdy chrześcijanie wbiegli, podniósł się i odwrócił, aby zgodnie z obietnicą wskazać fossorowi stronę, w której między ludźmi Petroniusza był ukryty Apostoł, siadł napowrót i siedział z twarzą człowieka umarłego, spoglądając szklanemi oczyma na okropne widowisko. Z początku obawa, że fossor mógł się omylić i że Ligia może znajdować się między ofiarami, odrętwiła go zupełnie, lecz gdy usłyszał głosy: *Pro Christo!* gdy widział mękę tylu ofiar, które umierając, świadczyły swej prawdzie i swemu Bogu, ogarnęło go inne poczucie, dojmujące jak najstraszniejszy ból, a jednak nieprzeparte, że gdy Chrystus sam umarł w męce i gdy giną oto za niego tysiące, gdy wylewa się morze krwi, to jedna więcej kropla nic nie znaczy i że grzechem jest nawet prosić o miłosierdzie. Ta myśl szła na niego z areny, przenikała go wraz z jękami umierających, wraz z zapachem ich krwi. A jednak modlił się i powtarzał zeschłemi wargami: „Chryste! Chryste! i Twój Apostoł modli się za nią!“ Poczem zapamiętał się, stracił świadomość, gdzie jest, zdawało mu się tylko, że krew na arenie wzbiera i wzbiera, że piętrzy się i wypłynie z cyrku na cały Rzym. Zresztą nie słyszał nic, ni wycia psów, ni wrzasków ludu, ni głosów augustyanów, które nagle poczęły wołać:

— Chilon zemdlał!!

— Chilon zemdlał! — powtórzył Petroniusz, zwracając się w stronę Greka.

A ów zemdlał rzeczywiście i siedział biały, jak płótno, z zadartą w tył głową i z otwartemi szeroko ustami, podobny do trupa.

W tej samej chwili poczęto wypychać nowe, obszyte w skóry, ofiary na arenę.

Te klękały natychmiast, jak i ich poprzednicy, lecz zmordowane psy nie chciały ich szarpać. Ledwie kilka ich

rzuciło się na najbliżej klęczących, inne zaś pokładszy się i podniósłszy w górę okrwawione paszcze, poczęły robić bokami i ziajać ciężko.

Wówczas zaniepokojony w duszach, ale spity krwią i rozszalały lud począł krzyczeć przeraźliwymi głosami:

— Lwów! lwów! wypuścić lwy!...

Lwy miały być zachowane na dzień następny, lecz w amfiteatrach lud narzucał swoją wolę wszystkim, a nawet i Cezarowi. Jeden tylko Kaligula, zuchwały i zmienny w swych zachceniach, ośmielał się sprzeciwiać, a nawet bywało, że przykazywał okładać tłumy kijami, lecz i on najczęściej ulegał. Neron, któremu oklaski droższe były nad wszystko w świecie, nie opierał się nigdy, tembardziej więc nie oparł się teraz, gdy chodziło o ukojenie rozdrażnionych po pożarze tłumów i o chrześcijan, na których chciał zwalić winę klęski.

Dał więc znak, by otworzono „kunikulum", co ujrzawszy lud, uspokoił się natychmiast. Usłyszano skrzypienie krat, za któremi były lwy. Psy na ich widok, zbiły się w jedną kupę po przeciwległej stronie koła, skowycząc zcicha, one zaś poczęły jeden po drugim wytaczać się na arenę, ogromne, płowe, o wielkich kudłatych głowach. Sam Cezar zwrócił ku nim swą znudzoną twarz i przyłożył szmaragd do oka, aby przyglądać się lepiej. Augustyanie przywitali je oklaskiem; tłum liczył je na palcach, śledząc zarazem chciwie, jakie wrażenie czyni ich widok na klęczących w środku chrześcijan, którzy znów jęli powtarzać niezrozumiałe dla wielu, a drażniące wszystkich, słowa: *pro Christo! pro Christo!...*

Lecz lwy, jakkolwiek wygłodniałe, nie śpieszyły się do ofiar. Czerwonawy blask na arenie raził je, więc mrużyły oczy, jakby olśnione; niektóre wyciągały leniwie swe złotawe cielska, niektóre rozwierając paszcze, ziewały, rzekłbyś, chcąc pokazać widzom kły straszliwe. Lecz następnie zapach krwi i podartych ciał, których mnóstwo leżało na arenie, począł na nie działać. Wkrótce ruchy ich stały się niespokojne, grzywy jeżyły się, nozdrza wciągały chrapliwie powietrze. Jeden przypadł nagle do trupa kobiety z poszarpaną twarzą i ległszy przedniemi łapami na ciele, jął zlizywać kolczastym językiem skrzepłe sople, drugi zbliżył się do chrześcijanina, trzymającego na ręku dziecko, obszyte w skórę jelonka.

Dziecko trzęsło się od krzyku i płaczu, obejmując kon-

wulsyjnie szyję ojca, ów zaś, pragnąc mu przedłużyć choć na chwilę życie, starał się oderwać je od szyi, by podać dalej klęczącym. Lecz krzyk i ruch podrażnił lwa. Nagle wydał krótki, urwany ryk, zgniótł dziecko jednem uderzeniem łapy i chwyciwszy w paszczę czaszkę ojca, zgruchotał ją w mgnieniu oka.

Na ten widok wszystkie inne wpadły na gromadę chrześcijan. Kilka kobiet nie mogło wstrzymać okrzyków przerażenia, lecz lud zgłuszył je oklaskami, które wnet jednak ucichły się, albowiem chęć patrzenia przemogła. Widziano wówczas rzeczy straszne: głowy znikające całkowicie w czeluściach paszcz, piersi otwierane na rozcież jednem uderzeniem kłów, wyrwane serca i płuca; słyszano trzask kości w zębach. Niektóre lwy, chwyciwszy ofiary za boki lub krzyże, latały w szalonych skokach po arenie, jakby szukając zakrytego miejsca, gdzieby mogły je pożreć; inne w walce wzajemnej, wspinały się na siebie, obejmując się łapami, jak zapaśnicy i napełniając amfiteatr grzmotem. Ludzie wstawali z miejsc. Inni opuszczając siedzenia, schodzili przedziałami niżej, by widzieć lepiej i tłoczyli się w nich na śmierć. Zdawało się, że uniesione tłumy rzucą się w końcu na samą arenę i poczną rozdzierać razem z lwami. Chwilami słychać było nieludzki wrzask, chwilami oklaski, chwilami ryk, pomruk, kłapanie kłów, wycie molosów, chwilami jęki tylko.

Cezar, trzymając szmaragd przy oku, patrzył teraz uważnie. Twarz Petroniusza przybrała wyraz niesmaku i pogardy. Chilona poprzednio już wyniesiono z cyrku.

A z kunikulów wypychano coraz nowe ofiary.

Z najwyższego rzędu w amfiteatrze spoglądał na nie Piotr Apostoł. Nikt na niego nie patrzył, wszystkie bowiem głowy zwrócone były ku arenie, więc wstał i jako niegdyś w Korneliuszowej winnicy błogosławił na śmierć i na wieczność tym, których miano pochwycić, tak teraz żegnał krzyżem ginących pod kłami zwierząt i ich krew i ich mękę i martwe ciała, zmienione w niekształtne bryły i dusze, ulatujące z krwawego piasku. Niektórzy podnosili ku niemu oczy, a wówczas rozjaśniały się im twarze i uśmiechali się, widząc nad sobą hen, w górze, znak krzyża. Jemu zaś rozdzierało się serce i mówił: O Panie, bądź wola Twoja, bo na chwałę Twoją! na świadectwo prawdy giną te owce moje! Tyś mi

je paść rozkazał, więc zdaję ci je, a Ty porachuj je, Panie, weź je, zagój ich rany, ukój ich boleść i daj im więcej jeszcze szczęścia, niźli tu męki doznali.

I żegnał jednych po drugich, gromadę po gromadzie, z miłością tak wielką, jak gdyby byli jego dziećmi, które oddawał wprost w ręce Chrystusa. Wtem Cezar, czy to z zapamiętania, czy chcąc, by igrzysko przeszło wszystko, co dotąd widziano w Rzymie, szepnął kilka słów prefektowi miasta, ów zaś, opuściwszy podium, udał się natychmiast do kunikulów. I nawet lud już zdumiał się, gdy po chwili ujrzał znów otwierające się kraty. Wypuszczono teraz zwierzęta wszelkiego rodzaju: tygrysy z nad Eufratu, numidyjskie pantery, niedźwiedzie, wilki, hyeny i szakale. Cała arena pokryła się jakby ruchomą falą skór pręgowanych, żółtych, płowych, ciemnych, brunatnych i centkowanych. Powstał zamęt, w którym oczy nie mogły już nic rozróżnić, prócz okropnego przewracania się i kłębienia grzbietów zwierzęcych. Widowisko straciło pozór rzeczywistości, a zmieniło się, jakby w orgię krwi, jakby w straszny sen, jakby w potworny majak obłąkanego umysłu. Miara była przebrana. Wśród ryków, wycia i skowyczenia, ozwały się tu i owdzie na ławach widzów przeraźliwe, spazmatyczne śmiechy kobiet, których siły wyczerpały się wreszcie. Ludziom uczyniło się straszno. Twarze zmierzchły. Rozliczne głosy poczęły wołać: „dosyć! dosyć!“.

Lecz zwierzęta łatwiej było wpuścić, niż je wypędzić. Cezar znalazł jednak sposób oczyszczenia z nich areny, połączony z nową dla ludu rozrywką. We wszystkich przedziałach wśród ław pojawiły się zastępy czarnych, strojnych w pióra i zausznice, Numidów z łukami w ręku. Lud odgadł, co nastąpi i przywitał ich okrzykiem zadowolenia, oni zaś zbliżyli się do obrębu i przyłożywszy strzały do cięciw, poczęli szyć z łuków w gromady zwierząt. Było to istotnie nowe widowisko. Smukłe, czarne ciała, przechylały się w tył, prężąc giętkie łuki i wysyłając grot za grotem. Warkot cięciw i świst pierzastych bełtów mieszał się z wyciem zwierząt i okrzykami podziwu widzów. Wilki, niedźwiedzie, pantery i ludzie, którzy jeszcze zostali żywi, padali pokotem obok siebie. Tu i owdzie lew, poczuwszy grot w boku, zwracał nagłym ruchem zmarszczoną z wściekłości paszczę, by chwycić i zdruzgotać drzewce.

Inne jęczały z bólu. Drobiazg zwierzęcy, wpadłszy w popłoch, przebiegał naoślep arenę, lub bił głowami w kraty, a tymczasem groty warczały i warczały ciągle, dopóki wszystko co żywe nie legło w ostatnich drganiach konania.

Wówczas na arenę wpadły setki niewolników cyrkowych, zbrojnych w rydle, łopaty, miotły, taczki, kosze do wynoszenia wnętrzności i wory z piaskiem. Jedni napływali za drugimi i na całem kolisku zawrzała gorączkowa czynność. Wnet oczyszczono je z trupów, krwi i kału, przeryto, zrównano i potrząśnięto grubą warstwą świeżego piasku. Zaczem wbiegły amorki, rozrzucając listki róż, lilii i przeróżnego kwiecia. Zapalono na nowo kadzielnice i zdjęto velarium, bo już słońce zniżyło się znacznie.

Tłumy zaś, spoglądając po sobie ze zdziwieniem, zapytywały się wzajem, co za widowisko czeka je jeszcze w dniu dzisiejszym.

Jakoż czekało takie, którego nikt się nie spodziewał. Oto Cezar, który od niejakiego czasu opuścił podium, ukazał się nagle na ukwieconej arenie, przybrany w purpurowy płaszcz i złoty wieniec. Dwunastu śpiewaków, z cytrami w ręku, postępowało za nim, on zaś, dzierżąc srebrną lutnię, wystąpił uroczystym krokiem na środek i skłoniwszy się kilkakrotnie widzom, podniósł ku niebu oczy i czas jakiś stał tak, jakby oczekując na natchnienie.

Poczem uderzył w struny i zaczął śpiewać:

„O promienisty Lety synu,
Władco Tenedu, Killi, Chryzy,
Tyżeś to, mając w pieczy swej
Ilionu święty gród,
Mógł go gniewowi Achiwów zdać
I ścierpieć, by święte ołtarze,
Płonące wiecznie ku twej czci,
Zbryzgała Trojan krew?
Do ciebie starcy drżące dłonie,
O Srebrnołuki, w dal godzący,
Do ciebie matki z głębi łon
Wznosiły łzawy głos,
Byś nad ich dziećmi litość miał:
I głazby skargi te wzruszyły,
A tyś mniej czuły był, niż głaz,
Sminteju, na ludzki ból! ! !...“

Pieśń przechodziła zwolna w żałosną, pełną bólu elegię. W cyrku uczyniła się cisza. Po chwili Cezar sam wzruszony, począł śpiewać dalej:

„Mógłżeś formingi boskiej brzmieniem
Zgłuszyć lamenty serc i krzyk,
Gdy oko jeszcze dziś
Zachodzi łzą, jak rosą kwiat,
Na dźwięk posępny pieśni tej,
Co wskrzesza z prochu i popiołów
Pożogi, klęski, zguby dzień...
— Sminteju, gdzieś wówczas był?"

Tu głos mu zadrgał i zwilgotniały oczy. Na rzęsach westalek ukazały się łzy, lud słuchał cicho, zanim wybuchnął długo nieustającą burzą oklasków.

Tymczasem z zewnątrz przez otwarte dla przewiewu womitorya dochodziło skrzypienie wozów, na których składano krwawe szczątki chrześcijan, mężczyzn, kobiet i dzieci, aby je wywieźć do strasznych dołów, zwanych „puticuli".

A Piotr Apostoł objął rękoma swą białą, drżącą głowę i wołał w duchu:

— Panie! Panie! komuś Ty oddał rząd nad światem? i przecz chcesz założyć swoją stolicę w tem mieście?

ROZDZIAŁ LVII.

Tymczasem słońce zniżyło się ku zachodowi i zdawało się roztapiać w zorzach wieczornych. Widowisko było skończone. Tłumy poczęły opuszczać amfiteatr i wylewać się przez wyjścia, zwane womitoryami, na miasto. Augustyanie tylko zwłóczyli, czekając, zanim przepłynie fala. Cała gromada ich, opuściwszy swe miejsca, zebrała się przy podium, w którem Cezar ukazał się znowu, by słuchać pochwał. Jakkolwiek widzowie nie szczędzili mu oklasków zaraz po ukończeniu pieśni, dla niego nie było to dosyć, spodziewał się bowiem zapału, dochodzącego do szaleństwa. Napróżno też brzmiały teraz hymny pochwalne, próżno westalki całowały jego „boskie" dłonie, a Rubrya schyliła się przytem tak, że aż rudawa jej głowa dotknęła jego piersi. Neron nie był zadowolony i nie umiał tego ukryć. Dziwiło go też i niepokoiło zarazem, że

Petroniusz zachowuje milczenie. Jakieś pochwalne, a zarazem trafnie podnoszące zalety pieśni, słowo z jego ust byłoby mu w tej chwili wielką pociechą. Wreszcie, nie mogąc wytrzymać, skinął na niego, a gdy ów wszedł do podium, rzekł:

— Powiedz...

A Petroniusz odrzekł zimno:

— Milczę, bo nie mogę znaleźć słów. Przeszedłeś sam siebie.

— Tak i mnie się zdawało, a jednak ten lud?...

— Czy możesz żądać od mieszańców, aby się znali na poezyi?

— Więc zauważyłeś i ty, że nie podziękowano mi tak, jakem zasłużył?

— Boś obrał złą chwilę.

— Dlaczego?

— Dlatego, że mózgi, zaczadzone zaduchem krwi, nie mogą słuchać uważnie.

Neron zaciskał pięści i odrzekł:

— Ach, ci chrześcijanie! Spalili Rzym, a teraz krzywdzą i mnie. Jakież jeszcze kary dla nich wymyślę?

Petroniusz spostrzegł, że idzie złą drogą i że słowa jego odnoszą skutek, wprost przeciwny temu, jaki zamierzał osiągnąć, więc, chcąc odwrócić umysł Cezara w inną stronę, pochylił się ku niemu i szepnął:

— Pieśń twoja jest cudna, ale uczynię ci tylko jedną uwagę: w czwartym wierszu trzeciej strofy metryka pozostawia coś do życzenia.

A Neron oblał się rumieńcem wstydu, jakby schwytany na haniebnym uczynku, spojrzał z przestrachem i odpowiedział również cicho:

— Ty wszystko zauważysz!... Wiem!... przerobię!... Ale nikt więcej nie spostrzegł? prawda? Ty zaś, na miłość bogów, nie mów nikomu... jeśli... ci życie miłe...

Na to Petroniusz zmarszczył brwi i odpowiedział jakby z wybuchem nudy i zniechęcenia:

— Możesz mnie, boski, skazać na śmierć, jeśli ci zawadzam, ale mnie nią nie strasz, bo bogowie najlepiej wiedzą, czy się jej boję.

I tak mówiąc, począł patrzeć wprost w oczy Cezara, ów zaś po chwili odrzekł:

— Nie gniewaj się... Wiesz, że cię kocham...

— Zły znak! — pomyślał Petroniusz.

— Chciałem was prosić dziś na ucztę — mówił dalej Neron — ale się wolę zamknąć i polerować ów przeklęty wiersz trzeciej strofy. Prócz ciebie, mógł błąd zauważyć jeszcze Seneka, a może i Sekundus Karynas, ale się ich pozbędę zaraz.

To rzekłszy, zawołał Seneki i oświadczył mu, że wraz z Akratusem i Sekundem Karynem wysyła go do Italii i do wszystkich prowincyi po pieniądze, które nakazuje im ściągnąć z miast, ze wsi, ze słynnych świątyń, słowem zewsząd, gdzie tylko można je będzie znaleźć lub wycisnąć. Lecz Seneka, który zrozumiał, że powierzają mu czynność łupiezcy, świętokradcy i rozbójnika, odmówił wręcz.

— Muszę jechać na wieś, panie — rzekł — i tam czekać śmierci, gdyż jestem stary i nerwy moje są chore.

Iberyjskie nerwy Seneki, silniejsze od Chilonowych, nie były może chore, ale zdrowie jego było wogóle złe, albowiem wyglądał jak cień i głowa w ostatnich czasach zbielała mu zupełnie.

Neron też, spojrzawszy na niego, pomyślał, że może istotnie niedługo będzie czekał na jego śmierć i odrzekł:

— Nie chcę narażać cię na podróż, jeśliś chory, ale że z miłości, jaką mam dla ciebie, chcę cię mieć blizko, więc, zamiast wyjechać na wieś, zamkniesz się w twoim domu i nie będziesz go opuszczał.

Poczem rozśmiał się i rzekł:

— Gdy poślę Akratusa i Karynasa samych, to jakobym posłał wilki po owce. Kogóż nad nimi przełożę?

— Przełóż mnie, panie! — rzekł Domicyusz Afer.

— Nie! Nie chcę ściągnąć na Rzym gniewu Merkurego, którego zawstydzilibyście złodziejstwem. Potrzeba mi jakiegoś stoika, jak Seneka, lub jak mój nowy przyjaciel-filozof, Chilon.

To rzekłszy, począł się oglądać i spytał:

— A co się stało z Chilonem?

Chilon zaś, który otrzeźwiawszy na świeżem powietrzu, wrócił do amfiteatru na pieśń Cezara, przysunął się i rzekł:

— Jestem, świetlisty płodzie słońca i księżyca. Byłem chory, ale twój śpiew uzdrowił mnie.

— Poślę cię do Achai — rzekł Neron. — Ty musisz wiedzieć co do grosza, ile tam jest w każdej świątyni.

— Uczyń tak Zewsie, a bogowie złożą ci taką daninę, jakiej nigdy nikomu nie złożyli.

— Uczyniłbym tak, ale nie chcę cię pozbawiać widoku igrzysk.

— Baalu!... — rzekł Chilon.

Lecz augustyanie radzi, że humor Cezara poprawił się, poczęli się śmiać i wołać:

— Nie, panie! Nie pozbawiaj tego mężnego Greka widoku igrzysk.

— Ale pozbaw mnie, panie, widoku tych krzykliwych kapitolińskich gąsiąt, których mózgi, razem wzięte, nie napełniłyby żołędziowej miseczki — odparł Chilon. — Piszę oto, pierworodny synu Apollina, hymn po grecku na twoją cześć i dlatego chcę spędzić kilka dni w świątyni Muz, aby je błagać o natchnienie.

— O nie! — zawołał Neron. — Chcesz się wykręcić od następnych widowisk. Nic z tego!

— Przysięgam ci, panie, że piszę hymn.

— Więc będziesz go pisał w nocy. Błagaj Dyanę o natchnienie, to przecie siostra Apollina.

Chilon spuścił głowę, spoglądając ze złością na obecnych, którzy znowu zaczęli się śmiać. — Cezar zaś zwróciwszy się do Senecya i do Suiliusza Nerulina, rzekł:

— Wyobraźcie sobie, że z przeznaczonych na dziś chrześcijan, zaledwie z połową zdołaliśmy się załatwić.

Na to stary Akwilus Regulus, wielki znawca rzeczy, tyczących amfiteatru, pomyślał chwilę i ozwał się:

— Te widowiska, w których występują ludzie *sine armis et sine arte*, trwają prawie równie długo, a mniej zajmują.

— Każę im dawać broń — odpowiedział Neron.

Lecz przesądny Westynus zbudził się nagle z zamyślenia i spytał tajemniczym głosem:

— Czy uważaliście, że oni coś widzą, umierając. Patrzą w górę i umierają, jakby bez cierpień. Jestem pewny, że oni coś widzą...

To rzekłszy, podniósł oczy ku otworowi amfiteatru, nad którym już noc poczęła rozciągać swoje nabite gwiazdami „velarium“. Inni jednak odpowiedzieli śmiechami i żartobli-

wemi przypuszczeniami, co chrześcijanie mogą widzieć w chwili śmierci. Tymczasem Cezar dał znak niewolnikom, trzymającym pochodnie i opuścił cyrk, a za nim westalki, senatorowie, urzędnicy i augustyanie.

Noc była jasna, ciepła. Przed cyrkiem snuły się jeszcze tłumy, ciekawe widzieć odjazd Cezara, ale jakieś posępne i milczące. Tu i owdzie ozwał się poklask i ścichł zaraz. Ze „spoliarium“ skrzypiące wozy wywoziły wciąż krwawe szczątki chrześcijan.

Petroniusz i Winicyusz odbywali drogę w milczeniu. Dopiero w pobliżu willi, Petroniusz spytał:

— Czy myślałeś o tem, com ci powiedział?

— Tak jest — odrzekł Winicyusz.

— Czy ty wierzysz, że teraz i dla mnie to jest sprawa największej wagi. Muszę ją uwolnić wbrew Cezarowi i Tygellinowi. To jest jakby walka, w której zawziąłem się zwyciężyć, to jest jakby gra, w której chcę wygrać, choćby kosztem własnej skóry... Dzisiejszy dzień utwierdził mnie jeszcze w przedsięwzięciu.

— Niech ci Chrystus zapłaci!

— Obaczysz.

Tak rozmawiając, stanęli przed drzwiami willi i wysiedli z lektyki. W tej chwili jakaś ciemna postać zbliżyła się do nich i spytała:

— Czy tu jest szlachetny Winicyusz?

— Tak — odrzekł trybun — czego chcesz?

— Jestem Nazaryusz, syn Miryamy: idę z więzienia i przynoszę ci wiadomość o Ligii.

Winicyusz oparł mu rękę na ramieniu i przy blasku pochodni począł mu patrzeć w oczy, nie mogąc przemówić ani słowa, ale Nazaryusz odgadł zamierające na jego wargach pytanie i odrzekł:

— Żyje dotąd. Urzus przysyła mnie do ciebie, panie, aby ci powiedzieć, że ona w gorączce modli się i powtarza imię twoje.

A Winicyusz odrzekł:

— Chwała Chrystusowi, który mi ją wrócić może.

Poczem, wziąwszy Nazaryusza, poprowadził go do biblioteki. Po chwili jednak nadszedł i Petroniusz, aby słyszeć ich rozmowę.

— Choroba ocaliła ją od hańby, bo kaci boją się — mówił młody chłopiec. — Urzus i Glaukus lekarz czuwają nad nią dzień i noc.

— Czy stróże zostali ciż sami?

— Tak, panie, i ona jest w ich izbie. Ci więźniowie, którzy byli w dolnem więzieniu, pomarli wszyscy na gorączkę lub podusili się z zaduchu.

— Ktoś ty jest? — zapytał Petroniusz.

— Szlachetny Winicyusz mnie zna. Jestem synem wdowy, u której mieszkała Ligia.

— I chrześcijaninem?

Chłopiec spojrzał pytającym wzrokiem na Winicyusza, ale, widząc, że ów modli się w tej chwili, podniósł głowę i rzekł:

— Tak jest.

— Jakim sposobem możesz wchodzić swobodnie do więzienia?

— Nająłem się, panie, do wynoszenia ciał zmarłych, a uczyniłem to umyślnie, aby przychodzić z pomocą braciom moim i przynosić im wieści z miasta.

Petroniusz począł się przypatrywać uważniej ślicznej twarzy chłopca, jego błękitnym oczom i czarnym, bujnym włosom, poczem spytał:

— Z jakiego kraju jesteś, pacholę?

— Jestem Galilejczykiem, panie.

— Czy chciałbyś, by Ligia była wolną?

Chłopiec podniósł oczy w górę:

— Choćbym sam miał potem umrzeć.

Wtem Winicyusz przestał się modlić i rzekł:

— Powiedz stróżom, by włożyli ją do trumny, jak umarłą. Ty dobierz pomocników, którzy w nocy wyniosą ją razem z tobą. W pobliżu Cuchnących dołów znajdziecie czekających z lektyką ludzi, którym oddacie trumnę. Stróżom obiecaj ode mnie, że dam im tyle złota, ile każdy w płaszczu zdoła unieść.

I gdy tak mówił, twarz jego straciła zwykłą martwotę, zbudził się w nim żołnierz, któremu nadzieja wróciła dawną energię.

Nazaryusz zaś spłonął z radości i wzniósłszy ręce, zawołał:

— Niech Chrystus uzdrowi ją, albowiem będzie wolna.

— Mniemasz, że stróże się zgodzą? — spytał Petroniusz.

— Oni, panie? Byle wiedzieli, że nie spotka ich za to kara i męka!

— Tak jest! — rzekł Winicyusz. — Stróże chcieli się zgodzić nawet na jej ucieczkę, tembardziej pozwolą ją wynieść jako umarłą.

— Jest wprawdzie człowiek — rzekł Nazaryusz — który sprawdza rozpalonem żelazem, czy ciała, które wynosimy, są martwe. Ale ten bierze nawet po kilka sestercyi za to, by nie dotykał żelazem twarzy zmarłych. Za jeden aureus dotknie trumny, nie ciała.

— Powiedz mu, że dostanie pełną „kapsę“ aureusów — rzekł Petroniusz. — Ale czy potrafisz dobrać pewnych pomocników?

— Potrafię dobrać takich, którzyby za pieniądze sprzedali własne żony i dzieci.

— Gdzie ich znajdziesz?

— W samem więzieniu lub na mieście. Stróże, raz zapłaceni, wprowadzą, kogo zechcą.

— W takim razie wprowadzisz, jako najemnika, mnie — rzekł Winicyusz.

Lecz Petroniusz począł mu odradzać z całą stanowczością, aby tego nie czynił. Pretoryanie mogliby go poznać nawet w przebraniu i wszystko mogłoby przepaść. „Ani w więzieniu, ani przy Cuchnących dołach (mówił). Trzeba, żeby wszyscy i Cezar i Tygellinus byli przekonani, że ona umarła, inaczej bowiem nakazaliby w tej chwili pościg. Podejrzenia możemy uśpić tylko w ten sposób, że, gdy ją wywiozą w góry Albańskie lub dalej, do Sycylii, my zostaniemy w Rzymie. W tydzień lub dwa dopiero ty zachorujesz i wezwiesz Neronowego lekarza, który ci każe wyjechać w góry. Wówczas połączycie się, a potem...“

Tu zamyślił się na chwilę, a następnie machnąwszy dłonią, rzekł:

— Potem nadejdą może inne czasy.

— Niech Chrystus zmiłuje się nad nią — rzekł Winicyusz — bo ty mówisz o Sycylii, a ona jest chora i może umrzeć...

— Umieścimy ją tymczasem bliżej. Ją uleczy samo powietrze, byleśmy ją wyrwali z więzienia. Zali nie masz gdzie w górach jakiego dzierżawcy, któremu mógłbyś zaufać.

— Tak jest! Mam! tak! — odpowiedział śpiesznie Winicyusz. — Jest koło Koryoli w górach człowiek pewny, który mnie na ręku nosił, gdym był jeszcze dzieckiem i który miłuje mnie dotychczas.

Petroniusz podał mu tabliczki.

— Napisz do niego, by tu przybył jutro. Gońca wyślę natychmiast.

To rzekłszy, zawołał przełożonego atrium i wydał mu odpowiednie rozkazy. W kilka chwil później konny niewolnik ruszył na noc do Koryoli...

— Chciałbym — rzekł Winicyusz — by Urzus towarzyszył jej w drodze... Byłbym spokojniejszy...

— Panie — rzekł Nazaryusz — człowiek to nadludzkiej siły, który wyłamie kratę i pójdzie za nią. Jest jedno okno nad stromą, wysoką ścianą, pod którem straż nie stoi. Przyniosę Urzusowi sznur, a reszty on sam dokona.

— Na Herkulesa! — rzekł Petroniusz — niech się wyrywa jak mu się podoba, ale nie razem z nią i nie w dwa lub w trzy dni po niej, bo poszliby za nim i odkryli jej schronienie. Na Herkulesa! czy chcecie zgubić siebie i ją. Zakazuję wam wspominać mu o Koryoli, albo umywam ręce.

Oni obaj uznali słuszność jego uwagi i umilkli. Poczem Nazaryusz począł się żegnać, obiecując przyjść nazajutrz o świcie.

Ze stróżami miał nadzieję ułożyć się jeszcze tej nocy, ale przedtem chciał wpaść do matki, która z powodu niepewnych i strasznych czasów, nie miała o niego chwili spokoju. Pomocnika postanowił po namyśle nie szukać na mieście, ale wynaleźć i przekupić jednego z pośród tych, którzy wraz z nim wynosili trupy z więzienia.

Na samem odchodnem jednak zatrzymał się jeszcze i wziąwszy na stronę Winicyusza, począł mu szeptać:

— Panie, nie wspomnę o naszym zamiarze nikomu, nawet matce, ale Piotr Apostoł obiecał przyjść do nas z amfiteatru i jemu powiem wszystko.

— Możesz w tym domu mówić głośno — odpowie-

dział Winicyusz. — Piotr Apostoł był w amfiteatrze z ludźmi Petroniusza. Zresztą sam pójdę z tobą.

I kazał sobie podać płaszcz niewolniczy, poczem wyszli.

Petroniusz odetchnął głęboko.

— Życzyłem sobie — myślał — aby umarła na tę gorączkę, bo dla Winicyusza byłoby to jeszcze najmniej straszne. Ale teraz gotówem ofiarować złoty trójnog Eskulapowi, w zamian za jej uzdrowienie... Ach, ty, Ahenobarbie, chcesz sobie wyprawić widowisko z boleści kochanka! ty, Augusto, naprzód zazdrościłaś piękności dziewczynie, a teraz pożarłabyś ją na surowo, dlatego, że zginął twój Rufius... Ty, Tygellinie, chcesz ją zgubić na złość mnie!... Zobaczymy. Ja wam mówię, że oczy wasze nie ujrzą jej na arenie, bo albo umrze własną śmiercią, albo ją wam wyrwę, jak psom z paszczęk... I wyrwę tak, że nie będziecie o tem wiedzieli, a potem ilekroć na was spojrzę, tylekroć pomyślę: oto głupcy, których wywiódł w pole Petroniusz...

I rad z siebie, przeszedł do tryklinium, gdzie wraz z Eunice zasiadł do wieczerzy. Lektor czytał im przez ten czas sielanki Teokryta. Na dworze wiatr napędził chmur od strony Sorakte i nagła burza zmąciła ciszę pogodnej nocy letniej. Od czasu do czasu grzmoty rozlegały się na siedmiu wzgórzach, ani zaś, leżąc obok siebie za stołem, słuchali sielskiego poety, który w śpiewnem doryckiem narzeczu opiewał miłość pasterzy, a następnie, uspokojeni, gotowali się do słodkiego spoczynku.

Przedtem jednak jeszcze wrócił Winicyusz. Petroniusz, dowiedziawszy się o jego powrocie, wyszedł do niego i spytał:

— Cóż?... Czy nie uradziliście czego nowego? i czy Nazaryusz poszedł już do więzienia?

— Tak — odpowiedział młody człowiek, rozgarniając włosy przemoczone od dżdżu. — Nazaryusz poszedł ułożyć się ze stróżami, a ja widziałem Piotra, który mi nakazał modlić się i wierzyć.

— To dobrze. Jeśli wszystko pójdzie pomyślnie, następnej nocy można ją będzie wynieść...

— Dzierżawca z ludźmi powinien być na świt.

— To krótka droga. Spocznij teraz.

Lecz Winicyusz ukląkł w swem kubikulum i począł się modlić.

O wschodzie słońca przybył z pod Koryoli dzierżawca Niger, przywiódłszy ze sobą zgodnie z zaleceniem Winicyusza muły, lektykę i czterech pewnych ludzi, wybranych z pomiędzy niewolników brytańskich, których zresztą zostawił przezornie w gospodzie na Suburze.

Winicyusz, który czuwał całą noc, wyszedł na jego spotkanie, ów zaś wzruszył się na widok młodego pana i całując jego ręce i oczy, rzekł:

— Drogi, czyś chory, czy też zmartwienia wyssały ci krew z oblicza, albowiem ledwiem cię mógł na pierwsze wejrzenie rozpoznać?

Winicyusz zabrał go do wewnętrznej kolumnady, zwanej ksystem i tam przypuścił go do tajemnicy. Niger słuchał ze skupioną uwagą i na jego czerstwej, ogorzałej twarzy, znać było wielkie wzruszenie, nad którem nie starał się nawet zapanować.

— Więc ona jest chrześcijanką? — zawołał.

I począł patrzeć badawczo w twarz Winicyusza, a ten odgadł widocznie, o co pyta go wzrok wieśniaka, albowiem odrzekł:

— I ja jestem chrześcijaninem...

Wówczas w oczach Nigra błysnęły łzy; przez chwilę milczał, następnie, wzniósłszy do góry ręce, rzekł:

— O, dzięki ci Chryste, iżeś zdjął bielmo z najdroższych mi w świecie oczu.

Poczem objął głowę Winicyusza i płacząc ze szczęścia, począł całować jego czoło.

W chwilę później nadszedł Petroniusz, prowadząc ze sobą Nazaryusza.

— Dobre wieści! — rzekł zdala.

Jakoż wieści były dobre. Naprzód Glaukus lekarz zaręczał za życie Ligii, jakkolwiek miała tęż samą gorączkę więzienną, na którą i w Tulianum i po innych więzieniach umierały codziennie setki ludzi. Co do stróżów i co do człowieka, który sprawdzał śmierć rozpalonem żelazem, nie było najmniejszej trudności. Pomocnik, Attys, był już również ugodzony.

— Poczyniliśmy otwory w trumnie, tak, aby chora mogła oddychać — mówił Nazaryusz. — Całe niebezpieczeństwo w tem, by nie jęknęła lub nie odezwała się w chwili,

gdy będziemy przechodzili koło pretoryanów. Ale ona jest osłabiona bardzo i od rana leży z zamkniętemi oczyma. Zresztą Glaukus da jej napój usypiający, który sam urządzi z przyniesionych przeze mnie z miasta lekarstw. Wieko trumny nie będzie przybite. Podniesiecie je łatwo i zabierzecie chorą do lektyki, my zaś włożymy do trumny podłużny wór z piaskiem, który miejcie gotowy.

Winicyusz, słuchając tych słów, blady był jak płótno, lecz słuchał z tak natężoną uwagą, iż zdawał się naprzód odgadywać, co Nazaryusz ma powiedzieć.

— Czy innych jakich ciał nie będą wynosili z więzienia? — zapytał Petroniusz.

— Zmarło dzisiejszej nocy koło dwudziestu ludzi, a do wieczora umrze jeszcze kilkunastu — odrzekł chłopiec — my musimy iść wraz z całym orszakiem, ale będziemy się ociągali, by zostać w tyle. Na pierwszym skręcie towarzysz mój umyślnie zakuleje. W ten sposób pozostaniemy znacznie za innymi. Wy czekajcie nas koło małej świątyńki Libityny. Oby Bóg dał noc jak najciemniejszą.

— Bóg da — rzekł Niger. — Wczoraj był wieczór jasny, a potem nagle zerwała się burza. Dziś niebo znów pogodne, ale parno od rana. Co noc teraz będą bywały dżdże i burze.

— Czy idziecie bez świateł? — spytał Winicyusz.

— Na przedzie tylko niosą pochodnie. Wy na wszelki wypadek bądźcie koło świątyni Libitiny, jak tylko się ściemni, chociaż wynosimy zwykle trupy dopiero przed samą północą.

Umilkli, słychać było tylko śpieszny oddech Winicyusza.

Petroniusz zwrócił się do niego.

— Mówiłem wczoraj — rzekł — że najlepiejby było, gdybyśmy obaj pozostali w domu. Teraz jednak widzę, że mnie samemu niepodobna będzie usiedzieć... Zresztą, gdyby chodziło o ucieczkę, trzebaby zachowywać więcej ostrożności, ale skoro ją wyniosą jak umarłą, zdaje się, że nikomu najmniejsze podejrzenie nie przejdzie przez głowę.

— Tak! tak! — odpowiedział Winicyusz — ja muszę tam być. Sam ją wyjmę z trumny...

— Gdy raz będzie w moim domu pod Koryoli, odpowiadam za nią — rzekł Niger.

Na tem skończyła się rozmowa. Niger udał się do gospody, do swoich ludzi. Nazaryusz, zabrawszy pod tunikę kiesę ze złotem, wrócił do więzienia. Dla Winicyusza rozpoczął się dzień, pełen niepokoju, gorączki, trwogi i oczekiwania.

— Sprawa powinna się udać, bo jest dobrze pomyślana — mówił mu Petroniusz. — Lepiej niepodobna było wszystkiego ułożyć. Ty musisz udawać strapionego i chodzić w ciemnej todze. Ale cyrków jednak nie opuszczaj. Niech cię widzą... Tak wszystko obmyślane, że nie może być zawodu. Ale! Wszakże jesteś zupełnie pewny twego dzierżawcy?

— To chrześcijanin — odrzekł Winicyusz.

Petroniusz spojrzał na niego ze zdziwieniem, poczem jął ruszać ramionami i mówić jakby sam do siebie:

— Na Polluxa! jak się to jednak szerzy! i jak się trzyma dusz ludzkich!... Pod taką grozą ludzie wyrzekliby się od razu wszystkich bogów rzymskich, greckich i egipskich. To jednak dziwne... Na Polluxa!... Gdybym wierzył, że coś jeszcze na świecie od naszych bogów zależy, obiecałbym teraz każdemu po sześć białych byków, a kapitolińskiemu Jowiszowi dwanaście... Ale i ty nie szczędź obietnic twojemu Chrystusowi...

— Ja Mu oddałem duszę — odparł Winicyusz.

I rozeszli się. Petroniusz wrócił do kubikulum. Winicyusz zaś poszedł spoglądać zdala na więzienie, stamtąd zaś udał się aż na stok Watykańskiego wzgórza, do owej chaty fossora, w której z rąk Apostoła otrzymał chrzest. Zdawało mu się, że w tej chacie Chrystus wysłucha go prędzej, niż gdziekolwiekindziej, więc odnalazłszy ją i rzuciwszy się na ziemię, wytężył wszystkie siły swej zbolałej duszy w modlitwie o litość i zapamiętał się w niej tak, że zapomniał, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Popołudniu już zbudził go odgłos trąb, dochodzący od strony Neronowego cyrku. Wyszedł wówczas z chaty i począł spoglądać naokół oczyma, jakby świeżo ockniętemi ze snu. Na świecie był upał i cisza, przerywana tylko czasem przez dźwięk spiżu, a ciągle przez zapamiętałe ksykanie koników polnych. Powietrze uczyniło się parne; niebo nad miastem było jeszcze błękitne, ale w stronie gór Sabińskich zbierały się nizko u brzegu widnokręgu ciemne chmury.

Winicyusz wrócił do domu. W atrium czekał na niego Petroniusz.

— Byłem na Palatynie — rzekł. — Pokazałem się tam umyślnie i zasiadłem nawet do kości. U Anicyusza jest wieczorem uczta; zapowiedziałem, że przyjdziemy, ale dopiero po północy, gdyż przedtem muszę się wyspać. Jakoż będę, a dobrzeby było, gdybyś i ty był.

— Czy nie było jakich wiadomości od Nigra, albo od Nazaryusza? — spytał Winicyusz.

— Nie. Zobaczymy ich dopiero o północy. Uważałeś, że zapowiada się burza?

— Tak.

— Jutro ma być widowisko z chrześcijan ukrzyżowanych, może jednak deszcz przeszkodzi.

To rzekłszy, zbliżył się i dotknąwszy ramienia Winicyusza, rzekł:

— Ale jej nie zobaczysz na krzyżu, tylko w Koryoli. Na Kastora! nie oddałbym tej chwili, w której ją uwolnimy, za wszystkie gemmy w Rzymie. Wieczór już blizko...

Jakoż wieczór się zbliżał, a ciemność poczęła ogarniać miasto wcześniej, niż zwykle, z powodu chmur, które zakryły cały widnokrąg. Z nadejściem wieczora, spadł deszcz duży, który parując na rozpalonych przez dzienny upał kamieniach, napełnił mgłą ulice miasta. Potem naprzemian to czyniło się cicho, to znów przechodziły krótkie ulewy.

— Śpieszmy się — rzekł wreszcie Winicyusz — z powodu burzy mogą wcześniej wywieźć ciała z więzienia.

— Czas! — odpowiedział Petroniusz.

I wziąwszy gallijskie płaszcze z kapturami, wyszli przez drzwiczki od ogrodu na ulicę. Petroniusz uzbroił się także w krótki rzymski nóż, zwany: „sica“, który brał zawsze ze sobą na nocne wyprawy.

Miasto było z powodu burzy puste. Od czasu do czasu błyskawica rozdzierała chmury, oświecając jaskrawym blaskiem świeże ściany nowo wzniesionych lub budujących się dopiero domów i mokre płyty kamienne, któremi wyłożone były ulice. Przy takiem świetle ujrzeli wreszcie, po dość długiej drodze, kopiec, na którym stała maleńka świątyńka Libityny, a pod kopcem grupę złożoną z mułów i koni.

— Niger! — zawołał cicho Winicyusz.

— Jestem, panie! — ozwał się głos wśród dżdżu.

— Wszystko gotowe?

— Tak jest, drogi. Jak tylko ściemniło się, byliśmy na miejscu. Ale schrońcie się pod okop, bo przemokniecie nawskróś. Co za burza! Sądzę, że spadną grady.

Jakoż obawa Nigra sprawdziła się, gdyż niebawem począł sypać grad, z początku drobny, poczem coraz grubszy i gęstszy. Powietrze oziębiło się natychmiast.

Oni zaś, stojąc pod okopem, zakryci od wiatru i lodowych pocisków, rozmawiali zniżonymi głosami.

— Choćby nas kto ujrzał — mówił Niger — nie poweźmie żadnych podejrzeń, wyglądamy bowiem na ludzi, którzy chcą przeczekać burzę. Ale boję się, żeby nie odłożono wynoszenia trupów do jutra.

— Grad nie będzie padał długo — rzekł Petroniusz.— Musimy czekać choćby do brzasku.

Jakoż czekali, nasłuchując, czy nie doleci ich odgłos pochodu. Grad przeszedł istotnie, ale zaraz potem poczęła szumieć ulewa. Chwilami zrywał się wiatr i niósł od strony Cuchnących dołów straszną woń rozkładających się ciał, które grzebano płytko i niedbale.

Wtem Niger rzekł:

— Widzę przez mgłę światełko... jedno, dwa, trzy... to pochodnie!

I zwrócił się do ludzi:

— Baczyć, by muły nie parskały!...

— Idą! — rzekł Petroniusz.

Jakoż światła stawały się coraz wyraźniejsze. Po chwili można było już odróżnić chwiejące się pod powiewem płomienie pochodni.

Niger począł się żegnać znakiem krzyża i modlić. Tymczasem posępny korowód przyciągnął bliżej i wreszcie, zrównawszy się z świątyńką Libityny, zatrzymał się. Petroniusz, Winicyusz i Niger przycisnęli się w milczeniu do kopca, nie rozumiejąc, co to znaczy. Lecz tamci zatrzymali się tylko dlatego, by poobwiązywać sobie twarze i usta szmatami, dla ochrony od duszącego smrodu, który przy samych „puticuli“ był wprost nie do zniesienia, poczem podnieśli nosze z trumnami i poszli dalej.

Jedna tylko trumna zatrzymała się naprzeciw świątyńki.

Winicyusz skoczył ku niej, a za nim Petroniusz, Niger i dwaj niewolnicy brytańscy z lektyką.

Lecz nim dobiegli, w ciemności dał się słyszeć pełen bólu głos Nazaryusza:

— Panie, przenieśli ją wraz z Urzusem do Eskwilińskiego więzienia... My niesiem inne ciało! a ją porwali przed północą!!!...

Petroniusz, wróciwszy do domu, posępny był, jak burza i nie próbował nawet pocieszać Winicyusza. Rozumiał, że o wydobyciu Ligii z Eskwilińskich podziemi niema co i marzyć. Odgadywał, że prawdopodobnie dlatego przeniesiono ją z Tulianum, by nie umarła z gorączki i by nie uniknęła przeznaczonego jej amfiteatru. Ale to właśnie był dowód, że czuwano nad nią i strzeżono jej pilniej, niż innych. Petroniuszowi żal było do głębi duszy i jej i Winicyusza, lecz prócz tego nurtowała go i ta myśl, że po raz pierwszy w życiu coś mu się nie udało i że po raz pierwszy został zwyciężony w walce.

— Fortuna zdaje się mnie opuszczać — mówił sobie — ale bogowie mylą się, jeśli sądzą, że zgodzę się na takie naprzykład życie, jak jego.

Tu spojrzał na Winicyusza, który również patrzył na niego rozszerzonemi źrenicami.

— Co tobie? Ty masz gorączkę? — rzekł Petroniusz.

Ów zaś odpowiedział jakimś dziwnym złamanym i powolnym głosem, jakby chorego dziecka:

— A ja wierzę, że On może mi ją powrócić.

Nad miastem cichły ostatnie grzmoty burzy.

ROZDZIAŁ LVIII.

Trzydniowy deszcz, zjawisko wyjątkowe w Rzymie podczas lata, i grady, padające wbrew przyrodzonemu porządkowi nietylko w dzień i wieczorami, ale nawet wśród nocy, przerwały widowiska. Lud począł trwożyć się. Przepowiadano nieurodzaj na winograd, a gdy pewnego południa piorun stopił na Kapitolu bronzowy posąg Cerery, nakazano ofiary

w świątyni Jowisza Salwatora. Kapłani Cerery rozpuścili wieść, że gniew Bogów zwrócił się na miasto z powodu zbyt opieszałego wymiaru kary na chrześcijan, tłumy więc jęły domagać się, by bez względu na pogodę przyśpieszono dalszy ciąg igrzysk, i radość ogarnęła cały Rzym, gdy ogłoszono wreszcie, że po trzech dniach przerwy „ludus“ rozpocznie się na nowo.

Tymczasem wróciła i piękna pogoda. Amfiteatr od świtu do nocy napełnił się tysiącami ludu, Cezar zaś przybył również wcześnie z westalkami i dworem. Widowisko miało rozpocząć się od walki chrześcijan między sobą, których w tym celu przebierano za gladyatorów i dano im wszelką broń, jaka służyła szermierzom z zawodu do zaczepnego i obronnego boju. Lecz tu nastąpił zawód. Chrześcijanie porzucali na piasek sieci, widły, włócznie i miecze, a natomiast poczęli się obejmować wzajemnie i zachęcać do wytrwania wobec mąk i śmierci. Wówczas głęboka uraza i oburzenie owładnęło sercami tłumów. Jedni zarzucali im małoduszność i tchórzostwo, drudzy twierdzili, iż nie chcą się bić naumyślnie, przez nienawiść do ludu, i dlatego, by go pozbawić radości, jaką widok męstwa zwykł sprawiać. Wreszcie z rozkazu Cezara wypuszczono na nich prawdziwych gladyatorów, którzy klęczących i bezbronnych wycięli w mgnieniu oka.

Lecz po uprzątnięciu trupów widowisko przestało być walką, a zmieniło się w szereg mitologicznych obrazów pomysłu samego Cezara. Ujrzano więc Herkulesa, płonącego żywym ogniem na górze Oeta. Winicyusz zadrżał na myśl, że na rolę Herkulesa przeznaczono może Urzusa, lecz widocznie kolej nie przyszła jeszcze na wiernego sługę Ligii, albowiem na stosie spłonął jakiś inny, zupełnie nieznany Winicyuszowi chrześcijanin. Natomiast w następnym obrazie Chilon, którego Cezar nie chciał uwolnić od bytności na przedstawieniu, ujrzał znajomych sobie ludzi. Przedstawiano śmierć Dedala [1]) i Ikara. W roli Dedala występował Eurycyusz, ten sam starzec, który w swoim czasie dał Chilonowi znak ryby, w roli zaś Ikara syn jego, Kwartus. Obydwóch podniesiono

[1]) Dedal, który, wedle innych podań, zdołał zalecieć z Krety do Sycylii, w amfiteatrach rzymskich ginął takąż samą śmiercią, jak Ikar.

za pomocą umyślnej maszyneryi w górę, a następnie strącono nagle z ogromnej wysokości na arenę, przyczem młody Kwartus upadł tak blizko cesarskiego podium, iż obryzgał krwią nietylko zewnętrzne ozdoby, ale i wysłane purpurą oparcie. Chilon nie widział upadku, albowiem przymknął oczy, słyszał tylko głuche uderzenie ciała, a gdy po chwili ujrzał krew tuż obok siebie, omal nie zemdlał po raz wtóry. Ale obrazy zmieniały się prędko. Sromotne męki dziewic, hańbionych przed śmiercią przez gladyatorów, poprzebieranych za zwierzęta, rozradowały serca tłumów. Widziano kapłanki Kibeli i Cerery, widziano Danaidy, widziano Dirce i Pasifae, widziano wreszcie dziewczątka niedorosłe, rozrywane przez dzikie konie. Lud oklaskiwał coraz nowe pomysły Cezara, który dumny z nich i uszczęśliwiony z oklasków, nie odejmował teraz ani na chwilę szmaragdu od oka, przypatrując się białym ciałom, rozdzieranym przez żelazo, i konwulsyjnym drganiom ofiar. Dawano jednak obrazy z dziejów miasta. Po dziewicach ujrzano Mucyusza Scewolę, którego ręka, przymocowana do trójnoga z ogniem, napełniała swędem spalonego mięsa amfiteatr, ale który, jak prawdziwy Scewola, stał bez jęku, z oczyma wzniesionemi w górę i z szeptem modlitwy na zczerniałych wargach. Po dobiciu go i wywleczeniu ciała do spoliarium, nastąpiła zwykła południowa przerwa w przedstawieniu. Cezar wraz z westalkami i augustyanami opuścił amfiteatr i udał się do wzniesionego umyślnie olbrzymiego szkarłatnego namiotu, w którym przygotowano dla niego i gości wspaniałe „prandium“. Tłumy po większej części poszły za jego przykładem i, wylewając się nazewnątrz, rozkładały się w malowniczych grupach obok namiotu, aby dać odpoczynek znużonym przez długie siedzenie członkom i spożyć potrawy, które z łaski Cezara obficie roznosili niewolnicy. Najciekawsi tylko, po opuszczeniu siedzeń, zeszli na samą arenę i, dotykając palcami lepkiego od krwi piasku, rozprawiali jako znawcy i lubownicy o tem, co się już odbyło i co jeszcze miało nastąpić. Wkrótce jednak odeszli i rozprawiacze, aby nie spóźnić się na ucztę; zostało tylko kilku ludzi, których zatrzymała nie ciekawość, ale współczucie dla przyszłych ofiar.

Ci ukryli się w przedziałach lub na niższych miejscach, a tymczasem zrównano arenę i poczęto kopać w niej doły,

jeden przy drugim, rzędami, przez całe kolisko, od brzegu do brzegu, tak, że ostatni ich szereg przypadał o kilkanaście kroków od cesarskiego podium. Z zewnątrz cyrku dochodził gwar ludu, krzyki i oklaski, a tu czyniono z gorączkowym pośpiechem przygotowania do jakichś nowych mąk. Naraz otwarły się cunicula i ze wszystkich otworów prowadzących na arenę, poczęto wypędzać gromady chrześcijan, nagich i dźwigających krzyże na ramionach. Zaroił się od nich cały amfiteatr. Biegli starce pochyleni pod ciężarem drewnianych bierwion, obok nich mężczyźni w sile wieku, kobiety z rozpuszczonymi włosami, pod którymi starały się ukryć swą nagość, chłopięta niedorosłe i całkiem małe dzieci. Krzyże, w większej części, również jak ofiary, uwieńczone były kwiatami. Służba cyrkowa, ćwicząc nieszczęsnych batami, zmuszała ich, by układali krzyże wedle gotowych dołów i sami stawali przy nich szeregiem. W ten sposób mieli zginąć ci, których pierwszego dnia igrzysk nie zdążono wypchnąć na pastwę psom i dzikim zwierzętom. Teraz chwytali ich czarni niewolnicy i kładnąc ofiary na wznak na drzewie, poczęli przybijać im ręce do przecznic gorliwie i szybko, tak, aby lud, wróciwszy po przerwie, zastał już wszystkie krzyże wzniesione. W całym amfiteatrze rozległ się teraz huk młotów, którego echa rozebrzmiały po wyższych rzędach i doszły aż na plac, otaczający amfiteatr, i pod namiot, w którym Cezar podejmował westalki i towarzyszów. Tam pito wino, żartowano z Chilona i szeptano dziwne słowa do uszu kapłanek Westy, na arenie zaś wrzała robota, gwoździe pogrążały się w ręce i nogi chrześcijan, warczały łopaty, zasypujące ziemią doły, w które wstawiano krzyże.

Lecz między ofiarami, na które dopiero za chwilę miała przyjść kolej, był Kryspus. Lwy nie miały czasu go rozedrzeć, więc przeznaczono mu krzyż, on zaś, zawsze gotów na śmierć, radował się myślą, że nadchodzi jego godzina. Wyglądał dziś inaczej, albowiem wyschłe ciało jego było obnażone zupełnie, tylko przepaska bluszczowa okrywała mu biodra, na głowie zaś miał wieniec z róż. Ale w oczach błyszczała mu zawsze taż sama niepożyta energia i taż sama twarz surowa i fanatyczna wychylała się z pod wieńca. Nie zmieniło się też jego serce, albowiem, jak niegdyś w cunicu-

lum groził gniewem Bożym poobszywanym w skóry współbraciom, tak i dziś gromił ich, zamiast pocieszać.

— Dziękujcie Zbawicielowi — mówił — że pozwala wam umrzeć taką śmiercią, jaką sam umarł. Może część win waszych będzie wam za to odpuszczona, drżyjcie wszelako, albowiem sprawiedliwości musi się stać zadość i nie może być jednakiej nagrody dla złych i dobrych.

A słowom jego wtórował odgłos młotów, którymi przybijano ręce i nogi ofiar. Coraz więcej krzyżów wznosiło się na arenie, on zaś zwracając się do gromady tych, którzy stali jeszcze, każdy przy swojem drzewie, mówił dalej:

— Widzę otwarte niebo, ale widzę otwartą i otchłań... Sam nie wiem, jako zdam sprawę Panu z żywota mego, chociażem wierzył i nienawidziłem złego i nie śmierci się lękam, lecz zmartwychpowstania, nie męki, lecz sądu, albowiem nastaje dzień gniewu...

A wtem z pomiędzy bliższych rzędów ozwał się jakiś głos spokojny i uroczysty:

— Nie dzień gniewu, ale dzień miłosierdzia, dzień zbawienia i szczęśliwości, albowiem powiadam wam, że Chrystus przygarnie was, pocieszy i posadzi na prawicy swojej. Ufajcie, bo oto niebo otwiera się przed wami.

Na te słowa wszystkie oczy zwróciły się ku ławkom; nawet ci, którzy już wisieli na krzyżach, podnieśli blade, umęczone głowy i poczęli patrzeć w stronę mówiącego męża.

A on zbliżył się do przegrody, otaczającej arenę i począł ich żegnać znakiem krzyża.

Kryspus wyciągnął ku niemu ramię, jakby chcąc go zgromić, lecz, ujrzawszy jego twarz, opuścił dłoń, poczem kolana zgięły się pod nim, a usta wyszeptały:

— Apostoł Paweł!...

Ku wielkiemu zdziwieniu cyrkowej służby, poklękali wszyscy, których nie zdążono dotąd poprzybijać, zaś Paweł z Tarzu zwrócił się do Kryspa i rzekł:

— Kryspie, nie groź im, albowiem dziś jeszcze będą z tobą w raju. Ty mniemasz, że mogą być potępieni? Lecz któż je potępi? Zali uczyni to Bóg, który oddał za nie Syna swego? Zali Chrystus, który umarł dla ich zbawienia, jako oni umierają dla imienia Jego? I jakoż może potępić Ten,

który miłuje? Kto będzie skarżył na wybrane Boże? Kto powie na tę krew: Przeklęta!?...

— Panie, nienawidziłem złego — odrzekł stary kapłan.

— Chrystus więcej jeszcze nakazał miłować ludzi, niż nienawidzić złego, albowiem nauka Jego miłością jest, nie nienawiścią...

— Zgrzeszyłem w godzinę śmierci — odrzekł Kryspus. I począł się bić w piersi.

Wtem zarządca ławek zbliżył się ku Apostołowi i zapytał:

— Kto jesteś, który przemawiasz do skazanych?

— Obywatel rzymski — odparł spokojnie Paweł.

Poczem, zwróciwszy się do Kryspa, rzekł:

— Ufaj, gdyż dzień to jest łaski i umrzej w spokoju, sługo Boży.

Dwaj Murzyni zbliżyli się w tej chwili do Kryspa, aby położyć go na drzewie, lecz on spojrzał raz jeszcze naokół i zawołał:

— Bracia moi, módlcie się za mnie!

I twarz jego straciła zwykłą surowość; kamienne rysy przybrały wyraz spokoju i słodyczy. Sam rozciągnął ręce wzdłuż ramion krzyża, aby ułatwić robotę i, patrząc wprost w niebo, począł modlić się żarliwie. Zdawał się nic nie czuć, albowiem gdy gwoździe zagłębiały się w jego ręce, najmniejsze drgnienie nie wstrząsnęło jego ciałem, ani na obliczu nie pojawiła się żadna zmarszczka bólu: modlił się, gdy przybijano mu nogi, modlił się, gdy wznoszono krzyż i udeptywano naokół ziemię. Dopiero, gdy tłumy ze śmiechem i okrzykami poczęły napełniać amfiteatr, brwi starca ściągnęły się nieco, jakby się gniewał, że pogański lud miesza mu ciszę i spokój słodkiej śmierci.

Lecz przedtem jeszcze wzniesiono wszystkie krzyże tak, że na arenie stanął jakby las z wiszącymi na drzewach ludźmi. Na ramiona krzyżów i na głowy męczenników padał blask słońca, na arenę zaś grube cienie, tworzące jakby czarną poplątaną kratę, wśród której przeświecał żółty piasek. Było to widowisko, w którem dla ludu całą rozkosz stanowiło przypatrywanie się powolnemu konaniu. Lecz nigdy dotąd nie widziano takiej gęstwy krzyżów. Arena była nimi nabita tak szczelnie, że służba z trudnością mogła się między nimi prze-

ciskać. Na obrębie wisiały przeważnie kobiety, lecz Kryspa, jako przywódcę, wzniesiono tuż prawie przed podium cesarskiem, na ogromnym krzyżu, spowitym u spodu w wiciokrzew. Nikt z ofiar jeszcze nie skonał, ale niektórzy z tych, których poprzybijano najpierwej, pomdleli. Nikt nie jęczał i nie wołał o litość. Niektórzy wisieli z głowami pochylonemi na ramiona, lub pospuszczanemi na piersi, jakby ujęci snem; niektórzy jakby w zamyśleuiu, niektórzy patrząc jeszcze ku niebu, poruszali zcicha ustami. W tym strasznym lesie krzyżów, w tych porozpinanych ciałach, w milczeniu ofiar było jednak coś złowrogiego. Lud, który po uczcie syt i rozweselony, wchodził z okrzykami do cyrku, umilkł, nie wiedząc, na którem ciele oczy zatrzymać i co myśleć. Nagość naprężonych kobiecych postaci przestała drażnić jego zmysły. Nie czyniono nawet zwykłych zakładów o to, kto prędzej skona, które czyniono zwykle, gdy na arenie zjawiała się mniejsza ilość skazanych. Zdawało się, że Cezar nudzi się także, albowiem, przekręciwszy głowę, poprawiał leniwym ruchem naszyjnik z twarzą ospałą i senną.

Wtem wiszący naprzeciw Kryspus, który przed chwilą oczy miał zamknięte, jak człowiek omdlały lub konający, otworzył je i począł patrzeć na Cezara.

Twarz jego przybrała znów wyraz tak nieubłagany, a wzrok zapłonął takim ogniem, że augustyanie poczęli szeptać między sobą, ukazując go palcami, a w końcu sam Cezar zwrócił na niego uwagę i ociężale przyłożył szmaragd do oka.

Nastała cisza zupełna. Oczy widzów utkwione były w Kryspa, który próbował poruszyć prawą ręką, jakby ją chciał oderwać od drzewa.

Po chwili pierś wzdęła mu się, żebra wystąpiły na wierzch i począł wołać:

— Matkobójco! — biada ci!!

Augustyanie, posłyszawszy śmiertelną obelgę, rzuconą panu świata wobec tysiącznych tłumów, nie śmieli oddychać. Chilon zmartwiał. Cezar drgnął i wypuścił z palców szmaragd.

Lud zatrzymał również dech w piersiach. Głos Kryspusa rozlegał się coraz potężniej w całym amfiteatrze:

— Biada ci morderco żony i brata, biada ci Antychryście! Otchłań otwiera się pod tobą, śmierć wyciąga po ciebie

ręce i grób cię czeka. Biada ci żywy trupie, albowiem umrzesz w przerażeniu i potępiony będziesz na wieki!...

I nie mogąc oderwać przybitej dłoni od drzewa, rozciągnięty okropnie, straszny, za życia jeszcze do kościotrupa podobny, nieugięty jak przeznaczenie, trząsł białą brodą nad Neronowem podium, rozpraszając zarazem ruchami głowy liście róż z wieńca, który mu nałożono na czaszkę.

— Biada ci morderco! przebrana jest twoja miara i czas twój zbliża się!!!...

Tu wytężył się raz jeszcze: zdawało się przez chwilę, że oderwie dłoń od krzyża i wyciągnie ją groźnie nad Cezarem, lecz nagle wychudłe jego ramiona wydłużyły się jeszcze bardziej, ciało obsunęło się ku dołowi, głowa opadła mu na piersi, i skonał.

Wśród krzyżowego lasu, słabsi poczęli też już zasypiać snem wiecznym.

ROZDZIAŁ LIX.

— Panie — mówił Chilon — teraz jest morze jak oliwa i fale zdają się spać... Jedźmy do Achai. Tam czeka cię sława Apollina, tam czekają cię wieńce, tryumfy, tam ludzie cię ubóstwią, a bogowie przyjmą, jak równego sobie gościa, tu zaś, panie...

I przerwał, albowiem dolna warga poczęła mu się trząść tak silnie, że jego słowa przeszły w niezrozumiałe dźwięki.

— Pojedziemy po skończonych igrzyskach — odrzekł Neron. — Wiem, że i tak już niektórzy nazywają chrześcijan „innoxia corpora“. Gdybym odjechał, zaczęliby to powtarzać wszyscy. Czego się ty boisz, zmurszała bedłko?

To rzekłszy, zmarszczył brwi, lecz począł patrzeć pytającym wzrokiem na Chilona, jakby czekając od niego wyjaśnienia, albowiem udawał tylko zimną krew. Na ostatniem przedstawieniu sam zląkł się słów Kryspa i, wróciwszy do domu, nie mógł zasnąć z wściekłości i wstydu, ale zarazem ze strachu. Wtem przesądny Westynus, który słuchał w milczeniu ich rozmowy, obejrzał się wkoło i rzekł tajemniczym głosem:

— Słuchaj, panie, tego starca, w tych chrześcijanach jest coś dziwnego... Ich bóstwo daje im śmierć lekką, ale może być mściwe.

Na to Neron rzekł prędko:

— To nie ja urządzam igrzyska. To Tygellin.

— Tak jest! to ja — odpowiedział Tygellin, który dosłyszał odpowiedź Cezara. To ja, i drwię sobie ze wszystkich bogów chrześcijańskich. Westynus, panie, to pęcherz wydęty przesądami, a ten waleczny Grek gotów umrzeć ze strachu na widok kwoki, najeżonej w obronie kurcząt.

— To dobrze — rzekł Neron — ale każ odtąd chrześcijanom obcinać języki, albo kneblować usta.

— Zaknebluje im je ogień, o boski.

— Biada mi! — jęknął Chilon.

Lecz Cezar, któremu zuchwała pewność siebie Tygellina dodała otuchy, począł się śmiać i rzekł, pokazując na starego Greka:

— Patrzcie, jak wygląda potomek Achillesa!

Rzeczywiście Chilon wyglądał strasznie. Resztki włosów na czaszce pobielały mu zupełnie, w twarzy zakrzepł mu wyraz jakiegoś niezmiernego niepokoju, trwogi i pognębienia. Wydawał się też chwilami jakby odurzony i nawpół przytomny. Często nie odpowiadał na pytania, czasem znów wpadał w gniew i stawał się zuchwałym tak, że augustyanie woleli go nie zaczepiać.

Taka chwila przyszła nań i teraz.

— Róbcie ze mną, co chcecie, a ja na igrzyska więcej nie pójdę! — zawołał rozpaczliwie, klaszcząc w palce.

Neron popatrzył na niego przez chwilę i, zwróciwszy się do Tygellina, rzekł:

— Dopilnujesz, by w ogrodach ten stoik był blizko mnie. Chcę widzieć, jakie uczynią na nim wrażenie nasze pochodnie.

Chilon zląkł się jednak groźby, drgającej w głosie Cezara.

— Panie — rzekł — nic nie zobaczę, albowiem nie widzę w nocy.

A Cezar odpowiedział ze strasznym uśmiechem:

— Noc będzie jasna, jak dzień.

Poczem zwrócił się do innych augustyanów, z któ-

rymi począł rozmawiać o wyścigach, jakie zamierzał wyprawić pod koniec igrzysk.

Do Chilona zbliżył się Petroniusz i, trąciwszy go w ramię, rzekł:

— Zalim ci nie mówił? Nie wytrzymasz.

Ów zaś odpowiedział:

— Chcę się upić...

I wyciągnął drżącą rękę po krater z winem, lecz nie mógł go donieść do ust, co widząc Westynus, odebrał mu naczynie, następnie zaś, przysunąwszy się blizko, spytał z twarzą zaciekawioną i przelękłą:

— Czy ścigają cię furye? Co?...

Starzec patrzył na niego jakiś czas z otwartemi ustami, jakby nie zrozumiał pytania i jął mrugać oczyma.

A Westynus powtórzył:

— Czy ścigają cię furye?

— Nie — odrzekł Chilon — ale noc jest przedemną.

— Jakto, noc?... Niech bogowie zmiłują się nad tobą! Jakto, noc?

— Noc okropna i nieprzejrzana, w której się coś rusza i coś idzie do mnie. Ale ja nie wiem co i boję się.

— Zawszem był pewny, że to są czarownicy. Czy ci się co nie śni?

— Nie, bo nie zasypiam. Ja nie myślałem, że ich tak skarzą.

— Czy ci ich żal?

— Po co wy rozlewacie tyle krwi? Słyszałeś, co tamten mówił z krzyża? Biada nam!

— Słyszałem — odpowiedział cicho Westynus. — Ale to są podpalacze.

— Nieprawda!

— I nieprzyjaciele rodu ludzkiego.

— Nieprawda!

— I zatruwacze wód.

— Nieprawda!

— I mordercy dzieci...

— Nieprawda!...

— Jakże? — zapytał ze zdziwieniem Westynus. — Tyś sam to mówił i wydawałeś ich w ręce Tygellina!

— To też otoczyła mnie noc i śmierć idzie ku mnie... Czasem zdaje mi się, żem już umarł, i wy także.

— Nie! to oni umrą, a my jesteśmy żywi. Ale powiedz mi: co oni widzą, umierając?

— Chrystusa...

— To ich bóg? czy to możny bóg?

Lecz Chilon odpowiedział również pytaniem:

— Co to za pochodnie mają się palić w ogrodzie? Słyszałeś, co mówił Cezar?

— Słyszałem i wiem. Takich zwą sarmentitii i semaxii... Przybiorą ich w bolesne tuniki, napojone żywicą, przywiążą do słupów i podpalą... Byle tylko ich Bóg nie spuścił na miasto jakich klęsk.. Semaxii!! to straszna kaźń.

— Wolę to, bo nie będzie krwi — odpowiedział Chilon. — Każ niewolnikowi podać mi krater do ust. Chcę pić, a rozlewam wino, bo mi ręka lata ze starości...

Inni rozmawiali przez ten czas także o chrześcijanach. Stary Domicyusz Afer drwił z nich.

— Mnóstwo ich takie — mówił — że mogliby wzniecić wojnę domową, i pamiętacie, że były obawy, czy nie zechcą się bronić. A oni umierają jak owce.

— Niechby spróbowali inaczej! — rzekł Tygellinus.

Na to ozwał się Petroniusz:

— Mylicie się. Oni się bronią.

— A to jakim sposobem?

— Cierpliwością.

— To nowy sposób.

— Zapewne. Ale czy możecie powiedzieć, że oni umierają tak, jak pospolici zbrodniarze? Nie! Oni umierają tak, jakby zbrodniarzami byli ci, którzy ich na śmierć skazują, to jest my i cały lud rzymski.

— Co za brednie! — zawołał Tygellinus.

— *Hic abdera!* [1]) — odpowiedział Petroniusz.

Lecz inni, uderzeni trafnością jego uwagi, poczęli spoglądać na się ze zdziwieniem i powtarzać:

— Prawda! jest coś odmiennego i osobliwego w ich śmierci.

---

[1]) Wyrażenie przysłowiowe, znaczy: oto najgłupszy z głupich.

— Mówię wam, że oni widzą swoje bóstwo! — zawołał z boku Westynus.

Wówczas kilku augustyanów zwróciło się do Chilona.

— Hej, stary, ty ich znasz dobrze: powiedz nam, co oni widzą?

A Grek wypluł wino na tunikę i odrzekł:

— Zmartwychwstanie!...

I począł się trząść tak, że siedzący bliżej goście wybuchli głośnym śmiechem.

ROZDZIAŁ LX.

Od kilku dni Winicyusz spędzał noce za domem. Petroniuszowi przychodziło do głowy, że on może znów ułożył jakiś nowy plan i pracuje nad uwolnieniem Ligii z Eskwilińskiego więzienia, nie chciał go już jednak o nic pytać, by nie przynieść nieszczęścia robocie. Ten wykwintny sceptyk stał się także pod pewnym względem przesądnym, a raczej, od czasu, jak nie udało mu się wyrwać dziewczyny z Mamertyńskiego podziemia, przestał ufać swej gwieździe.

Nie liczył zresztą i teraz na dobry wynik zabiegów Winicyusza. Eskwilińskie więzienie, urządzone naprędce z piwnic domów, które zburzono dla położenia tamy pożarowi, nie było wprawdzie tak straszne, jak stare Tulianum obok Kapitolu, ale było natomiast stokroć bardziej strzeżone Petroniusz rozumiał doskonale, że Ligię przeniesiono tam tylko dlatego, by nie umarła i nie uniknęła amfiteatru, łatwo mu więc było domyślić się, że właśnie z tego powodu muszą jej pilnować, jak oka w głowie.

— Widocznie — mówił sobie — Cezar wraz z Tygellinem przeznaczają ją na jakieś osobne, straszniejsze od wszystkich widowisko, i Winicyusz prędzej sam zginie, niż zdoła ją wydobyć.

Winicyusz jednak stracił także nadzieję, czy potrafi ją wydobyć. Obecnie mógł to uczynić tylko Chrystus. Młodemu trybunowi chodziło już tylko o to, by mógł ją widywać w więzieniu.

Od niejakiego czasu nie dawała mu spokoju myśl, że Nazaryusz dostał się jednak do Mamertyńskiego więzienia,

jako najemnik do wynoszenia trupów, postanowił więc spróbować tej drogi.

Przekupiony za ogromną sumę dozorca „Cuchnących dołów“, przyjął go wreszcie w poczet swej czeladzi, którą co noc wysyłał po trupy do więzień. Niebezpieczeństwo, by Winicyusz mógł być poznany, było istotnie małe. Chroniły od niego: noc, niewolniczy ubiór i złe oświetlenie więzień. Komuż zresztą mogło przyjść do głowy, by patrycyusz, wnuk i syn konsulów, mógł się znaleźć między czeladzią grabarską, narażoną na wyziewy więzień i „Cuchnących dołów“, i jął się pracy, do której zmuszała ludzi tylko niewola lub ostatnia nędza.

Lecz on, gdy nadszedł upragniony wieczór, z radością przewiązał biodra i okręcił głowę szmatą, napojoną terpentyną, i z bijącem sercem udał się wraz z gromadą innych na Eskwilin.

Straże pretoryańskie nie czyniły im trudności, wszyscy bowiem zaopatrzeni byli w odpowiednie „tessery“, które centuryon oglądał przy świetle latarni. Po chwili wielkie żelazne drzwi otworzyły się przed nimi i weszli.

Winicyusz ujrzał przed sobą obszerną sklepioną piwnicę, z której przechodziło się do szeregu innych. Mdłe kaganki oświecały wnętrze, napełnione ludźmi. Niektórzy z nich leżeli pod ścianami, pogrążeni w śnie lub może umarli. Inni okrążali wielkie naczynie z wodą, stojące w pośrodku, z którego pili jak ludzie trawieni gorączką, inni siedzieli na ziemi z łokciami wspartymi o kolana i z głowami w dłoniach, gdzieniegdzie dzieci spały poprzytulane do matek. Naokół słychać było to jęki i głośny przyspieszony oddech chorych, to płacz, to szepty modlitwy, to pieśni nucone półgłosem, to przekleństwa dozorców. W podziemiu panował trupi zaduch i tłok. W mrocznych głębiach roiły się ciemne postaci, bliżej zaś, przy migotliwych płomykach, widać było twarze wybladłe, przerażone, zapadnięte i głodne, z oczyma zgasłemi, albo płonącemi gorączką, ze zsiniałemi ustami, ze strugami potu na czołach i pozlepianym włosem. Po kątach majaczyli głośno chorzy, inni wołali o wodę, inni, by ich wieść na śmierć. A było to jednak więzienie mniej straszne od starego Tulianum. Pod Winicyuszem nogi zachwiały się na ten widok i w piersi zabrakło mu oddechu. Na myśl, że Ligia znajduje

się wśród tej nędzy i niedoli, włosy powstały mu na głowie, a w piersiach zamarł krzyk rozpaczy. Amfiteatr, kły dzikich zwierząt, krzyże, wszystko było lepsze od tych straszliwych, pełnych trupiego zaduchu podziemi, w których błagalne głosy ludzkie powtarzały ze wszystkich kątów:

— Wiedźcie nas na śmierć!

Winicyusz wpił w dłonie paznogcie, czuł bowiem, że słabnie i że opuszcza go przytomność. Wszystko, przez co przeszedł dotychczas, cała miłość i boleść, zmieniła się w nim w jedną żądzę śmierci.

Wtem, tuż obok, ozwał się głos dozorcy Cuchnących dołów:

— A ile macie dziś trupów?

— Będzie z tuzin — odpowiedział strażnik więzienny — ale do rana będzie więcej, bo tam już niektórzy rzężą pod ścianami.

I począł narzekać na kobiety, że ukrywają zmarłe dzieci, dlatego, by dłużej je mieć przy sobie i nie oddawać, póki można, do „Cuchnących dołów". Trzeba trupy poznawać dopiero po zapachu, przez co powietrze, i tak straszne, psuje się jeszcze bardziej. „Wolałbym — mówił — być niewolnikiem w wiejskiem ergastulum, niż pilnować tych gnijących za życia psów". Dozorca „Dołów" pocieszał go, twierdząc, że jego służba nie jest lżejsza. Przez ten czas Winicyuszowi wróciło poczucie rzeczywistości i począł rozglądać się w podziemiu, w którem jednak napróżno szukał oczyma Ligii, myśląc przytem, że może jej wcale nie zobaczyć, dopóki będzie żywa. Piwnic było kilkanaście, połączonych ze sobą świeżymi przekopami, czeladź zaś grabarska wchodziła tylko do tych, z których trzeba było zabierać ciała zmarłych, zdjął go więc strach, że to, co kosztowało tyle trudów, może mu na nic nie posłużyć.

Na szczęście jego patron przyszedł mu z pomocą.

— Ciała trzeba zaraz wynosić — rzekł — bo zaraza najbardziej szerzy się przez trupy. Inaczej pomrzecie, i wy, i więźniowie.

— Na wszystkie piwnice jest nas dziesięciu — odrzekł strażnik — i musimy przecie spać.

— To ja ci zostawię czterech moich ludzi, którzy w nocy będą chodzili po piwnicach i patrzyli, czy kto nie umarł.

— Wypijemy jutro, jeśli to uczynisz. Każdego trupa niech zaniosą do próby, bo przyszły rozkazy, by umarłym przekłuwać szyje, a potem zaraz z nimi do dołów!

— Dobrze, ale wypijemy! — ozwał się dozorca.

Poczem wyznaczył czterech ludzi, a między nimi Winicyusza, z pozostałymi zaś zabrał się do wkładania trupów na nosze.

Winicyusz odetchnął Był pewien przynajmniej tego, że teraz odnajdzie Ligię.

I naprzód począł przeglądać starannie pierwsze podziemie. Zajrzał do wszystkich ciemnych kątów, do których prawie nie dochodził blask kaganka, obejrzał postaci śpiące pod ścianami, pod przykryciem płacht, obejrzał najciężej chorych, których pozaciągano w kąt osobny, Ligii jednakże nie mógł nigdzie odnaleźć. W drugiej i trzeciej piwnicy poszukiwania jego pozostały również bez skutku.

Tymczasem godzina uczyniła się późna: ciała powynoszono. Strażnicy, ułożywszy się w korytarzach, łączących piwnice, posnęli, dzieci, znużone płaczem umilkły, w podziemiach słychać było tylko oddech strudzonych piersi, i gdzieniegdzie jeszcze szept modlitw.

Winicyusz wszedł z kagankiem do czwartej z kolei piwnicy, znacznie mniejszej i podniósłszy światło w górę, począł się po niej rozglądać.

I nagle drgnął, zdawało mu się bowiem, że pod zakratowanym otworem w ścianie widzi olbrzymią postać Urzusa.

Więc, zdmuchnąwszy w tej chwili kaganek, zbliżył się do niego i spytał:

— Urzus, czy to ty?

Olbrzym odwrócił głowę:

— Ktoś ty jest?

— Nie poznajesz mnie? — zapytał młody człowiek.

— Zgasiłeś kaganek, jakże mogę cię poznać?

Lecz Winicyusz dojrzał w tej chwili Ligię, leżącą na płaszczu przy ścianie, więc, nie mówiąc nic więcej, klęknął przy niej.

Urzus zaś poznał go i rzekł:

— Chwała Chrystusowi! ale nie budź jej, panie.

Winicyusz, klęcząc, wpatrywał się w nią przez łzy. Mimo mroku, mógł odróżnić jej twarz, która wydała mu się

bladą, jak alabaster, i wychudzone ramiona. I na ten widok ogarnęła go miłość, podobna do rozdzierającego bólu, wstrząsająca duszą do ostatnich głębin, a zarazem tak pełna litości, czci i uwielbienia, że padłszy na twarz, począł przyciskać do ust brzeg płaszcza, na którym spoczywała ta droga mu nad wszystko głowa.

Urzus przez długi czas patrzył na niego w milczeniu, nakoniec jednak pociągnął go za tunikę.

— Panie — spytał — jak się dostałeś — i czy przychodzisz ją ocalić?

Winicyusz podniósł się i przez chwilę jeszcze walczył ze wzruszeniem.

— Wskaż mi sposób! — rzekł.

— Myślałem, że ty go znajdziesz, panie. Mnie jeden tylko przychodził do głowy...

Tu zwrócił oczy ku okratowanemu otworowi, poczem, jakby odpowiadając sam sobie, ozwał się:

— Tak!... Ale tam są żołnierze...

— Setnia pretoryanów — odpowiedział Winicyusz.

— Więc — nie przejdziemy!

— Nie!

Lig potarł czoło ręką i zapytał powtórnie:

— Jak tu wszedłeś?

— Mam tesserę od dozorcy „Cuchnących dołów..."

I nagle urwał, jak gdyby jakaś myśl błysnęła mu w głowie.

— Na mękę Zbawiciela! — począł mówić prędkim głosem. — Ja tu zostanę, a ona niech weźmie moją tesserę, niech owinie głowę szmatą, okryje ramiona płaszczem i wyjdzie. Wśród niewolników grabarskich jest kilku niedorosłych pachołków, więc pretoryanie nie poznają jej, a gdy raz dostanie się do domu Petroniusza, ten ją ocali!

Lecz Lig opuścił głowę na piersi i odrzekł:

— Ona nie zgodziłaby się na to, albowiem miłuje cię, a przytem jest chora i o własnej mocy stać nie może.

Po chwili zaś dodał:

— Jeśli ty, panie, i szlachetny Petroniusz nie mogliście jej z więzienia wydobyć, to któż zdoła ją ocalić?

— Jeden Chrystus!...

Poczem umilkli obaj. Lig w prostaczej swej głowie

myślał sobie: „Onby mógł przecie wszystkich ocalić, ale skoro tego nie czyni, to widać przyszedł czas mąk i śmierci“. I zgadzał się na nią dla siebie, ale żal mu było do głębi duszy tego dziecka, które wzrosło na jego ręku i które kochał nad życie.

Winicyusz klęknął znów przy Ligii. Przez zakratowany otwór wkradły się do podziemia promienie księżyca i oświeciły je lepiej od jedynego kaganka, który migotał jeszcze nad drzwiami.

Wtem Ligia otworzyła oczy i, położywszy swe rozpalone dłonie na rękach Winicyusza, rzekła:

— Widzę cię — i wiedziałam, że przyjdziesz.

On zaś rzucił się do jej rąk i począł przykładać je do czoła i serca, potem uniósł je nieco z posłania i wsparł o własne piersi.

— Przyszedłem, droga — rzekł. Niech cię Chrystus strzeże i ocali, o Ligio umiłowana!...

I nie mógł mówić więcej, albowiem serce poczęło mu skowyczeć w piersiach z bólu i miłości, a z bólem nie chciał się przed nią zdradzić.

— Chora jestem, Marku — odrzekła Ligia — i czy na arenie, czy tu, w więzieniu, muszę umrzeć... Ale modliłam się, bym cię przedtem mogła zobaczyć, i przyszedłeś: Chrystus mnie wysłuchał!!

A gdy jeszcze nie mógł zdobyć się na słowa i tylko przyciskał ją do piersi, mówiła dalej:

— Widywałam cię przez okno z Tulianum — i wiedziałam, żeś chciał przyjść. A teraz Zbawiciel dał mi chwilę przytomności, abyśmy się mogli pożegnać. Już ja idę do Niego, Marku, ale kocham cię i zawsze będę kochała.

Winicyusz przemógł się, zdusił w sobie ból i począł mówić głosem, który starał się uczynić spokojnym:

— Nie, droga! Ty nie umrzesz. Apostoł kazał wierzyć i przyrzekł modlić się za ciebie, a on Chrystusa znał, Chrystus go miłował i niczego mu nie odmówi... Gdybyś miała umrzeć, Piotr nie kazałby mi ufać, a on mi rzekł: „Ufaj!“ — Nie, Ligio! Chrystus zmiłuje się nade mną... On nie chce twojej śmierci, On jej nie dopuści... Przysięgam ci na imię Zbawiciela, że Piotr modli się za ciebie!

Nastała cisza. Jedyny kaganek wiszący nad drzwiami

zgasł, ale za to światło księżyca wschodziło całym otworem. W przeciwnym kącie piwnicy zakwiliło dziecko i ucichło. Z zewnątrz tylko dochodziły głosy pretoryanów, którzy po odbytej kolei strażniczej, grali pod murem w „scriptae duodecim".

— O Marku — odrzekła Ligia — Chrystus sam wołał do ojca: „oddal ode mnie ten kielich goryczy", a jednak go spełnił, Chrystus sam umarł na krzyżu, a teraz giną za niego tysiące, więc dlaczegóż mnie jedną miałby oszczędzać. Któż ja jestem, Marku? Słyszałam, jak Piotr mówił, że i on umrze umęczon, a któż ja jestem wobec niego? Gdy przyszli do nas pretoryanie, bałam się śmierci i męki, ale teraz się już nie boję. Patrz, jakie to straszne więzienie, a ja idę do nieba. Pomyśl, że tu jest Cezar, a tam jest Zbawiciel, dobry i miłosierny. I niema śmierci. Ty mnie kochasz, więc pomyśl, jaka będę szczęśliwa. O, Marku drogi, pomyśl, że ty tam przyjdziesz do mnie.

Tu umilkła, by nabrać tchu w swą chorą pierś, poczem podniosła do ust jego rękę:

— Marku?

— Co, droga!

— Nie płacz za mną, i pamiętaj, że ty tam przyjdziesz do mnie. Krótko żyłam, ale Bóg dał mi duszę twoją. Więc chcę powiedzieć Chrystusowi, że choć umarłam i choć patrzyłeś na śmierć moją i choć zostałeś w żalu, jednak nie bluźniłeś przeciw jego woli i miłujesz Go zawsze. A ty Go będziesz miłował i zniesiesz cierpliwie śmierć moją?... Bo wówczas On nas połączy, a ja cię kocham i chcę być z tobą...

Tu znów zbrakło jej oddechu i ledwie dosłyszalnym głosem skończyła:

— Przyrzecz mi to Marku!...

Winicyusz objął ją drżącemi rękoma i odrzekł:

— Na twoją świętą głowę! — przyrzekam!...

Wówczas w smutnem świetle księżyca rozjaśniła się jej twarz. Raz jeszcze podniosła do ust jego rękę i szepnęła:

— Jam żona twoja!...

Za murem, pretoryanie grający w „scriptae duodecim", podnieśli głośniejszą sprzeczkę, lecz oni zapomnieli o więzieniu, o strażach, o ziemi całej, i czując wzajem w sobie dusze anielskie, poczęli się modlić.

ROZDZIAŁ LXI.

Przez trzy dni, a raczej trzy noce nic nie mąciło im spokoju. Gdy zwykłe zajęcia więzienne, polegające na oddzielaniu zmarłych od żywych i ciężko chorych od zdrowszych, zostały ukończone i gdy znużeni strażnicy pokładli się spać na korytarzach, Winicyusz wchodził do podziemia, w którem była Ligia, i pozostawał w niem dopóty, dopóki brzask nie zajrzał przez kraty okna. Ona składała mu głowę na piersiach i rozmawiali cichymi głosami o miłości i o śmierci. Oboje mimowoli, w myślach i rozmowach, nawet w pragnieniach i nadziejach, oddalali się coraz bardziej od życia i tracili jego poczucie. Oboje byli, jak ludzie, którzy odpłynąwszy okrętem od lądu, nie widzą już brzegu i pogrążają się zwolna w nieskończoność. Oboje zmieniali się stopniowo w duchy smutne, rozmiłowane w sobie i w Chrystusie i gotowe odlecieć. Czasem tylko w jego sercu zrywał się jeszcze ból, jak wicher, czasem błysnęła, jak błyskawica, nadzieja, zrodzona z miłości i wiary w miłosierdzie Ukrzyżowanego Boga, lecz codzień więcej i on odrywał się od ziemi, a oddawał się śmierci. Rankiem, gdy wychodził z więzienia, patrzył już na świat, na miasto, na znajomych i na sprawy życiowe, jak przez sen. Wszystko wydawało mu się obcem, odległem, czczem i znikomem. Przestała go przerażać nawet groza mąk, miał bowiem poczucie, że to jest rzecz, przez którą można przejść jakby w zamyśleniu, z oczyma utkwionemi w coś innego. Obojgu zdawało się, że poczyna ich już ogarniać wieczność. Rozmawiali o miłości, o tem, jak będą miłowali się i żyli razem, ale jedynie z tamtej strony grobu, i jeśli czasem myśl ich zwracała się jeszcze ku rzeczom ziemskim, to tylko jak myśl ludzi, którzy, gotując się w wielką drogę, rozmawiają o przygotowaniach podróżnych. Zresztą otaczała ich cisza taka, jaka otacza dwie kolumny, stojące gdzieś na pustkowiu i zapomniane. Chodziło im już tylko o to, by Chrystus ich nie rozdzielił; a gdy każda chwila wzmagała w nich tę pewność, rozkochali się w Nim, jak w ogniwie, które ich miało połączyć, jak w nieskończonem szczęściu i w nieskończonym spokoju. Na ziemi jeszcze opadał z nich proch ziemi. Dusze stały się w nich czyste, jak łzy. Pod grozą śmierci, wśród nędzy

i cierpień, na barłogu więziennym poczęło się dla nich niebo, albowiem ona brała go za rękę i prowadziła, jakby już zbawiona i święta, do wieczystego źródła życia.

A Petroniusz zdumiewał się, widząc w twarzy Winicyusza coraz większy spokój i jakieś dziwne blaski, których nie widywał dawniej. Chwilami nawet rodziły się w jego umyśle przypuszczenia, że Winicyusz znalazł jakowąś drogę ratunku, i było mu przykro, że go w swe nadzieje nie wtajemnicza.

Wreszcie, nie mogąc wytrzymać, rzekł mu:

— Teraz ty wyglądasz inaczej, więc nie czyń przede mną tajemnicy, bo chcę i mogę ci być pomocnym: czy ułożyłeś co?

— Ułożyłem — odpowiedział Winicyusz — ale ty nie możesz mi być już pomocny. Oto po jej śmierci wyznam, żem jest chrześcijaninem i pójdę za nią.

— Więc nie masz nadziei?

— Owszem, mam. Chrystus mi ją odda i nie rozłączę się z nią już nigdy.

Petroniusz począł chodzić po atrium z wyrazem rozczarowania i zniecierpliwienia w twarzy, poczem rzekł:

— Na to nie potrzeba waszego Chrystusa, albowiem tę samą usługę może ci oddać nasz Tanatos [1]).

A Winicyusz uśmiechnął się smutno i rzekł:

— Nie, drogi, ale ty tego nie chcesz zrozumieć.

— Nie chcę i nie mogę — odpowiedział Petroniusz. — Nie czas na rozprawy, ale pamiętasz, coś mówił, gdy nam się nie udało wyrwać jej z Tulianum? Ja straciłem wszelką nadzieję, a tyś rzekł, gdyśmy wrócili do domu: „A ja wierzę, że Chrystus może mi ją wrócić". Niechże ci ją wróci. Gdy rzucę kosztowną czarę w morze, nie potrafi oddać mi jej żaden z naszych bogów, ale jeśli i wasz nie lepszy, to nie wiem, dlaczegobym miał go czcić więcej od dawnych.

— On też mi ją odda — odrzekł Winicyusz.

Petroniusz wzruszył ramionami.

— Czy wiesz — zapytał — że chrześcijanami mają jutro oświecić ogrody Cezara?

— Jutro? — powtórzył Winicyusz.

---

[1]) Geniusz śmierci.

I wobec blizkiej strasznej rzeczywistości serce zadrgało w nim jednak bólem i przerażeniem. Pomyślał, że to może ostatnia noc, którą będzie mógł spędzić z Ligią, więc, pożegnawszy Petroniusza, udał się śpiesznie do dozorcy „putykulów“ po swoją tesserę.

Lecz tu czekał go zawód, dozorca albowiem nie chciał mu dać znaku.

— Wybacz, panie — rzekł. — Uczyniłem dla ciebie, com mógł, ale nie mogę narażać życia. Dziś w nocy mają wyprowadzać chrześcijan do ogrodów Cezara. W więzieniu pełno będzie żołnierzy i urzędników. Gdyby cię poznano, zginąłbym ja i moje dzieci.

Winicyusz zrozumiał, że próżno byłoby nalegać. Błysnęła mu jednak nadzieja, że żołnierze, którzy widywali go poprzednio, puszczą go może i bez znaku, więc za nadejściem nocy, przebrawszy się jak zwykle w zgrzebną tunikę i obwiązawszy szmatą głowę, udał się do bram więzienia.

Lecz dnia tego, sprawdzano znaki z większą jeszcze ścisłością, niż zwykle, a co większa, setnik Scewinus, srogi i oddany duszą i ciałem Cezarowi żołnierz, poznał Winicyusza.

Lecz widocznie w jego okutej w żelazo piersi tliły się jakieś iskry litości dla ludzkiej niedoli, albowiem, zamiast uderzyć włócznią w tarczę na znak alarmu, odwiódł Winicyusza na bok i rzekł mu:

— Panie, wracaj do siebie. Poznałem cię, ale będę milczał, nie chcąc cię gubić. Puścić cię nie mogę, ale wracaj i niech bogowie ześlą ci ukojenie.

— Puścić mnie nie możesz — rzekł Winicyusz — ale pozwól mi tu zostać i widzieć tych, których będą wyprowadzali.

— Mój rozkaz nie sprzeciwia się temu — odpowiedział Scewinus.

Winicyusz stanął przed bramą i czekał, póki nie poczną wyprowadzać skazańców. Wreszcie około północy rozwarły się szeroko bramy więzienia i ukazały się całe szeregi więźniów: mężczyzn, kobiet i dzieci, otoczone przez zbrojne oddziały pretoryanów. Noc była jasna bardzo — i pełnia tak, że można było odróżnić nietylko postaci, ale nawet i twarze nieszczęsnych. Szli parami, długim, posępnym korowodem, i wśród ciszy, przerywanej tylko brzękiem żołnierskich zbroic.

Prowadzono ich tylu, że zdawało się, iż wszystkie piwnice pozostaną próżne.

Przy końcu orszaku Winicyusz dostrzegł wyraźnie Glauka-lekarza, lecz ani Ligii, ani Urzusa nie było między skazanymi.

ROZDZIAŁ LXII.

Mrok jeszcze nie zapadł, gdy już pierwsze fale ludu poczęły napływać do ogrodów Cezara. Tłumy, przybrane świątecznie, uwieńczone, ochocze i śpiewające, a w części pijane, szły patrzeć na nowe, wspaniałe widowisko. Okrzyki: „Semaxii! Sarmentitii!" rozlegały się na Via Tecta, na moście Emiliusza i z drugiej strony Tybru, na drodze Tryumfalnej, koło cyrku Nerona i aż hen, po wzgórze Watykańskie. Widywano już i poprzednio w Rzymie ludzi, palonych na słupach, lecz nigdy dotąd nie widziano takiej ilości skazanych. Cezar i Tygellin, chcąc skończyć z chrześcijanami, a zarazem zapobiedz zarazie, która z więzień rozchodziła się coraz bardziej po mieście, nakazali opróżnić wszystkie podziemia, tak, że zostało w nich zaledwie kilkudziesięciu ludzi, przeznaczonych na koniec igrzysk. To też tłumy, po przebyciu bram ogrodowych, oniemiały ze zdziwienia. Wszystkie aleje główne i boczne, biegnące wśród gęstwiny drzew, wokół łąk, kęp, stawów, sadzawek i poletków, obsianych kwieciem, nabite były smolnymi słupami, do których poprzywiązywano chrześcijan. Z wyższych miejsc, gdzie widoku nie zasłaniały drzewa, można było dostrzedz całe szeregi palów i ciał, przybranych w kwiaty, w liście mirtowe i w bluszcz, ciągnące się w głąb, po wyniosłościach i nizinach tak daleko, że, gdy bliższe wydawały się jak maszty naw, najdalsze przedstawiały się oczom, jak kolorowe, pozatykane w ziemię, tyrsy lub dzidy. Mnogość ich przeszła oczekiwania samego ludu. Można było pomyśleć, że cały jakiś naród poprzywiązywano do słupów dla uciechy Rzymu i Cezara. Gromady widzów zatrzymywały się przed pojedyńczymi masztami, w miarę jak zaciekawiały je postaci, wiek lub płeć ofiar, oglądały twarze, wieńce, girlandy bluszczu, poczem szły dalej i dalej, zadając sobie pełne zdumienia pytania: „Zali mogło być tylu winnych, lub jak mogły pod-

palić Rzym dzieci, zaledwie zdolne chodzić o własnej mocy?"
I zdumienie przechodziło zwolna w niepokój.

Tymczasem zapadł mrok i na niebie zabłysły pierwsze gwiazdy. Wówczas przy każdym skazanym stanął niewolnik z płonącą pochodnią w ręku, a gdy odgłos trąb rozległ się w różnych częściach ogrodów, na znak rozpoczęcia widowiska, wszyscy przyłożyli płomień do spodu słupów.

Ukryta pod kwiatami i polana smołą słoma wnet zajęła się jasnym płomieniem, który, wzmagając się z każdą chwilą, rozkręcał zwoje bluszczów, wzbijał się ku górze i obejmował nogi ofiar. Lud umilkł, ogrody zabrzmiały jednym ogromnym jękiem i krzykami boleści. Niektóre ofiary jednak, wznosząc głowy ku gwiaździstemu niebu, poczęły śpiewać na cześć Chrystusa. Lud słuchał. Lecz najtwardsze serca napełniły się przerażeniem, gdy z mniejszych masztów rozdzierające dziecinne głosy poczęły wołać: „Mamo! mamo!" i dreszcz przebiegł nawet pijanych widzów na widok owych główek i niewinnych twarzy, poprzekrzywianych bólem lub mdlejących w dymie, który począł dusić ofiary. A płomień szedł w górę i przepalał coraz nowe wieńce róż i bluszczów. Rozgorzały aleje główne i poboczne, rozgorzały kępy drzew i łąki, i kwieciste poletki, rozbłysła woda w sadzawkach i stawach, poróżowiały drżące liście na drzewach i uczyniło się widno, jak w dzień. Swąd spalonych ciał napełnił ogrody, lecz w tej chwili niewolnicy poczęli sypać w przygotowane umyślnie między słupami kadzielnice myrrę i aloes. Między tłumem ozwały się tu i owdzie okrzyki, niewiadomo czy współczucia, czy upojenia i radości, i wzmagały się z każdą chwilą wraz z ogniem, który obejmował słupy, wspinał się ku piersiom ofiar, skręcał palącem tchnieniem włosy na ich głowach, rzucał zasłonę na ich poczerniałe twarze, i wreszcie strzelał jeszcze wyżej, jakby na zwycięstwo i tryumf tej sile, która kazała go rozniecić.

Lecz jeszcze na początku widowiska zjawił się wśród ludu Cezar na wspaniałej cyrkowej kwadrydze, zaprzężonej w cztery białe rumaki, przybrany w ubiór woźnicy i barwę stronnictwa Zielonych, do którego i on, i jego dwór należał. Szły za nim inne wozy, pełne dworzan w świetnych strojach, senatorów, kapłanów i nagich bachantek z wieńcami na głowach i dzbanami wina w ręku, w części spitych i wydających

dzikie okrzyki. Obok nich muzycy, poprzebierani za faunów i satyrów, grali na cytrach, formingach, piszczałkach i rogach. Na innych wozach jechały matrony i dziewice rzymskie, również pijane i wpół nagie. Obok kwadryg skoczkowie potrząsali przybrane we wstążki tyrsy; inni bili w bębenki, inni sypali kwiaty. Cały ów świetny orszak posuwał się, wrzeszcząc: „evoe!" najszerszą ogrodową drogą wśród dymów i wśród ludzkich pochodni. Cezar, mając przy sobie Tygellina i Chilona, którego przerażeniem pragnął się zabawić, sam powodował końmi i, jadąc noga za nogą, spoglądał na płonące ciała, a zarazem słuchał okrzyków ludu. Stojąc na wysokiej złotej kwadrydze, otoczony falą ludzką, która kłaniała mu się do stóp, w blaskach ognia, w złotym wieńcu cyrkowego zwycięzcy, przerastał głową dworzan, tłumy, i wydawał się być olbrzymem. Potworne jego ramiona, wyciągnięte dla trzymania lejców, zdawały się błogosławić lud. W twarzy i przymrużonych oczach miał uśmiech, i jaśniał nad ludźmi, jak słońce, albo jak bóstwo, straszne, ale wspaniałe i potężne.

Chwilami zatrzymywał się, by przypatrzeć się dokładniej, czy to jakiej dziewicy, której łono poczynało skwierczeć w płomieniu, czy wykrzywionej przez konwulsye twarzy dziecka, i znów jechał dalej, wiodąc za sobą szalony i rozhukany orszak. Chwilami kłaniał się ludowi, to znów, przeginając się w tył, ściągał złote lejce i rozmawiał z Tygellinem. Nakoniec, dojechawszy do wielkiej fontanny, stojącej w pośrodku dwóch krzyżujących się ulic, wysiadł z kwadrygi i, skinąwszy na towarzyszów, zmieszał się z tłumem.

Przywitano go krzykiem i oklaskami. Bachantki, nimfy, senatorowie, augustyanie, kapłani, fauny, satyry i żołnierze otoczyli go wraz szalonem kołem, on zaś, mając po jednej stronie Tygellina, po drugiej Chilona, obchodził fontannę, naokół której płonęło kilkadziesiąt pochodni, zatrzymując się przed każdą, czyniąc uwagi nad ofiarami, lub drwiąc ze starego Greka, w którego twarzy malowała się bezbrzeżna rozpacz.

Nakoniec stanęli przed wysokim masztem, przybranym w mirty i okręconym w powój. Czerwone języki ognia dochodziły do kolan ofiary, ale twarzy jej nie można było zrazu rozpoznać, gdyż świeże płonące gałązki przesłoniły ją dymem.

Po chwili jednak lekki wiatr nocny zwiał dymy i odkrył głowę starca z siwą, spadającą na piersi brodą.

Na ten widok Chilon zwinął się nagle w kłąb, jak raniony gad, z ust zaś wyszedł mu krzyk, raczej do krakania, niż do ludzkiego głosu, podobny:

— Glaukos! Glaukos!...

Jakoż istotnie z płonącego słupa patrzył na niego Glaukos-lekarz.

Żył jeszcze. Twarz miał zbolałą i pochyloną, jakby chciał po raz ostatni przypatrzeć się swemu katowi, który go zdradził, pozbawił go żony, dzieci, nasadził na niego zabójcę, a gdy to wszystko zostało mu w imię Chrystusa odpuszczone, raz jeszcze wydał go w ręce oprawców. Nigdy człowiek nie wyrządził człowiekowi straszniejszych i bardziej krwawych krzywd. I oto ofiara płonęła teraz na smolnym słupie, a kat stał u jej stóp. Oczy Glauka nie odwracały się od twarzy Greka. Chwilami przesłaniał je dym, lecz gdy dmuchnął powiew, Chilon widział znów te utkwione w siebie źrenice. Podniósł się i chciał uciekać, lecz nie mógł. Nagle wydało mu się, że nogi jego są z ołowiu i że jakaś niewidzialna ręka zatrzymuje go z nadludzką siłą przed tym słupem. I skamieniał. Czuł tylko, że coś przepełnia się w nim, coś się zrywa, że dość ma mąk i krwi, że przychodzi koniec życia i że wszystko znika naokół: i Cezar, i dwór, i tłumy, a otacza go tylko jakaś bezdenna, straszna i czarna pustka, w niej zaś widać tylko te oczy męczennika, które wzywają go na sąd. A tamten, schylając coraz niżej głowę, patrzył ciągle. Obecni odgadli, że między tymi ludźmi coś się dzieje, lecz śmiech zamarł im na ustach, w twarzy bowiem Chilona było coś strasznego: wykrzywiła ją taka trwoga i taki ból, jak gdyby owe języki ognia paliły jego własne ciało. Nagle zachwiał się, i wyciągnąwszy w górę ramiona, zawołał okropnym, rozdzierającym głosem:

— Glauku! w imię Chrystusa! przebacz!!!

Uciszyło się naokół: dreszcz przebiegł obecnych i wszystkie oczy mimowoli podniosły się w górę.

A głowa męczennika poruszyła się lekko, poczem usłyszano z wierzchołka masztu podobny do jęku głos:

— Przebaczam!!...

Chilon rzucił się na twarz, wyjąc, jak dziki zwierz,

i, nabrawszy ziemi w obie garści, posypał sobie nią głowę. Tymczasem płomienie strzeliły w górę, objęły piersi i twarz Glauka, rozplotły mirtową koronę na jego głowie i zajęły wstęgi na wierzchu słupa, który zajaśniał cały wielkiem, jaskrawem światłem.

Lecz Chilon podniósł się po chwili z twarzą tak zmienioną, iż augustyanom wydało się, że widzą innego człowieka. Oczy płonęły mu niezwykłym blaskiem, ze zmarszczonego czoła biło uniesienie: niedołężny przed chwilą Grek wyglądał teraz jak jakiś kapłan, który, nawiedzony przez bóstwo, chce odkryć prawdy nieznane.

— Co z nim jest? oszalał! — ozwało się kilka głosów.

On zaś odwrócił się ku tłumom i, wyciągnąwszy w górę prawą rękę, począł wołać, a raczej krzyczeć tak donośnie, by nietylko augustyanie, ale i tłuszcza mogła głos jego dosłyszeć:

— Ludu rzymski! na moją śmierć przysięgam, że oto giną niewinni, a podpalaczem jest — ten!!!...

I wskazał palcem na Nerona.

Nastała chwila ciszy. Dworzanie zdrętwieli. Chilon stał ciągle z wyciągniętem, drżącem ramieniem i palcem zwróconym ku Cezarowi. Nagle uczyniło się zamieszanie. Lud nakształt fali, pchniętej nagłym wichrem, rzucił się ku starcowi, chcąc mu się lepiej przypatrzeć. Tu i owdzie ozwały się krzyki: „Trzymaj!“ gdzieindziej: „Biada nam!“ W tłumie rozległ się świst i wrzaski: „Ahenobarbus! matkobójca! podpalacz!“ Bezład wzrastał z każdą chwilą. Bachantki, wrzeszcząc w niebogłosy, poczęły się chronić na wozy. Nagle kilka przepalonych słupów przewróciło się, rozsypując wokół skry i powiększając zamęt. Ślepa, stłoczona fala ludu porwała Chilona i uniosła go w głąb ogrodu.

Wszędzie też słupy poczęły już przepalać się i padać w poprzek ulic, napełniając aleje dymem, skrami, swędem drzewa i swędem ludzkiego tłuszczu. Gasły światła dalsze i bliższe. W ogrodach pociemniało. Tłumy zaniepokojone, posępne i trwożne cisnęły się do bram. Wieść o tem, co zaszło, przechodziła z ust do ust, zmieniana i powiększona. Jedni opowiadali, że Cezar zemdlał, drudzy, że sam wyznał, iż kazał podpalić Rzym, trzeci, że zachorował ciężko, inni wreszcie, że wywieziono go, jak martwego na wozie. Tu i owdzie od-

zywały się głosy współczucia dla chrześcijan: „Nie oni spalili Rzym, po co więc tyle krwi, mąk i niesprawiedliwości? Czy bogowie nie będą się mścili za niewinnych, i jakież „piacula“ zdołają ich znowu przebłagać?“ Słowa „innoxia corpora!“ powtarzały się coraz częściej. Kobiety litowały się głośno nad dziećmi, których tyle rzucono dzikim zwierzętom, poprzybijano na krzyże lub spalono w tych przeklętych ogrodach! I wreszcie politowanie zmieniało się w złorzeczenia Cezarowi i Tygellinowi. Lecz byli i tacy, którzy zatrzymując się nagle, zadawali sobie lub innym pytanie: „Cóż to jest za bóstwo, które daje taką siłę wobec mąk i śmierci?“ I powracali do domów w zamyśleniu...

Chilon błąkał się zaś jeszcze po ogrodach, nie wiedząc, dokąd iść i gdzie się obrócić. Teraz uczuł się znów bezsilnym, niedołężnym i chorym starcem. Chwilami potykał się o niedopalone ciała, potrącał głownie, które wysyłały w ślad za nim roje iskier, chwilami siadał, spoglądając naokół bezprzytomnym wzrokiem. Ogrody stały się już prawie całkiem ciemne; między drzewami poruszał się tylko blady księżyc, rozświecając niepewnem światłem aleje, zczerniałe leżące w poprzek słupy i zmienione w bezkształtne bryły niedogarki ofiar. Lecz staremu Grekowi wydało się, że w księżycu widzi twarz Glauka i że oczy jego patrzą nań jeszcze ciągle, i chował się przed światłem. Wreszcie jednak wyszedł z cienia i mimowoli, jakby party jakąś nieznaną siłą, począł kierować się ku fontannie, przy której oddał ducha Glaukos.

Wtem jakaś ręka dotknęła jego ramienia.

Starzec odwrócił się i, widząc przed sobą nieznaną postać, zawołał z przerażeniem:

— Kto tam! Ktoś ty jest?

— Apostoł, Paweł z Tarzu.

— Jam przeklęty!... Czego chcesz?

A Apostoł odrzekł:

— Chcę cię zbawić.

Chilon oparł się o drzewo.

Nogi chwiały się pod nim i ramiona zwisły mu wzdłuż ciała.

— Dla mnie niemasz zbawienia! — rzekł głucho.

— Zali słyszałeś, że Bóg przebaczył żałującemu łotrowi na krzyżu? — zapytał Paweł.

— Zali wiesz, com ja uczynił?

— Widziałem boleść twoją i słyszałem, jakoś dał świadectwo prawdzie.

— O panie!!..

— I gdy sługa Chrystusów przebaczył ci w godzinie męki i śmierci, jakżeby ci Chrystus nie miał przebaczyć?

A Chilon chwycił rękoma głowę, jak w obłąkaniu:

— Przebaczenie! dla mnie przebaczenie!

— Bóg nasz, to Bóg Miłosierdzia — odpowiedział Apostoł.

— Dla mnie!? — powtórzył Chilon.

I począł jęczeć, jak człowiek, któremu zbrakło sił, by mógł opanować ból i mękę. Paweł zaś rzekł:

— Oprzyj się na mnie i pójdź ze mną.

I, wziąwszy go, szedł z nim ku krzyżującym się ulicom, kierując się głosem fontanny, która zdawała się płakać wśród nocnej ciszy nad ciałami pomęczonych.

— Bóg nasz, to Bóg Miłosierdzia — powtórzył Apostoł. — Gdybyś stanął nad morzem i rzucał w nie kamienie, czybyś mógł zarzucić nimi głębinę morską? A ja ci mówię, że miłosierdzie Chrystusa jest jako morze i że grzechy i winy ludzkie potoną w niem, jako kamienie w otchłani. I mówię ci, że jest jako niebo, które pokrywa góry, lądy i morza, albowiem jest wszędzie i niemasz mu granicy ni końca. Tyś cierpiał u słupa Glauka i Chrystus widział twoje cierpienie. Tyś rzekł, nie bacząc na to, coć jutro spotkać może: „Ten jest podpalaczem!“ i Chrystus spamiętał słowa twoje. Bowiem minęła twoja złość i kłamstwo, a w sercu został się jeno żal nieprzebrany... Chodź ze mną i słuchaj, co ci powiadam: otom ja także nienawidził Go i prześladował Jego wybranych. Jam Go nie chciał i nie wierzył w Niego, póki mi się nie ukazał i nie powołał mnie. I odtąd On jest miłością moją. A teraz ciebie nawiedził zgryzotą, trwogą i boleścią, aby cię powołać ku sobie. Tyś Go nienawidził, a On kochał cię. Tyś wydawał na męki Jego wyznawców, a On chce ci przebaczyć i zbawić cię.

Piersią nędzarza poczęło wstrząsać łkanie ogromne, od którego rozdzierała się w nim dusza do dna, a Paweł ogarniał go, opanowywał i wiódł, jak żołnierz wiedzie jeńca.

I po chwili znów mówić począł:

— Pójdź za mną, a ja cię powiodę do Niego. Dla jakiejże innej przyczyny przychodziłbym do ciebie? Ale oto On rozkazał mi zbierać dusze ludzkie w imię miłości, więc spełniam służbę Jego. Ty mniemasz, żeś przeklęty, a ja ci mówię: uwierz w Niego, a czeka cię zbawienie. Ty myślisz, żeś znienawidzon, a ja ci powtarzam, że On miłuje cię. Patrz na mnie! Gdym Jego nie miał, nic nie miałem krom złości, która mieszkała w sercu mojem, a teraz Jego miłość starczy mi za ojca i matkę, za bogactwa i królowanie. W Nim jednym ucieczka, On jeden policzy twój żal, wejrzy na nędzą twoją, zdejmie z ciebie trwogę i podniesie cię do siebie.

Tak mówiąc, przywiódł go do fontanny, której srebrny strumień połyskiwał zdala w miesięcznem świetle. Naokół była cisza i pustka, albowiem służba niewolnicza uprzątnęła już tu zwęglone słupy i ciała męczenników.

Chilon rzucił się z jękiem na kolana i, ukrywszy twarz w dłoniach, pozostał bez ruchu, Paweł zaś podniósł twarz ku gwiazdom i począł się modlić:

— Panie, spojrzyj na tego nędzarza, na żal jego, na łzy i mękę! Panie Miłosierdzia, któryś przelał krew za winy nasze, przez Twoją mękę, przez śmierć i zmartwychwstanie odpuść mu!

Poczem umilkł, lecz długo jeszcze patrzył w gwiazdy i modlił się.

A wtem z pod jego stóp ozwało się podobne do jęku wołanie:

— Chryste!... Chryste!... odpuść mi!...

Naówczas Paweł zbliżył się do fontanny i, nabrawszy wody w dłonie, wrócił do klęczącego nędzarza:

— Chilonie! oto cię chrzczę w imię Ojca, i Syna, i Ducha! amen!

Chilon podniósł głowę, rozłożył ręce i pozostał tak bez ruchu. Księżyc oświecał pełnem światłem jego zbielałe włosy i równie białą, nieruchomą, jakby umarłą lub wykutą z kamienia twarz. Chwile płynęły jedna za drugą; z wielkich ptaszarni, umieszczonych w ogrodach Domicyi, poczęło dochodzić pianie kogutów, a on klęczał jeszcze, podobny do nagrobnego posągu.

Wreszcie ocknął się, wstał, i, zwróciwszy się do Apostoła, zapytał:

— Co mam czynić przed śmiercią, panie?

Paweł również rozbudził się z zadumy nad tą niezmierną potęgą, której nie mogły oprzeć się nawet takie duchy, jak tego Greka, i odrzekł:

— Ufaj, i daj świadectwo prawdzie!

Poczem wyszli razem. U bram ogrodu Apostoł pobłogosławił raz jeszcze starca i rozstali się, albowiem wymagał tego sam Chilon, przewidując, że po tem, co zaszło, Cezar i Tygellinus każą go ścigać.

Jakoż nie mylił się. Wróciwszy do siebie, zastał już dom otoczony przez pretoryanów, którzy porwali go i pod wodzą Scewinusa zawiedli na Palatyn.

Cezar udał się już był na spoczynek, lecz Tygellin czekał, i, ujrzawszy nieszczęsnego Greka, powitał go z twarzą spokojną, ale złowrogą.

— Popełniłeś zbrodnię obrazy majestatu — rzekł mu — i kara cię nie minie. Lecz jeśli jutro oświadczysz w amfiteatrze, żeś był pijany i szalony, i że sprawcami pożaru są chrześcijanie, kara twoja skończy się na chłoście i wygnaniu.

— Nie mogę, panie! — odpowiedział cicho Chilon.

A Tygellin zbliżył się do niego krokiem powolnym i głosem również przyciszonym, ale strasznym, zapytał:

— Jakto, nie możesz, psie grecki? Zaliś nie był pijany i zali nie rozumiesz, co cię czeka? Spójrz tam!

I to rzekłszy, wskazał na kąt atrium, w którym obok długiej drewnianej ławy stało w mroku czterech nieruchomych niewolników trackich z powrozami i obcęgami w ręku.

A Chilon odrzekł:

— Nie mogę, panie!

Tygellina poczęła ogarniać wściekłość, lecz pohamował się jeszcze.

— Widziałeś — zapytał — jak umierają chrześcijanie? Czy chcesz tak umrzeć?

Starzec wzniósł w górę wybladłą twarz; czas jakiś wargi jego poruszały się cicho, poczem odrzekł:

— I ja wierzę w Chrystusa!...

Tygellin spojrzał na niego ze zdumieniem:

— Psie, tyś oszalał naprawdę!

I nagle nagromadzona w jego piersi wściekłość zerwała tamę. Skoczywszy do Chilona, chwycił go obiema rękami za

brodę, zwalił na ziemię i począł deptać, powtarzając z pianą na ustach:

— Odwołasz! odwołasz!...

— Nie mogę! — odpowiedział mu z ziemi Chilon.

— Na męki z nim!

Usłyszawszy ów rozkaz, Trakowie porwali starca i położyli go na ławę, poczem przytwierdziwszy go do niej za pomocą sznurów, poczęli cęgami ściskać jego wychudłe piszczele. Lecz on, w czasie gdy go przywiązywano, całował z pokorą ich ręce, następnie zaś przymknął oczy i wydawał się jak umarły.

Żył jednak, gdy bowiem Tygellin pochylił się nad nim i raz jeszcze zapytał: „Odwołasz?" zbielałe jego wargi poruszyły się lekko i wyszedł z nich zaledwie dosłyszalny szept:

— Nie... mogę!...

Tygellin kazał przerwać męki i jął chodzić po atrium z twarzą zmienioną przez gniew, lecz zarazem bezradną. Nakoniec widocznie przyszła mu do głowy jakaś nowa myśl, albowiem zwrócił się do Traków i rzekł:

— Wyrwać mu język!

ROZDZIAŁ LXIII.

Dramat „Aureolus" dawano zwykle w teatrach lub amfiteatrach tak urządzonych, iż mogły otwierać się i tworzyć jakby dwie odrębne sceny. Lecz po widowisku w ogrodach Cezara zaniechano zwykłego sposobu, szło bowiem o to, by jak największa liczba ludzi mogła patrzeć na śmierć przybitego do krzyża niewolnika, którego w dramacie pożerał niedźwiedź. W teatrach rolę niedźwiedzia grywał obszyty w skórę aktor, tym razem jednak przedstawienie miało być „prawdziwe". Był to nowy pomysł Tygellina. Cezar początkowo zapowiedział, że nie przybędzie, lecz z namowy faworyta zmienił zdanie. Tygellinus wytłómaczył mu, że po tem, co zaszło w ogrodach, tembardziej powinien pokazać się ludowi, i zarazem zaręczył, że ukrzyżowany niewolnik nie zelży go już, tak jak uczynił to Kryspus. Lud był już nieco przesycony i zmęczony przelewem krwi, zapowiedziano mu więc nowe

rozdawnictwo biletów loteryjnych i podarków, a zarazem ucztę wieczorną, przedstawienie bowiem miało się odbywać wieczorem, w rzęsiście oświetlonym amfiteatrze.

Jakoż o zmroku cały budynek napełnił się szczelnie; augustyanie z Tygellinem na czele przybyli wszyscy, nietyle dla samego widowiska jak dla okazania po ostatniem zajściu Cezarowi swej wierności i porozmawiania o Chilonie, o którym mówił cały Rzym.

Opowiadano więc sobie na ucho, że Cezar wróciwszy z ogrodów, wpadł w wściekłość i nie mógł zasnąć, że opadały go strachy i dziwne widzenia, skutkiem których nazajutrz zapowiedział swój prędki wyjazd do Achai. Inni wszelako przeczyli temu, twierdząc, że teraz okaże się tembardziej nieubłaganym względem chrześcijan. Nie brakło jednak i tchórzów, którzy przewidywali, że oskarżenie, jakie Chilon rzucił w twarz Cezarowi wobec tłumów, może mieć najgorsze następstwa. Byli wreszcie i tacy, którzy przez ludzkość prosili Tygellina, by zaniechał dalszych prześladowań.

— Patrzcie, dokąd idziecie, — mówił Barkus Soranus. — Chcieliście zaspokoić zemstę ludu i wpoić w niego przekonanie, że kara spada na winnych, a skutek jest wprost przeciwny.

— Prawda! — dodał Antystyusz Werus — wszyscy szepczą sobie teraz, że oni niewinni. Jeśli to ma być zręczność, to Chilon miał słuszność, mówiąc, że wasze mózgi nie napełniłyby żołędziowej miseczki.

Tygellin zaś zwrócił się do nich i rzekł:

— Ludzie szepczą sobie także, że twoja córka, Serwilia, Barku Soranusie, i twoja żona, Antystyuszu, poukrywały swych niewolników chrześcijan przed sprawiedliwością Cezara.

— To nieprawda! — zawołał z niepokojem Barkus.

— Żonę moją chcą zgubić wasze rozwódki, które zazdroszczą jej cnoty! — rzekł z niemniejszym niepokojem Antystyusz Werus.

Lecz inni rozmawiali o Chilonie.

— Co mu się stało? — mówił Epryus Marcellus. — Sam ich wydawał w ręce Tygellina; z nędzarza stał się bogaczem, mógł dożyć spokojnie swych dni, mieć piękny pogrzeb i nagrobek, tymczasem, nie!! Naraz wolał stracić wszystko i zgubić się; doprawdy: chyba oszalał!

— Nie oszalał, ale został chrześcijaninem — rzekł Tygellin.

— Chyba nie może być — ozwał się Witeliusz.

— A czy ja nie mówiłem! — wtrącił Westynus. — Mordujcie sobie chrześcijan, ale, wierzajcie mi, nie wojujcie z ich bóstwem. Tu niema żartów!... Patrzcie, co się dzieje! Ja tam nie paliłem Rzymu, ale gdyby mi Cezar pozwolił, zarazbym dał hekatombę ich bóstwu. I wszyscy powinni to samo uczynić, bo powtarzam: z niem niema żartów! Pamiętajcie, żem wam to mówił.

— A ja mówiłem co innego — rzekł Petroniusz. — Tygellin śmiał się, gdym twierdził, że oni się bronią, a ja teraz powiem więcej: że oni zdobywają!

— Jakto? jakto? — spytało kilka głosów.

— Na Polluxa!... Bo jeśli taki Chilon im się nie oparł, któż im się oprze! Jeśli myślicie, że po każdem widowisku nie przybywa chrześcijan, tedy z waszą znajomością Rzymu zostańcie kotlarzami, lub zacznijcie brody golić, wówczas bowiem będziecie lepiej wiedzieli, co lud myśli i co się w mieście dzieje.

— Mówi czystą prawdę, na święte peplum Dyany! — zawołał Westynus.

Lecz Barkus zwrócił się do Petroniusza:

— Do czego prowadzisz?

— Kończę na tem, od czegoście zaczęli: dość już krwi!

A Tygellin spojrzał na niego szydersko i rzekł:

— Ej! jeszcze trochę!

— Jeśli nie starczy ci głowy, masz drugą w gałce od laski! — odparł Petroniusz.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie Cezara, który zajął swe miejsce w towarzystwie Pitagorasa. Zaraz potem zaczęło się przedstawienie „Aureolusa“, na które nie bardzo zważano, myśli bowiem zajęte były Chilonem. Lud, przywykły do mąk i krwi, nudził się także, sykał, wydawał niepochlebne dla dworu okrzyki i wołał o przyśpieszenie sceny z niedźwiedziem, której jedynie był ciekawy. Gdyby nie nadzieja ujrzenia skazanego starca i podarków, samo widowisko nie zdołałoby zatrzymać tłumów.

Ale wreszcie nadeszła oczekiwana chwila. Pachołcy cyrkowi wnieśli naprzód drewniany krzyż, dość nizki, by nie-

dźwiedź, wspiąwszy się, mógł dosięgnąć do piersi męczennika, a następnie dwóch ludzi wprowadziło, a raczej przywlokło Chilona, albowiem sam, mając pokruszone kości u nóg, iść nie mógł. Położono go i przybito do drzewa tak prędko, że zaciekawieni augustyanie nie mogli mu się nawet dobrze przypatrzeć, i dopiero po umocowaniu krzyża, w przygotowanym umyślnie dole, wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Lecz mało kto mógł poznać w tym nagim starcu dawnego Chilona. Po męczarniach, które kazał mu zadać Tygellin, w twarzy nie zostało mu ani kropli krwi i tylko na białej brodzie widać było czerwony ślad, który zostawiła krew po wyrwaniu języka. Przez przezroczystą skórę nieledwie można było dojrzeć jego kości. Wydawał się też daleko starszym, niemal zgrzybiałym. Ale natomiast niegdyś oczy jego rzucały wiecznie pełne niepokoju i złości spojrzenia, czujne oblicze jego odbijało dawniej wieczną trwogę i niepewność, teraz zaś twarz miał bolesną, ale tak słodką i pogodną, jak miewają ludzie śpiący lub umarli. Może ufności dodawała mu pamięć o łotrze na krzyżu, któremu Chrystus przebaczył, a może też mówił w duchu miłosiernemu Bogu: „Panie, kąsałem, jak jadowity robak, ale oto byłem przez całe życie nędzarzem, przymierałem głodem, ludzie deptali po mnie, bili mnie i znęcali się nade mną. Byłem, Panie, biedny i bardzo nieszczęśliwy, a oto teraz jeszcze położono mnie na męki i przybito na krzyż, więc Ty, Miłosierny, nie odepchniesz mnie w godzinie śmierci!“ I spokój zstąpił widocznie w jego skruszone serce. Nikt nie śmiał się, było bowiem w tym ukrzyżowanym coś tak cichego, wydawał się tak starym, bezbronnym, słabym, tak wołającym swą pokorą o litość, że mimowoli każdy zadawał sobie pytanie: jak można męczyć i przybijać na krzyż ludzi, którzy już i tak konają? Tłum milczał. Między augustyanami Westynus, pochylając się na prawo i na lewo, szeptał przestraszonym głosem: „Patrzcie, jak oni umierają!“ inni czekali na niedźwiedzia, życząc sobie w duszy, by widowisko skończyło się jak najprędzej.

Niedźwiedź wtoczył się wreszcie na arenę i, chwiejąc nizko schyloną głową na obie strony, spoglądał naokół z podełba, jakby się nad czemś namyślał, lub czegoś szukał. Dostrzegłszy wreszcie krzyż, a na nim nagie ciało, zbliżył się ku niemu, podniósł się nawet, lecz po chwili opuścił się znów

na przednie łapy, i siadłszy pod krzyżem, począł mruczeć, jakby i w jego zwierzęcem sercu ozwała się litość nad tym szczątkiem człowieka.

Z ust służby cyrkowej ozwały się podniecające okrzyki, lecz lud milczał. Chilon tymczasem podniósł wolnym ruchem głowę i czas jakiś wodził oczyma po widowni. Nakoniec wzrok jego zatrzymał się gdzieś na najwyższych rzędach amfiteatru, piersi poczęły mu grać żywiej i wówczas stało się coś, co wprawiło w podziw i zdumienie widzów. Oto twarz zajaśniała mu uśmiechem, czoło otoczyły mu jakby promienie, oczy podniosły się przed śmiercią ku górze, a po chwili, dwie wielkie łzy wezbrane pod powiekami, spłynęły mu zwolna po twarzy.

I umarł.

A wtem jakiś donośny, męski głos zawołał w górze pod welaryum:

— Pokój męczennikom!!

W amfiteatrze panowało głuche milczenie.

ROZDZIAŁ LXIV.

Po widowisku w ogrodach Cezaryańskich, więzienia opustoszały znacznie. Chwytano wprawdzie jeszcze i więziono ofiary, podejrzane o wyznawanie wschodniego zabobonu, ale obławy dostarczały ich coraz mniej, zaledwie tyle, ile potrzeba było do zapełnienia następnych widowisk, które również miały się już ku końcowi. Lud, przesycony krwią, okazywał coraz większe znużenie i coraz większy niepokój z powodu niebywałego dotąd zachowywania się skazanych. Obawy przesądnego Westynusa ogarnęły tysiące dusz. W tłumach opowiadano coraz dziwniejsze rzeczy o mściwości chrześcijańskiego bóstwa. Tyfus więzienny, który rozszerzył się po mieście, powiększył powszechną bojaźń. Widziano częste pogrzeby i powtarzano sobie na ucho, że potrzebne są nowe „piacula“ dla przebłagania nieznanego boga. W świątyniach składano ofiary Jowiszowi i Libitynie. Wreszcie mimo wszelkich usiłowań Tygellina i jego popleczników, rozszerzało się coraz bardziej mniemanie, że miasto zostało spalone z rozkazu Cezara i że chrześcijanie cierpią niewinnie.

Lecz właśnie dlatego i Neron i Tygellinus nie ustawali w prześladowaniu. Dla uspokojenia ludu wydawano nowe rozporządzenia co do rozdawnictwa zboża, wina i oliwy; ogłoszono przepisy, ułatwiające odbudowywanie domów, pełne ulg dla właścicieli, oraz inne, dotyczące szerokości ulic i materyałów, z jakich należy budować, by na przyszłość uniknąć klęski ognia. Sam Cezar bywał na posiedzeniach senatu i obradował wraz z „ojcami" nad dobrem ludu i miasta, ale natomiast ani cień łaski nie padł na skazanych. Władcy świata chodziło przedewszystkiem o to, by wszczepić w lud przekonanie, że tak nieubłagane kary mogą spotykać tylko winnych. W senacie żaden głos nie odzywał się również za chrześcijanami, gdyż nikt nie chciał narazić się Cezarowi, a prócz tego ludzie, sięgający wzrokiem dalej w przyszłość, twierdzili, że wobec nowej wiary, fundamenta państwa rzymskiego nie mogłyby się ostać.

Oddawano tylko ludzi konających i zmarłych rodzinom, albowiem prawo rzymskie nie mściło się nad umarłymi. Dla Winicyusza stanowiła pewną ulgę myśl, że, jeśli Ligia umrze, wówczas on pochowa ją w grobach rodzinnych i spocznie koło niej. Nie miał już żadnej nadziei ocalenia jej od śmierci, i sam, oderwany nawpół od życia, zatopiony zupełnie w Chrystusie, nie marzył już o innem połączeniu, jak o wiecznem. Wiara jego stała się wprost niezgłębioną, tak, że wobec niej owa wieczność wydawała mu się czemś nierównie rzeczywistszem i prawdziwszem od przejściowego istnienia, jakiem żył dotąd. Serce przepełniło mu się skupionem uniesieniem. Za życia jeszcze zmieniał się w istotę niemal bezcielesną, która, tęskniąc za zupełnem wyzwoleniem dla siebie, pragnęła go i dla drugiej kochanej duszy. Wyobrażał sobie, że wówczas oboje z Ligią wezmą się za ręce i odejdą do nieba, gdzie Chrystus ich pobłogosławi i pozwoli im zamieszkać w świetle tak spokojnem i ogromnem, jak blask zórz. Błagał tylko Chrystusa, by oszczędził Ligii mąk cyrkowych i pozwolił jej zasnąć spokojnie w więzieniu, czuł bowiem z zupełną pewnością, że i sam umrze razem z nią. Mniemał, że wobec tego morza przelanej krwi, niewolno mu nawet spodziewać się, aby ona jedna została ocalona. Słyszał od Piotra i Pawła, że i oni także muszą umrzeć, jak męczennicy. Widok Chilona na krzyżu przekonał go, że śmierć, nawet męczeńska, może być słodką,

więc życzył już sobie, aby nadeszła dla nich obojga, jako upragniona zmiana złej, smutnej i ciężkiej doli na lepszą.

Chwilami miewał już przedsmak zagrobowego życia. Ów smutek, który unosił się nad obu ich duszami, tracił coraz bardziej dawną palącą gorycz i stopniowo zmieniał się w jakieś zaświatowe, spokojne oddanie się woli Bożej. Winicyusz płynął dawniej w trudzie przeciw prądowi, walczył i męczył się, teraz oddał się fali, wierząc, że niesie go ona w wieczną ciszę. Odgadywał też, że Ligia, również jak on, gotuje się na śmierć, że mimo dzielących ich murów więzienia, idą już razem, i uśmiechał się do tej myśli, jak do szczęścia.

I rzeczywiście szli tak zgodnie, jakby codziennie długo dzielili się myślami. W Ligii nie było także żadnych pragnień, ni żadnej nadziei, prócz nadziei pozagrobowego życia. Śmierć przedstawiała się jej nietylko jak wyzwolenie ze strasznych murów więzienia, z rąk Cezara i Tygellina, nietylko jako zbawienie, ale jako czas ślubu z Winicyuszem. Wobec tej niezachwianej pewności wszystko inne traciło wagę. Po śmierci zaczynało się dla niej szczęście nawet i ziemskie, więc czekała jej jeszcze i tak, jak narzeczona czeka chwili weselnej.

A ów niezmierny prąd wiary, który odrywał od życia i niósł poza grób tysiące tych pierwszych wyznawców, porwał także i Urzusa. I on długo nie chciał się zgodzić w sercu na śmierć Ligii, lecz gdy codziennie przez mury więzienia przedzierały się wieści o tem, co dzieje się w amfiteatrach i ogrodach, gdy śmierć wydawała się wspólną, nieuniknioną dolą wszystkich chrześcijan, a zarazem ich dobrem, wyższem nad wszelkie śmiertelne pojęcie o szczęściu, nie śmiał w końcu i on modlić się do Chrystusa, aby pozbawił tego szczęścia Ligię lub opóźnił je dla niej na długie lata. W swej prostaczej duszy barbarzyńcy myślał przytem, że córce wodza Ligów więcej się należy i więcej się dostanie tych niebieskich rozkoszy, niż całemu tłumowi prostaków, do których i sam należał, i że w chwale wiekuistej ona zasiędzie bliżej „Baranka“, niż inni. Słyszał wprawdzie, że wobec Boga ludzie są równi, na dnie duszy tkwiło mu jednak przekonanie, że co córka wodza, i to jeszcze wodza wszystkich Ligów, to nie pierwsza lepsza niewolnica. Spodziewał się też, że Chrystus

pozwoli mu jej służyć i dalej. Co do siebie, miał tylko jedno ukryte pragnienie, to jest, żeby mógł umrzeć tak, jak „Baranek“, na krzyżu. Ale wydawało mu się to szczęściem tak wielkiem, że, choć wiedział, iż krzyżują w Rzymie nawet najgorszych zbrodniarzy, nie śmiał prawie modlić się o taką śmierć. Myślał, że pewno każą mu zginąć pod zębami dzikich zwierząt, i stanowiło to jego troskę wewnętrzną. Od dziecka chował się w nieprzebytych puszczach, wśród ciągłych łowów, z których, dzięki swej nadludzkiej sile, jeszcze zanim wyrósł na męża, już zasłynął między Ligami. Stanowiły one jego tak umiłowane zajęcie, że później, gdy był w Rzymie i musiał się ich wyrzec, chodził do wiwaryów i do amfiteatrów, żeby choć popatrzeć na znane i nieznane sobie zwierzęta. Widok ich budził w nim nieprzepartą chęć walki i zabijania, teraz więc obawiał się w duszy, że gdy przyjdzie mu się spotkać z niemi w amfiteatrze, opadną go myśli mniej godne chrześcijanina, który powinien umierać pobożnie i cierpliwie. Ale polecał się i w tem Chrystusowi, mając na pociechę inne, słodsze myśli. Oto słysząc, że „Baranek“ wypowiedział wojnę mocom piekielnym i złym duchom, do których wiara chrześcijańska zaliczała wszystkie bóstwa pogańskie, myślał, że w tej wojnie przyda się jednak „Barankowi“ bardzo i potrafi mu się przysłużyć lepiej od innych, gdyż to także nie mogło mu się w głowie pomieścić, aby dusza jego nie miała być silniejszą od dusz innych męczenników. Zresztą modlił się po całych dniach, oddawał posługi więźniom, pomagał dozorcom i pocieszał swą królewnę, która chwilami żałowała, że w swem krótkiem życiu nie mogła spełnić tylu dobrych uczynków, ile spełniła ich słynna Thabita, o której opowiadał jej swego czasu Piotr Apostoł. Stróże, których nawet w więzieniu przejmowała obawą straszliwa siła tego olbrzyma, nie było bowiem dla niej ani pęt, ani krat dostatecznych, polubili go w końcu za jego słodycz. Nieraz, zdumieni jego pogodą, wypytywali go o jej przyczynę, on zaś opowiadał im z taką niezachwianą pewnością, jakie życie czeka go po śmierci, że słuchali go ze zdziwieniem, widząc po raz pierwszy, że do podziemi, nieprzeniknionych dla słońca, może przeniknąć szczęście. I gdy namawiał ich, by uwierzyli w „Baranka“, niejednemu przechodziło przez głowę, że służba jego jest służbą niewolnika, a życie życiem nędzarza, i niejeden

zamyślał się nad swą niedolą, której kresem miała być dopiero śmierć.

Tylko że śmierć przejmowała nową obawą i nie obiecywali sobie po niej nic, tymczasem ów olbrzym ligijski i ta dziewczyna, podobna do kwiatu, rzuconego na więzienną słomę, szli ku niej z radością, jak do wrót szczęścia.

ROZDZIAŁ LXV.

Pewnego wieczora odwiedził Petroniusza senator Scewinus i począł z nim długą rozmowę o ciężkich czasach, w których obaj żyli, i o Cezarze. Mówił zaś tak otwarcie, że Petroniusz, lubo zaprzyjaźniony z nim, począł się mieć na ostrożności. Narzekał, iż świat idzie krzywo i szalenie, i że wszystko razem wzięte, musi się skończyć jakąś klęską, straszniejszą jeszcze, niż pożar Rzymu. Mówił, że nawet augustyanie są zniechęceni, że Feniusz Ruffus, drugi prefekt pretoryanów, znosi z największym przymusem ohydne rządy Tygellina, i że cały ród Seneki doprowadzony jest do ostateczności postępowaniem Cezara, tak ze starym mistrzem, jak i z Lukanem. W końcu począł nadmieniać o niezadowoleniu ludu, a nawet i pretoryanów, których znaczną część umiał sobie Feniusz Ruffus pozyskać.

— Dlaczego to mówisz? — spytał go Petroniusz.

— Przez troskliwość o Cezara, — odpowiedział Scewinus. — Mam dalekiego krewnego w pretoryanach, który zwie się Scewinus, tak jak i ja, i przez niego wiem, co się dzieje w obozie... Niechęć rośnie i tam... Kaligula, widzisz, był także szalony, i patrz, co się stało! Oto znalazł się Kasyusz Cherea... Straszny to był uczynek i zapewne niemasz między nami nikogo, ktoby go pochwalił, a jednakże Cherea uwolnił świat od potwora.

— Czyli — odrzekł Petroniusz — mówisz tak: „Ja Cherei nie chwalę, ale to był doskonały człowiek i oby bogowie dali nam takich jak najwięcej“.

Lecz Scewinus zmienił rozmowę i począł niespodzianie wychwalać Pizona. Sławił jego ród, jego szlachetność, jego przywiązanie do żony, a wreszcie rozum, spokój i dziwny dar jednania sobie ludzi.

— Cezar jest bezdzietny — rzekł — i wszyscy widzą następcę w Pizonie. Niewątpliwie też każdy pomógłby mu z całej duszy do objęcia władzy. Kocha go Feniusz Ruffus, ród Anneuszów jest mu całkiem oddany. Plaucyusz Lateranus i Tuliusz Senecyo skoczyliby za niego w ogień· A toż samo Natalis, i Subryusz Flawiusz, i Sulpicyusz Asper, i Atraniusz Kwinkcyanus, i nawet Westynus.

— Z tego ostatniego niewiele Pizonowi przyjdzie — odrzekł Petroniusz. — Westynus boi się własnego cienia.

— Westynus boi się snów i duchów — odrzekł Scewinus — ale to człowiek dzielny, którego słusznie chcą zamianować konsulem. Że zaś w duszy przeciwny jest prześladowaniu chrześcijan, tego nie powinieneś mu brać za złe, albowiem i tobie zależy na tem, by te szaleństwa ustały.

— Nie mnie, ale Winicyuszowi — rzekł Petroniusz. — Ze względu na Winicyusza, chciałbym ocalić jedną dziewczynę, ale nie mogę, bom wypadł z łask Ahenobarba.

— Jakto? Czy nie spostrzegasz, że Cezar znowu zbliża się do ciebie i poczyna z tobą rozmawiać? I powiem ci, dlaczego. Oto wybiera się znów do Achai, gdzie ma śpiewać pieśni greckie własnego układu. Pali się do tej podróży, ale zarazem drży na myśl o szyderczem usposobieniu Greków. Wyobraża sobie, że może go spotkać albo największy tryumf, albo największy upadek. Potrzebuje dobrej rady, a wie, że lepszej od ciebie nikt mu nie może udzielić. To powód, dla którego wracasz do łask.

— Lukan mógłby mnie zastąpić.

— Miedzianobrody nienawidzi go i zapisał mu śmierć w duszy. Szuka tylko pozoru, bo on zawsze szuka pozorów. Lukan rozumie, że trzeba się śpieszyć.

— Na Kastora! — rzekł Petroniusz. — Być może. Ale miałbym jeszcze jeden sposób prędkiego wrócenia do łask.

— Jaki?

— Oto powtórzyć Miedzianobrodemu to, coś przed chwilą do mnie mówił.

— Ja nic nie powiedziałem! — zawołał z niepokojem Scewinus.

Petroniusz zaś położył mu rękę na ramieniu:

— Nazwałeś Cezara szaleńcem, przewidywałeś następ-

stwo Pizona i powiedziałeś: „Lukan rozumie, że trzeba się śpieszyć“. Z czem to chcecie się śpieszyć, carissime?

Scewinus zbladł, i przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

— Nie powtórzysz!!

— Na biodra Kiprydy! Jak ty mnie znasz dobrze. Nie! nie powtórzę. Nic nie słyszałem, ale też i nie chcę nic słyszeć... Rozumiesz! Życie jest za krótkie, by warto było coś przedsiębrać. Proszę cię tylko, byś odwiedził dziś Tygellina i rozmawiał z nim równie długo jak ze mną, o czem chcesz!

— Dlaczego?

— Dlatego, abym, jeśli mi kiedyś Tygellin powie: „Scewinus był u ciebie“, mógł mu odpowiedzieć: „Tego samego dnia był także i u ciebie“.

Scewinus, słysząc to, złamał laskę z kości słoniowej, którą miał w ręku i odrzekł:

— Niech zły urok spadnie na tę laskę. Będę dziś u Tygellina, a potem na uczcie u Nerwy. Wszakże będziesz i ty? W każdym razie, do widzenia pojutrze w amfiteatrze, gdzie wystąpią ostatki chrześcijan!... Do widzenia!

— Pojutrze! — powtórzył, zostawszy sam, Petroniusz — Niema zatem czasu do stracenia. Ahenobarbus potrzebuje mnie istotnie w Achai, więc może będzie się liczył ze mną.

I postanowił spróbować ostatniego środka.

Jakoż na uczcie u Nerwy Cezar sam zażądał, by Petroniusz spoczął naprzeciw niego, chciał bowiem rozmawiać z nim o Achai i o miastach, w których mógłby z widokami największego powodzenia wystąpić. Chodziło mu najbardziej o Ateńczyków, których się bał. Inni augustyanie słuchali tej rozmowy ze skupieniem, aby, pochwytawszy okruszyny zdań Petroniusza, podawać je później za swoje własne.

— Zdaje mi się, żem dotąd nie żył — rzekł Neron — i że narodzę się dopiero w Grecyi.

— Narodzisz się dla nowej sławy i nieśmiertelności — odrzekł Petroniusz.

— Ufam, że tak się stanie i że Apollo nie okaże się zazdrosnym. Jeśli wrócę z tryumfem, ofiaruję mu hekatombę, jakiej żaden bóg nie miał dotąd.

Scewinus począł powtarzać wiersz Horacyusza:

„Sic te diva potens Cypri
sic fratres Helenae, lucida sidera,
ventorumque regat Pater...“ [1]).

— Okręt stoi już w Neapolis — rzekł Cezar. — Chciałbym wyjechać choćby jutro.

Na to Petroniusz podniósł się i, patrząc wprost w oczy Nerona, rzekł:

— Pozwolisz, boski, że wpierw wyprawię ucztę weselną, na którą ciebie przed innymi zaproszę.

— Ucztę weselną? jaką? — spytał Neron.

— Winicyusza z córką króla Ligów, a twoją zakładniczką. Ona wprawdzie jest obecnie w więzieniu, ale naprzód, jako zakładniczka, nie może być więziona, a powtóre, sam zezwoliłeś Winicyuszowi poślubić ją, że zaś wyroki twoje, jak wyroki Zeusa, są niecofnione, przeto każesz ją wypuścić z więzienia, a ja oddam ją oblubieńcowi.

Zimna krew i spokojna pewność siebie, z jaką mówił Petroniusz, stropiły Nerona, który tropił się zawsze, ilekroć ktoś mówił do niego w ten sposób.

— Wiem — odrzekł, spuszczając oczy. — Myślałem o niej i o tym olbrzymie, który zadusił Krotona.

— W takim razie oboje są ocaleni — odpowiedział spokojnie Petroniusz.

Lecz Tygellinus przyszedł w pomoc swemu panu:

— Ona jest w więzieniu z woli Cezara, sam zaś rzekłeś Petroniuszu, że wyroki jego są niecofnione.

Wszyscy obecni, znając historyę Winicyusza i Ligii, wiedzieli doskonale, o co chodzi, więc umilkli, zaciekawieni, jak skończy się rozmowa.

— Ona jest w więzieniu przez twoją pomyłkę i przez twoją nieznajomość prawa narodów, wbrew woli Cezara — odrzekł z naciskiem Petroniusz. — Jesteś, Tygellinie, naiwnym człowiekiem, ale przecie i ty nie będziesz twierdził, że ona podpaliła Rzym, bo zresztą, gdybyś tak nawet twierdził, Cezar by ci nie uwierzył.

Lecz Neron ochłonął już i począł przymrużać swe oczy krótkowidza z wyrazem nieopisanej złośliwości.

---

[1]) Niech cię prowadzi potężna bogini Cypru i bracia Heleny, gwiazdy świetne i Ojciec wichrów... *(Przyp. wyd.)*.

— Petroniusz ma słuszność — rzekł po chwili.

Tygellinus spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Petroniusz ma słuszność — powtórzył Neron — jutro otworzą jej bramy więzienia, a o uczcie weselnej pomówimy pojutrze, w amfiteatrze.

— Przegrałem znowu — pomyślał Petroniusz.

I, wróciwszy do domu, był już tak pewien, że nadszedł kres życia Ligii, iż nazajutrz wysłał do amfiteatru zaufanego wyzwoleńca, aby ułożył się z przełożonym spoliarium o wydanie jej ciała, chciał bowiem oddać je Winicyuszowi.

ROZDZIAŁ LXVI.

Za czasów Nerona weszły w zwyczaj, rzadkie dawniej i wyjątkowo tylko dawane, przedstawienia wieczorne, tak w cyrku, jak i w amfiteatrach. Augustyanie lubili je, często bowiem po nich następowały uczty i pijatyki, trwające aż do rana. Jakkolwiek lud przesycony był już przelewem krwi, jednakże, gdy rozeszła się wieść, że nadchodzi koniec igrzysk i że ostatni chrześcijanie mają umrzeć na wieczornem widowisku, nieprzeliczone tłumy ściągnęły do amfiteatru. Augustyanie stawali się, jak jeden człowiek, domyślali się bowiem, że nie będzie to zwykłe przedstawienie i że Cezar postanowił wyprawić sobie tragedyę z boleści Winicyusza. Tygellin zachował tajemnicę, jaki rodzaj męki przeznaczony był dla narzeczonej młodego trybuna, ale to podniecało tylko powszechną ciekawość. Ci, którzy widywali niegdyś Ligię u Plaucyuszów, opowiadali teraz cuda o jej piękności. Innych zajmowało przedewszystkiem pytanie, czy istotnie ujrzą ją dziś na arenie, wielu bowiem z pomiędzy tych, którzy słyszeli odpowiedź, jaką Cezar dał Petroniuszowi u Nerwy, tłómaczyło ją sobie podwójnie. Niektórzy przypuszczali wprost, że Neron odda lub może już oddał dziewicę Winicyuszowi: przypominano sobie, że była zakładniczką, której wolno było zatem czcić takie bóstwa, jakie jej się podobały, i której prawo narodów nie pozwalało karać.

Niepewność, oczekiwanie i zaciekawienie opanowały wszystkich widzów. Cezar przybył wcześniej, niż zwykle, i wraz z jego przybyciem poczęto znów sobie szeptać, że je-

dnak nastąpi zapewne coś nadzwyczajnego, gdyż Neronowi, prócz Tygellina i Watyniusza, towarzyszył Kassyusz, centuryon olbrzymiej postawy i olbrzymiej siły, którego Cezar brał z sobą tylko wówczas, gdy chciał mieć przy boku obrońcę, naprzykład gdy przychodziła mu ochota do nocnych wypraw na Suburę, gdzie urządzał sobie zabawę, zwaną „sagatio“, polegającą na podrzucaniu w górą na wojskowym płaszczu napotykanych po drodze dziewcząt. Spostrzeżono także, że w samym amfiteatrze zostały przedsięwzięte pewne środki ostrożności. Straże pretoryańskie powiększono, komendę zaś nad nimi miał nie centuryon, ale trybun, Subryusz Flawiusz, znany dotychczas ze ślepego przywiązania do Nerona. Zrozumiano wówczas, że Cezar pragnie się na wszelki wypadek ubezpieczyć przed wybuchem rozpaczy Winicyusza, i ciekawość wzrosła jeszcze bardziej.

Wszystkie spojrzenia zwracały się z natężonem zajęciem na miejsce, na którem siedział nieszczęsny oblubieniec. On zaś, blady bardzo, z czołem pokrytem kroplami potu, niepewny był, jak i inni widzowie, ale zaniepokojony do ostatnich głębin duszy. Petroniusz, sam nie wiedząc dokładnie, co nastąpi, nie powiedział mu nic, tylko zapytał go, wróciwszy od Nerwy, czy gotów jest na wszystko, a następnie, czy będzie na widowisku. Winicyusz odpowiedział na oba pytania: „Tak!“ ale przytem mrowie przeszło mu przez całe ciało, domyślił się bowiem, że Petroniusz nie pyta bez przyczyny. Sam on żył już od niejakiego czasu jakby tylko półżyciem, sam pogrążył się w śmierci i zgodził się na śmierć dla Ligii, miała ona bowiem być dla nich obojga zarazem wyzwoleniem i ślubem, ale teraz poznał, że inna rzecz jest myśleć z daleka o ostatniej chwili, jak o spokojnem zaśnięciu, a inna pójść patrzeć na męczarnie istoty, droższej nad życie. Wszystkie dawniej przebyte bóle odezwały się w nim na nowo. Uciszona rozpacz poczęła znów krzyczeć w duszy; ogarnęła go dawna chęć ratowania Ligii za wszelką cenę. Od rana chciał się dostać do kunikulów, by się przekonać, czy Ligia w nich się znajduje, ale straże pretoryańskie pilnowały wszystkich wejść i rozkazy były tak surowe, że żołnierze nawet znajomi, nie dali się zmiękczyć ni prośbą, ni złotem. Winicyuszowi wydawało się, że niepewność zabije go wprzód, nim ujrzy widowisko. Gdzieś na dnie serca kołatała mu się jeszcze nadzieja,

że może Ligii niema w amfiteatrze i że wszystkie obawy są płonne. Chwilami czepiał się tej nadziei ze wszystkich sił. Mówił sobie, że Chrystus mógł ją przecie zabrać z więzienia, ale nie może pozwolić na jej mękę w cyrku. Dawniej zgodził się już był ze wszystkiem na Jego wolę, teraz, gdy, odepchnięty od drzwi kunikulów, wrócił na swoje miejsce w amfiteatrze i gdy z zaciekawionych spojrzeń, jakie na niego zwracano, poznał, że najstraszniejsze przypuszczenia mogą być słuszne, począł Go błagać w duszy z namiętnością, podobną niemal do groźby, o ratunek. „Ty możesz!“ powtarzał, zaciskając konwulsyjnie ręce, „Ty możesz!“ Przedtem ani domyślał się, że ta chwila, gdy zmieni się w rzeczywistość, będzie tak straszna. Teraz, nie zdając sobie sprawy z tego, co się w nim dzieje, miał jednak poczucie, że, jeśli ujrzy mękę Ligii, to jego miłość zmieni się w nienawiść, a jego wiara w rozpacz. I zarazem przerażał się tem poczuciem, bał się bowiem obrazić Chrystusa, którego błagał o zmiłowanie i cud. Już nie prosił o jej życie, chciał tylko, by umarła, nim ją wywiodą na arenę, i z niezgłębionej otchłani bólu powtarzał w duszy: „Choć tego mi nie odmów, a ja Cię umiłuję bardziej jeszcze, niż miłowałem Cię dotąd“. W końcu myśli jego rozpętały się, jak fale, targane wichrem. Budziła się w nim żądza zemsty i krwi. Porywała go szalona chęć rzucić się na Nerona i zdusić go wobec wszystkich widzów, a jednocześnie czuł, że tą żądzą obraża znowu Chrystusa i łamie Jego przykazania. Chwilami przelatywały mu przez głowę błyskawice nadziei, że to wszystko, przed czem drżała jego dusza, odwróci jeszcze wszechmocna i miłosierna ręka, lecz gasły natychmiast, jakby w niezmiernem rozżaleniu, że Ów, który mógł jednem słowem zburzyć ten cyrk i ocalić Ligię, opuścił ją jednak, chociaż ufała Mu i umiłowała Go ze wszystkich sił swego czystego serca. I myślał dalej, że oto ona tam leży w ciemnem kunikulum, słaba, bezbronna, opuszczona, zdana na łaskę i niełaskę zezwierzęconych stróżów, goniąca może ostatnim tchem, on zaś musi czekać bezradnie w tym strasznym amfiteatrze, nie wiedząc, jaką obmyślano dla niej mękę i co za chwilę zobaczy. Wreszcie, jak człowiek, który, spadając w przepaść, chwyta się wszystkiego, co rośnie nad jej krawędzią, tak i on oburącz chwycił się myśli, że jednak tylko wiarą może ją

ocalić. Wszak zostawał tylko ten jeden sposób! wszak Piotr mówił, że wiarą ziemię można wzruszyć w posadach!

Więc skupił się, zgniótł w sobie zwątpienie, całą swą istotę zamknął w jedno słowo: wierzę, i czekał cudu.

Lecz równie jak zbyt natężona struna musi pęknąć, tak i jego złamało wysilenie. Trupia bladość pokryła mu twarz i ciało poczęło tężeć. Wówczas pomyślał, że błaganie jego zostało wysłuchane, bo oto umiera. Wydało mu się, że Ligia niezawodnie musiała już także umrzeć i że Chrystus bierze ich w ten sposób do siebie. Arena, białe togi nieprzeliczonych widzów, światło tysiącznych lamp i pochodni, wszystko razem znikło mu z oczu.

Ale owa niemoc nie trwała długo. Po chwili zbudził się, a raczej zbudziło go tupanie zniecierpliwionego ludu.

— Chory jesteś — rzekł mu Petroniusz — każ się odnieść do domu!

I, nie zważając, co powie na to Cezar, wstał, by podeprzeć Winicyusza i wyjść z nim razem. Serce wezbrało mu litością, a przytem drażniło go nie do wytrzymania to, że Cezar patrzył przez szmaragd na Winicyusza, studyując z zadowoleniem jego boleść, może dlatego, aby ją potem opisać w patetycznych strofach i zyskać poklask słuchaczów.

Winicyusz potrząsnął głową. Mógł umrzeć w tym amfiteatrze, ale nie mógł z niego wyjść. Wszakże przedstawienie miało się lada minuta rozpocząć.

Jakoż, w tej samej prawie chwili prefekt miasta cisnął przed siebie czerwoną chustkę, a na ów znak zaskrzypiały wrzeciądze naprzeciwko cesarskiego podium i z ciemnej czeluści wyszedł na jasno oświeconą arenę Urzus.

Olbrzym mrugał powiekami, widocznie olśniony światłem areny, poczem wysunął się na jej środek, rozglądając się wkoło, jakby chcąc rozpoznać, z czem mu przyjdzie się spotkać. Wszystkim augustyanom i większości widzów wiadomo było, że to jest człowiek, który zadusił Krotona, więc na jego widok szmer rozległ się po wszystkich ławach. W Rzymie nie brakło gladyatorów, ogromniejszych o wiele nad zwykłą miarę ludzką, ale podobnego nie widziały jeszcze oczy Kwirytów. Kassyusz, stojący w podium za Cezarem, wydawał się przy tym Ligu nikłym człowiekiem. Senatorowie, westalki, Cezar, augustyanie i lud patrzyli z zachwytem

znawców i miłośników na jego potężne, grube, jak konary, uda, na piersi, podobne do dwóch połączonych tarcz, i na herkulesowe ramiona. Szmer wzrastał z każdą chwilą. Dla tych tłumów nie mogła istnieć większa rozkosz, jak widzieć takie muskuły w grze, w napięciu i w walce. Szmer zmieniał się w okrzyki i gorączkowe pytania, gdzie mieszka szczep, który wydaje podobnych wielkoludów, ów zaś stał w środku amfiteatru, nagi, do kamiennego kolosu, niż do człowieka podobniejszy, ze skupioną, a zarazem smutną twarzą barbarzyńcy, i, widząc pustą arenę, spoglądał ze zdziwieniem swemi niebieskiemi oczyma dziecka, to na widzów, to na Cezara, to na kraty kunikulów, skąd oczekiwał katów.

W chwili, gdy wychodził na arenę, prostacze serce jego zakołatało po raz ostatni nadzieją, że może czeka go krzyż, lecz, gdy nie ujrzał ni krzyża, ni gotowego dołu, pomyślał, że niegodny jest tej łaski i że przyjdzie mu umrzeć inaczej, i zapewne od zwierząt. Był bezbronny i postanowił zginąć, jak przystało na wyznawcę „Baranka", spokojnie i cierpliwie. Tymczasem chciał pomodlić się jeszcze do Zbawiciela, więc klęknąwszy na arenie, złożył ręce i podniósł wzrok ku gwiazdom, migocącym przez górny otwór cyrku.

Postawa ta nie podobała się tłumom. Dosyć już miano tych chrześcijan umierających jak owce. Zrozumiano, że jeśli olbrzym nie zechce się bronić, widowisko chybi. Tu i owdzie ozwały się sykania. Niektórzy poczęli wołać o mastygoforów, których zadaniem było chłostać szermierzy, nie chcących walczyć. Po chwili ucichło jednak wszystko, nikt bowiem nie wiedział, co czeka olbrzyma i czy nie zechce walczyć, gdy spotka się oko w oko ze śmiercią.

Jakoż nie czekano już długo. Nagle ozwał się przeraźliwy głos mosiężnych trąb, a na ów znak otworzyła się krata naprzeciw cesarskiego podium i na arenę wypadł wśród wrzasków bestyarów potworny tur germański, niosący na głowie nagie ciało kobiece.

— Ligio! Ligio! — krzyknął Winicyusz.

Poczem chwycił rękoma włosy przy skroniach, zwinął się w łęk, jak człowiek, który uczuł w sobie ostrze włóczni, i chrapliwym, nieludzkim głosem począł powtarzać:

— Wierzę! wierzę!... Chryste! cudu!!

I nie czuł nawet, że w tej chwili Petroniusz zakrył

mu głowę togą. Zdawało mu się, że to śmierć lub ból przesłania mu oczy. Nie patrzył, nie widział. Ogarnęło go uczucie jakiejś strasznej próżni. W głowie nie pozostała mu ani jedna myśl, usta tylko powtarzały, jak w obłąkaniu:

— Wierzę! wierzę! wierzę!...

Wtem amfiteatr umilkł. Augustyanie podnieśli się, jak jeden człowiek z miejsc, gdyż na arenie stało się coś nadzwyczajnego. Oto pokorny i gotowy na śmierć Lig, ujrzawszy swą królewnę na rogach dzikiej bestyi, zerwał się, jakby sparzony żywym ogniem i, pochyliwszy grzbiet, począł biedz pod kątem ku rozszalałemu zwierzęciu.

Ze wszystkich piersi wyrwał się krótki okrzyk zdumienia, po którym uczyniła się głucha cisza: Lig dopadł tymczasem w mgnieniu oka rozhukanego byka i chwycił go za rogi.

— Patrz! — zawołał Petroniusz, zrywając togę głowy Winicyusza.

Ów zaś podniósł się, przechylił w tył swą bladą, jak płótno twarz i począł patrzeć na arenę szklistym, nieprzytomnym wzrokiem.

Wszystkie piersi przestały oddychać. W amfiteatrze można było usłyszeć przelatującą muchę. Ludzie nie chcieli wierzyć własnym oczom. Jak Rzym Rzymem, nie widziano nic podobnego.

Lig trzymał dzikie zwierzę za rogi. Stopy jego zaryły się wyżej kostek w piasek, grzbiet wygiął mu się, jak łuk napięty, głowa schowała się między barki, na ramionach muskuły wystąpiły tak, iż skóra niemal pękała pod ich parciem, lecz osadził byka na miejscu. I człowiek, i zwierz trwali w takiej nieruchomości, iż patrzącym zdawało się, że widzą jakiś obraz, przedstawiający czyny Herkulesa lub Tezeusza, lub grupę wykutą z kamienia. Ale w tym pozornym spokoju znać było straszliwe natężenie dwóch zmagających się ze sobą sił. Tur zarył się, również jak człowiek, nogami w piasek, a ciemne, kosmate jego ciało skurczyło się tak, iż wydawał się do olbrzymiej kuli podobny. Kto pierwej się wyczerpie, kto pierwszy padnie, oto było pytanie, które dla tych rozmiłowanych w walkach widzów, miało w tej chwili więcej znaczenia, niż los ich własny, niż cały Rzym i jego panowanie nad światem. Ów Lig był im teraz półbogiem, godnym czci

i posągów. Sam Cezar wstał także. Oni z Tygellinem, słysząc o sile człowieka, umyślnie urządzili takie widowisko i, drwiąc, mówili sobie: „Niechże ten Krotobójca pokona tura, którego mu wybierzem“, teraz zaś spoglądali w zdumieniu na obraz, jaki mieli przed sobą, jakby nie wierząc, żeby to być mogła rzeczywistość. W amfiteatrze można było widzieć ludzi, którzy, podniósłszy ręce, zostali w tej postawie. Innym pot oblał czoła, jakby sami zmagali się ze zwierzęciem. W cyrku słychać było tylko syczenie płomieni w lampach i szelest węgielków, opadających z pochodni. Głosy zamarły widzom w ustach, serca natomiast biły w piersiach, jakby je chciały rozsadzić. Wszystkim wydało się, że walka trwa wieki.

A człowiek i zwierz stali ciągle, w okropnem wysileniu, rzekłbyś, wkopani w ziemię.

Wtem głuchy, podobny do jęku ryk ozwał się z areny, po którym ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk i znów zapadła cisza. Ludzie mniemali, że śnią: oto potworna głowa byka poczęła się przekręcać w żelaznych rękach barbarzyńcy.

A twarz Liga, kark i ramiona poczerwieniały, jak purpura, grzbiet wygiął się jeszcze silniej. Widać było, że zbiera resztę swych nadludzkich sił, ale że mu już ich nie na długo wystarczy.

Coraz głuchszy, chrapliwszy i coraz boleśniejszy ryk tura pomieszał się ze świszczącym oddechem piersi olbrzyma. Głowa zwierzęcia przekręcała się coraz bardziej, a z paszczy wysunął się długi spieniony język.

Chwila jeszcze i do uszu bliżej siedzących widzów doszedł jakby trzask łamanych kości, poczem zwierz zwalił się na ziemię ze skręconym śmiertelnie karkiem.

Wówczas olbrzym zsunął w mgnieniu oka powrozy z jego rogów i wziąwszy dziewicę na ręce, począł oddychać śpiesznie.

Twarz mu pobladła, włosy polepiły się od potu, barki i ramiona zdawały się być zlane wodą. Przez chwilę stał jakby nawpół przytomny, poczem jednakże podniósł oczy i począł patrzeć na widzów.

A amfiteatr oszalał.

Ściany budynku poczęły drżeć od wrzasku kilkudziesięciu tysięcy widzów. Od czasu rozpoczęcia widowisk nie pamiętano takiego uniesienia. Siedzący na wyższych rzędach po-

opuszczali je i poczęli zstępować na dół, tłocząc się w przejściach między ławkami, aby bliżej przypatrzeć się siłaczowi. Zewsząd ozwały się głosy o łaskę, namiętne, uparte, które wkrótce zmieniły się w jeden powszechny okrzyk. Ów olbrzym stał się teraz drogim dla tego rozmiłowanego w sile fizycznej ludu i pierwszą w Rzymie osobą.

On zaś zrozumiał, że tłum domaga się, by darowano mu życie i zwrócono wolność, lecz widocznie nie chodziło mu tylko o siebie. Przez chwilę rozglądał się dokoła, poczem zbliżył się do cesarskiego podium i, kołysząc ciało dziewczyny na wyciągniętych ramionach, podniósł oczy z wyrazem błagalnej prośby, jakby chciał mówić:

— Nad nią się zmiłujcie! ją ocalcie! jam dla niej to uczynił!

Widzowie pojęli doskonale, czego żądał. Na widok zemdlonej dziewczyny, która przy ogromnem ciele Liga wydawała się małem dzieckiem, wzruszenie ogarnęło tłum, rycerzy i senatorów. Jej drobna postać, tak biała, jakby wycięta z alabastru, jej zemdlenie, okropne niebezpieczeństwo, z którego uwolnił ją olbrzym, a wreszcie jej piękność i jego przywiązanie, wstrząsnęły serca. Niektórzy mniemali, że to ojciec żebrze o zmiłowanie nad dzieckiem. Litość buchnęła nagle, jak płomień. Dość już miano krwi, dość śmierci, dość mąk. Zdławione łzami głosy poczęły wołać o łaskę dla obojga.

Urzus tymczasem posuwał się wokół areny i kołysząc wciąż dziewczynę na ramionach, ruchem i oczyma błagał dla niej o życie. A wtem Winicyusz zerwał się z miejsca, przeskoczył odgrodzenie, dzielące pierwsze miejsca od areny, i przybiegłszy do Ligii, nakrył togą jej nagie ciało.

Poczem rozdarł tunikę na piersiach, odkrył blizny, pozostałe po ranach, otrzymanych w wojnie armeńskiej, i wyciągnął ręce do ludu.

Wówczas uniesienie tłumów przeszło wszelką widywaną w amfiteatrach miarę. Tłuszcza poczęła tupać i wyć. Głosy, wołające o łaskę, stały się wprost groźne. Lud ujmował się już nietylko za atletą, ale stawał w obronie dziewicy, żołnierza i ich miłości. Tysiące widzów zwróciło się ku Cezarowi z połyskami gniewu w oczach i z zaciśniętemi pięściami. Ów wszelako ociągał się i wahał. Do Winicyusza nie miał wprawdzie nienawiści i na śmierci Ligii nie zależało mu nic,

lecz wolałby widzieć ciało dziewczyny poprute rogami byka lub podarte kłami zwierząt. Zarówno jego okrucieństwo, jak jego zwyrodniała wyobraźnia i zwyrodniałe żądze, znajdowały jakąś rozkosz w podobnych widokach. A oto lud chciał go jej pozbawić. Na tę myśl gniew odbił się na jego roztyłej twarzy. Miłość własna nie pozwalała mu także poddać się woli tłumów, a jednocześnie nie śmiał się jej przez przyrodzone tchórzostwo sprzeciwić.

Więc począł patrzeć, czy przynajmniej między augustyanami nie dostrzeże zwróconych ku dołowi palców na znak śmierci. Lecz Petroniusz trzymał wzniesioną do góry dłoń, patrząc przytem niemal wyzywająco w jego twarz. Przesądny, ale skłonny do uniesień Westynus, który bał się duchów, ale nie bał się ludzi, dawał znak łaski. Toż samo czynił senator Scewinus, toż samo Nerwa, toż samo Tuliusz Senecyo, toż samo stary słynny wódz Ostoryusz Skapula, toż samo Antystyusz, toż samo Pizo i Wetus, i Cryspinus, i Minucyusz Termus, i Poncyusz Telesynus, i najpoważniejszy czczony przez lud, Trazeasz. Na ten widok, Cezar odjął szmaragd od oka z wyrazem pogardy i urazy, gdy wtem Tygellin, któremu chodziło o to, by na złość uczynić Petroniuszowi, pochylił się i rzekł:

— Nie ustępuj, boski: mamy pretoryanów.

Wówczas Neron zwrócił się w stronę, gdzie komendę nad pretoryanami trzymał srogi i oddany mu dotychczas całą duszą Subryusz Flawiusz i ujrzał rzecz nadzwyczajną. Twarz starego trybuna była groźna, ale zalana łzami, i rękę trzymał wzniesioną w górę na znak łaski.

Tymczasem tłumy poczęła ogarniać wściekłość. Kurzawa wzbiła się z pod tupiących nóg i przesłoniła amfiteatr. Wśród okrzyków odzywały się głosy: „Ahenobarbus! matkobójca! podpalacz!“

Neron zląkł się. Lud był wszechwładnym panem w cyrku. Poprzedni Cezarowie, a zwłaszcza Kaligula, pozwalali sobie czasem iść wbrew jego woli, co zresztą wywoływało zawsze rozruchy, dochodzące nawet do przelewu krwi. Lecz Neron w odmiennem był położeniu. Naprzód, jako komedyant i śpiewak, potrzebował łaski ludu, powtóre, chciał go mieć po swej stronie przeciw senatowi i patrycyuszom, a wreszcie po pożarze Rzymu usiłował wszelkimi sposobami przejednać go so-

bie i zwrócić jego gniew na chrześcijan. Zrozumiał wreszcie, że sprzeciwiać się dłużej było wprost niebezpiecznie. Rozruch, poczęty w cyrku, mógł ogarnąć całe miasto i mieć nieobliczone następstwa.

Spojrzał więc raz jeszcze na Subryusza Flawiusza, na centuryona Scewina, krewnego senatora, na żołnierzy i, widząc zmarszczone wszędzie brwi, wzruszone twarze i utkwione w siebie oczy, dał znak łaski.

Wówczas grzmot oklasków rozległ się od góry do dołu. Lud pewien już był życia skazanych, gdyż od tej chwili wchodzili oni pod jego opiekę i nawet Cezar nie ośmieliłby się ścigać ich dłużej swą zemstą.

ROZDZIAŁ LXVII.

Czterech Bityńczyków niosło ostrożnie Ligię do domu Petroniusza, Winicyusz zaś i Urzus szli obok, śpiesząc się, by jak najprędzej oddać ją w ręce greckiego lekarza. Szli w milczeniu, gdyż po przejściach dnia tego nie mogli się zdobyć na rozmowę. Winicyusz był dotychczas jakby nawpół przytomny. Powtarzał sobie, że Ligia jest ocalona, że nie grozi jej już ni więzienie, ni śmierć w cyrku, że nieszczęścia ich skończyły się raz na zawsze i że zabiera ją do domu, by nie rozłączyć się z nią więcej. I zdawało mu się, że to raczej początek jakiegoś innego życia, niż rzeczywistość. Od czasu do czasu pochylał się na otwartą lektykę, by patrzeć na tę kochaną twarz, która przy świetle księżyca wydawała się uśpioną i powtarzał w myśli: „To ona! Chrystus ocalił ją!“ Przypominał sobie także, że do spoliarium, dokąd obaj z Urzusem odnieśli Ligię, nadszedł jakiś nieznany mu lekarz i zapewnił go, że dziewczyna żyje i żyć będzie. Na myśl o tem radość rozpierała mu tak piersi, że chwilami słabł i wspierał się na ramieniu Urzusa, nie mogąc iść o własnej mocy. Urzus zaś patrzył w usiane gwiazdami niebo i modlił się.

Szli śpiesznie wśród ulic, na których świeżo wzniesione białe domy błyszczały mocno w miesięcznym blasku. Miasto było puste. Gdzieniegdzie tylko gromadki ludzi, uwieńczonych bluszczem, śpiewały i tańczyły przed portykami przy odgło-

sie fletni, korzystając z cudnej nocy i świątecznej pory, która trwała od początku igrzysk. Dopiero gdy już byli niedaleko domu, Urzus przestał się modlić i począł mówić cicho, jakby się bał zbudzić Ligię:

— Panie, to Zbawiciel ocalił ją od śmierci. Gdym ujrzał ją na rogach tura, usłyszałem w duszy głos: „Broń jej!“ i to był niezawodnie głos Baranka. Więzienie wyżarło mi siły, ale On mi je wrócił na tę chwilę i On natchnął ten srogi lud, że ujął się za nią. Bądź Jego wola!

A Winicyusz odrzekł:

— Uwielbione niech będzie imię Jego!...

Lecz nie mógł mówić więcej, gdyż nagle uczuł, że ogromny płacz wzbiera mu w piersi. Chwyciła go niepohamowana chęć rzucić się na ziemię i dziękować Zbawicielowi za cud i miłosierdzie.

Tymczasem jednak doszli do domu: służba, uprzedzona przez wysłanego umyślnie naprzód niewolnika, wyroiła się na ich spotkanie, Paweł z Tarzu nawrócił jeszcze w Ancyum większą część tych ludzi. Nieszczęścia Winicyusza znane im były doskonale, więc radość ich na widok ofiar, wyrwanych złości Nerona, była ogromna, a zwiększyła się jeszcze bardziej, gdy lekarz, Teokles, po obejrzeniu Ligii oświadczył, że nie poniosła żadnej ciężkiej obrazy i że po przejściu osłabienia, pozostałego po więziennej gorączce, wróci do zdrowia.

Przytomność wróciła jej jeszcze tejże nocy. Zbudziwszy się we wspaniałem kubikulum, oświeconem korynckiemi lampami, wśród woni werweny, nie wiedziała, gdzie jest i co się z nią dzieje. Pozostała jej pamięć chwili, w której przywiązywano ją do rogów skrępowanego łańcuchami byka, teraz zaś, widząc nad sobą twarz Winicyusza, oświeconą łagodnem kolorowem światłem, sądziła, że chyba już nie są na ziemi. Myśli mąciły się jeszcze w jej osłabionej głowie; wydało się jej rzeczą naturalną, że zatrzymali się gdzieś po drodze do nieba z powodu jej umęczenia i słabości. Nie czując jednak żadnego bólu, uśmiechnęła się do Winicyusza i chciała go spytać, gdzie są, lecz z ust jej wyszedł tylko cichy szept, w którym Winicyusz mógł zaledwie odróżnić swoje imię.

Więc klęknął przy niej i położywszy lekko rękę na jej czole, rzekł:

— Chrystus cię ocalił i wrócił mi cię!

Jej usta poruszyły się znowu niezrozumiałym szeptem, po chwili jednak powieki jej przymknęły się, piersi podniosły się lekkiem westchnieniem i zapadła w sen głęboki, którego oczekiwał lekarz Teokles i po którym przepowiadał powrót do zdrowia.

A Winicyusz pozostał przy niej klęczący i pogrążony w modlitwie. Dusza roztajała mu miłością tak ogromną, że zapamiętał się zupełnie. Teokles kilkakrotnie wchodził do kubikulum, kilka razy z za uchylonej zasłony ukazywała się złotowłosa głowa Eunice, wreszcie żórawie, hodowane po ogrodach, poczęły krzyczeć, zwiastując początek dnia, a on jeszcze obejmował w myśli stopy Chrystusa, nie widząc i nie słysząc, co się wokół niego dzieje z sercem zmienionem w ofiarny dziękczynny płomień, pogrążony w zachwyceniu, za życia jeszcze, nawpół wniebowzięty.

ROZDZIAŁ LXVIII.

Petroniusz, po uwolnieniu Ligii, nie chcąc drażnić Cezara, udał się za nim wraz z innymi augustyanami na Palatyn. Pragnął posłuchać, o czem tam będą mówili a zwłaszcza przekonać się, czy Tygellin nie obmyśli czegoś nowego na zgubę dziewczyny. I ona i Urzus wchodzili wprawdzie niejako pod opiekę ludu i bez wzniecenia rozruchów nikt teraz nie mógł podnieść na nich ręki, jednak Petroniusz, wiedząc o nienawiści, jaką płonął ku niemu wszechwładny prefekt pretoryi, przypuszczał, że prawdopodobnie ów, nie mogąc go wprost dosięgnąć, będzie starał się jeszcze wywrzeć jakimkolwiek sposobem zemstę na jego siostrzeńcu.

Neron gniewny był i rozdrażniony, albowiem przedstawienie skończyło się zupełnie inaczej, niż sobie życzył. Na Petroniusza nie chciał z początku ani spojrzeć, lecz ten, nie tracąc zimnej krwi, zbliżył się do niego z całą swobodą „arbitra elegancyi“ i rzekł mu:

— Czy wiesz, boski, co mi przechodzi przez myśl? Napisz pieśń o dziewicy, którą rozkaz władcy świata uwalnia z rogów dzikiego tura i oddaje kochankowi. Grecy mają czułe serca i jestem pewny, że oczaruje ich pieśń taka.

Neronowi, mimo całego rozdrażnienia, myśl ta przypa-

dła do smaku i przypadła podwójnie: naprzód, jako temat do pieśni, a powtóre, że mógł wysławić w niej samego siebie, jako wspaniałomyślnego władcę świata, więc popatrzył przez chwilę na Petroniusza, poczem rzekł:

— Tak jest! może masz słuszność! Ale czy wypada mi śpiewać własną dobroć?

— Nie potrzebujesz się wymieniać. Każdy w Rzymie odgadnie i tak, o co chodzi, a z Rzymu wieści rozchodzą się na cały świat.

— I jesteś pewien, że się to podoba w Achai?

— Na Polluxa! — zawołał Petroniusz.

I odszedł zadowolony, był już teraz bowiem pewien, że Neron, którego całe życie było stosowaniem rzeczywistości do pomysłów literackich, nie zechce sobie popsuć tematu, a tem samem zwiąże ręce Tygellinowi. Nie zmieniło to jednakże jego zamiaru wyprawienia z Rzymu Winicyusza, jak tylko zdrowie Ligii przestanie stanowić przeszkodę. To też, ujrzawszy go następnego dnia, rzekł mu:

— Wywieź ją do Sycylii. Zaszło coś takiego, że ze strony Cezara nic wam nie grozi, ale Tygellin gotów użyć nawet trucizny, jeśli nie z nienawiści ku wam, to ku mnie.

Winicyusz uśmiechnął się na to i odrzekł:

— Ona była na rogach dzikiego tura, a przecie Chrystus ją ocalił.

— To uczcij go stuwołem — odpowiedział z odcieniem zniecierpliwienia Petroniusz — ale nie każ mu ocalać jej po raz drugi... Czy pamiętasz, jak Eol przyjął Odysseusza, gdy wrócił prosić go powtórnie o pomyślny ładunek wiatrów? Bóstwa nie lubią się powtarzać.

— Gdy wróci jej zdrowie — odrzekł Winicyusz — odwiozę ją do Pomponii Grecyny.

— I uczynisz tem słuszniej, że Pomponia leży chora. Mówił mi o tem krewny Aulusów, Antystyusz. Tu zajdą tymczasem takie rzeczy, że ludzie o was zapomną, a w dzisiejszych czasach najszczęśliwsi ci, o których zapomniano. Niech Fortuna będzie wam słońcem w zimie, a cieniem w lecie!

To rzekłszy, pozostawił Winicyusza jego szczęściu, sam zaś poszedł wybadać Teoklesa o zdrowie i życie Ligii.

Lecz jej nie groziło już niebezpieczeństwo. W podziemiach, przy wycieńczeniu pozostałem po więziennej gorączce,

byłoby ją dobiło zgniłe powietrze i niewygody, lecz teraz otaczała ją najtkliwsza opieka i nietylko dostatek, ale i przepych. Z rozkazu Teoklesa, po upływie dwóch dni poczęto ją wynosić do ogrodów, otaczających willę, w których pozostawała przez długie godziny. Winicyusz ubierał jej lektykę w anemony, a zwłaszcza w irysy, by jej przypomnieć atrium w domu Aulusów. Nieraz, ukryci w cieniu rozrosłych drzew, rozmawiali, trzymając się za ręce, o dawnych bólach i dawnych trwogach. Ligia mówiła mu, że Chrystus umyślnie przeprowadził go przez mękę, by zmienić duszę jego i podnieść ją ku sobie, on zaś czuł, że to prawda i że nie pozostało w nim nic z dawnego patrycyusza, który nie uznawał innego prawa nad własne żądze. Ale w tych rozpamiętywaniach nie było nic gorzkiego. Zdawało się obojgu, że całe lata przetoczyły się nad ich głowami i że ta straszna przeszłość leży już daleko za nimi. Tymczasem ogarnia ich spokój, jakiego nigdy nie doznawali dotychczas. Jakieś nowe życie, ogromnie błogie, szło ku nim i brało ich w siebie. W Rzymie mógł sobie szaleć Cezar i napełniać trwogą świat, oni, czując nad sobą opiekę stokroć potężniejszą, nie obawiali się już ni jego złości, ni jego szaleństw, tak, jak gdyby przestał być panem ich życia lub śmierci. Raz, pod zachód słońca, usłyszeli dochodzące z odległych wiwaryów ryki lwów i innych dzikich zwierząt. Niegdyś te odgłosy przejęły trwogą Winicyusza, jako zła wróżba. Teraz spojrzeli tylko na siebie z uśmiechem, a potem wznieśli oboje oczy ku zorzom wieczornym. Czasami Ligia, będąc jeszcze osłabioną bardzo i nie mogąc chodzić o własnej mocy, zasypiała wśród ciszy ogrodowej, on zaś czuwał nad nią i wpatrując się w jej uśpioną twarz, myślał mimowoli, że to już nie ta Ligia, którą spotkał u Aulusów. Jakoż więzienie i choroba zgasiły w części jej urodę. Wówczas, gdy widywał ją u Aulusów, i później, gdy przyszedł porwać ją do domu Miryamy, była tak cudna, jak posąg i zarazem kwiat, teraz twarz jej stała się niemal przeźroczysta, ręce wychudły, ciało wyszczuplało przez chorobę, usta pobladły i oczy nawet zdawały się być mniej błękitne, niż przedtem. Złotowłosa Eunice, która przynosiła jej kwiaty i drogocenne tkaniny dla przykrywania jej nóg, wyglądała przy niej, jak bóstwo cypryjskie. Esteta Petroniusz napróżno silił się, by wynaleźć w niej dawne ponęty i wzru-

szając ramionami, myślał w duszy, że ów cień z pól Elizejskich nie był wart tych zachodów, tych bólów i mąk, które o mało nie wyssały życia Winicyuszowi. Lecz Winicyusz, który kochał teraz jej duszę, kochał ją tylko tembardziej i gdy czuwał nad uśpioną, wydawało mu się, że czuwa nad światem całym.

ROZDZIAŁ LXIX.

Wieść o cudownem ocaleniu Ligii szybko rozniosła się wśród rozbitków chrześcijańskich, którzy ocaleli dotychczas z pogromu. Wyznawcy poczęli się schodzić, by oglądać tę, nad którą jawnie okazała się łaska Chrystusowa. Przyszedł naprzód młody Nazaryusz z Miryamą, u których krył się dotychczas Piotr Apostoł, a za nimi ściągali i inni. Wszyscy razem, wraz z Winicyuszem, Ligią i chrześcijańskimi niewolnikami Petroniusza, słuchali ze skupieniem opowiadania Urzusa o głosie, który odezwał się w jego duszy i nakazał mu walczyć z dzikiem zwierzęciem i wszyscy odchodzili z otuchą i nadzieją, że Chrystus nie pozwoli jednak wyplenić na ziemi do reszty swych wyznawców, zanim sam przyjdzie na sąd straszliwy. I nadzieja ta podtrzymywała ich serca, albowiem prześladowanie nie ustawało dotąd. Kogo tylko głos publiczny wskazał jako chrześcijanina, tego wigilowie miejscy porywali natychmiast do więzienia. Ofiar wprawdzie było już mniej, bo ogół wyznawców schwytano i wymęczono, pozostali zaś albo wyszli z Rzymu, by w odległych prowincyach przeczekać burzę, albo kryli się najstaranniej, nie odważając się zbierać na wspólne modlitwy inaczej, jak w arenaryach, leżących poza miastem. Jednakże śledzono ich jeszcze i pomimo, iż właściwe igrzyska były już ukończone, zachowywano ich na następne lub sądzono doraźnie. Jakkolwiek lud rzymski nie wierzył już, by chrześcijanie byli sprawcami pożaru miasta, jednakże ogłoszono ich za nieprzyjaciół ludzkości i państwa i edykt przeciw nim trwał ciągle w dawnej mocy.

Piotr Apostoł długo nie śmiał ukazać się w domu Petroniusza, wreszcie jednak pewnego wieczoru Nazaryusz oznajmił jego przybycie. Ligia, która chodziła już o swej mocy i Winicyusz wybiegli na jego spotkanie i poczęli obejmować

jego nogi, on zaś witał ich ze wzruszeniem tem większem, że niewiele pozostało mu już owiec w tej trzodzie, nad którą rządy zdał mu Chrystus, a nad której losem płakało teraz jego wielkie serce. To też, gdy Winicyusz rzekł mu: „Panie! za twoją to przyczyną Zbawiciel powrócił mi ją“, on odrzekł: „Powrócił ci ją dla wiary twojej i dlatego, by nie zamilkły wszystkie usta, które wyznawały imię Jego“. I widocznie myślał wówczas o tych tysiącach dzieci swych, porozdzieranych przez dzikie zwierzęta, o tych krzyżach, którymi nabite były areny i o tych słupach ognistych w ogrodach „Bestyi“, albowiem mówił to z żałością wielką. Winicyusz i Ligia zauważyli też, że włosy jego pobielały zupełnie, cała postać pochyliła się, a w twarzy tyle miał smutku i cierpienia, jakby przeszedł przez wszystkie te bóle i męki, przez które przeszły ofiary wściekłości i szału Nerona. Lecz oboje rozumieli już, że gdy Chrystus sam poddał się męce i śmierci, nie może uchylić się od niej nikt. Jednakże krajało się w nich serce na widok Apostoła, przygniecionego brzemieniem lat, trudu i bólu. Więc Winicyusz, który za kilka już dni zamierzał odwieźć Ligię do Neapolis, gdzie mieli spotkać Pomponię i udać się dalej do Sycylii, począł go błagać, by wraz z nimi opuścił Rzym.

Lecz Apostoł położył rękę na jego głowie i odpowiedział:

— Słyszę oto w duszy słowa Pana, który nad jeziorem Tyberyadzkiem rzekł mi: „Gdyś był młodszym, opasowałeś się i chodziłeś, kędyś chciał, lecz gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce twe, a inny cię opasze i poprowadzi, gdzie ty nie chcesz“. Słuszna przeto, bym poszedł za trzodą moją.

A gdy umilkli, nie rozumiejąc, co mówi, dodał:

— Dobiega końca trud mój, ale gościnność i odpocznienie znajdę dopiero w domu Pana.

Poczem zwrócił się do nich, mówiąc: „Pamiętajcie mnie, bom was umiłował, jako ojciec miłuje dzieci swoje, a co w życiu czynić będziecie, czyńcie na chwałę Pana“.

Tak mówiąc, podniósł nad nimi swe stare drżące dłonie i błogosławił ich, oni zaś tulili się do niego, czując, że to jest ostatnie może błogosławieństwo, jakie z jego rąk otrzymują.

Przeznaczonem im jednak było widzieć go raz jeszcze.

W kilka dni później Petroniusz przyniósł groźne wieści z Palatynu. Odkryto tam, iż jeden z wyzwoleńców Cezara był chrześcijaninem i znaleziono u niego listy Apostołów Piotra i Pawła z Tarzu, oraz listy Jakóba, Judy i Jana. Przebywanie Piotra w Rzymie było już poprzednio wiadomem Tygellinowi, sądził jednak, że ów zginął wraz z tysiącami innych wyznawców. Teraz wydało się, że dwaj naczelnicy nowej wiary są dotychczas przy życiu i znajdują się w stolicy, postanowiono więc odnaleźć ich i chwycić za wszelką cenę, gdyż spodziewano się, iż dopiero wraz z ich śmiercią ostatnie korzenie nienawistnej sekty zostaną wyrwane. Petroniusz słyszał od Westynusa, iż sam Cezar wydał rozkaz, by w ciągu trzech dni i Piotr i Paweł z Tarzu byli już w Mamertyńskiem więzieniu i że całe oddziały pretoryanów wysłano dla przetrząśnięcia wszystkich domów na Zatybrzu.

Winicyusz, usłyszawszy o tem, postanowił pójść ostrzedz Apostoła. Wieczorem obaj z Urzusem, przywdziawszy gallijskie płaszcze, osłaniające twarze, udali się do domu Miryamy, u której Piotr przebywał, położonego na samym krańcu zatybrzańskiej części miasta, u stóp Janikulskiego wzgórza. Po drodze widzieli domy, otoczone żołnierzami, których prowadzili jacyś nieznani ludzie. Dzielnica była zaniepokojona, a miejscami zbierały się gromady ciekawych. Tu i owdzie centuryonowie badali schwytanych więźniów, wypytując ich o Piotra Symeona i o Pawła z Tarzu.

Urzus i Winicyusz, wyprzedziwszy żołnierzy, doszli jednak szczęśliwie do mieszkania Miryamy, w którem zastali Piotra otoczonego garstką wiernych. Tymoteusz, pomocnik Pawła z Tarzu i Linus znajdowali się również przy boku Apostoła.

Na wieść o blizkiem niebezpieczeństwie, Nazaryusz wyprowadził wszystkich ukrytem przejściem do furtki ogrodowej, a następnie do opuszczonych kamieniołomów, odległych o kilkaset kroków od bramy Janikulskiej. Urzus musiał przytem nieść Linusa, którego kości, połamane przez tortury, nie zrosły się dotychczas. Raz jednak znalazłszy się w podziemiu, uczuli się bezpieczni i przy świetle kaganka, który rozniecił Nazaryusz, poczęli cichą naradę, jak ratować drogie im życie Apostoła.

— Panie — rzekł mu Winicyusz — niech jutro świ-

taniem Nazaryusz wyprowadzi cię z miasta ku górom Albańskim. Tam cię odnajdziem i zabierzemy cię do Ancyum, gdzie czeka statek, który ma przewieźć nas oboje do Neapolis i Sycylii. Szczęśliwy będzie dzień i godzina, w której wstąpisz w dom mój i pobłogosławisz moje ognisko.

Inni słuchali go z radością i nastawali na Apostoła, mówiąc:

— Chroń się, pasterzu nasz, albowiem nie ostać ci się w Rzymie. Przechowaj żywą prawdę, aby nie zginęła wraz z nami i z tobą. Wysłuchaj nas, którzy błagamy cię, jak ojca

— Uczyń to w imię Chrystusa! — wołali inni czepiając się szat jego.

On zaś odpowiadał:

— Dzieci moje! Któż wie, kiedy mu Pan kres żywota naznaczy?

Lecz nie mówił, że nie opuści Rzymu i sam wahał się, co uczynić, gdyż już od dawna wkradła się w duszę jego niepewność, a nawet i trwoga. Ale trzoda jego była rozproszona, dzieło zburzone, kościół, który przed pożarem miasta wybujał, jak drzewo wspaniałe, obróciła w proch moc „Bestyi“. Nie zostało nic, prócz łez, nic, prócz wspomnień, mąk i śmierci. Siejba wydała plon obfity, ale szatan wdeptał go w ziemię. Zastępy aniołów nie przyszły na pomoc ginącym i oto Neron rozsiada się w chwale nad światem, straszny, potężniejszy, niż kiedykolwiek, pan wszystkich mórz i wszystkich lądów. Nieraz już Boży rybak wyciągał w samotności ręce ku niebu i pytał: „Panie! co mam czynić? Jakoż mi się ostać? i jakoż starzec bezsilny mam walczyć z tą nieprzebraną siłą Złego, któremu pozwoliłeś władać i zwyciężać?“

I wołał tak z głębi niezmiernego bólu, powtarzając w duszy: „Niemasz już onych owiec, które mi paść kazałeś, niemasz Twego kościoła, pustka i żałoba w Twej stolicy, więc co mi teraz rozkażesz? Mam-li tu zostać, czy też wyprowadzić resztę trzody, abyśmy gdzieś za morzami sławili w ukryciu imię Twoje?“.

I wahał się. Wierzył, że prawda żywa nie zginie i musi przeważyć, ale chwilami myślał, że nie przyszedł jeszcze jej czas, który nadejdzie wówczas dopiero, gdy Pan zstąpi na ziemię w dzień sądu w chwale i potędze, stokroć od Neronowej potężniejszej.

Często wydawało mu się, iż jeśli sam opuści Rzym, wierni pójdą za nim, a on zawiedzie ich wówczas aż hen, do cienistych gajów Galilei, nad cichą toń Tyberyadzkiego morza, do pasterzy, spokojnych jak gołębie lub jako owce, które się tam pasą wśród cząbrów i nardu. I coraz większa chęć ciszy i wypoczynku, coraz większa tęsknota za jeziorem i Galileją ogarniała rybacze serce, coraz częstsze łzy napływały do oczu starca.

Lecz gdy na chwilę uczynił już wybór, ogarniał go nagły strach i niepokój. Jakoż mu opuścić to miasto, w którem tyle krwi męczeńskiej wsiąkło w ziemię i gdzie tyle ust konających dawało świadectwo prawdzie? Ma-li on jeden uchylić się od tego? I co odpowie Panu, gdy usłyszy słowa: „Oto oni pomarli za wiarę swoją, a ty uciekłeś?“

Noce i dni upływały mu w trosce i zmartwieniu. Inni, których rozdarły lwy, których poprzybijano na krzyże, których popalono w ogrodach Cezara, posnęli po chwilach męki w Panu, on zaś spać nie mógł i czuł mękę większą od tych wszystkich, które obmyślali kaci dla ofiar. Świt często już bielił dachy domów, gdy on wołał jeszcze w głębi rozżalonego serca:

— Panie, przecz mi tu przyjść kazałeś i w tem gnieździe Bestyi założyć stolicę Twoją?

Przez trzydzieści cztery lat od śmierci Pana swego nie zaznał spoczynku. Z koszturem w ręku obiegał świat i opowiadał „dobrą nowinę“. Siły jego wyczerpały się w podróżach i trudach, aż wreszcie, gdy w tym grodzie, który był głową świata, utwierdził dzieło Mistrza, jedno ogniste tchnienie Złości zżegło je i widział, że walkę trzeba podjąć na nowo. I jaką walkę! Z jednej strony Cezar, senat, lud, legie, obejmujące żelazną obręczą cały świat, nieprzeliczone grody, nieprzeliczone ziemie, potęga, jakiej oko ludzkie nie widziało, z drugiej strony, on, tak zgięty wiekiem i pracą, że drżące jego ręce zaledwie już zdołały unieść kij podróżny.

Więc chwilami mówił sobie, że nie jemu mierzyć się z Cezarem Romy i że dzieła tego może dokonać tylko sam Chrystus.

Wszystkie te myśli przebiegały teraz przez jego stroskaną głowę, gdy słuchał próśb ostatniej garstki swych wier-

nych, oni zaś, otaczając go coraz ciaśniejszem kołem, powtarzali błagalnymi głosami:

— Chroń się Rabbi, i nas wyprowadź z pod mocy Bestyi.

Wreszcie i Linus pochylił przed nim swą umęczoną głowę.

— Panie! — mówił — tobie Zbawiciel kazał paść owce swoje, ale niema już tu ich, lub jutro ich nie będzie, więc idź tam, gdzie je odnaleźć jeszcze możesz. Oto żywie jeszcze słowo Boże i w Jeruzalem i w Antyochii i w Efezie i w innych miastach. Co wskórasz, zostawszy w Rzymie? Gdy legniesz, powiększysz tylko tryumf Bestyi. Janowi Pan nie oznaczył kresu życia, Paweł jest obywatelem rzymskim i bez sądu karać go nie mogą, lecz jeśli nad tobą, Nauczycielu, rozsroży się moc piekielna, wówczas ci, w których upadło już serce, pytać będą: Któż jest nad Nerona? Tyś jest opoką, na której zbudowany jest Kościół Boży. Daj nam umrzeć, ale nie pozwól na zwycięstwo Antychrysta nad Namiestnikiem Bożym i nie wracaj tu, póki Pan nie skruszy tego, który wytoczył krew niewinną.

— Patrz na łzy nasze! — powtarzali wszyscy obecni.

Łzy spływały i po twarzy Piotra. Po chwili jednak podniósł się i wyciągając nad klęczącymi dłonie, rzekł:

— Niech imię Pańskie będzie uwielbione i niech się stanie wola Jego!

ROZDZIAŁ LXX.

O brzasku następnego dnia dwie ciemne postacie posuwały się drogą Appijską ku równinom Kampanii.

Jedną z nich był Nazaryusz, drugą Piotr Apostoł, który opuszczał Rzym i męczonych w nim współwyznawców.

Niebo na wschodzie przybierało już leciuchny odcień zielony, który zwolna, coraz wyraźniej bramował się u dołu barwą szafranną. Drzewa o srebrnych liściach, białe marmury willi i łuki wodociągów, biegnące przez równinę ku miastu, wychylały się z cienia. Rozjaśniała się stopniowo zieloność nieba, nasycając się złotem. Zaczem wschód zaczął różowieć

i rozświecił góry Albańskie, które ukazały się cudne, liliowe, jakby z samych tylko blasków złożone.

Świt odbijał się w drżących na liściach drzew kroplach rosy. Mgła rzedła, odkrywając coraz szerszy widok na równinę, na leżące na niej domy, cmentarze, miasteczka i kępy drzew, między któremi bielały kolumny świątyń.

Droga była pusta. Wieśniacy, którzy zwozili jarzyny do miasta, nie zdążyli jeszcze widocznie pozaprzęgać do wózków. Od płyt kamiennych, któremi aż do gór wyłożony był gościniec, szedł w ciszy odgłos drewnianych postołów, jakie podróżni mieli na nogach.

Potem słońce wychyliło się przez przełęcz gór, ale zarazem dziwny widok uderzył oczy Apostoła. Oto wydało mu się, iż złocisty krąg, zamiast wznosić się wyżej i wyżej na niebie, zsunął się ze wzgórz i toczy się po drodze.

Wówczas Piotr zatrzymał się i rzekł:

— Widzisz tę jasność, która zbliża się ku nam?

— Nie widzę nic — odpowiedział Nazaryusz.

Lecz Piotr po chwili ozwał się, przysłoniwszy oczy dłonią:

— Jakowaś postać idzie ku nam w blasku słonecznym.

Do uszu ich nie dochodził jednak najmniejszy odgłos kroków. Naokół było cicho zupełnie, Nazaryusz widział tylko, że w dali drżą drzewa, jakby je ktoś potrząsał, a blask rozlewa się coraz szerzej na równinie.

I począł patrzeć ze zdziwieniem na Apostoła.

— Rabbi! co ci jest? — zawołał z niepokojem.

A z rąk Piotra kosztur podróżny wysunął się na ziemię, oczy patrzyły nieruchomie przed siebie, usta były otwarte, w twarzy malowało się zdumienie, radość, zachwyt. Nagle rzucił się na kolana z wyciągniętemi przed się ramionami, a z ust jego wyrwał się okrzyk:

— Chryste!... Chryste!...

I przypadł głową do ziemi, jakby całował czyjeś stopy.

Długo trwało milczenie, poczem w ciszy ozwały się przerywane łkaniem słowa starca:

— *Quo vadis, Domine?...*

I nie słyszał odpowiedzi Nazaryusz, lecz do uszu Piotrowych doszedł głos smutny i słodki, który rzekł:

— Gdy ty opuszczasz lud mój, do Rzymu idę, by mnie ukrzyżowano raz wtóry.

Apostoł leżał na ziemi, z twarzą w prochu, bez ruchu i słowa. Nazaryuszowi wydało się już, że omdlał lub umarł, ale on powstał wreszcie, drżącemi rękoma podniósł kij pielgrzymi i nic nie mówiąc, zawrócił ku siedmiu wzgórzom miasta.

Pacholę zaś, widząc to, powtórzyło, jak echo:

— *Quo vadis, Domine?...*

— Do Rzymu — odrzekł cicho Apostoł.

I wrócił.

Paweł, Jan, Linus i wszyscy wierni przyjęli go ze zdumieniem i z trwogą tem większą, że właśnie o brzasku, zaraz po jego wyjściu, pretoryanie otoczyli mieszkanie Miryamy i szukali w niem Apostoła. Lecz on na wszystkie pytania odpowiadał im tylko z radością i spokojem:

— Panam widział!

I tegoż jeszcze wieczora udał się na cmentarz Ostryański, aby nauczać i chrzcić tych, którzy chcieli się skąpać w wodzie życia.

I odtąd przychodził tam codziennie, a za nim ciągnęły codzień liczniejsze tłumy. Zdawało się, że z każdej łzy męczeńskiej rodzą się nowi wyznawcy i że każdy jęk na arenie odbija się echem w tysiącznych piersiach. Cezar pławił się we krwi, Rzym i cały świat pogański szalał. Ale ci, którym dość było zbrodni i szału, ci, których deptano, ci, których życie było życiem niedoli i ucisku, wszyscy pognębieni, wszyscy smutni, wszyscy nieszczęśni przychodzili słuchać dziwnej powieści o Bogu, który z miłości dla ludzi dał się ukrzyżować i odkupić ich winy.

Odnajdując zaś Boga, którego mogli kochać, odnajdowali to, czego nie mógł dać dotychczas nikomu świat ówczesny, szczęście z miłości.

A Piotr zrozumiał, że ni Cezar, ni wszystkie jego legie nie zmogą prawdy żywej, że nie zaleją jej ni łzy, ni krew i że teraz dopiero zaczyna się jej zwycięstwo. Zrozumiał również, dlaczego Pan zawrócił go z drogi: oto to miasto pychy, zbrodni, rozpusty i potęgi poczynało być jego miastem i podwójną stolicą, z której płynął na świat rząd ciał i dusz.

ROZDZIAŁ LXXI.

Aż wreszcie spełnił się czas dla obu Apostołów. Ale, jakby na zakończenie służby, danem było Bożemu rybakowi ułowić dwie dusze nawet i w więzieniu. Żołnierze Processus i Martynianus, którzy pilnowali go w więzieniu Mamertyńskiem, przyjęli chrzest. Poczem nadeszła godzina męki. Nerona nie było wówczas w Rzymie. Wyrok wydali Helius i Politetes, dwaj wyzwoleńcy, którym Cezar powierzył na czas swej niebytności rządy nad Rzymem. Wiekowego Apostoła poddano naprzód przepisanej przez prawo chłoście, a następnego dnia wywiedziono za mury miasta, ku wzgórzom Watykańskim, gdzie miał ponieść przeznaczoną mu karę krzyża. Żołnierzy dziwił tłum, który zebrał się przed więzieniem, gdyż w pojęciu ich śmierć prostego człowieka i w dodatku cudzoziemca, nie powinna była budzić tyle zajęcia, nie rozumieli zaś, że korowód ów nie składał się z ciekawych, ale z wyznawców, pragnących odprowadzić na miejsce kaźni Wielkiego Apostoła. Popołudniu otworzyły się wreszcie bramy więzienia i Piotr ukazał się wśród oddziału pretoryanów. Słońce zniżyło się już nieco ku Ostyi, dzień był cichy i pogodny. Piotrowi, ze względu na jego sędziwe lata, nie kazano nieść krzyża, sądzono bowiem, że go udźwignąć nie zdoła, ani też nie założono mu wideł na szyję, by mu nie utrudniać pochodu. Szedł wolny i wierni mogli go widzieć doskonale. W chwili, gdy wśród żelaznych hełmów żołnierskich ukazała się jego biała głowa, płacz rozległ się w tłumie, lecz natychmiast prawie ustał, albowiem twarz starca miała w sobie tyle pogody i taką jaśniała radością, iż wszyscy pojęli, że to nie ofiara idzie ku straceniu, ale zwycięzca odbywa pochód tryumfalny.

Jakoż tak było. Rybak zwykle pokorny i pochylony, szedł teraz wyprostowany, wyższy wzrostem od żołnierzy, pełen powagi. Nigdy nie widziano w postawie jego tyle majestatu. Zdawaćby się mogło, iż to monarcha posuwa się, otoczony przez lud i żołnierzy. Ze wszystkich stron podniosły się głosy: „Oto Piotr odchodzi do Pana“. Wszyscy jakby zapomnieli, że czeka go męka i śmierć. Szli w uroczystem skupieniu, ale w spokoju, czując, że od śmierci na Golgocie

nie stało się dotychczas nic równie wielkiego i że jako tamta odkupiła świat cały, tak ta ma odkupić to miasto.

Po drodze ludzie zatrzymywali się ze zdziwieniem na widok tego starca, wyznawcy zaś, kładnąc im ręce na ramiona, mówili spokojnymi głosami: „Patrzcie, jako umiera sprawiedliwy, który znał Chrystusa i opowiadał miłość na świecie". A owi wpadali w zadumę, poczem odchodzili, mówiąc sobie: „Zaprawdę, ten nie mógł być niesprawiedliwy!"

Po drodze milkły wrzaski i wołania uliczne. Orszak posuwał się wśród domów świeżo wzniesionych, wśród białych kolumn świątyń, nad których naczółkami wisiało niebo głębokie, ukojone i błękitne. Szli w ciszy; czasem tylko zabrzękły zbroje żołnierzy lub podniósł się szmer modlitw. Piotr słuchał ich i twarz jaśniała mu coraz większą radością, albowiem wzrok jego zaledwie mógł ogarnąć owe tysiące wyznawców. Czuł, że dzieła dokonał i wiedział już, że ta prawda, którą całe życie opowiadał, zaleje wszystko, jak fala i że nic już powstrzymać jej nie zdoła. A tak myśląc, podnosił oczy ku górze i mówił: „Panie, kazałeś mi podbić ten gród, który panuje światu, więcem go podbił. Kazałeś mi założyć w nim stolicę swoją, więcem ją założył. To Twoje miasto teraz, Panie, a ja idę do Ciebie, bom się spracował bardzo".

Przechodząc więc koło świątyń, mówił im: „Chrystusowemi świątyniami będziecie". Patrząc na roje ludzi, przesuwających się przed jego oczyma, mówił im: „Chrystusowemi będą wasze dzieci sługami" i szedł w poczuciu spełnionego podboju, świadom swej zasługi, świadom mocy, ukojony, wielki. Żołnierze poprowadzili go przez most Tryumfalny [1]), jakby mimowoli dając jego tryumfowi świadectwo i wiedli dalej, ku Naumachii i cyrkowi. Wierni z Zatybrza przyłączyli się do pochodu i uczyniła się gęstwa ludu tak wielka, iż centuryon, przywodzący pretoryanom, domyśliwszy się wreszcie, iż prowadzi jakowegoś arcykapłana, którego otaczają wierni, zaniepokoił się zbyt małą liczbą żołnierzy. Lecz ani jeden okrzyk oburzenia lub wściekłości nie ozwał się w tłumie. Twarze były przejęte wielkością chwili, uroczyste i zarazem pełne oczekiwania, niektórzy bowiem wyznawcy, przypomi-

---

[1]) Pons Triumphalis.

nając sobie, iż przy śmierci Pana ziemia rozstępowała się z przerażenia, a umarli podnosili się z grobów, myśleli, że i teraz nastąpią może jakieś znaki widome, po których nie zatrze się przez wieki śmierć Apostoła. Inni mówili sobie nawet: „A nuż Pan wybierze godzinę Piotrową, aby zstąpić z nieba, jako był przyobiecał i uczynić sąd nad światem". W tej zaś myśli polecali się miłosierdziu Zbawiciela.

Ale naokół było spokojnie. Wzgórza zdawały się wygrzewać i odpoczywać w słońcu. Pochód zatrzymał się wreszcie między cyrkiem a wzgórzem Watykańskiem. Żołnierze wzięli się teraz do kopania dołu, inni położyli na ziemi krzyż, młoty i gwoździe, czekając, póki przygotowania nie zostaną ukończone, tłum zaś, cichy zawsze i skupiony, klęknął naokół.

Apostoł, z głową w promieniach i złotych blaskach, zwrócił się po raz ostatni ku miastu. Zdala, nieco w dole, widać było Tyber świecący; po drugim brzegu pole Marsowe, wyżej mauzoleum Augusta, niżej olbrzymie termy, które Neron właśnie był wznosić począł, jeszcze niżej teatr Pompejusza, a za niemi miejscami widne, miejscami zakryte przez inne budowy Septa Julia, mnóstwo portyków, świątyń, kolumn, spiętrzonych gmachów i wreszcie hen, w dali, wzgórza, oblepione domami olbrzymie rojowisko ludzkie, którego krańce niknęły w mgle błękitnej, gniazdo zbrodni, ale i siły, szaleństwa, ale i ładu, które stało się głową świata, jego ciemięzcą, ale zarazem jego prawem i pokojem, wszechpotężne, nieprzemożone, wieczyste.

Piotr zaś, otoczony żołnierzami, spoglądał na nie tak, jakby spoglądał władca i król na swe dziedzictwo. I mówił mu: „Odkupioneś jest i moje". A nikt, nietylko między żołnierstwem, kopiącem dół, w który miano wstawić krzyż, ale nawet między wyznawcami, nie umiał odgadnąć, że istotnie stoi między nimi prawdziwy władca tego grodu i że miną cezarowie, przepłyną fale barbarzyńców, miną wieki, a ów starzec będzie tu panował nieprzerwanie.

Słońce chyliło się jeszcze bardziej ku Ostyi i stało się wielkie i czerwone. Cała zachodnia strona nieba poczęła płonąć blaskiem niezmiernym. Żołnierze zbliżyli się do Piotra, by go rozebrać.

Lecz on, modląc się, wyprostował się nagle i wyciągnął wysoko prawicę. Oprawcy zatrzymali się, jakby onieśmieleni

jego postawą; wierni zatrzymali również oddech w piersiach, sądząc, że chce przemówić i nastała cisza niezmącona.

On zaś, stojąc na wyniesieniu, począł wyciągniętą prawicą czynić znak krzyża, błogosławiąc w godzinie śmierci:

— *Urbi et orbi!*

A w ten sam cudny wieczór inny oddział żołnierzy prowadził drogą Ostyjską Pawła z Tarzu ku miejscowości, zwanej Aquae Salviae. I za nim również postępowała gromada wiernych, których nawrócił, a on poznawał bliższych znajomych, zatrzymywał się i rozmawiał z nimi, gdyż, jako obywatelowi rzymskiemu, straż okazywała mu większe względy. Za bramą, zwaną Tergemina, spotkał Plautyllę, córkę prefekta Flawiusza Sabinusa i widząc jej młodą twarz, zalaną łzami, rzekł: „Plautyllo, córko Zbawienia wiecznego, odejdź w pokoju. Pożycz mi tylko zasłony, którą zawiążą mi oczy, w chwili, gdy będę odchodził do Pana". I wziąwszy zasłonę, szedł dalej, z twarzą tak pełną radości, z jaką robotnik, który przepracował dobrze dzień cały, wraca do domu. Myśli jego, podobnie do Piotrowych, były spokojne i pogodne, jak owo niebo wieczorne. Oczy patrzyły w zamyśleniu na równinę, która ciągnęła się przed nim i na góry Albańskie, zanurzone w świetle. Rozpamiętywał o swoich podróżach, o trudach i pracy, o walkach, w których zwyciężał, i kościołach, które po wszystkich ziemiach i za wszystkiemi morzami założył i myślał, że dobrze zarobił na spoczynek. I on także dzieła dokonał. Czuł, że siejby jego nie rozwieje już wiatr złości. Odchodził z tą pewnością, że w walce, którą jego prawda wypowiedziała światu, ona zwycięży i niezmierna pogoda zstępowała mu do duszy.

Droga na miejsce stracenia była daleka i wieczór począł zapadać. Góry stały się purpurowe, a podnóża ich zapadały zwolna w cień. Trzody wracały do domów. Gdzieniegdzie szły gromadki niewolników z narzędziami pracy na ramionach. Przed domami na drodze bawiły się dzieci, spoglądając z ciekawością na przechodzący oddział żołnierzy. W tym zaś wieczorze, w tem przezroczem złotem powietrzu był nietylko spokój i ukojenie, ale jakowaś harmonia, która z ziemi zdawała się podnosić ku niebu. A Paweł słyszał ją

i serce przepełniało mu się radością na myśl, że do owej muzyki świata dodał dźwięk jeden, którego nie było dotąd, a bez którego ziemia cała była „jako miedź brząkająca i jako cymbał brzmiący“.

I przypomniał sobie, jako uczył ludzi miłości, jako im mówił, iż choćby rozdali majętność na ubogich i choćby posiedli wszystkie języki i wszystkie tajemnice i wszystkie nauki, niczem nie będą bez miłości, która jest łaskawa, cierpliwa, która złego nie wyrządza, nie pragnie czci, wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się nadziewa, wszystko wytrwa.

Oto mu wiek życia spłynął na nauczaniu ludzi takiej prawdy. A teraz mówił sobie w duszy: jakaż siła jej sprosta i cóż ją zwycięży? Jakoż przytłumić ją zdoła Cezar, choćby dwakroć miał tyle legionów, dwakroć tyle miast i mórz i ziem i narodów?

I szedł po zapłatę, jako zwycięzca.

Orszak porzucił wreszcie wielką drogę i skręcił na wschód wązką ścieżką ku Salwijskim Wodom. Na wrzosach leżało słońce czerwone. Przy źródle centuryon zatrzymał żołnierzy, albowiem chwila nadeszła.

Lecz Paweł, zarzuciwszy na ramię zasłonę Plautylli, aby zawiązać sobie nią oczy, wzniósł po raz ostatni źrenice, pełne niezmiernego spokoju, ku odwiecznym blaskom wieczornym i modlił się. Tak! chwila nadeszła, ale on widział przed sobą wielki gościniec z zórz, wiodący ku niebu i w duszy mówił sobie te same słowa, które poprzednio, w poczuciu swej spełnionej służby i blizkiego końca, napisał: „Potykaniem dobrem potykałem się, wiarę-m zachował, zawodu-m dokonał, naostatek przeznaczon mi jest wieniec sprawiedliwości“.

ROZDZIAŁ LXXII.

A Rzym szalał po dawnemu, tak iż zdawało się, że to miasto, które podbiło świat, poczyna się wreszcie w braku przewodników rozdzierać samo w sobie. Jeszcze zanim dla Apostołów wybiła ostatnia godzina, przyszedł spisek Pizona, a po nim kośba tak nieubłagana najwyższych głów w Rzymie, że tym nawet, którzy widzieli bóstwo w Neronie, wydał

się on w końcu bóstwem śmierci. Żałoba padła na miasto, strach rozsiadł się po domach i w sercach, ale portyki wieńczyły się bluszczem i kwiatami, albowiem niewolno było okazywać żalu po zmarłych. Ludzie, którzy budzili się z rana, zadawali sobie pytanie, czyja dziś kolej nadejdzie. Orszak mar, ciągnących za Cezarem, powiększał się z dniem każdym.

Pizo przypłacił głową spisek, a za nim poszli Seneka i Lukan, Feniusz Rufus i Plaucyusz Lateranus i Flawiusz Scewinus i Afraniusz Kwinecyanus i rozpustny towarzysz szaleństw Cezara, Tuliusz Senecyo i Prokulus i Ararykus i Tugurynus i Gratus i Silanus i Proxymus i Subryusz Flawiusz, niegdyś oddany całą duszą Neronowi i Sulpicyusz Asper. Jednych gubiła własna nikczemność, innych bojaźń, innych bogactwa, innych męstwo. Cezar, przerażony samą liczbą spiskowych, okrył żołnierstwem mury i trzymał miasto jakby w oblężeniu, wysyłając codzień centuryonów z wyrokami śmierci do podejrzanych domów. Skazani płaszczyli się jeszcze w listach, pełnych pochlebstw, dziękując Cezarowi za wyrok i zapisując mu część mienia, by resztę dla dzieci ocalić. Zdawało się w końcu, że Neron umyślnie przebiera wszelką miarę, by się przekonać, do jakiego stopnia znikczemnieli ludzie i jak długo zniosą krwawe rządy. Za spiskowymi wytracono ich krewnych, przyjaciół i prostych nawet znajomych. Mieszkańcy wspaniałych, wzniesionych po pożarze domów, wychodząc na ulicę, byli pewni, iż ujrzą całe szeregi pogrzebów. Pompejusz, Korneliusz Marcyalis, Flawiusz Nepos i Stacyusz Domicyusz zginęli oskarżeni o brak miłości dla Cezara; Nowius Pryskus, jako przyjaciel Seneki; Rufiusza Kryspusa pozbawiono prawa ognia i wody dlatego, że niegdyś był mężem Poppei. Wielkiego Trazeasza zgubiła cnota, wielu przypłaciło życiem szlachetne pochodzenie, nawet i Poppea padła ofiarą chwilowego uniesienia Cezara.

A senat płaszczył się przed straszliwym władcą, wznosił na jego cześć świątynie, czynił wota za jego głos, wieńczył jego posągi i przeznaczał mu kapłanów, jak bóstwu. Senatorowie ze drżeniem w duszy szli na Palatyn, by wielbić śpiew „Periodonicesa“ i szaleć z nim razem wśród orgii nagich ciał, wina i kwiatów.

A tymczasem z dołu, na roli, przesiąkłej krwią i łzami, wzrastała cicho, ale coraz potężniej siejba Piotrowa.

ROZDZIAŁ LXXIII.

Winicyusz do Petroniusza:

„Wiemy i tu, Carissime, co dzieje się w Rzymie, a czego nie wiemy, to nam dopowiadają listy twoje. Gdy rzucisz kamień w wodę, fale rozchodzą się coraz dalej i dalej naokół, więc taka fala szału i złości doszła z Palatynu aż do nas. Po drodze do Grecyi był tu wysłany przez Cezara Karynas, który złupił miasta i świątynie, by próżny skarb zapełnić. Za cenę potu i łez ludzkich buduje się w Rzymie „domus aurea". Być może, że świat nie oglądał dotąd takiego domu, ale też nie oglądał i krzywd takich. Ty przecie znasz Karynasa. Podobnym do niego był Chilon, zanim śmiercią nie odkupił życia. Lecz do leżących w naszem pobliżu miasteczek nie dotarli jego ludzie, może dlatego, że niemasz w nich świątyń i skarbów. Pytasz, czyśmy bezpieczni? Odpowiem ci tylko, żeśmy zapomniani, i niech ci to starczy za odpowiedź. Oto w tej chwili, z portyku, pod którym piszę, widzę naszą spokojną zatokę, a na niej Urzusa w łodzi, zapuszczającego sieć w jasne tonie. Żona moja przędzie czerwoną wełnę obok mnie, a w ogrodach pod cieniem drzew migdałowych śpiewają nasi niewolnicy. O! co za spokój, Carissime, i jakie zapomnienie dawnych trwóg i boleści. Ale to nie Parki, jak piszesz, przędą tak słodko nić naszego żywota, to błogosławi nam Chrystus, umiłowany nasz Bóg i Zbawiciel. Żal i łzy znamy, bo nasza prawda każe nam płakać nad cudzą niedolą, ale nawet i w owych łzach tkwi nieznana wam pociecha, że kiedyś, gdy spłynie czas życia naszego, odnajdziem tych wszystkich drogich, którzy zginęli i za Boską naukę mają zginąć jeszcze. Dla nas Piotr i Paweł nie zmarli, lecz narodzili się w chwale. Dusze nasze ich widzą i, gdy oczy płaczą, serca weselą się ich weselem. O tak, drogi, jesteśmy szczęśliwi szczęściem, jakiego nic zburzyć nie zdoła, ponieważ śmierć, która dla was jest końcem wszystkiego, dla nas będzie tylko przejściem do większego jeszcze spokoju, większego kochania, większej radości.

I tak nam płyną tu dni i miesiące w pogodzie serc. Słudzy nasi i niewolnicy wierzą również, jak i my, w Chrystusa, a że On miłość nakazał, więc miłujemy się wszyscy.

Nieraz, gdy słońce zachodzi, lub gdy księżyc błyszczy już na wodzie, rozmawiamy z Ligią o dawnych czasach, które dziś snem nam się wydają, a gdy pomyślę, jak ta droga głowa, którą dziś codzień kołyszę na piersiach, bliską była męki i zagłady, całą duszą wielbię mojego Pana, bo z tych rąk On jeden mógł ją wyrwać, ocalić z areny i wrócić mi na zawsze. O, Petroniuszu, widziałeś przecie, ile ta nauka daje pociechy i wytrwania w niedoli, ile cierpliwości i odwagi wobec śmierci, więc przyjedź, zobacz, ile daje szczęścia w zwykłych, powszednich dniach życia. Ludzie, widzisz, nie znali dotąd Boga, któregoby można miłować, przeto nie miłowali się i między sobą i stąd szła ich niedola, bo, jako światło ze słońca, tak szczęście z miłości wypływa. Nie nauczyli ich tej prawdy ni prawodawcy, ni filozofowie i nie było jej ni w Grecyi, ni w Rzymie, a gdy mówię: ni w Rzymie, to znaczy na ziemi całej. Oschła i zimna nauka stoików, do której garną się ludzie cnotliwi, hartuje serca, jak miecze, ale zobojętnia je raczej, zamiast je czynić lepszemi. Lecz po co ja mówię to tobie, któryś więcej się uczył i więcej rozumiesz ode mnie. Tyś przecie znał także Pawła z Tarzu i nieraz rozmawiałeś z nim długo, więc wiesz najlepiej, zali wobec prawdy, którą on opowiadał, wszystkie nauki waszych filozofów i retorów nie są czczemi bańkami i pustym brzękiem słów bez znaczenia. Pamiętasz pytanie, które on ci zadał: „A gdyby Cezar był chrześcijaninem, zalibyście się nie czuli bezpieczniejsi, pewniejsi posiadania tego, co posiadacie, próżni trwóg i spokojni o wasze jutro?“ Aleś ty mówił mi, że nasza prawda jest nieprzyjaciółką życia, a ja odpowiadam ci teraz, że, gdybym od początku listu powtarzał tylko dwa wyrazy: „jestem szczęśliwy!“, jeszczebym szczęścia mego wyrazić ci nie zdołał. Powiesz mi na to, że szczęście moje, to Ligia! Tak, drogi! Dlatego, że kocham jej duszę nieśmiertelną i że oboje miłujemy się w Chrystusie, a w takiej miłości niemasz ni rozłączeń, ni zdrad, ni zmian, ni starości, ni śmierci. Bo, gdy minie młodość i uroda, gdy zwiędną ciała nasze i przyjdzie śmierć, miłość się ostoi, gdyż ostoją się dusze. Zanim oczy moje otworzyły się na światło, gotów byłem dla Ligii podpalić nawet dom własny, a teraz ci mówię: nie kochałem jej, bo kochać dopiero mnie Chrystus nauczył. W Nim jest źródło szczęścia i spokoju. Toć nie ja mówię, jeno oczywistość sama.

Porównaj wasze podszyte trwogą rozkosze, wasze niepewne jutra upojenia, wasze orgie, podobne do styp pogrzebowych, z życiem chrześcijan, a znajdziesz gotową odpowiedź. Lecz abyś mógł lepiej porównać, przyjedź w nasze pachnące cząbrem góry, do naszych cienistych gajów oliwnych, nad nasze pokryte bluszczem brzegi. Czeka cię tu spokój, jakiegoś dawno nie zaznał, i serca, które cię kochają prawdziwie. Tyś, mając duszę szlachetną i dobrą, powinien być szczęśliwy. Twój bystry umysł potrafi prawdę rozpoznać, a gdy poznasz, to ją pokochasz, bo, może można być jej wrogiem, jak Cezar i Tygellin, ale obojętnym dla niej nikt być nie potrafi. O, mój Petroniuszu, oboje z Ligią cieszymy się nadzieją, że cię ujrzymy niezadługo. Bądź zdrów, szczęśliwy i przybywaj".

Petroniusz odebrał list Winicyusza w Cumae, dokąd był wyjechał wraz z innymi augustyanami, dążącymi za Cezarem. Długoletnia jego walka z Tygellinem miała się ku końcowi. Petroniusz wiedział już, że musi w niej paść, i rozumiał tego powody. W miarę, jak Cezar z każdym dniem spadał coraz niżej do roli komedyanta, błazna i woźnicy, w miarę, jak grzązł coraz bardziej w chorobliwej, plugawej i zarazem grubej rozpuście, wykwintny „arbiter elegantiae" stawał mu się tylko ciężarem. Gdy Petroniusz nawet milczał, Neron widział w jego milczeniu przyganę, nawet gdy pochwalał, widział szyderstwo. Świetny patrycyusz drażnił jego miłość własną i wzbudzał zazdrość. Jego bogactwa i wspaniałe dzieła sztuki stały się przedmiotem pożądliwości i władcy i wszechwładnego ministra. Oszczędzano go dotąd ze względu na wyjazd do Achai, w której jego smak, jego znajomość rzeczy greckich mogły się przydać. Lecz zwolna Tygellin począł tłómaczyć Cezarowi, że Karynas przewyższa jeszcze smakiem i wiedzą Petroniusza i że lepiej od niego potrafi urządzać w Achai igrzyska, przyjęcia i tryumfy. Od tej chwili Petroniusz był zgubiony. Nie śmiano jednak przesłać mu wyroku w Rzymie. I Cezar i Tygellin przypominali sobie, że ten niby zniewieściały esteta, „czyniący z nocy dzień", zajęty tylko rozkoszą, sztuką i ucztami, gdy był prokonsulem w Bitynii, a potem konsulem w stolicy, okazał zadziwiającą pracowitość i energię. Uważano go za zdolnego do wszystkiego, a wiedziano, że w Rzymie posiada miłość nietylko ludu, lecz nawet pretoryanów. Nikt z poufnych Cezara nie umiał prze-

widzieć, jak w danym razie postąpi, zdawało się więc rzeczą roztropniejszą wywabić go z miasta i dosięgnąć dopiero na prowincyi.

W tym celu otrzymał zaproszenie, by wraz z innymi augustyanami przybył do Cumae, on zaś, chociaż domyślał się podstępu, wyjechał, może dlatego, by nie wystąpić z jawnym oporem, może, by pokazać raz jeszcze Cezarowi i augustyanom wesołą, próżną wszelkich trosk twarz i odnieść ostatnie przedśmiertne nad Tygellinem zwycięstwo.

Tymczasem ów oskarżył go natychmiast o przyjaźń z senatorem Scewinusem, który był duszą spisku Pizona. Ludzi Petroniusza, pozostałych w Rzymie, uwięziono, dom obstawiono strażą pretoryańską. Lecz on, dowiedziawszy się o tem, nie okazał ni trwogi, ni nawet zakłopotania, i z uśmiechem rzekł do augustyanów, których podejmował we własnej wspaniałej willi w Cumae.

— Ahenobarbus nie lubi pytań wprost, więc zobaczycie, jak się zmiesza, gdy go zapytam, czy to on rozkazał uwięzić moją „familię“ w stolicy.

Poczem zapowiedział im ucztę „przed dalszą podróżą“ i właśnie czynił do niej przygotowania, gdy nadszedł list Winicyusza.

Petroniusz, odebrawszy go, zamyślił się nieco, po chwili jednak twarz zajaśniała mu zwykłą pogodą i wieczorem tegoż samego dnia odpisał, co następuje:

„Cieszę się waszem szczęściem i podziwiam wasze serca, carissime, albowiem nie sądziłem, by dwoje zakochanych mogło o kimś trzecim i dalekim pamiętać. Wy zaś nietylko nie zapomnieliście o mnie, ale chcecie mnie namówić do Sycylii, by podzielić się ze mną waszym chlebem i waszym Chrystusem, który, jak piszesz, tak hojnie wam szczęścia przysparza.

Jeśli tak jest, czcijcie go. Ja myślę, drogi, że Ligię powrócił ci także trochę Urzus, a trochę lud rzymski. Gdyby Cezar był innym człowiekiem, myślałbym nawet, że zaniechano dalszych prześladowań, ze względu na twoje z nim powinowactwo przez tę wnuczkę, którą Tyberyusz oddał swego czasu jednemu z Winicyuszów. Skoro jednak mniemasz, że to Chrystus, nie będę sprzeczał się z tobą. Tak! nie żałujcie mu ofiar. Prometeusz również poświęcił się dla ludzi, ale, eheu! Prometeusz podobno jest tylko wymysłem poetów, lu-

dzie zaś wiarogodni mówili mi, że Chrystusa na własne oglądali oczy. Ja razem z wami myślę, że to najuczciwszy z bogów.

Pytanie Pawła z Tarzu pamiętam i zgadzam się, że, gdyby naprzykład Ahenobarbus żył wedle nauki Chrystusa, to, możebym miał czas pojechać do was, do Sycylii. Wówczas pod cieniem drzew u źródeł, wiedlibyśmy rozmowy o wszystkich bogach i wszystkich prawdach, jak wiedli je niegdyś filozofowie greccy. Dziś krótką muszę dać ci odpowiedź.

Dwóch chcę znać tylko filozofów: jeden zowie się Pirron, drugi Anakreont. Resztę tanio ci sprzedać mogę wraz z całą szkołą greckich i naszych stoików. Prawda mieszka gdzieś tak wysoko, że sami bogowie nie mogą jej dojrzeć ze szczytów Olimpu. Tobie, carissime, wydaje się, że wasz Olimp wyższy jeszcze, i, stojąc na nim, wołasz na mnie: „Wejdź, a zobaczysz takie widoki, jakich nie widziałeś dotychczas!“ Być może. Ale ja ci odpowiadam: „Przyjacielu! nóg nie mam!“ I gdy doczytasz do końca ten list, sądzę, że przyznasz mi słuszność.

Nie! szczęśliwy małżonku królewny-jutrzenki! Wasza nauka nie dla mnie. Mamże miłować Bityńczyków, którzy noszą moją lektykę, Egipcyan, którzy palą w moich kąpielach, Ahenobarba i Tygellina? Na białe kolana Charytek przysięgam ci, że, choćbym chciał, nie potrafię. W Rzymie jest najmniej sto tysięcy ludzi, mających albo krzywe łopatki, albo grube kolana, albo wyschłe łydki, albo okrągłe oczy, albo za wielkie głowy. Czy każesz mi ich kochać także? Gdzież mam odnaleźć tę miłość, skoro jej w sercu nie czuję? a jeśli wasz bóg chce, bym miłował ich wszystkich, czemu w swojej wszechmocy nie dał im kształtu naprzykład Niobidów, których na Palatynie widziałeś? Kto kocha piękność, dlatego samego nie może kochać brzydoty. Inna rzecz nie wierzyć w naszych bogów, ale miłować ich można, jak miłowali ich Fidiasz i Praxyteles, i Miron, i Skopas, i Lizyasz.

Gdybym nawet chciał iść tam, gdzie mnie prowadzisz, nie mogę. Że zaś nie chcę, a więc po dwakroć nie mogę. Ty wierzysz, jak Paweł z Tarzu, że kiedyś, z drugiej strony Styxu, na jakichś polach Elizejskich będziecie widzieli waszego Chrystusa. Dobrze! Niech ci sam wówczas powie, czyby mnie

przyjął z mojemi gemmami, z moją wazą myrreńską i z wydaniami od Sozyuszów, i z moją Złotowłosą. Na myśl o tem śmiać mi się chce, mój drogi, boć przecie nawet i Paweł z Tarzu mówił mi, że dla Chrystusa trzeba się wyrzec różanych wieńców, uczt i rozkoszy. Wprawdzie mi inne obiecywał szczęście, alem mu odrzekł, żem na takie inne za stary i że różami zawsze będą się cieszyły oczy moje, a woń fiołków także mi zawsze milszą będzie, niż woń brudnego „bliźniego“ z Subury.

To są przyczyny, dla których wasze szczęście nie dla mnie. Lecz jest prócz tego jeszcze jedna, którąm ci schował naostatek. Oto mnie woła Tanatos. Dla was poczyna się świt życia, a dla mnie słońce już zaszło i zmierzch ogarnia mi głowę. Innemi słowy, ja muszę umrzeć, carissime.

Nie warto o tem mówić długo. Tak musiało się skończyć. Ty, który znasz Ahenobarba, z łatwością to zrozumiesz. Tygellinus mnie zwyciężył, a raczej nie! To tylko moje zwycięstwa dobiegły końca. Żyłem, jak chciałem, i umrę, jak mi się podoba.

Nie bierzcie tego do serca. Żaden bóg nie obiecał mi nieśmiertelności, więc nie spotyka mnie rzecz niespodziana. Przytem ty mylisz się, Winicyuszu, twierdząc, że tylko wasze bóstwo uczy umierać spokojnie. Nie. Świat nasz wiedział przed wami, że, gdy ostatnia czara wychylona, czas odejść, spocząć, i umie to jeszcze czynić pogodnie. Plato powiada, że cnota jest muzyką, a życie mędrca harmonią. Jeśli tak jest, to umrę, jak żyłem, cnotliwie.

Chciałbym twą boską małżonkę pożegnać jeszcze słowy, któremi powitałem ją niegdyś w domu Aulusów: „Różnym ja się, przeróżnym napatrzył narodom, a równej tobie nie znam“.

Więc jeśli dusza jest czemś więcej, niż mniema Pirron, to moja zaleci do was po drodze na krańce Okeanosa i siędzie przy waszym domu w postaci motyla, albo, jak wierzą Egipcyanie, krogulca.

Inaczej przybyć nie mogę.

A tymczasem, niech wam Sycylia zmieni się w ogród Hesperyd, niech polne, leśne i źródlane boginki sypią wam kwiaty po drodze, a po wszystkich akantach, w kolumnach waszego domu, niech gnieżdżą się białe gołębie“.

ROZDZIAŁ LXXIV.

Jakoż Petroniusz nie mylił się. W dwa dni później młody Nerwa, zawsze mu życzliwy i oddany, przysłał do Cumae swego wyzwoleńca z wiadomościami o wszystkiem, co działo się na dworze Cezara.

Zguba Petroniusza była już postanowiona. Nazajutrz wieczór zamierzano wysłać do niego centuryona z rozkazem, aby zatrzymał się w Cumae i czekał tam dalszych rozporządzeń. Następny posłaniec, wyprawiony w kilka dni później, miał przynieść mu wyrok śmierci.

Petroniusz wysłuchał wieści wyzwoleńca z niezmąconą pogodą, poczem rzekł:

— Zaniesiesz swemu panu jedną z waz moich, którą ci wręczą przed drogą. Powiedz mu też ode mnie, że mu dziękuję z całej duszy, gdyż w ten sposób będę mógł uprzedzić wyrok.

I nagle począł się śmiać, jak człowiek, który, wpadłszy na doskonałą myśl, cieszy się z góry jej wykonaniem.

A tegoż jeszcze wieczora jego niewolnicy rozbiegli się, zapraszając wszystkich bawiących w Cumae augustyanów i wszystkie augustyanki na ucztę do wspaniałej willi arbitra elegancyi.

On zaś sam pisał w godzinach popołudniowych w bibliotece, poczem wziął kąpiel, po której kazał się ubrać westyplikom, i świetny, strojny, podobny do bogów, zaszedł do triclinium, by rzucić okiem znawcy na przygotowania, a następnie do ogrodów, gdzie pacholęta i młode Greczynki z wysp wiły z róż wieńce do wieczerzy.

Na twarzy jego nie było widać najmniejszej troski. Służba poznała tylko z tego, że uczta będzie czemś nadzwyczajnem, iż rozkazał dać niezwykłe nagrody tym, z których był zadowolony, zaś lekką chłostę wszystkim, których robota nie przypadła mu do smaku, lub którzy przedtem jeszcze zasłużyli na naganę i karę. Cytarzystom i śpiewakom polecił z góry hojnie zapłacić, a w końcu, siadłszy w ogrodzie pod bukiem, przez którego liście przedzierały się promienie słoneczne, pstrząc ziemię jasnemi plamami, wezwał do siebie Eunice.

Przyszła, ubrana biało, z gałązką mirtu na włosach, cudna, jak Charyta, on zaś posadził ją koło siebie i, lekko dotknąwszy palcami jej skroni, począł patrzeć na nią z takiem rozmiłowaniem, z jakiem znawca patrzy na boski posąg, który wyszedł z pod dłuta mistrza.

— Eunice — rzekł do niej — czy ty wiesz, że od dawna już nie jesteś niewolnicą?

A ona podniosła na niego swoje spokojne, błękitne jak niebo oczy, i poczęła zaprzeczać ruchem głowy.

— Jestem, panie, zawsze — odrzekła.

— Lecz może tego nie wiesz — mówił dalej Petroniusz — że ta willa i ci niewolnicy, którzy tam wiją wieńce, i wszystko co w niej jest, i pola i stada, należą od dziś do ciebie.

Eunice, usłyszawszy to, odsunęła się nagle od niego i głosem, w którym zabrzmiał nagły niepokój, zapytała:

— Czemu mi to mówisz, panie?

Następnie zbliżyła się znów i poczęła patrzeć na niego, mrugając z przerażenia oczyma. Po chwili twarz jej stała się blada, jak płótno, on zaś uśmiechał się ciągle, i wreszcie rzekł jedno tylko słowo:

— Tak!

Nastała chwila milczenia, tylko lekki powiew poruszał liśćmi buku.

Petroniusz mógł istotnie sądzić, że ma przed sobą posąg, wykuty z białego marmuru.

— Eunice! — rzekł — chcę umrzeć pogodnie.

A dziewczyna, spojrzawszy nań z rozdzierającym uśmiechem, wyszeptała:

— Słucham cię, panie.

Wieczorem goście, którzy bywali już nieraz na ucztach Petroniusza i wiedzieli, że w porównaniu z niemi nawet uczty Cezara wydają się nudne i barbarzyńskie, poczęli się schodzić tłumnie, nikomu zaś ani przez myśl nie przeszło, by to miał być „symposion“ ostatni. Wielu wiedziało wprawdzie, że nad wykwintnym arbitrem zawisły chmury niechęci Cezara, ale zdarzało się już to tyle razy i tyle razy Petroniusz umiał je rozproszyć jakimś jednym zręcznym postępkiem, lub jednem śmiałem słowem, że naprawdę nikt nie przypuszczał, by miało mu grozić poważne niebezpieczeństwo. Jego wesoła twarz

i zwykły niedbały uśmiech utwierdziły do reszty wszystkich w tem mniemaniu. Śliczna Eunice, której powiedział, że chce umrzeć pogodnie, a dla której każde jego słowo było jakby słowem wyroczni, miała w boskich rysach spokój zupełny i jakieś dziwne światła w źrenicach, które można było za radość poczytać. We drzwiach triclinium pacholęta z włosami w złotych siatkach kładły wieńce z róż na głowy przybyłych, ostrzegając ich zarazem wedle zwyczaju, by przestępowali próg prawą nogą. W sali rozchodził się lekki zapach fiołków; światła płonęły w różnokolorowych szkłach aleksandryjskich. Przy ławach stały greckie dziewczątka, mające zwilżać woniami stopy gości. Pod ścianami cytrzyści i śpiewacy ateńscy czekali znaku swego chorowoda.

Nakrycie stołu jaśniało przepychem, lecz przepych ów nie raził, nie ciężył nikomu i zdawał się sam przez się wykwitać. Wesołość i swoboda rozlewały się wraz z wonią fiołków po sali. Goście, wchodząc tu, czuli, że nie zawiśnie nad nim ni przymus, ni groźba, jak to bywało u Cezara, gdzie niedość górne lub nawet niedość trafne pochwały śpiewu lub wierszy można było życiem przepłacić. Wraz też na widok świateł, bluszczowych kruż, win lodowaciejących w śniegowej pościeli i wyszukanych potraw, rozochociły się serca biesiadników. Rozmowy poczęły brzęczeć raźnie, jak brzęczy rój pszczół nad okrytą kwiatami jabłonią. Czasem tylko przerywał je wybuch wesołego śmiechu, czasem szmer pochwał, czasem zbyt głośny pocałunek, złożony na białem ramieniu.

Goście, pijąc wino, strącali z czasz po kilka kropel bogom nieśmiertelnym, by zjednać ich opiekę i przychylność dla gospodarza. Nic to, że wielu nie wierzyło w bogów. Tak kazał obyczaj i przesąd. Petroniusz, leżąc obok Eunice, rozmawiał o nowinach rzymskich, o najnowszych rozwodach, o miłości, miłostkach, o wyścigach, o Spikulusie, który w ostatnich czasach wsławił się na arenie, i o najnowszych książkach, jakie ukazały się u Atraktusa i Sozyuszów. Strząsając wino, mówił, że strząsa tylko na cześć pani Cypryjskiej, która jest starszą i większą od wszystkich bogów, jedynie nieśmiertelną, trwałą, władnącą.

Rozmowa jego była jak promień słońca, który coraz to inny przedmiot oświeca, lub jak letni powiew, który porusza kwiaty w ogrodzie. Wreszcie skinął na chorowoda, i na

ten znak zabrzękły lekko cytry, młode zaś głosy ozwały się im do wtóru. Potem tancerki z Kos, rodaczki Eunice, poczęły migotać z pod przeźroczych osłon różowemi ciałami. W końcu egipski wróżbita począł przepowiadać gościom przyszłość z ruchu tęczowych dorad, zamkniętych w kryształowem naczyniu.

Lecz, gdy już tych zabaw mieli do syta, Petroniusz uniósł się nieco na swem syryjskiem wezgłowiu i rzekł z niechcenia:

— Przyjaciele! wybaczcie mi, że na uczcie z prośbą do was wystąpię: oto niech każdy przyjmie ode mnie w darze tę czarę, z której najpierw strząsnął na cześć bogów i na pomyślność moją.

Czary Petroniusza lśniły od złota, klejnotów i rzeźb mistrzowskich, więc jakkolwiek rozdawanie podarków było rzeczą zwykłą w Rzymie, radość zalała serca biesiadników. Jedni poczęli mu dziękować i sławić go głośno; drudzy mówili, że nawet sam Jowisz nie uczcił nigdy bogów w Olimpie darem podobnym; byli nakoniec i tacy, którzy wahali się z przyjęciem, tak rzecz przechodziła miarę powszednią.

On zaś podniósł w górę krużę murreńską, do tęczy z blasku podobną i wprost bezcenną, poczem rzekł:

— A oto jest ta, z której ulałem na cześć pani Cypryjskiej. Niech jej odtąd niczyje usta nie dotkną i niechaj żadne ręce na cześć innej bogini z niej nie uleją.

I rzucił kosztowne naczynie na posypaną liliowymi kwiatami szafranu posadzkę, a gdy rozbiło się w drobne szczątki, rzekł, widząc naokół zdumione spojrzenia:

— Drodzy, weselcie się, zamiast zdumiewać. Starość, bezsilność, smutni to towarzysze ostatnich lat życia. Ale ja wam dam dobry przykład i dobrą radę: można, widzicie, na nich nie czekać, i, nim nadejdą, odejść dobrowolnie, jak ja odchodzę.

— Co chcesz uczynić? — spytało z niepokojem kilka głosów.

— Chcę się weselić, pić wino, słuchać muzyki, patrzeć na te oto boskie kształty, które obok mnie widzicie, a potem zasnąć z uwieńczoną głową. Już pożegnałem się z Cezarem, i czy chcecie posłuchać, com mu na pożegnanie napisał?

To rzekłszy, wydobył z pod purpurowego wezgłowia list i począł czytać, co następuje:

„Wiem, o Cezarze, że wyglądasz z niecierpliwością mego przybycia i że twoje wierne serce przyjaciela tęskni dniami i nocami za mną. Wiem, że obsypałbyś mnie darami, powierzył mi prefekturę pretoryi, a Tygellinowi kazał być tem, do czego stworzyli go bogowie, dozorcą mułów w tych twoich ziemiach, któreś po otruciu Domicyi odziedziczył. Wybacz mi jednak, bo oto przysięgam ci na Hades, a w nim na cienie twej matki, żony, brata, i Seneki, że przybyć do ciebie nie mogę. Życie jest wielkim skarbem, mój drogi, jam zaś z owego skarbu umiał najcenniejsze wybierać klejnoty, lecz w życiu są także rzeczy, których już dłużej znieść nie potrafię. Och, nie myśl, proszę, iż mnie zraziło to, iżeś zabił matkę, i żonę, i brata, iżeś spalił Rzym i wysłał do Erebu wszystkich uczciwych ludzi w twem państwie. Nie, mój prawnuku Chronosa. Śmierć jest udziałem ludzkiego pogłowia, po tobie zaś innych postępków nie było się można spodziewać. Ale kaleczyć sobie uszy jeszcze przez lata całe twoim śpiewem, widzieć twe domicyuszowskie cienkie nogi, miotane tańcem pirrejskim, słuchać twej gry, twej deklamacyi i twoich poematów, biedny poeto z przedmieścia, oto co przewyższyło moje siły i wzbudziło do śmierci ochotę. Rzym zatyka uszy, słuchając ciebie, świat cię wyśmiewa, ja zaś dłużej już za ciebie płonić się nie chcę, nie mogę. Wycie Cerbera, mój miły, choćby do twego śpiewu podobne, mniej będzie dla mnie dotkliwe, bom nie był mu nigdy przyjacielem i za głos jego wstydzić się nie mam obowiązku. Bądź zdrów, lecz nie śpiewaj, zabijaj, lecz nie pisz wierszy, truj, lecz nie tańcz, podpalaj, lecz nie graj na cytrze, tego ci życzy i tę ostatnią przyjacielską radę posyła ci Arbiter elegantiae“.

Biesiadnicy struchleli, wiedzieli bowiem, że, gdyby Neron państwo utracił, cios byłby dla niego mniej okrutnym. Zrozumieli też, że człowiek, który taki list napisał, musi umrzeć, a przytem ich samych obleciał strach blady, że takiego listu słuchali.

Lecz Petroniusz roześmiał się tak szczerym i wesołym śmiechem, jakby o najniewinniejszy żart chodziło, poczem powiódł oczyma po obecnych i ozwał się:

— Weselcie się i odpędźcie daleko trwogę. Nikt nie potrzebuje się chwalić, że tego listu wysłuchał, ja zaś pochwalę się nim chyba Charonowi w chwili przeprawy.

Poczem skinął na Greka lekarza i wyciągnął doń ramię. Biegły Grek w mgnieniu oka przewiązał je złotą przepaską i otworzył żyłę na zgięciu ręki. Krew trysnęła na wezgłowie i oblała Eunice, która, podparłszy głowę Petroniusza, pochyliła się nad nim i rzekła:

— Panie, czyś ty myślał, że ja cię opuszczę? Gdyby bogowie chcieli mi dać nieśmiertelność, a Cezar władzę nad światem, poszłabym jeszcze za tobą.

Petroniusz uśmiechnął się, podniósł się nieco, dotknął ustami jej ust i odpowiedział:

— Pójdź ze mną.

Potem zaś dodał:

— Tyś mnie naprawdę kochała, boska moja!...

A ona wyciągnęła ku lekarzowi swe różane ramię i po chwili krew jej poczęła się zlewać i łączyć z jego krwią.

Lecz on dał znak chorowodowi, i znów ozwały się cytry i głosy. Śpiewano naprzód „Harmodyosa“, a potem zabrzmiała pieśń Anakreonta, w której poeta skarży się, że znalazł raz pod drzwiami zziębłe i zapłakane dziecko Afrodyty: zabrał je, ogrzał, wysuszył skrzydełka, o ono, niewdzięczne, przeszyło mu za nagrodę serce swym grotem, i odtąd opuściła go spokojność...

Oni zaś, wsparci o siebie, piękni, jak dwa bóstwa, słuchali, uśmiechając się i blednąc. Petroniusz, po skończonej pieśni, polecił roznosić dalej wino i potrawy, potem zaczął rozmawiać z siedzącymi w pobliżu biesiadnikami o rzeczach błahych, ale miłych, o jakich zwykle rozmawiano przy ucztach. Wreszcie przywołał Greka, by mu podwiązał na chwilę żyły, albowiem mówił, że morzy go sen i chciałby jeszcze oddać się „Hypnosowi“, zanim Tanatos uśpi go na zawsze.

Jakoż usnął. Gdy się rozbudził, głowa dziewczyny leżała już, podobna do białego kwiatu, na jego piersiach. Wówczas oparł ją na wezgłowiu, by się jej raz jeszcze przypatrzeć. Zaczem znowu rozwiązano mu żyły.

Śpiewacy na jego skinienie zanucili nową pieśń Anakreonta, a cytry towarzyszyły im cicho, tak, aby słów nie zagłuszać. Petroniusz bladł coraz bardziej, gdy jednak ostatnie dźwięki umilkły, zwrócił się raz jeszcze do biesiadników i rzekł:

— Przyjaciele, przyznajcie, że razem z nami ginie...

Lecz nie mógł dokończyć; ramię jego objęło ostatnim ruchem Eunice, poczem głowa opadła mu na wezgłowie — i umarł.

Biesiadnicy jednak, patrząc na te dwa białe ciała, podobne do cudnych posągów, zrozumieli dobrze, że z niemi razem ginie to, co jedynie jeszcze pozostało ich światu, to jest jego poezya i piękność.

EPILOG.

Początkowo bunt legii gallijskich pod wodzą Windexa nie zdawał się być zbyt groźnym. Cezar miał dopiero trzydziesty pierwszy rok życia i nikt nie śmiał się spodziewać, by świat wnet już miał być wolny od duszącej go zmory. Wspomniano, że wśród legii nieraz już, jeszcze za dawniejszych panowań przychodziło do rozruchów, które jednak mijały, nie pociągając za sobą zmiany panowań. Tak za Tyberyusza Druzus uśmierzył bunt legii pannońskich a Germanikus nadreńskich. „Któżby zresztą — mówili ludzie — mógł objąć po Neronie panowanie, gdy wszyscy niemal potomkowie boskiego Augusta wyginęli za jego rządów?“ Inni, patrząc na kolosy, wyobrażające go jako Herkulesa, mimowoli wyobrażali sobie, że żadna siła takiej potęgi nie złamie. Byli i tacy, którzy, od czasu, jak wyjechał do Achai, tęsknili po nim, albowiem Helius i Politetes, którym zostawił rządy Rzymu i Italii, rządzili jeszcze krwawiej od niego.

Nikt nie był pewny życia i mienia. Prawo przestało bronić. Zagasła godność ludzka i cnota, rozluźniły się węzły rodzinne, a znikczemniałe serca nie śmiały dopuścić nawet nadziei. Z Grecyi dochodziły echa o niesłychanych tryumfach Cezara, o tysiącach koron, które zdobył i tysiącach współzawodników, których pokonał. Świat wydawał się jedną orgią, krwawą i błazeńską, lecz zarazem wszczepiło się mniemanie, że przyszedł kres cnocie i rzeczom poważnym, że nadszedł czas tańca, muzyki, rozpusty, krwi, i że odtąd tak płynąć już musi życie. Sam Cezar, któremu bunt otwierał drogę do nowych łupiestw, niewiele się troszczył o zbuntowane legie i Windexa, a nawet często radość swoją z tego powodu wypowiadał. Z Achai nie chciał też wyjeżdżać i dopiero, gdy

Helius doniósł mu, że dalsza zwłoka może go o utratę państwa przyprawić, wyruszył do Neapolu.

Tam znów grał i śpiewał, puszczając mimo uszu wieści o coraz groźniejszym przebiegu zdarzeń. Próżno Tygellinus tłómaczył mu, że dawne bunty legionów nie miały wodza, teraz zaś stoi na czele mąż, z dawnych królów akwitańskich pochodzący, a przytem wojownik sławny i doświadczony. „Tu — odpowiadał Neron — słuchają mnie Grecy, którzy sami jedni słuchać umieją i sami jedni godni są mego śpiewu“. Mówił, że pierwszym jego obowiązkiem jest sztuka i sława. Lecz, gdy wreszcie doszła go wieść, że Windex ogłosił go lichym artystą, zerwał się i wyjechał do Rzymu. Rany, zadane mu przez Petroniusza, które zagoił pobyt w Grecyi, otwarły się w jego sercu na nowo i chciał u senatu szukać sprawiedliwości za krzywdę tak niesłychaną.

Po drodze ujrzawszy grupę, odlaną z bronzu, przedstawiającą wojownika Galla, obalonego przez rzymskiego rycerza, poczytał to za dobrą wróżbę i odtąd, jeśli wspominał zbuntowane legie i Windexa, to jedynie dlatego, by się z nich naśmiewać. Wjazd jego do miasta zgasił wszystko, co dotąd widziano. Wjechał na tym samym wozie, na którym niegdyś August odbywał tryumf. Zburzono jeden łuk cyrku, by otworzyć wejście pochodowi. Senat, rycerze i nieprzejrzane tłumy wyległy na jego spotkanie. Mury drżały od okrzyków: „Witaj Auguście, witaj Herkulesie! witaj boski, jedyny, Olimpijski, Pityjski, nieśmiertelny!“ Za nim niesiono zdobyte wieńce, nazwy miast, w których tryumfował i wypisane na tablicach imiona mistrzów, których pokonał. Neron sam był upojony i pytał ze wzruszeniem otaczających go augustyanów: czem był tryumf Cezara przy jego tryumfie? Myśl, by ktokolwiek ze śmiertelnych śmiał podnieść rękę na takiego mistrza-półboga, nie chciała mu się w głowie pomieścić. Czuł się istotnie Olimpijskim i przez to samo bezpiecznym. Zapał i szaleństwo tłumów podniecały szał jego własny. Jakoż mogło się wydawać w dniu tego tryumfu, że nietylko Cezar i miasto, ale świat cały stracił zmysły.

Pod kwiatami i stosami wieńców nie umiał nikt dojrzeć przepaści. Tegoż jednak jeszcze wieczora kolumny i mury świątyń pokryły się napisami, w których wytykano zbrodnie Cezara, grożono mu bliską pomstą i wyśmiewano go, jako

artystę. Z ust do ust przechodziło zdanie: „Póty śpiewał, dopóki kogutów (gallos) nie zbudził“. Trwożne wieści poczęły obiegać miasto i rosły do potwornych rozmiarów. Niepokój ogarnął augustyanów. Ludzie w niepewności, co przyszłość pokaże, nie śmieli wypowiadać życzeń nadziei, nie śmieli niemal czuć i myśleć.

On zaś żył dalej tylko teatrem i muzyką. Zajmowały go nowo wynalezione instrumenta muzyczne i nowy organ wodny, z którym czyniono próby na Palatynie. W zdziecinniałym i niezdolnym do jednej rady lub czynu umyśle wyobrażał sobie, iż daleko sięgające w przyszłość zamiary przedstawień i widowisk odwrócą tem samem niebezpieczeństwo. Najbliżsi, widząc, że zamiast starać się o środki i wojsko, stara się jedynie o wyrażenia, trafnie malujące grozę, poczęli tracić głowy. Inni atoli mniemali, że tylko zagłusza siebie i drugich cytatami, mając w duszy trwogę i niepokój. Jakoż postępki jego stały się gorączkowe. Codzień tysiące innych zamiarów przelatywało mu przez głowę. Chwilami zrywał się, by przeciw niebezpieczeństwu wybieżeć, kazał pakować na wozy cytry i lutnie, zbroić młode niewolnice, jako amazonki, a zarazem ściągać legie ze Wschodu. Czasem znów myślał, że nie wojną, ale śpiewem skończy bunt gallijskich legii. I uśmiechała mu się dusza do tego widowiska, które miało nastąpić po przejednaniu pieśnią żołnierzy. Oto legioniści otoczą go ze łzami w oczach, on zaś zanuci im epinicium, po którem złota epoka pocznie się dla niego i Rzymu. Czasem znów wołał o krew; czasem oświadczał, że poprzestanie na wielkorządztwie w Egipcie; wspominał wróżbitów, którzy przepowiadali mu panowanie w Jeruzalem, albo rozczulał się myślą, że jako wędrowny śpiewak, będzie zarabiał na chleb powszedni, a miasta i kraje uczczą w nim już nie Cezara, pana ziemskiego okręgu, ale pieśniarza, jakiego nie wydała dotąd ludzkość.

I tak rzucał się, szalał, grał, śpiewał, zmieniał zamiary, zmieniał cytaty, zmieniał życie swoje i świata w jakiś sen niedorzeczny, fantastyczny i straszny zarazem, we wrzaskliwą hecę, złożoną z nadętych wyrażeń, lichych wierszy, jęków, łez i krwi, a tymczasem chmura na Zachodzie rosła i potężniała z dniem każdym. Miara była przebrana, błazeńska komedya miała się widocznie ku końcowi.

Gdy wieści o Galbie i przyłączeniu się Hiszpanii do buntu doszły do jego uszu, wpadł w wściekłość i szał. Podruzgotał czary, przewrócił stół przy uczcie i wydał rozkazy, których ni Helius, ni sam Tygellin nie śmieli wykonać. Wymordować Gallów, zamieszkałych w Rzymie, potem podpalić jeszcze raz miasto, wypuścić zwierzęta z arenaryów, a stolicę przenieść do Aleksandryi, wydało mu się dziełem wielkiem, zdumiewającem i łatwem. Ale już dni wszechmocy jego minęły i nawet wspólnicy dawnych zbrodni poczęli nań patrzeć, jak na szaleńca.

Śmierć Windexa i niezgoda zbuntowanych legii zdawały się jednak znów przechylać szale na jego stronę. Już nowe uczty, nowe tryumfy i nowe wyroki zapowiedziane były w Rzymie, gdy pewnej nocy z obozu pretoryanów przybył na spienionym koniu goniec, donosząc, że w samem mieście żołnierze podnieśli chorągiew buntu i okrzyknęli Galbę Cezarem.

Cezar spał w chwili przybycia gońca, lecz zbudziwszy się, próżno wołał na straże przyboczne, czuwające nocami u drzwi komnat. W pałacu była już pustka. Niewolnicy tylko rabowali w odleglejszych zakątkach, co się naprędce zrabować dało. Lecz jego widok zastraszył ich, on zaś błąkał się samotny po domu, napełniając go okrzykami trwogi i rozpaczy.

Wreszcie jednak wyzwoleńcy: Faon, Spirus i Epafrodyt, przybyli mu na ratunek. Chcieli, by uciekał, mówiąc, że niema chwili do stracenia, lecz on łudził się jeszcze. A gdyby, ubrany w żałobę, przemówił do senatu, czyż senat oparłby się jego łzom i wymowie? Gdyby użył całej sztuki krasomówczej, całej wymowy i zdolności aktorskiej, czy ktokolwiek w świecie zdołałby się mu oprzeć? Czyby mu nie dano choć prefektury Egiptu?

A oni, przywykli do pochlebstw, nie śmieli jeszcze wprost zaprzeczyć, ostrzegli go tylko, że nim zdoła dojść do Forum, lud rozerwie go na szczątki i zagrozili, że jeśli natychmiast na koń nie siędzie i oni opuszczą go także.

Faon ofiarował mu schronienie w swej willi, leżącej za bramą Nomentańską. Po chwili siedli na koń i okrywszy głowy płaszczami, pomknęli ku krańcom miasta. Noc bladła. Na ulicach panował już jednak ruch, zwiastujący nadzwyczajność chwili. Żołnierze to pojedyńczo, to małymi oddziałami

rozsypali się po mieście. Niedaleko już obozu koń Cezara uskoczył nagle w bok na widok trupa. Wówczas płaszcz zsunął się z głowy jeźdzca i żołnierz, który w tej samej chwili przesuwał się obok niego, poznał władcę, lecz zmieszany niespodzianem spotkaniem, oddał mu pokłon wojskowy. Przejeżdżając koło obozu pretoryanów, usłyszeli grzmiące okrzyki na cześć Galby. Neron zrozumiał nakoniec, że zbliża się godzina śmierci. Opanował go przestrach i wyrzuty sumienia. Mówił, że widzi przed sobą ciemność w kształcie czarnej chmury, z chmury zaś owej wychylają się ku niemu twarze, w których poznaje matkę, żonę i brata. Zęby jego kłapały z przerażenia, a jednak komedyancka jego dusza znajdowała jakby jakiś urok w grozie chwili. Być wszechwładnym panem ziemi i stracić wszystko, wydawało mu się szczytem tragedyi. I wierny sobie, grał pierwszą w niej rolę do końca. Opanowała go gorączka cytat i namiętna chęć, by obecni zapamiętali je dla potomności. Chwilami mówił, że chce umrzeć i wołał o Spikulusa, który zabijał najzręczniej ze wszystkich gladyatorów. Chwilami deklamował. „Matka, małżonka, ojciec na śmierć mnie wzywają!“ Błyski nadziei budziły się w nim jednak od czasu do czasu, czcze i dziecinne. Wiedział, że idzie śmierć i nie wierzył w nią zarazem.

Bramę Nomentańską zastali otwartą. Jadąc dalej, przesunęli się koło Ostryanum, gdzie nauczał i chrzcił Piotr. O świcie byli w willi Faona.

Tam wyzwoleńcy nie ukrywali mu już dłużej, że czas umrzeć, więc kazał kopać dla siebie dół i legł na ziemi, by mogli wziąć miarę dokładną. Lecz na widok wyrzucanej ziemi, ogarnął go strach. Tłusta twarz jego pobladła, a na czole osiadły mu, nakształt kropel rannej rosy, krople potu. Począł zwłóczyć. Głosem zarazem drżącym i aktorskim oświadczył, że chwila jeszcze nie nadeszła, poczem znów jął cytować. W końcu prosił, by go spalono. „Jakiż artysta ginie!“ powtarzał jakby ze zdumieniem.

Tymczasem przybył goniec Faona z doniesieniem, że senat wydał już wyrok i że „parricida“ ma być ukarany wedle dawnego zwyczaju.

— Jakiż to zwyczaj? — spytał z bielałemi ustami Neron.

— Szyję ci chwycą w widły i zasmagają cię na śmierć, a ciało wrzucą w Tyber! — odrzekł szorstko Epafrodyt.

On zaś roztworzył płaszcz na piersiach.

— A więc czas! — rzekł, spojrzawszy w niebo.

I jeszcze raz powtórzył:

— Jakiż artysta ginie!

W tej chwili rozległ się tentent koni. To centuryon na czele żołnierzy przybywał po głowę Ahenobarba.

— Śpiesz się! — zawołali wyzwoleńcy.

Neron przyłożył nóż do szyi, lecz kłuł się tylko dłonią bojaźliwą i widać było, że nigdy nie ośmieli się zagłębić ostrza. Wówczas niespodzianie Epafrodyt popchnął mu rękę i nóż wszedł aż po głownię, a jemu oczy wyszły na wierzch, straszne, ogromne, przerażone.

— Przynoszę ci życie! — zawołał, wchodząc centuryon.

— Zapóźno — odrzekł chrapliwym głosem Neron.

Poczem dodał:

— Oto jest wierność!

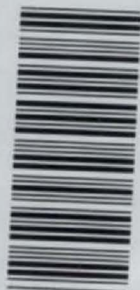
W mgnieniu oka śmierć poczęła obejmować mu głowę. Krew z grubego karku bluzgała czarnym strumieniem na ogrodowe kwiaty. Nogi jego poczęły kopać ziemię — i skonał.

Wierna Akte obwinęła go nazajutrz w kosztowne tkaniny i spaliła na przepełnionym wonnościami stosie.

I tak minął Neron, jak mija wicher, burza, pożar, wojna lub mór, a bazylika Piotra panuje dotąd z wyżyn watykańskich miastu i światu.

Wedle zaś dawnej bramy Kapeńskiej wznosi się dzisiaj maleńka kapliczka z zatartym nieco napisem: *Quo vadis, Domine?*

20


010495